

Craig Russell



MRO CZNA SERIA

pieśń walkirii



W
ab
two

lesiojot

CRAIG
RUSSELL

PIEŚŃ WALKIRII

przełożył Janusz Ochab

Dla Wendy

Niebiosa splamione są krwią ludzi, gdy walkirie śpiewają swą pieśń.

Saga o Njalu

Wiele śmierci i żywotów rozdały walkirie, służebnice Odyna, w pałacu wojowników, Walhalli. To właśnie walkirie, wypełniając niebiosa straszliwymi okrzykami, pędziły przez pole bitwy, zabierając dusze tych, którym przeznaczyły śmierć.

W języku staronordyckim walkiria znaczy ta, która wybiera poległych.

PROLOG

I *Meklemburgia* 1995

Siostry są swoim żywym odbiciem, pomyślała.

Ute siedziała i przyglądała się swojemu młodszemu odbiciu – Margarethe. A ta wyglądała na zmęczoną. I smutną. Ten widok sprawiał Ute ból; kiedy były małe, wydawało się, że los nierówno rozdzielił między nie energię – Margarethe zawsze była tą żywszą, bystrzejszą, ładniejszą. Widok siostry w tym miejscu sprawiał Ute ból.

– Pamiętasz, jak byłyśmy małe? – spytała Margarethe, spoglądając w okno o niebieskawych szybach. – Pamiętasz, jak chodziłyśmy na plażę i patrzyłyśmy na Schaalsee, a ty mówiłaś, że pewnego dnia przepłyniemy przez jezioro? Do drugiej części Niemiec albo do Danii lub Szwecji... Mówiłaś, że nie wolno mi tego zrobić, a ja się złościłam, pamiętasz?

– Tak, Margarethe, pamiętam.

– Mogę zdradzić ci sekret?

– Oczywiście, Margarethe. Właśnie po to są siostry. Jak byłyśmy małe, zawsze mówiłyśmy sobie sekrety. Wieczorem, kiedy gasły światła, kiedy mogłyśmy szeptać, a mama i tata nas nie słyszeli. Zdradź mi teraz swój sekret.

Siedziały przy stoliku obok okna wychodzącego na ogrody. Był jasny, słoneczny dzień, na grządkach kwitły kwiaty, grube niebieskie szyby nieco zniekształcały ich prawdziwe kształty i barwy. Ute pomyślała, że to jakiś specjalny rodzaj szkła, którego nie da się rozbić. Lepsze to niż kraty.

Margarethe spojrzała podejrzliwie na innych pacjentów, na gości i personel. Odgrodziła się od nich, zamknęła ponownie we własnym świetle, ograniczonym jedynie do niej samej, siostry i niebieskawego widoku za oknem. Pochyliła się do Ute, by przemówić konspiracyjnym szeptem. W tym momencie znów zamieniła się w ładną dziewczynkę, którą kiedyś była. Bardzo ładną dziewczynkę.

– To straszliwy sekret.

– Wszyscy takie mamy – odparła Ute i położyła dłoń na dłoni siostry.

– Będę potrzebowała dużo czasu, żeby ci powiedzieć. Wielu wizyt. Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam, ale teraz już muszę. Wrócisz do mnie, żeby wysłuchać tej historii?

– Oczywiście. – Ute uśmiechnęła się smutno.

– Pamiętasz, jak zabrali mamę i tatę? Pamiętasz, jak nas rozdzielili i odesłali do różnych domów dziecka?

– Wiesz, że pamiętam. Jak mogłabym zapomnieć. Ale nie rozmawiamy już o takich rzeczach...

– Wysłali mnie do specjalnego miejsca. – Margarethe zniżyła głos do szeptu. – Mówili, że jestem inna. Wyjątkowa. Że mogę robić dla nich rzeczy, których nie mogły robić inne dziewczyny. Twierdzili, że mogę zostać bohaterką. Nauczyli mnie różnych rzeczy. Strasznych rzeczy. Tak okropnych, że nigdy ci o nich nie wspominałam. Nigdy. Dlatego jestem tutaj. To jest właśnie mój problem. Wszystkie te straszne rzeczy w mojej głowie... – Skrzywiła się, jakby ciężar tego, co kryło się w jej głowie, sprawiał jej ból. – Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie nauczyli mnie robić tych strasznych rzeczy.

– Jakich rzeczy, Margarethe?

– Powiem ci. Powiem ci teraz. Ale musisz mi obiecać, że potem wszystko naprawisz.

– Obiecuję, Margarethe. Jesteś moją siostrą. Wszystko naprawię.

II

Hamburg

styczeń 2008

Czekała na niego.

Śledziła go od chwili, gdy pojawił się na Erichstrasse, naprzeciwko muzeum erotyki. Szedł w jej stronę, ale jeszcze jej nie widział. Cofnęła się w mrok małego brukowanego placu. To miało się stać tutaj, w ciemnościach rozświetlanych jedynie blaskiem docierającym z sąsiednich ulic, ciemnościach pogłębionych przez dwa drzewa o nagich gałęziach, które wyrastały z niezabrukowanych kręgów ziemi pośrodku placu.

Czekała na niego.

Gdy się zbliżył, rozpoznała jego twarz. Nigdy go nie spotkała, nie widziała go na własne oczy, ale mimo to rozpoznała. Jego twarz pochodziła spoza realnego świata. Znała ją z telewizji, z prasy, z plakatów wywieszanych w witrynach sklepów. Ze świata równoległego.

Zawahała się na moment. Przypuszczała, że ze względu na to, kim jest, towarzyszą mu inni ludzie. Asystenci. Ochroniarze. Cofnęła się głębiej w mrok. Kiedy podszedł jeszcze bliżej, przekonała się, że jest sam. Zobaczył ją dopiero wtedy, gdy był tuż obok, a ona wyszła z cienia.

– Cześć – powiedziała po angielsku. – Znam cię.

Zatrzymał się zaskoczony. Niepewny. Potem odparł:

– Jasne, że mnie znasz. Wszyscy mnie znają. Przyszłaś tu dla mnie?

Rozchyliła poły płaszcza, odsłaniając swą nagość, a jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Objęła go i wciągnęła w ciemność. Wsunął ręce pod jej płaszcz, położył dłonie na jej ciele, na delikatnej gorącej skórze. Oddech kobiety także był gorący, gdy przysunęła usta do jego ucha.

– Przyszłam tu dla ciebie... – powiedziała.

– Ja nie przyszedłem tu po to – odparł zduszonym głosem, pozwolił jednak, by wciągnęła go jeszcze głębiej w mrok.

– Nie przyszłam tu też po twój autograf... – Jej dłoń zsunęła

się po jego brzuchu, odszukała go.

– Ile? – spytał cicho, drżąc z podniecenia.

– Ile? – Odsunęła się, spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

– Nic, kochanie. Dostaniesz to za darmo, a zostanie z tobą już na zawsze.

Nie spuszczała wzroku z jego twarzy, lecz jej dłonie poruszały się szybko i sprawnie. Czuł, jak rozpina mu pasek i podciąga koszulę, chłód nocy dotknął jego nagiej skóry.

Osunął się na ziemię.

Bruk pod jego ciałem był wilgotny i zimny. Roześmiał się cicho, zaskoczony i rozbawiony własną niezdarnością. Siedział oparty plecami o ceglany mur, z szeroko rozłożonymi nogami. Dlaczego upadł? Czuł się tak, jakby nogi nie należały już do jego ciała, wpatrywał się w nie i zastanawiał, dlaczego tak nagle odmówiły mu posłuszeństwa. Potem podniósł na nią wzrok: stała nad nim okragiem, a jej oczy płonęły przerażającym ogniem. Nagle zwymiotował, choć wcześniej wcale nie czuł mdłości. Jego ciało przeniknął dojmujący ziąb. Spojrzał na wymiociny, znajdujące się na jego piersi i pobliskich kamieniach. W półmroku lśniły głęboką czerwienią i czernią.

Spojrzał na nią ponownie, jakby mogła mu wytłumaczyć, dlaczego upadł. Dlaczego dokoła jest tyle krwi. Wtedy to zobaczył: niewielkie stalowe ostrze w jej dłoni okrytej rękawiczką. Poczul coś ciepłego i wilgotnego pod ubraniem. Drżącymi dłońmi sięgnął do koszuli i rozerwał ją jednym szarpnięciem. Guziki poleciały w mrok, odbiły się z cichym stukotem od bruku. Jego brzuch był rozcięty, z szerokiej rany wysuwało się coś szarego, lśniącego i wilgotnego, pokrytego smugami czerwieni. Z rozplatanego brzucha sączyła się para, która znikwała w mroku zimowej nocy. Krew wypływała z rany szerokim strumieniem, który przybierał na sile w rytm bicia jego serca. Czuł narastający chłód. I senność.

Kobieta pochyliła się nad nim i wytarła ostrze o rękaw jego drogiego płaszcza. Potem przeszukała jego kieszenie, równie sprawnie i szybko, jak zadała mu cios. Zabrała terminarz, portfel i komórkę, po czym pochyliła się nad nim, a on znów poczuł ciepło jej oddechu.

– Powiedz im, kto ci to zrobił – wyszeptwała. Nadal mówiła po angielsku. Nadal używała uwodzicielskiego tonu. – Powiedz im, że rozpruł cię Anioł... – Wyprostowała się i schowała nóż do kieszeni swojego płaszcza. – Nie zapomnij im o tym powiedzieć, zanim umrzesz...

III

Dwadzieścia cztery lata wcześniej

Berlin-Lichtenberg

Niemiecka Republika Demokratyczna

luty 1984

Rozmawiamy o dzieciach, o dzieciach, prawda?

Pytanie majora Georga Dreschera zawisło w ciężkim od dymu powietrzu. Wszyscy siedzieli w milczeniu, gdy do pokoju weszła młoda kobieta w mundurze Wachregimentu Feliks Dzierżyński, niosąc tacę z filiżankami i dzbankiem kawy.

Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego – Ministerium für Staatssicherheit, czyli MfS – Niemieckiej Republiki Demokratycznej, znane powszechnie jako Stasi, bo taką nazwą określało je społeczeństwo, któremu rzekomo służyło, zajmowało cały kwartał w dzielnicy Lichtenberg, położonej w Berlinie Wschodnim. Obszerne pomieszczenie, w którym zasiadał major Georg Drescher, znajdowało się na pierwszym piętrze budynku siedziby głównej przy Normannenstrasse. Ściany imponującej sali konferencyjnej pokryte były dębową boazerią, a na jednej z nich wisiała wielka mapa Niemiec – Wschodnich i Zachodnich. Obok mapy na podeście stała tarcza z symbolem obecnym również na pieczęci ministerstwa, wraz z hasłem głoszącym, że Stasi jest „tarczą i mieczem Partii”. Środek sali zajmował wielki dębowy stół, przypominający lotniskowiec w suchym doku. W rogu znalazło się miejsce na popiersie Lenina, a na przeciwległej ścianie wisiały portrety I sekretarza Ericha Honeckera i ministra bezpieczeństwa państwowego Ericha Mielkego, którzy spoglądali z dezaprobatą

na uczestników spotkania.

Była to sala konferencyjna ministra: pokój, w którym odbywały się narady, w którym ustalano strategię i taktykę działań. Tu właśnie najskuteczniejsza tajna policja świata knuła przeciwko zagranicznym wrogom. I przeciw własnemu narodowi.

Stasi miała też oczywiście inne pomieszczenia, zarówno w tym kompleksie, jak i w drugim, położonym kilka kilometrów na północ, w Hohenschönhausen. Pomieszczenia przeznaczone do czegoś innego niż rozmowy. Magazyny wypełnione były bielizną skradzioną z domów potencjalnych dysydentów: każdy element garderoby został zaopatrzony w przywieszkę z nazwiskiem i numerem, by w razie potrzeby specjalnie tresowane psy tropiące Stasi знаły zapach podejrzanego. W innych pokojach konstruowano urządzenia do podsłuchu i specjalną broń oraz opracowywano formuły trucizn i odtrutek, w jeszcze innych spisywano długie godziny nagranych potajemnie rozmów, wywoływano tysiące zdjęć, przeglądano kilometry zarejestrowanych ukradkiem nagrań filmowych. Całe poziomy głównej siedziby Stasi przeznaczone zostały na olbrzymie archiwa akt dotyczących obywateli NRD. Żadne państwo na świecie nie zgromadziło tylu danych o własnych mieszkańcach; informacji zbieranych przez sieć dziewięćdziesięciu jeden tysięcy agentów Stasi i trzysta tysięcy zwykłych ludzi, którzy „nieformalnie współpracowali” z ministerstwem dla dobra kraju, dla pieniędzy lub w zamian za awans. Albo po to, by sami mogli zostać na wolności. Co pięćdziesiąty obywatel Niemiec Wschodnich szpiegował swoich sąsiadów, przyjaciół i krewnych.

W budynkach Stasi były też inne pokoje. Pomieszczenia o grubych dźwiękoszczelnych ścianach, w których ból służył dobru państwa.

Ale w tej sali tylko rozmawiano.

Drescher znał człowieka, który siedział u szczytu stołu. Pułkownik Ulrich Adebach był w mundurze, podobnie jak porucznik o chłopcym wyglądzie, który siedział po jego lewej ręce i palił salema wyjętego z paczki leżącej przed nim na stole.

Adebach był krępy, pięćdziesięcikilkulatkiem o siwiejących włosach zaczesanych gładko do tyłu i koziej bródce podobnej do tej, którą nosił Walter Ulbricht. Insignia umieszczone na pagonach informowały, że mężczyzna ma rangę pułkownika. Major Georg Drescher nosił sportową marynarkę, spodnie flanelowe i golf, które nie wyglądały wcale na produkty krajowego przemysłu tekstylnego. Drescher był jednak oficerem wywiadu zagranicznego Stasi, więc utrzymywał z Zachodem bliskie kontakty, czego odmawiano niemal wszystkim jego rodakom.

Drescher nie znał porucznika siedzącego po prawej stronie Adebacha ani starszej kobiety w cywilnym ubraniu, a pułkownik wcale nie zamierzał ich przedstawiać. Major domyślał się tylko, że młody porucznik w mundurze o kołnierzu, który zwieszał się luźno wokół jego szyi, to adiutant pułkownika. Powietrze w sali było już siwe od dymu papierosowego, a Drescher zauważył, że młody porucznik zapala następnego salema, choć przed sekundą zgasił poprzedniego w popielniczkę.

Kiedy wszyscy czekali, aż młoda kobieta z Wachregimentu skończy podawać kawę i wyjdzie z pokoju, Drescher przyglądał się smętnej twarzy ministra bezpieczeństwa, Ericha Mielkego, który spoglądał nań ponuro z portretu. Jeśli I sekretarz Honecker był Tyberiuszem Niemiec Wschodnich, Mielke był ich Sejanem.

Drescher ukrył uśmiech. Poczucie humoru i wyobraźnia nie są cechami, które ceniono u oficerów Stasi. Z pewnością nie było nią także poczucie wewnętrznego buntu. Drescher starannie ukrywał wszystkie te cechy swojego charakteru, gdy przebywał w towarzystwie swoich przełożonych. Gdy przebywał w jakimkolwiek towarzystwie. Wewnętrzny bunt majora wyrażał się w dość wyjątkowy sposób: Drescher tworzył w głowie karykatury, których jednak nigdy nie przelałby na papier. Wyobrażał sobie swoich zwierzchników nago, w kompromitujących i zabawnych sytuacjach.

Kobieta z Wachregimentu skończyła podawać kawę i wyszła z sali konferencyjnej.

– Co chcecie przez to powiedzieć? Czyżbyście mieli jakieś moralne obiekcje wobec tej operacji? – spytał pułkownik Ulrich Adebach, niszcząc obraz, który powstał właśnie w głowie Dreschera. Major wyobrażał sobie, jak I sekretarz Erich Honecker bije po tyłku niskiego, grubego i ponurego Ericha Mielkego, który jest ubrany jedynie w spódniczkę baletnicy i chichocze jak podłotek.

– Nie, towarzyszu, nie moralne, lecz praktyczne. Wszystkie te dziewczyny wydają się bardzo młode i niedojrzałe, a my chcemy wysłać je w drogę, z której nie ma odwrotu... Wyznaczyć im złożone i niebezpieczne zadania, które muszą wykonać w całkowitym odcięciu od struktur dowodzenia. – Drescher uśmiechnął się gorzko. – Mam trzy siostrzenice. Wiem, jak trudno je namówić, by posprzątały pokój, nie mówiąc już o niebezpiecznych misjach.

– Kandydatki mają od trzynastu do szesnastu lat. – Adebach nie odpowiedział na uśmiech Dreschera. – A do akcji zostaną skierowane dopiero za kilka lat. Może powinienem wam przypomnieć, majorze Drescher, że gdy walczyłem z faszystami, byłem w tym samym wieku, co niektóre spośród tych dziewcząt.

Nie musisz mi o tym przypominać, pomyślał Drescher. Mówisz o tym zawsze, gdy tylko znajdziesz pretekst, żeby wtrącić to jakoś do rozmowy.

– Piętnaście – kontynuował Adebach. – Miałem piętnaście lat, gdy wraz z Armią Czerwoną walczyłem na ulicach Berlina.

Drescher skinął głową, zastanawiając się, co czuł ten człowiek, gdy zabijał swoich rodaków; stał z boku, gdy jego towarzysze broni gwałcili bezbronne Niemki. Może zresztą wcale nie stał z boku.

– Z całym szacunkiem, towarzyszu pułkowniku, ale to są młode dziewczyny – odparł Drescher. – I nie mówimy tu o walce zbrojnej, o bitewnym zamieszaniu.

– Czytaliście dokumentację?

– Oczywiście.

– Więc wiecie, że bardzo starannie wybraliśmy te dwanaście dziewcząt. Wszystkie spełniają określone kryteria. Każda z nich

odznacza się wyjątkową sprawnością fizyczną, każda jest ponadprzeciętnie inteligentna i każda, z takiego czy innego powodu, przejawia pewną dysocjację w obszarze emocji.

– Tak, widziałem te informacje w dokumentach. Ale ta dysocjacja, jak ją nazwaliście, jest wynikiem jakiejś psychologicznej traumy z dzieciństwa. Należałoby powiedzieć, że można je uznać za... niezrównoważone. To przecież dzieci z poważnymi problemami.

– Żadna z dziewcząt nie jest chora psychicznie – odpowiedziała mu starsza kobieta. Mówiła z rosyjskim akcentem, co wcale nie zdziwiło Dreschera. – Nie są też socjopatkami. Ale ze względu na swoje doświadczenia życiowe albo po prostu z natury, są mniej wrażliwe emocjonalnie niż ich rówieśnicy.

– Rozumiem. – Drescher skinął głową. – Ale to chyba nie przesądza, że nadają się do tego zadania lepiej niż ktokolwiek inny. To znaczy... jak to powiedzieć... Wiem, że żyjemy w idealnym społeczeństwie, w którym obie płcie mają równe warunki, ale bez wątplenia mężczyźni... mężczyźni są bardziej agresywni. Skłonniejsi do przemocy. Zabijanie przychodzi im łatwiej.

Adebach uśmiechnął się cierpko i wstał. Przeszedł dokoła stołu i stanął za starszą kobietą.

– Może powinienem was sobie przedstawić – powiedział do Dreschera. – To jest major doktor Iwana Lubimowa. Przysłali ją tutaj nasi sowieccy towarzysze. Powinienem wam też powiedzieć, że major Lubimowa także walczyła w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Służyła w dziewiętnastej dywizji strzeleckiej. Przeszła specjalne szkolenie w Buzułuku.

– Była snajperem? – domyślił się Drescher.

– Trzydzieści trzy potwierdzone trafienia – dodała Lubimowa beznamiętnym tonem.

– A teraz jest pani lekarzem wojskowym? – spytał Drescher, myśląc o trzydziestu trzech zabitych Niemcach.

– Psychiatrą. I nie pracuję dla wojska.

– Rozumiem – odparł major. Wiedział już, że Rosjanka nie musiała przyjeżdżać tu z daleka, lecz zaledwie z Karlshorstu,

w dzielnicy Lichtenberg. Z siedziby KGB.

– Specjalizuję się w psychologii walki – kontynuowała Lubimowa. – To, co powiedzieliście, jest właściwie prawdą: kobiety są znacznie mniej skłonne do zabijania pod wpływem emocji niż mężczyźni. Ogromną większość morderstw na świecie popełniają mężczyźni, a przyczyną jest zwykle gniew, zazdrość albo alkohol. Albo połączenie tych elementów. Prawdą jest też, że mężczyźni zachowują się agresywniej na linii frontu, szczególnie podczas walki wręcz. Jeśli jednak chodzi o zabijanie z zimną krwią, zabójstwa zaplanowane, dokonane z premedytacją, sytuacja wygląda całkiem inaczej. Kobiety często mordują z wyrachowaniem, kierowane motywami innymi niż gniew; motywami, które mogą być całkiem abstrakcyjne. Dlatego właśnie tyle moich towarzyszek było świetnymi snajperami. I dlatego te dziewczyny doskonale nadają się do tego, co zaplanowaliśmy.

– Nie jestem pewien. – Drescher pokręcił głową. – Zabijanie to tylko jeden z problemów. Te dziewczyny... kobiety... będą musiały działać w całkowitej izolacji od swoich zwierzchników.

– I tutaj właśnie zaczyna się wasza rola, majorze Drescher. Macie ogromne doświadczenie w Sekcji A – mówił Adebach, odnosząc się do jednostki „edukacyjnej” wywiadu Stasi, odpowiedzialnej za szkolenie wschodnioniemieckich szpiegów. – Będziecie kierować zespołem instruktorów, którzy wyszkolą te dziewczęta w szerokim zakresie różnych umiejętności. Umiejętności, których będą potrzebowały, by przeniknąć do różnych warstw społeczeństwa na Zachodzie i pozostać w głębokim ukryciu. – Pułkownik ponownie zasiadł na swoim miejscu.

Drescher pociągnął łyk kawy i uśmiechnął się: Rondo Melange. Major lubił dobrą kawę. Próbował już najlepszych gatunków – w miejscach takich jak Kopenhaga, Wiedeń, Paryż czy Londyn – ale jego zdaniem nic nie równało się z Rondo. Był to jeden z niewielu trafnych wyborów dokonanych przez monolit produkcyjny NRD.

– Co macie na myśli? – spytał.

Adebach skinął głową na swojego adiutanta, który podał

Drescherowi plik dokumentów.

– Znacie japońskie określenie *kunoichi*? *Kunoichi* to kobiety odpowiednik wojowników ninja. Zarówno *kunoichi*, jak i ninja przechodzili szkolenie, które miało z nich uczynić doskonałych zabójców, ale ze względu na płeć różnicowano ich metody działania. *Kunoichi* były mistrzyniami walki wręcz, uczono je jednak również sztuki uwodzenia. Znały świetnie anatomię ludzkiego ciała, wiedziały, jak pobudzić je seksualnie i gdzie znajdują się jego słabe punkty oraz jak zabić szybko i przy minimalnym użyciu siły, zostawiając przy tym jak najmniej śladów przemocy albo nie zostawiając ich wcale. Były również mistrzyniami kamuflażu, przebierały się za służące, prostytutki, wieśniaczki, wiedziały, jak umiejętnie ukryć broń i jak wykorzystać do walki przedmioty domowego użytku. Ponadto *kunoichi* doskonale znały się na truciznach, uczyły się botaniki i potrafiły przygotować śmiertelną miksturę z roślin, które miały pod ręką. Naszym celem, majorze Drescher, jest przygotowanie własnego oddziału *kunoichi* i wprowadzenie go głęboko w tkankę zachodniego kapitalizmu. Te agentki opanują wszystkie umiejętności, jakimi dysponowały *kunoichi*... ale będą też doskonale posługiwać się wszelkimi rodzajami współczesnej broni.

– Dlaczego? – spytał Drescher. – Dlaczego właśnie tego rodzaju operacja? Dlaczego teraz? I dlaczego ma prowadzić ją Stasi?

– Mam nadzieję, że towarzyszka major nie będzie miała mi za złe, że to powiem... – Adebach skinął głową w stronę Lubimowej – ...ale zdecydowanie najlepiej radzimy sobie z infiltracją zachodnich służb bezpieczeństwa i organów państwowych. Oczywiście mamy pewien atut, którego brak naszym sojusznikom z Układu: mówimy tym samym językiem co nasz główny przeciwnik. – Adebach zapalił papierosa Sprachlos i zaciągnął się powoli dymem.

– A jeśli chodzi o to, dlaczego uruchamiamy ten projekt teraz... – Major Lubimowa podjęła wątek poruszony przez Adebacha. – Potrzebujemy nowej strategii w walce z Zachodem. Musimy użyć skalpela zamiast ciężkich i tępych

narzędzi. Jak wiecie, niedawno musieliśmy ogłosić największą mobilizację w naszej historii. Pod koniec zeszłego roku Zachód niemal doprowadził do wybuchu prawdziwej wojny atomowej. Przypuszczamy, że NATO nie zdawało sobie sprawy, jak blisko byliśmy przypuszczenia ataku wyprzedzającego. Później okazało się, że operacja Able Archer 83 to zwykłe ćwiczenia, co nie zmienia faktu, że Zachód użył wówczas największych sił i środków od czasu zakończenia drugiej wojny światowej. Kapitałiści byli na tyle głupi, że odwzorowali prawdziwy atak w każdym szczególe, łącznie z szyfrowanymi wiadomościami, które przesyłali między centrami dowodzenia. Wiadomościami, które przejmowaliśmy. Co więcej, ustaliliśmy, że brytyjska premier Margaret Thatcher wyjątkowo często kontaktowała się prezydentem Reaganem, czasami nawet kilka razy dziennie. Nie wiedzieliśmy wtedy, że miało to związek z amerykańską inwazją na Grenadę, a nie z przygotowaniami do wojny jądrowej. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że to zwykła sprzeczka dwóch imperialistów o prawa kolonialne do skrawka ziemi.

– Mogę was zapewnić, majorze Drescher – dodał Adebach – że zwykli ludzie tu czy na Zachodzie nigdy nie dowiedzą się, jak niewiele brakowało, by doszło do katastrofy. Wojnie atomowej na dużą skalę zapobiegły jedynie informacje zebrane i przeanalizowane przez tajne służby wywiadowcze, po obu stronach, trzeba przyznać. Nasi agenci w ostatniej chwili nie dopuścili do tego, by zimna wojna zamieniła się w gorącą. Musimy opracować nowe sposoby walki, by zadawać nieprzyjacielowi dotkliwe ciosy, które nie będą jednocześnie prowadzić do eskalacji przemocy. Wasz wydział ma na koncie naprawdę duże osiągnięcia, dzięki waszym agentom udało się przeniknąć do zachodnich struktur i zebrać ważne informacje. Nasze doświadczenia z zeszłego roku dowodzą, jak niepraktyczne jest stosowanie broni konwencjonalnej w tym konflikcie. Jeśli musimy stanąć do walki z naszym wrogiem, powinniśmy to robić na „niewidzialnym froncie”. Przygotowujemy kilka operacji wykorzystujących działania wywiadowcze, sabotażowe i wywrotowe na niespotykaną dotąd

skalę. To właśnie jedna z tych operacji. Te młode kobiety staną się naszą bronią, przeniesioną daleko w głąb terytorium wroga. Będą mieszkać na Zachodzie i być może nigdy nie wkroczą do akcji, a być może będą działać nieustannie, w zależności od aktualnej sytuacji politycznej. Chodzi przede wszystkim o to, że w razie potrzeby mogą znacznie ograniczyć możliwości wroga albo pokrzyżować mu plany.

– Za pomocą zabójstwa? – Drescher dolał sobie kawy do filiżanki. – Muszę powiedzieć, towarzyszu pułkowniku, że mam już wystarczające środki i personel, by eliminować pojedyncze cele na terytorium wroga.

– Nie mówimy tutaj o skandynawskim dziennikarzu albo podstarzałej gwiazdzie futbolu – powiedział Adebach, zerkając z ukosa na portret Mielkego. – Chodzi o zabijanie najważniejszych postaci, nawet przywódców państw Zachodu. I to w sposób, który odsunie od nas wszelkie podejrzenia. Chcemy na przykład, by jedna z Walkirii przeniknęła do pewnej grupy terrorystycznej, którą finansujemy na Zachodzie.

– Walkirie? – Drescher z trudem ukrył uśmiech. Wiedział o zamiłowaniu Adebacha do Wagnera. – Więc tak je właśnie będziemy nazywali? Czy to nie odrobinę zbyt... wagnerowskie? Brzmi trochę jak nazwa jakiegoś żeńskiego pododdziału Hitlerjugend.

– Taki właśnie otrzymały kryptonim – odparł Adebach stanowczym tonem. – Waszym zadaniem, majorze Drescher, jest dowodzenie zespołem instruktorów, którzy będą szkolili te młode kobiety. Dwanaście dziewcząt, z których tylko trzy zostaną ostatecznie wysłane do akcji. Ale ta trójka... Ujmę to w ten sposób: nigdy jeszcze nie było równie doskonałych zabójców, prawdziwych maszyn do zabijania. Nim zamienią się w te maszyny, wy, towarzyszu majorze, będziecie ich ojcem, matką, spowiednikiem, nauczycielem i strażnikiem. Wszystko jest opisane w tych dokumentach... – Adebach wskazał głową na plik w rękach Dreschera. – Zabierzcie to ze sobą, ale nie róbcie kopii. Status każdej z tych dziewczyn to nieoficjalny współpracownik, jak wielu pańskich agentów, którzy działają na własną rękę. Pod koniec tygodnia chcę dostać te papiery

z powrotem. Wszystkie dokumenty dotyczące pańskich podopiecznych zostaną zniszczone po ukończeniu szkolenia. Nie mogą zachować się żadne akta opisujące przygotowanie i pracę tych agentek.

Drescher wstał z krzesła.

– Oczywiście, ale nie uważam, by było to konieczne... Nikt z zewnątrz nie będzie miał nigdy dostępu do dokumentów Stasi.

IV U wybrzeży Jutlandii *Dania* sierpień 2002

Goran Vujačić patrzył, jak blondynka przeciąga się leniwie na leżaku ustawionym na rufie jachtu. Miała długie i szczupłe nogi, lecz jej biodra nie były tak wąskie i chłopiące jak biodra drugiej dziewczyny. Vujačić lubił, gdy jego kobiety wyglądały jak kobiety. Popijał piwo, sycąc się jego chłodem w gorący dzień. A było naprawdę gorąco. Vujačić nie spodziewał się, że może tu być aż tak ciepło. Nie przepadał za klimatem północnej Europy; znacznie lepiej czuł się w wilgotnym śródziemnomorskim upale Adriatyku lub w palącym słońcu bałkańskiego lata. Ale dziś pogoda była naprawdę dobra, dzięki czemu mógł podziwiać dziewczyny skaczące z rufy jachtu do Morza Północnego. Wiedział już, że zdecyduje się na blondynkę. To miała być część transakcji, znak dobrej woli: że wolno mu będzie przelecieć blondynkę. W końcu do tego właśnie służyły kobiety. Aha, i zdobyły jeszcze pokład.

– Ta twoja łódeczka musiała cię sporo kosztować – powiedział do Knudsen, przesuwał dłoń po czerwonej skórze i lakierowanym drewnie tekowym, z których wykonano sofę wbudowaną w pokład. Vujačić, bośniacki Serb, rozmawiał z Knudsenem, Duńczykiem, po angielsku: w międzynarodowym języku biznesu. I zorganizowanej

przestępczości.

– Jest warta jakieś pięć milionów dolarów. Ale kupiłem ją po kosztach – odparł Knudsen cierpko. – Doszedłem do porozumienia z właścicielem. Na pewno nie chcesz szampana?

– Na razie wystarczy mi piwo – stwierdził Vujačić, ponownie spoglądając przez ramię na dziewczyny. – Ale może potem...

– Tak. – Knudsen skinął głową. – Potem będziesz mógł trochę poszaleć, co Goran? Kiedy wszystko już załatwimy.

Vujačić uśmiechnął się pod nosem. Czuł się rozluźniony, choć nie na tyle, by nie zabrać ze sobą Zlatka. Zlatko stał w milczeniu za nim, w palącym słońcu i mokrej od potu hawajskiej koszuli. Vujačić z rozbawieniem myślał o tym, że Chorwat pilnuje jego bezpieczeństwa. Czasy się zmieniają...

Knudsen, wysoki Duńczyk o wyglądzie twardziela, siedział z Vujačićem w zacienionej alkwie na rufie jachtu. Umundurowani członkowie załogi stali w cieniu markizy, wystarczająco daleko, by nie słyszeć ich rozmowy. Czekali na sygnał do podania lunchu. Vujačić wciągnął głęboko powietrze, jakby wdychał zapach bogactwa unoszący się nad pokładem.

– Wiesz, Peter, to jest początek pięknej przyjaźni – rzekł. – A wiesz dlaczego? Bo uzupełniamy się nawzajem. Podaż i popyt. Mogę dostarczyć to, czego potrzebujesz. W naszym małym przedsięwzięciu stworzymy główny szlak handlowy, którym będą przepływać narkotyki do Skandynawii i Niemiec. Ty i ja, mój przyjacielu, będziemy bardzo, bardzo bogaci. A na pewno bogatsi. Może kupię sobie taki jacht, jeśli znajdziesz mi podobny po kosztach. – Vujačić uśmiechnął się do blondynki. – Dokupiłbym też może część wyposażenia...

– Powiedz mi, Goran, jesteś pewien, że po twojej stronie wszystko jest już dopięte? – spytał Knudsen. – Wiesz, chodzi mi o dystrybucję. Słyszałem, że miałeś jakieś kłopoty z konkurencją.

– To już przeszłość. Poradziłem sobie z wszystkimi problemami jeszcze przed naszym pierwszym spotkaniem. Mówiłem ci wtedy, że mam pełną kontrolę nad siecią dystrybucji. I nadal ją mam. Musiałem tylko dopilnować, żeby kilku ludzi odeszło z tego interesu. Na zawsze. Niestety,

musiałem być dyskretniejszy niż zazwyczaj, więc kosztowało mnie to trochę więcej, niż przypuszczałem.

– Wynająłeś kogoś z zewnątrz? – spytał Knudsen.

Vujačić milczał przez chwilę. Popijał piwo i spoglądał na wysokiego Duńczyka, jakby się zastanawiał, na ile może mu ufać. Vujačić wiedział, że Knudsen jest bogaty. Ustosunkowany. Wszystkie informacje na jego temat okazały się prawdziwe. Ale Vujačić walczył na wojnie. Doświadczenie nauczyło go, że należy dzielić mężczyzn na dwie grupy: tych, którzy zawsze gotowi są do walki, i pozostałych. Tak jak kobiety należy dzielić na te, które byś przeleciał, i stare. Knudsen go intrygował: dobiegał pięćdziesiątki, może nawet już ją przekroczył, lecz wciąż zachował młodzieńczą sylwetkę, wygodne życie nie złagodziło jego rysów. Choć może zawdzięczał to jedynie regularnym wizytom w ekskluzywnej siłowni...

– Widzisz, mam partnera... innego partnera – powiedział w końcu Vujačić, pochylając się do przodu i zniżając głos do szeptu. Najwyraźniej te słowa nie były przeznaczone nawet dla uszu Zlatka.

– Tak, twój drugi partner... – Knudsen zmarszczył brwi. – Nie podoba mi się to, Goranie. Wolałbym wiedzieć, kto jeszcze bierze w tym udział.

– Ale ciebie to nie dotyczy, mój przyjacielu. Moje interesy z tamtym człowiekiem nie mają nic wspólnego z tym, co robimy tutaj. Ty nie wiesz nic o nim, a on nie wie nic o tobie. To zupełnie różne sprawy. Tobie dostarczam środki farmaceutyczne, a jemu pomagam w rekrutacji personelu. – Serb roześmiał się, rozbawiony własnym dowcipem. – Poza tym my współpracujemy mniej więcej na równych zasadach. I choć nasze przedsięwzięcie wcale nie jest małe, on uznałby taki zarobek za marne grosze. Mówimy tu o grubych rybach. Naprawdę grubych rybach. Ci ludzie prowadzą znacznie poważniejsze interesy niż ty i ja, Peter. Za pieniądze, o których możemy tylko pomarzyć.

– A co to za interesy?

– Nie narkotyki, jeśli o to ci chodzi. Jak już mówiłem,

dostarczam im... – Vujačić przesunął dłonią po krótko przystrzyżonych włosach, szukając właściwego słowa – ...pracowników. I nawet gdybym wiedział coś więcej na ten temat, a nie wiem, nie mógłbym ci tego powiedzieć. Tak czy inaczej, musiałem poradzić sobie z konkurencją. Mój drugi partner zna pewnego specjalistę. Podobno najlepszego w branży.

– Płatnego zabójcę?

– Tak. Albo płatną zabójczynię. – Vujačić pochylił się jeszcze bliżej. – Walkiria. Ale jaka kobieta umiałaby robić takie rzeczy, prawda Peter? Ta Walkiria mieszka w Niemczech, w Hamburgu, o ile mi wiadomo. Mówią, że to najlepszy płatny zabójca na świecie.

– Jest lepsza niż Meksykanin? – spytał Knudsen.

– Carlos Ramos? Słyszałem niedawno, że się wycofał. Ale to prawda. Co najmniej równie dobra, może lepsza. Właściwie sam mogłem to załatwić. W latach dziewięćdziesiątych załatwiłem u siebie więcej takich spraw... – Vujačić zerknął przez ramię na Zlatka, jakby chciał się upewnić, że Chorwat go nie słyszy, po czym odwrócił się ponownie do Duńczyka. – Ale to zadanie wymagało więcej finezji, jeśli wiesz, co mam na myśli. Więc ta Walkiria zrobiła wszystko, jak należy. Większość zgonów wyglądała na wypadki albo samobójstwo. Gliniarze zajęli się tylko dwiema sprawami. Naprawdę dobra robota. Czyściutka. Krótko mówiąc, nie musisz martwić się o dystrybucję.

– W porządku. – Knudsen skinął głową. – Skoro tak mówisz, Goranie. Jesteś gotowy?

– Jestem. – Vujačić odwrócił się i skinął głową na Zlatka. Potężny Chorwat położył na stole niewielką teczkę, z której Vujačić wyjął cienkiego czarnego laptopa. Serb wystukał odpowiedni kod, a na ekranie pojawiła się zabezpieczona strona banku. – Bluetooth to cudowny wynalazek, prawda? – Uśmiechnął się szeroko.

Knudsen skinął ręką na blondynkę. Dziewczyna okryła się szlafrokiem, podeszła do mężczyzny i podała Knudsenowi telefon komórkowy. Knudsen odbył dwie krótkie rozmowy.

– Mój kontakt zajął się transportem towaru – powiedział Duńczyk, oddając telefon dziewczynie.

Vujačić zamknął laptopa.

– A przelew został potwierdzony. – Serb uśmiechnął się ponownie do dziewczyny, przesuając wzrokiem po jej ponętnych kształtach ukrytych pod półprzezroczystym materiałem. – Może teraz powinniśmy to jakoś uczcić. Zabawimy się trochę, co? Chciałabyś się zabawić, kochanie?

– Spytaj szefa – odparła. – To jego jacht.

– Wszystko tutaj należy do ciebie? – spytał Vujačić.

Duńczyk wstał i skinął ręką na służbę pokładową.

– Możecie już podawać.

Vujačić nie zdążył zareagować.

Nagle w ciszę wdarły się dziesiątki głosów, krzyki przeplatały się ze sobą, kazały mu siedzieć nieruchomo. Służba pokładowa błyskawicznie wyjęła broń ukrytą pod tacami na wózku z lunchem. W tym samym momencie otworzyły się drzwi prowadzące pod pokład, zza których wypadły uzbrojone postacie w czarnych kombinezonach i kamizelkach kuloodpornych. Vujačić słyszał, jak ktoś przewraca i obezwładnia Zlatka. Nie mógł nic zrobić. Instynkt kazał mu sięgnąć po berettę ukrytą za paskiem, pod luźną koszulą, Serb powstrzymał się jednak w porę, wiedząc, że ten ruch może kosztować go życie.

– Grzeczny chłopiec... – wyszeptała mu do ucha blondynka, wbijając jednocześnie lufę służbowego pistoletu w miękką, nieogoloną skórę pod jego żuchwą. – Chciałeś mnie zerżnąć, co, Goran? Mam dla ciebie wiadomość, gnoju: to my zerżniemy ciebie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

Mury Hamburga były wyjątkowe. Najgłębszą tkanekę miasta stanowiły imponujące, stworzone z wielką precyzją budynki z czerwonej cegły. Mówiono nawet, że rzemieślnicy, którzy wznosili takie budowle, nie tyle budowali z cegły, ile z niej tkali.

Martina Schilmann powiodła spojrzeniem po wąskiej ceglanej fasadzie Davidwache, najsłynniejszego komisariatu w Niemczech. Davidwache stał w samym sercu dzielnicy czerwonych latarni St. Pauli w Hamburgu i był nie tylko normalnie funkcjonującym komisariatem, ale i zabytkiem chronionym przez państwo. Martina spędziła tu sześć spośród piętnastu lat służby w hamburskiej policji. Potem zmieniła pracę. Podniosła swój status, a w końcu wyprowadziła się z miasta.

Stojąc teraz w wilgotnym chłodzie nocy i czekając, aż pewien brytyjski celebryta zaspokoi swą chorą ciekawość i obejrzy Reeperbahn, zastanawiała się, dlaczego właściwie to zrobiła. Martina była niegdyś wschodzącą gwiazdą policji Hamburga, ale chciała czegoś więcej. Założyła własną firmę, przekonana, że w ten właśnie sposób osiągnie wyznaczone cele. I teraz, w wieku czterdziestu lat, miała to wszystko: pieniądze, prestiż, sukces. Lecz spoglądając na ceglany fronton Davidwache, mimowolnie wracała myślami do lat spędzonych w tym budynku. Wspaniałe czasy. Świetny zespół.

Martina wepchnęła do ucha słuchawkę ukrytego radiotelefonu TETRA i nacisnęła guzik PTT na mikrofonie wpiętym w klapę.

– Gdzie on jest, do diabła?

– Nie wiem, szefowo, stoję przy Gerhardtstrasse – odparł Lorenz, podwładny Martiny. Mówił z charakterystycznym

saksońskim akcentem, który Martina rozpoznałaby nawet na końcu świata. – Poszedł na Herbertstrasse i jeszcze nie wrócił.

– Dlaczego nie poszedłeś z nim, na miłość boską? Mówiłam ci, żebyś nie odstępował go ani na krok. – Martina nie potrafiła ukryć frustracji. Przeszła szybko przez Davidstrasse i dotarła do wejścia na Herbertstrasse. Dalej nie mogła iść: metalowa przegroda nie tylko zasłaniała widok na osiemdziesięciometrową ulicę, ale stanowiła też zaporę, przez którą mogli przejść jedynie mężczyźni powyżej osiemnastu lat. Nie miały tu prawa wstępu żadne kobiety prócz prostytutek, które pracowały przy Herbertstrasse; siedziały w witrynach za taflami szkła umocowanymi na zawiasach, niczym poście mięsa na wystawie sklepu mięsnego. Choć władze Hamburga zapłaciły za przegrody ustawione po obu stronach ulicy, zakaz wstępu dla kobiet został narzucony nie przez miasto, lecz przez same prostytutki. Każda kobieta, która ośmieliła się naruszyć ten zakaz, była oblewana wodą, piwem, a nawet moczem.

– Kazał mi tu poczekać – tłumaczył się Lorenz płaczliwym tonem. – Mówił, że sam chce się rozejrzeć. Wiesz, jakie są te cholerne gwiazdki. Wydaje im się, że to wszystko to tylko zabawa.

– Cholera. – Martina spojrzała na zegarek. Brytyjczyk był na Herbertstrasse od dwudziestu minut. To oznaczało, że skorzystał zapewne z usług jakiejś prostytutki. – Lorenz, wejdź tam i poszukaj go.

– Ale jeśli on...

– Zrób to.

Właśnie wtedy Martina usłyszała krzyk kobiety. Gdzieś w oddali, na Herbertstrasse.

2

Jan Fabel siedział na skraju obitego skórą krzesła, mocno pochylony do przodu. Wciąż miał na sobie płaszcz, w dłoni trzymał rękawiczki. Jego postawa świadczyła jednoznacznie o tym, że chciałby jak najszybciej wyjść, choć dopiero co przyszedł.

Kiedys, dawno temu, ten dom w dzielnicy Borgfelde należał do niego. Fabel znał tu każde pomieszczenie, każdą klepkę w podłodze, każdy zakamarek. To było centrum jego życia. Jego dom. Oczywiście od tamtej pory wszystko się zmieniło: meble, wystrój, telewizor w rogu.

– Musisz z nią porozmawiać.

Renate siedziała naprzeciwko Fabla, z nogą założoną na nogę i z rękami skrzyżowanymi na piersiach, w takiej samej obronnej pozycji, jaką zachował w pamięci. Jej kasztanowe włosy miały nieco inny odcień niż wtedy, gdy ją poznał i kiedy się pobierali, przypuszczał więc, że teraz je farbuje. Nadal była atrakcyjną kobietą, choć zmarszczki wokół jej ust pogłębiły się nieco, nadając jej twarzy wyraz chytrej chciwości. Fabel pomyślał, że nie powinna się wcale temu dziwić.

– Porozmawiam z nią – odparł. – Ale nie mogę niczego obiecać. Gabi jest inteligentną dziewczyną. Niezależną. Potrafi sama podejmować decyzje dotyczące własnej przyszłości.

– Chcesz powiedzieć, że to pochwalasz? Że ją popierasz?

– Poprę Gabi we wszystkim, co postanowi. Choć osobiście uważam, że powinna to jeszcze dobrze przemyśleć. Jeśli okaże się, że naprawdę tego chce, to cóż... – Fabel wzruszył ramionami z rezygnacją. – Ale nie gorączkujmy się. Ma jeszcze dużo czasu na zastanowienie. Poza tym wiesz, jaka ona jest: jeśli uzna, że na nią naciskamy, tym bardziej zechce postawić na swoim.

– To twoja wina – stwierdziła Renate. – Gdybyś nie był policjantem, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby wybrać taką pracę. Uwielbia cię. Łatwo grać bohatera, kiedy jest się rodzicem tylko na część etatu.

– A kto do tego doprowadził? – Fabel starał się zapanować nad narastającym gniewem. – Bo na pewno nie ja. Zostałem wypchnięty z jej życia. I o ile mnie pamięć nie myli, to właśnie ty mnie z niego wypchnęłaś.

– A ja zostałam wypchnięta z twojego życia przez tę twoją cholerną robotę.

– I trafiłaś prosto do łóżka Ludigera Behrena, jeśli dobrze pamiętam – odgryzł się Fabel i natychmiast tego pożałował.

Renate była kobietą małostkową: dopiero w ostatnich latach ich małżeństwa uświadomił sobie, jak bardzo. Zawsze też potrafiła sprowadzić go do swojego poziomu. – Posłuchaj, ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Uważam, że za bardzo się tym przejmujesz. Gabi dopiero niedawno zaczęła o tym mówić. Poczekajmy, aż zda maturę, potem zobaczymy, jak rozwine się sytuacja. Jak już mówiłem, minie jeszcze sporo czasu, zanim będzie musiała podjąć decyzję w tej kwestii. Porozmawiam z nią i dopilnuję, żeby dobrze wiedziała, w co się pakuje. Ale muszę cię uprzedzić, że jeśli naprawdę będzie chciała zostać policjantką, pomogę jej w tym.

Ponura twarz Renate jeszcze bardziej sposepniała.

– Ona nie wie, co robi – stwierdziła. – To nie jest praca dla kobiety.

Fabel aż otworzył usta ze zdumienia.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś. Kto jak kto, ale ty, Renate... Pomyśleć, że przez wszystkie te lata, kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy nie uważałem cię za zwolenniczkę tradycyjnej roli kobiety, wiesz, „dzieci, kuchnia, kościół”. Biorąc pod uwagę historię twojego ojca...

Fabel wiedział, że zaraz spłonie w ogniu, który zapalił się w zielonych oczach Renate. Odetchnął z ulgą, gdy jego telefon zadzwonił, zanim była żona zdążyła go zaatakować.

– Cześć, szefie, mówi Anna. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych słuchałeś brytyjskiego popu, prawda?

– Uznam to za pytanie retoryczne – odparł Fabel ostrzegawczym tonem. – Co się dzieje?

– Chodzi o Jake’a Westlanda, wiesz, wokalistę z tego znanego zespołu z lat siedemdziesiątych. Więc Jake jeździ teraz z koncertami po Niemczech, a jutro ma udzielić wywiadu w radiu NDR.

Fabel westchnął ciężko.

– Anno... do rzeczy.

– No więc jednak nie przyjdzie na ten wywiad. Już się wywnętrzył. W Reeperbahn. Aha, i powiedział, że wypatroszyła go kobieta i że kazała mu powiedzieć, kim jest. Kazała mu powiedzieć, że zrobił to Anioł.

– Cholera... – mruknął Fabel i podniósł wzrok na swoją byłą żonę. Ogień w jej oczach zgasał, a twarz przybrała wyraz wrogiej rezygnacji, który pojawiał się tam zawsze, gdy wzywano go z pracy. – Zaraz tam będę.

Westlanda przewieźli przez miasto, na oddział pomocy doraźnej w St. Georg. Fabel nie zamierzał tam jechać, nie sądził bowiem, by Westland był teraz w stanie odpowiadać na jego pytania. Pojechał więc Ost-West Strasse do Reeperbahn, zwanej Grzeszną Miłą Hamburga. Tam, gdzie niegdyś powroźnicy pletli liny okrętowe do żaglowców – to właśnie od nich wzięła nazwę główna ulica tej części miasta – nocą lśniły teraz neony klubów ze striptizem, sex-shopów, barów i teatrów. Nim Fabel dotarł do Davidwache, był już w kiepskim nastroju. Spotkanie z Renate ułożyło się fatalnie, tak jak się spodziewał, a do tego zgubił odtwarzacz MP3; gdy czuł się zestresowany, podłączał go do systemu stereo w swoim bmw. Zero muzyki, więcej stresu.

Przed Davidwache zebrała się już spora grupa dziennikarzy, których powstrzymywało trzech umundurowanych policjantów. Spore zamieszanie panowało również obok komisariatu przy Davidstrasse, gdzie młodzi policjanci z oddziału prewencji starali się zagnać do furgonetek policyjnych protestujące głośno kobiety. Niektórzy dziennikarze przenieśli się na tę właśnie ulicę, by sfotografować ten niecodzienny spektakl, większość została jednak przed posterunkiem. Gdy przed drzwiami Davidwache pojawił się Fabel, przywitała go prawdziwa kanonada fleszy. Na samym przodzie tłumu znalazła się ekipa wiadomości telewizyjnych. Fabel rozpoznał dziennikarkę przewodzącą ekipie, Sylwię Achtenhagen, która pracowała dla jednego z kanałów satelitarnych. Cudownie, pomyślał. Nie dość, że interesują się tym wszystkie media, to będą jeszcze miał na głowie tę sukę.

– Panie główny nadkomisarzu – zaczęła Achtenhagen, z naciskiem wymawiając przed kamerą jego stopień. – Czy

może pan potwierdzić, że ofiarą tego ataku był Jake Westland, brytyjski piosenkarz?

Fabel zignorował ją i przeszedł dalej.

– Czy to prawda, że sprawcą jest tak zwany Anioł z St. Pauli? Seryjny zabójca, którego policja hamburska nie zdołała ująć w latach dziewięćdziesiątych? – Kiedy Fabel nadal nie odpowiadał, zmieniła nieco temat: – Czy powinniśmy zakładać, że pański udział w tej sprawie, jako szefa tak zwanego superwydziału zabójstw, ma tutaj szczególne znaczenie? Czy pana zadaniem jest uporządkowanie tego bałaganu, który policja Hamburga pozostawiła po poprzednim śledztwie?

Fabel stłumił irytację, przybrał maskę obojętności i odwrócił się do dziennikarki.

– Rzecznik prasowy policji wygłosi pełne oświadczenie w odpowiednim czasie. Powinna pani już znać tę procedurę, pani Achtenhagen.

Odwrócił się do niej plecami, przeszedł przez podwójne drzwi i wspiał się na schody komisariatu Davidwache. W niewielkiej recepcji kłębił się tłum policjantów. Słyszał jakieś krzyki dochodzące z tylnej części budynku, gdzie znajdował się areszt. Po chwili przywitał go krótko ostrzyżony, muskularny pięćdziesięciokilkulatek i ładna ciemnowłosa kobieta w dżinsach i nieco za dużej kurtce motocyklowej. Fabel uśmiechnął się ponuro do starszego komisarza Wenera Meyera i komisarz Anny Wolff.

– Skąd, na miłość Boską, Achtenhagen dowiedziała się o Aniele? – spytał.

– Pieniądze czynią cuda – mruknęła Anna Wolff. – Ta suka nie ma żadnych skrupułów, mogła przekupić załogę ambulansu albo kogoś w szpitalu, byle tylko upolować jakąś sensację.

– Pewnie masz rację. Tylko jej nam brakowało. Praktycznie zbudowała swoją karierę właśnie na sprawie Anioła. – Fabel skinął głową w stronę Davidstrasse, gdzie wcześniej dostrzegł kobiety wpychane siłą do policyjnych aut.

– Fatalny zbieg okoliczności. – Werner westchnął. – Jakaś grupa feministek właśnie dziś postanowiła urządzać manifestację. Weszły siłą na Herbertstrasse. Nie podoba im się,

że zwykła ulica w Hamburgu jest zamknięta dla kobiet. Twierdzą, że to niezgodne z prawami człowieka czy coś takiego.

– Prawdę mówiąc, mają trochę racji – odparł Fabel. – No dobrze... co wiemy?

– Ofiarą jest Jake Westland, obywatel Wielkiej Brytanii, pięćdziesiąt trzy lata – odczytał Werner ze swojego notesu. – I owszem, to jest właśnie ten Jake Westland. Z naszych informacji wynika, że wybrał się na małą przechadzkę po Reeperbahn, ale raczej nie po to, żeby zwiedzać miejsca związane z Beatlesami, jeśli wiesz, co mam na myśli. To ciekawe... Pomyślałbym, że interesują go raczej gejowskie lokale, no wiesz, w końcu to Angol.

Fabel zareagował na ten żart jedynie grymasem zniecierpliwienia.

– Nie wiem, dlaczego oni to robią – kontynuował Werner. – To znaczy, wszyscy ci celebryci. Tak czy inaczej, Westland celowo wymknął się spod opieki swoich ochroniarzy i zniknął na Herbertstrasse. Chwilę później dziewczyna, która szła właśnie do Kiez, znalazła go z wnętrznościami na wierzchu. Powiedział jej, że zaatakowała go kobieta, która nazywała siebie Aniołem, a potem stracił przytomność.

– W jakim jest stanie?

– Jeszcze żył, kiedy zabierała go karetka. Wygląda na to, że dziewczyna, która go znalazła, ma jakieś pojęcie o pierwszej pomocy. Ale przypuszczam, że jego producenci planują już wydanie pośmiertnej płyty z największymi przebojami.

– Mamy dziewczynę, która go znalazła – dodała Anna Wolff. Wymieniła porozumiewawcze spojrzenie z Wernerem, a jej czerwone, pokryte szminką usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – I ochroniarzy. Pomyślałam, że zechcesz przesłuchać ich osobiście.

– Rozumiem. – Fabel ciężko westchnął. – O co chodzi, Anno?

– Westlandem opiekowała się firma Schilmann Security Ochrona Osobista.

– Martiny Schilmann?

– Kiedyś byliście ze sobą dość blisko, prawda?

– Martina Schilmann była świetną policjantką – odparł

Fabel.

– Co znaczy, że była lepszą policjantką niż ochroniarzem – mruknął Werner.

W tym momencie dołączył do nich umundurowany komisarz policji. Był niższy od Fabla i miał gęste, ciemne rozwichrzone włosy.

– Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć... – przemówił surowym tonem, ściskając dłoń Fabla – ...czy ktoś zdobył jego autograf.

– Cześć, Carstens – odparł Fabel z uśmiechem. – Ciągłe trzymają się ciebie niesmaczne żarty?

– Miałbyś to samo, gdybyś tu dłużej pobyl.

Carstens Kaminski dowodził zespołem policyjnym komisariatu Davidwache. Komisariat numer 15, bo tak się oficjalnie nazywał, odpowiadał za utrzymanie porządku w Kiez, hamburskiej dzielnicy czerwonych latarni, liczącej 0,7 kilometra kwadratowego powierzchni i skupionej wokół Reeperbahn. Co weekend dziesięciotysięczna populacja dzielnicy wzrastała o ponad dwieście tysięcy gości, którzy przewijali się nieustannie przez Kiez. Niektórzy z nich byli pijani, niektórzy opuszczali to miejsce lżejsi o portfele i kosztowności. A dla niektórych ta wyprawa w świat rozpusty kończyła się prawdziwą katastrofą.

Policjanci mundurowi, którzy pracowali w Davidwache, musieli być obdarzeni szczególną umiejętnością. Musieli umieć rozmawiać. Kiez zamieszkiwali alfonsi, prostytutki, drobni przestępcy i nie tacy znów drobni przestępcy, a odwiedzali to miejsce młodzi mężczyźni z przedmieść, którzy często pili za dużo i za szybko. Większość sytuacji, z którymi musieli sobie radzić policjanci z Davidwache, wymagała zrozumienia i poczucia humoru – dzięki takiemu właśnie podejściu policji niejeden hulaka wracał spokojnie do domu, zamiast spędzić noc w celi. Carstens Kaminski urodził się i wychował w St. Pauli i nikt chyba nie rozumiał lepiej niż on zmiennych nastrojów Kiez. Miał też typowe dla St. Pauli poczucie humoru, nieco wisielcze, a zarazem pełne życzliwości.

– O co chodzi z tym protestem? – spytał Fabel.

– To grupa, która nazywa się Muliebritas. A właściwie została zebrana przez czasopismo feministyczne „Muliebritas” – wyjaśnił Kaminski. – Wdarły się na Herberstrasse i zaczęły awanturować, doprowadziły niemal do otwartej wojny z dziewczynkami. Mielibyśmy z nimi kłopot nawet w zwykły dzień, ale dzisiaj, kiedy na dodatek wyszła ta historia z Westlandem... Prosiłbym je, żeby się rozeszły, tłumaczyliśmy, że wkraczają na miejsce zbrodni i utrudniają śledztwo, ale nic do nich nie dociera. – Jakby na potwierdzenie jego słów, z zewnątrz znów dobiegły rozwścieczone krzyki kobiet. – Ale nie przyjechałeś tutaj z ich powodu, prawda? Aha, wiedziałeś, że jest tutaj Martina? – dodał Kaminski, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Tak, Anna mi powiedziała – odparł Fabel.

– Czy ty i Martina nie...

– Tak, Carstens – przerwał mu nadkomisarz, wzdychając ciężko. – Już o tym rozmawialiśmy. Mamy rysopis kobiety, która zaatakowała Westlanda?

– Powiedział tylko, że przedstawiła się jako Anioł. A i tę informację dostaliśmy z drugiej ręki, od dziewczynki, która go znalazła.

– Skąd wiadomo, że to właśnie ona nie jest Aniołem?

– Wygląda na to, że robiła wszystko, co w jej mocy, żeby utrzymać Westlanda przy życiu aż do przyjazdu karetki. A jeśli to rzeczywiście sprawka Anioła, to ta dziewczyna nie mogła stać za poprzednimi morderstwami, jest zdecydowanie za młoda. Poza tym, choć zgrywała twardzielkę, wyraźnie była w szoku. Mówiliśmy nawet konowałom, żeby dali jej jakiś środek uspokajający, ale kazała im się wypchać.

– Tak czy inaczej, chciałbym z nią porozmawiać.

– A z Martiną? – Kaminski znów uśmiechnął się znacząco, zerkając przy tym na Wernera i Annę Wolff.

– Z Martiną też. A co z kamerami ochrony, które zainstalowaliśmy w Kiez? Znajdziemy coś ciekawego na tych nagraniach?

– Nie. – Kaminski pokręcił głową. – Ten, kto zaatakował Westlanda, miał dużo szczęścia albo był bardzo sprytny, na tej ulicy i w pobliżu tego placu nie ma ani jednej kamery. Jak sam

wiesz, zakładając monitoring w Kiez, musieliśmy pójść na kompromis i nie mogliśmy montować kamer tam, gdzie mogłyby pokazać, jak czcigodni obywatele naszego miasta odwiedzają peep-show albo sex-shopy. To znaczy, że system jest dziurawy jak ser szwajcarski. Ale dzwoniłem już do Presidium z prośbą o nagrania na godzinę przed atakiem i godzinę po. Może zauważymy coś ciekawego na sąsiednich ulicach. Na przykład napastnika, który idzie na miejsce zbrodni albo z niego ucieka. Na razie wysyłam na ulice całą armię mundurowych... – Kaminski wskazał głową na policjantów zgromadzonych w holu. – Przesłuchamy wszystkie dziwki, wszystkich alfonsów i właścicieli klubów z tej okolicy. Ostatnio interesy w Kiez nie idą najlepiej, a Westland to nie jest jakaś anonimowa ofiara. Taka historia na pewno nie przysporzy im klientów. Może dopisze nam szczęście i znajdziemy coś ciekawego.

– Dzięki, Carstens.

– Nie ma za co. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, zajmę się nimi i zrobię krótką odprawę. – Kaminski wskazał na policjantów. – Chyba że chcesz im powiedzieć, czego dokładnie mają szukać?

– Nie, Carstens, to twoja działka – odparł Fabel. Wiedział, że nikt nie zna Kiez lepiej niż Kaminski.

Pożegnawszy się z komisarzem, Fabel przeszedł do szatni i powiesił tam swój płaszcz, macając przy tym wszystkie kieszenie.

– Zgubiłeś coś? – spytała Anna.

– Cholerną empetrójkę.

Wraz z Wernerem i Anną przeszedł na tyły komisariatu. Do roku 2005 w Davidwache służyli jedynie mundurowi: aby dotrzymać kroku zmieniającym się czasom, na tyłach chronionego prawem zabytku dobudowano nową część, w której znalazł się wydział dochodzeniowy. Kaminski oddał im do dyspozycji salę konferencyjną, w której mogli prowadzić przesłuchania świadków. Fabel wyjrzał przez okno na Davidstrasse i fragment Friedrichstrasse. Widział zielone furgonetki policyjne wiozące do Police Presidium uczestniczki

protestu, których nie mógł pomieścić maleńki areszt w Davidwache.

– Anno, uważam, że ty powinnaś prowadzić przesłuchanie tego świadka – powiedział Fabel. – Mam na myśli dziewczynę, która znalazła Westlanda. Wygląda na to, że może być w dość kiepskim stanie.

– Dlaczego ja, szefie? – zdziwiła się Anna. – Bo jestem kobietą?

– Po prostu uważam, że ty łatwiej się z nią dogadasz.

Anna pracowała w zespole Fabela od pięciu lat, ale czasami nie umiał sobie z nią poradzić. Nie potrafił jej zrozumieć. Anna Wolff miała trzydzieści jeden lat, ale wyglądała na znacznie młodszą; miała krótko przycięte czarne włosy, zaledwie sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i nosiła się w dość ekstrawaganckim, punkowym stylu, który podkreślała za pomocą ciemnego tuszu do rzęs, ognistocie czerwonej szminki i za dużej kurtki motocyklowej. Poza tym – choć Fabel usilnie starał się tego nie zauważać – była bardzo atrakcyjna. Przed wszystkim jednak Anna Wolff była zdecydowanie najtwardszym i najbardziej agresywnym członkiem jego zespołu. I zarazem najbardziej niesubordynowanym.

– Och, jakąż jestem niedomyślna – rzuciła Anna drwiącym tonem, kiwając przy tym głową. – To oczywiste, że jako u kobiety znajdzie u mnie lepsze zrozumienie. Przepraszam, zapomniałam, że posiadanie fiuta wyklucza okazywanie bliźnim współczucia.

– To nie jest jakieś seksistowskie zagranie, Anno. Próbuję myśleć praktycznie, to wszystko. – Fabel starał się panować nad sobą, nie potrafił jednak ukryć irytacji. – Nieważne. Sam z nią porozmawiam.

– Mówiłam tylko...

– Tak, Anno, zawsze „tylko mówisz”. Poprowadzę to przesłuchanie. – Spojrzał na zegarek. Było wpół do trzeciej nad ranem. – Werner, ty tutaj zostaniesz. Anno, ty możesz wracać do domu.

– Och, daj spokój. Powiedziałam tylko...

– Spotkamy się na odprawie o drugiej. Anno, wcześniej

chciałbym z tobą porozmawiać. Przyjdź na pierwszą – rozkazał Fabel.

Anna porwała z krzesła swoją skórzaną kurtkę i wypadła z pokoju.

– Byłeś dla niej trochę zbyt surowy, Janie – powiedział Werner, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Posuwa się za daleko, Wernerze, dobrze o tym wiesz. Nie pozwolę, żeby każdy mój rozkaz był komentowany albo wykpiwany. I mam już dość skarg na Annę.

– Kiedyś mówiono o takich policjantach, że są twardzi i stanowczy.

– Te czasy minęły, Wernerze. Dawno temu. Mamy dwudziesty pierwszy wiek.

– Wiesz, Janie, ona ma trochę racji. – Werner odchrząknął niepewnie. – To znaczy, jeśli chodzi o historie damsko-męskie. Rzeczywiście zwykle każesz Annie przesłuchiwać kobiety.

– O czym ty mówisz?

– Nie zrozum mnie źle, ale czasami zachowujesz się tak, jakbyś traktował kobiety jak odrębny gatunek.

– Jak możesz tak mówić, Wernerze? W moim zespole zawsze panowała równowaga. Choć może teraz jest trochę inaczej od czasu, gdy...

Obaj mężczyźni umilkli, wywoławszy z niebytu postać Marii Klee.

– Nieważne, Janie – powiedział Werner o sekundę za późno.

– Uważam po prostu, że powinieneś być łagodniejszy dla Anny.

Fabel nie zdążył mu odpowiedzieć, bo w tej samej chwili mundurowy wprowadził do sali dziewczynę w ciemnych dżinsach i granatowej pikowanej kurtce narciarskiej. Młoda kobieta ścisnęła w dłoniach wełnianą czapkę i szalik. Fabel domyślił się od razu, że nie jest to prostytutka pracująca na ulicy, jedna z tych, które noszą jaskrawe, kolorowe ubrania, stoją w grupach wzdłuż Herbertstrasse i bez względu na pogodę trzymają w dłoniach rozłożone kolorowe parasolki, co dla potencjalnych klientów jest sygnałem, że można korzystać z ich usług. W ten sposób starały się również tworzyć radosny nastrój, by przełamać opory i niesmak klientów w stosunku do

procederu, którym się trudniły.

Fabel uśmiechnął się do dziewczyny, choć od razu rzucił mu się w oczy jej młody wiek. Przypuszczał, że jest niewiele starsza od jego córki Gabi. Poprosił, by usiadła, i ponownie uśmiechnął się życzliwie, chcąc dodać jej otuchy. Christa Eisel była ładną – bardzo ładną – dziewczyną o jasnych, sięgających ramion włosach. Sądząc po jej skromnym ubiorze i nieprzeciętnej urodzie, zapewne przebierała się w bardziej wyzywający strój, gdy przychodziła do pracy, i przesiadywała w jednym z okien przy Herberstrasse. W czasie rozmowy ścisłała nerwowo czapkę i szal, które trzymała na kolanach, lecz jej spojrzenie wydawało się harde, niemal wyzywające.

– Obawiam się, że będziemy musieli to zabrać – powiedział Fabel z uśmiechem.

Christa spojrzała na swoją zakrwawioną kurtkę.

– Teraz i tak już bym jej nie używała. Zostawiłam na dole rękawiczki. Ich też nie chcę. – Zdjęła kurtkę i podała ją Fablowi. Werner schował ubranie do dużej plastikowej torby na dowody.

– Jak długo tu pracujesz, Christo? – spytał nadkomisarz.

– Pół roku. Tylko w weekendy. I to nie we wszystkie. Mam miejsce w jednym z okien, od czasu do czasu jeżdżę do klientów.

– Jesteś narkomanką, Christo? Przepraszam, ale muszę o to zapytać.

Dziewczyna wydawała się autentycznie zaskoczona.

– Nie... oczywiście, że nie.

– A czym się zajmujesz? To znaczy, kiedy nie pracujesz tutaj.

– Studiuję. Na Uniwersytecie Hamburgskim.

– Naprawdę? Ja też tam studiowałem. Historię. A ty?

– Medycynę.

Fabel wpatrywał się w nią przez chwilę.

– Medycynę? Więc dlaczego...?

– Dla pieniędzy. Chcę trochę dorobić.

– Ale dlaczego w ten sposób?

– A dlaczego nie? – Christa znów spojrzała na niego wyzywająco. – Wiele studentek tak dorabia.

– Jesteś ładną, inteligentną dziewczyną, Christo, masz przed sobą całe życie i mnóstwo możliwości. Po prostu nie rozumiem, dlaczego wybrałaś właśnie taką drogę. Myślisz, że to czyni z ciebie prawdziwą kobietę?

– A pan pewnie nie może się pogodzić z myślą, że nie jestem jakąś wycieńczoną narkomanką? Mam pan rację, to był mój wybór. To moje ciało i mogę z nim robić, co chcę. Poza tym to stosunkowo łatwy zarobek. Kilka godzin pracy co weekend, a zarabiam więcej niż większość ludzi w ciągu miesiąca. Proszę mi wierzyć, dzięki temu o wiele łatwiej mi się studiuje.

– Nie o to chodzi, Christo. W tej pracy codziennie stykam się z ciemną stroną ludzkiej natury, poznałem ją aż za dobrze. Nie rozumiem, dlaczego ktoś taki jak ty sam pcha się w to paskudztwo. Pewnie wydaje ci się, że możesz to robić przez rok czy dwa, a potem zająć się swoim życiem i zapomnieć o wszystkim. Nie zapomnisz, uwierz mi. To zostanie z tobą do końca życia, wypaczy każdy twój związek. Nie będziesz w stanie dojrzeć w ludziach prawdziwego dobra.

– O co panu chodzi, panie komisarzu? Próbuje pan ratować moją duszę?

– Tu nie chodzi tylko o twoje moralne samopoczucie, Christo. Mówię też o realnych zagrożeniach. Studiujesz medycynę. Z pewnością wiesz, co ci grozi. Mam na myśli twoje zdrowie.

– I właśnie dlatego, że studiuje medycynę, umiem się o siebie zatroszczyć. Panie Fabel, nie muszę się przed panem usprawiedliwiać. Mężczyźni wykorzystują kobiety od stuleci. Teraz ja odpłacam im pięknym za nadobne.

Fabel uświadomił sobie, że choć Christa stara się nadrabiać miną, wydarzenia ostatniej godziny naprawdę nią wstrząsnęły. Nie wiedział, dlaczego wdaje się w tę dyskusję. Właściwie miała rację, to nie była jego sprawa. Postanowił porzucić ten temat.

– Cóż, to twoje życie, Christo... – Westchnął i spojrzał na notatki leżące na stole. – Posłuchaj, wiem, że to dla ciebie niełatwe, ale chciałbym, żebyś przypomniała sobie, czy widziałaś albo słyszałaś coś, o czym nie wspomniałaś w zeznaniu. Może widziałaś, jak ktoś wychodził z tego placu, kiedy ty właśnie tam wchodziłaś?

– Nie. Na pewno nikogo tam nie było. Korzystam z tej alejki, kiedy się śpieszę. Odchodzi od Erichstrasse i przecina ten plac. Często czają się tam jacyś zboczeńcy, więc kiedy tamtędy przechodzę, zawsze uważam. Tym razem na pewno plac był pusty.

– Ale to nie trzyma się kupy. Musiałaś wejść tam tuż po ataku.

– Sądząc po tempie, w jakim tracił krew, tak właśnie było. Co nie zmienia faktu, że nikogo tam nie widziałam.

– Słyszałam, że udzieliłaś mu pierwszej pomocy. Rozumiem, że wykorzystałaś swoje medyczne wykształcenie?

– Na tyle, na ile mogłam, choć w tej sytuacji i tak niczego to nie zmieni. Ten facet pewnie już nie żyje. Ktoś zrobił to bardzo umiejętnie. Wypatroszył go jednym ciosem, to przypominało seppuku. Wie pan, samobójcze cięcie, proste i głębokie. Krwawienie było bardzo obfite, więc doszło pewnie do uszkodzenia aorty brzusznej. Nie zdążą go uratować.

Fabel obserwował młodzieńczą, szczerą twarz Christy, gdy mówiła o śmierci mężczyzny: sam opis był chłodny i rzeczowy, ale głos dziewczyny zauważalnie drżał, a jej dłonie mocniej zaciskały się na czapce i szaliku.

– Co ci powiedział?

– Już im mówiłam. Przedtem.

– Chciałbym usłyszeć to jeszcze raz, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Kiedy go znalazłam, tracił już świadomość. Drżał. Powiedział tylko: „To była kobieta. Mówiła, że jest Aniołem”. Mówił po angielsku. To zabawne, ale nie rozpoznałam go. Nie wiedziałam, kim jest, dopóki mi nie powiedzieli. Widziałam tylko... Widziałam umierającego człowieka. – Spojrzała na Fabela z powagą. – Nigdy wcześniej nie obserwowałam, jak ktoś umiera. Pewnie będę musiała się przyzwyczaić.

– Do tego nie można się przyzwyczaić.

Kiedy Fabel nie miał już żadnych pytań, a Christa nic do dodania, pozwolił jej odejść i obiecał, że samochód policyjny podrzuci ją do domu. Spytała, czy mogliby ją podwieźć do rodziców w Barmbek.

– A czy mogliby mnie wysadzić na końcu ulicy? – poprosiła nieśmiało. – Moi rodzice... oni nie wiedzą, czym się zajmuję.

Po wyjściu Christy do sali konferencyjnej weszła Martina Schilmann. Była ubrana w elegancki granatowy kostium, długie jasne włosy spłotła z tyłu głowy we francuski warkocz. Patrząc na nią po raz pierwszy od trzech lat, Fabel przypomniał sobie, dlaczego wydawała mu się niezwykle atrakcyjna. Martina niosła dwa kubki kawy. Postawiła jeden z nich przed Fablem.

– Przynajmniej pamiętam, gdzie jest kantyna – powiedziała z uśmiechem. – Witaj Janie, jak się miewasz?

– W porządku – odparł, uśmiechając się słabo. – A ty?

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak... przepraszam. Myślałem właśnie o młodzieży, która marnuje sobie życie.

– O Boże, wiem... „Szczęśliwa dziwka”. Ciebie też próbowała przekonać, że jest zadowolona z tej pracy? Oszukuje samą siebie. Ale twarda z niej sztuka, trzeba przyznać. Dotarłam na miejsce tuż po niej. Naprawdę bardzo się starała zachować zimną krew. Ale masz rację, to przygnębiające. Jest jeszcze dzieckiem. Widziałam wiele takich jak one, kiedy tu jeszcze pracowałam. Tak czy inaczej, miło znów cię widzieć. Jak leci?

– Dobrze. Widzę, że tobie dobrze się powodzi.

– Interesy idą całkiem nieźle, to prawda. – Martina spochmurniała nagle. – To znaczy szły do tej pory. Po prostu nie mogę uwierzyć, że go straciliśmy. To może być mój koniec. Rozumiesz, przecież o to właśnie chodzi w całym tym biznesie, żeby nikomu nie stała się krzywda. Kto nas teraz wynajmie?

– Z tego, co słyszałem, Martino, Schilmann Security to w tej chwili jedna z największych firm ochroniarskich w Europie. Nie sądzę, żeby jedna wpadka pociągnęła was na dno. Prawdę mówiąc, byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że osobiście ochraniałaś Westlanda. Myślałem, że dawno już siedzisz gdzieś na górze i stamtąd kierujesz zwykłymi śmiertelnikami.

– Nie mogłabym siedzieć beczynnie, ciągle muszę mieć oko na wszystkich. Rozumiesz, zarządzanie bezpośrednio. Czasem nawet zbyt bezpośrednio. Poza tym w ten weekend brakowało nam ludzi. W przyszłym miesiącu mam ochraniać pewnego rosyjskiego potentata, musiałam odesłać połowę mojego zespołu, żeby ustalili z jego ochroną warunki współpracy. Dobry Boże, mam nadzieję, że będę go ochraniać. Kiedy dowie się o tej dzisiejszej historii, pewnie każe mi się wynosić. No dobra, nieważne, to mój problem. Nadal jesteś z piękną panią doktor Eckhardt?

– Tak. – Fabel skinął głową. – Nadal.

– Szkoda. – Martina uśmiechnęła się szelmowsko.

– Co się właściwie stało z Westlandem? – spytał. – Jak to możliwe, że się wam wymknął?

– Cóż ci mogę powiedzieć? Zwykła gwiazdorska megalomania. Płacą nam tysiące euro dziennie, żeby zapewnić im bezpieczeństwo, a potem traktują to wszystko jak zabawę. Czasami wydaje mi się, że jesteśmy tam tylko po to, żeby pokazywać się przed kamerami. Jako symbol statusu czy coś w tym rodzaju. Westland był dupkiem. Właściwie nie ma się czemu dziwić... Połowę trasy spędził na picciu, a drugą na uganianiu się za dziewiętnastolatkami. A facet jest dobrze po pięćdziesiątce, na miłość boską. Prawdę mówiąc, uważaliśmy, że to dość bezpieczne zadanie. Wiesz, odganianie pijaków, natrętnych łowców autografów, paparazzich i tak dalej. Pilnowaliśmy go we dwoje, ja i Lorenz. Lorenz to góra mięśni i malutki mózdzek, ale robi dobre wrażenie, jeśli wiesz, co mam na myśli. A jak już mówiłam, nie grzeszy inteligencją. To Saksończyk z Görlitz, pracował jeszcze w Volkspolizei. Nadal mówi na hamburger *Grilletta* i pewnie wali konia do zdjęć Katariny Witt w koszulce Wolnej Młodzieży Niemieckiej.

Fabel parsknął śmiechem.

– Jesteś dość złośliwa jak na kogoś, kto sam pochodzi ze Wschodu.

– Jestem z Meklemburgii, to coś zupełnie innego niż Dolina Nieświadomych – odparła Martina z uśmiechem, odnosząc się do tych części NRD, w których przed zjednoczeniem nie można

było odbierać zachodnioniemieckiej telewizji. To lekceważące określenie kryło jednak w sobie również ładunek życzliwości i podziwu, bo właśnie w Dolinie doszło do tak zwanych demonstracji poniedziałkowych, które dały początek masowym protestom pokojowym i doprowadziły ostatecznie do upadku muru i całego reżimu komunistycznego.

– Tak czy inaczej – kontynuowała – odwoziliśmy Westlanda do hotelu Vierjahrzeiten z koncertu w Sporthalle, kiedy nagle zaczął gadać o Reeperbahn, że nigdy tam nie był, że dużo o tym słyszał, że chciałby zobaczyć miejsca, gdzie grali Beatlesi, i takie tam pierdoły. Powiedziałam mu, że wcale nie jest tak ciekawie, jak mówią, a poza tym to nie po drodze, ale zaczął marudzić, więc w końcu zabraliśmy go na krótką wycieczkę.

– Nie sądziłem, że po koncercie może mieć jeszcze siły na takie zabawy – mruknął Fabel.

– Tak, właśnie, wydawał się dziwnie ożywiony. Słyszałam, że dość długo i mocno pociągał nosem na tylnym siedzeniu, a raczej nie miał kataru, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Na pewno wszystko to wyjdzie podczas sekcji. Co ciekawe, wcześniej wkurzył parę osób, bo odmówił udziału w przyjęciu po koncercie; powiedział im, że jest zbyt zmęczony, a potem kazał nam się wieźć na Reeperbahn. No więc oprowadzaliśmy go po okolicy, ale jego interesowało tylko Herbertstrasse, chichotał przy tym jak dzieciak. To go tam zaprowadziliśmy. Oczywiście, ponieważ to jest Herbertstrasse, a ja jestem kobietą, nie mogłam wejść, więc zostawiłam go z Lorenzem po jednej stronie, a sama przeszłam na drugą i czekałam. Przy Davidwache. Westland bez problemu wykołował Lorenza, a ja przez cały czas myślałam, że są razem, i czekałam jak idiotka na drugim końcu ulicy. Chwilę potem Westland próbował wepchnąć sobie flaki do brzucha, a renoma mojej firmy runęła w gruzy.

– Mówisz, że koniecznie chciał pójść na Herbertstrasse. Właśnie na Herbertstrasse, a nie Grosse Freiheit. Myślisz, że to mogło być wcześniej ustawione? Że umówił się z kimś i miał się z nim spotkać, kiedy już zostawił was przy Herbertstrasse?

Martina zastanawiała się przez moment, marszcząc brwi.

– Wątpię. Nie można tego wykluczyć, ale moim zdaniem to była zwykła zachcianka.

– Mimo wszystko mnie to wydaje się trochę dziwne. Jeśli Westland chciał tylko trochę się zabawić, to dlaczego starał się was zgubić? Dlaczego nie poszedł do którejś dziewczyny z okien? Mówił wam, że nigdy wcześniej nie był na Herbertstrasse, tak?

– Zgadza się.

– Więc albo pokonał szybko Herbertstrasse i wyszedł po drugiej stronie, zanim ty tam dotarłaś, albo przeszedł boczną alejką przy numerze siedem i muzeum erotyki. Moim zdaniem to wygląda na zaplanowane działanie, jakby dobrze wiedział, dokąd ma iść.

– Raczej nie wiedział. Mówię ci, według mnie to był tylko zwykły kaprys.

Martina opisała ze szczegółami przebieg całego wieczoru: podała dokładne godziny, mówiła, z kim i o czym rozmawiał Westland, jak udał się koncert. Na chwilę znów zamieniła się w policjantkę i podała Fabelowi wszystkie informacje, których potrzebował. Przed koncertem Westland dzwonił dwukrotnie: raz do swojej żony, a raz do księgowego w sprawie jakiejś inwestycji czy transakcji, w którą się zaangażował.

– Przed wyjściem na scenę siedział przez chwilę sam w swojej garderobie. Być może dzwonił wtedy do kogoś z komórki. O ile mi wiadomo, po występie zadzwonił tylko do kobiety, która zorganizowała koncert. To właśnie ona chciała, żeby wziął udział w przyjęciu z możnymi Hamburga. Miałam wrażenie, że ta kobieta, to znaczy ta organizatorka, nie była zbyt zadowolona, kiedy odmówił. W końcu o to chodziło w całej tej imprezie, żeby zebrać pieniądze na cele charytatywne, a ten dupiek nie potrafił się nawet zdobyć na ten niewielki wysiłek i uścisnąć kilku dłoni. Bardziej interesowała go wyprawa na Reeperbahn.

– Sprawdzimy jego telefon. – Fabel skinął głową.

– Och, więc ty nic nie wiesz? Jego komórka zniknęła. Portfel też. Miał też notes, miniorganizer, który zawsze nosił ze sobą. Nie znaleźliśmy go.

– Więc to mógł być napad rabunkowy?

Martina roześmiała się gorzko.

– Nie. Ale niewykluczone, że napastnik chciał upozorować rozbój. Kradzież była amatorska. Atak stanowił dzieło sztuki.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Choć raport Martiny był w pełni profesjonalny, nie zawierał niczego, co mogłoby naprowadzić Fabela na jakiś trop.

– Niewiele ci pomogłam, co? – spytała Martina, jakby czytając w jego myślach.

– Niewiele. Ale cała ta historia mogła być w sumie tym, na co wygląda: przypadkowym i bezsensownym atakiem.

– Mówisz o Aniele? – zdziwiła się Martina. – Naprawdę wierzysz, że wróciła po dziesięciu latach?

– Kto wie? Dziewczyna, która znalazła Westlanda, twierdzi, że cięcie wykonano bardzo profesjonalnie. Jeden precyzyjny cios.

– Od kiedy to dziwki znają się na ranach ciętych?

– Odkąd zaczęły studiować medycynę na Uniwersytecie Hamburskim – odparł beznamiętnym tonem Fabel. – Sama chyba pamiętasz, że Anioł świetnie posługiwała się nożem.

– Wątpię, żebym potrafiła o tym kiedyś zapomnieć – mruknęła Martina. – Pracowałam tutaj, kiedy doszło do przedostatniego morderstwa. Nie zapomnę tamtej sceny. Znaleźliśmy zamordowanego faceta w samochodzie przy Seilerstrasse. Nie miał genitaliów. Ostatnia ofiara leżała w rogu Heligen-Geist-Feld. Też nie miała klejnotów. Dlatego myślę, że to nie Anioł. Westland nie został wykastrowany, a napastnik pchnął go w brzuch, a nie poderznął mu gardło... no i minęło prawie dziesięć lat. Poza tym Anioł nie zabierała nic swoim ofiarom. Jeśli nie liczyć ich penisów, oczywiście. Widziałam jej robotę. Gdyby ta dziewczyna nie powtórzyła tego, co powiedział jej Westland, nigdy nie skojarzyłabym tej sprawy właśnie z Aniołem.

– Może źle go zrozumiała. Mówił po angielsku.

Przerwał im Carstens Kaminski, komendant Davidwache, który uchylił drzwi i wsunął głowę do sali konferencyjnej.

– Janie, bez względu na to, czy to sprawka Anioła, czy kogoś

innego, sprawa jest już oficjalnie twoja. Dzwonili właśnie z St. Georg. Westland nie żyje.

Noc była sucha, ale przejmująco zimna, lodowate powietrze przy każdym oddechu paliło w gardła i płuca. Fabel zabrał Wenera ze sobą. Opuścili Davidwache tylnym wyjściem i ruszyli w stronę miejsca morderstwa. Przeszli wzdłuż Davidstrasse i minęli kraniec Herbertstrasse zagrodzony pomalowanym na czerwono parkanem.

Kiedy podeszli bliżej, Fabel zobaczył, jak przez furtkę w przegrodzie przemyka się wysoki siwowłosy mężczyzna w długim brązowym płaszczu. Wyglądał na zamożnego, porządnego obywatela. Fabel próbował wyobrazić sobie życie tego człowieka: niczego niepodejrzewającą żonę, która czeka na niego w domu, dzieci, prawdopodobnie wnuki. Być może był nawet jakąś znaną i powszechnie szanowaną postacią. Kimś, kto stanowi wzór dla innych. W jego zachowaniu, ukradkowych spojrzeniach i pochylonej sylwetce było coś, co ogromnie przygnębiło Fabla.

Przeszli wzdłuż Erichstrasse, mijając rozświetlone witryny i ignorując stukanie w szyby oraz zachęcające gesty prostytutek.

– Ach... – westchnął sarkastycznie Werner. – Syreni śpiew dwuminutowej przygody. Przyszło ci kiedyś do głowy? – Wskazał kciukiem na ostatnie okno, które właśnie minęli.

– Żartujesz, prawda? – zachnął się Fabel.

– Niektórzy mężczyźni chętnie z tego korzystają. Wiesz, seks bez komplikacji.

– O ile nie uważasz za komplikację jakiegoś paskudnego choróbka – mruknął Fabel. – Nie cierpię, kiedy ludzie opisują Reeperbahn jako atrakcję turystyczną, „nieprzyzwoitą, ale miłą”. Tak naprawdę to paskudne miejsce.

– Zgoda. Ale tu jest. I będzie.

– Wszyscy mi to mówią. – Fabel westchnął. – Ale nie byłbym taki pewny, Wernerze.

Kiedy dotarli na miejsce zbrodni, zastali tam jeszcze dwóch

mundurowych i technika z ekipy kryminalistycznej, ubranego w śnieżnobiały skafander. Fabel pokazał swoją odznakę, a jeden z policjantów podniósł taśmę.

– Możemy już chodzić wszędzie czy mamy na coś uważać?! – zawołał nadkomisarz do technika.

Kiedy ten się wyprostował, Fabel rozpoznał Astrid Bremer. Przed dwoma laty Astrid zastąpiła Franka Gruebera na stanowisku zastępcy Holgera Braunera. Jej głowę okrywał teraz mocno zaciągnięty kaptur, który upodabniał owal jej twarzy do ładnej, niemal dziecięcej maski.

– Nie – odparła. – Możecie wejść. Skończyliśmy badanie godzinę temu.

– Więc dlaczego nadal tu jesteś? – spytał Werner.

Astrid wzruszyła ramionami.

– Moja mama zawsze mówiła, że jestem upartym dzieckiem. Miałam wrażenie, że coś pominęliśmy. Nie dawało mi to spokoju.

– I rzeczywiście coś pominęliście? – spytał Fabel.

– Zabójczyni działała bardzo precyzyjnie, ale praktycznie każdy człowiek pozostawia jakiś ślad swojej obecności. Przypuszczam, że schowała się w ciemności, pod drzewem. Nie mamy odcisku jej buta, ale znaleźliśmy zagłębienie w ziemi, przy pniu drzewa, gdzie wbił się jej obcas. Na tej podstawie być może uda nam się ustalić w przybliżeniu jej wagę. Właśnie ze względu na ten odcisk zaczęłam myśleć o jej wzroście. Odległość między ziemią i najniższymi gałęziami wynosi sto czterdzieści dwa centymetry. Zakładam, że nie jest karlicą, więc żeby pozostać w ukryciu i nie zaplątać się w gałęzie, musiała się dość mocno schylać. – Astrid uśmiechnęła się szeroko i podała Fablowi foliowy woreczek.

Na pierwszy rzut oka woreczek wydawał się pusty, więc Fabel wyszedł na ulicę i podniósł go do światła latarni.

– Jeden włos – powiedziała Astrid. – Może nie ma związku z zabójstwem, choć ze względu na to, gdzie go znalazłam, wydaje się to mało prawdopodobne. Możemy więc założyć, że zabójczyni była blondynką. I mamy jej DNA.

Altonaer Balkon to park położony na płaskowyżu, który wznosi się trzydzieści metrów nad Łabą i obwiedziony jest bulwarem z ławkami. Z Balkonu można podziwiać piękną panoramę miasta, ciągnącą się wzdłuż Łaby aż do Kohlandbrücke, dlatego też chętnie odwiedzają to miejsce nie tylko mieszkańcy Altony, ale i całego Hamburga.

Wciąż przystojny, mniej więcej sześćdziesięcioletni mężczyzna, ubrany w płaszcz z postawionym kołnierzem, siedział na ławce na skraju ośnieżonego Balkonu i obserwował pracę holowników, ładowarek i dźwigów, które rozładowywały statki w przystaniach. Nad horyzontem rozciągało się jasnoblękitne, zimowe niebo, za plecami mężczyzny przez nagie korony drzew przeświecało popołudniowe słońce. W tej chwili cudownego wyciszenia uświadomił sobie, jak rzadko mógł cieszyć się prawdziwym spokojem w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Obok ławki przeszła kobieta z psem, potem po skalnej alejce przejechało trzech nastolatków na deskorolkach. I znów cisza.

– Witaj, wujku Georgu.

Do mężczyzny dosiadła się trzydziestokilkuletnia kobieta w eleganckim ubraniu i starannie umalowana. Pocałowała swego towarzysza w policzek, ułożyła na kolanach torebkę i magazyn „Muliebritas”, a na ławce postawiła papierową torbę.

– Wiesz, wcale nie było tak źle – powiedział mężczyzna, jakby nowo przybyła siedziała przy nim już od dłuższego czasu. – W domu. W tamtych czasach.

– Tak, wujku Georgu, pewnie masz rację.

– Naprawdę wierzyłem w to, czego broniliśmy. W to, co robiliśmy. Niektóre rzeczy były wtedy lepsze. Ludzie byli sobie bardziej bliscy. Łączyło nas poczucie wspólnoty. Społeczności. Jeśli robiliśmy jakieś złe rzeczy, to tylko dla większego dobra ludzi i świata.

Kobieta położyła dłoń na jego ramieniu.

– Wiem, że tak było. Co się stało, wujku?

– A czasami... Czasami zastanawiam się nad tym, jak teraz

żyjemy, i myślę, że może jednak postępowaliśmy słusznie, mimo że teraz tak nas nie oceniają. To nie nasze przekonania zmuszały nas do robienia tych rzeczy. To wojna. Zimna wojna, ale jednak. – Umilkł i uśmiechnął się do niej. – Przepraszam cię, kochanie. Starcze głędzenie.

– Na pewno nic się nie stało?

– Wydawało mi się... – Zmarszczył brwi i spojrzał na drugi brzeg Łaby. – Nic takiego. Miałem po prostu wrażenie, że ktoś mnie obserwuje albo śledzi. Instynkt. A może lekka paranoja.

– Jesteś pewien, że to nic więcej? Może naprawdę ktoś cię śledził – zasugerowała.

Pokręcił głową.

– Nikt nie jest dość dobry. Wykorzystałem wszystkie stare sztuczki. Mówię ci, to zwykła paranoja.

– Mam dla ciebie prezent – powiedziała, wręczając mu papierową torbę.

Zajrzał do środka i uśmiechnął się.

– Rondo Melange...

Ona także się uśmiechnęła.

– Znów zaczęli ją produkować. Jak sam mówiłeś, nie wszystko było wtedy złe.

– Ale teraz robią ją pewnie dla zysku. Wszystko, co wtedy robiono dla dobra ludzi, teraz robi się dla zysku. My też zamieniliśmy to, czym się zajmujemy, w interes. Wszystko dla pieniędzy. – Roześmiał się gorzko. – Jestem przedsiębiorcą.

– Prawdę mówiąc, wuju Georgu, większość moich lat przeżyłam po, a nie przed. Prawie wszystkie spotkania odbyły się już po upadku muru. I nieźle na nich wyszliśmy, prawda?

– Tak, moje dziecko. – Odwrócił się do niej i uśmiechnął smutno. – To ja nauczyłem wszystkiego ciebie i twoją siostrę. Wszystkich tych okropnych rzeczy.

– To nasza praca, wujku. Tym się zajmujemy. Tym jesteśmy.

Skinął głową.

– Słyszałaś, co media mówią o zabójstwie w St. Pauli?

– Tak... Twierdzą, że to znowu Anioł.

– A jak najbliższe spotkania: wszystko zgodnie z planem?

– Tak, wujku. Wszystko w porządku.

- To w Hamburgu będzie wyglądało jak wypadek?
- Samobójstwo. Dokładnie tak, jak opisano to w wytycznych.
- A co z tym dużym? Żadnych problemów?
- Nie. Właściwie to będzie łatwiejsze. Nie trzeba będzie niczego ukrywać. Użyję sako TRG-21.
- Będzie odpowiedni na taką odległość?
- Idealny. Poza tym dobrze mi się z niego strzela, a ten nowy tłumik jest naprawdę świetny. Nie tylko dobrze tłumi, ale też zniekształca odgłos i wprowadza w błąd ewentualnych świadków. Ale przy takiej odległości to i tak nie będzie konieczne. Jeśli wszystkie informacje się potwierdzą, będzie sam.
- Musisz szybko się stamtąd wydostać. To znaczy przekroczyć granicę.
- Zawsze to robię, wujku Georgu.
- Ten tłumik to ostatni nowy sprzęt, jaki mogłem ci załatwić. Każdy kolejny zakup zwiększa prawdopodobieństwo, że nas zdemaskują. Załatwiłem to przez jednego z klientów, a nie lubię, kiedy oni się do tego mieszają. Nie mam wtedy kontroli nad całym łańcuchem dostawy, więc ktoś może nam podrzucić trefny towar, który potem łatwo namierzyć.
- Rozumiem. Znasz już szczegóły następnych spotkań? Podał jej pendrive'a.
- Nie mogę się przyzwyczaić do tej nowoczesnej technologii. Czuję się tak, jakbym żył w przyszłości, ale do niej nie należał. Tyle informacji zapisanych w takim niepozornym drobiazgu. Gdybyśmy mieli je w tamtych czasach, zdążylibyśmy zniszczyć naszą dokumentację, zanim trafiła w łapska tego motłochu. – Westchnął ciężko. – Nigdy nie pytasz. Dlaczego nigdy nie pytasz?
- O co?
- Dlaczego oni muszą umrzeć. Nie jesteś ciekawa?
- Oduczyłeś nas tego. To nie mój interes. Ja mam tylko zaaranżować spotkanie. Jasne, czasami, kiedy się przygotowuję... kiedy ich obserwuję... zaglądam w ich życie i zastanawiam się, dlaczego właśnie ten człowiek musi zginąć. Ale niezbyt często. Robię to, co do mnie należy. – Przesunęła

dłonią po jego siwiejących włosach. – Za bardzo się martwisz, wujku Georgu. Pamiętasz, jak uczyłeś nas, żeby wykorzystywać każdą chwilę przyjemności? Żeby cieszyć się życiem między spotkaniami?

– Tak, pamiętam. Cieszysz się życiem?

– Cieszę się wszystkim, co daje mi to życie. Nauczyłam się tego dzięki tobie.

– Ale zabijanie...

Uśmiechnęła się i rozejrzała dyskretnie dokoła, by mieć pewność, że nikt ich nie podsłuchuje.

– Wszyscy umieramy. Nauczyłam się tego od ciebie. Wszyscy umieramy samotnie, a wielu z nas umiera w bólu i strachu. Zabijają nas straszliwe choroby. Przerażające wypadki. Śmierć bywa długa i pełna cierpienia. Wszystkie moje spotkania kończą się bardzo szybko, a ofiary zwykle nie wiedzą, co się z nimi dzieje. Niektóre nie mają najmniejszego pojęcia: ani przez chwilę nie czują strachu czy bólu. Kto wie, być może oszczędzam im wielu cierpień. Tego nas właśnie uczyłeś. Nie mam wyrzutów sumienia z powodu tego, co robię; sam mi mówiłeś, że nie powinnam.

– Nawet jeśli teraz robimy to dla pieniędzy?

– To nie nasza wina, że robimy to teraz dla siebie, a nie dla państwa. To oni zmienili świat wokół nas. Jesteśmy tym, kim jesteśmy, ty i ja. Podobnie jak wszyscy, którzy po upadku muru znaleźli się nagle w próżni. Nie martw się. – Schowała pendrive'a do torebki i ponownie pocałowała mężczyznę w policzek. – Do widzenia, wujku Georgu.

– Jeszcze jedno – powiedział, gdy podniosła się już z miejsca.

– Być może będziemy musieli zaaranżować jeszcze jedno spotkanie. Tym razem nie dla klienta.

– Naprawdę? – zdziwiła się. – Nigdy jeszcze nie robiliśmy tego za darmo.

– Tym razem chodzi o nasze bezpieczeństwo. Ktoś zaczyna zadawać zbyt wiele pytań we właściwych miejscach. Pewien policjant. Jest coraz bliżej prawdy. Być może będziemy musieli się nim zająć. Dyskretnie.

– Kiedy?

– Dam ci znać. Niewykluczone, że wszystko rozejdzie się po kościach. Do widzenia, moje dziecko.

– Do widzenia, wujku Georgu.

Po jej odejściu siedział jeszcze przez chwilę na ławce, z rękami schowanymi w kieszeniach i postawionym kołnierzem. Próbował przywołać uczucie spokoju i wyciszenia, którym cieszył się przed rozmową. Ale nie potrafił.

4

Fabel przyjechał do Police Presidium w dzielnicy Alsterdorf o wpół do jedenastej. Spał tylko pięć godzin, czuł się więc senny i ociężały. Przez cały rano przygotowywał się do spotkania z zespołem. Ogarnęło go jeszcze większe znużenie, gdy w windzie natknął się na naczelnika policji Horsta van Heidena.

– Pozwól na słówko, Janie...

Van Heiden wysłał windę na piąte piętro, na którym urzędowało dowództwo, co oznaczało, że będzie to oficjalna rozmowa.

Fabel przeszedł za van Heidenem do jego biura i usiadł. Naczelnik zajął miejsce na skórzanym krześle za biurkiem, poprawił krawat i ułożył równo notes oraz pióro. Przywróciwszy porządek w swoim biurowym wszechświecie, w końcu przemówił.

– Chciałem tylko wyjaśnić kilka spraw. Pójdiesz na tę konferencję w sprawie przemocy wobec kobiet? Znowu dzwoniła do mnie organizatorka. Martwi się chyba, że przyślemy kogoś niższego rangą.

– Być może właśnie do tego dojdzie, jeśli mam być szczery.

– Chodzi o to morderstwo z minionej nocy?

– Myślałem, że właśnie o tym chciałeś ze mną porozmawiać...

– Choć bardzo się starał, Fabel nie potrafił już dłużej ukryć znużenia.

– Trąbią o tym wszystkie media – zauważył van Heiden. – Niektórzy mają do nas pretensje, że nie złapaliśmy Anioła poprzednim razem. Jeśli rzeczywiście mamy tu do czynienia

z Aniołem.

– Tego jeszcze nie wiem, Horst. Prawdę mówiąc, uważam, że to bardzo mało prawdopodobne. Sposób działania jest zupełnie inny. Ale odkopuję starą dokumentację z tej sprawy. Poprzednim razem to nie ja prowadziłem śledztwo.

– Mmm... – Van Heiden ponownie przesunął pióro o ułamek milimetra. – Właśnie o to chodzi... Będę z tobą szczerzy, Janie. Dostajemy od BKA naprawdę sporo funduszy na ten superwydział zabójstw, który masz zorganizować. – BKA było skrótem od Bundeskriminalamt, Federalnej Policji Kryminalnej. – Policja Hamburga może czuć się zaszczycona, że właśnie tutaj powstanie jednostka o tak wyjątkowych uprawnieniach i możliwościach. Jak już mówiłem, dzięki temu możemy stać się wzorcowym ośrodkiem, który będzie się zajmował trudnymi i seryjnym morderstwami, tak jak Instytut Medycyny Sądowej w Eppendorf stał się wzorcowym ośrodkiem badań sądowych.

– Ale...? – Fabel uniósł brwi. Van Heiden mówił tak, jakby występował w reklamie. A kiedy tak się zachowywał, zawsze chował w zanadrzu jakąś niespodziankę.

– Ale dobrze wiem, że reputacja, dzięki której zostaliśmy wyróżnieni w ten sposób, nie jest zasługą całego zespołu. To twoja zasługa, Janie. To właśnie ciebie wszyscy uważają za najlepszego w Niemczech eksperta od tego rodzaju trudnych spraw.

– Dzięki za komplement. – W uśmiechu Fabla krył się sceptycyzm i rezygnacja. Obaj wiedzieli, że van Heiden zbiera pochwały za osiągnięcia Fabla. – Ale już chyba wiem, do czego zmierzasz. Przejmę sprawę Anioła z St. Pauli, której nikt nie mógł rozwiązać w latach dziewięćdziesiątych, a jeśli nie dam sobie z nią rady, moja reputacja zostanie mocno nadszarpnięta.

– Coś w tym rodzaju.

– Cóż, przede wszystkim nie sędzę, żeby było to sprawka Anioła. Choć nie jestem jeszcze gotów ogłosić tego publicznie.

– Fabel podniósł się z krzesła.

– Chwileczkę. – Van Heiden sięgnął do szuflady i wyjął z niej list. – Jest coś jeszcze. Duńska policja poprosiła nas

o spotkanie.

– W jakiej sprawie? – Fabel pochylił się nad biurkiem i wziął od niego list.

– Nie mam pojęcia. Jak wiesz, duńska policja ma tu swojego przedstawiciela, ale ten list przyszedł bezpośrednio od Politidirektøra Vestergaarda. Jeden z jego ludzi, Jens Jespersen, przyleci tu z Kopenhagi specjalnie, żeby z tobą porozmawiać. Nie wiem nic ponad to. Wygląda na to, że twoja sława sięga już za granicę.

Fabel przejrzał wszystkie szuflady w swoim biurku, a kiedy upewnił się, że nie zostawił tam odtwarzacza MP3, zamówił kawę i bułkę z szynką. Potem przez kilka minut przygotowywał się do spotkania z Anną Wolff. Wiedział, że nie będzie to łatwa rozmowa. Anna także zdawała sobie z tego sprawę, sądząc po minie, z jaką weszła do jego biura, jak zwykle bez pukania.

– Usiądź, Anno – poprosił Fabel.

– O co chodzi? – spytała, wciąż stojąc. – Chcesz mnie wylać? Fabel westchnął ciężko.

– Tak, Anno. Właściwie na to wychodzi.

Po raz pierwszy, odkąd ją znał, Anna wyglądała na naprawdę zaskoczoną. Opadła na krzesło i spojrzała na Fabla z niedowierzaniem.

– Przykro mi, Anno. Poproszę, by cię przeniesiono. Wiele razy ostrzegałem cię, że powinnaś zmienić podejście.

– Co? Chodzi o ten żart z wczorajszego wieczoru?

– Nie tylko, choć z pewnością to nie poprawiło twojej sytuacji. Potrzebuję policjantów, którzy będą szanować moje decyzje i wykonywać rozkazy. Przede wszystkim potrzebuję zespołu, który działa wspólnie. Ludzi, na których mogę polegać.

– Chcesz powiedzieć, że nie możesz na mnie polegać? Czy ja cię kiedykolwiek zawiodłam? – spytała, starając się odzyskać równowagę.

– Posłuchaj, tworzenie i utrzymanie sprawnego zespołu wydziału zabójstw to nieustanna walka. Teraz muszę sobie

radzić z dodatkowymi obowiązkami, które nałożyło na mnie BKA. W ciągu ostatnich czterech lat musieliśmy pogodzić się ze śmiercią Paula Lindemanna, a Maria Klee... cóż, Maria będzie wymagała opieki jeszcze przez długi, długi czas.

– Nie musisz przypominać mi o Paulu – odparła Anna, odzyskawszy pewność siebie. – W końcu był moim partnerem. A Maria moją przyjaciółką.

– A ja odpowiadałem za nich oboje. – Fabel umilkł na moment. – Wiem, że byłaś z nimi blisko, Anno. Ale śmierć Paula i to, co przydarzyło się Marii, uzmysłowiło mi, że musimy zaostrzyć procedury. Musimy działać jako w pełni zdyscyplinowana jednostka. I właśnie tej dyscypliny, której potrzebujemy, tobie najwyraźniej brakuje.

W pokoju zapadła cisza. Anna przyglądała się Fablowi, jakby próbowała wyczytać coś z jego twarzy; ocenić, czy ma jakieś szanse na negocjacje. Po chwili w jej oczach pojawił się wyraz rezygnacji.

– Myślałam, że wzięłeś nas do swojego zespołu, bo różnimy się od siebie. Bo każdy z nas ma do zaoferowania coś innego.

– To prawda – przyznał Fabel. – Ale wydział zabójstw musi być zwarty i sprawny. Nie ma w nim miejsca dla postrzelenców i ludzi, którzy chcą realizować własne cele.

– Och, chwileczkę... Tak naprawdę chodzi o Marię, prawda? Ponieważ Maria wyruszyła na własną wojnę, ty postanowiłeś ograniczyć naszą... naszą indywidualność.

– Nie zabraniam ci wcale wyrażania własnej indywidualności, ale nie mogę pozwolić, byś całkowicie ignorowała fakt, że stanowisz część zespołu. – Fabel uświadomił sobie, że mówi podniesionym głosem. Wziął głęboki oddech i spokojniej już dodał: – Nie mogę mieć w zespole buntownika, Anno.

– Jasne – odparła Anna z grymasem bliskim szyderczemu uśmiechowi. – Nie mógłbyś wtedy zostać Niemieckim Policjantem Numer Jeden. O co chodzi, Janie, boisz się, że narobię ci wstydu? – Tym razem to Anna zamilkła na chwilę. – Przykro mi, ale tu właśnie chcę pracować. Jeśli mnie przeniesiesz, odejdę.

– To już twoja decyzja. Uwierz mi, nie chciałem, żeby tak to

się ułożyło. Chciałem cię awansować na mojego zastępcę, zrównać rangą z Wernerem. Ale nie mogę tego zrobić ze względu na twoje podejście.

– Złożyłeś już dokumenty? – spytała Anna. – Mówię o moim przeniesieniu.

– Jeszcze nie. Muszę najpierw zająć się tą nową sprawą Anioła. Poza tym chciałem dać ci szansę i pozwolić, żebyś sama poprosiła o przeniesienie. Na pewno wyglądałoby to lepiej w twoim CV.

– Daj mi czas do końca tej sprawy, szefie. Potem sama odejdę.

– Zgoda. – Fabel zawahał się na moment. – Właściwie i tak brakuje mi ludzi. Ale póki jeszcze jesteś częścią tej grupy, powściągnij nieco ten swój indywidualizm.

Po wyjściu Anny Fabel siedział przez chwilę w bezruchu i patrzył przez okno na okryte śniegiem wierzchołki drzew w Winterhunde Park. Wciąż miał przed oczami zdumioną i zrezygnowaną twarz Anny. Przypominał sobie też pełną zapału, choć i nieco drażliwą Annę, którą zatrudnił przed pięciu laty. To właśnie ten zapał i entuzjazm przekonały go, że będzie wartościowym członkiem jego zespołu. Gdzieś w ciągu tych pięciu lat stracił z nią kontakt.

Najbardziej jednak dręczyła go niepewność, czy rzeczywiście dobrze rozgrywa tę sprawę.

Z rozmyślań wyrwało go brzęczenie telefonu. Dzwonił Ulrich Wagner z BKA. Fabel lubił Wagnera, ale wolał, żeby teraz nikt mu nie przeszkadzał: chciał przygotować się do zebrania swojego zespołu. Po krótkiej wymianie uprzejmości Wagner przeszedł do rzeczy.

– Nie wiem, czy słyszałeś o poszukiwaniach niejakiej Margarethe Paulus. Rozesłaliśmy za nią listy gończe po całym kraju.

– Przykro mi, ale nic o tym nie wiem – odparł Fabel. – Siedzę teraz po uszy w morderstwie w St. Pauli. Rzekomym powrocie tak zwanego Anioła.

– Właściwie dlatego do ciebie dzwonię. Margarethe Paulus przebywała w szpitalu psychiatrycznym w Meklemburgii, czyli

nie tak daleko od ciebie. Była tam przez trzynaście lat. Trzy tygodnie temu postanowiła się wypisać. Nieoficjalnie. I przepadła bez śladu. Margarethe Paulus jest uważana za osobę wyjątkowo niebezpieczną. Zanim została skierowana do szpitala, w okolicy doszło do serii napadów z bronią w rękę dokonanych przez samotną kobietę. Wszystkie doskonale zorganizowano i sprawnie przeprowadzono. Za każdym razem kobieta wyglądała inaczej i atakowała inny obiekt: bank, potem sklep, później furgonetkę z pieniędzmi. Ale zawsze brała tylko gotówkę. Nigdy biżuterii ani innych łupów, które musiałyby sprzedać paserom. A to oznaczało, że nie musiała angażować osób trzecich.

– Więc jak ją złapali?

– Nie złapali. Policja z Meklemburgii nigdy nie zebrała dość dowodów, żeby zidentyfikować tę kobietę, nie mówiąc już o oskarżeniu Margarethe Paulus. Ale Margarethe zaczęła snuć ambitniejsze plany. Szukać współników. Przynajmniej taką wersję wydarzeń zakładamy. Związała się z gangiem motocyklowym. Jak twierdziła potem, spotkała się z nimi, żeby porozmawiać o potencjalnej współpracy. Ale oni nie byli zainteresowani i zrobiło się nieciekawie. Trzej członkowie gangu próbowali ją zgwałcić.

– Próbowali?

– Widziałem zdjęcia z miejsca zbrodni, Janie. Trudno uwierzyć, że samotna kobieta w starciu z trzema bandziorami mogła zrobić coś takiego. Ale dowody potwierdzają jednoznacznie, że zrobiła.

– Zabiła wszystkich trzech?

– Nie tylko. Wykastrowała ich. Policjanci z Meklemburgii ustalili, że dwóch zabiła od razu, a potem ich wykastrowała. Ale trzeci, prowodyr, miał mniej szczęścia... Żył, gdy mu odcinała genitalia. To właśnie jego krzyki zaniepokoiły sąsiadów, którzy wezwali policję.

– Boże... – Fabel zastanawiał się przez chwilę nad tym, co powiedział mu Wagner. – To pasuje do pierwszych morderstw Anioła.

– Zgadza się. Ale Margarethe nie mogła ich popełnić. Była

wtedy w szpitalu psychiatrycznym. Ale teraz, kiedy usłyszałem o tym ostatnim morderstwie...

– Wiem, co masz na myśli – odparł Fabel. – Choć tym razem ofiara nie została wykastrowana. Ktoś biedaka wybebeszył, ale nie ruszył klejnotów. Możesz przesłać mi materiały dotyczące tej Margarethe, łącznie z jej ostatnimi zdjęciami?

– Już to zrobiłem.

– Policja z Meklemburgii na pewno ma jej DNA. Mógłbyś ich poprosić, żeby też mi to przesłali? Niewykluczone, że znaleźliśmy konkretny ślad zabójczynie. Włos.

– Jasne, załatwię to – zapewnił go Wagner. – Więc może tym razem uda wam się ją dopaść.

– Może. Ale nie liczyłbym na to.

Fabel zwołał zebranie zespołu w centrum koordynacyjnym wydziału zabójstw. Oprócz jego uszczuplonej jednostki, która składała się obecnie z Wenera, Anny i jej partnera, Henka Hermanna, w spotkaniu brało udział kilku innych oficerów z wydziału dochodzeniowego, ściągniętych przez Fabla specjalnie do tej sprawy. Thomas Glasmacher był tęgim, przysadzistym blondynem, który wycierał właśnie nos w chusteczkę, zmagając się już kolejny dzień z rzędu z zimowym katarem. Dirk Hechtner był drobniejszy i miał ciemniejsze włosy. Fabel wypożyczył go z komisariatu w dzielnicy Harburg. Choć Glasmacher i Hechtner nie mieli zbyt długiego stażu pracy, obaj zapowiadali się na świetnych policjantów, a do tego w razie potrzeby potrafili wykazać się niekonwencjonalnym myśleniem. Żaden z nich nie wiedział, że Fabel rozważa zatrudnienie ich na stałe. W sumie musiał znaleźć czworo nowych oficerów do swojego zespołu, a po odejściu Anny – pięcioro. Ponadto chciał, by do wydziału przydzielono na stałe grupę specjalistów.

Na tablicy wisiały trzy zdjęcia Jake'a Westlanda: powiększona fotografia z jego paszportu, fotos i ostatnie zdjęcie, jakie mu zrobiono, czyli obraz jego bladego ciała ułożonego na stole sekcyjnym w kostnicy w Eppendorfie. Po drugiej stronie tablicy

znalazły się mniejsze fotografie pięciu mężczyzn i kilka wycinków z gazet. Fabel podszedł do tablicy i czerwonym markerem wypisał na niej cztery słowa: MOTYW, PRZEŚLADOWCA, ANIOŁ i NAŚLADOWCA.

– Wszyscy czytaliście akta tej sprawy, wiecie, jakie materiały udało nam się zebrać do tej pory. Jedynym bezpośrednim świadkiem zabójstwa Westlanda był on sam, a jego zeznania znamy tylko z drugiej ręki. Moim zdaniem te cztery kategorie to w tej chwili najważniejsze punkty zaczepienia. – Wskazał na słowo MOTYW. – Wygląda na to, że Westland znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Wydaje się też, że decyzje, które podjął wczoraj po koncercie, nie były przemyślane, lecz wynikały z potrzeby chwili, naglej zachcianki. Jeśli jednak choć przez chwilę założymy, że ktoś wiedział, iż Westland pojawi się na Herbertstrasse o takiej, a nie innej porze, to mamy do czynienia z morderstwem opartym na jakimś solidnym motywie, popełnionym z premedytacją. Zniknął portfel Westlanda, notes elektroniczny i komórka, więc możemy mieć do czynienia z motywem rabunkowym, choć wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne. Jeszcze wcześniej, przed wyjazdem, spędził kilka minut sam w garderobie. Być może zabójca zabrał jego telefon i notes, by ukryć informacje o zaplanowanym spotkaniu, choć Bóg jeden wie, z kim Westland miałby się spotykać w jakiejś obłej uliczce w Kiez. Skontaktowałem się z policją brytyjską i poprosiłem ich o billingi telefonu Westlanda. Tymczasem my postaramy się zebrać o nim jak najwięcej informacji, o jego małżeństwie, interesach i tak dalej, to, co zwykle sprawdzamy w takich wypadkach.

Fabel umilkł na moment, po czym wskazał na słowo PRZEŚLADOWCA.

– Jake Westland był piosenkarzem, znaną postacią. Jednym z symboli końca lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych. Był multimilionerem, człowiekiem, który przyciąga różnego rodzaju wariatów i obsesjonatów. Poprosiłem angielską policję, żeby dowiedziała się, czy Westland nie miał kłopotów z jakimiś maniakami, natrętnymi

fanami, czy nie dostawał listów z pogrózkami i tak dalej. Miałem też okazję porozmawiać z ochroniarzami Westlanda... – ciągnął Fabel, ignorując znaczący uśmiezek Wenera. – Potwierdzają, że ani przed koncertem, ani po nim nie wydarzyło się nic niezwykłego. Towarzyszyli mu w całej trasie i twierdzą, że odkąd przyjechał do Niemiec, niezauważyli niczego podejrzanego. Są też pewni, że Westland nie planował wcześniej wyprawy do Kiez, że podjął tę decyzję spontanicznie. Krótko mówiąc, uważam, że obie przedstawione powyżej hipotezy są mało prawdopodobne. I tu właśnie dochodzimy do...

Fabel przerwał na moment i zakreślił słowo ANIOŁ.

– Od roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego w Kiez zamordowano czterech mężczyzn, w wieku od trzydziestu pięciu do pięćdziesięciu siedmiu lat. Wszystkie ofiary często odwiedzały okolice Reeperbahn i korzystały z usług prostytutek. Wszystkie zostały zamordowane w taki sam sposób: poderżnięto im gardło jednym poziomym cięciem. Rana zaczynała się zawsze po prawej stronie szyi, za tchawicą, a kończyła po drugiej stronie. Śmierć musiała nastąpić szybko i bezgłośnie, właśnie ze względu na uszkodzenie tchawicy. Ciała znajdowano w różnych częściach Kiez, zwykle w samochodach. Badania wykazały, że napastnik atakował z fotela pasażera ich własnych aut. Nie zostawiał tam żadnych śladów, żadnych odcisków palców, włosów czy fragmentów tkanki. Być może jednak tym razem sprawca popełnił błąd: na miejscu przestępstwa znaleźliśmy jeden jasny włos. Jeśli okaże się, że rzeczywiście należał do zabójcy, będzie to kolejna różnica między tą zbrodnią a morderstwami z końca lat dziewięćdziesiątych. Inna różnica polega na tym, że tamten zabójca nigdy nie pozwalał swoim ofiarom żyć dość długo, by mogły nam powiedzieć, że zabił je właśnie Anioł. Ciało ostatniej ofiary z tamtej serii, czterdziestodwuletniego inżyniera, zostało znalezione w listopadzie dziewięćdziesiątego dziewiątego. Od tamtej pory nic się nie działo.

– Aż do teraz – dopowiedział Werner.

– Skąd właściwie wziął się pseudonim Anioł? – spytał Dirk Hechtner.

– Jak zapewne pamiętacie, media wtedy bardzo interesowały się tą sprawą – tłumaczył Fabel. – Kiedy wczoraj wieczorem przyjechałem do Davidwache, przywitała mnie Sylvie Achtenhagen i jej ekipa telewizyjna. Jak wiecie, pani Achtenhagen sama jest już gwiazdą, prowadzi własny program publicystyczny w HanSat. Ale dziesięć lat temu nikt o niej nie słyszał. Wtedy była młodą i bardzo ambitną dziennikarką, pracowała w jednym z kanałów telewizji publicznej. Początki jej kariery związane są właśnie z tą sprawą, relacjonowała na bieżąco postępy w śledztwie, a w końcu poprowadziła nawet godzinny program poświęcony wyłącznie temu tematowi. Muszę przyznać, że radziła sobie z tym bardzo sprawnie, choć ostatecznie wyciągnęła błędne wnioski. Ogólnie rzecz biorąc, pani Achtenhagen zrobiła z tego swego rodzaju manifest feministyczny. Uważała, że prawie dokładnie sto lat po zbrodniach Kuby Rozpruwacza kobieta Rozpruwacz robiła to samo w Hamburgu. Wszyscy pewnie słyszeliśmy powiedzenie, że Hamburg to najdalej wysunięte na wschód przedmieście Londynu... Tak czy inaczej, Achtenhagen przesadnie uwydatniała podobieństwa między obydwoma miastami, a także między obiema sprawami: w obu zbrodniarz posługiwał się bardzo ostrym narzędziem, okaleczał ciała ofiar i zabierał ich części jako trofea. W wypadku Kuby Rozpruwacza tymi trofeami były czasem genitalia, jeśli chodzi o Anioła wyłącznie genitalia. Zbrodni z obu serii dokonano w dzielnicach czerwonych latarni: Whitechapel w Londynie i Kiez w Hamburgu. I oczywiście obie serie dotyczyły prostytutki i klienta.

– Czy Anioł na pewno był... jest prostytutką? – spytał Werner.

– To całkiem prawdopodobne. Niewykluczone też, że tylko udaje prostytutkę. Tak czy inaczej, Sylvie Achtenhagen postawiła całą tę historię na głowie: sugerowała, że podczas gdy Kuba Rozpruwacz był symbolem wyzysku i ucisku kobiet, Anioł symbolizuje ich wyzwolenie. Kompletna bzdura, oczywiście, ale

działająca na wyobraźnię. Anioł stał się niemal ikoną feminizmu. Achtentagen zdołała wmówić ludziom, bardzo subtelnie, trzeba to przyznać, że to ofiary były agresorami.

– Czy to właśnie w programie Achtentagen po raz pierwszy nazwano zabójczynię Aniołem? – spytała Anna.

– Achtentagen chciała wyrobić sobie nazwisko dzięki temu godzinnemu programowi w telewizji. I udało jej się. Ale nadała też wtedy imię zabójczyni. Określenie „Anioł z St. Pauli” okazało się bardzo chwytliwe i na stałe przyłgnęło do tej osoby.

– Fabel rzucił marker na stół konferencyjny. – Do tej pory mam pani Achtentagen za złe, że rozpowszechniła i ugruntowała wizerunek sprawcy jako anioła zemsty, który krąży po ulicach Hamburga, szukając ofiar wśród mężczyzn. Być może tak właśnie jest, ale mamy tylko zeznania świadka, który widział jedną z ofiar przed jej śmiercią w towarzystwie młodej jasnowłosej prostytutki. Poza tym nic nie wskazuje na to, że zabójcą nie może być mężczyzna. Precyzja i metoda ataków przywodzi na myśl wyszkolenie wojskowe, może nawet jednostek specjalnych. Achtenhagen udało się jednak przekonać opinię publiczną, że mordercą może być tylko żadna zemsta kobieta.

– No nie wiem... – Werner się skrzywił. – Chodzi o to kastrowanie. Zabić innego faceta to jedno... ale odciąć mu fiuta... Zdecydowanie postawiłbym na kobietę.

– W porządku, proszę o spokój – mówił Fabel, starając się zapanować nad wybuchem wesołości wywołanym tą uwagą. – Jak już mówiłem, najprawdopodobniej Anioł rzeczywiście jest prostytutką. Z dokumentacji tej sprawy wynika, że Anioła uważano za seryjną zabójczynię pokroju Aileen Wuornos, kobietę, która była wykorzystywana jako dziecko, a potem trudniła się prostytutką i mściła na swoich klientach. Ale bez względu na to, czy uznamy zabójcę za kobietę czy mężczyznę, i bez względu na to, jakie kierowały nim motywy, Anioł nigdy nie zostawiał żadnych śladów ani wskazówek, które pomogłyby w ustaleniu jego tożsamości. Dlatego nie chce mi się wierzyć, że Anioł ujawnił się przed Westlandem, jakby chciał ogłosić wszem wobec, że powstał niczym feniks z popiołów. Dlatego

uwązam, że najbardziej prawdopodobna hipoteza to... – Fabel uderzył dłonią w tablicę obok słowa NAŚLADOWCA. – Nie wiemy, czy Anioł z St. Pauli istnieje w rzeczywistości, ale z pewnością funkcjonuje jako symbol o wielkiej sile oddziaływania. Przypuszczalnie zafascynował nie tylko zwykłych porządných obywateli. Myślę, że Anioł nie zabił Westlanda, tylko zainspirował jego zabójcę. Istnieją zasadnicze różnice między tym morderstwem, a zbrodniami dokonanymi w latach dziewięćdziesiątych: morderca nie wykastrował ofiary ani nie zabrał żadnego trofeum...

– Może nie zdążył – wtrącił Werner. – Christa Eisel znalazła go, gdy jeszcze żył, a krwawił bardzo obficie. Gdyby nie zastosowała ucisku, nie doczekałby przyjazdu karetki. Może zabójca słyszał, że ktoś się zbliża.

– Niewykluczone, ale paniczna ucieczka nie pasuje do faktu, że nie widziano, by ktokolwiek wychodził z tamtego miejsca. Ludzie Carstensa Kaminskiego z Davidwache rozmawiali niemal ze wszystkimi dziewczynami, które pracowały w Kiez tamtej nocy, pamiętajcie też, że większość z nich obserwuje ulicę ze swoich okien. W innych okolicznościach zauważyłyby każdą nieznaną kobietę w tej okolicy. Problem polega na tym, że ta noc była w Kiez wyjątkowa ze względu na demonstrację feministek. Ale nim jeszcze wdarły się na Herbertstrasse, nikt nie dostrzegł tam jakiejś obcej kobiety. Christa Eisel przysięga też, że nie widziała, by ktokolwiek wychodził z tego placu. Przyjmijmy jednak, że zabójca rzeczywiście się wystraszył i nie zabrał trofeum: nie zmienia to faktu, że wypatroszył Westlanda, zamiast poderżnąć mu gardło. Co więcej, Westland szedł piechotą, podczas gdy wszystkie ofiary poprzedniej serii siedziały w swoich samochodach. Pamiętajmy również, że minęło niemal dziesięć lat od ostatniego zabójstwa Anioła. Istnieją jednak pewne podobieństwa: szczególnie biegłość w posługiwaniu się nożem. Na razie stawiałbym właśnie na to, że było to dzieło jakiegoś naśladowcy czy też naśladowczyni.

Fabel wyjął z teczki leżącej na biurku jakiś duży wydruk i przypiął go do tablicy. Z fotografii patrzyła na nich

beznamiętnym wzrokiem młoda, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta. Nie miała żadnego makijażu, a jasne włosy zostały ściągnięte do tyłu. Sądząc po ostrym, jasnym oświetleniu, było to jakieś oficjalne zdjęcie.

– To jest Margarethe Paulus – Fabel przedstawił kobietę. – Właśnie dostałem od BKA szczegółowe informacje na jej temat. Trzy dni temu uciekła ze szpitala psychiatrycznego w Meklemburgii. Nie miałem czasu, żeby zapoznać się dokładnie z tymi dokumentami, ale powinniście wiedzieć przede wszystkim, że to osoba bardzo niebezpieczna. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym zabiła i wykastrowała trzech mężczyzn. Byłaby głównym podejrzanym w sprawie Anioła, gdyby nie fakt, że wtedy przebywała już w szpitalu. Powinniśmy też mieć na uwadze, że Margarethe zabiła trzy osoby naraz, a nie w dłuższych odstępach czasu. Prawdopodobnie zna Hamburg, wychowała się w Zarrentin, w północno-zachodniej części Meklemburgii. Co prawda to miasto należało do NRD, ale od Hamburga dzieli je tylko siedemdziesiąt kilometrów. Biorąc pod uwagę, że uciekła zaledwie trzy dni temu, wydaje się mało prawdopodobne, by miała coś wspólnego z tym zabójstwem, ale nie powinniśmy wykluczać żadnej możliwości. Z pewnością byłaby doskonałym kandydatem na zabójcę w typie Anioła. Musimy mieć oczy szeroko otwarte, może dopisze nam szczęście i złapiemy ją.

– Jak udało jej się uciec?

– Podobno wyszła po prostu przez główną bramę. Narzekła, że źle się czuje, a sanitariusz i pielęgniarka prowadzili ją do lekarza. Złamała sanitariuszowi rękę i ogłuszyła go, a pielęgniarkę związała, zakneblowała i zamknęła w magazynku. Wcześniej zabrała jej fartuch, klucz i kartę identyfikacyjną. To oczywiste, że Paulus jest doskonale zorganizowaną osobą. Przed ucieczką zdołała jakimś cudem zgromadzić kosmetyki i farbę do włosów, by upodobnić się do tej pielęgniarki.

– Czyli skupiła się na pielęgnowaniu, zamiast po prostu wykorzystać okazję do ucieczki? – spytał Dirk Hechtner.

– Prawdopodobnie przygotowywała to od miesięcy.

W drugiej części zebrania Fabel przedstawiał zeznania i materiały dowodowe, jakie udało im się zebrać do tej pory. Potem przydzielił zadania poszczególnym członkom zespołu. Kiedy już odprawa dobiegła końca, Werner kręcił się przez chwilę po sali, czekając, aż pozostali wyjdą.

– Śmiało, Wernerze – powiedział Fabel, zbierając dokumenty. – Co ci chodzi po głowie?

– Anna powiedziała mi o waszej rozmowie.

– Boże, już zdążyła ci się pożalić?

– To nie tak, Janie. Spytałem ją, jak poszło. Myślę, że ciągle jest w szoku. Prawdę mówiąc, ja też.

– Myślisz, że popełniam błąd?

– Szczerze mówiąc, myślę, że rozegrałbyś to inaczej, gdyby na miejscu Anny był mężczyzna.

– Daj spokój, Wernerze. Nigdy nie pozwolę, żeby płęć miała jakikolwiek wpływ na to, jak traktuję swoich podwładnych.

– Cóż, tak czy inaczej uważam, że powinienes dać Annie jeszcze jedną szansę. Nieraz nadstawiała karku tylko po to, żeby udało nam się złapać zabójcę.

– Nie rozumiesz, że właśnie o to chodzi? Anna nadstawiała karku, i dlatego dwa razy omal nie zginęła. To nie jest Dziki Zachód, Wernerze. Myślałem, że ty to zrozumiesz. To ty uchroniłeś mnie nieraz przed kłęką, bo zawsze pilnujesz, żebyśmy trzymali się procedur. Zdarzało się, że przez Annę omal nie musieliśmy zrezygnować z części materiału dowodowego, bo nie trzymała się wytycznych prokuratora.

Werner westchnął i potarł swą wielką dłoń krótko przystrzyżone siwe włosy. Fabel zawsze uważał, że Werner wygląda jak emerytowany bokser albo prawdziwy wilk morski: złamany nos, którego dorobił się jeszcze na początku kariery, jako zwykły posterunkowy, dolnoniemiecki dialekt, którym posługiwał się jako rdzenny mieszkaniec Hamburga, nieco niedbały sposób ubierania oraz potężna budowa ciała sprawiały, że wyglądał jak ktoś, kto chętniej posługuje się mięśniami niż mózgiem. W rzeczywistości jednak nikt nie miał takiego oka do szczegółów jak Werner. Drobną rozbieżność w czyimś zeznaniu, jakieś zdarzenie, które nie pasowało do

chronologii zbrodni, zapomniany element materiału dowodowego, który zmieniał cały obraz: właśnie takie rzeczy wychwytywał Werner, podczas gdy pozostali, łącznie z Fablem, zwykle nie zwracali na nie uwagi. Fabel zawsze liczył się ze zdaniem swojego przyjaciela, niepokoił go więc fakt, że ten uznał jego postępowanie wobec Anny za niewłaściwe.

– Posłuchaj – przemówił ponownie Werner. – Wiem, że szukałeś mi jakiegoś partnera na miejsce Marii Klee. Przydziel mi na razie Annę. Henk może pracować z Dirkiem. Myślę, że Anna i ja stworzymy dobry zespół. Zrównoważony. Daj nam miesiąc albo dwa. Jeśli potem nadal będziesz uważał, że powinna odejść, to odejdzie.

– Rozmawiałaś z nią o tym pomysle? – spytał Fabel podejrzliwie.

– Nie, słowo. Chodzi tylko o to, że ona bardzo chce zostać w wydziale, Janie. Poza tym, gdyby odeszła, byłaby to duża strata dla zespołu. Kolejna. Ona jest naprawdę dobrą policjantką. Trzeba ją tylko przywołać do porządku. Pozwól, że spróbuję to zrobić.

– Dobrze, zastanowię się nad tym. – Fabel skinął głową.

5

Ciężki dzień?

– Myślałem, że już śpisz – powiedział Fabel do cienia na łóżku.

– Bo spałam. Pytałam, czy miałeś ciężki dzień.

– Jak zwykle. Morderstwo. Zamieszanie. Papierkowa robota. A ty?

– Jak zwykle. Słyszałam, że znów zajmujesz się morderstwem jakiejś gwiazdy. Zastanawiam się, czy sam ich nie zabijasz, w końcu czego się nie robi dla kariery...

– Dla naszej kariery, moja droga. Teraz chyba już będę musiał wziąć cię do spółki – odparł Fabel. – Rozumiesz, będę ich nadal zabijał, żeby nie zabrakło nam pracy. – Wsunął się pod kołdrę, sycząc się dotykami chłodnej, czystej pościeli. – Nie widziałaś gdzieś przypadkiem mojej empetrójki?

– Nie. Już mnie pytałeś. Jak poszło z Renate?

Fabel westchnął ciężko.

– Szkoda gadać. Była rozgoryczona i obrażona, jak zawsze. Nie wiem, jak udało się jej odwrócić całą tę sytuację tak, że to ona jest teraz stroną pokrzywdzoną. To Behrens ją rzucił, nie ja.

– Typowo kobiece zachowanie – powiedziała Susanne, wciąż odwrócona do niego plecami. – Jeśli nie możesz wyładować żalu na tym mężczyźnie, który naprawdę cię skrzywdził, zrucasz winę na jakiegokolwiek innego. Ja na przykład uważam, że to przez ciebie Hans Zimmermann nie wybrał mnie w przedszkolu na partnerkę podczas parady.

– Wiedziałem, że coś do mnie masz. – Fabel pokiwał głową. – A wracając do tematu, Gabi zastanawia się nad pracą w policji. Renate obwinia mnie i chce, żebym ją przed tym powstrzymał.

– Zrobisz to?

– Nie. Nie będę jej powstrzymywał. Powiem jej, jak to naprawdę wygląda, owszem, ale nie będę jej do niczego przekonywał.

– Porozmawiamy o tym jutro. – Susanne mówiła zaspanym głosem, lecz Fabel przysunął się do niej, objął od tyłu i położył dłonie na jej piersiach.

– Chciałbym ci jakoś wynagrodzić tę paradę...

6

Jespersen zajął miejsce w samolocie i odetchnął z ulgą, kiedy okazało się, że miejsce obok niego pozostanie puste. Lubił w czasie podróży porządkować w głowie różne sprawy, analizować je, myśleć na szerszą skalę. Lot z Kopenhagi na hamburskie lotnisko Fuhlsbüttel trwał niewiele ponad pięćdziesiąt minut, ale w tym czasie Jens Jespersen zdążył przejrzeć informacje na temat *Erster Kriminalhauptkommissar* Jana Fabla, które uzyskał z Europolu.

Większość tych informacji dotyczyła spraw, w których Fabel pełnił funkcję doradcy i które nie podlegały jurysdykcji policji

hamburskiej. Europol pisał o nim bardzo pochlebnie, nazywał go nawet najlepszym ekspertem od skomplikowanych śledztw dotyczących morderstw. „Go-to guy”, czyli facet, który naprawdę zna się na rzeczy i służy radą innym, jak nazwaliby go Amerykanie. Jespersen nie przepadał Amerykanami. Jeszcze mniej lubił Niemców.

Kiedy zapaliły się lampki nakazujące zapiąć pasy, Jespersen schował dokumenty do teczki i z niechęcią przyznał w duchu, że w tej sytuacji rzeczywiście chyba najlepiej będzie porozmawiać z tym Niemcem. Ale o czym? Nagle uświadomił sobie, że pokonał taki szmat drogi, by spotkać się z tym człowiekiem, ale właściwie nie miał z nim o czym dyskutować. Jedyne, czym dysponował, to uwaga wygłoszona przez handlarza narkotyków podczas tajnej operacji, kilka wydarzeń, które mogły mieć z tym związek, ale wcale nie musiały, i legenda: niejasna i zapewne wyolbrzymiona historia z ciemnych czasów zimnej wojny.

Kiedy już Jespersen znalazł się w terminalu lotniska Fuhlsbüttel, zadzwonił do komendy głównej Politigård w Kopenhadze i połączył się ze swoim biurem. Rozmawiał z Haraldem Tolstrupem, swoim zastępcą. Tolstrup potwierdził, że Jespersen ma rezerwację w hotelu przy Alter Wall, w centrum Hamburga. Powiedział mu również, że jego szef, Politidirektør Vestergaard, chciał się z nim jak najszybciej skontaktować i że nie wyglądał na zadowolonego. Zakończywszy rozmowę z Politigård, zadzwonił do Police Presidium i poprosił po angielsku o połączenie z Janem Fablem. Powiedziano mu, że Fabel jest na spotkaniu. Jespersen podał numer swojej komórki i poprosił, by nadkomisarz oddzwonił do niego.

Jespersen zameldował się w hotelu, a potem wyszedł na spacer. Było zimno, lecz słonecznie. Spojrzał na jasnoniebieskie zimowe niebo. Wyglądało tak samo jak w Kopenhadze. Jak w Sztokholmie lub Oslo. Światło Hamburga było światłem nordyckim, a Jespersen czuł się zdumiony faktem, że znajduje się w obcym kraju, pośród ludzi, których nie lubi, a mimo to widzi takie samo niebo, takie samo światło, taką samą

architekturę i takie same twarze na ulicach. Wiedział, że to złudzenie rozwiąłyby się, gdyby pojechał dalej na południe. Lecz tutaj, w Hamburgu, ku swemu ogromnemu zaskoczeniu, czuł się jak u siebie w domu. Przeszedł wzdłuż Grosse Bleichen i znalazł się przed imponującym, ceglany budynkiem, na którym wisiała tablica z napisem Hanseviertel. Jespersen wszedł do środka, wiedziony ciekawością: natknął się już kiedyś na słowo „Hanseviertel”, kiedy przebywał z wizytą w Bergen w Norwegii. Bergen należało do Ligi Hanzeatyckiej, znajdowała się w nim dzielnica, gdzie w średniowieczu osiedli niemieccy kupcy, zwana *Tyskebyggen*, Niemieckie Nabrzeże; to właśnie było Hanserviertel w Bergen. Hamburgskie Hanserviertel wyglądało jednak zupełnie inaczej: za murem z czerwonej cegły kryła się gęsta sieć alejek, galerie oraz sklepy, w całości przykryte teraz szkłem. Wyglądało to jak idealne miejsce na lunch, a przy okazji Jespersen mógł kupić jakiś prezent dla dwunastoletniej bratanicy. Z każdego miejsca, do którego wyjeżdżał, starał się przywieźć jakiegoś małego pluszaka dla Mette, córki swojego młodszego brata. Zaczynała już udawać, że jest zbyt duża na takie bzdury, wyczuwał jednak, że dziewczynka to lubi. Znalazł pod arkadami mały sklep sprzedający prezenty nieco lepszej jakości niż zwykłe pamiątki turystyczne. Kupił dla Mette małego pluszowego misia, ubranego w niebieską kurtkę z napisem „Hamburg” wyhaftowanym na plecach i czapkę z daszkiem w stylu księcia Henryka. Potem znalazł jakąś miłą kawiarnię i zamówił lekki lunch. Siedział przy stoliku, jadł powoli i przyglądał się przechodzącym obok Niemcom.

Niemcy. Jens Jespersen był policjantem od dwudziestu trzech lat. Policjantem był jego ojciec. A jeszcze wcześniej dziadek. Jens czuł z tego powodu dumę. I właśnie ta rodzinna tradycja kryła przyczyny, dla których nie lubił Niemców. To jednak nie była najlepsza pora na takie rozmyślenia.

Usłyszał kobiecy głos, ktoś zadawał mu pytanie po niemiecku. Podniósł wzrok i zobaczył mniej więcej trzydziestoletnią kobietę o blond włosach, jasnoniebieskich oczach i jasnej skórze oraz wysokich kościach policzkowych.

– Słucham? – spytał po angielsku.

– Mogę tutaj usiąść? – powtórzyła w tym samym języku.

Skinął głowę i przesunął płaszcz, robiąc jej miejsce. Miała coś powiedzieć, gdy zadzwonił jego telefon. Odebrał go, nie usprawiedliwiając się przed nieznaną.

– Pan Jespersen? Mówi nadkomisarz Fabel z wydziału zabójstw hamburskiej policji. Odebrałem pańską wiadomość. Przepraszam, że nie mogłem skontaktować się wcześniej, ale byłem zajęty. Zaczęliśmy właśnie pracę nad ważną sprawą, na pewno dobrze pan wie, co to oznacza. Przypuszczam, że chciałby się pan ze mną spotkać.

Jespersen, który świetnie znał angielski, był zaskoczony, że Niemiec mówi doskonałą, pozbawioną obcego akcentu angielszczyzną.

– Tak, panie Fabel. Mam parę rzeczy do sprawdzenia, więc zatrzymam się w Hamburgu na kilka dni, ale chciałbym się spotkać z panem jak najszybciej. Moglibyśmy zobaczyć się jutro?

– To nie będzie łatwe. Jak już mówiłem, rozpoczęliśmy właśnie duże śledztwo. Chwileczkę... – W słuchawce na moment zapadła cisza. – Może o wpół do piątej w Presidium?

– Zgoda – odparł Jespersen.

– Pan wybaczy, że pytam, panie Jespersen, ale czy fakt, że ma pan tu coś do sprawdzenia, oznacza, że prowadzi pan w Hamburgu część jakiegoś śledztwa?

– Rozumiem, do czego pan zmierza... – powiedział Jespersen, z trudem kryjąc irytację. – Gdybym prowadził śledztwo, zrobiłbym to odpowiednimi kanałami. Nie, panie Fabel, nie próbuję wdrzeć się na pański teren. Do zobaczenia jutro o wpół do piątej. – Jespersen zakończył rozmowę i zamknął z trzaskiem telefon. Cholerni Niemcy. Czy naprawdę wszyscy są urodzonymi biurokratami?

– Jest pan Anglikiem? – spytała siedząca obok kobieta, gdy schował telefon do kieszeni.

– Nie. – Uśmiechnął się ze znużeniem, nie kryjąc wcale, że nie ma ochoty na pogaduszki. – Duńczykiem.

– Coś takiego! Ja jestem w połowie Dunką – oświadczyła

entuzjastycznie w jego ojczystym języku, choć z silnym niemieckim akcentem. – Moja mama pochodzi z Fåborg, wie pan, na Fyn, ale wychowałam się tutaj. Mój tata jest z Hamburga.

– Niesamowite – mruknął Jespersen. Kobieta była najwyraźniej zachwycona, że szczęśliwym trafem usiadła przy Duńczyku. Jespersen nie podzielał jej radości. Wolałby zostać sam i przemyśleć parę rzeczy. Choć z drugiej strony nieznajoma była całkiem ładna.

– Przyjechał pan tu odpocząć? – spytała.

– Nie. W interesach – odparł Jespersen. Przyjrzał się uważniej młodej kobiecie. Z pewnością miała cerę Dunki. W pewnym stopniu przypominała mu nawet Karin. Jej niemal białe blond włosy ściągnięte zostały gumką, spod której wymykały się jednak pojedyncze loki i kosmyki. Jespersen uśmiechnął się ponownie, tym razem bez śladu znużenia.

Nieznajoma była naprawdę bardzo atrakcyjna.

7

Z samego rana do biura Fabela w Presidium zadzwonił Carstens Kaminski.

– Mamy tu kogoś, z kim powinieneś pogadać – wyjaśnił. – To pewnie nic ważnego, ale chyba powinieneś wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Siedzi w areszcie?

– Nie. To świadek. W pewnym sensie.

– Dobrze, przyjadę do was.

– Nie, podeślę go do Presidium. Będzie tam za dwadzieścia minut.

Nawet po wszystkich tych latach, po wszystkich rzeczach, które widział, Fabel nie mógł zrozumieć, dlaczego niektórzy ludzie robią to, co robią. Pomimo ogromnego doświadczenia czasami nadal pozwalał zwieść się pozorom. Jürgen Mann, który siedział teraz naprzeciwko niego w pokoju przesłuchań,

nie wyglądał na kogoś, kto utrzymuje stałe kontakty z prostytutkami. Mann miał trzydzieści pięć lat, był wysoki i szczupły, ubrany modnie i ze smakiem, w szarą marynarkę, spodnie i czarny sweter. Miał szeroką, silną szczękę, pokrytą równym dwudniowym zarostem, który wbrew pozorom wymagał starannej pielęgnacji. Fakt, że ktoś na pozór tak normalny korzysta z usług prostitutek, przygnębiał Fabela, podobnie jak widok siwowłosego mężczyzny, którego widział przy wejściu na Herbertstrasse. Ze względu na „delikatny” charakter przesłuchania, Fabel prowadził je sam.

– Czym się pan zajmuje? – spytał Fabel. – Zarobkowo?

– Jestem projektantem. Szyldy, reklamy, tego rodzaju rzeczy. To tłumaczy ten zarost, pomyślał Fabel.

– Jest pan żonaty?

– Tak. Nie rozumiem...

– Dzieci? – przerwał mu Fabel bezceremonialnie.

– Jedno. Ośmioletnia dziewczynka.

– I bywa pan na Reeperbahn regularnie?

– Od czasu do czasu. Chce pan wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, czy nie? – spytał Mann wyzywającym tonem.

– Muszę wiedzieć, jak pan zdobył takie informacje. Muszę wiedzieć, kim pan jest. Co dokładnie oznacza „od czasu do czasu”?

– Mniej więcej raz na dwa tygodnie. Czasami częściej, czasami rzadziej.

– Zawsze korzysta pan z usług dziewczyn z ulicy?

– Tak.

Fabel przyjrzał się uważniej młodemu mężczyźnie. Pomyślał o jego żonie i ośmioletniej córeczce.

– A z tą prostytutką, o której mówił pan komisarzowi Kaminskiemu, często pan się spotyka?

– Nie. Tylko ten jeden raz. I nie zdążyłem... Nie doszło do kontaktu.

– Widział pan ją wcześniej?

– Nie. Wtedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. I to ona podeszła do mnie. Po prostu wyszła nagle z cienia i zapytała, czy chciałbym z nią pójść. Podała cenę, niższą niż u innych,

więc się zgodziłem.

– I co stało się potem?

– Jak już mówiłem w Davidwache, zaprowadziła mnie na ten plac. Wydawało się, że chce zrobić to właśnie tam, ale powiedziałem, że wolę iść do jej pokoju. Wtedy wyciągnęła nóż. Przyparła mnie do muru i powiedziała, że jeśli nie oddam jej portfela, potnie mnie tak samo jak tego angielskiego piosenkarza.

– Uwierzył jej pan?

– Gdyby pan widział jej oczy... Wiedziałem, że jeśli nie zrobię tego, co każe, a może nawet jeśli zrobię, użyje tego noża.

– Co to był za nóż?

– Nie wiem. Cholernie duży. Może do filetowania albo coś w tym rodzaju.

– I oddał pan jej swój portfel?

– Tak. Rzuciłem go w jej stronę, a gdy go złapała, odepchnąłem ją z całej siły i rzuciłem się do ucieczki.

– I to wszystko zdarzyło się wczoraj wieczorem?

– Tak. Wiedziałem, o czym mówi, bo słyszałem w wiadomościach o powrocie Anioła.

– I mimo to wybrał się pan do Kiez i poszedł z prostytutką na pusty plac.

– Ano poszedłem. Kosztowało mnie to portfel.

– Dlaczego dopiero rano poszedł pan do Davidwache i powiedział o tym napadzie?

– Zamierzałem dać sobie z tym spokój. Zablokować karty i zapomnieć o całej sprawie. Ale potem pomyślałem o tym, że przedstawiła się jako Anioł. Pomyślałem, że powinienem was poinformować.

– Bardzo to szlachetne z pańskiej strony.

– Chwileczkę, wcale nie musiałem...

– Jak wyglądała ta prostytutka?

– Była starsza niż większość dziewczyn. Miała około trzydziestki. Może więcej. Blond włosy... wyglądały na farbowane. Była dość wysoka, około metra siedemdziesięciu pięciu. Szczupła. Atrakcyjna, ale... zimna, można by powiedzieć. Nosila ciemny płaszcz i czarne skórzane buty.

– Rozumiem. Chciałbym, żeby porozmawiał pan teraz z naszym policyjnym rysownikiem. Musimy sporządzić jej rysopis. Potem pokażemy panu kilka zdjęć, może rozpozna pan na nich kogoś, kogo już znamy.

– Muszę wracać do pracy.

– Dobrze. – Fabel skinął głową. – W takim razie przyślę do pana kogoś wieczorem, zrobi pan to w domu. Zakładam, że pańska żona wie o wszystkim?

– W porządku... – Mann westchnął. – Zrobię to tutaj.

Fabel wstał i ruszył do wyjścia.

– Jeszcze jedno – powiedział Mann.

– Co takiego?

– Jej oczy. Gdyby pan widział jej oczy... Były pełne nienawiści i gniewu. Dlatego uciekłem. Wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, zabije mnie. To ona była Aniołem. Wiem, że to właśnie ona.

Kiedy Fabel wrócił do wydziału zabójstw, czekał tam na niego Kaminski. Siedział na skraju biurka Anny Wolff, uśmiechał się do niej i gawędził swobodnym tonem. Był drobny, śniady i miał w sobie jakiś ujmujący spokój i pewność siebie. Czarus. Fabel słyszał, że niegdyś był prawdziwym bawidamkiem. Sądząc po uśmiechu Anny, nie wyszedł jeszcze całkiem z wprawy.

– Chodźmy – rzucił Fabel do Kaminskiego i zaprowadził go do swojego biura.

– Ładna dziewczyna – stwierdził Kaminski z leniwym uśmiechem. – Słyszałem, że chce się przenieść. Bardzo chętnie ją przyjmę.

Fabel spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Boże, tutaj nie da się niczego zachować w tajemnicy, co?

– Co myślisz o historii tego Manna? – spytał Kaminski. – Swoją drogą, ładne masz biuro. – Przekrzywił głowę i wyjrzał przez okno. – Widzisz stąd Planetarium Winterhunde?

– Mann to menda – odparł Fabel. – Ale chyba rzeczywiście wierzy, że otarł się o śmierć. I że napadł na niego właśnie Anioł.

– Ale ty tak nie uważasz. Ja zresztą też nie. – Kaminski skinął

głową. – Jednak sądząc po tym, jak go zaczepiła, stara się trzymać z dala od pozostałych dziewczyn. Jej ubranie wskazuje też na to, że nie pracuje tutaj na stałe. Poza tym zwabiła go na ubocze, na pusty plac... Może nie jest prawdziwym Aniołem, ale na pewno przypomina zabójczynię Westlanda.

– Pomyślałem o tym samym. Mam nadzieję, że Mann przygotowuje porządny rysopis albo znajdzie ją na zdjęciach. Ja też nie uważam, żeby pracowała na stałe w Kiez. Udało wam się znaleźć coś jeszcze?

– Rozmawialiśmy z wszystkimi dziewczynami z okien, które pracowały tamtego wieczoru przy Herbertstrasse. Dwie z nich pamiętają mężczyznę, który ich zdaniem był Jakiem Westlandem. Wszedł od Gerhardtstrasse i przeszedł przez całą ulicę do Davidstrasse, nie rozglądając się nawet na boki.

– To wygląda na zaplanowane działanie – stwierdził Fabel.

– Sam nie wiem, Janie – odparł Kaminski, bawiąc się kalendarzem stojącym na biurku Fabla. – Może po prostu chciał wyrwać się spod opieki Martiny Schilmann i jej partnera. Ewentualnie działał pod wpływem impulsu. Ta dziwka, która rzekomo próbowała zabić Manna, z pewnością nie planowała, że spotka się właśnie z nim.

– Nie... ale może Westland planował spotkanie z kimś innym i natknął się przypadkiem na zabójczynię. Jego zachowanie wydaje mi się bardzo... celowe, można powiedzieć. Przeszedł szybko przez Herbertstrasse, bo wiedział, że ma tylko kilka minut, zanim Martina stanie po drugiej stronie, przy Davidstrasse. Ale bez względu na to, co planował Westland, moim zdaniem mamy do czynienia z naśladowczynią Anioła. Jürgen Mann miał wiele szczęścia, że nie został jej drugą ofiarą. Przygotuj się na trudne dni, Carstens. – Fabel westchnął. – Coś mi się wydaje, że to dopiero początek całej serii zabójstw.

Spojrzał na zegarek: czwarta pięćdziesiąt. Nic nie irytowało Fabla bardziej niż niepunktualność.

Dobrze wiedział, że ma obsesyjny stosunek do punktualności i gotów był to przyznać. Już od dzieciństwa na samą myśl o spóźnieniu czuł nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Była to jedna z tych cech – podobnie jak niezdolność do upijania się, brak wewnętrznego przyzwolenia na ten jeden drink za dużo – które tworzyły jego wyjątkowy charakter, czyniły zeń właśnie takiego, a nie innego człowieka. Jana Fabla.

Jednakże w tej konkretnej sytuacji uważał, że jego irytacja jest uzasadniona. Wyraźnie mówił Jespersenowi, że rozpoczyna właśnie duże śledztwo w sprawie morderstwa. Dwudziestominutowe spóźnienie świadczyło nie tylko o braku uprzejmości, ale i braku profesjonalizmu. Fabel podniósł telefon i wybrał numer komórki Jespersena. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Zostawił wiadomość, w której prosił Duńczyka o jak najszybszy kontakt.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, rozległ się dzwonek jego telefonu. Odebrał, pewien, że to Jespersen. Mylił się.

– Cześć, szefie – powiedziała Anna Wolff. – Mam tu coś, co powinieneś zobaczyć.

– Gdzie jesteś?

– W Butenfeld. – Tak policjanci nazywali w skrócie kostnicę w Instytucie Medycyny Sądowej, który mieścił się w dzielnicy Eppendorf przy ulicy o takiej właśnie nazwie. – Jestem pewna, że cię to zainteresuje.

Fabel spojrzął na zegarek i pomyślał o irytującej niepunktualności Duńczyka.

– Dobra, zaraz tam będę.

Od kiedy mieszkanie jest wolne? – Ute Cranz odwróciła się i uśmiechnęła do młodej kobiety. Od półgodziny oglądały apartament do wynajęcia, a młoda agentka nieruchomości ze wszystkich sił starała się okazywać dojrzałość i doświadczenie, które będzie musiała zdobywać przez długie lata. Była ubrana w granatowy garnitur o niemal męskim fasonie. Ute zastanawiała się, dlaczego tak wiele kobiet sądzi, że aby

współzawodniczyć z mężczyznami, trzeba ubierać się tak jak oni.

– Dopiero co się zwolniło. Nie zdążyliśmy nawet zamieścić na stronie tej oferty. Właściwie byliśmy zaskoczeni, kiedy pani o nie spytała. Skąd pani wiedziała, że jest wolne?

– Szukałam mieszkania w tej okolicy. Słyszałam, że poprzedni lokator się wyprowadza.

– Rozumiem. – Agentka skinęła głową, choć nie wyglądała na przekonaną. – Dobrze, że pani tak szybko zareagowała. Lokale w tej części Altony nie stoją puste zbyt długo. Właśnie skończyliśmy remont apartamentowca na rogu Schillerstrasse. Wszystkie mieszkania były zajęte, nim jeszcze prace dobiegły końca.

– Ile? – spytała Ute Cranz, przechodząc przez salon do okna. Jej wysokie obcasy stuknęły głośno o drewnianą podłogę.

– Cóż, mieszkanie ma niemal dwieście metrów powierzchni. I balkon z widokiem aż do Palmaille. Miesięczny czynsz wynosi dwa tysiące dziewięćset euro. Bez opłat za media. To standardowa cena za lokale w tej okolicy.

Ute spojrzała przez okno na ulicę w dole. Zobaczyła mężczyznę, który podchodził właśnie do drzwi budynku. Miał siwe włosy, ale był barczysty i poruszał się jak młody człowiek. Nosił się w stylu, który można by określić „angielskim”, miał tweedową marynarkę i prążkowane spodnie.

– Czy to jeden z lokatorów? – spytała agentkę, która również podeszła do okna i spojrzała w dół.

– Tak, to pan Gerdes. Mieszka piętro wyżej. Bardzo spokojny człowiek, jak zresztą wszyscy mieszkańcy tego budynku. Ludzie na poziomie, można powiedzieć.

– Dobrze, biore. – Ute odwróciła się do agentki i uśmiechnęła ponownie. – Ale chciałabym jeszcze raz obejrzeć kuchnię.

Co tam masz? – spytał Fabel. Anna czekała na niego w recepcji instytutu.

– Właściwie nic nadzwyczajnego, mężczyzna w średnim

wieku i zawał – odparła Anna, prowadząc go do kostnicy.

Fabel zatrzymał się raptownie.

– Zawał? W takim razie co to ma z nami wspólnego?

– Nie co, tylko kto – poprawiła go Anna. – Ofiarę znaleziono martwą dziś rano w pokoju hotelowym. Zasadniczo przyczyna śmierci nie wydaje się podejrzana: wszystko wskazuje na to, że przeszedł zawał, choć oczywiście przeprowadzimy dokładną sekcję. Ale ofiarą jest Jens Jespersen, obywatel Danii.

– Cholera – syknął Fabel. – Duński policjant. Miałem się z nim spotkać. – Spojrzał na zegarek. – Pół godziny temu.

– Więc nie każ mu już dłużej czekać. – Anna uśmiechnęła się ponuro.

Pracownik kostnicy przesunął na środek sali wózek z ciałem i zdjął okrywającą je płachtę. Mężczyzna leżący na wózku był wysoki, jego krótko przycięte blond włosy wydawały się niemal żółte w porównaniu z bladą skórą, usta miały sinoniebieskie zabarwienie. Z duńskiego paszportu, który Anna wręczyła Fablowi, wynikało, że Jens Jespersen miał pięćdziesiąt cztery lata, lecz jego umięśnione ciało wyglądało znacznie młodziej. Fabel domyślił się, że Duńczyk bardzo dbał o formę fizyczną.

– Nie wygląda jak typowy zawałowiec – stwierdziła Anna, jakby czytała mu w myślach. Fabel podniósł plastikową torbę, zawierającą rzeczy osobiste Jespersena, między innymi ciężki wojskowy zegarek i legitymację policyjną. Duńczyk miał stopień Chefpolitiinspektøra, co jak przypuszczał Fabel, odpowiadało jego własnej randze. W torbie znajdował się też notes z ogólnymi uwagami i zapiskami, między innymi numerem hamburskiego Police Presidium, Fabel domyślił się jednak, że jest to osobisty notatnik Jespersena, a nie służbowy dziennik z istotnymi informacjami. Na jednej ze stron widniał napis OLAF, podwójnie podkreślony. Nadkomisarz schował notes z powrotem do worka.

– To wszystko? – spytał, podnosząc torebkę z dowodami.

– Tak – potwierdziła Anna, potem jednak dodała: – Aha, jeszcze jedno. Wygląda na to, że nie lubił spać sam.

Policjantka uniosła brew, a potem rzuciła Fablowi drugą torebkę, która zawierała jeden tylko przedmiot: pluszowego

misia w niebieskiej kurtce i czapce z daszkiem. Fabel podniósł torebkę na wysokość oczu i przez chwilę wpatrywał się ze zdumieniem w pamiątkowego pluszaka.

– Nie wydaje ci się, że czegoś tu brakuje?

– Nie ma napisu *Moin! Moin!* wyhaftowanego na kurtce? – Anna uśmiechnęła się. – Wiem, o co ci chodzi. Rzeczywiście, coś tu nie gra. Jespersen przyleciał do Hamburga, żeby omówić z tobą jakąś ważną sprawę, ale nie znaleźliśmy jego służbowego notesu ani żadnych istotnych zapisków. Spójrz jeszcze na to.

Rzuciła Fabelowi telefon Jespersena. Nadkomisarz musiał wyciągnąć szybko rękę, by go złapać. Spojrzał gniewnie na Annę, a potem otworzył komórkę i przeszukał pamięć.

– Nic.

– Żadnych połączeń przychodzących ani wychodzących. Żadnych zapisanych numerów. Żadnych usług. Przypuszczam, że ktoś wymienił kartę SIM, zakładając, że nikomu nie przyjdzie do głowy sprawdzić telefonu.

– A niech na to... – syknął Fabel. – Oglądał to ktoś z kryminalistów?

– Nie. Lekarz pogotowia, który przyjechał do hotelu, potraktował to jako zwykły zawał. Ponieważ zgon nastąpił nagle, a w dodatku ofiara jest obywatelem obcego państwa, ciało przysłano tutaj. Möller i jego zespół wkrótce się nim zajmą. Zasugerowałam Möllerowi, żeby dobrze mu się przyjrzał.

– I co on na to?

– Znasz Möllera. Świetny patolog, ale dupek jakich mało. Powiedział, żebym nie uczyła go jego fachu, ale na pewno się do tego przyłoży. Kazałam też obsłudze hotelu zamknąć i zapieczętować pokój, a potem powiadomiłam Holgera Braunera, że pewnie będziemy potrzebowali jego kryminalistów. Teraz wszystko czeka tylko na twoją decyzję. Wiesz, nie chciałam przekraczać swoich uprawnień...

Fabel zerknął na nią ostrzegawczo. Odpowiedziała mu pozbawionym wyrazu spojrzeniem. Opanowała tę sztuczkę do perfekcji.

– Tak czy inaczej – przemówiła ponownie – od chwili śmierci

Jespersena przez jego pokój przeszło Bóg wie ilu ludzi. Sama nie wiem, szefie, może to całkiem niewinna historia, nie nie świadczy o tym, żeby ktoś przyczynił się do jego śmierci.

– Nie, Anno. Coś tutaj śmierdzi.

– W takim razie będziemy mieli spore kłopoty. Jeśli Jespersena ktoś zabił, była to profesjonalna robota. Bardzo profesjonalna.

Peter Claasens spojrzął przez okno swojego biura na hamburską starówkę, zmarszczył brwi i rozmyślał przez chwilę o pytaniach, które przed momentem mu zadano. Odłożył już co prawda słuchawkę, ale nadal trzymał dłoń na aparacie, choć raz nieświadom rytmicznego łomotu i brzęku, który przenikał cały budynek.

Gdy zadzwonił telefon, pracował właśnie nad listem, który przygotowywał na prośbę Emily. Być może właśnie dlatego, że skupiał się całkowicie na pracy, pytania dziennikarza kompletnie go zaskoczyły.

Norweg właściwie niczego nie sugerował, a jego pytania sformułowane zostały w neutralny sposób, Claasens domyślił się jednak, czemu mają służyć. Nikt inny nie wyciągnąłby na podstawie tych kilku zdań tak jednoznacznych wniosków, ale Claasens natychmiast nabrał podejrzeń. Oczywiście nie zamierzał niczego potwierdzać ani niczemu zaprzeczać w rozmowie z przedstawicielem prasy; był niezwykle dyskretny, może nawet nazbyt ostrożny w swoim życiu zawodowym, czego nie dałoby się powiedzieć o życiu prywatnym.

Dlaczego Norweg pytał go konkretnie o Norivon i transporty do Chin? To właśnie pytanie trafiło w czuły punkt Claasensa, co prawdopodobnie dało się również słyszeć w jego głosie. Claasens już dwa miesiące temu zauważył tę nieprawidłowość: rozbieżność między stanem faktycznym a wymaganą dokumentacją. Oba transporty płynęły do Chin. Oczywiście zbadał tę sprawę. Lensch, jego znajomy w Norivon, początkowo

wydawał się równie zdezorientowany. Następnego dnia przedstawił mu rozsądne wyjaśnienie i dodatkowe dokumenty – sensowne, ale nie do końca przekonujące.

Claasens otworzył w komputerze plik z księgowością i poprosił przez interkom o dokumentację w wersji papierowej. Po chwili w drzwiach pojawiła się Minna, która położyła na jego biurku segregator i wyszła z obrażoną miną. Po raz kolejny przeklął w duchu własną głupotę, przez którą odstąpił od zasady „nie na własnym podwórku”. Posuwał Minnę przez jakieś dwa miesiące, potem się nią znudził i liczył, że wszystko wróci do normy, jak zawsze. Tym razem stało się jednak inaczej. Od tej pory Minna nie dawała mu żyć, a on nie miał pojęcia, jak się jej pozbyć i nie narobić sobie przy tym jeszcze więcej kłopotów.

Nagle znów dotarło do niego głucho dudnienie i pokrzykiwania robotników. Biuro Petera Claasensa mieściło się na najwyższym piętrze biurowca w hamburskim Altstadt, na północ od Willy-Brandt-Strasse i obok dzielnicy Kontorhaus. Był to całkiem nowy budynek, ale położony tak blisko ceglanych ikon starego miasta, jak choćby Chilehaus i Sprinkenhof, że został zaprojektowany jako nowoczesna, lecz zharmonizowana z otoczeniem wersja tradycyjnego Kontorhausu, z olbrzymim centralnym atrium otwartym ku niebu. Claasens przeniósł tu swoje biuro w dniu, w którym budynek miał zostać ukończony, przekonał się jednak, że budowlańcy mają tu jeszcze mnóstwo pracy i dziesiątki detali do uzupełnienia. Jednym z nich była balustrada otaczająca centralne atrium na jego poziomie, co oznaczało, że jeszcze przez tydzień nie mógł przenieść tu swoich pracowników. Nawet teraz, gdy przeprowadzka dobiegła już końca, w jednym miejscu wciąż brakowało fragmentu balustrady, a przejście było w tym miejscu zablokowane, co oznaczało, że jego pracownicy musieli obejść cały budynek, by dostać się do sąsiedniego biura.

Claasens zsunął pasek, który przytrzymywał okładki segregatora. Przechowywał tu dokumenty dostarczone przez Lenscha wraz z oryginalną, pełną niejasności dokumentacją

transportu. Wszystkie fragmenty, które budziły jego wątpliwości, oznaczył żółtymi samoprzylepnymi karteczkami.

Spojrzał na zegarek. Była piąta. Pozostali pracownicy zbierali się już do wyjścia, wkrótce miała też zadzwonić Emily, by sprawdzić, czy teren jest już czysty. Emily potrafiła uwolnić go od tego wszystkiego, od stresu i zamieszania. W jej towarzystwie stawał się kimś innym. Lepszym. Uśmiechnął się na myśl o czekającej go rozmowie, o jej cudownie niegramatycznej niemczyźnie, którą mówiła z uroczym angielskim akcentem. Potem przyjdzie do jego biura i zostaną sami. Najpierw jednak musiał jeszcze raz sprawdzić te liczby. Na wypadek gdyby jednak Norweg miał rację.

Czuł się podobnie jak w sytuacji, gdy nie może znaleźć kluczy i wciąż wraca do miejsca, w którym – jak mu się wydaje – ostatnio je zostawił.

Claasen wpatrywał się w kartkę, jakby dzięki maksymalnemu skupieniu mógł przywołać liczby i słowa, które widział tam poprzednio. Bo z pewnością widział tam wtedy błąd. Tyle że teraz już go nie było. Zniknęła dokumentacja Lenscha. I żółte karteczki. To zakrawało na jakieś szaleństwo. Obrócił gruby segregator na drugą stronę i sprawdził, czy ktoś nie przełożył tych dokumentów. Oczywiście nie miałyby to większego sensu, ale to, na co właśnie patrzył, wydawało się jeszcze mniej sensowne.

Próbował odizolować się od odgłosów pracy robotników budowlanych, skupić wyłącznie na dokumentach. Miał wrażenie, że za chwilę oszaleje. Wszystko się zgadzało. Nie dostrzegł żadnych rozbieżności.

Co tu się dzieje, do diabła?

Zadzwoniła jego komórka. Wiedział, że to Emily.

ROZDZIAŁ DRUGI

1

Anno... – zaczął Werner niepewnie. – Wybacz, że o to pytam, ale czy nie puściłaś właśnie bąka?

Nacisnął guzik i otworzył okno w przednich drzwiach polo. Zaparkowali w Kiez, na samym końcu Silbersackstrasse, zwróceniu przodem ku Reeperbahn. Ulica była tutaj ciemna i wąska.

– Zamknij okno, dziadku – powiedziała Anna. – Na zewnątrz jest okropny ziąb.

– Chyba wolę zmarznąć.

– Poza tym, kto poczuł, ten wytoczył. – Policjantka uśmiechnęła się niewinnie.

– Czasami twoje maniery pozostawiają wiele do życzenia. – Werner podsunął szybę, zostawiając tylko wąską szparę u góry.

– Ty za mnie nadrabiasz. Przypominasz mi moją ciotkę Rachael. Choć oczywiście nie masz takiego zarostu. Która godzina?

– Dwadzieścia po północy.

– Nudzę się. Naprawdę okropnie, cholernie, niewyobrażalnie się nudzę.

– To część tej pracy. Myślałem, że już się do tego przyzwyczaiłaś.

– Jak to się stało, że nagle zostałam twoją partnerką? – spytała Anna. – Czyżby jego lordowska mość chciał mnie w ten sposób okiełznać, dopóki nie podrzuci mnie komuś innemu?

– Jego lordowska mość? – Werner spojrzał na nią ze zdumieniem.

– No wiesz, Fabel... Angielski komisarz. Skąd u niego to cholerne anglofilstwo? Przecież to cholerny Fryzyczyk.

– Jego matka jest Szkotką – odparł Werner. – Dobrze o tym

wiesz. Przez jakiś czas chodził tam do szkoły. A swoją drogą mogłabyś też wyrażać się w nieco bardziej cywilizowany sposób.

– Pół Szkot, pół Fryzjczyk; nic dziwnego, że nigdy nie widziałam, żeby postawił komuś kolejkę. Tak czy inaczej, rozumiem, że to był jego pomysł?

– Właściwie nie. Ja mu to zaproponowałem.

– Co? Och, rozumiem... Więc ty także uważasz, że jestem trudnym dzieckiem w rodzinie.

– Anno, wybacz, że ci to mówię, ale czasami naprawdę nie sposób z tobą wytrzymać. Zastanawiałem się kiedyś, dlaczego zawsze nosisz tę ciężką skórzaną kurtkę. Teraz już wiem, że chcesz w ten sposób ukryć, jak bardzo jesteś przeczulona na własnym punkcie. Zaproponowałem, żeby Jan przydzielił cię do mnie, bo uważałem, że może nam się dobrze współpracować. Prawdę mówiąc, staram się zatrzymać cię w zespole. Myślę, że tak naprawdę Jan też tego chce.

– Jasne. – Anna parsknęła drwiąco. – Dał mi to wyraźnie do zrozumienia, kiedy mnie wywalił.

– Wiesz, Anno, ten sarkazm wcale do ciebie nie pasuje. A poza tym nikt cię nie wywalił. Jeszcze.

– Czyli pomyślałeś, że dobrze by się nam współpracowało... – Anna uśmiechnęła się szeroko.

– Owszem, ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, że puszczasz baki w towarzystwie.

– Patrz... tam... – Anna położyła dłoń na przedramieniu Wernera i wskazała głową na róg ulicy. Wysoka kobieta o jasnych włosach związanych w kucyk, ubrana w długi czarny płaszcz, szła szybko wzdłuż ulicy, trzymając się ciemniejszej strony. Minęła bar na rogu i szła dalej w stronę Silbersackwiete. – To wygląda obiecująco.

Na terenie Kiez stało sześć nieoznakowanych samochodów policyjnych. Parkowały tu co noc od czasu zamordowania Westlanda, a ukryci w nich policjanci obserwowali mroczne place lub – jak Werner i Anna – ciemniejsze zakątki, porośnięte drzewami i gęstymi krzakami. Jasnowłosa kobieta zwolniła, rozejrzała się dokoła, a potem zniknęła między

drzewami.

– Chyba ją mamy – rzekła Anna. Przełączyła lampkę we wnętrzu auta, by nie zapaliła się, gdy Werner będzie wysiadał.

– Pójdę w drugą stronę, a potem wrócę skrótem – powiedział policjant, wysiadając z auta i cicho zamykając za sobą drzwi. Anna wyjęła z kabury służbowego siga, sprawdziła magazynek i odciągnęła bezpiecznik.

Werner minął samochód po drugiej stronie ulicy. Utrzymywał równe tempo i patrzył prosto przed siebie, nie zdradzając w żaden sposób, że widzi sylwetkę kobiety poruszającą się w mroku, z przodu i nieco na lewo od niego. Od jej kryjówki dzieliło go teraz tylko trzydzieści metrów. Wiedział, że Anna także wyszła już z samochodu i zachodzi kobietę od drugiej strony, kryjąc się za autami zaparkowanymi wzdłuż ulicy. Garbił ramiona i trzymał ręce w kieszeniach swego grubego wełnianego płaszcza, jakby chronił się w ten sposób przed chłodem nocy, lecz jego prawa dłoń zaciskała się na rękojeści pistoletu ukrytego w kieszeni. Zerkając w głąb ciemnej ulicy, zmienił nieco kierunek marszu, odsunął się od muru, który wkrótce miał ustąpić miejsca drzewom i krzakom, po czym zszedł na brukowaną jezdnię. W pobliżu nie było nikogo innego. Werner przypuszczał, że jeśli kobieta ukryta w mroku rzeczywiście jest zabójczynią Westlanda, lada moment ruszy do akcji.

Udał zaskoczenie, kiedy nagle wyszła na ulicę i stanęła przed nim.

– Cześć – powiedziała. Werner wyczuwał napięcie, niemal zdenerwowanie w jej głosie. – Chcesz się zabawić?

Kobieta była wysoka, miała jasne włosy i twarz pokrytą grubą warstwą makijażu. Początkowo Werner ocenił ją na jakieś trzydzieści lat, lecz gdy podszedł bliżej, przekonał się, że makijaż skrywa znacznie starszą skórę.

– To zależy – odparł. – Ile?

– Nie jestem chciwa. Nie powinnam tu pracować. Będzie tanio, ale musimy zrobić to tutaj, za drzewem. – Ruszyła

z powrotem w stronę krzewów, wykrzywiając karmazynowe usta w uśmiechu.

– Zgoda... – Werner poszedł za nią. Nie rozglądał się na boki i starał się utrzymać jej wzrok na sobie, by nie dostrzegła Anny.

– Ile? – spytał ponownie, udając, że sięga po portfel, podczas gdy w rzeczywistości wyciągał z kieszeni broń.

– Porozmawiamy o tym później – odpowiedziała i wyciągnęła do niego rękę. – Chodź.

– Myślałem, że wy, dziewczyny, zawsze chcecie zapłatę z góry – udał zdziwienie Werner.

Kobieta sięgnęła pod płaszcz.

Werner podniósł obiema dłońmi pistolet i skierował lufę na jej twarz.

– Policja! Ręce na głowę! Już!

Widział, jak Anna przesuwając się za plecami prostytutki. Nie miał pojęcia, jak to zrobiła, ale zdołała jakoś zejść ją od tyłu, z drugiej strony niewielkiego skrawka ziemi porośniętego drzewami. Dziwka wpatrywała się w Wernera ze zdumieniem. Anna pochwyciła ją za kołnierz płaszcza.

– Na kolana!

Kobieta wykonała polecenie, a Anna zatrzasnęła obręcz kajdanek na jednym nadgarstku zatrzymanej, ściągnęła jej ręce do tyłu i zamknęła kajdanki na drugim przegubie. Werner wezwał przez krótkofalówkę furgonetkę policyjną.

Tymczasem nieco dalej, w głębi Silbersackstrasse, z baru wyszła grupa młodych mężczyzn. Szli w stronę Hans-Albers-Platz, ale jeden z nich dostrzegł zamieszanie przy skwerze i zawołał pozostałych. Wszyscy ruszyli w tę stronę, wpatrując się z zaciekawieniem w mrok.

– Wszystko w porządku? – spytał jeden z nich bełkotliwie, gdy podeszli bliżej. – Co wy jej, kurwa, robicie?

Anna pokazała mu swoją odznakę.

– Policja. Możecie odejść, to nie wasza sprawa.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – spytał inny mężczyzna. – Co ona zrobiła?

– Nic – odpowiedziała błagalnym tonem kobieta. – Nic nie zrobiłam. Pracuję tu tylko, a oni mnie aresztowali.

– To nie w porządku – stwierdził pierwszy pijak, kręcąc z powagą głową. – To nie jest, kurwa, w porządku.

– Tak, pierdolone psy – dorzucił jego przyjaciel.

– Uspokójcie się, panowie – przemówił Werner. Stał między grupą mężczyzn i zatrzymaną kobietą, przytrzymując ją za łokieć. Przesunął spojrzeniem po gniewnych twarzach. Pięciu. Byli pijani i agresywni, ale nosili drogie ubrania. Bogaci chłopcy, którzy postanowili się zabawić w St. Pauli. Mimo to Werner zastanawiał się, kiedy przyjedzie oddział mundurowych. – To was nie dotyczy.

– To nie jest w porządku, kurwa – powtórzył drugi pijak. Wszyscy podeszli kilka kroków.

– Lepiej stąd idźcie, zanim narobicie sobie kłopotów. – Anna również przesunęła się do przodu i zastąpiła im drogę.

– Bo co, kurwa? – Pierwszy pijak przysunął ku niej twarz wykrzywioną w szyderczym uśmiechu.

– Bo to – odparła spokojnie. Mężczyzna złożył się w pół jak scyzoryk i osunął na bruk, trzymając się mocno za jądra, w które kopnęła go kolanem Anna. Policjantka wyciągnęła przed siebie pistolet zaciśnięty w obu dłoniach i przesunęła nim wzdłuż grupy pijaków, trzymając lufę na wysokości ich kroczy.

– Następnemu, który spróbuje się stawiać, odstrzelę fiuta – powiedziała z uśmiechem. – A wierzcie mi, że naprawdę dobrze strzelam, nawet do takich małych celów.

Wycofali się, zostawiając swojego kompana, który jęczał głośno i wił się z bólu na wilgotnych kamieniach. W tym momencie zatrzymała się obok nich srebrno-niebieska furgonetka policyjna, z której wyskoczyło trzech mundurowych. Wzięli pod ręce zakutą w kajdanki kobietę i posadzili ją z tyłu.

– Co się tu stało? – spytał komisarz w mundurze, wskazując na młodego mężczyznę, który podnosił się powoli z ziemi.

– Nic, o czym warto by mówić – odparł Werner. – Możecie ją zawieźć prosto do Presidium?

– Jasne. Jesteście pewni, że nic mu się nie stało?

– Myślę, że bardzo poważnie zraniłam jego dumę –

odpowiedziała Anna i uśmiechnęła się słodko do Wenera. – Pójdę po samochód.

2

Sylvie Achtenhagen postanowiła zrobić sobie przerwę i odpocząć chwilę od wycinków prasowych i dokumentów, które zaścielały drewnianą podłogę jej salonu. Podeszła do drzwi balkonowych, otworzyła je i wyszła na zewnątrz. Lodowate nocne powietrze było ostre jak nóż, Sylvie z przyjemnością wciągała je w płuca; od półtorej godziny ślęczała nad dokumentami, a jej umysł stał się ociężały i przytępiony. Mieszkanie dziennikarki znajdowało się na trzecim piętrze apartamentowca przy Edgar-Ross-Strasse, w dzielnicy Eppendorf. Było eleganckie i przestronne, wyposażone w duży balkon. Sam budynek pomalowano na pastelowe barwy, a jego fasadę zaprojektowano w stylu art déco. Przeprowadziła się tutaj, gdy jej kariera – i zarobki – poszybowały raptownie w górę. Miała też na oku jedną z secesyjnych will przy Nissenstrasse, ulicę wcześniej, ale na razie była dla niej za droga. Sylvie wiedziała, że ciągle będzie za droga, jeśli wkrótce nie dostarczy do stacji jakiegoś ciekawego materiału.

Kanał HanSat TV należał do Grupy NeuHansa i Andreasa Knabbego, który nią zarządzał. Knabbe był trzydziestolatkiem, który wyglądał na jakieś dwanaście lat i spędził tyle czasu w Stanach Zjednoczonych, że wydawał się raczej Amerykaninem niż Niemcem; jego styl zarządzania z pewnością był bardziej amerykański niż niemiecki. Miał w zwyczaju zwracać się do wszystkich podwładnych po imieniu, często też mówił per ty, nawet do starszych i szanowanych członków personelu. Wszystko to miało na celu stworzenie w firmie przyjaznej, niemal rodzinnej atmosfery. W rzeczywistości jednak, jeśli tylko Knabbe uznał, że ktoś nie zasługuje na swoją pensję albo nie pasuje do jego modelu biznesowego, biedak natychmiast żegnał się z firmą. Knabbe często mówił o sukcesie Sylvie w związku ze sprawą Anioła

w latach dziewięćdziesiątych, coraz częściej także mówił o jej karierze w czasie przeszłym.

Sylvie miała wrażenie, że zdana jest na łaskę i niełaskę losu, że podobnie jak wszyscy dokoła, daje się nieść wydarzeniom. Na tym właśnie polegał cały problem. Stała się bierna. Leniwa. Gdy odnosiła swój największy sukces, nie czekała na wydarzenia, sama je tworzyła.

Sylvie otuliła się szczelniej grubym, zapinanym swetrem, wróciła do pokoju i zamknęła drzwi. Nalała sobie kolejny kieliszek czerwonego wina i usiadła po turecku na podłodze, wodząc spojrzeniem po rozłożonych dokoła materiałach. Gdzieś wśród nich krył się początek tej sprawy, jakiś szczegół, jakaś zapomniana uwaga, zdjęcie lub informacja, która mogła doprowadzić ją do zabójcy. Zbrodnie Anioła w St. Pauli dały początek jej karierze, zaangażowała się całkowicie w tę sprawę, a potem zbierała obfite żniwo. Wiedziała, że jeśli nie zdobędzie jakiegoś sensacyjnego materiału dotyczącego nowych morderstw, sprawa Anioła może również zakończyć jej karierę.

Pociągnęła łyk wina. Była pewna, że nie może liczyć na pomoc tego nadętego dupka Fabla. Hamburgscy policjanci zbytnio za nią nie przepadali, odkąd przed dziesięciu laty na antenie ukazał się jej przełomowy program dokumentalny. Gliniarze mają długą pamięć. Tak czy inaczej, w Fablu było coś, czego szczerze nie znosiła. Miała wrażenie, że nadkomisarz odwzajemnia to uczucie.

Sylvie wiedziała, że ma tylko jedno wyjście – musiała się dowiedzieć, kto zabił Jake'a Westlanda, nim zrobi to policja. Nie miała takich środków jak oni, ale i nie dotyczyły jej ograniczenia, do których musieli stosować się gliniarze. Wiedziała też, że jest od nich o wiele inteligentniejsza. Jednakże jej największym atutem był fakt, że policjanci z pewnością obrali niewłaściwy kierunek poszukiwań. Prawdopodobnie dopatrywali się powiązań między ostatnimi morderstwami a tymi, których Anioł dokonał dziesięć lat temu.

Lecz tym razem zabijał ktoś inny. Ktoś, kto tylko naśladował Anioła. Sylvie była tego pewna.

Armin Lensch sam nie wiedział, co bolało go bardziej: potłuczone jądra czy śmiech i docinki jego kumpli. Dogonił ich chwiejnym krokiem, gdy poszli do pubu w pobliżu Hans-Albers-Platz. Armin wcisnął się w róg ławy okalającej stolik i pociągał niepewnie piwo. Miał nadzieję, że nudności wkrótce ustąpią.

– Brutalność policji... Właśnie tak to trzeba nazwać, brutalność policji – oświadczył poważnym tonem, co jego towarzysze skwitowali salwą śmiechu.

– Nie, to nie była brutalność policji – powiedział Karl, pochylając się ku niemu. – To była dziewczyna, która skopała ci dupę. Widziałeś, ile ona miała wzrostu? Mała dziewczyna skopała ci dupę.

– Zaskoczyła mnie – wymamrotał Armin.

– Nie, po prostu kopnęła cię w jaja! – Kolejna salwa śmiechu.

– Pierdolicie się – warknął Armin, przepychając się do wyjścia i krzywiąc mimowolnie z bólu. – Pierdolicie się wszyscy.

Wytoczył się przed pub, gdzie w końcu nudności wzięły górę. Zwymiotował na chodnik. Kilku przechodniów dosadnie powiedziało, co o nim myśli.

– Pierdolicie się – wydyszał ponownie. Jeszcze odplaci tym gnojom. Za kogo oni się uważają? Armin i jego przyjaciele pracowali w dzielnicy Neustadt-Nord. Wszyscy tam pracowali, ale to Armin był prawdziwą gwiazdą. To on zmierzał prosto na szczyt. I wykorzysta swoją szansę teraz, gdy dowiedział się tego, czego się dowiedział. Ruszył z powrotem w stronę Spielbudenplatz i Reeperbahn, żeby złapać tam taksówkę. Pomyślał o policjantce, która kopnęła go w krocze. Nie pozwoli, by uszło jej to na sucho. Tutaj, teraz, nie różnił się niczym od innych podpitych facetów. Ale poza granicami Kiez, w swoim normalnym życiu, był naprawdę kimś. Miał koneksje. Ta suka drogo mu za to zapłaci. Lecz na samą myśl o tej sytuacji chciało mu się płakać, dał się pobić pieprzonej babie. Zdaniem Armina kobiety nadawały się tylko do jednego. Widywał je w pracy. Niektóre awansowały szybciej niż on. Dobrze wiedział, jak to

robiły, pieprzone dziwki. Miał sporo dziewczyn, ale żaden z tych związków nie trwał zbyt długo. Wcześniej czy później pozwalały sobie na zbyt wiele, Armin dawał im wtedy klapsa i przywoływał je do porządku, a one zaraz wpadały w histerię. Pierdolić je. Pierdolićje wszystkie.

Wciąż szedł przed siebie, oślepiiony bólem i wściekłością. Nagle przystanął i rozejrzał się dokoła. Gdzie on, kurwa, jest? Wydawało mu się, że całkiem dobrze zna Kiez, ale musiał skrócić w niewłaściwą uliczkę. Po chwili zastanowienia ruszył w prawo. Zobaczył z przodu Reeperbahn, ale zaszedł już dalej niż Spielbudenplatz. Mimo to nie powinien mieć większych trudności ze znalezieniem taksówki. W tym właśnie momencie zobaczył beżowego mercedesa i podniósł rękę. Odruchowa reakcja – w Niemczech wszystkie taksówki są beżowe, a wszystkie beżowe auta to taksówki. Gdy samochód zatrzymał się obok niego, otworzył tylne drzwiczki i z jękiem wsunął się na siedzenie.

– Eppendorf... – syknął przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze się pan czuje? – spytała taksówkarka. – Nie wygląda pan najłepiej.

Kurwa, po prostu cudownie, zaklął w duchu Armin. Baba za kierownicą.

– Zawieź mnie do Eppendorf – warknął. Kobieta wzruszyła ramionami, uruchomiła silnik i pojechała w stronę Reeperbahn.

Dopiero gdy na końcu Reeperbahn skręciła w niewłaściwą ulicę i wyjechała nad rzekę, Armin zauważył, że w samochodzie nie ma taksometru – ani licencji taksówkarskiej z ze zdjęciem i nazwiskiem kobiety.

Ale wtedy było już za późno.

Fabel czuł się wykończony. To znacznie bardziej go wyczerpało, niżby przypuszczał. Na szczęście przyszła Susanne, był jej ogromnie wdzięczny za towarzystwo.

– Bardzo interesujące – powiedziała wysoka szczupła kobieta

około pięćdziesiątki, która podeszła właśnie do Fabla. Dzięki plakietce, którą nosiła na ubraniu, nadkomisarz wiedział, że jest to Hille Deicher reprezentująca Muliebritas. – Mam nadzieję, że wyniesie pan coś przydatnego z naszych warsztatów.

Fabel uśmiechnął się pod nosem. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie związani z biznesem, wszelakiej maści nauczyciele i trenerzy z uporem godnym lepszej sprawy nazywają konferencje „warsztatami”. Nikt niczego nie wytwarzał. Żaden z uczestników tych spotkań nie pracował rękami.

– Tak, bez wątpienia było to interesujące doświadczenie – przytaknął uprzejmie Fabel. – Chyba przekonałem wszystkich, że policja Hamburga nie potrzebuje dodatkowej zachęty, by walczyć z problemem przemocy w rodzinie czy też przemocy względem kobiet. Traktujemy ten problem... – Nadkomisarz zamilkł na moment, szukając właściwego określenia.

– Z należytą uwagą – podsunęła Susanne.

– Otóż to. – Fabel pokiwał głową. – Już od kilku lat prowadzimy program przeciwdziałania przemocy w rodzinie. Zapewniam panią, że jeśli chodzi o przemoc względem dzieci lub kobiet, nie okazujemy żadnej tolerancji. Policja hamburska radzi sobie z tym zjawiskiem wyjątkowo skutecznie, mamy jedno z najlepszych wyników w Europie. Muszę jednak powiedzieć, że staramy się chronić wszystkich obywateli Hamburga, bez względu na płeć. I tożsamość etniczną.

– Obawiam się, że wskaźniki przestępczości nie są równie obiektywne – odparła Dreicher. – Jak sam pan twierdził w swojej prezentacji, olbrzymią większość morderstw popełniają mężczyźni na kobietach, a bardzo często miejscem tych zbrodni jest dom rodzinny. Należałoby do tego dodać niezliczoną liczbę napaści na kobiety, do czego również dochodzi w ich własnych domach.

– To wszystko prawda – zgodził się Fabel, spoglądając błagalnie na Susanne. – I jak już mówiłem, traktujemy ten obszar przestępczości priorytetowo.

– Może właśnie dlatego ta kobieta w St. Pauli zabija mężczyzn. – Deicher uśmiechnęła się chłodno. – Może chce

przywrócić równowagę w statystykach zbrodni popełnianych na kobietach i mężczyznach. Prawdę mówiąc, nie mogła wybrać sobie lepszego miejsca. To skandal i absurd, że w Hamburgu istnieje ulica, na którą kobiety nie mają wstępu.

– Proszę posłuchać, pani Deicher – zaczął Fabel, czując, jak nagle ogarnia go gniew. – To nie policja ani władze państwowe...

– Co właściwie oznacza Muliebritas? – przerwała mu Susanne, zwracając się z tym pytaniem do Deicher.

– To łacińskie słowo, oznacza mniej więcej tyle, co „kobiecość”. To także nazwa czasopisma, dla którego pracuję. I organizacji charytatywnej, którą wspieramy. – Spojrzała wymownie na Fabla. – Organizujemy pomoc dla kobiet, które stały się ofiarami przemocy w rodzinie.

– To interesująca nazwa – stwierdziła Susanne, wciąż się uśmiechając. – Czy właśnie stąd wywodzi się hiszpańskie słowo *mujer*?

Susanne zdołała jakoś skierować rozmowę na spokojniejsze wody, a po chwili Deicher oddaliła się i zniknęła w tłumie innych delegatek.

– Dziękuję – powiedział Fabel do Susanne, gdy Deicher w końcu sobie poszła. – Ta kobieta naprawdę zaczęła mi już działać na nerwy. Nie wiem, dlaczego chcieli tu koniecznie wysłać właśnie mnie.

– Bo jesteś szefem wydziału zabójstw hamburskiej policji i czy ci się to podoba, czy nie, Deicher ma sporo racji, wciąż żyjemy w społeczeństwie, w którym to głównie kobiety są ofiarami przemocy. A poza tym uważam, że poszło ci naprawdę nieźle. – Susanne uśmiechnęła się i poprawiła mu krawat, jakby miała za moment wysłać go do szkoły. – Szczególnie że kobiety działają na ciebie wyjątkowo deprymująco.

– Co masz na myśli? – spytał z oburzeniem Fabel.

– Cóż, na pierwszy rzut oka widać, że twoim zdaniem pochodzimy z jakiejś obcej planety. Ale nie przejmuj się, większość mężczyzn reaguje tak samo.

Fabel chciał odpowiedzieć, lecz w tym właśnie momencie zadzwoniła jego komórka. Spojrzył na wyświetlacz. Połączenie

z wydziałem zabójstw.

– Przepraszam – mruknął, wzruszając ramionami i podnosząc telefon do ucha. – Pewnie kolejne morderstwo.

– Jeśli tak, to nawet pomimo tej historii z Aniołem ofiarą jest z pewnością kobieta, mogę się założyć... – powiedziała Susanne.

5.

Fabel spotkał się z Anną i Wernerem w korytarzu przy pokoju przesłuchań. Podwładni nadkomisarza mieli nietęgę miny.

– Powiedzcie mi, że to jest nasza zabójczyni... – zaczął ostrzegawczym tonem Fabel.

– Wszystko na to wskazywało, Janie – odparł Werner. – Zwabiła mnie na ubocze, w ciemny zaułek. Wydawało się, że nie czuje się dobrze w roli dziwki, a kiedy sięgnęła pod płaszcz, zdjęliśmy ją.

– Ale?

– Nazywa się Viola Dahlke – wyjaśniła Anna. – Ma czterdzieści pięć lat i żadnych przestępstw na koncie. Jest gospodynią domową z Billstedt.

– To jeszcze nie znaczy, że nie jest zabójczynią. Znaleźliście nóż?

– Nie. – Anna pokręciła głową. – Kiedy sięgnęła pod płaszcz, oboje myśleliśmy, że chce wyjąć broń, ale okazało się, że to były tylko kondomy.

– Kondomy?

– Nic więcej – potwierdziła policjantka. – Nie pytaj mnie, co czterdziestopięcioletnia gospodyni domowa z Billstedt robi w dzielnicy czerwonych latarni i dlaczego gotowa jest zrobić dobrze Wernerowi.

– W porządku – odparł Fabel. – Nie zrobię tego. Pójdę i sam ją o to zapytam.

Areszt jest pozbawieniem wyboru. Człowiek zostaje przeniesiony do miejsca, które wybrał za niego ktoś inny, i nie

ma go prawa opuścić. Zawodowi przestępcy traktują areszt jako naturalną część swojego życia, nawet ci, których trzeba wlec do cel siłą. Dla wszystkich pozostałych aresztowanie jest doświadczeniem traumatycznym. A co najmniej surrealistycznym.

Fabel od razu domyślił się, że Viola Dahlke nigdy wcześniej nie przebywała w areszcie. Prawdopodobnie nigdy nawet nie przekroczyła progu komisariatu, nie mówiąc już o Police Presidium. Dahlke wydawała się wystraszona, zdezorientowana. Gruba warstwa makijażu nie mogła skryć bladości jej twarzy, a ostre światło pokoju przesłuchań pogłębiało tylko cienie pod jej kośćmi policzkowymi. Jej włosy miały matowy jasny kolor, na który farbuje się wiele Niemek, gdy na ich głowach pojawia się siwizna. Dahlke nosiła je ściągnięte w ciasny kucyk. Zarówno makijaż, jak i fryzura zupełnie do niej nie pasowały, niczym źle dobrane ubranie.

– Pani Dahlke, zapewne wie już pani, że zgodnie z artykułem sto trzydziestym szóstym kodeksu karnego ma pani prawo zachować milczenie. Ma pani także prawo do adwokata. Rozumie pani swoje prawa?

Viola Dahlke skinęła głową. Wyglądała tak, jakby nosiła na barkach cały świat i pogodziła się z tym brzemieniem.

– Nie chcę prawnika. Chcę wrócić do domu. Przepraszam. Jeśli złamałam prawo, zapłacę grzywnę. Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Tak naprawdę nie jestem... Nie jestem jedną z tych kobiet.

– Pani Dahlke, chyba nie rozumie pani swojej sytuacji. Nie interesuje nas to, czy jest pani prostytutką, czy robi to pani zawodowo, czy tylko raz na jakiś czas, czy też w ogóle się pani tym nie zajmuje. Nazywam się Fabel, jestem głównym nadkomisarzem, szefem wydziału zabójstw. Policjanci, którzy panią aresztowali, pracują właśnie w tym wydziale.

– W wydziale zabójstw? – Widać było, że słowa Fabela wystraszyły ją nie na żarty. – Co ja mam wspólnego z zabójstwem?

– Słyszała pani o tym, co wydarzyło się w tamtej okolicy zeszłego tygodnia? Nie mogła pani tego przeoczyć, trąbiła

o tym prasa i telewizja. Jake Westland, brytyjski piosenkarz.

Dahlke otworzyła szeroko oczy, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie tę oczywistą prawdę. Oczywistą i przerażającą. Przez chwilę wpatrywała się w twarz Fabla, jakby szukała w niej otuchy. Nie znalazła jej.

– Nie mam z tym nic wspólnego – powiedziała drżącym głosem. – Przysięgam, nie mam z tym nic wspólnego.

– Pani Dahlke, jest pani gospodynią domową w średnim wieku, która przebiera się za prostytutkę i która próbowała zwabić jednego z moich policjantów w ciemny zaułek. W zeszłym tygodniu, niecałe dwieście metrów od miejsca, w którym panią aresztowano, Jake Westland znalazł się w podobnej sytuacji i został zamordowany przez kogoś, kto udawał prostytutkę.

Dahlke wpatrywała się w Fabla, jakby nie mogła uwierzyć w jego słowa. Jakby nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Zakładam, że rozumie pani teraz powagę swojej sytuacji.

– Ja nie... Ja nigdy... Ja przecież nie chciałam nikogo skrzywdzić.

– Gdzie była pani między dwudziestą trzecią w sobotę dwudziestego szóstego i pierwszą w nocy w niedzielę dwudziestego siódmego?

– Byłam w domu. W łóżku.

– Kto może to potwierdzić?

– Mój mąż. – Na twarzy Dahlke po raz kolejny pojawił się grymas przerażenia. – Och nie, proszę, nie... Nie mówcie o tym mojemu mężowi.

– Pani Dahlke, chyba jednak nadal nie rozumie pani powagi sytuacji. Jeśli nie ustalimy, gdzie przebywała pani w czasie morderstwa, zostanie pani zatrzymana na kolejne przesłuchanie, a ekipa śledcza przeszuka pani dom. Jeśli rzeczywiście była pani wtedy ze swoim mężem, będzie musiał to potwierdzić.

– Ale ja nie zrobiłam nic złego! – zaszlochała kobieta. – Nikogo nie skrzywdziłam. Przysięgam.

– Pracuje pani gdzieś, pani Dahlke?

- W miejscowej bibliotece. Na pół etatu.
- A pani mąż?
- Jest inżynierem.
- To dlaczego pracuje pani jako prostytutka?
- Nie pracuję. Ja... – Znow spójrzała błagalnie na Fabla, szukając u niego choćby cienia zrozumienia. Potem opuściła głowę i wbiła wzrok w blat stołu. – Zrobiłam to tylko trzy razy – powiedziała głuchym, pozbawionym wyrazu głosem. – I nie robię tego dla pieniędzy.
- Więc dlaczego? Dlaczego podejmuje pani takie ryzyko?
- Ponownie podniosła na niego wzrok. Jej oczy były pełne łez, które spływały po jej policzkach i rozmywały makijaż.
- Jestem zwyczajną kobietą. Zwyczajną i nudną. Mam nudnego męża i nudne dzieci. Nigdy nie byłam z innym mężczyzną, nim wyszłam za mąż. Pewnej nocy poszłam do Kiez. Tylko popatrzeć. Nie wiem dlaczego. Chciałam zobaczyć, co tam się dzieje. Ludzi, którzy tam chodzą. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, ale weszłam do baru i poznałam tego mężczyznę... Zrobiłam to z nim.
- Gdzie?
- W jego samochodzie. – Ciałem kobiety wciąż wstrząsał tłumiony szloch.
- Nadal nie rozumiem dlaczego. – Fabel pokręcił głową. – Dlaczego pani tego chciała?
- Nie zrozumie pan. Żaden mężczyzna nie zrozumie. Zrobiłam to, żeby przeżyć coś emocjonującego. Poczucie się chcianą. Pożądaną.

Słyszeliście wszystko? – spytał Fabel, gdy spotkał się z Anną i Wernerem na korytarzu. Oboje oglądali przesłuchanie na monitorze umieszczonym w sąsiednim pokoju.

- Tak. – Werner skinął głową. – Dziwne. Wierzysz jej?
- Na pewno nie mogła wyrzucić noża, zanim ją zatrzymaliście? – spytał Fabel.
- Na pewno – potwierdziła Anna. – Werner przez cały czas miał na nią oko, a natychmiast po zatrzymaniu dokładnie ją

przeszukaliśmy. Nic.

Fabel pokręcił głową.

– Czasami po prostu się poddaję. Zatrzymajcie ją jeszcze i sprawdźcie, czy jej mąż potwierdzi jej alibi. Starajcie się zrobić to... sam nie wiem... dyplomatycznie.

– Tak, jasne – parsknęła Anna. – Może powinnam go zapytać, czy widział Catherine Deneuve w *Piękności dnia*. Nie chcę, żeby zabrzmiało to jak kiepski żart, szefie, ale po prostu nie da się dyplomatycznie wytłumaczyć facetowi, że jego żona dorabiała na boku jako dziwka. Co mam mu powiedzieć: „Och, proszę się tym tak bardzo nie przejmować. Nie chodzi o to, że harowała, żeby związać jakoś koniec z końcem, ona po prostu lubi ten sport”.

– Anna ma rację, Janie. – Werner skinął głową. – Tej pigułki nie da się osłodzić.

– Po prostu trzymajcie się tego, że jest podejrzana w sprawie poważnego przestępstwa i że musicie ustalić, co robiła tamtej nocy. Z reszty niech tłumaczy się sama.

– W porządku, szefie.

Fabel wrócił do swojego biura. Sprawdził pocztę elektroniczną. Znalazł tam wiadomość od Heidena, który przypominał mu, że *Politdirektør* Vestergaard, szef zmarłego policjanta z Danii, Jespersena, przylatuje do nich za kilka dni. Van Heiden podał nawet dokładną godzinę przylotu.

– Jakbym nie miał nic lepszego do roboty – mruknął Fabel. Bardzo chciał porozmawiać z szefem Jespersena, ale miał nadzieję, że Heiden zorganizuje mu chociaż jakiś transport z lotniska.

Spojrzał na zegarek. Druga w nocy. Pojedzie do domu, prześpi się trochę i rano wróci do Presidium. Ziwnął szeroko. Robił się za stary na to wszystko. Pomyślał o Violi Dahlke. Był pewien, że nie może zasnąć, leży w swojej celi przerażona i rozmyśla o swoim życiu, analizuje każdy jego fragment. Co ona wyrabiała, do cholery? Miała rację: nie rozumiał tego. Tak jak nie rozumiał, dlaczego tak wielu ludzi, których spotkał

podczas swej kariery, robiło to, co robiło. Ludzka seksualność była czymś niezwykle zawiłym, pokrętnym. Wiele morderstw, którymi się zajmował, zawierało jakiś dziwaczny element seksualny, a Fabel musiał wielokrotnie żeglować po mrocznych i wzburzonych morzach ludzkich dusz. Czasami rzeczywiście miał wrażenie, że kobiety pozostają dlań nieznanym kontynentem.

Sięgnął po tweedową marynarkę ułożoną na oparciu krzesła, a potem zdjął płaszcz z wieszaka. Kiedy ruszył do drzwi, był niemal pewien, że lada moment zadzwoni telefon.

Zadzwonił.

6.

Biorąc pod uwagę charakter jego pracy, Fabel nie mógł się nadziwić, że jedyną rzeczą, z którą nigdy do końca nie mógł się pogodzić, był nagły kres życia.

Słyszał kiedyś, że każdy astronauta, który znajdzie się w kosmosie i spojrzy na Ziemię, staje się w tym momencie zdeklarowanym ateistą albo nabiera niezachwianej wiary w istnienie Boga. To doświadczenie nie pozostawia miejsca na wypośrodkowane, stonowane poglądy. Fabel nie wiedział, czy tak jest w istocie, czy też to tylko jedna z wymyślonych przez dziennikarzy opowieści, ale dobrze rozumiał to uczucie. Doświadczał czegoś podobnego za każdym razem, gdy patrzył na zmarłych. Zwłoki pozbawione są człowieczeństwa, zmarły nie wygląda tak, jakby na chwilę usnął, staje się jedynie przedmiotem o ludzkich kształtach. Pustą skorupą. Większość zmarłych, z którymi Fabel miał do czynienia, została siłą wyrzucona z tej skorupy.

Tam, gdzie niektórzy widzieli naczynie porzucone przez odchodzącą duszę, Fabel dostrzegał jedynie pustkę. Ostateczny kres działania współzależnych układów biologicznych. Koniec wszechświata widzianego z punktu, który już nigdy nie miał zaistnieć ponownie.

Wszechświat widziany oczami Armina Lenscha zniknął bezpowrotnie.

Jego zwłoki leżały na pokrytym trawą i gruzem skrawku ziemi przy brzegu Łaby, w pobliżu Hafenstrasse. Za poduszkę służyło mu kilka butelek po piwie i koło z jakiejś dawno już porzuconej dziecięcej zabawki, a trawę, na której spoczywał, otaczał prostokąt popękanych cegieł, pozostałość po jakimś budynku portowym. Deszcz ze śniegiem przeszedł powoli w śnieg, więc technicy rozbili namiot, którym przykryli miejsce zbrodni. Dodatkowo oświetlili je lampami umocowanymi na teleskopowych stojakach. Lensch zginął podobnie jak Westland, trzewia wypływające z rany w jego brzuchu, która przypominała teraz rozchylone usta, lśniły w ostrym blasku reflektorów. W powietrzu unosił się przyprawiający o mdłości zapach śmierci.

Do Fabla podszedł mężczyzna okryty od stóp do głów białym kombinezonem, który uzupełniały lateksowe rękawiczki i maska chirurgiczna.

– Witaj, Janie. – Holger Brauner, szef ekipy kryminalistycznej, zsunął maskę z twarzy i uśmiechnął się do nadkomisarza. – Kolejna noc pełna atrakcji, co...

Fabel również odpowiedział mu uśmiechem. Brauner niemal zawsze był w dobrym humorze pomimo swojej pracy. A może właśnie ze względu na nią.

– Cześć, Holger. Masz już coś ciekawego?

– Po wstępnych oględzinach mogę stwierdzić, że to mężczyzna, około dwudziestu dziewięciu lat, sto siedemdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu, dobrze sytuowany pracownik sektora finansowego, grupa krwi zero Rh-, ma alergię na orzechy i mieszka w Eppendorfie.

– Imponujące, Sherlocku. – Fabel pokiwał głową. – Znalazłeś jego portfel, co?

– Ależ skąd. Ustaliłem to wszystko dzięki badaniu DNA, olbrzymiej wiedzy i niezrównanej biegłości w sztuce badań kryminalistycznych. Nie oglądałeś nigdy CSI? – Brauner wyszczerzył zęby w uśmiechu i podniósł foliową torebkę z portfelem i dowodem osobistym. – Wszystko jest tutaj – powiedział. – Także karty kredytowe, gotówka i telefon komórkowy. Wygląda na to, że możemy wykluczyć motyw

rabunkowy.

– Szukanie motywów zostaw nam, szczerze laboratoryjny – odparł z uśmiechem Fabel. Usłyszał, jak ktoś wchodzi do namiotu. Odwrócił się i zobaczył Annę i Wenera. To właśnie Wenera zadzwonił do niego z wiadomością o morderstwie. Zastępca nadkomisarza przewrócił oczami, gdy wszedł wraz z Anną w głąb namiotu. Fabel domyślił się, o co mu chodzi: makijaż Anny wyjątkowo ostro kontrastował z bledością jej skóry. Niedawno Fabel widział to samo zjawisko na twarzy Violi Dahlke. U Anny bledość wywołał widok rozprutego brzucha Armina Lenscha, który starannie omijała wzrokiem. Pięta achillesowa małej twardej Anny i kolejny powód, dla którego należało rozważyć jej przeniesienie.

– Dobrze się czujesz? – spytał Fabel.

– W porządku – odparła hardo Anna, nadal jednak starała się nie patrzeć na Lenscha. – Więc mamy numer dwa. Wygląda na to, że jesteśmy na początku całej serii.

– Chciałbym, żebyście się dowiedzieli, gdzie ostatnio go widziano, z kim był. Wenerze, o co chodzi? – Fabel zauważył, że Wenera pochyla się nad zmarłym i wpatruje w jego twarz.

– Anno, podejdź tu proszę i rzuć okiem.

– Jasne... Bardzo zabawne.

– Mówię poważnie. Spójrz na niego: czy to nie ten facet, którego spotkaliśmy wcześniej? Wiesz, kiedy aresztowaliśmy Dahlke?

Anna przysunęła się bliżej ciała, zakrywając nos dłonią.

– Cholera... masz rację.

– Mówcie zaraz, o co chodzi – rozkazał Fabel.

– To tylko zbieg okoliczności, szefie – odparła Anna. – To znaczy, przypuszczam, że to zbieg okoliczności. Pamiętasz, mówiliśmy ci, że mieliśmy drobne kłopoty podczas aresztowania Dahlke, zaczęło nas kilku pijaków.

– Pamiętam.

– On był prowodyrem – dodał Wenera.

Fabel spojrział na Lenscha. Usta martwego mężczyzny były lekko rozchylone, jakby chciał coś powiedzieć, wciąż miał też uchylone powieki. Nosił krótko przycięte włosy, ułożone na żel.

Koszula wyglądała na dość drogą, choć jej dolna połowa była teraz przesiąknięta krwią. Spodnie Lenscha były rozpięte, rozporek rozsunięty. Morderca rozplątał mu brzuch jednym prostym cięciem. Z pewnością dobrze wiedział, jak to zrobić.

– Więc dlaczego nie został aresztowany? – spytał Fabel. – Odszedł spokojnie?

– Trochę tylko pojękiwał – mruknęła Anna. Fabel zauważył, że Werner posyła jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Anno, proszę, tylko mi nie mów... – zaczął Fabel zirytowany.

– Posłuchaj, szefie, robiło się naprawdę nieciekawie. Czekał na wsparcie, a ten chłoptaş zaczął podskakiwać. Zgodnie z przepisami, jeśli ktoś zachowuje się agresywnie i pomimo ostrzeżenia zbliża się na odległość mniejszą niż półtora metra, możemy go obezwładnić.

– Czy tak to właśnie wyglądało? Ostrzegaliście go?

– Kazaliśmy mu się cofnąć – odpowiedział Werner. – Ale ten facet próbował wszcząć awanturę. Anna postąpiła odpowiednio do sytuacji, Janie.

– Wyjęłaś broń?

– Tak – potwierdziła Anna.

– Więc dlaczego nie sporządziłaś raportu? Uderzyłaś go?

– Tak... w pewnym sensie. – Anna westchnęła ciężko. – Kopnęłam go w krocze.

– Cudownie! Po prostu cudownie, Anno. Zdajesz sobie chyba sprawę, że musisz przygotować szczegółowy raport na ten temat? Jeśli doznał jakiegoś urazu albo choćby spuchł w tym miejscu, wszystko zostanie opisane podczas sekcji. Na miłość boską, Anno... Wernerze, dlaczego do tego dopuściłeś? Miałeś ją krótko trzymać.

– Co miał robić? – Anna obrzuciła Fabla gniewnym spojrzeniem.

– Spokojnie, Anno, to nic takiego – zapewnił ją Werner. – Janie, kiedy ten facet zaczął się stawiać, byliśmy niemal pewni, że właśnie zatrzymaliśmy Anioła. A przynajmniej zabójczynię Jake'a Westlanda. I jak już wspomniała Anna, oni mieli przewagę liczebną. Myślę, że powinienes dać sobie z tym

spokój.

– Tak myślisz? – Fabel westchnął. – Anno, jutro rano chcę zobaczyć na biurku twój raport. – Spojrzał na dowód osobisty zamknięty w foliowej torbie, którą dał mu wcześniej Brauner. – Armin Lensch... Widzieliście, dokąd poszedł po spotkaniu z wami?

– Za swoimi kumplami – odparła Anna. – Szli w stronę Hans-Albers-Platz.

– Więc proponuję, żebyś powiększyła to zdjęcie... – Fabel rzucił jej worek z dowodem Lenscha. – ...wzięła odbitkę i przeszła się po okolicznych barach. Może dowiesz się, gdzie był i kiedy. Werner, ty skontaktuj się z jego rodziną. A skoro już o tym mowa: widzieliście się z mężem Dahlke?

– Jeszcze nie. Właśnie jechaliśmy do niego, kiedy dostaliśmy tę informację.

– W porządku. Anno, ty zajmiesz się barami, przydzielę ci jakiegoś mundurowego do towarzystwa – a ty, Wernerze, pojedziesz odebrać zeznanie męża Dahlke.

– Dobrze, Janie. – Werner skinął głową. – Ale czy teraz ma to jeszcze sens? No wiesz, ona nie mogła załatwić tego faceta. Była w areszcie, odkąd ostatnio widzieliśmy go żywego.

– Tak czy inaczej, musimy potwierdzić jej alibi na czas śmierci Westlanda.

Fabel zszedł po stromym nasypie do Hafenstrasse, gdzie obok srebrno-niebieskich radiowozów stał jego samochód. Był zmęczony i zirytowany, przez moment zastanawiał się, czy pojechać w stronę centrum miasta i Pöseldorfu, gdzie od pięciu lat miał mieszkanie na poddaszu. W końcu jednak pojechał na zachód, w stronę Altony, do swojego nowego domu. Wspólnego domu.

Hamburg jest miastem, gdzie elegancja i rozwiązłość egzystują tuż obok siebie, choć wcale za sobą nie przepadają. Celowa wulgarność St. Pauli sąsiaduje z powściągliwą wytwornością jednej z bogatszych części Altony. W czasach, gdy Altonę zamieszkiwali Duńczycy, St. Pauli było bezpiecznym,

bagnistym pasem ziemi, oddzielającym ją od niemieckiego Hamburga. Zarówno Altona, jak i Hamburg zdominowane były przez luteranów. Katolicy, którzy chcieli swobodnie wyznawać swą wiarę, musieli szukać wolności za granicami obu miast. Tak powstała ulica Grosse Freiheit, Wielka Wolność. Jednak St. Pauli stało się również dzielnicą biedoty i przestępców, w średniowieczu tu właśnie mieściły się przytulki dla ubogich i szpitale zakaźne.

Fabel potrzebował tylko kilku minut jazdy Breitestrasse, by opuścić wulgarny przepych St. Pauli i znaleźć się między szpalerami drzew bulwaru Palmaille, przy którym ciągnęły się szeregi eleganckich willi. Zaczął padać śnieg, nagie gałęzie drzew iskrzyły się w blasku reflektorów.

Nagle tknęła go pewna myśl. Zatrzymał się przy krawężniku i sięgnął między nogami pod fotel kierowcy. Jego palce dotknęły jakiegoś niewielkiego metalowego przedmiotu.

– Mam cię, mała cholero... – Po krótkich zmaganiach wyjął odtwarzacz MP3 i położył go w plastikowym zagłębieniu obok hamulca ręcznego. Potem ponownie zapiął pas i wyjechał na jezdnię. W tym samym momencie uśmiech znikł z jego twarzy. Na następnym skrzyżowaniu skręcił w lewo, w Behnstrasse. Potem znów w lewo, w Struenseestrasse. I jeszcze raz w lewo, z powrotem na Palmaille.

Wciąż tam był.

Fabel zauważył go po raz pierwszy, gdy zjechał na pobocze, by odszukać odtwarzacz MP3. Jakiś samochód jechał około sześćdziesięciu metrów za nim i zatrzymał się niemal w tym samym momencie co on. Ostatnie trzy manewry Fabla nie miały sensu, a mimo to auto podążające jego śladem zrobiło to samo. Nadkomisarza niepokoił przede wszystkim fakt, że tak późno to zauważył. Bóg jeden wiedział, jak długo za nim jechali. Może od miejsca zbrodni, a może jeszcze wcześniej. Fabel był już niedaleko budynku, w którym mieszkał wraz z Susanne, ale nie zamierzał tam teraz jechać. Nie miał pojęcia, kto go śledzi i jak duże stanowi zagrożenie. Przejechał przez Palmaille i ruszył prosto w stronę Neumühlen i Övelgönne. Nie zatrzymując się, sięgnął po komórkę.

– Mówi nadkomisarz Fabel – powiedział do policjanta w centrum dowodzenia, który odebrał jego telefon. – Jestem w Altonie, jadę Palmaille na zachód. Właśnie minąłem muzeum rybołówstwa. Gdzie jest najbliższa kamera uliczna?

– Na skrzyżowaniu z Max-Brauer-Alle.

– Jadę ciemnym bmw trójką, w starszej wersji nadwozia. Tuż za mną jedzie jakiś samochód. Kiedy skręcę na północ w Max-Brauer-Allee, odczytajcie jego tablice rejestracyjne i sprawdźcie do kogo należy, dobrze?

– Tak jest, panie nadkomisarzu. Potrzebuje pan pomocy? Mogę tam wysłać radiowóz.

– To pewnie nic takiego, ale jeśli macie jakiś patrol w okolicy, przyślijcie go na Max-Brauer-Alle. Zadzwońcie do mnie pod ten numer, kiedy już dowiecie się, czyj to samochód.

Na skrzyżowaniu Fabel skręcił w Max-Brauer-Allee. Po chwili sprawdził, czy nadal jest śledzony. Przejechał obok barokowej fasady ratusza Altony, a kiedy mijał koniec drogi przy Platzder-Republik, zobaczył srebrno-niebieski radiowóz czekający na skrzyżowaniu. W tym samym momencie zadzwoniła jego komórka.

– Panie nadkomisarzu, tutaj centrum dowodzenia Presidium. Mamy tę rejestrację. Samochód, który jedzie za panem, to mercedes CLK, kabriolet, należący do niejakiej Sylvie Achtenhagen, zamieszkałej przy Edgar-Ross-Strasse w Altona. Czy to nie...?

– Tak, to właśnie ona. Proszę przekazać do radiowozu, żeby kazał jej się zatrzymać.

Fabel zjechał na skraj ulicy, gdy tylko zobaczył w lusterku wstecznym, że radiowóz zatrzymał mercedesa. Wysiadł i podszedł do Achtenhagen, która również wyszła za swojego auta i dyskutowała z dwoma mundurowymi.

– Dziękuję, teraz już sam się tym zajmę – powiedział do nich Fabel.

– To zakrawa na nękanie – oświadczyła Achtenhagen z niezbyt przekonującym oburzeniem. – Zatrzymywanie

przedstawiciela prasy bez konkretnego powodu. A może chodzi o to, że wprawiam pana w zakłopotanie, pokazując publicznie pana niekompetencję?

– Skończyła pani? – spytał Fabel z westchnieniem. – Chcę wiedzieć, dlaczego pani mnie śledziła.

– Nie śledziłam. Mieszkam w Altonie.

– Proszę nie opowiadać bzdur, pani Achtenhagen. Jest prawie wpół do czwartej nad ranem, a ja chciałbym w końcu wrócić do domu. Jeździła pani za mną w kółko. Śledzi mnie pani, odkąd opuściłem miejsce zabójstwa.

– Och, więc doszło do kolejnego zabójstwa? – Jej zdumienie było równie mało autentyczne jak poprzednie oburzenie. Fabel skrzyżował ręce na piersiach, dając jej do zrozumienia, że ma już dość tych gier.

– No dobrze... – westchnęła dziennikarka. – Ale mam prawo jeździć, dokąd chcę i za kim tylko chcę. Pan i pański wydział nie byliście do tej pory zbyt pomocni, więc postanowiłam mieć na pana oko. I słusznie, bo dziś na pewno mi się to opłaciło. Kto był ofiarą?

Nadkomisarz milczał.

– Panie Fabel, wiem, że na razie nasze stosunki nie układają się najlepiej...

– Nie układają się wcale. Mówiłem już pani, że kontakty z mediami nie należą do zakresu moich obowiązków. Poza tym powiedzmy sobie szczerze, pani Achtenhagen, telewizja satelitarna nie jest miejscem, gdzie przeprowadza się dogłębną i rzeczową analizę wiadomości. Słyszałem, jak mówiła pani o tym, że nadawcy powinni nie tylko relacjonować fakty, ale i je tworzyć. Pani szuka wyłącznie sensacji. Drastycznych szczegółów i szablonowych postaci, które mogłaby pani pokazywać publice. Ja działam w realnym świecie.

– Moglibyśmy pomagać sobie nawzajem – zasugerowała Achtenhagen.

– Nie, nie moglibyśmy. A przynajmniej pani nie może pomóc mnie. To nie jest jedno z tych pani tanich sobotnich przedstawień. Schwytnie i skazanie przestępcy wymaga profesjonalnych działań policyjnych, doskonałej znajomości

kryminalistyki, nowoczesnej aparatury i legalnie zgromadzonych materiałów dowodowych. Tutaj nie ma miejsca dla domorosłych detektywów z telewizji, którzy próbują złapać mordercę na własną rękę.

– Nie o tym mówię! – Achtenhagen odparła podniesionym głosem. – Może pan w to wierzyć lub nie, ale istnieją rzeczy, których wy nie możecie się dowiedzieć, a ja owszem. Nie brakuje też ludzi, którzy woleliby rzucić się do rzeki, niż porozmawiać z gliniarzem. Dobrze wiem, kim jest Carstens Kaminski, trybun ludowy z Davidwache. On też nie wie o wielu rzeczach, które dzieją się na jego terenie. Jest gliniarzem, a ludzie nie lubią gliniarzy. Ludzie lubią telewizję. Lubią mnie. Rozmawiają ze mną.

– Jak już pani mówiłem...

– Proszę posłuchać – przerwała mu Achtenhagen. – Nie twierdzę, że znajdę zabójcę. Nie twierdzę też wcale, że dostarczę mocne dowody. Ale istnieje szansa, całkiem spora szansa, że naprowadzę was na właściwy trop.

– To bardzo szlachetne z pani strony – odparł Fabel z drwiącym uśmiechem. – Mam nadzieję, że zanim wygłosi pani swoje teorie na antenie HanSat, przyjdzie pani z nimi do nas.

– W rzeczy samej tak właśnie zrobię. Ale pod jednym warunkiem.

– Mianowicie?

– Jeśli dostarczę informacji, które doprowadzą was do zabójcy, pozwolicie mi nakręcić reportaż na prawach wyłączności. Pięć... nie, dziesięć godzin przed tym, jak podacie szczegóły innym mediom.

– Nawet gdybym był zainteresowany taką ofertą, nie mógłbym się na nią zgodzić, bo nie mam takich uprawnień. Nasz dział prasowy ma bardzo dobre stosunki z lokalnymi mediami. Na pewno nie chciałby ich zepsuć, przekazując najważniejsze wiadomości komuś innemu.

– Jakoś byście sobie z tym poradzili. I złapalibyście zabójcę. – Achtenhagen poprawiła kołnierz płaszcza. – Okropnie tu zimno. Mieszkam niedaleko, może wpadnie pan do mnie na

kawę i porozmawiamy o tym w przyjemniejszych warunkach?

– Jadę do domu, pani Achtenhagen – odparł Fabel chłodnym, ostrym tonem.

– Cóż, proszę przynajmniej zastanowić się nad moją propozycją.

– Dobranoc, pani Achtenhagen.

Fabel wsiadł do samochodu. Obserwował w lusterku wstecznym mercedesa dziennikarki, a gdy ta w końcu odjechała, siedział jeszcze przez chwilę i analizował w myślach rozmowę, którą właśnie z nią odbył. Potem uruchomił silnik, wrzucił bieg i ruszył w stronę Othmarschen.

7

Fabel zaparkował przed centrum psychiatrycznym kliniki uniwersyteckiej, pozdrowił skinieniem głowy ochroniarza siedzącego przy wejściu i wszedł na pierwsze piętro. Zapukał do drzwi z tabliczką „Doktor Eckhardt: Psychologia sądowa”.

– Witaj nieznajomy... – Trzydziestokilkuletnia kobieta siedząca za biurkiem miała gęste ciemne włosy splecione we francuski warkocz. Mówiła z miękkim bawarskim akcentem. Fabel uśmiechnął się do niej.

– Cześć... Mam nadzieję, że nie obudziłem cię w nocy.

– Znasz mnie – odparła Susanne. – Kiedy już zasnę, śpię jak kamień. O której wróciłeś?

– Około czwartej. Ale pospałem trochę dłużej rano – dodał Fabel, ziewając głośno.

– Widzę, że nie bardzo ci to pomogło. Nie będziesz dziś pracował do późna, prawda?

– Jeśli nie będę musiał... Ale teraz nie mogę zostać dłużej. Wpadłem po drodze, żeby dać ci to... – Położył na biurku Susanne gruby plik w żółtej kopercie. – Nie mogłem przesłać wszystkiego mailem.

– Czy to ma coś wspólnego ze sprawą Anioła?

– Ze sprawą naśladowczyni Anioła, jeśli instynkt mnie nie zawodzi. Mogłabyś to przejrzeć? Dopilnuję, żebyś dostała odpowiednie wynagrodzenie za czas, który temu poświęcisz.

Fabel ruszył do drzwi, zatrzymał się jednak w pół drogi i zmarszczył brwi.

– Wiesz, wczoraj w nocy zdarzyło się coś dziwnego...

– Co takiego?

– Śledziła mnie Sylvie Achtenhagen, wiesz ta dziennikarka i prezenterka z HanSat. Wezwałem radiowóz i kazałem im ją zatrzymać. Chciała ofiarować mi pomoc w tej sprawie. Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale... – Fabel umilkł raptownie, roześmiał się i pokręcił głową. – Nie, musiałem być przemęczony.

– Dokończ, skoro już zacząłeś.

– No więc koniecznie chciała, żebym pomógł jej zdobyć jakieś sensacyjne materiały dotyczące sprawy Anioła. Mógłbym przysiąc, że oferowała mi za to seks.

– Żartujesz!

– Nie. Zaproponowała, żebyśmy poszli do niej i porozmawiali o tym spokojnie.

– Rzeczywiście musi jej bardzo zależeć na tej historii – stwierdziła Susanne, unosząc lekko brew.

– Dziękuję ci bardzo, naprawdę umiesz człowieka dowartościować. Ale masz rację, rzeczywiście musi być zdesperowana. Przy sprawie Anioła narobiła więcej złego niż dobrego. Teraz zachowuje się tak, jakby po prostu musiała się dowiedzieć, kim jest zabójca.

Susanne odchyliła się do tyłu i postukała piórem w swoje porcelanowo białe zęby.

– O ile pamiętam, Sylvie Achtenhagen jest dość atrakcyjną kobietą.

– Być może, ja jestem obojętny na jej wdzięki. – Fabel wzruszył ramionami. – Nie znoszę tej kobiety.

– W drodze dokąd? – spytała nieoczekiwanie Susanne.

– Co? – zdumiał się Fabel.

– Powiedziałeś, że wpadłeś po drodze.

– No tak, odbieram z lotniska tego duńskiego gliniarza. – Spojrzał na zegarek. – Cholera, muszę już iść. Rzuć na to okiem, kiedy znajdziesz czas. Porozmawiamy później.

Fabel stał w hali przylotów na lotnisku Hamburg Fuhlsbüttel i trzymał nad głową kartkę z napisem VESTERGAARD, sporządzonym wielkimi czarnymi literami. Czuł się nieco absurdalnie w tej sytuacji. Otaczał go tłum ludzi, którzy robili to samo; niektórzy trzymali w dłoniach kartki z nazwiskami, inni firmowe logo. Jednakże poza nim byli to wyłącznie zawodowi kierowcy, których przysłano tu po gości różnych instytucji i przedsiębiorstw.

Fabel mógł wysłać po duńskiego policjanta radiowóz z dwójką mundurowych, uznał jednak, że taktowniej będzie pofatygować się na lotnisko osobiście. Zawsze wydawało mu się, że w takich kwestiach obowiązuje swoista etykieta, choć jej wymagania pozostawały dlań nieodgadnione. Kierując się zdrowym rozsądkiem, doszedł do wniosku, że osobiście powinien przywitać gościa z zagranicy: Vestergaard był wysokim rangą policjantem, a poza tym umarł tu jeden z jego ludzi. Teraz jednak, stojąc na lotnisku z kartką w dłoniach, nie czuł się wcale jak dyplomata, lecz jak szofer i idiota.

Na tablicy przylotów pojawiła się informacja o przybyciu samolotu z Kopenhagi, a po kilku minutach do hali wpłynęła fala biznesmenów w garniturach. Fabel wodził wzrokiem po nowo przybyłych, ciekaw, czy uda mu się rozpoznać Vestergaarda, nim ten sam podejdzie do niego. Na moment rozproszył go widok bardzo atrakcyjnej blondynki w drogim kostiumie i granatowym płaszczu. Ich spojrzenia skrzyżowały się, lecz Fabel natychmiast odwrócił wzrok, po części zakłopotany faktem, że dał się na tym przyłapać, a po części zirytowany własnym brakiem koncentracji.

Potem go zobaczył: wysokiego, jasnowłosego blondyna około pięćdziesiątki w garniturze, który nie mógł jednak skryć jego barczystych ramion i groźnej postawy. Wyglądał jak typowy gliniarz, a Fabel pomyślał, że Jespersen, kiedy jeszcze żył, z pewnością był do niego podobny. Mężczyzna skinął głową nadkomisarzowi i ruszył w jego stronę. Fabel uśmiechnął się i miał już podać mu rękę, kiedy blondyn przeszedł obok niego

i wręczył bagaże szoferowi, który stał nieco dalej i trzymał w rękach kartkę z logo IBM. Jakby tego było mało, „Duńczyk” wydał szoferowi polecenie czystą niemczyzną z bawarskim akcentem.

– Zapewne spodziewał się pan zobaczyć kogoś innego – powiedziała jakaś kobieta po angielsku. Fabel odwrócił się w stronę, skąd dobiegał głos. Atrakcyjna młoda blondynka, którą wypatrzył wcześniej, stała teraz przed nim i unosiła wyczekująco brwi.

– *Polidirektør* Vestergaard? – spytał słabo.

– Tak, jestem Karin Vestergaard. Przepraszam, wiem, że to okropnie zaskakujące. – Westchnęła i przewróciła oczami. – Awansowali mnie, bo świetnie parzę kawę, a przysłali mnie tutaj, bo wszyscy mężczyźni byli zbyt zajęci rozwiązywaniem naprawdę poważnych spraw.

Fabel parsknął śmiechem, umilkł jednak, ujrzawszy zimny błysk w niebieskich oczach Vestergaard. Z pewnością nie był to najlepszy początek znajomości.

– Samochód czeka przed wejściem – oznajmił.

Nie była to miła podróż. W drodze do samochodu Fabel zapytał Karin Vestergaard, jak upłynął jej lot i jaka pogoda panowała w Kopenhadze, potem jednak zabrakło mu pytań, dzięki którym mógłby podtrzymać konwersację. Na szczęście *Polidirektør* Vestergaard nie należała do zbyt rozmownych kobiet. W milczeniu jechali wzdłuż Alsterkrugchausee w stronę centrum.

– Za kilka miesięcy będziemy mieli wybory – oświadczył w końcu Fabel, siłąc się na pogodny ton. – Na pierwszego burmistrza. W praktyce to także premier kraju związkowego. Jednym z kandydatów jest Dunka. Dunko-Niemka, dokładnie rzecz biorąc. Wie pani, z duńskojęzycznej mniejszości w Szlezwiku-Holsztynie.

Karin Vestergaard odwróciła się do Fabla i obdarzyła go słabym uśmiechem, wyrażającym brak zainteresowania z domieszką pobłażliwości. W jej twarzy było coś, co niepokoiło

nadkomisarza, choć nie potrafił określić, co to takiego. Minęli znak z informacją, że wjeżdżają właśnie do dzielnicy Eppendorf.

– Czy to tutaj mieści się Instytut Medycyny Sądowej? – spytała.

– Owszem. – Fabel skinął głową. – Zna pani Hamburg?

– Nie. Sprawdziłam to przed wyjazdem. Czy tu właśnie leży Jens?

– Tak.

– Chciałabym go zobaczyć. Teraz.

– Chce pani pójść tam teraz? Myślałem, że najpierw zawiozę panią do hotelu, a potem pojedziemy do Presidium. Wiem, że...

– Nie rozumiem – przerwała mu Karin Vestergaard zimnym, ostrym tonem. – Nie rozumiem, w czym problem, skoro i tak przejeżdżamy przez Eppendorf. Chcę zobaczyć ciało Jensa. Możemy tam pojechać czy nie?

Fabel wzruszył ramionami i skręcił w Geschwister-Scholl-Strasse.

Klinika uniwersytecka w Eppendorfie to olbrzymi kompleks budynków, właściwie małe miasteczko, ograniczone przez Geschwister-Scholl-Strasse od północy i Martinistrasse od południa. Klinika ma nawet własny park na południe od Martinistrasse. Kiedy Fabel jechał wzdłuż północnej granicy parku, w stronę Butenfeld, wskazał głową na olbrzymie żurawie górujące nad kompleksem.

– To klinika uniwersytecka – wyjaśnił. – Budują nowy kampus. Ma być bardzo nowoczesny.

Jeśli ten widok i jego słowa zrobiły jakiegokolwiek wrażenie na Vestergaard, to bardzo dobrze to ukrywała. Patrzyła ponurym wzrokiem przed siebie, jakby myślami była już w prosektorium, przy swoim zmarłym koledze. Fabel znalazł miejsce do zaparkowania przed Instytutem Medycyny Sądowej i wprowadził Vestergaard do recepcji. Potrzebował kilku minut, by załatwić wszystkie formalności i umożliwić duńskiej policjantce wizytę w prosektorium. W tym czasie Dunka

siedziała nieruchomo na krześle, wpatrzona w przestrzeń.

– Możemy wejść – powiedział i poprowadził Vestergaard do wnętrza budynku.

Fabel nie miał pojęcia, jak Karin się zachowa. Choć towarzyszył jej w drodze z lotniska, nadal była mu zupełnie obca. Nie wiedział, jak wyglądały jej relacje służbowe z Jespersenem i czy łączyły ich jakieś stosunki osobiste. Obserwował jej twarz, gdy pracownik prosekutorium zsunął prześcieradło z twarzy Jespersena. Znów dostrzegł w niej coś intrygującego, jakąś nieokreśloną cechę, która wprawiała go w zakłopotanie i zdumienie. W końcu uświadomił sobie, co to takiego: rysy Karin były doskonałe. Miała idealnie symetryczną twarz o klasycznych proporcjach. Dzięki tej doskonałości kształtów i proporcji uroda policjantki mogła uchodzić za prawdziwie wzorcową, archetypiczną – a zarazem pozbawioną wyrazu i niewartą zapamiętania.

Fabel nie odrywał spojrzenia od tej doskonałej twarzy, gdy Karin pochylila się nad swym podwładnym. Pozwoliła sobie tylko na jeden przelotny i ledwie dostrzegalny grymas, który jednak nie uszedł uwagi Fabela. Nadkomisarz dobrze wiedział, co się za nim kryło – gniew. Była zła na Jespersena za to, że umarł.

– Bardzo mi przykro – powiedział Fabel. – Długo ze sobą współpracowaliście?

– Kiedy odbędzie się sekcja zwłok?

– Jutro. O drugiej.

Vestergaard pochylila się i przyjrzała uważniej twarzy Jespersena. Potem całkiem zsunęła prześcieradło z jego ciała.

– Czego pani szuka? – spytał Fabel, nie kryjąc już dłużej irytacji, którą budziła w nim małomówność Dunki.

– Kto wykona sekcję?

– Doktor Möller. To nasz główny lekarz sądowy. Jest naprawdę...

– Proszę mu powiedzieć, żeby szukał ran klutych. Śladów po igle. Szczególnie w niewidocznych miejscach: pod włosami,

w fałdach skóry, w okolicy odbytu...

– Proszę posłuchać – zirytował się ponownie Fabel. – Wydaje mi się, że to już...

– Wierzy pan, że zmarł śmiercią naturalną? – przerwała mu Vestergaard, podnosząc wzrok. W jej oczach znów płonął zimny ogień.

Fabel westchnął.

– Wszystko wskazuje na to, że to był zawał.

– Wierzy pan, że zmarł śmiercią naturalną? – powtórzyła Dunka.

– Nie. A przynajmniej mam pewne wątpliwości. Anna Wolff, jedna z moich podwładnych, wprowadziła mnie w tę sprawę. Ona też uważa, że coś tutaj śmierdzi.

Vestergaard wyprostowała się, wciąż wpatrzona w twarz swego zmarłego kolegi. Po chwili ponownie odwróciła się do Fabla.

– Musimy porozmawiać.

Fabel zawiózł Vestergaard do hotelu przy Alter Wall. Właściwie wcale nie był zaskoczony faktem, że Dunka wybrała ten sam hotel, w którym zmarł Jespersen. Nie był zaskoczony, ale uważał, że to kiepski pomysł. Zamówił kawę do ustronnego zakątka w pobliżu baru, podczas gdy Vestergaard poszła zanieść bagaże do swojego pokoju.

– Myślałem, że napijemy się kawy, a potem pojedziemy do Presidium, żeby porozmawiać o Jespersenie – powiedział, gdy już wróciła.

– Porozmawiajmy tutaj – odparła. – I tak nikt nas tu nie usłyszy, a to neutralne terytorium. Potem pojedziemy do Presidium.

– Neutralne terytorium? – powtórzył Fabel ze zdumieniem. – Przecież mamy ze sobą współpracować. Nie sądziłem, że sprzymierzeńcy potrzebują „neutralnego terytorium”.

– To tylko takie określenie. – Vestergaard upiła łyk kawy, zostawiając na krawędzi filiżanki różowy ślad. – Może po prostu mój angielski nie jest równie dobry jak pański.

Zauważyłam, że mówi pan bez niemieckiego akcentu.

– Nauczyłem się angielskiego jako dziecko – odparł Fabel, zirytowany tą dywagacją. Dunka doskonale wiedziała, co robi, wiedziała też, że i on dobrze zna tego rodzaju techniki. Oboje byli policjantami, oboje prowadzili przesłuchania. – Jestem w połowie Szkotem, mówię biegle zarówno po angielsku, jak i po niemiecku.

– Rozumiem. – Następny łyk. – Rzadko zdarza się, żeby Niemiec mówił w obcym języku bez akcentu. W Danii wszystkie filmy angielskojęzyczne mają napisy, wy je dubbingujecie. Niemcy nie mają tak bliskiej styczności z angielskim jak Duńczycy. Stosują coś w rodzaju kulturowej prezerwatywy. Dlatego Duńczycy i Holendrzy mówią lepiej po angielsku niż wy. To znaczy mają lepszą wymowę. Ale kiedy spotkaliśmy się na lotnisku, od razu zauważyłam, że pan mówi bez niemieckiego akcentu. Jens z pewnością by to docenił. Nie poznaliście się, prawda?

– Rozmawialiśmy przez telefon. Raz. – Fabel roześmiał się chłodno. – Czy to ma być przesłuchanie, pani Vestergaard? Jeśli tak, to chciałbym pani przypomnieć, że to ja jestem tu policjantem. Jeśli śmierć Jespersena budzi jakieś wątpliwości lub podejrzenia, to ja poprowadzę tę sprawę, a nie pani. To moja jurysdykcja.

– Jens nie lubił Niemców – odparła oziębłym tonem. Lodowatym. – Wiedział pan o tym?

– Nie. – Fabel westchnął. – Miał ku temu jakiś szczególny powód?

– Zawsze ten sam. Wojna. Podobnie jak ja, Jens był bardzo dumny, że jest duńskim policjantem. To wielki zaszczyt i obowiązek zarazem. Wie pan, z czego szczególnie jesteśmy dumni?

– Pewnie zaraz mi pani powie.

– W odróżnieniu od policji innych okupowanych krajów w czasie wojny duńscy policjanci nie kolaborowali z Niemcami. Robili tylko to, co naprawdę musieli. To, co należało do obowiązków policjanta. Potem, kiedy Niemcy kazali im pilnować swoich obiektów przed atakami duńskiego ruchu

oporu, kazali wam się wypchać. Wie pan, co się wtedy stało?

Fabel wzruszył ramionami.

– Wysłaliście ich do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

– Proszę posłuchać, pani Vestergaard, ja nie wysyłałem nikogo do obozów koncentracyjnych. Nie było mnie wtedy na świecie. A nawet gdybym wówczas żył, z pewnością nie zostałbym nazistą. – Fabel był na siebie zły, że dał się sprowokować. Wiedział, że Vestergaard celowo się z nim drażni.

Naprawdę? – odparła, unosząc brwi, jakby z niedowierzaniem.

– Tak czy inaczej, dziesiątki duńskich policjantów zmarły w Buchenwaldzie. Sytuacja poprawiła się dopiero wtedy, gdy ich przeniesiono i zmieniono ich status na jeńców wojennych. Nadal jednak nie chcieli robić tego, co wy... to znaczy Niemcy... to znaczy naziści... przepraszam, sama już nie wiem, kto właściwie napadł na Danię... kazali im robić.

– I dlatego Jespersen nienawidził Niemców? Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że i pani ma pewne uprzedzenia.

– Jens pochodził z rodziny, w której służba w policji stanowiła wielopokoleniową tradycję. Jego dziadek był policjantem w czasie wojny, był nim też jego ojciec, który miał wówczas zaledwie dwadzieścia jeden lat. Obaj trafili do Buchenwaldu. Dziadek Jensa był jednym z tych, którzy tam zginęli. Jego ojciec ledwie uszedł z życiem.

– Rozumiem. Ale co to ma właściwie wspólnego z pani wizytą?

– To, że Jens nie postawiłby nogi w Niemczech, gdyby nie miał jakiegoś naprawdę bardzo ważnego powodu.

– A pani nie wie, dlaczego tu przyjechał?

– Mam ogólne pojęcie. Ale nic poza tym. Jens był... – Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Vestergaard nie mogła przez moment znaleźć odpowiedniego słowa. – Jens bywał trudny. Chadzał własnymi ścieżkami. Kierował się przeczuciem.

– Nie ma w tym nic złego.

– Owszem, jeśli tylko informuje się swoich kolegów

i przełożonych o tym, gdzie się jest i co się robi.

– Ale dostaliśmy od pani oficjalną prośbę o udzielenie pomocy Jespersenowi. Wiedziała pani, że tutaj się wybiera.

– Mówił mi, nad czym pracuje, ale nie powiedział wszystkiego. Jeśli mam być szczerą, nie zawsze dobrze nam się ze sobą pracowało. Jens był policjantem starej daty, zaczynałam pracę pod jego dowództwem. Nie mógł się pogodzić z tym, że potem to on był moim podwładnym. Poza tym prowadził własne krucjaty.

Vestergaard musiała dostrzec jakiś grymas na twarzy Fabla, przerwała bowiem na moment, po czym powiedziała:

– Trafiłam chyba w jakiś czuły punkt.

– To długa historia – odparł komisarz. – Mam... miałem podwładną, która robiła to samo. Straciła przez to rozum.

– Rozumiem. Cóż, przypuszczam, że z powodu swojej ostatniej krucjaty Jespersen stracił życie. Słyszał pan kiedyś o Patrolu Syriusza?

Fabel pokręcił głową.

– To jednostka sił specjalnych duńskiej marynarki wojennej. Pilnuje północno-wschodnich krańców Grenlandii, na wypadek gdyby nasi rosyjscy przyjaciele zechcieli złożyć nam wizytę. Członkowie tej jednostki to prawdziwi twardziele. Patrolują prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów wybrzeża, przemieszczają się głównie psimi zaprzęgami, w temperaturze sięgającej minus trzydziestu stopni. Oczywiście zimą robią to w ciemnościach, bo jest noc polarna.

– Jespersen?

– Służył tam przez dwa lata. Potem, gdy zatrudnił się w policji, trafił do Politets Aktionsstyrke, AKS. To jednostka specjalna naszej policji. Duński SWAT, najlepsi policjanci, którzy interweniują w szczególnie niebezpiecznych sytuacjach, walczą z terrorystami, mafią i tak dalej. Chyba wie pan już, co chcę przez to powiedzieć, prawda?

– Że Jespersen był twardym sukinsynem?

– Zgadza się, a do tego był w świetnej formie fizycznej. Był równie wysportowany jak w czasach, gdy służył w Patrolu Syriusza.

– Nie był raczej kandydatem na zawałowca.

– Raczej nie. Oczywiście nie możemy wykluczyć takiej możliwości. Z pewnością byłoby to najprostsze wyjaśnienie, ale jeśli sekcja nie wykaże jakiejś ukrytej wady serca, to trudno mi będzie uwierzyć w taki scenariusz. – Vestergaard opróżniła filizankę i pokręciła głową, gdy Fabel chciał ją ponownie napełnić. – Nie mogę pić za dużo kawy, robię się wtedy nerwowa.

Fabel próbował sobie wyobrazić zdenerwowaną Karin Vestergaard, przekraczało to jednak granice jego wyobraźni.

– A o co chodzi z tymi śladami po nakłuciach? Ma pani jakieś podejrzenia co do tego, kto stoi za śmiercią Jespersena?

– Jedyne, co mam, panie nadkomisarzu, to garść niepowiązanych ze sobą faktów. Przypuszczam, że Jens miał niewiele więcej, ale widział to w jakimś szerszym kontekście. Gotowa jestem podzielić się z panem tym wszystkim, ale na zasadzie wzajemności. Pan van Heiden zapewniał mnie, że zgodzi się pan na pełną współpracę. Byłabym wdzięczna, gdyby w ramach tej współpracy informował mnie pan na bieżąco o postępach w śledztwie. Podejrzewam, że ta sprawa sięga poza granice naszych krajów. Jeśli moje... nasze podejrzenia są słuszne, mamy tu do czynienia z zabójstwem wysokiego rangą policjanta. To już nie przelewki.

Fabel przyglądał się Duncce przez chwilę. Poprawiła makijaż, kiedy poszła zanieść bagaże do swojego pokoju. Inny cień do powiek nieco odmienił jej twarz. Czyżby idealnie symetryczne rysy pozwalały z łatwością zmieniać wygląd. Fabel przypuszczał, że pomimo swej niezwykłej urody Karin Vestergaard mogła się prezentować całkiem przeciętnie i w policie.

– Zakładam, że chce pani zostać w Hamburgu przez dłuższy czas?

– Mam otwartą rezerwację.

– Może powinniśmy pomyśleć o innym hotelu. Tutaj znajduje się miejsce zbrodni, jeśli Jespersen rzeczywiście został zamordowany.

– W takim razie lepiej, gdy pozostanę w pobliżu. – Twarz

Vestergaard nie zdradzała choćby w najmniejszym stopniu emocji.

– Jak sobie pani życzy – odparł Fabel. – Ale przydzielę pani policjanta do ochrony. Na wszelki wypadek.

– To nie będzie konieczne – stwierdziła Dunka. – Mówiłam panu już, że kiedyś to ja byłam podwładną Jensa Jespersena. Oboje służyliśmy wtedy w *Politiets Aktionsstyrke*. Proszę mi wierzyć, panie Fabel, potrafię o siebie zadbać.

– Jespersen też tak uważał.

9

Cieszyła się, że znów tu jest. W Norwegii. W Oslo. W tym świetle. Ta świadomość dziwiła ją, ale i podnosiła na duchu.

Niebo w końcu się rozchmurzyło, a właściciele kawiarni w centrum Oslo wystawiali przed lokale aluminiowe krzesła, stoliki i grzejniki gazowe.

Birta Henningsen siedziała przy takim właśnie stoliku, popijała kawę i obserwowała zza ciemnych szkieł okularów jasnyniebieskie tramwaje *Oslotrikken*, które przemierzały ulice miasta pod równie niebieskim niebem, upstrzonym tu i ówdzie wąskimi pasmami chmur. Lutowe słońce świeciło w Oslo bardzo jasno, choć nie dawało prawie żadnego ciepła. Bircie jednak wcale to nie przeszkadzało: to był jej klimat i jej światło, w tym chłodnym, czystym powietrzu czuła się najlepiej. Oczywiście spędziła sporo czasu nad Morzem Śródziemnym i w innych pięknych częściach świata, gdzie musiała zwykle wyjeżdżać ze względu na swoją pracę, ale zawsze czuła się tam obco, miała wrażenie, że nie pasuje do otoczenia, rzuca się w oczy. A Birta bardzo nie lubiła rzucać się w oczy.

To właśnie tutaj, na północy, czuła się u siebie w domu.

Przed chwilą zjadła lekki posiłek, a teraz odpoczywała i nabierała sił przy kawie. Miała za sobą długą drogę ze Sztokholmu – siedem godzin jazdy – a poprzedniego dnia jechała aż z Kopenhagi, przez most Öresund. Potem zamierzała wrócić do Sztokholmu. Znów pomyślała o spotkaniu, które czekało ją za kilka godzin. Było naprawdę ważne. Jedno

z najważniejszych w jej karierze. Dobrze się do niego przygotowała. Zdążyła się już nauczyć, że mniej się denerwuje i lepiej sobie radzi, kiedy zbierze wszystkie informacje znacznie wcześniej, a tuż przed spotkaniem pozwoli sobie na trochę relaksu.

Trzy stoliki dalej siedziała matka z dwójką dzieci. Birta przyglądała im się ukradkiem. Kobieta była mniej więcej w tym wieku co ona, miała taką samą karnację i ubierała się zgodnie z aktualną modą panującą w Oslo. Elegancko, lecz powściągliwie. I ciepło. Jednak w odróżnieniu od Birty młoda matka nie do końca panowała nad sobą, w jej zachowaniu widać było elementy chaosu. Birta domyślała się, że to przez macierzyństwo, że znaczna część życia tej kobiety nie należała już do niej, pozostawała poza jej kontrolą. Birta zastanawiała się, jakie to uczucie.

Odwróciła wzrok, by ponownie patrzeć na tramwaje i przechodniów. Nigdy nie miała dzieci. Nigdy nie oddała komuś choćby cząstki siebie. I nie zamierzała tego robić. Wybrała karierę i siebie, tylko to się dla niej liczyło. Lecz teraz, siedząc pod bladym norweskim niebem, przyglądając się tramwajom i kobiecie z dwójką dzieci, czuła dziwną bolesną pustkę.

To nie miało sensu. Sentymentalne bzdury. Irytowała ją ta słabość i uleganie nastrojom. Jak podróż do Holmenkollen.

Nie planowała wcześniej wizyty w Holmenkollen, ale poczuła taką potrzebę, gdy tylko znalazła się w pobliżu Oslo. Jechała przez całą noc do miasta autostradą Mosseveien biegnącą wzdłuż wybrzeża. Gdy była już blisko celu, nad Oslofjord wstał dzień, który pokrył niebo jedwabistą czerwieńią i fioletem. Zostawiła samochód na podmiejskim parkingu, pojechała metrem do Holmenkollen i dołączyła do niewielkiej grupy turystów w ośrodku narciarskim. Podobnie jak oni obejrzała panoramę miasta ze szczytu skoczni narciarskiej. W rzeczywistości jednak przyjechała tam, by zobaczyć trasę biathlonową otaczającą ośrodek. Jeszcze jeden raz. Ta krótka wyprawa była pozbawionym sensu odruchem, zupełnie do niej niepodobnym. Teraz, siedząc w centrum miasta, poddawała się

bezwolnie zazdrości, którą wywoływał widok matki opiekującej się dziećmi.

Nie po to tu przyjechała. Wybrała się do Oslo w interesach, nie miała czasu na zwiedzanie ani na jakieś ckiwe refleksje. Zapłaciła gotówką za kawę i odeszła od stolika, nie spojrzawszy więcej na kobietę i dzieci.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, wkrótce miała zapaść długa zimowa noc. Nadchodził czas ciemności. Czas na jej spotkanie.

10

Zgoda. – Fabel skinął głową. – Umowa stoi. Dzielimy się informacjami. Ale muszę od razu powiedzieć, że na razie będzie to bardzo nierówna wymiana. To pani dysponuje konkretnymi informacjami. Ja mam jedynie sprawę, która wygląda na śmierć z przyczyn naturalnych.

– Jak już panu mówiłam, Jens Jespersen był moim przełożonym, gdy służyliśmy oboje w Politiets Aktionsstyrke. Wiele się od niego nauczyłam w tamtym czasie. Gdyby nie on, prawdopodobnie nie zasłabym tu, gdzie jestem teraz.

Fabel przyglądał się Duncce uważnie, szukając choćby najmniejszych oznak ocieplenia w jej zachowaniu. Nie dopatrywał się jednak żadnych. Mówiła o Jespersenie z szacunkiem, nawet z odrobiną czułości, ale jej głos nadal był zimny jak lód.

– Sześć lat temu przeprowadziliśmy dużą akcję przeciwko handlarzom narkotyków. Zastawiliśmy sprytną pułapkę, a właściwie zastawił ją Jens, i zamknęliśmy Gorana Vujaćicia. Wie pan, tego bośniackiego Serba.

– Pamiętam. – Fabel skinął głową. – To zadziwiające, gdy ludzie pokroju Vujaćicia zaczynają od wojny z pobudek etnicznych czy politycznych, a potem równie entuzjastycznie wchodzi w świat przestępczości. Ten facet zawsze był łajdakiem. Już nie żyje, prawda?

– Dojdę jeszcze do tego, ale zgadza się, zginął cztery lata temu. Vujaćić był prawdziwym bydlakiem, cwany

i okrutnym. Służył w specjalnej jednostce serbsko-bośniackiej policji i ma na koncie zbrodnie wojenne, do których doszło podczas wojny na Bałkanach. Nie sądzono go w Hadze, bo nie udało się zebrać wystarczających dowodów, ale wszyscy wiedzą, że uczestniczył w masakrach i zbiorowych gwałtach. Tak czy inaczej, Jens Jespersen zastawił na Vujaćicia pułapkę i go zgarnął. Kilka miesięcy wcześniej aresztowaliśmy duńskiego biznesmena, Petera Knudsen, który zajmował się też przemytem narkotyków. Knudsen poszedł z nami na układ i pomógł nam zrobić Vujaćicia. Jens udawał Knudsen, podczas trzech spotkań, które zorganizowaliśmy na jego jachcie, i jednym w Kopenhadze. Vujaćić uwierzył we wszystko. Podczas ostatniego spotkania doszło do wymiany pieniędzy, oczywiście za pomocą przelewów. To była dla nas bardzo kosztowna operacja, ale wydawało się, że odnieśliśmy duży sukces.

– Więc jak to się stało, że Vujaćić wyszedł na wolność? – spytał Fabel.

– Niestety, Jens nie dopilnował wszystkich szczegółów, a prawnicy Vujaćicia zaczęli twierdzić, że była to niedopuszczalna prowokacja policyjna. Pewnie i tak by go nie uratowali, ale udało im się wynegocjować kaucję i wyciągnąć go na wolność. Sąd zabrał mu jednak paszport i zabronił wyjeżdżać poza granice Danii. Zrobiło się okropne zamieszanie, a ja zawędrowałam wyżej od Jensa nie dlatego, że moja kariera nabrała rozpędu, ale dlatego, że jego stanęła w miejscu. Zarzucano mu, że zostawił furtkę prawną, przez którą Goran Vujaćić mógł wymknąć się na wolność. Ale w czasie, gdy Vujaćić czekał na rozprawę, ktoś postanowił uwolnić państwo od kosztów procesu. Znaleźliśmy go w Ogrodach Tivoli, siedział na ławce, w ulewnym deszczu. Ktoś pchnął go w serce małym, wąskim ostrzem. To była robota zawodowca: musieliśmy się naprawdę napracować, żeby odnaleźć ranę tuż pod mostkiem.

– Przypuszczam, że ludzie z tej branży mają wielu wrogów.

– I wielu dziwnych partnerów – dodała Vestergaard. Umilkła na moment, gdy do stolika podszedł kelner, który zabrał ich filiżanki. – Widzi pan, wtedy właśnie zaczęła się obsesja Jensa

na punkcie Walkirii.

– Walkirii?

Vestergaard podniosła rękę, jakby prosiła Fabla o cierpliwość.

– Przygotowaliśmy pułapkę na luksusowym jachcie Knudsen. Zamontowaliśmy wszędzie ukryte kamery i mikrofony, które nagrywały całą transakcję. Podczas rozmowy Vujačić wspomniał o swoim partnerze, trzeciej stronie umowy. Cichym wspólniku, który finansował całą operację i miał zgarnąć lwią część zysków. Tak naprawdę zależało nam na dotarciu do tego właśnie człowieka.

– Więc przypuszczacie, że to on kazał zabić Vujačića?

– Jesteśmy tego niemal pewni. Vujačić był jedynie pośrednikiem. Podczas rozmów z Jensem i podczas przesłuchań ani razu nie wymienił nazwiska swojego wspólnika. Wiedział, że jeśli prawnicy nie zdołają go wybronić, ta informacja będzie jego kartą przetargową. Ale wracając do rozmowy na jachcie... Vujačić wspomniał, że jego partner ma płatnego mordercę, najlepszego w branży. Podobno na życzenie wspólnika ten zabójca załatwił wszystkich jego konkurentów. Twierdził też, że jest nim kobieta, którą nazywają Walkirią. Mówił, że w razie potrzeby ta Walkiria potrafi doskonale upozorować śmierć z przyczyn naturalnych albo jako następstwo nieszczęśliwego wypadku. Aha, zapomniałam wspomnieć, że ten duński biznesmen, który pomógł nam wrobić Vujačića, też zmarł przedwcześnie.

– Więc dlatego chce pani, żeby nasz lekarz szukał nakłuć lub jakichś zastanawiających śladów...

– Otóż to. Ale Vujačić miał coś jeszcze do powiedzenia na temat Walkirii. Coś, co powinno pana szczególnie zainteresować. Otóż twierdził, że Walkiria mieszka właśnie tutaj. W Hamburgu.

Fabel odchylił się na oparcie skórzanej sofy i wpatrywał się przez chwilę w widok za oknem.

– Wierzy pani w to? – spytał w końcu.

– Jens wierzył. Ale jak już mówiłam, nie dzielił się ze mną wszystkimi informacjami. Czytałam wasz raport, więc wiem, że

zniknął też jego laptop i notes.

– Zastanawiałem się, dlaczego zabrał ze sobą tak mało rzeczy. Wiemy, że ktoś wyczyścił pamięć jego telefonu, ale nie mamy pojęcia, co stało się z innymi rzeczami. Każę komuś przesłuchać personel hotelu.

Vestergaard pokręciła głową.

– Nie ma potrzeby. To nie sprzątaczkę zabrały przedmioty należące do Jensa, jestem tego pewna. Zrobił to morderca.

– Jeśli Jespersen został zamordowany. A jeśli rzeczywiście tak było, to wszystko wskazuje na to, że zabiła go ta Walkiria. – Fabel wciąż wracał myślami do słów Vestergaard; jako szef wydziału zabójstw hamburskiej policji nie mógł zignorować informacji, że w jego mieście pracuje płatny morderca o międzynarodowej renomie.

– Tak, wydaje się, że to najlogiczniejsze wyjaśnienie. Oczywiście zdaje sobie pan sprawę, że ta Walkiria być może w ogóle nie istnieje. A nawet jeśli istnieje, to wcale nie wiadomo, czy rzeczywiście mieszka w Hamburgu. Być może tędy przebiega tylko jakiś kanał informacyjny.

– Jespersena zabił człowiek, a nie kanał informacyjny – odparł Fabel. – Co jeszcze pani wie?

– Sprawdziłam wszystkie dokumenty i notatki Jensa, które zostawił w Kopenhadze. Przejrzałam też jego komputer, historię przeglądarki internetowej i tak dalej. Jens miał całe sterty, dosłownie sterty materiałów dotyczących policji politycznej w NRD, listy byłych funkcjonariuszy Volkspolizei i masę informacji o Stasi.

– Uważa pani, że to wszystko ma jakiś związek z tą zabójczynią z Hamburga?

– Nie wiem. Może nie, ale Jens bardzo zaangażował się w to śledztwo. Oficjalnie szukał zabójcy Vujačića, ale ta sprawa stała się niemal jego obsesją. Tak czy inaczej, w jego dokumentach przewijały się nazwiska kilku byłych funkcjonariuszy Stasi, które szczególnie go interesowały. Najważniejszym z nich był bez wątpienia niejaki major Georg Drescher. Co ciekawe, z dokumentów Jensa wynikało, że Drescher po prostu rozpląnął się w powietrzu tuż po upadku

mur. Pracował w wydziale wywiadu zagranicznego Stasi. Przypuszczam, że w osiemdziesiątym dziewiątym, gdy tylko wyczuł nadchodzące zmiany, wykorzystał środki i kontakty Stasi, żeby stworzyć sobie nową tożsamość. Może nawet tutaj, w Niemczech Zachodnich. Nie mam jednak pojęcia, dlaczego Jens tak bardzo interesował się Drescherem. Wiem tylko, że Drescher odpowiadał prawdopodobnie za rekrutację oraz szkolenie agentów, których wysyłano na Zachód.

– Więc przypuszcza pani, że ta Walkiria jest była agentką Stasi?

– Wydaje mi się to całkiem sensowne.

Fabel zmarszczył brwi. Dokonał w myślach pobieżnych obliczeń i uznał za mało prawdopodobne, by kobieta w średnim wieku była tak sprawną zabójczynią.

– Nie wyciągajmy wniosków zbyt pochopnie. Zobaczmy, co wykaże sekcja zwłok, i wtedy przeanalizujemy wszystkie możliwości. Coś jeszcze?

– Kilka innych nazwisk. Notatki dotyczące kontaktów Vujačicia, tego rodzaju rzeczy. I parę dość dziwnych drobiazgów. Słyszał pan o Giennadiju Frołowie?

– Tym rosyjskim oligarsze?

– Zgadza się. Jego majątek szacuje się na dwanaście i pół miliarda. Jens sporządził sporo notatek na jego temat. Tylko ogólne wiadomości, a nie całe dossier.

– Wspólnik Vujačicia?

– Wątpię. – Vestergaard pokręciła głową. – Zebrałam trochę informacji o Frołowie i stwierdziłam, że w porównaniu z większością innych oligarchów to prawdziwe niewiniątko. Ale to jeszcze nie wszystko. Oprócz materiałów o Frołowie Jens miał mnóstwo notatek i publikacji dotyczących Vantage North, projektantów statków i skutników z Flensburga. To właśnie oni zaprojektowali i zbudowali luksusowy jacht Frołowa, „Królową śniegu”.

– Jest pani pewna, że Frołow nie mógł być tym tajemniczym wspólnikiem, o którym mówił Vujačić?

– To nie miałooby sensu. Przemysł narkotyków do Skandynawii i północnych Niemiec to z pewnością intratny interes, na

którym można zarobić wiele milionów dolarów, ale dla ludzi pokroju Frołowa to grosze. Ryzyko związane z takim przedsięwzięciem znacznie przewyższałoby zyski.

Fabel ponownie opadł na oparcie sofy i potarł brodę w zamyśleniu.

– Kim jest Olaf?

– Olaf?

– Jespersen zapisał to imię w swoim notesie: Olaf. Wie pani, o kogo może chodzić?

Vestergaard zmarszczyła brwi.

– Znam całą masę Olafów, Jens na pewno też znał niejednego. Ale nie przychodzi mi na myśl nikt konkretny.

– Czy w notatkach Jespersena było coś jeszcze, co mogłoby się nam przydać?

– Nie. – Karin Vestergaard sięgnęła do teczki i wyjęła z niej plik kartek. – Ale może znajdzie pan tam coś, co mnie umknęło. Mam tutaj kopie najważniejszych dokumentów.

Fabel sięgnął po plik, lecz Vestergaard odsunęła rękę.

– Powiedziałam panu wszystko, co wiem, panie Fabel. Zakładam, że pan też zamierza dotrzymać swojej części umowy?

– Jestem gotów do pełnej współpracy. – Nadkomisarz znów nie umiał zapanować nad irytacją, która przebijała z jego tonu. – Będę panią informował na bieżąco o wszelkich postępach w śledztwie.

– W takim razie na pewno dojdziemy do porozumienia – powiedziała Vestergaard z uśmiechem pozbawionym choćby odrobiny ciepła, po czym wypuściła z dłoni plik dokumentów.

ROZDZIAŁ TRZECI

1

Birta zabrała wypożyczony samochód z parkingu w centrum i wyjechała z Oslo. Gdy tylko znalazła się poza granicami miasta, wyrzuciła kwit parkingowy przez okno. Kiedy odda samochód, nie będzie żadnych dowodów świadczących o tym, że kiedykolwiek była w Oslo czy też w ogóle w Norwegii. Zaprogramowała w samochodowym GPS-ie kilka punktów w okolicach Sztokholmu – gdyby rzeczywiście wybrała się do tych miejsc, pokonałaby mniej więcej tyle samo kilometrów, ile miała jej zająć droga do Oslo i z powrotem. Przez całą podróż przestrzegala wszystkich ograniczeń prędkości, wszystkich nakazów i zakazów. A ponieważ nie zatrzymała się w żadnym hotelu, a za benzynę płaciła wyłącznie gotówką, nie zostawiła żadnego śladu pobytu za granicą.

Włączyła odtwarzacz, a samochód wypełnił się muzyką Wolfganga Haffnera. Niemiecki jazz i norweski krajobraz doskonale ze sobą współgrały. Brita rozsiadła się wygodniej w fotelu i próbowała rozluźnić, wciąż jednak wracała myślami do kawiarni i kobiety z dwójką dzieci.

Klient Brity mieszkał na północ od Drøbak, w głębi lasu, nad brzegiem jeziora. Wiedziała, że pracuje w domu, było to więc idealne miejsce na spotkanie. Znalazła nawet dogodną przerwę w jego terminarzu.

Zostawiła samochód na parkingu w Drøbak. Wcześniej upewniła się, że parking jest bezpłatny i że nie ma na nim kamer. Przebrała się na tylnym siedzeniu samochodu. Włożyła trzy warstwy grubych wełnianych skarpet, częściowo dla ochrony przed chłodem, częściowo po to, by dopasować stopy do ciężkich męskich butów. Spotkanie w takich warunkach było błogosławieństwem i przekleństwem zarazem. Mogła zostawić takie ślady, jakie chciała, tam gdzie chciała. Musiała

jednak bardzo uważać, żeby nie pozostawić tropów, które by ją zdradziły.

Birta włożyła ciemną parkę i schowała blond włosy pod obcisłą czapkę z czarnej wełny. Upewniła się, że żaden, choćby najmniejszy kosmyk nie wysunął się na zewnątrz, po czym założyła plecak i zarzuciła na ramię karabin. W końcu opuściła parking i przeszła wzdłuż obrzeży miasta, trzymając się z dala od domów.

Pół godziny później dotarła do jeziora ukrytego w lesie. Po północnej stronie lśniły światła domu stojącego nad brzegiem. Lampy paliły się w trzech pokojach, Brita wiedziała jednak, że jej klient jest sam. Jego żona i dzieci pojechali z wizytą do rodziny w Frederikstad i mieli wrócić dopiero nazajutrz, w porze lunchu. Mężczyzna został w domu, by się spakować i przygotować do podróży, gdyż dwa dni później miał wyjechać do Chin.

Brita między drzewami dotarła do miejsca, gdzie zaczynał się długi podjazd prowadzący przed dom. Droga została oczyszczona ze śniegu, który zalegał teraz metrowymi zaspami po obu jej stronach. Brita przeszła kilka metrów tyłem, zacierając po sobie ślady, a gdy znalazła nieco niższą warstwę śniegu, przeskoczyła nad nią i stanęła na podjeździe. Tutaj nie zostawiała już żadnych śladów. Nim ponownie ruszyła w stronę domu, zdjęła z ramienia broń, rozwinęła niewielką brezentową płachtę i ułożyła na niej części, które zamierzała połączyć z karabinem.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – rozległ się nagle męski głos za jej plecami.

Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy. Birta się wyprostowała, jednym płynnym ruchem obróciła w miejscu, wyjęła sztylet i wbiła go w pierś mężczyzny, pod mostek. Uderzyła silniej niż zwykle, świadoma, że ostrze musi przebić się również przez grubą kurtkę i ukryte pod nią warstwy ubrań. Mężczyzna nie zareagował: nie widział noża, bo czarny spiek węglkowy zlewał się w jedno z ciemnością. Gdy tylko ostrze znalazło się w jego ciele, Birta przekręciła je o sto osiemdziesiąt stopni. Ofiara otworzyła szeroko oczy i usta, jakby oburzona

i zdumiona jej zachowaniem, po czym padła na kolana. Birta odsunęła się na bok, pozwalając, by runął twarzą na ziemię. Potem obróciła go na plecy i natychmiast ustaliła dwa fakty: po pierwsze mężczyzna nie żył, po drugie nie był jej klientem. Miał około pięćdziesięciu lat. Gruba warstwa ubrań zniekształcała nieco jego sylwetkę, wydawał się jednak dobrze zbudowany. Birta rozsunęła kurtkę mężczyzny i poczuła ciepło jego ciała, które wkrótce miało ostygnąć na zawsze. Sprawdziła, czy ma broń. Nie. Nie był ochroniarzem ani policjantem. Wcześniej trzymał w dłoni łopatę do śniegu, zajmował się więc zapewne opieką nad domem. Dlaczego nie miała pojęcia o jego istnieniu? Wydawało jej się, że przeprowadziła rozpoznanie dość starannie, musiała jednak popełnić jakiś błąd. Zakłęła pod nosem i wytarła ostrze noża w kurtkę mężczyzny, lustrując zarazem podjazd i skraj lasu. Schowała nóż, rozsunęła kurtkę i wyjęła pistolet automatyczny z tłumikiem. Wyglądało na to, że prócz mężczyzny w pobliżu nie było nikogo.

Raz jeszcze rozejrzała się uważnie i wybrawszy odpowiednie miejsce, przeciągnęła ciało mężczyzny między drzewa.

Powróciwszy na podjazd, podniosła lunetę nieprzymocowaną jeszcze do karabinu i przez nią obejrzała duże, wypełnione światłem okna domu. Orientowała się, gdzie jest gabinet jej klienta oraz że powinien tam pracować do dziewiętej. Rolety były podniesione, widziała więc wewnątrz całego pokoju. Nikogo. Zajrzała do pozostałych dwóch pomieszczeń. Pusto.

Niedobrze. Brita poczuła pierwsze ukłucie strachu, zdławiła je jednak siłą woli, jak ją uczono. Kiedy się boisz, kiedy poddajesz się stresowi, wszystko zaczyna się psuć. Wtedy właśnie spotkanie może nie dojść do skutku. Wówczas ludzie widzą cię, jak opuszczasz miejsce spotkania. Spokój. Zachowaj spokój.

Birta raz jeszcze powiodła wzrokiem wzdłuż podjazdu. Nikogo. Stała w bezruchu, wstrzymując oddech, chłonąc dźwięki nocy i lasu. Zakłęła w duchu. Będzie musiała zmniejszyć dystans. Zasada była prosta: im większa odległość podczas spotkania, tym mniejsza ryzyko wykrycia i schwytania. Karabin wyborowy o dużym zasięgu był idealnym rozwiązaniem. Pocisk, który po przebiciu ciała i kości ulegał

uszkodzeniu, zatrzymując się na cegle lub murze, był jedynym elementem łączącym wykonawcę z klientem. Wykonawca działał w oddaleniu od miejsca i chwili śmierci, dzięki czemu miał więcej czasu i swobody, by oddalić się niezauważenie.

Skoro jednak nie widziała klienta, nie mogła użyć karabinu. Być może wyszedł tylko do kuchni, by zrobić sobie kanapkę, ale ze względu na fakt, że zlikwidowała najpierw inny cel, musiała się spieszyć. Gdyby nie natknęła się na dozorcę, czekałaby spokojnie, godzinę, może nawet dłużej, aż jej klient ponownie pojawi się w gabinecie. Teraz jednak musiała podejść bliżej. Może nawet wejść do domu. To oznaczało, że odległość musiała się drastycznie zmniejszyć.

Birta schowała karabin do futerału, ponownie wyjęła pistolet i ruszyła w stronę domu.

2

Anna Wolff przez trzy noce odtwarzała trasę pijackich wojaży Armina Lenscha. Rozmyślała też przez ten czas o sytuacji, w którą się wpakowała. Odkąd Fabel wybrał ją do swojego zespołu, brała udział w rozwiązywaniu siedemnastu spraw. Siedemnastu morderstw dokonywanych z motywów tak banalnych jak pijacka wściekłość lub zwykła zazdrość o partnera.

Kilka z nich, jak te ostatnie, dokonanych zostało z pobudek tak abstrakcyjnych i pokretnych, że choćby służyła w wydziale zabójstw przez sto lat, i tak nie zdołałaby zrozumieć ludzi, którzy za owymi zbrodniami stali. Fabel ich jednak rozumiał. Ta myśl przyprawiała ją o gęsią skórkę: Fabel rozumiał tych ludzi. Może ma rację, może rzeczywiście nie nadawała się do tej pracy.

Wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że facet, którego kopnęła w krocze, nie żyje. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu uważała, że przyczyniła się do jego śmierci. Może jednak nie był to całkiem niezrozumiały powód. Z zeznań jego kolegów wynikało, że zirytowany ich docinkami, wyruszył samotnie w noc. A potem ktoś go zamordował. Jego śmierć była ostatnim

elementem sekwencji wydarzeń, której ona w pewnym sensie dała początek.

Ta świadomość jej doskwierała.

– Dokąd się teraz wybierasz, komisarzy? – spytał ją Theo. Odwróciła się do niego. Theo Wangler był mundurowym z Davidwache, który na polecenie Fabla towarzyszył jej podczas wizyt w barach i klubach. Anne musiała przyznać, że było mu do twarzy w mundurze: miał dwa metry wzrostu i atletyczną sportową sylwetkę. Doszła do wniosku, że uprawiał podnoszenie ciężarów. Miał też szeroką silną szczękę, a kiedy zdjął na chwilę czapkę i przeciągnął dłonią po włosach, zauważyła, że są gęste, ciemne i falujące. Faceci równie przystojni jak on byli zazwyczaj dupkami. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, z miejsca uznała, że go nie lubi, choć nie wykluczała jakiegoś przelotnego romansu. Okazało się, że niesprawiedliwie go oceniła: Wangler był spokojnym, cichym mężczyzną, niemal nieśmiałym. Kiedy jednak chodzili od baru do baru, przekonała się, że potrafi okazywać stanowczość, która hamowała zapędy awanturników, a zarazem zachowywać się na tyle spokojnie, by skłonić do rozmowy nawet zagorzałych wrogów policji – może z wyjątkiem tych najbardziej pijanych. Uświadomiła sobie, że właśnie takie cechy składają się na temperament idealnego policjanta. Temperament, którego jej brakowało. Anna ponownie doszła do wniosku, że nie polubi Wanglera.

Reeperbahn była długa, szeroka i prosta, doskonale nadawała się do plecenia *reep*, czyli powrozów, od których wzięła swą nazwę. Za dnia ta ulica wydawała się nudna i kiczowata, lecz nocą stawała się jednym z najlepiej oświetlonych miejsc w całych Niemczech. Kiedy Anna odwiedzała z Wanglerem kolejne lokale mieszczące się tutaj, uświadomiła sobie, że w tym kolorowym blasku jest coś bardzo przygnębiającego. Wymuszona maniakalna wesołość. Wędrowali od baru do baru, lecz w żadnym z nich nie dowiedzieli się niczego istotnego. Sprawdzili już większość lokali, rozmawiali z ochroniarzami stojącymi przy drzwiach klubów i barów. Większość z nich – podobnie jak barmani i hostessy – witała

się z Wanglerem serdecznym uściskiem dłoni lub przynajmniej skinieniem głowy.

– Pracuję tu od czterech lat – wyjaśnił Wangler, gdy szli wzdłuż ulicy, mijając witrynę sex-shopu z akcesoriami erotycznymi nieprawdopodobnych rozmiarów. – Zdążyłem poznać paru ludzi.

– Lubisz tu pracować? – spytała Anna.

– Nie mam nic przeciwko... Ludzie mają złe wyobrażenie o Kiez. Przeszarżałe, można powiedzieć. Nawet komisarz Kaminski. Pracował na tej ulicy dawniej i chyba wydaje mu się, że wszystko schodzi na psy, bo zamyka się tu burdele, a powstaje coraz więcej modnych barów i teatrów muzycznych. Są tu też luksusowe apartamenty, a ostatnio otworzyła swoje biuro agencja reklamowa.

– To chyba dobrze, prawda?

– Cóż, wszystko ma swoje dobre i złe strony. Kiedyś na Reeperbahn sprzedawano tani seks, teraz sprzedaje się tani alkohol. Kiez zaraził się brytyjską chorobą: ludzie piją do upadłego, szczególnie w klubach. Zmienił się też rodzaj przestępczości ulicznej, z którą musimy tu walczyć. Mniej kradzieży, więcej bójek orazrozbojów.

– Zakaz nie skutkuje? – spytała Anna, odnosząc się do niedawnego rozporządzenia, które zabraniało wnoszenia broni na Reeperbahn i do Kiez. Granicę strefy wolnej od broni wyznaczały żółte znaki.

– Trochę. Ale wygląda na to, że ten wasz Anioł wcale go nie przestrzega.

Anna parsknęła śmiechem. Przerwali rozmowę, gdy dotarli do drzwi kolejnego klubu. Przed wejściem stało dwóch neandertalczyków o byczych karkach, którzy trzymali ręce złożone z przodu, w tradycyjnej pozie pracowników ochrony.

– Dlaczego oni zawsze tak stoją? – spytała Anna Wanglera. – No wiesz, jakby zasłaniaли jądra?

– Może już o tobie słyszeli. – Roześmiał się.

– Wiesz o tym?

– Wszyscy wiedzą. – Wangler odwrócił się do jednego z ochroniarzy. – Cześć, Heiner.

– Cześć, Theo – odparł olbrzym zaskakująco wysokim, niemal piskliwym głosem. – Jak leci?

– Jak zwykle. Posłuchaj, Heiner, to jest komisarz Wolff z wydziału zabójstw. Chciałaby zadać ci kilka pytań.

– Może mnie pytać o wszystko, kiedy tylko zechce. – Ochroniarz uśmiechnął się do Anny. Jego kumpel zrobił to samo, ale Anna przypuszczała, że był to tylko odruch warunkowy. Sądząc po wyglądzie, drugi ochroniarz nie osiągnął jeszcze tego stopnia ewolucji, który pozwala na samodzielne myślenie. Policjantka odpowiedziała ostrożnym uśmiechem i wręczyła Heinerowi fotografię Armina Lenscha.

– Pewnie nie widziałeś tego faceta, co? – spytała.

Ochroniarz spojrział na fotografię. Wzruszył potężnymi ramionami i oddał ją Annie. Potem jednak zmarszczył brwi i cofnął rękę.

– Chwileczkę. Niech przyjrzę mu się lepiej. Tak... Tak, widziałem go. Widziałem go w piątek... nie, w sobotę w nocy. Tam. – Wskazał na drugą stronę szerokiej ulicy. – Widziałem, jak wsiadał do taksówki.

– Pamiętasz wszystkich, którzy wsiadają przy tobie do taksówki? – spytała Anna.

– Nie. Ale tego faceta zapamiętałem, bo wydawało mi się, że to wcale nie taksówka. Wyglądała podejrzanie.

– Co masz na myśli?

– Samochód sam w sobie pasował, mercedes klasy E, beżowy, ale nie miał koguta na dachu. Zwróciłem na to uwagę, bo to auto wyjechało zza tego faceta, chyba nie zauważył, że to nie jest taksówka. Trzeba zawsze mieć oko na takie typki, wiecie, zboczeńców, którzy udają taksówkarzy i zgarniają dziewczyny, albo cwaniaczków, którzy zabierają pijaków, a potem ich obrabiają. Nie zdarza się to często, bo nikt nie ma samochodu w takim samym kolorze jak taksówki.

– Zeznałbyś, że to właśnie ten człowiek wsiadł do taksówki? Do fałszywej taksówki? – spytała Anna, stukając palcem w zdjęcie.

– Tak, był tu wcześniej z kilkoma innymi. Mały pyskaty kutas. Rozpoznałem go, kiedy pojawił się po drugiej stronie jezdni.

– Powiedziałeś, że trzeba mieć oko na takie sytuacje, bo fałszywi taksówkarze okradają pijanych facetów. Dlaczego nie próbowałaś go powstrzymać albo nie zgłosiłaś tego komuś? – spytał Wangler.

– To mogła być prawdziwa taksówka. Zresztą tak czy inaczej, nie myślałam wtedy, że coś mu grozi.

– Dlaczego? – spytała Anna.

Potężny Heiner ponownie wzruszył ramionami.

– Wydawało mi się, że skoro za kierownicą siedzi kobieta, to nic mu się nie stanie.

3

Birta podeszła do domu, unikając żółtych plam światła, które padało na śnieg z niezastłoniętych okien. Uświadomiła sobie, że nikt na miejscu jej klienta nie zasłaniałby okien, mieszkając w takim miejscu. To las był jego zasłoną. Nikt inny i tak się tutaj nie pojawiał.

Oświetlone pokoje były puste. Zajrzała do pozostałych, ale i w nich nie było nikogo. Ruszyła dalej wokół domu i natknęła się na drzwi, zamknięte na klucz. Trzymając się ściany, przeszła na tył budynku. Znalazła tu kolejne drzwi. Nacisnęła klamkę, a drzwi uchyliły się bezszelestnie. Prowadziły do kuchni, dużego pomieszczenia o ścianach pokrytych sosnowymi deskami, zastawionego drogim sprzętem i kilkoma skórzanymi krzesłami z różnych kompletów. Na wielkiej lodówce wisiały dziecięce rysunki, jakieś notatki i kolorowe magnesy. Birta zamknęła za sobą drzwi i zastygła w bezruchu, nasłuchując dźwięków, które napływały z wnętrza domu. Nic. Cholera, może go tutaj nie było. W innej sytuacji nie stanowiłoby to większego problemu: mogła opracować nowy plan, przesunąć spotkanie. Ale tym razem zostawiła po sobie ślad: w lesie leżał mężczyzna z przebitym sercem.

Przeszła powoli do holu. Wciąż żadnych oznak życia. Ruszyła w stronę gabinetu, zaglądając po drodze do mijanych pomieszczeń, gdy nagle otworzyły się drzwi położone nieco dalej, po lewej stronie korytarza, a dom wypełnił się odgłosem

spuszczanej wody. Klient wyszedł na korytarz i drgnął, zaskoczony, ujrawszy Birte. Podniosła pistolet i wymierzyła go w jego głowę.

– Spodziewałem się ciebie – powiedział, uśmiechając się słabo.

– Mnie?

– Nie ciebie konkretnie, ale kogoś w tym rodzaju. – Zerknął za jej plecy, w głąb korytarza. – Choć myślałem, że będzie to mężczyzna.

– Nie jestem mężczyzną – odparła Birta. Nie masz tam co patrzeć, pomyślała. Twój pomocnik nie przyjdzie. Nie licz na odsiecz. Ani na ułaskawienie.

– Tak, widzę... Posłuchaj, nie musisz...

Klient nie dokończył zdania. Pocisk wystrzelony przez Birte trafił go w środek czoła. Mężczyzna runął na plecy, sztywny i prosty niczym ścięte drzewo. Podeszła do niego. Wiedziała, że już nie żyje; z jego ciała wydobywały się pośmiertne dźwięki, na spodniach rozrastała się plama moczu, Birta poczuła też zapach kału. Wiedziała, że gwałtowna śmierć prawie zawsze jest brudna. I cuchnąca. Strużki ciemnoczerwonej, niemal czarnej krwi wypływały z nozdrzy mężczyzny i jego lewego ucha. Mimo to Birta przykucnęła u jego stóp, wymierzyła w dolną część zuchwy i strzeliła ponownie. Głowa klienta poruszyła się, jakby kręcił nią z dezaprobatą, Birta wiedziała jednak, że to skutek działania pocisku dum-dum o małej prędkości, który zniszczył właśnie mózg.

Wstała i zanotowała w pamięci miejsce, gdzie się zatrzymała, i jak tam dotarła. Zmierzyła odległość.

Spotkanie dobiegło końca.

Wracała nocą. Co jakiś czas padał śnieg, lecz autostrady były sprawnie odśnieżane. Rozsiadła się wygodnie w fotelu kierowcy i włączyła muzykę. Chciała się zrelaksować, choć wiedziała, że nie może pozwolić sobie na błąd, który ściągnąłby na nią uwagę. Przekraczając granicę ze Szwecją, ponownie skorzystała z drogi, na której nie było posterunku granicznego,

potem pojechała w stronę Sztokholmu. Rano oddała samochód do wypożyczalni na lotnisku Sztokholm-Bromma i przeszła na parking, na którym zostawiła swoje auto z duńską rejestracją. W tej chwili Birta Henningsen, która istniała zaledwie od trzydziestu sześciu godzin, wróciła do niebytu.

4

Fabel wybrał się do Presidium wczesnym rankiem. Kiedy jechał przez Winterhunde, słońce dopiero wschodziło na bezchmurnym niebie. Nocny mróz ściał śnieg i zamienił jego powierzchnię w twardą skorupę. Nadkomisarz uwielbiał taką pogodę. Zima zawsze była jego ulubioną porą roku.

Po przyjeździe do biura sprawdził wewnętrzną pocztę elektroniczną i znalazł wiadomość od Heidena, w której ten przypominał mu o konferencji na temat przemocy wobec kobiet. Kolejna konferencja. Fabel napisał krótką odpowiedź, wyjaśniając Heidenowi, że musi się z nim jak najszybciej spotkać. Napisał również do Anny i Wenera, że chce się z nimi zobaczyć, gdy tylko przyjdą do pracy.

Wysunął szufladę biurka, wyjął szkiecownik, położył go na blacie i otworzył. Spojrzał na pustą, czystą kartkę papieru i westchnął. Zawsze zaczynało się od tego. Fabel używał takich notesów od piętnastu lat podczas śledztw w sprawie morderstw. Pojedynczych, podwójnych, seryjnych. Nikt prócz niego nie widział jego zapisków. Dla nadkomisarza były one czymś zupełnie innym niż opis śledztwa, który sporządzał na tablicy podczas spotkań z podwładnymi. Ta metoda nie miała nic wspólnego z wysiłkiem zespołowym, była uzewnętrznieniem jego procesu myślowego. Wkrótce puste strony miały się zapełnić nazwiskami, datami, nazwami miejsc, połączonymi siecią linii. Obok nich miały pojawić się dłuższe frazy, wycinki z prasy, fragmenty zeznań. I myśli: nikczemne, ponure myśli. Fabel przypominał sobie, jak kiedyś podczas śledztwa w sprawie seryjnych morderstw znalazł notes zabójcy: obsesyjnie uporządkowane, lecz połączone splątanymi liniami zapiski, podkreślone słowa, słowa wykreślone, wzięte w kółko,

opatrzone potrójnym znakiem zapytania. Do dziś czuł zimny dreszcz, gdy uświadamiał sobie, jak bardzo szalona metodologia zabójcy przypomina jego własną.

Wziął do ręki pisak i na górze strony zapisał wielkimi literami słowo ANIOŁ, przy którym postawił trzy znaki zapytania. Potem po przeciwnych stronach arkusza wypisał nazwiska dwóch ofiar z St. Pauli. Następnie, korzystając z dokumentacji sprawy i własnego notesu, opisał najważniejsze elementy sprawy. Jednocześnie wracał mimowolnie myślami do innej historii: śmierci duńskiego policjanta. Ale to przecież nawet nie była jeszcze sprawa, choć Möller, lekarz sądowy z Butenfeld, obiecał mu, że wyniki autopsji będą dostępne już w porze lunchu. Pomyślał o Karin Vestergaard i przypomniał sobie, że była piękna, nie potrafił jednak odtworzyć w wyobraźni jej twarzy.

Z zamyślenia wyrwało go przybycie Anny Wolff i Wenera Meyera. Zamknął notatnik, schował go do szuflady i poprosił, by usiedli.

– No dobrze – zaczął. – Co nowego?

– Rozmawiałem z mężem Violi Dahlke – powiedział Werner.

– Nie było to łatwe. Miły facet, zwyczajna rodzina. Nie miał pojęcia, że jego żona prowadzi podwójne życie.

– Mam nadzieję, że nie wyjaśniłeś mi dokładnie, jak wyglądało to drugie życie?

Werner westchnął.

– Chyba nie masz mnie za idiotę, Janie. Ale i tak będzie się musiała przed nim gęsto tłumaczyć. Tak czy inaczej, jej mąż potwierdza, że była w domu tej nocy, gdy zginął Westland. Myślę, że możemy ją wypuścić.

– Małeńskie alibi to trochę za mało – stwierdził Fabel. – Ale nie mamy dość dowodów, żeby trzymać ją dłużej w areszcie. Poza tym jestem przekonany, że oba zabójstwa w St. Pauli są dziełem tej samej osoby, a wiemy z całą pewnością, że Viola Dahlke nie popełniła drugiego z nich.

– Sprawdziłem wszystkich taksówkarzy, którzy pracowali w St. Pauli tej nocy, gdy zginął Lensch. Były wśród nich trzy kobiety. Żadna z nich nie pamiętała, żeby wiozła takiego faceta,

żadna nie widziała go też na postoju ani na ulicy. Wygląda na to, że to była nasza zabójczyni.

– Zupełnie jakby polowała właśnie na Lenscha albo kogoś w jego typie – podsumował Fabel.

– Ale to nie ma sensu – zaprotestowała Anna. – Dobór ofiar wydaje się zupełnie przypadkowy. Westland był gwiazdą, obcokrajowcem, który dobiegał sześćdziesiątki. Lensch był zwykłym, anonimowym Niemcem, około trzydziestki. Łączyła ich jedynie ta sama płeć i fakt, że obaj znaleźli się w Kiez.

– Może nie potrzebowała niczego więcej. Ale ta historia z taksówką jest dziwna. Nikt poza taksówkarzami nie ma samochodu w takim kolorze, szczególnie mercedesa klasy E. Ta kobieta jest doskonale zorganizowana. Dlaczego miałyby dokładać tylu starań, a potem wybierać przypadkową ofiarę? – Fabel westchnął ciężko. – Co z kamerami ulicznymi? Znaleźliście jakieś ciekawe nagrania?

– Na razie nie. Zajmuje się tym pewien mundurowy z Davidwache, porządny facet.

– Dlaczego? – spytał Fabel. – Nie powinnaś robić tego sama?

– Nie próbuję wymigiwać się od pracy, nie obawiaj się, szefie. Po prostu Wangler pracuje na tym terenie od czterech lat, zna go jak własną kieszeń, wie też dobrze, gdzie rozmieszczone są kamery. Któraś z nich musiała sfilmować tego mercedesa, kiedy wjeżdżał do dzielnicy albo z niej wyjeżdżał. Jeśli ktokolwiek może go szybko znaleźć, to właśnie Wangler.

– W porządku, w porządku. – Fabel podniósł ręce w geście kapitulacji. – Sprawdziłaś tego Jürgena Manna? – spytał, nawiązując do mężczyzny, który zgłosił się na komisariat Davidwache.

– Tak – potwierdziła Anna. – Nic specjalnego. Skazany raz za posiadanie marihuany, nic poza tym. Najwyraźniej należy do wymierającego gatunku.

– Co masz na myśli?

– Jak twierdzi Wangler...

– Twój nowy najlepszy kumpel – wtrącił Werner.

– Chciałabym... – Anna westchnęła. – No więc zdaniem Wanglera do Kiez przychodzi coraz mniej dupków pokroju

Manna. Wiadomo, że przy Reeperbahn są kamery policyjne, a nikt nie chce, żeby widziano go, jak wchodzi do burdelu lub z niego wychodzi. Teraz rynek przejmują dziewczyny na telefon, agencje internetowe i tak dalej. Wangler mówi, że w porównaniu z dawnymi czasami dziewczyny pracujące na ulicy naprawdę cienko przędą. W dodatku w innych dzielnicach miasta nieoficjalnie pracuje coraz więcej kobiet przemycanych z zagranicy.

– Zwykle robią to pod przymusem – dodał Fabel.

– Być może, ale jeśli jesteś kanalią, która płaci za seks, nie obchodzi cię, czy twoja zabawka robi to z własnej woli, czy nie. W każdym razie na ulicy jest coraz mniej klientów. Teraz Kiez pełne jest Arminów Lenschów tego świata, którzy się upijają, a potem wpadają w kłopoty. Wydaje mi się, że Mann nas nie okłamał. On naprawdę wierzy, że stanął twarzą w twarz z Aniołem. Ale w tym wypadku nie mamy nagrań, które mogłyby to potwierdzić.

– W porządku... – Fabel umilkł na moment i odchylił się na krześle. – Słuchajcie, mamy gościa. Koleżankę po fachu z Danii. Poprosiłem ją, żeby przysłała dziś do Presidium. Chciałbym, żebyś z nią porozmawiała, Anno. Ty też, Wernerze.

– Mam robić dobre wrażenie? – spytała Anna. – Nie ma problemu. Wszyscy wiedzą, że jestem urodzoną dyplomatką.

– Nie dlatego proszę, żebyś z nią porozmawiała, Anno. Nazywa się Karin Vestergaard i jest wysokiej rangi oficerem w duńskiej policji. Wyższej niż ja.

– Czy to ma coś wspólnego z tym Duńczykiem, który zmarł na zawał? – spytał Werner.

Fabel i Anna wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Rzekomo zmarł na zawał – sprostowała.

– Politidirektør Vestergaard żywi dokładnie te same podejrzania co ty, Anno. I ma pewne dowody na ich poparcie. Chciałbym, żebyś z nią porozmawiała, bo to ty zwróciłaś uwagę na śmierć Jespersena.

– Więc to było morderstwo? – zdziwił się Werner.

– Mam nadzieję, że dowiemy się tego przed lunchem. Jeśli Möller się uwinie.

– Möller zachowuje się jak palant, ale to jeden z najlepszych anatomopatologów, z jakimi współpracowałem – stwierdził Werner.

– Pani Vestergaard udzieliła mu kilku wskazówek i podpowiedziała, na co powinien zwrócić szczególną uwagę. Nie chcę wchodzić teraz w szczegóły, ale w tle tej sprawy dzieje się sporo naprawdę poważnych rzeczy. Jeśli Möller znajdzie coś podejrzanego, będziemy musieli otworzyć nowe, duże śledztwo, z wszystkimi tego konsekwencjami. Chodzi o to, Anno, że to ty wpadłaś na ten trop. I bardzo dobrze.

– Jaka ona jest? – spytał Werner. – Ta duńska policjantka?

– Włóżcie rękawiczki, jeśli chcecie uścisnąć jej rękę – odparł Fabel. – Inaczej możecie sobie odmrozić palce.

5

Jest pani z telewizji? – Staruszka uśmiechnęła się, zadając to pytanie, a Sylvie Achtenhagen aż wzdrygnęła się w duchu. Zęby staruszki były w takim stanie, że powinien był się nimi zainteresować raczej archeolog niż dentysta. – Tak pani mówiła? Że jest pani z telewizji?

– Zgadza się... Z HanSat. – Sylvie uśmiechnęła się słodko, jak zawsze, gdy chciała wyciągnąć od kogoś informacje. Zerknęła na śmietnisko za połamanym płotem. Znajdowały się poblizu przystani, na południowym krańcu St. Pauli. Po drugiej stronie Łaby olbrzymie dźwigi zdejmowały kontenery z armady frachtowców. Powietrze wypełniało rytmiczne trąbienie obracających się machin.

– Nigdy o tym nie słyszałam. Nie mam telewizora. – Staruszka wykonała ręką szeroki gest, na tyle obszerny, na ile pozwalały jej liczne warstwy ubrań, obejmując nim popękany chodnik, rachityczne kępki trawy, porzucone butelki i zużytego kondoma. – Zepsułyby atmosferę, którą tutaj stworzyłam. – Zachichotała, rozbawiona własnym dowcipem. – Więc kręci pani coś o Kiez? O tych morderstwach? Wie pani, że tu znaleźli tego ostatniego faceta?

– Coś w tym rodzaju. Tak, wiem, że ostatnią ofiarę znaleziono

właśnie tutaj. Dlatego chciałam z panią porozmawiać. Często tu pani bywa?

– Gliniarze już mnie o to pytali. Kręcili się tu, jakby mieli robaki w dupie.

– Często tu pani bywa? – zapytała znów Sylvie. Bądź cierpliwa. Uśmiechaj się. Zaproponuj pieniądze. – Proszę posłuchać, mogę pani zapłacić za informacje. Ale tylko za dobre informacje. Często tu pani przychodzi?

– Ja tu mieszkam – oświadczyła staruszka z dumą. – Ile?

– To zależy. Nocuje pani też w schronisku?

– Czasami. Kiedy jest zimno. A czasami śpię tutaj.

– Na pewno znalazłoby się jakieś lepsze miejsce. Pomoc społeczna mogłaby to pani załatwić.

– Wiem, wiem... – Kolejny chrapliwy chichot. – Chcieli mi dać wilę w Blankenese, ale powiedziałam im, że ludzie z moich sfer zasługują na coś więcej.

Sylvie wzruszyła ramionami.

– No dobrze, mówiła pani, że policjanci z panią rozmawiali. Co chcieli wiedzieć?

– Pytali, czy widziałam coś tamtej nocy, kiedy zabili tego faceta. Powiedziałam, że nie. Było zimno, więc przekimałam się w apartamentach Czerwonego Krzyża. Wcześniej piłam tu do jedenastej, ale niczego nie widziałam. Potem pytali mnie, czy widziałam tu w okolicy taksówkę, którą prowadziła kobieta.

– Taksówkę?

– Tak. Ale mówili, że mogła nie mieć żadnego napisu ani koguta.

– Wyjaśnili, dlaczego szukają taksówki?

– Tak, gliniarze zawsze mówią mi o takich rzeczach. Omawiają ze mną różne sprawy. Jestem kimś w rodzaju specjalnego konsultanta.

– Posłuchaj, możesz zgrywać cwaną albo dostać pieniądze. Jedno z dwóch.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Żartuję tylko. Nie. Nie powiedzieli dlaczego.

– Coś jeszcze?

– Pokazywali mi zdjęcie. Chyba tego zabitego faceta. Nigdy

wcześniej go nie widziałam i tak im powiedziałam.

– Mówili, jak się nazywał ten zabity?

– Nie. Mówili tylko, że miał około trzydziestu lat i że był niezbyt wysoki.

– Czy ktoś jeszcze nocuje w tej okolicy?

– Nie, dla innych to za daleko. Ja śpię tutaj, bo jestem kobietą. Gdzie indziej nie jest bezpiecznie.

Sylvia przyjrzała się uważniej swojej rozmówczyni. Wyglądała na osiemdziesiąt lat, ale równie dobrze mogła mieć tylko czterdzieści. Zaledwie kilka lat więcej od niej. Dziennikarka zastanawiała się przez moment, jak ktoś może doprowadzić się do takiego stanu. Przypuszczała, że ta nędzarka niejedno przeżyła i widziała naprawdę przerażające rzeczy. Wręczyła jej pięćdziesiąt euro.

– Dzięki. – Kobieta była zachwycona jej hojnością. Nagle jakby nabrała chęci do współpracy. – Posłuchaj, wpadnij tu jeszcze jutro, co? Popytam innych, czy czegoś nie widzieli.

– Byłoby miło. – Sylvie uśmiechnęła się. – Proszę to zrobić.

Sylvie wróciła na Reeperbahn i zaparkowała w pobliżu postoju taksówek przy Spielbudenplatz. W odróżnieniu od kobiety, z którą przed chwilą rozmawiała, taksówkarze czekający na klientów doskonale wiedzieli, kim jest Sylvie. Wszyscy garnęli się do pomocy, szczególnie gdy dała do zrozumienia, że jeśli dowie się od nich czegoś naprawdę wartościowego, wróci z ekipą telewizyjną i nagra ich zeznania. Żaden z nich nie miał jednak nic ciekawego do powiedzenia, choć kilku bardzo chętnie opowiadało o tym, co usłyszeli od policji.

Ze strzępów informacji, które udało jej się zebrać w ten sposób, Sylvie wywnioskowała, że mężczyzna znaleziony nad rzeką wsiadł wcześniej do beżowego mercedesa klasy E, a policja uważała, że nie była to prawdziwa taksówka. Dziennikarka uznała, że tak staranne planowanie musi być dziełem profesjonalisty. Taksówkarze powiedzieli jej, że wszyscy szukają teraz fałszywej taksówki i jej kierowcy.

Sylvie pomyślała, że skoro już jest na Spielbudenplatz, to mogłaby zajrzeć do Davidwache. Kiedy spytała umundurowaną policjantkę w recepcji, czy mogłaby rozmawiać z panem Kaminskim, poinformowano ją, że komisarz nikogo nie przyjmuje. Przez cały dzień. Sylvie próbowała wyciągnąć jakieś informacje od policjantki, lecz bez powodzenia.

Kiedy wróciła do samochodu, zabrzączał jej telefon komórkowy. Dzwoniła Ivonne, jej asystentka, z wiadomością, że policja ujawniła tożsamość drugiej ofiary: był nią Armin Lensch, dwudziestodziewięcioletni pracownik NeuHansa Group.

– Cholera, to prawie na naszym podwórku – rzekła Sylvie. Firma NeuHansa Group należała do Giny Brønsted, senator z Hamburga, która ubiegała się o stanowisko pierwszego burmistrza. Za pośrednictwem NeuHansa Gina Brønsted mogła w mniejszym lub większym stopniu kontrolować najważniejsze firmy z siedzibą w Hamburgu. Jedną z nich była stacja HanSat TV, pracodawca Sylvie. Plotka głosiła, że Brønsted pomagała Andreasowi Knabbemu sfinansować i rozwinąć działalność telewizji.

– Zgadza się – przytaknęła Ivonne. – Lensch pracował podobno w jednostce zależnej, Norivon. To dział technologii środowiskowych NeuHansa.

– Zaczyna się robić ciekawie... – Sylvie siedziała nieruchomo w samochodzie i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Jej umysł pracował na pełnych obrotach, analizował dziesiątki powiązań i scenariuszy. Gina Brønsted była nie tylko politykiem, ale i multimilionerką. Startowała w wyborach na pierwszego burmistrza Hamburga, twierdząc, że potrafi zarządzać miastem równie sprawnie jak swoimi firmami. Fakt, że jeden z jej pracowników miał związek z tymi morderstwami, nawet jeśli był ich ofiarą, z pewnością nie stanowił dla niej dobrej reklamy.

– Ivonne, ściągnij wszystko, co tylko możesz o NeuHansa Group i Ginie Brønsted. Wyszukaj kilka najważniejszych nazwisk i sprawdź, czy ten zamordowany facet miał coś do powiedzenia w firmie. Prześlij mi wszystko mailem na mój

prywatny adres albo wyślij kuriera do mojego mieszkania, jeszcze dziś wieczorem. Będę w domu od ósmej.

– Już się robi. Aha, pytał o ciebie pan Knabbe.

Sylvie uśmiechnęła się do siebie: Ivonne była naprawdę świetną asystentką. Co ważniejsze, nienawidziła ich wspólnego szefa równie bardzo jak sama Sylvie. Okazywała tę niechęć, odrzucając amerykańską bezpośredniość, dlatego też nigdy nie zwracała się do swego przełożonego ani nie mówiła o nim po imieniu, a jedynie „pan Knabbe”.

– Co mu powiedziałaś?

– Że badasz właśnie jakiś obiecujący trop. Powiedziałam mu też, że kończy ci się bateria w komórce, więc ją wyłączyłaś, i na razie nie mogą się do ciebie dodzwonić.

– Ivonne, jesteś genialna.

– Tak mówią. Aha, dzwonił ktoś jeszcze. Jakiś facet. Mówił, że musi z tobą jak najszybciej porozmawiać, ale nie chciał się przedstawić. Obiecał, że jeszcze zadzwoni. Jak dla mnie był trochę przerażający.

Sylvie poprosiła Ivonne, by przekazała panu Knabbemu, że pojawi się w redakcji nazajutrz, z samego rana, powiedziała jej też, żeby nie przejmowała się za bardzo anonimowym rozmówcą. Pewnie jakiś wariat. Zakończyła rozmowę, wyjechała na Reeperbahn i ruszyła w stronę centrum.

6

Fabel odebrał telefon od Renate w chwili, gdy miał właśnie wyjechać z Anną i Wernerem na piąte piętro Presidium, na spotkanie z van Heidenem.

– Rozmawiałeś już z Gabi? – spytała Renate bez wstępów.

– Jeszcze nie. Wiesz, że nie rozmawiałem. Dlaczego dzwonisz do mnie, kiedy jestem w pracy, i zadajesz mi pytania, na które znasz odpowiedź? Spotykam się z Gabi w czwartek. Wtedy z nią pogadam.

– Mogłeś do niej zadzwonić.

– To nie jest rozmowa na telefon. Uważam, że należy odpowiednio wybrać czas i miejsce. Ty też mogłabyś tego

spróbować, Renate. Poza tym to nic pilnego, Gabi nie zdała nawet jeszcze matury.

– Jakież kłopoty? – spytał Werner, gdy Fabel odłożył słuchawkę. Wraz z Anną przysłuchiwał się z zakłopotaniem rozmowie.

– Najgorsze, jakie mogą być. Renate. Gabi zastanawia się nad pracą w policji. Zdaniem Renate mam na nią zły wpływ.

– Ja nie chciałbym, żeby któraś z moich córek wybrała taką pracę – stwierdził Werner.

– Doprawdy? A gdybyś miał syna? – spytała Anna.

– Wiesz, że nie mam syna, więc nie wiem. To nie ma nic wspólnego z twoimi teoriami o nierówności płci, Anno.

Fabel wziął głęboki oddech.

– Gotowi? Więc chodźmy, stańmy przed obliczem najwyższych.

Czekali przed biurem van Heidena przez pięć minut, nie zaproszono ich jednak do środka. To van Heiden wyszedł na korytarz, wkładając po drodze marynarkę.

– Chodźcie ze mną – powiedział, spoglądając z dezaprobatą na dzinsy i koszulkę Anny.

Budynek Police Presidium w Hamburgu ma kształt olbrzymiej gwiazdy policyjnej, symbolu sił porządkowych w całym Niemczech. Oś budynku stanowi okrągłe atrium z przeszklonym dachem, a w odchodzących od niego ramionach gwiazdy mieszczą się poszczególne biura i urzędy, łącznie z wydziałem zabójstw. Fabel, Werner i Anna przeszli za van Heidenem przez długi korytarz, aż do wydziału prezydialnego. Tutaj znajdowały się biura Hugo Steinbecha, komendanta głównego hamburskiej policji, oraz jego zastępców.

– Komendant Steinbach chciał wziąć udział w tym spotkaniu – wyjaśnił van Heiden. Przystanął na moment i odwrócił się do Fabla. – Janie, wiesz, że nie lubię działać na oslep. Co powiedziałaś panu Steinbachowi?

– Nic – odparł Fabel. – Myślałem, że to ty...

Van Heiden pokręcił głową.

– Wygląda na to, że obaj zostaliśmy wyprowadzeni w pole. Trudno, dowiemy się wszystkiego na miejscu.

Kiedy dotarli do wydziału prezydialnego, nie skierowano ich do biura Steinbacha, lecz prosto do sali konferencyjnej. Gdy tam weszli, Fabel przekonał się ze zdumieniem, że obok Hugo Steinbacha siedzi Karin Vestergaard. Komendant wstał i uściśnął dłoń van Heidena, a potem Fabla. Steinbach pod wieloma względami stanowił przeciwieństwo van Heidena. Ten ostatni nie mógłby być nikim innym, jak policjantem, nosił eleganckie, szyte na miarę garnitury od Hugo Bossa. Tymczasem Hugo Steinbach zawsze mówił łagodnym, spokojnym głosem i sprawiał wrażenie człowieka dobrodusznego, życzliwego całemu światu. Ktoś, kto nie znałby jego prawdziwej profesji, mógłby wziąć go za nauczyciela z podstawówki lub wiejskiego lekarza. W pewnym sensie Steinbach był postacią wyjątkową pośród innych równie wysoko postawionych policjantów w Niemczech. Nie zaczynał kariery od poziomu oficerskiego, lecz przeszedł wszystkie jej szczeble. Pracował najpierw jako zwykły posterunkowy, a potem systematycznie piął się w górę, stopień po stopniu. Fabel wiedział, że podczas tej wędrówki był także szefem wydziału zabójstw w Berlinie. Szanował Steinbacha jako policjanta i lubił jako człowieka.

– Wiem, że chciałeś porozmawiać z dyrektorem van Heidenem o tym, co powiedziała ci wczoraj pani Vestergaard, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jak przedyskutujemy to razem. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, Janie.

– Dzień dobry, pani Vestergaard – powiedział Fabel po angielsku. – Myślałem, że spotkamy się nieco później. Miałem nadzieję, że najpierw wprowadzę w szczegóły pana van Heidena, jak wspomniał o tym pan Steinbach.

– Obawiam się, że od tamtej pory sytuacja uległa zmianie – odparła Vestergaard bez cienia skruchy. – Pojawiły się nowe informacje i uznałam, że należy je przedyskutować z panem Steinbachem.

– Może usiądziemy? – zaproponował Steinbach, starając się

w ten sposób rozładować napięcie między Fablem i Vestergaard. – I może powiemy panu van Heidenowi, o czym właściwie zamierzamy rozmawiać.

Kiedy już usiedli, Fabel przedstawił pokrótce teorię Vestergaard dotyczącą płatnego zabójcy z Hamburga i podejrzanych przyczyn śmierci Jespersena. Vestergaard siedziała nieruchomo, gdy nadkomisarz mówił po niemiecku, a jej twarz pozostawała równie nieprzenikniona jak podczas ich poprzedniego spotkania.

– Jaką mamy pewność, że ta Walkiria mieszka w Hamburgu? – spytał Steinbach, gdy Fabel już skończył.

– Z całym szacunkiem dla pani Vestergaard i jej zmarłego kolegi, nie mamy żadnego dowodu, że ta Walkiria w ogóle istnieje. – Fabel ponownie spojrzał na duńską policjantkę. Nie okazywała w żaden sposób, że rozumie jego słowa, choć z pewnością nie zrobiłaby tego, nawet gdyby doskonale знаła niemiecki. – Szczerze mówiąc, panie komendancie, mam wrażenie, że nasza koleżanka z zagranicy nie mówi nam wszystkiego.

– Myślisz, że kryje się za tym coś jeszcze? – spytał Steinbach.

– Nie wiem. Tak naprawdę ta historia może nie mieć większego znaczenia. A w tej chwili, gdy muszę zajmować się rzekomym zmartwychwstaniem Anioła z St. Pauli, wolałbym nie zawracać sobie głowy jakimiś niesprawdzonymi teoriami. Tak czy inaczej, dziś po południu dostaniemy raport z sekcji zwłok Jespersena. Wtedy dowiemy się, na czym stoimy.

– Rozumiem. – Steinbach skinął głową. – Co o tym myślisz, Horst?

– Myślę, że nie możemy sobie pozwolić na zignorowanie tej sprawy. W międzynarodowej społeczności policyjnej nie brakuje ludzi, którzy uważają, że pokpiłszy sprawę, kiedy nie zatrzymaliśmy tak zwanej hamburskiej komórki, terrorystów związanych z atakami na World Trade Center. Mielibyśmy naprawdę spore kłopoty, gdyby okazało się, że zlekceważyliśmy informacje o zabójcy działającym w Hamburgu, a potem ten zabójca popełniłby jakąś zbrodnię o poważnych konsekwencjach. Na przykład dokonał politycznego zamachu

za granicą. – Van Heiden odwrócił się do Fabla. – Wybacz, Janie... Wiem, że masz mnóstwo pracy w związku ze sprawą Anioła, ale musimy potraktować to poważnie.

– Zgadzam się. Szczególnie jeśli sekcja zwłok wykaże coś podejrzanego.

Vestergaard odchrząknęła głośno.

– Przepraszam... – powiedział Fabel po angielsku, po czym zwrócił się do wszystkich zgromadzonych: – Może ze względu na panią Vestergaard powinniśmy od tej pory rozmawiać wyłącznie po angielsku.

– Naturalnie – powiedział van Heiden z fatalnym niemieckim akcentem. – Oczywiście, że będziemy rozmawiali po angielsku.

Vestergaard spojrzała wymownie na Fabla, jakby chciała przypomnieć mu, co mówiła poprzedniego dnia o różnicach między angielszczyzną Duńczyków i Niemców.

– Zdaje się, że pani Vestergaard ma wam coś ważnego do powiedzenia – rzekł Steinbach. – Proszę, pani Vestergaard.

– Utrzymuję stały kontakt z moim biurem w Kopenhadze – przemówiła Dunka. – Moi współpracownicy otrzymali informację od norweskiego wydziału śledczego o wydarzeniu, do którego doszło w Drøbak, w pobliżu Oslo. Chodzi o zabójstwo dwóch mężczyzn wczoraj wieczorem. – Vestergaard umilkła na moment i sięgnęła do torby po notes. – Jørgen Halvorsen jest... był wybitnym dziennikarzem śledczym, współpracował z gazetami i czasopismami w całej Skandynawii – mówiła, zerkając do swoich notatek. – Urodził się w Norwegii, ale przez wiele lat pracował w Kopenhadze. Pięć lat temu przeprowadził się z powrotem do swojej ojczyzny. Ze względów zdrowotnych, można powiedzieć. Narobił sobie wielu wrogów w Danii i Szwecji. Halvorsen interesował się szczególnie dwoma obszarami, które czasami miały ze sobą sporo wspólnego: skrajną prawicą w Europie i korupcją w biznesie i polityce. Został zamordowany wczoraj wieczorem, w swoim domu w Drøbak. Jego rodzina wyjechała na dwa dni, więc ktoś zapewne zaplanował wszystko z wyprzedzeniem i obserwował dom. Halvorsen planował dłuższy wyjazd za granicę. Na Daleki Wschód. Nie wiemy dokąd dokładnie ani

z jakiego powodu. Ale ten fakt również świadczy o tym, że zabójca znał plany Halvorsena i przygotował się do akcji, nie wziął jedynie pod uwagę obecności ogrodnika, który zaskoczył go przed domem. To on był drugą ofiarą. Zginął od ciosu nożem, prosto w serce.

– Uważa pani, że to dzieło tej rzekomej Walkirii z Hamburga? – spytał Fabel.

– Niewykluczone. – Vestergaard wzruszyła ramionami. – Na pewno zrobił to zawodowiec. Trzeba tu też wspomnieć, że norweska policja miała oko na dom Halvorsena.

– Dlaczego? – spytał Fabel.

– Jakies dwa tygodnie temu ktoś się tam włamał, ukradł laptop Halvorsena i wszystkie dyski zapasowe. I tutaj sprawa robi się naprawdę interesująca... Halvorsen bardzo dbał o bezpieczeństwo swoich danych, więc skopiował też wszystko na wirtualny dysk w internecie. Ktoś zdobył jego kod dostępu oraz hasła i wykasował również te informacje. To także musieli zrobić prawdziwi zawodowcy.

– Nad czym pracował? – spytał van Heiden.

– Nie znamy jeszcze szczegółów. Nie tylko norweska policja interesowała się Halvorsenem: znajdował się również w kręgu zainteresowań PST, norweskiej agencji bezpieczeństwa wewnętrznego, i Økokrim, biura do spraw przestępczości gospodarczej i środowiskowej. Obie te instytucje współpracowały z Halvorsenem, bo wiedziały, że wcześniej czy później przekaże im wszystko, czego się dowie.

– Wygląda na to, że wasi norwescy koledzy są wobec was bardzo otwarci – rzekł van Heiden.

– Tak to już jest w Skandynawii. – Vestergaard wzruszyła ramionami. – Porozumienie między policją krajów skandynawskich obowiązuje od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku, a jego zakres został rozszerzony w dwa tysiące pierwszym. Dzięki temu możemy współpracować bez zbędnych formalności. Poza tym przestępczość zorganizowana, pravicowy ekstremizm oraz inne tego typu zjawiska zwykle nie ograniczają się tylko do jednego kraju.

– Mamy jakieś pojęcie, nad czym pracował Halvorsen? –

spytał Fabel.

– Bez jego plików raczej się tego nie dowiemy. W ciągu swojej kariery Halvorsen skompromitował kilka ważnych postaci. Ludzi bogatych i wpływowych. Nauczył się, że nie warto prowadzić otwartej gry. Ale mamy kilka teorii. Jedna z nich dotyczy handlu kobietami. Norwegia, jak zapewne wiecie, przewodniczy teraz grupie operacyjnej Interpolu, która walczy z handlem kobietami, i być może Halvorsen zajmował się właśnie tym tematem. Kilku moich kolegów przypuszcza, że zamierzał ujawnić jakieś poważne przestępstwo środowiskowe, którego dopuściła się jakaś duża korporacja albo rząd. Tworzymy właśnie listę pytań, które skierował do Økokrim. Jesteśmy niemal pewni, że temat, nad którym pracował, dotyczy Danii. Kilkakrotnie podróżował do Kopenhagii. Wydaje się, że szczególnie interesował go region Øresund; wiemy, że na Uniwersytecie Kopenhaskim szukał informacji o tym regionie jako o jednostce polityczno-gospodarczej.

– Przepraszam – wtrącił Steinbach, marszcząc brwi. – Może mój angielski...

– Øresund leży częściowo w Danii, a częściowo w Szwecji – wyjaśniła Vestergaard, mówiąc nieco wolniej i wyraźniej. – Tam właśnie znajduje się nowy most między Danią i Szwecją. Niegdyś ta część Szwecji należała do Danii, podobnie jak Szlezwik-Holsztyn.

– Dlaczego Halvorsen interesował się właśnie tym regionem? – spytał van Heiden.

– Nie mam pojęcia. Może nie ma to większego znaczenia. Halvorsen często zajmował się euroregionami. Wiecie, to takie obszary na terenie Unii Europejskiej, które znajdują się na terenie różnych państw. Język, którym mówią mieszkańcy szwedzkiej części Øresund, stał się przedmiotem sporu lingwistów, większość z nich twierdzi, że to dialekt wschodnioduński, pozostali utrzymują, że południowoszwedzki. Chodzi o to, że Europa dzieli się na jednostki, które same określają swoją tożsamość, a nie na tradycyjne narody objęte granicami. Można na przykład powiedzieć, że w kwestiach kultury i tożsamości Hamburg ma

więcej wspólnego z Danią niż z Bawarią.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego Halvorsen miałby się pasjonować tym, czy garść Szwedów mówi z duńskim, czy ze szwedzkim akcentem – wtrącił Fabel.

– Ja też nie – odparła lekceważąco Vestergaard. – A jego wizyty w Kopenhadze i w tym regionie mogą nie mieć nic wspólnego z jego śmiercią. Pamiętajmy jednak, że Halvorsen interesował się również neofaszyzmem. Tożsamość mieszkańców Skanii to nie tylko kwestia duńskiego lub szwedzkiego akcentu. Działa tam kilka skrajnie prawicowych grup, które chcą stworzyć z regionu autonomiczne państwo i wyrzucić wszystkich muzułmanów do „Szwecji”.

Vestergaard umilkła, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Odebrał go Steinbach.

– To do ciebie, Janie – powiedział, podając słuchawkę Fablowi.

– Fabel? Mówi Möller. Zaraz wyślę do pańskiego biura wyniki sekcji zwłok, ale pomyślałem, że chciałby pan poznać wcześniej najważniejsze wnioski.

– Bardzo dziękuję panie doktorze. Rozumiem, że nasze podejrzenia okazały się uzasadnione?

– Owszem, tak jak sugerowała to pańska mniej niż czarująca duńska koleżanka... Wie pan, że skontaktowała się ze mną bezpośrednio i zaczęła mnie pouczać? Mówiła, czego dokładnie mam szukać.

– Nie, nie wiedziałem – odparł Fabel, spoglądając z irytacją na Vestergaard. – Przepraszam.

– Cóż, tak czy inaczej, miała rację – kontynuował Möller. – Znalazłem ślad po ukłuciu igłą, a przynajmniej coś, co wygląda moim zdaniem na celowo ukryty ślad po zastrzyku. W kroczu. Przegapiłbym go, gdybym nie zwracał szczególnej uwagi na to miejsce.

– Co mu wstrzyknięto?

– Będziemy musieli poczekać na pełny raport toksykologiczny, ale z ciekawości sam zbadałem próbkę krwi. Szukałem oznak hiperkalemii i znalazłem je.

– Co to takiego?

– Podwyższony poziom potasu. Substancja, którą mu wstrzyknięto, podniosła poziom potasu w organizmie, co spowodowało hiperkalemię, a w konsekwencji arytmieję i zatrzymanie akcji serca. Taką reakcję mogło wywołać wiele środków, ale kazałem zbadać krew na obecność chlorku potasu oraz chlorku sukcylocholino.

– Cóż, nie musimy już dłużej spekulować – powiedział Fabel, odłożywszy słuchawkę. – Wygląda na to, że będziemy wspólnie prowadzić śledztwo w sprawie morderstwa, pani Vestergaard.

7

Ute Cranz spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Czowała się tak, jakby patrzyła na zupełnie obcą osobę.

Była wysoka i szczupła. Jej ciało, ukryte pod drogimi ubraniami, było gibkie i kształtne. Długo ćwiczyła, by doprowadzić je do takiego stanu. By stało się silne, sprawne, pełne gracji. Ale teraz czuła się od niego oderwana. Odłączona od osoby, która patrzyła na nią zimnym wzrokiem z lustra.

Jako dziewczynka Ute, podobnie jak jej siostra, była świetną gimnastyczką. Mogła daleko zająć, startować w międzynarodowych zawodach, ale jej rodzice byli temu przeciwni, nie chcieli, by wykorzystywano jej ciało. Baw się tym, jeśli tego chcesz, mówił jej ojciec, ale nie pozwól, żeby eksploatowali twoje ciało i niszczyli zdrowie w imię fałszywych idei. Wtedy go nie rozumiała, teraz jednak dobrze wiedziała, co miał na myśli. Widziała, co zrobili z jej siostrą. Margarethe opowiedziała jej wszystko. Przy każdej wizycie odsłaniała kolejny fragment, kolejne obrzydlistwo.

Ukradli Margarethe życie. To, co z nią zrobili, było jak gwałt. Nie, było czymś gorszym. Zniszczyli ją, odebrali jej człowieczeństwo. Potem, kiedy już zrozumieli, że nie jest w stanie zrobić tego, czego od niej chcieli, po prostu wyrzucili ją jak zepsutą zabawkę.

Ute odwróciła się od lustra i przeszła przez salon do okna wychodzącego na ulicę. Jeszcze nie. Spojrzała na zegarek. Jeszcze kilka minut. Wróciła do lustra, nałożyła trochę więcej

makijażu i poprawiła włosy.

Starannie dobrała strój na tę okazję: był elegancki, ale nie nazbyt szykowny jak na zwykłe śródkowe popołudnie. A właśnie dokładnie o tej porze w środę pan Gerdes wracał do domu. Mieszkał na najwyższym piętrze – z tarasem na dachu. Ute ustaliła już, że Gerdes mieszka sam, choć nie miała pojęcia, czy jest rozwodnikiem, wdowcem, czy starym kawalerem. Rzeczywiście był niekłopotliwym i cichym sąsiadem: jedynym dźwiękiem, jaki dochodził czasem z jego apartamentu, była muzyka, Brahms i Bruch, jak jej się wydawało, a słyszała ją tylko wtedy, gdy szła po schodach do swojego mieszkania.

Ute położyła dłoń na mosiężnym pokrętle zamka, otworzyła drzwi i nasłuchiwała. Po chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi na dole i kroki na schodach. Wyszła na podest dokładnie w chwili, gdy dotarł tam Gerdes.

– Och, witam panią, pani Cranz – powiedział z uśmiechem. Był ubrany w gruby sweter z golfem, okryty drogim tweedowym płaszczem. W dłoni trzymał jasne rękawiczki ze świńskiej skóry. – Zimno dziś. Wybiera się pani gdzieś?

– Cieszę się, że pana spotkałam, panie Gerdes – powiedziała, ignorując jego pytanie. – Jak pan wie, niedawno wprowadziłam się do tego mieszkania i mam pewien problem z czynszem. Zastanawiałam się, czy zechciałby mi pan to wyjaśnić.

– Cóż. – odparł, marszcząc brwi. – Bardzo chętnie, ale w tej chwili...

– Och nie, nie teraz – przerwała szybko, wykonując przeproszający gest. – Nie śmiałabym narzucać się panu w ten sposób. Pomyślałam... cóż... Zastanawiałam się, czy nie zjadłby pan ze mną kolacji w sobotę wieczorem. – Gerdes milczał, więc Ute dodała pospiesznie: – Widzi pan, teraz nie mam dla kogo gotować, a kupiłam te filety...

Przerwał jej, robiąc krok w jej stronę i uśmiechając się jeszcze szerzej.

– Pani Cranz, będę zaszczycony.

To był męczący dzień. Po części dlatego, że Fabel musiał spędzić tyle czasu z Karin Vestergaard. Nigdy by nie przypuszczał, że przebywanie w towarzystwie pięknej kobiety może być tak nużące. Bo przecież była piękna, prawda? Już kilkakrotnie przekonał się, że jeśli nie widzi jej przez jakiś czas, nie potrafi przypomnieć sobie jej twarzy. A Fabel miał doskonałą pamięć do twarzy, w końcu zbudował na tym swoją karierę. Przed wyjściem z biura zadzwonił do Susanne, tłumacząc jej, że czuł się w obowiązku zaprosić Vestergaard na kolację i że w związku z tym odbierze ją o ósmej z hotelu.

– Błagam, przyjdź tam – prosił. – Ta kobieta jest okropnie męcząca, potrzebuję twojej pomocy.

– Nie mogłabym przecież obciążać podatnika dodatkowymi kosztami. Wrzucisz to wszystko w koszty, prawda?

– Ty też bierzesz udział w tym śledztwie, więc jesteś usprawiedliwiona. Vestergaard z pewnością będzie chciała wiedzieć, jak wygląda twoja współpraca z wydziałem. Jeśli chcesz, sam za ciebie zapłacę.

– Boże, rzeczywiście musi być okropnie męcząca.

– Zarezerwowałam stolik w tej restauracji rybnej w Neumühlen, twojej ulubionej.

– Nie sądzę...

– Czy mówiłem ci już, że ta skandynawska królowa śniegu jest wyjątkowo piękna? A będziemy tam tylko we dwoje, więc jeśli nie przyjdiesz...

– W porządku, przekonałeś mnie. Dołączę do was i będę bronić twojej czci. Wpadnij po mnie do domu.

Fabel był świadom, że stał się obiektem zazdrości. W restauracji nie było mężczyzny, który nie spojrzałby w jego stronę, gdy wszedł tam wraz z Susanne i Karin Vestergaard. Prawdę mówiąc, fakt, że pokazuje się publicznie w towarzystwie dwóch tak pięknych kobiet, sprawiał mu niemałą przyjemność. Dopiero gdy stanęły obok siebie,

przekonał się, jak bardzo są różne: Susanne miała kruczoczarne włosy i orzechowe oczy, a jej skóra nawet w środku hamburskiej zimy zachowywała ślad złotej opalenizny. Z drugiej strony, włosy Karin Vestergaard były niemal popielato białe, jej skóra wyjątkowo blada, a oczy jasnobłękitne. Celtycka piękność i królowa lodowej północy.

Karin Vestergaard ponownie zrobiła z makijażem coś, co kompletnie odmieniło jej wygląd. Przydało mu łagodności. Susanne i Vestergaard gawędziły przyjaźnie, zajmwszy miejsca przy stoliku przy oknie. Światła w restauracji celowo były nieco przygaszone, by klienci mogli podziwiać bezgłówny balet olbrzymich tankowców i innych statków, które przepływały za oknami wychodzącymi na Łabę. Fabel czuł się dość osobliwie, słysząc, jak Susanne rozmawia po angielsku – w ciągu całej ich znajomości wypowiedziała przy nim tylko kilka słów w tym języku. Zauważył, że choć mówi nim płynnie, to nie potrafi pozbyć się bawarskiego akcentu.

Susanne i Karin Vestergaard natychmiast znalazły wspólny język, co wprawiło Fabla w pewne zakłopotanie; nie potrafił zrozumieć radykalnej przemiany, jaka zaszła w zachowaniu Vestergaard. Nie po raz pierwszy czuł się całkowicie zagubiony w obliczu złożoności kobiecego umysłu. Nieraz już widział podobny fenomen: kobiety zachowywały się wobec siebie zupełnie inaczej niż w stosunku do niego. Widział to, ale nigdy tego nie rozumiał: siedząc obok Susanne i Karine Vestergaard, czuł się tak, jakby zaproszono go do ekskluzywnego klubu, lecz pozwolono mu pobyc w nim tylko przez chwilę.

– Więc przez cały dzień byłaś skazana na towarzystwo Jana.

– Susanne pokiwała głową. – Na pewno musisz się teraz napić.

– Przywołała kelnera i zamówiła butelkę białego wina.

– Nie jest taki zły – odparła Vestergaard. Uśmiechnęła się do Fabla, a ten uświadomił sobie, że zrobiła to po raz pierwszy. – Trzeba tylko trochę do niego przywyknąć.

– Wiem coś o tym. – Susanne uniosła lekko brew i uśmiechnęła się porozumiewawczo. – Jak podoba ci się Hamburg?

– Całkiem, całkiem – odparła Vestergaard. – To dziwne, ale

wcale nie wydaje mi się bardzo obcy. Czuję się tu trochę jak w Danii.

– Sama powiedziałaś dzisiaj, podczas rozmowy o euroregionach, że Hamburg ma skandynawski charakter – zauważył Fabel. – Znajdujemy się w tej chwili w dzielnicy Altona. Aż do lat trzydziestych ubiegłego wieku Altona była odrębnym miastem, dopiero na mocy ustawy o wielkim Hamburgu stała się jego częścią. Przez ponad dwieście lat ten teren stanowił własność Duńczyków. A sam Hamburg przez większość swej historii leżał tuż przy granicy z Danią.

– Boże, nie podpuszczaj go – zwróciła się Susanne do Vestergaard. – Jak już raz zacznie, nie potrafi przestać, przez cały wieczór będzie opowiadał o historii. A swoją drogą dobrze wiem, co masz na myśli, Karin. Ja jestem z południa, z Bawarii. Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Hamburga, wydawał mi się zupełnie skandynawski. Choć wciąż opowiadają tu o tym, jak bardzo są angielscy. Nawiasem mówiąc, wiesz, jakie przezwisko ma Jan?

– O nie, tylko nie to – jęknął Fabel. – Niektórzy mówią o mnie *der Englische Kommissar*, bo jestem w połowie Brytyjczykiem. Szkotem, ściśle rzecz biorąc.

– Nie, chodzi mi o inne przezwisko. – Susanne roześmiała się. – Pewnie nawet go nie słyszałeś: jego lordowska mość.

– Kto mnie tak nazywa? – Fabel spojrział oskarżycielsko na swoją towarzyszkę.

– Widzisz? – Susanne westchnęła, zwracając się do Vestergaard. – Teraz się obrazi. Wiesz, że kupuje wszystkie ubrania w angielskich sklepach w Hamburgu? Dopóki go nie poznałam, myślałam, że Harris Tweed to powieściopisarz romantyczny.

Vestergaard parsknęła śmiechem.

– To zabawne, ale kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam, że wyglądasz jak Duńczyk – powiedziała do Fabla. – Ale wielu ludzi tak tutaj wygląda.

– Aha! – Fabel wycelował w nią widelec. – Wszystko ci się pomyliło. Jasne włosy odziedziczyłem po szkockiej stronie mojej rodziny.

– Myślałam, że wszyscy Szkoci są rudzi, noszą wielkie brody i są wiecznie pijani.

– Tylko kobiety – odparł Fabel.

– Powtórzę to twojej matce. – Susanne uśmiechnęła się.

– Jak się poznaliście, jeśli wolno spytać? – zainteresowała się Vestergaard. – Przez pracę?

– Tak, pracowaliśmy razem nad pewną sprawą, jakieś cztery lata temu. Ścigał mnie wytrwalej niż mordercę.

– O ile dobrze pamiętam, nie próbowałaś nawet uciekać – odparł Fabel i pociągnął łyk wina.

– Praca wam nie przeszkadza? No wiecie, czy nie przeszkadza wam to, że łączą was jednocześnie relacje osobiste i zawodowe? – drażyła Vestergaard.

– Staramy się, żeby nie przeszkadzała – rzekł Fabel. – Wprowadziliśmy taką regułę, że poza pracą nie rozmawiamy o sprawach zawodowych. Nadal staramy się jej trzymać. Ale bywają oczywiście sytuacje, kiedy nie da się tego uniknąć. Poza tym Susanne ma do czynienia tylko z niewielkim odsetkiem spraw, którymi się zajmuję. Z takimi jak sprawa tego zabójcy z St. Pauli.

– Myślę, że mnie i Jensowi zabrakło właśnie tego dystansu – powiedziała Vestergaard, wpatrując się tępo w blat stołu.

– Tobie i Jensowi? – Fabel odstawił kieliszek z winem. – Byliście razem? O Boże, strasznie mi przykro. Nie miałem pojęcia...

Dunka uśmiechnęła się słabo.

– Rozeszliśmy się jakieś cztery lata temu. Jak już mówiłam, Jens nie mógł się pogodzić z faktem, że moja kariera rozwijała się szybciej niż jego. Wszyscy wiedzą, że Dania to bardzo liberalny kraj. Obok Szwecji i Finlandii przodujemy w statystykach dotyczących równouprawnienia płci. Ale statystyki nie uwzględniają duńskiego charakteru. Jens pochodził z Jutlandii, miał bardzo staroświeckie poglądy. Chyba za mocno uwierała go świadomość, że kobieta awansowała szybciej niż on.

– Nie czuliście się potem skrepowani w pracy? – zapytała Susanne. – No wiesz, kiedy już się rozeszliście?

– Przez jakiś czas pracowaliśmy w różnych wydziałach. Dopiero w zeszłym roku znów trafiliśmy na siebie. Owszem, było trudno. Ale chodziło raczej o podejście Jensa do pracy i położonych niż o nasze osobiste stosunki.

– Wygląda na to, że Jespersen był trochę podobny do Marii Klee – wyjaśnił Fabel Susanne.

– Marii Klee? – powtórzyła Vestergaard, unosząc brwi.

– Do tej policjantki, o której ci mówiłem – wyjaśnił Fabel. – Tej, która załamała się psychicznie, gdy wyruszyła na swoją osobistą wojnę.

Przy stoliku zapadło milczenie, przerwane dopiero przez kelnera, który przyniósł ich zamówienie.

– Przepraszam. – Vestergaard westchnęła. – Chyba zepsułam trochę nastroj. – Podniosła kieliszek i zmusiła się do uśmiechu.

– Nie rozmawiamy już więcej o sprawach zawodowych, zgoda?

– Zgoda. – Susanne skinęła głową.

Konwersacja powoli wróciła na płytsze wody, do błahych tematów, jakie poruszają ludzie, którzy słabo się znają. Jednak Fabel przez cały czas uważnie przyglądał się Karin Vestergaard. Przypomniawszy sobie gniewny błysk w jej oku, gdy zobaczyła ciało Jespersena. Złość na zmarłego kolegę. Na byłego kochanka. Zaczynał lepiej rozumieć duńską policjantkę. Tylko dlaczego wcale nie czuł się z tym dobrze?

Fabel lubił wiele aspektów swojej pracy. Ale niektórych nie cierpiał. Prowadzenie wydziału zabójstw było zadaniem biurokratycznym, wymagającym umiejętności menedżerskich i skrupulatności. Fabel nie był biurokratą, nie był też skrupulatny, przynajmniej gdy chodziło o papierkową robotę. Zaczął dzień od wezwania do siebie Wernera. Zwalista sylwetka Wernera i jego surowa uroda zupełnie nie pasowały do jego charakteru, który Fabel określiłby jako osobowość zegarmistrza. Przez lata nauczył się polegać na niezwykłej spostrzegawczości Wernera, a gdy zastanawiał się, jak rozdzielić zadania w obrębie zespołu, zawsze korzystał z rad

swojego zastępcy. Wcześniej otrzymał dodatkowe środki do realizacji śledztwa w sprawie zabójstw w St. Pauli, teraz jednak musiał jeszcze zająć się śmiercią Jespersena. Formalnie rzecz biorąc, powinien prowadzić te sprawy równolegle: przydzielić do każdej z nich oddzielny zespół i kierować na odległość ich działaniami. Nadzorować je, jak z upodobaniem nazywali to biurokraci. Fabel nie lubił pracować w ten sposób. Uważał, że oficer śledczy powinien zajmować się właśnie prowadzeniem śledztwa. Ale hamburska policja, jak bez ustanku przypominała Sylvia Achtenhagen, gdy tylko ktoś skierował na nią kamerę, spaprała pierwsze śledztwo w sprawie Anioła. Teraz on musiał dopilnować, by ta historia się nie powtórzyła.

– Przydziel mnie i Annę do sprawy St. Pauli – zaproponował Werner, starając się nie używać słowa „Anioł” i nie irytować swego szefa. Wszyscy wiedzieli, że Fabel nie cierpi tego rodzaju komiksowych etykiet, które media przyczepiały seryjnym zabójcom. – Dirk Hechtner i Henk Hermann mogą się zająć tym Duńczykiem. Przynajmniej mamy wystarczająco ludzi. Choć raz nikt się do nas nie przyczepi.

– To niesamowite, jaką siłę ma reklama, choćby najgorsza – stwierdził ponuro Fabel.

– Cynizm do ciebie nie pasuje, szefie – odparł Werner. – Wszyscy uwielbiamy cię za błyskotliwy dowcip i pogodę ducha.

– Skoro już mowa o tym olbrzymim szacunku, którym mnie darzycie, to czy mam tutaj jakieś przezwisko?

Werner wzruszył ramionami.

– Wiedziałaś – ciągnął Fabel – że niektórzy mówią o mnie podobno „jego lordowska mość”? Czyżby uważali, że moje brytyjskie pochodzenie jest takie zabawne?

– Myślę, że to ma więcej wspólnego z twoją garderobą – odparł Werner. – Ale nie słyszałem o tym.

Nim Werner opuścił jego biuro, opracowali plan działania dla obu spraw. Śledztwo dotyczące St. Pauli toczyło się już od jakiegoś czasu, ale sprawa Jespersena nie nabrała jeszcze konkretnych kształtów, ograniczała się głównie do domysłów i spekulacji, brakowało materiału dowodowego.

Fabel postanowił, że najpierw zajmie się zabójstwami

z St. Pauli, a konkretnie, osobą Jake'a Westlanda. Z dokumentacji dowiedział się, że Westland był obywatelem brytyjskim, urodzonym w 1953 roku. Prawdopodobnie pochodził z nieślubnego związku, bo tuż po narodzinach został oddany do adopcji. Wychowywali go przybrani rodzice, małżeństwo z Hampshire należące do klasy średniej. Studiował muzykę w Londynie: pierwszy zespół stworzył w 1972 roku, drugi w 1978, w 1981 zaczął karierę solową. Miał na koncie dwie złote płyty i jedną platynową. Był trzykrotnie żonaty, miał czworo dzieci.

Fabel wiedział, że musi wyjść poza nagie fakty. Jednakże ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była podróż do Anglii i spotkania z rodziną oraz przyjaciółmi Westlanda. Miał nadzieję, że uda mu się porozmawiać za kilka dni z żoną piosenkarza, kiedy ta przyjedzie po ciało.

Zapoznawszy się z dokumentacją, nadkomisarz poszukał również informacji o Westlandzie w internecie. Z różnych wiadomości, opinii i plotek zaczął tworzyć obraz człowieka, który wcale mu się nie podobał. Wszystko wskazywało na to, że Westland był arogancki, zadufany w sobie i egocentryczny. Fabel wcale się temu nie dziwił; żeby odnieść sukces w show-biznesie, trzeba mieć ego, które potrafi wypełnić stadiony. Ale prawdę mówiąc, Westland nie wypełniał już stadionów. Jego menedżerowie wybierali na miejsce koncertów coraz mniejsze sale, dzięki czemu co jakiś czas udawało się sprzedać wszystkie bilety. Korzystając ze zgromadzonych informacji, Fabel mógł odtworzyć w zarysie historię kariery estradowej Westlanda, która sięgnęła szczytu w latach osiemdziesiątych. Potem jego popularność zaczęła gwałtownie maleć. Wyglądało na to, że Jake Westland przechodził już do historii. Dopóki na dobre nie zszedł ze sceny w mrocznym zaułku Kiez, rzadko kiedy trafiał na łamy gazet i czasopism. Próbował swoich sił w aktorstwie, ale krytyka nie zostawiła na nim suchej nitki. Szersza publiczność przypominała sobie o nim na chwilę tylko wtedy, gdy brytyjskie tabloidy rozpisywały się o jego godnym pożałowania życiu seksualnym. Jednakże gwałtowny spadek popularności nie powstrzymał go przed wygłaszaniem opinii

na różne istotne tematy społeczne i pouczaniem wszystkich, którzy tylko chcieli go słuchać.

Fabel przejrzał materiały dotyczące koncertu w Sporthalle, które na jego polecenie zgromadziła Anna. Organizacja charytatywna, dla której Westland przeznaczył zyski z tej imprezy, nazywała się Sabina Charity: „Wypowiadamy wojnę gwałtom wojennym”. Z raportu Anny wynikało, że organizacja pomaga ofiarom gwałtów z krajów ogarniętych wojną, od Bośni po Rwandę. Organizatorem koncertu była niejaka Petra Meissner. Fabel miał wrażenie, że kiedyś to nazwisko obilo mu się o uszy. Przejrzał ponownie dane z internetu i znalazł zdjęcie Westlanda z Petrą Meissner, opublikowane w jednym z brytyjskich tabloidów. Meissner była atrakcyjną kobietą po czterdziestce, miała ciemne, krótko przycięte włosy. Fotografia wydawała się zupełnie niewinna – Westland i Meissner uczestniczyli razem w imprezie, z której dochód miał być przeznaczony na cele charytatywne – ale angielscy dziennikarze opatrzyli je nagłówkiem: Kim jest ta Niemra, Jake? Oczywiście zamieszczony poniżej tekst skupiał się głównie na fakcie, że towarzyszka Westlanda była Niemką, zawierał też mnóstwo kiepskich żartów o wojnie. Bzdury typowe dla tego rodzaju prasy. Fabel uwielbiał wszystko, co brytyjskie, z wyjątkiem prasy. I fakt, że Brytyjczycy jako naród żyli niemal wyłącznie przeszłością.

Poza tym Fabel nie znalazł żadnych istotnych informacji o Westlandzie, zwrócił jedynie uwagę na fakt, że Anglik odznaczał się wyjątkową przedsiębiorczością. Był tylko przeciętnym piosenkarzem i jeszcze gorszym aktorem, ale jako inwestor radził sobie doskonale. Płyty i piosenki, które zdążył wypuścić w ciągu swej kariery na rynek, zapewniały mu stały przyływ gotówki, lecz naprawdę duże pieniądze zarabiał na różnego rodzaju interesach. Z tego, co wyczytał Fabel, wynikało, że sukces ten Westland zawdzięczał nie tyle doradcom czy księgowym, ile własnemu talentowi. Wydawało się, że doskonale wybiera branże i inwestycje, które dopiero zaczynają zdobywać rynek i których inni inwestorzy nie darzą jeszcze zaufaniem.

Znów padał śnieg i choć drogi lśniły wilgotną czernią, chodniki pokrywała warstwa bieli. Fabel przejechał przez miasto, a potem przez tunel pod Łabą, prowadzący do dzielnicy Harburg.

Biuro Sabina Charity mieściło się w starym budynku na rogu dwóch ruchliwych ulic. Kamienica mogła uwodzić dostojnością oraz urokiem art déco, lecz efekt ten w znacznym stopniu psuły liczne graffiti okrywające jej ściany. Siedziba organizacji składała się z kilku pokoi na parterze. Fabel zadzwonił tam wcześniej, by się umówić, lecz kiedy wszedł do biura, nie znalazł żadnej recepcji. Właściwie spodziewał się tego, więc nie okazał zaskoczenia. Kiedy rozejrzał się dokoła, zobaczył cztery kobiety i dwóch mężczyzn pracujących przy różnych biurkach. Większość z nich rozmawiała właśnie przez telefon. Wysoka, przystojna kobieta o krótkich ciemnych włosach, w której rozpoznał Petrę Meissner, wstała od biurka i podeszła do niego.

– Odebrałam pańską wiadomość, panie nadkomisarzu. – Wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się. Dość chłodno, jak uznał Fabel. – Straszne tu zamieszanie. Za rogiem jest kawiarnia, może tam się wybierzemy?

– Z przyjemnością – odparł Fabel i odsunął się, by przepuścić ją przodem.

Domyślałam się, że chodzi o śmierć Jake’a – powiedziała Meissner. – Spodziewałam się, że wcześniej czy później ktoś skontaktuje się ze mną w tej sprawie. Szczególnie po wizycie tej okropnej kobiety z telewizji.

– Niech zgadnę: mówi pani o Sylvie Achtenhagen?

– Miał pan z nią do czynienia?

– Owszem. Pani Achtenhagen potrafi być uparta.

– Cóż, tym razem upór niewiele jej pomógł. – Zacięta mina Petry Meissner świadczyła o tym, że należy do kobiet, z którymi nie warto zadzierać. – Odesłałam ją z kwitkiem. Cała ta historia

ze śmiercią Jake'a była naprawdę tragiczna. I wstrętna. Nasza organizacja wołałaby uniknąć tego rodzaju rozgłosu.

– Jestem pewien, że jego żona i dzieci też.

– Oczywiście. – Meissner zamieszała swoją latte macchiato i zlizwała pianę z łyżeczki.

– Jak dobrze znała pani Jake'a Westlanda?

Meissner roześmiała się cynicznie.

– Nie sądziłam, że naprawdę zadajecie takie pytania. Myślałam, że to tylko wymysł filmowców. Jeśli chce pan wiedzieć, czy kiedykolwiek miałam kontakty intymne z Jakiem, to dlaczego nie zapyta pan o to wprost?

– W porządku. Więc miała pani takie kontakty?

– Nie. Wbrew temu, co twierdzą brytyjskie brukowce. Jake nie interesował się mną pod tym względem. Mogę też pana zapewnić, że Jake Westland nie był w moim typie. Domyślam się, że zbieraliście informacje na jego temat?

– Oczywiście.

– Więc na pewno wie pan, że większość ludzi uważała go za fałszywego i aroganckiego dupka. Cóż, większość ludzi miała rację. Ale powiem panu jedno: Jake był szczerze oddany Sabine Charity. W tym nie było nic fałszywego.

– Dlaczego wspierał właśnie tę organizację?

– Tego nie wiem. I nie pytałam. Sabine Charity nie jest podobna do innych organizacji charytatywnych. Nie niesiemy pomocy ofiarom głodu ani kataklizmów, nie prowadzimy typowej działalności. O takich rzeczach ludzie mogą swobodnie rozmawiać, udzielają wsparcia poszkodowanym i czują się z tym dobrze. Tymczasem nasza działalność dotyka kwestii bardzo drażliwych, zabiera ludzi w miejsca, w których wcale nie chcieliby się znaleźć. Ale niektórzy ludzie mają ważne powody, żeby jednak tam się wybrać. Jestem pewna, że Jake też miał ważne powody, by pomagać Sabine Charity. Może było to szczerze oburzenie, być może poznał kiedyś ofiarę gwałtu. Uważałam, że nie mam prawa pytać go o to, byłam mu jedynie wdzięczna za wsparcie. Jake Westland był najbardziej znaną postacią, jaką udało nam się do tej pory namówić do współpracy.

– Widziała się z nim pani tego wieczoru, gdy odbywał się koncert?

– Oczywiście. Zorganizowaliśmy przed koncertem przyjęcie, na którym pojawiło się kilkoro polityków różnego szczebla. Rząd federalny przysłał ministra do spraw kobiet, a senat Hamburga panią senator Mieke Brün, która zajmuje się sprawami związanymi z rozwojem miasta i ochroną środowiska. Było też kilku przedstawicieli Szlezwika-Holsztynu. I Gina Brønsted, która ubiega się o stanowisko pierwszego burmistrza. Właściwie nie odstępowała Jake’a ani na krok. Musiała być jego fanką.

– I na tym się skończyło?

– Niestety tak. Planowaliśmy też nieformalne przyjęcie po koncercie, ale Jake twierdził, że jest zbyt zmęczony i kiepsko się czuje. Chciał wrócić od razu do hotelu i położyć się spać. Później się okazało, że kłamał jak najęty. Ale i tak urządziliśmy to przyjęcie. Właściwie wyszło całkiem niezłe. Pod nieobecność gwiazdy politycy trochę się rozluźnili, więc mogłam z nimi normalnie porozmawiać. Choć nie dotyczyło to Brønsted. Ona też wyszła zaraz po koncercie.

– Rozumiem... – Fabel milczał przez chwilę. – Co właściwie robi pani organizacja? – spytał. – Wiem, czym się zajmuje, ale co właściwie robi?

– Mamy trzy cele. Najpierw określamy konflikty i regiony, gdzie gwałty są systematycznie wykorzystywane jako jeden z rodzajów broni. Potem prowadzimy kampanię na rzecz międzynarodowych działań, które umożliwiłyby ochronę kobiet w tych regionach. Lobbujemy wśród polityków w Niemczech i całej Unii Europejskiej. Czasami też poza nią. A jeśli jest to możliwe, umieszczamy naszych ludzi w najbardziej zagrożonych miejscach.

– Czy to nie ryzykowne?

– Owszem. Niekiedy bardzo. Ale mamy zespół ochotników, lekarzy, pielęgniarek i psychologów, którzy są bardzo oddani tej pracy. Panie Fabel, jeśli choć raz spotka pan ofiarę gwałtu wojennego, nigdy pan tego nie zapomni. Takie spotkanie bardzo motywuje do działania. Ale wracając do tematu, naszym

drugim celem jest uświadamianie ludziom, że gwałt wojenny jest zbrodnią przeciwko ludzkości, także w kontekście historycznym. Poza tym zbieramy dowody, które umożliwiają ściganie i aresztowanie dowódców i zwykłych żołnierzy będących sprawcami gwałtów. Musimy być wyjątkowo ostrożni, bo jak już wspomniałam, mamy swoich ludzi w terenie i nie chcemy narażać ich na dodatkowe niebezpieczeństwo. Oddziały wojskowe i paramilitarne, które dopuszczają się tych zbrodni, bez zastanowienia zastrzeliłyby każdego, kto w przyszłości mógłby świadczyć przeciwko nim. Ale przyczyniliśmy się już do ujęcia i skazania wielu gwałcicieli w Bośni, Somalii i Rwandzie.

– A całe wsparcie otrzymujecie właśnie stąd, z Niemiec?

– Jesteśmy organizacją międzynarodową, mamy biura w wielu krajach Unii, ale nasza siedziba główna mieści się w Niemczech i rzeczywiście stąd dostajemy największe wsparcie. Bardzo duża część funduszy pochodzi z byłych Niemiec Wschodnich, choć przecież te landy są znacznie biedniejsze od pozostałych. Z drugiej strony, kiedy się nad tym zastanowić, wydaje się to całkiem zrozumiałe.

– Zapewne. – Fabel skinął głową. Pod koniec drugiej wojny światowej ponad milion, a może nawet dwa miliony, kobiet ze wschodnich Niemiec zostało zgwałconych przez sowieckich żołnierzy, wiele z nich wielokrotnie. W niektórych wioskach i miasteczkach ofiarą gwałtu padły wszystkie kobiety w wieku od dziesięciu do osiemdziesięciu lat, często upokarzane na oczach swoich rodzin. Od upadku muru zaczęto głośno mówić o tym, że pomnik Żołnierzy Radzieckich w Berlinie nazywany jest od dziesięcioleci Grobem Nieznanego Gwałciciela.

– Można powiedzieć, że Niemiecka Republika Demokratyczna była dzieckiem gwałtu – kontynuowała Meissner. – Ten naród przez cały czas swojego istnienia musiał zmagać się z duchami przeszłości, z pamięcią o przemocy, której ofiarą padły jego kobiety. Wiem, o czym mówię, urodziłam się w Dreźnie. Zarówno moja mama, jak i babcia zostały zgwałcone w czasie wojny. Moja mama miała wtedy dwanaście lat. Teraz wie pan, dlaczego zajmuję się tym

tematem.

– Rozumiem. – Przy stoliku zapadła krępująca cisza. Fabel nie bardzo wiedział, jak ma zareagować na opowieść Meissner o matce i babce, podobnie jak nie wiedziałby, co odpowiedzieć Jespersenowi, gdyby spotkał się z nim osobiście i poznał losy jego ojca i dziadka. – Słyszała pani kiedykolwiek o Bośniaku, który nazywał się Vujačić? – spytał w końcu Fabel i zapisał sobie w notesie, że musi sprawdzić, jak miał na imię ów człowiek.

– O Goranie Vujačiću? – podsunęła mu odpowiedź Meissner. – Oczywiście. Udało mu się uniknąć odpowiedzialności. Najbardziej szemrane alibi, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Vujačić był wyjątkowo sadystycznym sukinsynem. Dowodził paramilitarną grupą o nazwie *Psoglav*, co można przetłumaczyć jako „Psiogłowy”. To mitologiczna postać, która w kulturze bośniackich Serbów ma szczególne znaczenie. W każdej innej sytuacji, w każdym europejskim mieście w czasach pokoju, Vujačić zostałby uznany za zbrodniarza, gwałciciela i pedofila. Ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu w czasie wojny niektórzy mężczyźni dopuszczają się rzeczy, do których normalnie nie byliby zdolni.

– Nie wszyscy mężczyźni.

– Nie... nie wszyscy. Być może. Ale wydaje się, że kiedy stają się żołnierzami, kiedy biorą czynny udział w walce, zaczynają się kierować innymi wartościami, inną moralnością. Gwałt na wojnie jest aktem kulturowego upokorzenia, a czasami, jak w Bośni, także ludobójstwa; świadomą próbą zniszczenia puli genów przeciwnika poprzez zapładnianie i zmuszanie do porodu kobiecej części populacji. W Bośni była to część strategii wojennej, tak wyraźnie określona i jednoznaczna, że ONZ uznała ją za zbrodnię przeciw ludzkości. Ale istnieją badania, które ukazują jeszcze inną stronę tego zjawiska. Wynika z nich, że gwałt zbiorowy jednoczy ludzi należących do tej samej społeczności wojskowej. O ile nam wiadomo, choć tylko o tym słyszeliśmy, Vujačić wykorzystywał gwałt w ten właśnie sposób. To czyni go jeszcze gorszym bydlakiem. Zracjonalizował tę zbrodnię, używał jej jako narzędzia. Ale jak

już wspomniałam, nie mogliśmy udowodnić tego w sądzie.

– Cóż, udało mu się uciec przed wymiarem sprawiedliwości, ale ktoś dopadł go w końcu w Kopenhadze.

– Wiem. To była za szybka, za łagodna śmierć. Przynajmniej z tego, co słyszałam. Co Vujačić ma wspólnego z Jakiem?

– Nic – odparł Fabel i uśmiechnął się. – Kompletnie nic. To nazwisko przyszło mi do głowy w związku z inną sprawą. Wiem, że brał udział w wojnie na Bałkanach i że miał coś wspólnego z tak zwanymi obozami gwałtów.

– Niestety, sprawa Vujačića jest już zamknięta. Jak mówiłam, szybka śmierć od pchnięcia nożem w serce nie jest karą proporcjonalną do wszystkich zbrodni, których się dopuścił. Choć dobrze rozumiem, dlaczego ktoś to zrobił.

– Prawdę mówiąc, to morderstwo prawdopodobnie nie miało związku z gwałtami. Chodziło raczej o rywalizację szefów organizacji przestępczych. – Fabel dopił kawę i wstał. – Dziękuję, że poświęciła mi pani trochę czasu, pani Meissner. Jeśli przypomni sobie pani coś ciekawego, proszę do mnie zadzwonić, nawet jeśli będzie się pani wydawało, że nie ma to większego znaczenia.

Meissner wzięła od niego wizytówkę z numerem biura wydziału zabójstw.

– Zrobię to – powiedziała z uśmiechem.

Hamburg jest miastem o niskiej zabudowie. Oprócz wieży telewizyjnej Fernsehturm nad miastem dominują jedynie wieże pięciu kościołów protestanckich, jednej katedry katolickiej i ratusza. Urbaniści od lat nie pozwalają, by którykolwiek z budynków w centrum miasta wyrastał ponad Kontorhaus.

Co jakiś czas zdarza się jednak drobny wyjątek od tej reguły i na obrzeżach ścisłego centrum pojawia się nowy, monolityczny hotel. Mimo to, w odróżnieniu od Frankfurtu czy Londynu, nikt nie próbuje tutaj iść śladem amerykańskich miast – w Hamburgu nigdy nie powstanie odpowiednik londyńskiego Canary Wharf. Architekci starają się raczej

sprościć trudniejszemu wyzwaniu i tworzyć ciekawe budynki, które wpisują się w charakter i historię miasta. Budynek HanSat z pewnością jednak do takich nie należał. Lśniącą stalą i szkłem siedziba stacji telewizyjnej znajdowała się w dzielnicy Neustadt i nie odróżniała się niczym od podobnych biurowców, które można zobaczyć w Hamburgu. Choć właściciele stacji marzyli o prawdziwym drapaczu chmur, ich ambicje zostały znacznie okrojone, dosłownie i w przenośni. Biuro Sylvie Achtentagen znajdowało się na trzecim spośród dziesięciu pięter wieżowca. Wróciła właśnie do siebie po nakręceniu materiału, który zamierzała pokazać w wieczornym programie, gdy drzwi otworzyły się raptownie, a do biura wszedł bez pukania Andreas Knabbe.

– Jak się masz? – spytał Knabbe w typowy dla siebie sposób, który świadczył jednoznacznie o tym, że nic go nie obchodzi, jak się czuje Sylvie czy ktokolwiek inny. Usiadł na brzegu jej biurka.

– Czym mogę służyć, panie Knabbe? – Sylvie odpowiedziała z równie szczerym uśmiechem.

– Widziałem właśnie materiał, który przygotowałaś na wieczór. Ten o handlu kobietami.

– I?

– I był bardzo dobry. Bardzo... – Knabbe zamilkł i spojrzał w górę, jakby szukał na suficie biura właściwego określenia. – Bardzo wartościowy. Ale...

– Tak?

– Prawdę mówiąc, był też trochę... przygnębiający.

– Przykro mi. – Uśmiech Sylvie zamienił się w krzywy grymas. – Pewnie ma pan rację. Zbagatelizowałam element komediowy, jaki można znaleźć w historiach czternastoletnich Azjatek i dziewczyn z Europy Wschodniej sprzedawanych do domów publicznych.

– Właśnie. – Sarkazm Sylvie spłynął po Knabbem jak woda po gęsi. – Uważam, że to nie pasuje do profilu naszej stacji. Miejsce tego rodzaju historii jest w ARD albo w ZDF. My potrzebujemy czegoś z ikrą. Wiesz, jak ten Anioł z St. Pauli. To naprawdę było...

– Tak, wiem. Już wiele razy dawałeś mi do zrozumienia, że to była najlepsza rzecz, jaką zrobiłam. Pracuję nad tym, zapewniam cię. Ale muszę się też zajmować innymi sprawami.

– Może, Sylvie, to tylko taka luźna uwaga, może byłoby jednak lepiej, gdyby zajął się tym tematem ktoś inny.

Sylvie Achtenhagen wstała tak gwałtownie, że Knabbe omal nie spadł z biurka przestraszony. Pochyliła się i przysunęła twarz do jego twarzy, zmuszając go, by jednak zszedł z blatu.

– Nie waż się odbierać mi tego tej historii. Mówiłam ci, że nad nią pracuję. I robię postępy. To ja wypuszczę ten materiał na antenę. To będzie prawdziwa bomba. A jeśli dopuścisz do tego kogoś jeszcze, odejdę i przekażę wszystko innej stacji. Rozumiemy się, Andreasie?

Knabbe wpatrywał się w nią przez chwilę, zaszokowany. Zaniepokojony czymś, co dojrzał w jej twarzy.

– Nie ma się co gorączkować – powiedział w końcu. – Zastanawiałem się tylko, czy nie wolałabyś takiego rozwiązania...

– Wolałabym dokończyć to, co zaczęłam. – Sylvie uspokoiła się, lecz w jej oczach wciąż płonęły iskierki gniewu. – Gwarantuję ci, że to będzie zabójcza historia.

– W porządku – odparł Knabbe, wracając powoli do równowagi. – Ale jeśli to nie wypali...

– Wypali. Obiecuję ci.

W pokoju zapadła na chwilę kłopotliwa cisza.

– A skoro już mowa o sprawie Anioła, mógłbyś mi chyba trochę pomóc – odezwała się w końcu Sylvie.

– Doprawdy? – spytał Knabbe podejrzliwie. – W jaki sposób?

– Chodzi o twojego wspólnika. O cudowną panią Brønsted. A ściśle rzecz biorąc, o jej korporację NeuHansa Group.

– Dlaczego?

– Ostatnia ofiara zabójcy z St. Pauli...

– Anioła?

– Cóż, na razie możemy założyć, że to rzeczywiście ten sam zabójca. Więc mężczyzna, który zginął ostatnio z ręki Anioła, pracował dla Norivon Environmental. O ile wiem, firma ta należy do NeuHansa Group.

– Co miałbym zrobić? – Knabbe wciąż spoglądał na Sylvie z nieufnością.

– Załatwić mi spotkanie z szefem Norivonu. A może nawet z Giną Brønsted. Ale nie mów, że chodzi o zabójstwo Lenscha.

– Prawdopodobnie sami się tego domyślą. Nie wiem, czy pani Brønsted udzieli ci wywiadu. I nie wiem, czy podoba mi się kierunek, w jakim to zmierza. NeuHansa Group to mój główny partner w interesach. I czy ci się to podoba, czy nie, nasza telewizja też jest firmą, która musi na siebie zarabiać.

– Zaufaj mi, Andreasie. Nie chcę dokopać NeuHansie ani Ginie Brønsted. Potrzebuję tylko dodatkowych informacji. I obiecuję, że jeśli pozwolisz mi doprowadzić tę sprawę do końca, będziesz naprawdę zachwycony.

– W porządku, zobaczę, co da się zrobić.

Po wyjściu Andreasa Knabbego Sylvie usiadła na krześle i wbiła wzrok w okno, lecz wcale nie widziała miasta rozciągniętego pod ciemną płachtą nieba. Z ponurych rozmyślań wyrwał ją sygnał telefonu. Ktoś dzwonił bezpośrednio do niej, z pominięciem recepcji.

– Dzień dobry, pani Achtenhagen – przywitał ją męski głos, który zaniósł się potem kaszlem. – Przepraszam. Zajmuje się pani morderstwami w St. Pauli, prawda?

– Tak. Kto mówi?

– Jeśli pani pozwoli, wolałbym się nie przedstawiać. Przynajmniej nie w tej chwili. – W słuchawce znów rozległ się uporczywy kaszel.

– Wie pan coś o tych zabójstwach? – Sylvie starała się nie okazywać irytacji i znużenia, choć nie przychodziło jej to łatwo. Wciąż zgłaszali się do niej ludzie, którzy przyznawali się do zabójstw popełnionych przez Anioła albo znali kogoś, kto znał kogoś innego, kto powiedział coś podejrzanego; wariaci, którzy za pośrednictwem plomb otrzymywali wiadomości ze świata duchów albo byli przekonani, że zabójcą jest ich mąż/szef/pies.

– Tak. Wiem sporo o tych zabójstwach. Wiem sporo

o różnych rzeczach. A pani chętnie zapłaci za to, co wiem.

– Tak, tak. Słyszałam to już wiele razy.

– Proszę mi wierzyć, pani Achtenhagen, mam coś, co po prostu musi pani zobaczyć. Coś naprawdę sensacyjnego.

– Tak, to też słyszałam już wiele razy, ale jakoś nigdy się nie sprawdziło. Może skończy pan już pleść bzdury i powie mi, co właściwie próbuje mi pan sprzedać?

– Coś, czego nie chciałaby pani oddać nikomu innemu, jestem tego pewien. Widzi pani, ja naprawdę domyślam się, kto stoi za zabójstwami w St. Pauli.

– Anioł?

– Nie, pani Achtenhagen, oboje wiemy, że to nie Anioł, a przynajmniej nie ten oryginalny. Domyślam się, kto zabił tych mężczyzn w zeszłym miesiącu, i z pewnością nie był to Anioł. Ano właśnie, tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Sprawy najważniejszej, za którą chętnie mi pani zapłaci, żebym nie sprzedał jej nikomu innemu. Znam tożsamość Anioła. Znam jej nazwisko, wiem, gdzie mieszka, co robi. Wiem nawet, dlaczego zabiła wszystkich tych ludzi w latach dziewięćdziesiątych.

– Naprawdę? A skąd pan to wszystko wie? – Sylvie Achtenhagen grzebała wśród harmonogramów i raportów rozrzuconych na biurku, aż znalazła czystą kartkę i ołówek.

– Kiedyś na tym polegała moja praca. Żeby wszystko wiedzieć. O ludziach. Pracowałem w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego NRD.

– W Stasi? Dlaczego miałabym płacić jakiemuś lajdakowi ze Stasi za informacje o morderstwach w Hamburgu?

– Bo jestem człowiekiem, który wybiega myślą naprzód. Zawsze taki byłem. Pracowałem w siedzibie głównej ministerstwa w Lichtenbergu. Byłem tam aż do piętnastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego. Przed bramą kłębił się tłum, który chciał wdrzeć się do środka, a wszyscy pracownicy byli zajęci niszczeniem akt. Kiedy niszczarki już nie nadążały, zaczęły drzeć je w rękach. To nie miało sensu. Tyle akt. Za dużo.

– Czy pan zmierza do jakichś konkretów, panie...? Jak się pan nazywa? Jeśli chce pan, żebym zapłaciła za te informacje,

muszę znać pana nazwisko.

– Nie, nie musi pani. Nie jestem naiwny. Wiem, że często płacie anonimowym informatorom. I oboje też wiemy, że nie zapłaci mi pani oficjalnymi kanałami. Ale jeśli ma to dla pani takie znaczenie, może pani mówić do mnie Siegfried. To takie piękne wagnerowskie imię, dodaje dramatyzmu całej sytuacji, prawda? – Zaczął się śmiać, lecz śmiech znów zamienił się w gwałtowny dławiący kaszel. To coś więcej niż przeziębienie czy grypa, pomyślała Sylvie. – Proszę wysłuchać, co mam pani do powiedzenia – kontynuował, zdyszany, gdy w końcu kaszel ustąpił. – Jak już mówiłem, gdy wszyscy zajmowali się niszczeniem dokumentów, ja wybiegłem myślą naprzód. Zabrałem jedną z teczek. Nie robi szczególnego wrażenia, nie ma w niej wielu informacji, tylko lista ludzi, którzy przeszli pewne szkolenie. Bardzo szczególne szkolenie. W liście wymienione są również nazwiska trzech najlepszych kursantów. Tych, którzy uzyskali pozytywną ocenę.

– Wszystko to jest naprawdę fascynujące – westchnęła Sylvie.

– Ale co ma wspólnego z zabójstwami w St. Pauli?

– Wszystko. Jedno z tych nazwisk to prawdziwy Anioł, a któreś z dwóch pozostałych to prawdopodobnie nazwisko obecnego zabójcy z St. Pauli. Wiem, że pani musi mieć te dokumenty. I sprzedam je pani. – Zrobił krótką pauzę. – Za dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro.

Sylvie parsknęła śmiechem.

– Chyba pan żartuje! Stacja nie zapłaci tyle za żaden materiał. A już na pewno za jakiś plik o szpiegach ze Stasi, który prawdopodobnie nie ma nic wspólnego z morderstwami z St. Pauli. To starocie. Nikogo już nie interesuje Stasi i wywiad NRD.

W słuchawce zapadła cisza.

– Halo? – powiedziała Achtentagen.

– Gdyby pani myślała, że żartuję albo opowiadam jakieś bzdury, już by pani się rozłączyła. Ale nie zrobiła pani tego, bo mówię prawdę, i pani dobrze o tym wie. Chcę dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro. Jeśli ich nie dostanę, przekażę te informacje innej stacji telewizyjnej albo prasie. I policji.

Zbudowała pani swoją karierę na sprawie Anioła. Naprawdę chce pani pozwolić, żeby teraz ktoś to pani odebrał? Zadzwoń znowu za kilka dni. W tym czasie prześlę pani coś mailem. Proszę sprawdzić swoje konto.

Połączenie zostało przerwane.

Sylvie Achtenhagen odłożyła słuchawkę i wpatrywała się w nią przez chwilę, jakby mogła tam znaleźć jakąś odpowiedź. Sięgnęła do klawiatury komputera i otworzyła służbową pocztę. Znalazła kilka nowych wiadomości, ale wszystkie pochodziły od współpracowników i znanych jej osób. Odczekała dziesięć minut i spróbowała ponownie. Nadal nic. Przyszło jej do głowy, że sprawdzi swoje prywatne konto mailowe, ale natychmiast odrzuciła tę myśl: tylko kilku przyjaciół i kolegów z pracy znało jej prywatny adres. Sprawdzić jednak nie zaszkodzi.

Była tam. Wiadomość od Siegfrieda.

Istniały różne metody umożliwiające identyfikację komputera, z którego wysłano wiadomość, Sylvie wiedziała jednak, że jeśli Siegfried jest byłym agentem Stasi, to z pewnością umie dobrze zacierać ślady. Poza tym mógł wysłać ten e-mail z kafejki internetowej. Otworzyła wiadomość. Znalazła tam tylko dwa słowa, imię i nazwisko: Georg Drescher. Kliknęła na załącznik. Trzy kolorowe fotografie, ułożone jedna przy drugiej i zeskanowane. Żadnych nazwisk. Fotografie przedstawiały trzy różne dziewczyny, w ujęciu od ramion w górę. Wszystkie trzy były bardzo młode, zdaniem Achtenhagen miały od piętnastu do dwudziestu lat. Prawdopodobnie były to zdjęcia do dowodu lub paszportu, a sądząc po staromodnych już fryzurach, zostały wykonane mniej więcej przed dwudziestu laty. Dwie dziewczyny były blondynkami, trzecia miała ciemne włosy i niezwykle, niebieskie oczy. W ich twarzach kryło się coś dziwnego: przerażająca pustka. I nie chodziło tutaj o bezosobowość, jakiej wymaga się od zdjęcia portretowego w dokumencie. Ich oczy były martwe. Pozbawione emocji. Szczególnie oczy dziewczyny w środku. Kiedy Sylvie wpatrywała się w jej twarz, coś ścisnęło ją w żołądku.

Siegfried powiedział jej, że jedna z tych dziewczyn była

Aniołem z St. Pauli. Wodząc spojrzeniem od jednej pozbawionej wyrazu twarzy do drugiej, Sylvie zrozumiała, że powiedział prawdę.

Wkrótce przyjdzie tu Emily. Wtedy jego życie znów nabierze sensu. Peter Claasens nigdy nie rozumiał kobiet. Nigdy nawet nie próbował ich zrozumieć, bo po prostu wydawało mu się to za trudne.

Od piętnastu lat był żonaty i miał troje dzieci, w tym dwie córki, lecz świat kobiet pozostawał dla niego mroczną i tajemniczą krainą. Największą tajemnicę stanowiła jego żona. Niegdyś była ładną, cichą i skromną dziewczyną, z którą ożenił się, gdy zaszła w ciążę. Z upływem lat zamieniała się w prawdziwą sekutnicę, która wypominała mu każdy wieczór spędzony poza rodzinnym domem, bez względu na to, czy był wtedy w pracy, czy gdzie indziej. Claasens, choć niechętnie, musiał przyznać, że miała pewne podstawy do takiego zachowania. Przez całe piętnaście lat małżeństwa nieustannie ją zdradzał. Chlubił się jednak tym, że robił to wyjątkowo dyskretnie. Taktownie. Jego żona mogła coś podejrzewać, ale nie miała konkretnych dowodów. Nigdy nie był na tyle nieostrożny, by jej takich dowodów dostarczyć. Z drugiej jednak strony sam jego wygląd stanowił wystarczający powód do podejrzeń.

Kwestia urody zawsze zastanawiała Claasensa: dlaczego niektórzy ludzie byli miłsi dla oka niż inni? Bardziej pociągający? Claasens był człowiekiem inteligentnym. Błyskotliwym. Miał bystry umysł i był urodzonym biznesmenem. Rynkowym drapieżnikiem. Jednak ludzie zwykle zwracali większą uwagę na jego urodę niż na intelekt. W pracy mężczyźni albo okazywali mu niechęć, albo chcieli pokazywać się w jego towarzystwie, z kolei kobiety czuły się skrępowane lub próbowały z nim flirtować. Kiedy nie reagował na ich zaloty, również zaczynały traktować go z niechęcią. Ale reagował. Często.

Oczywiście, nie mógł zaprzeczyć, że atrakcyjna powierzchowność pomagała mu w życiu. Na studiach dorabiał jako fotomodel. Dostawał każdą pracę, o którą się ubiegał. Może nie zarabiał wtedy kroci, ale poznał projektantów i modelki z Blankenese. A dziewczyny z Blankenese zwykle miały forsy jak lodu. Peter Claasens przekonał się, że fortuna naprawdę sprzyja ładnym.

Lecz wyjątkowa uroda także oddzielała go od prawdziwych emocji. Izolowała go.

Teraz stał na najwyższym piętrze niemal już gotowego budynku ScanMedia i rozmyślał o swojej karierze uwodziciela i niewiernego małżonka. Patrzył na ciemniejącą panoramę Hamburga i wspominał wszystkie kobiety, z którymi był wtedy, gdy powinien być ze swoją żoną. W tej chwili czuł prawdziwe, szczerze wyrzuty sumienia. Poddawał się tym myślom i uczuciom dlatego, że to wszystko było już za nim. Jakiś czas temu spotkało go coś nieoczekiwanego: Peter Claasens w wieku czterdziestu dwóch lat się zakochał. Ten romans od samego początku nie przypominał innych: Emily nie reagowała na jego typowe zagrania i sztuczki, nie poszła z nim od razu do łóżka. Rozmawiała z nim. Słuchała go. Zupełnie jakby była ślepa na jego urodę i dzięki temu mogła go ujrzeć takiego, jaki był naprawdę. Teraz Claasens czuł się tak, jakby podczas jej nieobecności musiał wstrzymywać oddech, z utęsknieniem wyczekiwać momentu, aż znów będzie mógł nabrać powietrza.

Emily była Angielką, miała ognistorude włosy i zielone oczy. Mówiła po niemiecku płynnie, lecz ze słodkim obcym akcentem, nie przykładając też szczególnej uwagi do rodzajów gramatycznych ani do przypadków. Emily była również cudownie niezdarna i niepozbita: dosłownie wpadł na nią przed swoim biurem. Upadła ciężko, a on pomógł jej wstać i namówił ją, by weszła do jego biura. Uśmiechnęła się wtedy słodko, powiedziała, że to jej wina i że nic jej nie jest, po czym pozbięrała swoje rzeczy i poszła dalej. Claasens miał już wrócić do siebie, ale wiedziony impulsem, odwrócił się i pobiegł za nią. Uparł się, że przynajmniej postawi jej kawę, a ona się zgodziła. Tak się zaczęło.

Znali się już od dwóch miesięcy. W tym czasie ta niefrasobliwa rudowłosa Angielka przewróciła jego świat do góry nogami. Nie chciała wiązać się z żonatym mężczyzną, ale Peter powtarzał z uporem, że jego małżeństwo już od kilku lat obumiera. Kiedy oświadczyła, że wraca do Anglii, Claasens powiedział, że nie może bez niej żyć, że odejdzie od swojej żony i zamieszkają razem w Hamburgu. Emily jednak twierdziła, że nikt nie powinien cierpieć bardziej niż to konieczne; powinien powiedzieć swojej żonie, że musi wyjechać, a ich małżeństwo dobiegło końca, lecz nie musi wcale wspominać, że jest z kimś innym. Tak będzie lepiej dla jego żony i dla dzieci. Lepiej dla Emily i dla niego. Poprosiła nawet, by pokazał jej list, który zamierzał wysłać żonie, i wprowadziła kilka poprawek, by nikt nie cierpiał bardziej niż to konieczne. Emily była dobrym człowiekiem. Była znacznie, ale to znacznie lepsza od niego, a w jej towarzystwie on także stawał się kimś lepszym. Kimś, kogo mógł nawet polubić.

Teraz stał na szczycie jednego z największych budynków w Hamburgu poza obrębem HafenCity i kontemlował przeszłość, którą zamierzał zostawić za sobą.

– Cześć, Peter.

Odwrócił się do niej. Ciemny wełniany płaszcz i beret podkreślały rudość jej włosów i zielen oczu.

– Cześć, Emily. – Uśmiechnął się i pochylił do przodu, by ją pocałować, lecz Emily położyła dłoń w rękawiczce na jego ustach.

– Przyniosłeś go?

– Tak, przyniosłem. I pozmieniałem wszystko tak, jak prosiłaś. To niesamowite, że tak bardzo troszczysz się o innych ludzi, ale i bardzo do ciebie podobne. Nie wspomniałem nawet, że się z kimś spotykam. Wprowadziłem też inne zmiany, które proponowałaś. Nadal jednak uważam, że lepiej byłoby, gdybym powiedział jej to wszystko sam, porozmawiał z nią twarzą w twarz. List... Sam nie wiem...

– Mogę zobaczyć?

Podał jej list, a ona przeczytała go w skupieniu. Kierując się radami Emily, Claasens napisał do swej żony, że nie może już

dłużej znieść takiego życia, że stresuje go praca i bardzo mu przykro z powodu cierpień, których jego czyn przysporzy zarówno jej, jak i dzieciom.

– Doskonale – orzekła, składając list. Oparła się o prowizoryczną metalową poręcz, którą zamontowano ze względów bezpieczeństwa podczas budowy najwyższego piętra. Claasens złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

– Musisz uważać, Emily – upomniał ją po ojcowsku.

– To naprawdę piękny budynek – powiedziała, spoglądając na położone dziesięć pięter niżej atrium.

– Tak, ma być współczesną wersją starego hamburskiego Kontorhausu, wiesz, ceglanego budynku z wielkim atrium lub dziedzińcem pośrodku.

– Dziwna nazwa – stwierdziła swoją uroczą niemczyzną. – Co właściwie znaczy słowo Kontorhaus?

– Pochodzi z czasów Hanzy. Wtedy można było znaleźć Kontorhaus w niemal każdym hanzeatyckim mieście w Europie: Hamburgu, Bremie, Rostoku, Gdańsku, Petersburgu, a nawet w Londynie. Tylko Brema i Hamburg nadal są oficjalnie miastami hanzeatyckimi.

– Więc ten budynek ma przypominać stare Kontorhausy? – Emily ponownie pochyliła się nad poręczą i spojrzała w dół.

– Tak – odparł Claasens z roztargnieniem. – Emily, odsuń się od tej poręczy. Wiesz, że to tylko prowizorka. – Uśmiechnął się i odgarnął kosmyk rudych włosów za jej ucho. – A ty jesteś szczególnie podatna na wypadki. Właściwie nie powinniśmy tu nawet wychodzić.

– Na jakiej teraz jesteśmy wysokości? – spytała, wychylając się jeszcze dalej za poręcz. Claasens łagodnie odsunął ją do tyłu.

– Nie wiem. Myślę, że jakieś czterdzieści metrów.

– To spora odległość od ofiary – rzuciła w zamyśleniu.

– Co ty powiedziałaś?

Wyprostowała się i odwróciła do niego.

– Powiedziałam, że to spora odległość od ofiary. To jedna z pierwszych rzeczy, których się nauczyłam: zachować jak największą odległość od miejsca i czasu śmierci.

Claasens zmarszczył brwi. Nie rozumiał, o co chodzi Emily. Nie mógł też zrozumieć, dlaczego teraz mówi po niemiecku bez błędów i bez obcego akcentu. Jej dłoń wystrzeliła do przodu niczym atakujący wąż i uderzyła go w kark, tuż pod szczęką i za uchem. Claasens czuł, jak uginają się pod nim nogi, świat przed jego oczami dziwnie pociemniał. Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, wyciągnął jednak ręce, by pochwycić Emily. Uchyliła się z prędkością i precyzją, o jakie nigdy by jej nie podejrzewał. Znowu uderzyła go krawędzią dłoni, dokładnie w to samo miejsce, a Claasens zaczął osuwać się na ziemię. Emily przeszła na bok i pchnęła go do przodu, umiejętnie przerzucając jego bezwładne ciało przez poręcz.

Nie zdążył nawet krzyknąć, nim uderzył o ziemię.

Pochyliła się nad poręczą i spojrzała w wielką studnię atrium. Claasens leżał na kamiennych płytach, a wokół jego głowy rozlewała się czerwona plama. Wyglądało na to, że upadł prosto na swoją przystojną twarz.

Wzięła list, który jej podał, napisany pod jej dyktando, i wyrzuciła go za poręcz, pozwalając, by opadł powoli na dno atrium.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1

Fabel odbył z nią tylko krótką rozmowę telefoniczną, wyczuł jednak, że Sarah Westland nie radzi sobie najlepiej z żalem po stracie męża. Podczas rozmowy była bardzo rzeczowa i opanowana, lecz w jej głosie kryło się ogromne napięcie.

Zal i smutek nie umniejszały jednak jej zamiłowania do luksusów. Fabel umówił się z nią w hotelu: jednym z najdroższych w Hamburgu, z widokiem na Alster. Sarah Westland zajęła apartament na najwyższym piętrze hotelu. Kiedy Fabel zapukał do drzwi, otworzyła mu Martina Schilmann.

– Cześć, przystojniaczku – powiedziała z szelmowskim uśmiechem, widząc jego zdumioną minę. Wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. – Nie możesz się ode mnie odczepić, co?

– Pilnujesz Sary Westland?

– Tak, obawia się natrętnych dziennikarzy.

– Tak, ale...

– Spieprzyliśmy sprawę z jej mężem. Tak, wiem. Ale to ona sama zaproponowała, żebyśmy ją ochraniaли podczas wizyty w Niemczech. Skontaktowałam się z nią, złożyłam kondolencje i przeprosiłam za całą tę historię. Zachowała się naprawdę wspaniale. Powiedziała, że hamburska policja wszystko jej wyjaśniła. Wiedziała, że Westland celowo nas wykiwał, i chyba zrozumiała, że nic nie mogliśmy zrobić w tej sytuacji. Dzięki za to. Oczywiście ochraniaam ją za darmo. Powiedziałam jej też, że nie pobierzemy żadnej opłaty za ochronę jej męża. Prawdę mówiąc, staram się w ten sposób ograniczyć szkody.

– Jak ona się trzyma?

– Jest twarda. Ale ruszyło ją to, oczywiście. Z pewnością nie byli z Westlandem bratnimi duszami, nie miała też chyba

złudzeń co do jego wierności, ale w jakiś sposób byli sobie bliscy. Być może dzieci wpływają na ludzi w ten sposób.

– Dzięki, Martino. Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym porozmawiać z nią w cztery oczy.

– Jasne. Powiem jej, że tu jesteś.

Hotelowy apartament Sary Westland przypominał raczej wnętrze weneckiego pałacu, w którym Vivaldi ścierał się z Bangiem & Olufsenem: wystrój apartamentu stanowił mieszankę wystawnych barokowych ozdób i luksusowych mebli z supernowoczesną elektroniką. Tak wyglądał międzynarodowy ideał pięciogwiazdkowego luksusu. Było w nim coś, co wydawało się Fablowi pociągające i odrażające zarazem, budziło w nim instynktowną niechęć do ostentacji. Reakcję Europejczyka z północy, Europejczyka o luterańskich korzeniach.

Wdowa po Jake’u Westlandzie była kobietą o nieprzeciętnej urodzie, naznaczonej jednak piętnem czasu i zmartwień: bez wątpienia nigdyś oszałamiała swym wyglądem, lecz upływające lata okradały ją z piękna, z pewnością nie przysłużyły się też jej ostatnie bolesne przeżycia. Siedziała na sofie przy ogromnych oknach, z których roztaczał się widok na jezioro Binnenalster, a także Ballindamm położone na drugim jego brzegu. Sarah Westland ubrana była drogo, ale zdaniem Fabela nieco bezstylowo. Kiedy się z nim przywitała, dosłyszał w jej głosie jakiś regionalny akcent, choć nie potrafił określić, z jakiej dokładnie części Wielkiej Brytanii. Angielski jest jedynym językiem w Europie, w którym oprócz akcentów regionalnych istnieją również „społeczne”; swego czasu Fabel bez trudu potrafił określić pochodzenie geograficzne i społeczne każdego nowo poznanego Anglika. Przebywał jednak z dala od tego kraju i jego kultury tak długo, że zatracił już tę umiejętność. Sarah Westland wydawała się zaskoczona, gdy Fabel jej się przedstawił.

– Jest pan Anglikiem? – spytała, marszcząc brwi.

– Nie, Niemcem, ale moja matka jest Szkotką.

Wychowywałem się w dwujęzycznym domu, jako dziecko spędziłem też dużo czasu w Wielkiej Brytanii. Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani męża, pani Westland.

– Naprawdę? – Pytanie zabrzmiało szczerze. – Wie pan, w pańskiej branży człowiek pewnie przyzwyczaja się do śmierci. I do rozmów z bliskimi zabitych.

– Do tego nigdy nie można się przyzwyczaić. I naprawdę jest mi przykro – odparł Fabel.

– Kiedy będę mogła zabrać Jake’a... to znaczy jego ciało?

– Przygotowaliśmy już wszystkie dokumenty. Przepraszamy, że trwało to tak długo. Niestety, biurokracja wciąż ma się u nas dobrze. Domyślałam się, że zorganizowała pani już transport?

– Tak, na pojutrze.

– Pani Westland, czy mogę zadać pani kilka pytań dotyczących męża?

– Oczywiście, przecież po to pan tutaj przyszedł, prawda? – Rozsiadła się wygodniej na sofie, jakby spodziewała się długiej i wyczerpującej rozmowy. – Jeśli tylko pomoże to schwytać zabójcę Jake’a, chętnie odpowiem na wszystkie pytania.

– Czy Jake miał problemy z jakimiś natrętnymi fanami?

– Jak każdy znany człowiek. Nic nadzwyczajnego. Kilkoro dziwaków, nic poza tym. Jeśli pyta pan, czy zabił go jakiś zwariowany fan, to odpowiedziałabym, że z pewnością nie zrobiła tego żadna ze znanych nam osób. Przypuszczam, że zabójca był Niemcem. Choć oczywiście nie znam tu też nikogo, kto prześladowałby Jake’a.

– Nie wie pani nic o jakichś zatargach czy starych urazach, które mogły do tego doprowadzić?

– Na pewno nie o takich, które mogłyby skłonić kogoś do zamordowania Jake’a. – Sarah Westland umilkła na chwilę, a jej oczy zaszły łzami.

– Rozmawiała pani z nim przez telefon tamtego wieczoru, przed koncertem. Powiedział wtedy coś niezwykłego? Nie opowiadał pani o jakimś niepokojącym wydarzeniu, nikt nie robił mu kłopotów?

– Nie. Rozmawialiśmy tylko o koncercie. I o dzieciach. I kilku rzeczach, które mieliśmy załatwić po jego powrocie. – Sarah

odpowiadała szczerze, bez wahania, lecz Fabel miał wrażenie, że mimo wszystko coś ukrywa. Postanowił powrócić do tego tematu później.

– Co pani wie o organizacji charytatywnej, którą wspierał pan Westland? O Sabine Charity?

– Jake wspierał wiele organizacji dobroczynnych, panie Fabel. Pomagałam mu zarządzać tymi datkami. Organizacje, które wspomagał, działały na wielu różnych polach, ale szczególnie trzy były bliskie jego sercu: jedna z nich, z siedzibą w Anglii, pomagała ofiarom napaści seksualnych, druga zapewniała pomoc psychologiczną dzieciom zgwałconych kobiet z Bośni, a trzecią była właśnie Sabine Charity.

– Kierowana przez Petrę Meissner? – spytał Fabel.

Sarah Westlan spojrzała nań ze znużeniem.

– Tak, przez Petrę Meissner. Współpracowali ze sobą bardzo blisko. Tak blisko, że brytyjska prasa zaczęła spekulować na temat ich związku. Domyślam się, że właśnie z tego powodu wymienił pan jej nazwisko. Nie jestem naiwna, panie Fabel, dobrze wiem, że w życiu Jake'a były inne kobiety, że miał romanse. Ale wszystkie były... – szukała przez moment właściwego słowa – ...nieistotne. Jake uchodził za kobieciarza, ale tak naprawdę nigdy nie rozumiał kobiet. Nigdy nie rozumiał mnie. To oznaczało, że jego relacje z kobietami były naprawdę nieskomplikowane. Dzielił kobiety na różne kategorie, a Petra Meissner należała wyłącznie do kategorii biznesu. Jake nigdy nie dobierałby się do kogoś, kto angażował się w ważne dla niego sprawy. A to było dla niego naprawdę ważne. Przyjechał tam tylko dla Sabine Charity: całe tournée po Niemczech zostało zorganizowane jedynie ze względu na ten koncert.

– Dlaczego? To znaczy, dlaczego to było takie ważne dla pana Westlanda?

– Macie tu prawo, które umożliwia adoptowanym dzieciom poznanie ich biologicznych rodziców?

– Tak. – Fabel zmarszczył brwi, zaskoczony tą nagłą zmianą tematu. – Adoptowane dzieci mają prawo znać tożsamość swoich biologicznych rodziców.

– W Wielkiej Brytanii wygląda to trochę inaczej. Dziecko otrzymuje takie prawo dopiero po osiągnięciu pełnoletności, czyli w wieku szesnastu lat. Wie pan, że Jake był adoptowany?

– Tak.

– Miał bardzo dobre relacje ze swoimi przybranymi rodzicami, szczególnie z matką. Uważał, że mogą poczuć się urażeni, jeśli będzie szukał swoich biologicznych rodziców, więc tego nie robił. Zajął się tym dopiero po ich śmierci. Jego przybrana matka umarła trzy lata temu, a potem Jake poświęcił trzy miesiące na poszukiwania matki biologicznej. Ale kiedy w końcu ją znalazł, powiedziano mu, że nie chce się z nim widzieć. To była siedemdziesięcioletnia kobieta walijskiego pochodzenia, mieszkała w Manchesterze. – Sarah Westland roześmiała się cicho. – Jaki był zdumiony, kiedy dowiedział się, że jest w połowie Walijszczykiem. Zawsze uważał się za stuprocentowego Anglika. Tak czy inaczej, choć dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie chce się z nim spotkać, Jake się nie poddawał. Wydzwaniał do niej i pisał listy, choć nie rozmawiała z nim przez telefon, a na listy nie odpowiadała. Jake mówił, że to rozumie. Że w latach pięćdziesiątych kobieta z nieślubnym dzieckiem była napiętnowana. Bardzo mu zależało na tym spotkaniu, więc w końcu poszedł po prostu do jej domu i zapukał do drzwi.

– Co się stało?

– Opluła go. Elegancka siedemdziesięcioletnia wdowa z klasy średniej napluła na niego. A potem zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Pamiętam, jak opowiadał mi o tym. Stał jak słup soli w wypielegnowanym ogrodzie na przedmieściach, opluty i upokorzony. Wynajął prywatnego detektywa. Kiedy w końcu poznał prawdę, był zdruzgotany. Widzi pan, wcześniej stworzył sobie w głowie cały scenariusz: wierzył, że jest dzieckiem namiętnej, lecz zabronionej miłości, począł w okrutnych czasach, w bezlitosnym społeczeństwie. Miał rację co do czasów i społeczeństwa. Ale okazało się, że został poczęty w wyniku gwałtu. Jego biologiczna matka została napadnięta w parku przez jakiegoś nieznanego mężczyznę. Była wtedy nastolatką. Policja nigdy nie złapała napastnika, a prawdę mówiąc,

w tamtych czasach ofiara gwałtu była równie podejrzana jak gwałcieciel. Ponieważ aborcja nie wchodziła wówczas w grę, musiała donosić dziecko, a po urodzeniu natychmiast oddała je do adopcji.

– Więc nigdy nawet nie porozmawiał ze swoją biologiczną matką?

– Nie.

– I dlatego tak aktywnie wspierał organizacje, które opiekują się ofiarami gwałtów i dążą do schwytania sprawców?

– Jake nie mógł sobie z tym poradzić. Nie mógł pogodzić się z myślą, że jego matka całkowicie go odrzuciła, że nie chciała go nawet znać. Potem, im dłużej o tym myślał, tym bardziej bolał go fakt, że przynajmniej połowa jego DNA pochodzi od jakiegoś zbrojonego gwałcieciela. Zrozumiał, że matka napluła na niego, bo nie widziała w nim swojego dziecka, ale syna zbrojeńca, który ją zgwałcił. Jake zaczął się utożsamiać z wszystkimi tymi niechcianymi dziećmi z Bośni, które narodziły się w wyniku gwałtu. I z ofiarami gwałtów. Czuł się z nimi związany. Miałam wrażenie, że w każdej zgwałconej kobiecie widzi swoją matkę.

– Rozumiem.

– Prasa nigdy się o tym nie dowiedziała. Zresztą ostatnimi czasy nie interesowała się nim tak bardzo jak kiedyś.

Przerwało im pukanie do drzwi. Martina Schilmann otworzyła je od zewnątrz i wpuściła kelnerkę, która postawiła na stole tacę z filiżankami i dzbankiem kawy.

– A co z inwestycjami pani męża? – spytał Fabel po wyjściu kelnerki. Nalał kawy do dwóch filiżanek, dla Sary Westland i dla siebie. – Wygląda na to, że całkiem nieźle na nich zarabiał, o ile wiem, prowadził też interesy tutaj, w Niemczech.

– Tak, całkiem sporo. Szczególnie w Hamburgu. Jake był pod tym względem wyjątkowy, dostrzegał w różnych ludziach i miejscach coś, czego inni nie potrafili dostrzec. Przypuszczam, że właśnie dlatego tak dobrze mu szło w interesach.

– Ale dlaczego właśnie Hamburg?

Sara Westland roześmiała się cicho.

– Hamburg był dla niego czymś w rodzaju muzycznej mekki,

wie pan, Beatlesi i tak dalej. Pamiętam, że jeździł tu też w interesach. Na zwiady, można powiedzieć. Mówił, że Hamburg to miasto, w którym warto inwestować, a hamburczycy..., tak właśnie nazywacie mieszkańców Hamburga, hamburczycy?, to urodzeni przedsiębiorcy i ludzie biznesu. Wciąż opowiadał o jakiejś lidze...

– Lidze Hanzeatyckiej?

– Tak. Mówił, że wciąż macie głowę do interesów. Powtarzał, że chodzi mu przede wszystkim o Daleki Wschód. Chiny i Indie. Mówił, że Hamburg będzie największym w Europie partnerem handlowym Dalekiego Wschodu. Czy to, co mówił o hamburczykach, to prawda?

– Raczej tak. – Fabel uśmiechnął się. – Mówi się, że przeciętny niemiecki biznesmen sprzedałby własną matkę, ale polityk z Hamburga dorzuciłby jeszcze bezpłatny transport.

– Mmm... – Wydawało się, że Sarah Westland nie zrozumiała dowcipu. Z pewnością nie była w nastroju do żartów.

– Czy mogłaby pani zdobyć szczegółowe informacje o interesach pani męża? – spytał Fabel. – A potem przekazać mi je, do Police Presidium? Oczywiście mogę też kogoś przysłać.

– Zajmę się tym. Ale sporo informacji trzeba będzie przesłać z Anglii. To może potrwać dzień lub dwa.

– Dziękuję pani za rozmowę, pani Westland. – Fabel podniósł się z miejsca. Sarah Westland odprowadziła go do drzwi i uściśniła mu dłoń.

– Coś jeszcze? – spytała, widząc jego wahanie.

– Owszem, chodzi o tę noc, w którą zginął pan Westland. Kiedy spytałem, czy zauważyła pani coś niezwykłego podczas waszej ostatniej rozmowy telefonicznej, zaprzeczyła pani. Ale nie wyglądała pani na całkiem pewną.

– Nie było w niej niczego niezwykłego – odparła. – A przynajmniej nie w tym, co mówił... o czym rozmawialiśmy. Tylko że wydawał się... roztargniony. Daleki myślami. Spytałam go, o co chodzi, a on powiedział, że jest zmęczony.

– To tłumaczyłoby, dlaczego zrezygnował z przyjęcia po koncercie.

– Jake nigdy nie rozumiał mnie, ale ja rozumiałam jego. Nigdy nie był zbyt zmęczony na popijawę. Dobrze znałam różne nastroje Jake’a, ale tego jakoś nie potrafiłam umiejscowić. Dręczyło mnie to.

Fabel skinął głową i ruszył ponownie do drzwi.

– I jeszcze jedno. – Sarah zatrzymała go, gdy kładł już rękę na klamce. – Wiem, co myślą ludzie i co pisały gazety o tym, dlaczego Jake poszedł na Reeperbahn i jak zginął. Jake nie był aniołem, a ja, jak już panu mówiłam, nie miałam żadnych złudzeń co do jego wierności. Ale jednego jestem pewna: nie poszedł tam po seks. Wybrał się tam z jakiegoś konkretnego powodu. Żeby się z kimś spotkać. Jestem tego pewna.

2

Zostanę deportowana? – spytała Vestergaard z zimnym uśmiechem, gdy Fabel zatrzymał się obok postoju taksówek przed głównym terminalem lotniska Hamburg, Fuhlsbüttel. Umundurowany policjant natychmiast ruszył energicznie w ich stronę, Fabel powstrzymał go jednak, przykładając do szyby policyjną odznakę.

– Nie... Chodzi mi o przyloty, a nie odloty, Karin – odparł. – Chcę odtworzyć trasę podróży Jespersena, na tyle, na ile da się to zrobić dzięki informacjom, które zebraliśmy. Pochodzisz z Danii jak Jespersen i jesteś w Hamburgu po raz pierwszy. Zabrałem cię tutaj, bo możesz zwrócić uwagę na rzeczy, które ja bym przegapił. No dobrze, więc Jespersen przylatuje. Idąc przez salę przylotów, dzwoni dwukrotnie, raz do swojego zastępcy... – Fabel strzelił palcami, zirytowany własnym roztargnieniem.

– Haralda Tolstrupa – podsunęła Vestergaard.

– Właśnie, do Haralda Tolstrupa, który mówi mi, że ma rezerwację w hotelu.

– Harald powiedział też Jensowi, że chcę z nim jak najszybciej rozmawiać.

– Dlaczego?

– To proste. Chciałam wiedzieć, co, do diabła, zamierza,

i polecić mu, żeby na bieżąco mnie o wszystkim informował. Wiedziałam, że tego nie zrobi, ale próbowałam przynajmniej narzucić mu choć trochę dyscypliny.

– Rozumiem. Potem dzwoni do mnie, do Presidium, ale ja jestem na spotkaniu, więc zostawia numer. Wychodzi z terminalu, bierze taksówkę i jedzie do miasta. Nie udało nam się znaleźć taksówkarza, który go zabrał, ale biorąc pod uwagę godzinę przylotu i godzinę, o której zameldował się w hotelu, raczej nie zatrzymywał się po drodze.

Fabel uruchomił silnik, wyjechał z parkingu i ruszył ponownie w stronę centrum miasta.

– Wyobraź sobie, że siedzisz w taksówce. Jesteś Jespersenem. Masz informacje o płatnej zabójczyni z Hamburga, a właściwie plotki, którymi sześć lat temu podzielił się z tobą Vujačić. Masz w notesie nazwisko niemieckiego policjanta, moje. Masz też inne informacje, choćby takie jak imię „Olaf”, ale teraz możemy się tylko domyślać, na ile były użyteczne. Są wśród nich nazwiska oficerów Stasi, szczególnie jednego z nich... Jak on się nazywał?

– Drescher. Jens interesował się też Giennadijem Frołowem, rosyjskim oligarchą.

– Tak jest. Więc przyjechałaś do Hamburga. Co teraz robisz?

– Cóż, wiem, dokąd jadę. Mam rezerwację w hotelu i podaję adres taksówkarzowi.

– Owszem. – Fabel skinął głową. – Wiesz, dokąd jedziesz. Ale potwierdziłaś to dopiero przed momentem, podczas rozmowy z Tolstrupem.

– Więc ktoś, kto zabije mnie potem w nocy, nie wie jeszcze, gdzie się zatrzymam.

– Właśnie. Ktoś go śledził. Ktoś jechał za nim od samego lotniska. – Fabel sięgnął do zestawu głośnomówiącego swojej komórki. Telefon odebrał Werner Meyer. – Wernerze, chciałbym, żeby ktoś skontaktował się z szefem ochrony na Fuhsbüttel. Chcielibyśmy dostać nagrania z kamery skierowanej na postój taksówek, pół godziny przed przylotem Jensa Jespersena i pół godziny po. Zajrzyj do billingu

telefonicznego i sprawdź, kiedy do mnie dzwonił. Wtedy będziemy wiedzieli, o której wyszedł z terminalu.

– Dobrze, szefie – odparł Werner. – Czego szukamy?

– Jespersena wsiadającego do taksówki i odjeżdżającego sprzed lotniska. Chcę dostać numer taksówki, żebyśmy mogli odszukać kierowcę, ale bardziej zależy mi na tym, żeby wypatrzeć kogoś, kto za nim pojechał.

– Już się do tego zabieram, szefie. Co mam powiedzieć tej duńskiej królowej śniegu, jeśli tu przyjdzie i będzie o ciebie pytać?

– Ona siedzi obok mnie, idioto – parsknął Fabel. – A rozmawiam z tobą przez zestaw głośnomówiący. Masz szczęście, że ona nie zna niemieckiego.

Werner roześmiał się głośno.

– Nieważne, w jakim języku mówię, kobiety i tak nigdy mnie nie rozumieją. Zaraz ściągnę te nagrania. Kiedy wrócisz?

– Daj mi jakieś dwie godziny. Będę gdzieś po lunchu. – Fabel zerknął na Vestergaard, ciekaw, czy zrozumiała żart Wenera, nic jednak o tym nie świadczyło.

– No dobrze, wracając do Jespersena. Dokąd teraz jedziesz?

Vestergaard zmarszczyła brwi.

– Gdzieś, gdzie mogłabym znaleźć informacje o Stasi.

– Nie to miasto. Poleciałbym wtedy do Berlina, tam działa komisja, która zajmuje się aktami Stasi. Ma też oddziały w innych miastach, ale wyłącznie na terenie byłego NRD. Zamierzał jechać gdzieś dalej?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– To nie znaczy, że nie wybierał się do Berlina. Można tam dojechać z Hamburga pociągiem szybkobieżnym. Zdążyłby załatwić wszystko w ciągu jednego dnia.

Fabel wjechał do centrum i zatrzymał się przed hotelem Vestergaard przy Alter Wall.

– No i jesteśmy – powiedział. – Jespersen też spał właśnie tutaj. Melduje się w hotelu i wychodzi. Dlaczego?

– Dla zabicia czasu. Może chciał obejrzeć miasto.

– Albo spotkać się z kimś, o kim nie wiemy.

– Niewykluczone. Być może wybrał się na lunch i szukał

jakiejś przyjemnej restauracji. Jadał zwykle o stałych porach.

– Powiedzmy, że idzie na lunch. W okolicy jest sporo miejsc, w których można dobrze zjeść. Fabel zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym pokręcił głową. – Centrum Hamburga... Setki restauracji. Gdybyśmy tylko mogli jakoś to zawęzić...

– Czy to takie ważne, gdzie jadł?

– Ustaliliśmy, że prawdopodobnie ktoś go śledził, gdy jechał z lotniska. Jespersen próbował skontaktować się ze mną, ale bez powodzenia. Przypuszczam, że ktoś chciał go uciszyć, nim spotka się ze mną. Gdyby przekazał mi te informacje, z którymi tutaj przyjechał, poznałoby je także wielu innych ludzi, a wtedy sprawy nie dałoby się już wyciszyć. Pojechali za nim tutaj, potem poszli do miejsca, w którym jadł lunch. Tam doszło do kontaktu. Udało im się jakoś zdobyć jego zaufanie. Myślę, że zrobiła to kobieta. Może nasza tak zwana Walkiria.

– Ale skoro prowadził śledztwo w sprawie płatnej zabójczyni...

– Nie miał pojęcia, że oni coś o nim wiedzą. Jakaś atrakcyjna kobieta wpada na niego przypadkiem i zaczyna rozmowę, a on niczego nie podejrzewa.

– Jens nie był szczególnie rozmowny. – Vestergaard roześmiała się gorzko. – A już na pewno nie rozmawiałby z nikim po niemiecku.

– Pamiętaj, że mówimy o prawdziwych zawodowcach. Przygotowanych, wyszkolonych. Na pewno mieli na niego jakiś haczyk. Być może ta kobieta udawała cudzoziemkę. Może nawet Dunkę. Byle tylko uspić jego czujność.

– Ale nadal nie wiemy, dokąd poszedł na lunch.

Fabel drgnął nagle, jakby przeszył go prąd.

– Zabawka!

– Jaka zabawka?

– Znaleźliśmy pluszowego misia, pamiątkę z Hamburga. Była w jego pokoju hotelowym, razem z innymi rzeczami. – Nadkomisarz pokręcił głową ze zniecierpliwieniem. – Chwileczkę. – Wcisnął guzik na telefonie i ponownie zadzwonił do wydziału zabójstw. Poprosił, by połączono go z Anną Wolff.

– Anno, poproszę cię o coś, co może wydać ci się błahe, ale

uwierz mi, nie jest takie. Pamiętasz tego misia, którego znaleziono w pokoju Jespersena? Powinien być w szafce z dowodami.

– Powinien być, ale nie jest – odparła Anna. – Stoi na moim biurku. Nazwałam go Kapitanem Przystojniakiem.

– Na miłość boską, Anne, przecież to dowód. Nie możesz tak po prostu... – Fabel umilkł i wziął głęboki oddech. – Nieważne. Sprawdź na metce, kto jest producentem, i skontaktuj się z nim. Chcę wiedzieć, gdzie sprzedają je w Hamburgu. Interesuje mnie obszar w promieniu trzech kilometrów od hotelu Jespersena. Jak już mówiłem, Anno, to ważna sprawa. I pilna.

– Myślę, że jakoś sobie z tym poradzę – odparła beznamiętnie.

Fabel skończył rozmowę i odwrócił się do Vestergaard.

– Mam nadzieję, że uda nam się namierzyć sklep albo centrum handlowe, w którym kupił tę zabawkę. Jeśli mają tam kamery ochrony, być może zobaczymy twarz jego zabójcy.

3

Sylvie Achtenhagen postanowiła, że nie pojedzie do Berlina samochodem. Dotarła kolejką miejską na główny dworzec kolejowy w Hamburgu, a tam wsiadła do lśniącego nowego pociągu szybkobieżnego, który łączy dwa największe miasta Niemiec.

Podróż do Berlina trwała niewiele ponad półtorej godziny. Na całej trasie panowała podobna pogoda, mroźna i słoneczna. Sylvie obserwowała przez okno płaski północnoniemiecki krajobraz, a od czasu do czasu przeglądała notatki, które sporządziła przed podróżą.

Podobnie jak pociąg, którym podróżowała Sylvie, główny dworzec kolejowy w Berlinie był świadectwem swoich czasów, a zarazem obietnicą przyszłości. Liczył sobie zaledwie dwa lata, ale już stał się jednym z najważniejszych i najbardziej charakterystycznych punktów Berlina, monumentalną kompozycją ze szkła i stali. Pokazywał światu w dobitny

sposób, że jest to w końcu serce nowej Europy. Sylvie przeszła przez główną halę i zatrzymała się przy postoju taksówek.

– Dokąd, kochanieńka? – spytał taksówkarz z typowym berlińskim akcentem.

– Do Instytutu Gaucka.

– Chcesz zobaczyć swoją teczkę, tak, kochanieńka?

Instytutem Gaucka – albo BStU – nazywano potocznie siedzibę urzędu o wyjątkowo długiej i nieporęcznej nazwie, czyli Federalnej Komisji do spraw Akt Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Skrócona forma tej nazwy wzięła się od nazwiska pierwszego prezesa komisji, Joachima Gaucka.

Sylvie dotarła do instytutu już po piętnastu minutach, a po kolejnych dziesięciu przywitał ją chudy pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, który przedstawił się jako Max Wengert. Wengert wyjaśnił, że pracuje w dziale, który udostępnia akta przedstawicielom mediów. Sylvie jako znana postać telewizyjna przywykła już do tego, że ludzie reagują na nią inaczej niż na zwykłego człowieka z ulicy. W szerokim uśmiechu Wengerta było coś, co kazało jej się domyślać, że tego rodzaju mina nieczęsto gości na jego twarzy. Jednocześnie rozpoznała w nim człowieka, który łatwo daje sobą manipulować i ujawnia więcej informacji, niż powinien.

– To bardzo miłe z pana strony, że zechciał mi pan służyć pomocą, panie Wengert. – Sylvie uśmiechnęła się do niego słodko, gdy wprowadzał ją do pokoju spotkań. – Osobiście, że tak powiem.

– Muszę przyznać, że w pewnym sensie jestem pani fanem. – Uśmiechnął się ponownie, odsłaniając poźółkłe od tytoniu zęby. Sylvie wyobraziła sobie, jak siedzi sam, w jakimś małym berlińskim mieszkaniu i ogląda jej program. Sięgnęła wyobraźnią jeszcze nieco dalej i poczuła dreszcz obrzydzenia, dobrze go jednak ukryła.

– Udało się panu znaleźć jakieś informacje o człowieku, którego nazwisko panu podałam? O Georgu Drescherze? – spytała.

Wengert wysunął krzesło spod stołu w pokoju spotkań

i poprosił Sylvie, by usiadła, po czym przemówił konspiracyjnym tonem:

– Nie wiem, czy to tylko zbieg okoliczności, pani Achtenhagen, ale jest pani drugą osobą, która pyta o to nazwisko w tym tygodniu.

– Naprawdę? A kto jeszcze o nie pytał? Inny dziennikarz? Ktoś z telewizji?

– Nie. – Wengert odchrząknął niepewnie. – Cóż, chyba nic się nie stanie, jeśli pani to powiem. Pytanie nie pochodziło od mediów, ale od policji. Policji z Hamburga.

– Rozumiem... – mruknęła Sylvie. – Mówili panu, dlaczego interesuje ich właśnie Drescher?

– Nie. Nie mogłem im pomóc. I obawiam się, że nie mogę też pomóc pani. Wiemy z innych dokumentów, że major Georg Drescher istniał naprawdę, ale nie udało nam się odnaleźć jego akt osobowych. Nie możemy też znaleźć dokumentów, z których można by się dowiedzieć, czym właściwie się zajmował. Jego nazwisko przewija się tylko w mniej istotnych aktach, często tylko w przypisach.

– Czy to nie trochę dziwne?

– Wcale nie, pani Achtenhagen. Stasi miała mnóstwo akt, miliony. Spisywano wszystkie raporty tajnych współpracowników, oficjalnych i nieoficjalnych, składano je w archiwach i katalogowano. Weźmy choćby akta osobowe, informacje o sześciu milionach obywateli. Sześć milionów na państwo, które liczyło szesnaście milionów mieszkańców. To znaczy, że większość tych informacji nie jest nic warta. Większość naprawdę ważnych rzeczy, wielkich tajemnic, została wywieziona albo zniszczona. Pod koniec osiemdziesiątego dziewiątego i na początku dziewięćdziesiątego roku Stasi wiedziała już, że dni reżimu są policzone. Przed bramami głównej siedziby protestowały tysiące ludzi, którzy czekali tylko na okazję, żeby wdrzeć się do środka i przejąć dokumenty, co w końcu zrobili piętnastego stycznia. Przypuszczam, że w tych dniach panował tam okropny zamęt. Kiedy protestujący dostali się do środka, powstrzymali niszczenie dokumentów, ale mnóstwo kompromitujących

materiałów trafiło już wcześniej do niszczarek. Zatrzymaliśmy prawie siedemnaście tysięcy worków zawierających prawie pięćdziesiąt milionów pociętych kartek. I nadal próbujemy je poskładać. Ale to jeszcze nie wszystko. Wśród demonstrantów okupujących siedzibę Stasi byli agenci CIA, którzy zabrali część materiałów z tajnymi danymi. Szukali list agentów pracujących na Zachodzie. Przypuszczam też, że w tym tłumie nie brakowało agentów i informatorów Stasi, którzy chcieli zabrać swoje akta, nim zrobi to ktoś inny.

– Myśli pan, że to właśnie stało się z aktami Dreschera? – spytała Sylvie. – Że udało mu się wymazać informacje na swój temat z dokumentacji?

– Może, ale niekoniecznie. Wciąż staramy się odtworzyć podarte i pocięte pliki. Dopiero w zeszłym roku udało nam się stworzyć program komputerowy, który może składać zniszczone strony na nowo, co znacznie przyspieszyło cały proces. Mimo to skończymy nad tym pracować dopiero w dwa tysiące trzynastym roku. Ale może pani być pewna, że do tego czasu odkryjemy mnóstwo ciekawych rzeczy. Wielu byłych agentów i informatorów Stasi nie będzie mogło spać spokojnie, mówię pani. Może akta Dreschera są właśnie tam i czekają na swoją kolej.

– Jeśli w ogóle jeszcze istnieją. – Sylvie westchnęła z rozczarowaniem.

– Jest coś jeszcze... – Wengert pochylił się do przodu i zniżył głos. – Wie pani, że BStU ma zostać częścią Archiwum Państwowego? To konsekwencja śledztwa Hansa Hugona Kleina. Okazało się, że w BStU pracuje prawdopodobnie wielu byłych członków Stasi i że ludzie ci niszczą lub ukrywają akta, które mamy chronić i odtwarzać.

– Więc może Drescher ma tutaj przyjaciela?

Wegnert wzruszył ramionami.

– Kto wie? Przykro mi, że nie mogę pani bardziej pomóc.

– A co z innymi nazwiskami, które panu podałam?

– Cóż, jeśli te informacje nie są powiązane z pani osobistymi aktami, oczywiście, przy założeniu, że takie istnieją, ani też ich ujawnienie nie leży w interesie publicznym, to nie mogę ich

pani przekazać.

– Panie Wengert... – Sylvie uśmiechnęła się promiennie do urzędnika, który natychmiast zaczął mięknąć jak wosk. Mężczyznami tak łatwo manipulować. – Czy słusznie podejrzewam, że był pan jednym z obrońców praw człowieka, którzy zdobyli szturmem Bastylię Lichtenbergu?

Wengert wyprężył się dumnie.

– Owszem, byłem.

– Więc z pewnością należy pan do ludzi, którzy bronią tego, co słuszne. Którzy walczą o prawdę. Sam pan powiedział, że w tym miejscu prawdopodobnie roi się od łajdaków ze Stasi. Jak możemy poznać prawdę, jeśli my trzymamy się reguł, a oni nie? Przyrzekam panu, że nie zamierzam demaskować ludzi, których nazwiska panu przysłałam. Chciałam tylko z nimi porozmawiać, to wszystko. Być może doprowadzą mnie do Dreschera. A to jest ktoś, kim naprawdę powinniśmy się zająć. Nie proszę pana, by złamał pan swoje zasady, panie Wengert. Proszę, by pan się ich trzymał.

Wengert wpatrywał się w Sylvie i chociaż nie pokazywał tego po sobie, toczył ze sobą wewnętrzną walkę. W końcu podniósł się raptownie z krzesła.

– Proszę tu chwilę poczekać – powiedział i wyszedł z pokoju.

4

Fabel zostawił Vestergaard w hotelu, by trochę odpoczęła i odświeżyła się. Obiecał, że skontaktuje się z nią, gdy tylko ustalą, gdzie Jespersen jadł lunch, albo natrafią na trop człowieka, który śledził go w drodze z lotniska. Czuł, że posuwa się naprzód, nadal jednak dręczyła go obawa, że brnie w ślepy zaułek.

Wracał właśnie do biura, gdy zadzwoniła do niego Anna.

– Odebrałam właśnie telefon od wyjątkowo przejętej pani komisarz z dwunastego komisariatu w Klingbergu. Bardzo chciała z tobą porozmawiać. Powiedziałam, że do niej oddzwonisz, ale skoro już jesteś w tamtej okolicy...

– O co chodzi?

– Samobójstwo. Sprawa wydaje się całkiem prosta, facet zostawił nawet list pożegnalny. Zanurkował z dużej wysokości na twarz. Podobno naprawdę ma teraz oczy z tyłu głowy.

– Anno... – przerwał jej ostrzegawczym tonem Fabel.

– Nieważne, tak czy inaczej skontaktowała się z nami, bo uważa, że coś tam jednak nie gra. Przyznaje, że nie ma właściwie żadnych powodów, żeby tak myśleć, ale chciała z tobą o tym porozmawiać.

– Pytała właśnie o mnie?

– Myślę, że chce wskoczyć na moje miejsce. Doskonale wyczucie czasu.

Fabel zignorował ten żart.

– Jest teraz na służbie?

– Tak. Pomyślałam, że powiem ci o tym ze względu na tę historię z Walkirią. No wiesz, każda śmierć, która może być podejrzana...

– Jak ona się nazywa?

– Iris Schmale. Jestem pewna, że wygląda jak wzorowa uczennica, więc na pewno od razu ją poznasz.

Dwunasty komisariat w Klingbergu nie był tak znany jak Davidwache, ale architektonicznie w niczym mu nie ustępował. Jednym z najbardziej znanych budynków Hamburga jest Chilehaus, położony w dzielnicy Kontorhaus. Chilehaus, jak podkreślają wszyscy miejscy przewodnicy w Hamburgu, został zaprojektowany tak, by z dala przypominał dziób statku. Komisariat został wbudowany w skrzydło kompleksu Chilehaus i stanowił przykład udanej architektury ceglanej z początku dwudziestego wieku.

Fabel ukrył uśmiech, gdy w recepcji powitała go komisarz Iris Schmale. Wyglądała dokładnie tak, jak przewidziała to Anna: była młoda i pełna zapału, miała gładką twarz i niesforne rude włosy, które wiązała w długi kucyk. Jej jasna skóra upstrzona była piegami, które nadawały jej dziewczęcy wygląd.

– Podobno ma tu pani jakieś podejrzone samobójstwo – powiedział Fabel, gdy już się przywitali.

– Owszem, panie nadkomisarzu. Zmarły nazywał się PeterClaasens. Był właścicielem i dyrektorem firmy przewozowej z siedzibą na obrzeżach dzielnicy Kontorhaus. Wydaje się, że niczego mu nie brakowało. Miał żonę, dzieci, świetnie prosperujący biznes.

– Codziennie zabija się mnóstwo ludzi, którzy mają rodziny i udane interesy – odpowiedział Fabel. – Zdaje się, że zostawił list pożegnalny.

– Otóż to! – potwierdziła Schmale, kiwając energicznie głową. Fabel znów ukrył uśmiech, rozbawiony jej gorliwością. – Właśnie o to chodzi. Ten list jest... – zmarszczyła brwi, jakby szukała właściwego słowa – ...niejednoznaczny.

– Ma go pani tutaj?

Podawała mu kartkę papieru.

– To kopia. List leżał kilka metrów od ciała. Nie było na nim śladów krwi. Znaleźliśmy tylko odciski palców zmarłego.

Fabel zaczął głośno czytać list.

– Droga Marianno... – Przerwał i spojrzał pytająco na Schmale.

– Żona.

– Droga Marianno, przykro mi, że muszę to zrobić, i wiem, że teraz jesteś na mnie zła, ale zrozum, że nie miałem innego wyjścia. Trudno mi zostawiać ciebie i dzieci, ale lepiej będzie, jeśli odejdę. Zadbalem o waszą przyszłość, więc niczego wam nie zabraknie. Nie chcę, byś myślała o mnie źle, bo naprawdę nie mogłem w tej sytuacji postąpić inaczej. Zapewniam cię, że była to wyłącznie moja decyzja i że nikt inny nie miał w tym udziału. Przykro mi, że nie będzie mnie przy was, że nie będę mógł obserwować, jak dorastają dzieci, ale po prostu nie mogłem dalej żyć w ten sposób. Wiem, że mnie zrozumiesz. Żegnaj... Peter. – Fabel oddał kartkę Schmale. – Rozmawiała pani z żoną?

– Oczywiście. Wiem, że rodziny samobójców często nie mogą pogodzić się z prawdą, ale Marianne Claasens po prostu nie wierzy, że jej mąż targnął się na życie. Nie wygląda mi też na kobietę, która jest w szoku i ucieka przed prawdą. Naprawdę jest pewna, że to niemożliwe. A ten list...

– Co z nim?

– Cóż, właściwie może odnosić się do wszystkiego. Próbowałam wyobrazić sobie, że natrafiłam na niego w innej sytuacji, że nie znaleziono go w miejscu samobójstwa. Moim zdaniem przypomina raczej list kogoś, kto chce odejść od żony, a nie popełnić samobójstwo. Zapewniam cię, że była to wyłącznie moja decyzja i że nikt inny nie miał w tym udziału. Jak ktoś inny mógłby mieć udział w samobójstwie? Wygląda to tak, jakby chciał odejść do innej kobiety, ale nie chciał ujawniać jej nazwiska.

Fabel zastanawiał się przez chwilę nad słowami Schmale, podczas gdy ta przyglądała mu się uważnie, niczym oskarżony czekający na werdykt sędziego.

– To był dobry pomysł – powiedział w końcu z uśmiechem. – Mam na myśli analizę tego listu w innym kontekście. Ale jeśli to nie było samobójstwo, to mamy do czynienia z morderstwem. A jeśli, jak pani mówi, zamierzał odejść od żony, to ona staje się głównym podejrzanym. Sprawdziła ją pani?

– Tak, panie nadkomisarzu. W chwili śmierci Claasensa nie było jej w tej okolicy. Ma mnóstwo świadków, którzy to potwierdzą. Była wtedy na jakiejś uroczystości w szpitalu w St. Georg. Jest tam konsultantem. Onkologiem.

– A Claasens?

– Jak już mówiłam, miał firmę przewozową. Organizował transport dla dużych firm z siedzibą w Hamburgu, głównie na Daleki Wschód.

– Jakież podejrzone powiązania?

– Na pewno nie w interesach. Był jednym z najbardziej poważanych hamburskich biznesmenów. I miał też ambicje polityczne. Chciał kandydować do senatu Hamburga. No właśnie, jeszcze jedna podejrzana sprawa: samobójcy raczej nie snują planów na przyszłość.

– Powiedziała pani, że jego interesy nie budziły podejrzeń. A co z życiem osobistym?

– Nie wiem jeszcze zbyt wiele, ale podobno Claasens uchodził za kobieciarza. To kolejny powód, dla którego byłabym skłonna

inaczej odczytać ten list.

– Pozwoli pani, że zerknę raz jeszcze. – Fabel ponownie przeczytał pożegnalny list Claasensa. – Zgoda, myślę, że ma pani rację. Przydzielę zespół do tej sprawy.

Fabel wyszedł z komisariatu Klingberg, pożegnawszy się z Iris Schmale, która uśmiechała się od ucha do ucha, jakby zgarnęła główną wygraną na loterii. Była bystrym dzieciakiem, bez wątpienia, ale na pierwszy rzut oka samobójstwo Claasensa nie budziło żadnych podejrzeń: wypalony menadżer i biznesmen, który skacze z balkonu swojego biurowca. Kiedy jednak wracał do swego samochodu pod mrocznym zimowym niebem, czuł dręczący niepokój, ten sam, który nie dawał zapewne spokoju Iris Schmale. Policyjny instynkt. Zrobiło się ciemno. Spojrzał na zegarek i postanowił zadzwonić do Gabi, która powinna była już wrócić ze szkoły.

– Co tam, tato? – przywitała go córka, używając angielskiego słowa „dad”. Jej zdaniem tylko takie określenie dobrze do niego pasowało.

– Masz czas na kawę?

– Teraz?

– Moglibyśmy spotkać się około szóstej. I coś zjeść przy okazji. Oczywiście, jeśli twoja mama nie ma nic przeciwko.

– Pracuje do późna. Zostawię jej wiadomość. Tam, gdzie zawsze, w Arkaden?

– Jak zwykle. To do zobaczenia.

5

Fabel siedział w kawiarni, przy oknie wychodzącym na Alster. Było już zbyt ciemno, by mógł dojrzeć łabędzie sunące po czarnej tafli wody. Widział jedynie własne odbicie w szybie. Pomyślał, że wygląda na zmęczonego. I jakby się nieco postarzał. W jego blond włosach pojawiły się pasma siwizny, zmarszczki wokół oczu się pogłębiły.

Siedział przy stoliku i popijał herbatę, czekając na Gabi.

Dwa stoliki dalej siedziało pięć młodych kobiet, właściwie jeszcze dziewczęta, prawdopodobnie studentki. Śmiały się i żartowały bez troski, w sposób właściwy młodym ludziom. Fabel zazdrościł im tej swobody, spontanicznej i niezmaconej radości życia, którą i on kiedyś czuł. Dawno temu.

Sięgnął do kieszeni po wibrującą komórkę. Dzwoniła Anna Wolff.

– Jespersen kupił misia w sklepie w Hanseviertel – powiedziała. – Rozmawiałam z nimi, ale nazwisko Jespersen nic im nie mówi. Właściwie nie ma to większego znaczenia, przewija się tam mnóstwo klientów, w tym wielu turystów i cudzoziemców. Wiemy tylko, że płacił gotówką, w transakcjach z tamtego dnia nie ma numeru jego karty.

– Może jednak kupił go gdzie indziej.

– Nie. Robili je wyłącznie na zamówienie tego sklepu, ze specjalnym wzorem na kurtce. To jedyne miejsce w Hamburgu, gdzie można je kupić.

– Hanseviertel... – mruknął Fabel.

– Co takiego?

– Jespersen prawdopodobnie zjadł tam lunch. Sprawdź, w których restauracjach i kawiarniach są kamery i wyciągnij od nich nagrania z tamtego dnia, z pory lunchu.

– Tak jest, szefie. – Anna westchnęła ciężko. Fabel udał, że tego nie słyszał.

– Znaleźliście coś na nagraniach z Reeperbahn? Mamy już zdjęcie fałszywej taksówki?

– Jeszcze nie.

– Pogoń ich trochę, na miłość boską. To nasz jedyne trop.

Fabel zakończył rozmowę i odwrócił się ponownie do okna, by wypatrywać Gabi. Kiedy zerknął w stronę dziewcząt, te zaczynały się właśnie zbierać do wyjścia. Zwrócił uwagę na ostatnią z nich, bo gdy ich spojrzenia spotkały się na moment, otworzyła szerzej oczy, jakby go rozpoznała. Była ubrana w za dużą czarną kurtkę i miała jasne włosy, które nosiła ściągnięte w kucyk. Fabel uśmiechnął się do niej lekko. Wiedział, że powinien ją skądś znać, nie potrafił jednak przypomnieć sobie jej twarzy. Odwróciła wzrok, jakby w ogóle go nie widziała,

w sposób typowy dla kogoś, kto wolałby pozostać niezauważony.

Dopiero gdy cała grupka zniknęła za rogiem, na Poststrasse, Fabel uświadomił sobie, że była to Christa Eisel, młoda prostytutka, która znalazła umierającego Jake'a Westlanda. Ta myśl dziwnie go przygnębiła. Przypuszczał, że nie rozpoznał jej od razu, bo przecież zobaczył ją w odpowiednich okolicznościach i otoczeniu. Była tam, gdzie jej miejsce, z przyjaciółkami w jej wieku, z którymi mogła swobodnie porozmawiać i pożartować. Fabel zastanawiał się, ile z nich wie o jej drugim życiu. Może na tym to właśnie polegało. Może każdy prowadzi podwójne życie, pokazuje różne twarze, zależnie od okoliczności.

– Co się dzieje, tato?

Fabel drgnął zaskoczony, gdy Gabi, która przywitała go po angielsku, usiadła na krześle po drugiej stronie stołu. Pochylił się i pocałował córkę, a potem dotknął dłonią jej policzka i uśmiechnął się ciepło.

– Wszystko w porządku, tato? – spytała z troską Gabi.

– Tak, nic mi nie jest, kochanie – odparł. – Po prostu cieszę się, że cię widzę. Zawsze się cieszę, kiedy cię widzę... Mówiłem ci już kiedyś, jaki jestem z ciebie dumny?

– Ciągłe mi to powtarzasz, tato. Chcesz mnie w ten sposób przygotować na dłuższe kazanie?

W tym momencie podeszła do nich kelnerka, złożyli więc zamówienie.

– Mama powiedziała ci, że chcę z tobą porozmawiać? – spytał, kiedy już kelnerka zostawiła ich samych.

– W pewnym sensie. Właściwie powiedziała, o czym jej zdaniem powinieneś ze mną porozmawiać. – Gabi zgarnęła dłonią odrobinę rozsypanej soli i ułożyła ją w małą stertę. – Chce, żebyś odwiódł mnie od pomysłu pracy w policji.

– Myślałem, że znasz mnie trochę lepiej – odparł Fabel z oburzeniem. – Twoja matka też. Na pewno nigdy nie mógłbym cię od niczego odwieść ani do niczego namówić.

– Przepraszam, tato.

– Ale rzeczywiście chcę z tobą o tym porozmawiać. Jeśli

naprawdę tego pragniesz, stanę za tobą murem. Ale musisz wiedzieć, w co się pakujesz.

– Tak naprawdę, tylko nie mów o tym mamie, nie podjęłam jeszcze żadnej decyzji. Zastanawiam się tylko. Najpierw zamierzam studiować prawo i prawoznawstwo. Może kryminologię. Potem się zobaczy.

– To dobry plan, Gabi. Zostaw sobie możliwość wyboru.

– Jak byś się czuł, gdybym rzeczywiście wstąpiła do policji? – spytała Gabi, spoglądając na ojca z powagą. Fabel przypomniał sobie poważną minkę, którą robiła jako dziecko, gdy próbowała się skoncentrować.

– Jak już mówiłem, Gabi, to twoja decyzja.

– Nie o to pytam. Pytam, co byś wtedy pomyślał.

Fabel siedział przez chwilę w milczeniu i patrzył na róg ulicy, za którym zniknęła wcześniej Christa Eisel. Dziewczyna zaledwie o kilka lat starsza od jego córki.

– Myślę, że można wybrać gorzej. Znacznie gorzej. Ale nie będę udawał, że nie martwiłbym się o ciebie.

– Bałbyś się, że coś mi się stanie?

– To też. W tej pracy masz do czynienia z fizycznym zagrożeniem, to prawda, ale ja mam także na myśli inne niebezpieczeństwo. Psychologiczne. Rzeczy, które musisz oglądać. Ludzi, z którymi się spotykasz. To całkiem inny wymiar życia, z którym normalnie nie miałabyś do czynienia.

– Ty jakoś sobie radzisz.

– Nie tak dobrze, jak powinienem, jeśli mam być szczery. Dlatego w zeszłym roku omal nie rzuciłem tego wszystkiego.

– Ja o tym nie wiedziałam, tato. Nigdy nie rozmawiałeś ze mną o swojej pracy.

– Przepraszam. Może powinienem był. Ale prawdę mówiąc, na ogół praca policji jest nudna albo przygnębiająca. Weźmy choćby mnie. Zajmuję jedno z najwyższych stanowisk, jakie można osiągnąć w policji. Gdybyś kierowała się tym, co mówią w telewizji i piszą w gazetach, doszłabyś pewnie do wniosku, że trudno o ciekawsze i bardziej prestiżowe zajęcia. Uwierz mi, wcale tak nie jest. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent... nie, więcej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent morderstw,

z którymi mam do czynienia, popełniają ludzie o niskim IQ, zwykle pijani albo naćpani, a do tego robią to w jakichś obskurnych albo podejrzanych miejscach. Morderstwo jest wulgarne. Większość przestępstw jest taka. Genialni włamywacze czy nieuchwytni seryjni zabójcy to wyjątki. Najczęściej, kiedy zasiadasz naprzeciwko przestępcy, masz do czynienia z kimś, kto pod wieloma względami sam jest ofiarą swojej zbrodni. Rozmawiasz z ludźmi, którzy dopiero co wytrzeźwieli, mają mętlik w głowie i zastanawiają się, jak do diabła wpłatali się w to wszystko.

– Ale chyba nie zawsze tak jest, co?

– Nie... nie zawsze. Możesz też trafić na socjopatów, gwałcicieli, handlarzy narkotyków, zawodowych bandytów, którzy zabijają lub okaleczają innych dla zysku. Ale zapewniam cię, Gabi, że to nie wygląda tak jak w telewizji. Ci ludzie to męty społeczne.

– Myślę, że mam nieco trzeźwiejsze spojrzenie na świat, niż ci się wydaje, tato. Stąpam twardo po ziemi. Nie wierzę we wszystko, co pokazują w telewizji.

– Słusznie. – Fabel uśmiechnął się do córki. – Wiem, że jesteś bystrym dzieciakiem, ale ważne, żebyś wiedziała też, w co możesz się wpakować. Ta praca cię zmienia, wyniszcza. Może ci się wydawać, że jesteś twarda jak skała, że nic cię nie ruszy, ale wcześniej czy później coś cię dopadnie.

– Mówisz teraz o mnie czy o Marii Klee? Wiem, co się z nią stało. Czy to cię właśnie martwi? Powiedz mi, tato, ale szczerze: czy prowadziłbyś ze mną tę rozmowę, gdybym była twoim synem, a nie córką?

– Tak. Zdecydowanie. To nie ma nic wspólnego z płcią. Chodzi o to, kim jesteś, a nie o to, czy nosisz spódnice, czy spodnie. Niektórzy ludzie nadają się do tej pracy, inni nie.

– Myślisz, że ja się nadaję? – spytała Gabi wyzywająco. W tym momencie Fabel dojrzał w oczach swej córki ogień, który widywał w oczach Renate.

– Nie wiem – odpowiedział. – Naprawdę nie wiem. Nawet po wszystkich tych latach czasami mam wątpliwości, czy ja się do tego nadaję. Chciałbym tylko, żebyś nie ograniczała się w żaden

sposób, planując przyszłość. – Zamilkł na chwilę, zastanawiając się, czy wypowiedzieć głośno następną myśl. – Nigdy nie powiedziałem złego słowa o twojej matce, wiesz o tym, prawda?

– Wiem. Wiem też, że miałbyś dość powodów, żeby to zrobić – odparła ze smutkiem Gabi.

– Nie zamierzam też robić tego teraz, ale chciałbym, żebyś nie pozwoliła jej odwieść się od wyboru, którego sama dokonasz. To samo odnosi się do mnie. To twoje życie i twoje decyzje, a wiem, że twoja matka potrafi być trochę...

– Zgorzkniała? – dokończyła za niego Gabi. – Prawda jest taka, że szybko uświadomiła sobie błąd, który popełniła. Ludiger nigdy nie był w stanie ci dorównać. Choć był czarujący, okazał się dupkiem.

– Mama nigdy mi nie mówiła, dlaczego się rozeszli. Chodziło pewnie o inną kobietę, prawda?

Gabi nie odpowiedziała od razu.

– Naprawdę nic nie wiedziałeś, tato? Poniewierał nią.

– Chcesz powiedzieć, że ją bił?

– Rzadko. I nie na tyle mocno, żeby było coś widać. Ale wystarczy raz.

Fabel spojrział ze zdumieniem na Gabi.

– Nie miałem pojęcia... – Zmarszczył nagle brwi, a w jego oczach pojawił się gniewny błysk. – Ale ciebie nigdy nie tknął, prawda? Bo jeśli to zrobił...

Gabi podniosła rękę.

– Spokojnie, tato. Nie, nigdy nie zrobił mi krzywdy. Naprawdę. Gdyby zrobił to choć raz, więcej już by się nie odważył.

– Sukinsyn... – Fabel pokręcił głową z niedowierzaniem. – No wiesz, Renate... Nigdy nie wyobrażałem jej sobie w roli maltretowanej żony...

– Cóż, biorąc pod uwagę wszystko, co właśnie powiedziałeś mi o pracy policji, takie słowa w twoich ustach brzmią co najmniej naiwnie. Powinieneś wiedzieć, że trudno stwierdzić na podstawie samego tylko wyglądu, czy ktoś jest ofiarą przemocy domowej.

– Mówiłaś, że to nie zdarzało się zbyt często, tak?

– Przypuszczam, że wszystko odbywało się zgodnie z typowym scenariuszem. Zachowywał się coraz agresywniej, choć miał do tego coraz mniej powodów. Mama uznała pewnie, że sama jest sobie winna i że musi to cierpliwie znosić. Ale w końcu postanowiła go wyrzucić.

– Widziałaś kiedykolwiek, jak ją bił?

– Nie, krył się z tym. Nie miałam o tym pojęcia, dopóki mama nie powiedziała mi, kiedy było już po wszystkim. Mówiła mi też, jak bardzo żałuje, że się rozeszliście, że kiedy była z tobą, nigdy nawet nie przyszłoby jej do głowy, że mógłbyś ją uderzyć.

– Cholera – mruknął Fabel. – Nie miałem pojęcia...

– Cóż, teraz może zrozumiesz, dlaczego nie daje ci spokoju.

Kelnerka przyniosła im zamówiony posiłek. Podczas jedzenia rozmawiali o szkole, przyjaciółach Gabi, o jej codziennym życiu. Fabel uwielbiał towarzystwo córki i cieszył się, że przeszli na nieco mniej poważne tematy. Jednak przez cały czas myślał o swojej byłej żonie, Renate. Zawsze była kobietą silną duchem i niezależną, musiała więc czuć się potwornie upokorzona i upodlona, gdy Behrens bił ją w jej własnym domu.

Choć tego rodzaju rozmyślania wcale nie poprawiały mu nastroju, nie mógł się od nich uwolnić, tak jak nie mógł się uwolnić od wspomnienia silnej i niezależnej Christy Eisel. A za każdym razem, gdy o niej myślał, ogarniało go przygnębienie.

Ute Cranz zerknęła na zegarek, po czym raz jeszcze spojrzała na starannie ułożone naczynia i sztuce. Robert Gerdes miał przyjść za kilka minut. Wszystko było już przygotowane do jego wizyty: stół zastawiony, każde z dań pojawi się o z góry ustalonej godzinie. I kuchnia. Wszystko w kuchni także było gotowe.

Przeszła do dużego lustra w korytarzu, przy drzwiach. Spojrzała na swe ciemnokasztanowe, starannie uczesane włosy, na idealnie umalowane usta i twarz. Włożyła na tę okazję prostą, lecz elegancką ciemnozieloną suknię z połyskiem. Zastanawiała się, czy ten kolor nie przywodzi na myśl

jaszczurki, potem jednak roześmiała się cicho, rozbawiona tym przypuszczeniem i własną niepewnością: sukienka doskonale pasowała do jej włosów, podkreślała ich głęboką miedzianą barwę. Ute wygładziła delikatną tkaninę na biodrach i udach. Wyglądała świetnie.

W tym przekonaniu umocnił ją Gerdes, który zapukał do jej drzwi dokładnie o czasie.

– Pani Cranz – powiedział, gdy mu otworzyła. – Wygląda pani... olśniewająco. – Patrzył na jej wygląd, potem spojrzął jej w twarz. Jego oczy uśmiechały się znacząco. – Przyniosłem to... – Uniósł dużą szarą kopertę. – To szczegóły umowy najmu. Jestem pewien, że pani umowa wygląda podobnie.

Ute wzięła od niego kopertę i położyła ją na stoliku w holu, potem zaś podniosła kieliszek, który przygotowała wcześniej, by przywitać nim gościa. Uśmiechnęła się i podała go Gerdesowi.

– Odrobina prosecco... Miły akcent na początek.

– Nie przyłączy się pani do mnie?

– Oczywiście, ale za chwileczkę – odparła, odsłaniając w uśmiechu idealnie równe i białe zęby. – Zechce się pan rozgościć? Mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia w kuchni.

– Oczywiście – powiedział, kłaniając się uprzejmie. Ute pomyślała, że Gerdes ma w sobie coś z arystokraty. Był ubrany w marynarkę i koszulę ze sztywnym białym kołnierzem, do której założył niebieski krawat z delikatnymi czerwonymi paskami. Wyglądał i zachowywał się tak, jakby należał do innej epoki. Do przeszłości.

Wskazała zapraszającym gestem na krzesło przy stole, raz jeszcze przeprosiła gościa na chwilę, po czym wyszła do kuchni. Zamknęła za sobą drzwi, choć z miejsca, w którym siedział Gerdes, i tak nie było widać wnętrza kuchni. Wcześniej dokładnie to sprawdziła i zaplanowała. Przez chwilę stała w bezruchu, raz jeszcze analizując wszystko, co miała zrobić. Potem rozejrzała się dokoła, sprawdzając, czy niczego nie przeoczyła.

Tak, wszystko było gotowe.

Ute wsłuchiwała się w bulgotanie zupy i cichy szum

wentylatora. Jedynie płyta grzejna i okap nie były ukryte pod grubą warstwą niebieskiej folii, która pokrywała podłogę, wszystkie meble i ściany pomieszczenia aż do wysokości ramion.

Ute nie chciała ubrudzić kuchni jego krwią.

6

Gdy tylko Fabel wszedł do mieszkania, zdał sobie sprawę, że Susanne coś gnębi. Odkąd zamieszkali razem, nauczył się wyczuwać jej nastroje: wiedział, kiedy coś ją dręczyło, ale podobnie jak większość mężczyzn, umiał czytać tylko wyraźne, jasne znaki, a nie drobny druk.

– Jak ci poszła rozmowa z Gabi? – Susanne uśmiechała się do niego, nadal jednak wydawała się czymś zaabsorbowana.

– Świetnie. Znasz Gabi, to mądra dziewczyna. Dość mądra, by samodzielnie podejmować decyzje o swojej przyszłości. – Fabel pocałował Susanne na przywitanie. – Co się stało?

– Przejrzałam te dokumenty dotyczące zabójstw Westlanda i Lenscha. – Susanne mówiła z lekkim zniecierpliwieniem, jakby rozpierała ją tłumiona energia.

– Rozumiem... – Fabel przeszedł za nią do salonu. Oboje usiedli na sofie, obok stolika na kawę, na którym leżały rozłożone kartki. – Co z twoją zasadą rozdzielania domu i pracy?

– Myślałam, że to nasza zasada. Trudno, tym razem od niej odstąpię. Coś mi tu nie pasuje. Nie widzę żadnego wzorca. Zarówno jeśli chodzi o profil ofiar, jak i o chronologię.

– Ale nie mieliśmy jeszcze dość ofiar, żeby znaleźć jakiś wspólny wzorzec.

– Mieliście w wypadku tej pierwszej serii morderstw, w latach dziewięćdziesiątych. Ale tym razem... Sama nie wiem – Zmarszczyła brwi i przerzuciła kilka kartek. – Stawiasz na naśladowcę, tak?

– Tak. Przynajmniej na razie.

– No dobrze, powiedzmy, że to naśladowca. – Susanne skinęła głową. – Z jakim zabójcą albo zabójcami mamy tu do

czynienia? Znasz się na psychologii seryjnych morderców niemal równie dobrze jak ja, więc wiesz, że morderczynie można podzielić na cztery grupy.

– Tak. – Fabel opadł na oparcie sofy i założył ręce za głowę. – Anioły śmierci, czarne wdowy, mścicielki i wariatki.

– Zgadza się. – Susanne wstała, poszła do kuchni i przyniosła butelkę schłodzonego wina i dwa kieliszki. Napełniła oba.

– Robi się coraz przyjemniej – stwierdził Fabel, popijając wino. – Nie ma nic przyjemniejszego od kieliszka chardonnay i pogawędki o rozczłonkowanych ciałach.

– Chcesz mnie wysłuchać czy nie? – spytała Susanne ze zniecierpliwieniem.

– Jasne. Cztery grupy. Próbujesz przyporządkować tę dziewczynę do którejś z nich?

– Próbować zawsze warto. Weźmy anioły śmierci, kobiety, które zwykle są pielęgniarzkami albo lekarkami i zabijają bezbronnych pacjentów. Robią to dla pieniędzy albo dlatego, że ich zdaniem w ten sposób wyświadczają ofierze przysługę, choć tak naprawdę chodzi o poczucie siły, jakie daje im władza nad czyimś życiem i śmiercią. Ona nie jest jedną z nich.

– Zgadzam się. – Fabel upił kolejny łyk wina.

– Potem mamy czarne wdowy, które z kolei można podzielić na dwie kategorie: seksualne drapieżniki zabijające z chęci zysku i kobiety motywowane psychoseksualnie. Znają swoje ofiary. Utrzymują z nimi bliskie stosunki. Zabijają partnerów seksualnych albo mężczyzn, których same wybierają.

– Dziś śpię na sofie. – Fabel uśmiechnął się, spoważniał jednak szybko, gdy Susanne zmarszczyła brwi. – No dobrze, może nasza dziewczyna pasuje właśnie do tej grupy. Składa przecież niemoralne propozycje i udaje prostytutkę.

– Ale nie czerpie z tych zabójstw zysków finansowych.

– Zabrała telefon Westlanda, jego notes i portfel.

Susanne pokręciła głową.

– Czarna wdowa nie zabija dla takich drobiazgów. Nie czerpie też przyjemności seksualnej z zabijania. Chyba że osiąga orgazm, bo podnieca ją sam akt zabójstwa, sama przemoc.

– Ale w wypadku kobiet byłaby to wyjątkowa rzadkość,

prawda? – spytał Fabel.

– Tak. – Susanne skinęła głową. – Mężczyźni często zachowują się w ten sposób, wśród kobiet to bardzo rzadkie zjawisko.

– Ale nie niespotykane, prawda?

– Słyszałeś o Irmie Grese?

– O Suce z Belsen? – Fabel zmarszczył brwi. – Tak, oczywiście, że o niej słyszałem.

– Grese miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, gdy powieszono ją za zbrodnie przeciwko ludzkości, co oznacza, że zaczęła popełniać te zbrodnie w wieku dziewiętnastu lub dwudziestu lat. Była drobną, niepozorną i całkiem przeciętną dziewczyną, która pochodziła z rodziny niechętej nazistom. Mimo to zasmakowała w wyjątkowym okrucieństwie. Zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Miała pejcz ze splecionego celofanu wyposażony w stalowe ćwieki, który przecinał skórę biczowanych więźniarek. Strzelała do nich, katowała je na śmierć i bez wątplenia czerpała z tego przyjemność. Wszystko wskazuje na to, że była seksualną sadystką. W psychologii jej przypadek stanowi swego rodzaju ostrzeżenie przed tym, jak kobiecy popęd seksualny może zostać przemieniony w histerię polityczną lub religijną. Grese była fanatyczną członkinią Związku Dziewcząt Niemieckich, czyli żeńskiej sekcji Hitlerjugend. Miała obsesję na tym punkcie. Tym dziewczynom włączano do głów nazistowską ideologię, gdy były najbardziej podatne na tego rodzaju wpływy i gdy znajdowały się na kluczowym etapie dojrzewania seksualnego. Niemal wszystkie strażniczki w obozach koncentracyjnych rekrutowano z szeregów tego związku, a Grese dojrzewała seksualnie w czasie, gdy miała ogromną władzę i mogła znęcać się nad więźniarkami. To były wyjątkowe okoliczności i wyjątkowy moment w historii.

– Sadyzm seksualny Grese też był wyjątkowy – dokończył za nią Fabel.

– W obu tych seriach morderstw mamy do czynienia z przemocą, przemocą używaną z wyjątkową znajomością rzeczy, zupełnie nieprzystającą do tego, czego bym się

spodziewała. Taki wzór zachowania musiał się kształtować przez długi, długi czas.

– Więc myślisz, że to ta sama zabójczyni? – zdumiał się Fabel.

7

Była młodsza od wielu kobiet, z którymi się ostatnio zadawał. Młodsza i atrakcyjniejsza. Jako człowiek z natury podejrzliwy zastanawiał się, dlaczego zaprosiła go do siebie. Wytłumaczył sobie jednak, że nie jest to wcale takie niezwykle. Młodsze kobiety lubią przecież dojrzałych mężczyzn. Szczególnie tych, którzy ich zdaniem są od nich bogatsi lub inteligentniejsi. Nazywają to hipergamią. Roześmiał się, ubawiony tą myślą.

– Ma pan rodzinę, panie Gerdes? – spytała Ute Cranz, gdy przyniosła już wazę z zupą.

– Własnej nie – odparł. – Ale mam trzy siostrzenice, które bardzo lubię. A pani, pani Cranz? Ma pani rodzinę?

– Nie. – Uśmiechnęła się smutno. – Mój mąż zmarł, a siostra ciężko zachorowała. Jest w szpitalu. Na stałe.

– Och... Przykro mi to słyszeć – powiedział Gerdes.

– Proszę mówić mi po imieniu. Ute. Mogę zaproponować jeszcze trochę wina?

– W taki razie pani musi mówić do mnie Robert. Tak, poproszę. A ty się nie napijesz?

– Może później. Bardzo rzadko piję alkohol, Robercie. Nawet po odrobinie miesza mi się w głowie. Ale ty częstuj się do woli, proszę bardzo.

Gerdes pociągnął długi łyk.

– Jest naprawdę bardzo dobre.

Gerdes siedział, jadł, pił i słuchał Ute Cranz. Posiadła tę dziwną umiejętność właściwą jedynie kobietom: potrafiła dużo mówić, a przy tym niczego nie powiedzieć. Uśmiechał się jednak, kiwał głową i mówił odpowiednie rzeczy w odpowiednich momentach. Bez wątpienia była atrakcyjną kobietą. Miała duże ciemne oczy i krótko przycięte kasztanowe włosy, a także niesamowitą figurę: była szczupłą, lecz nie

brakowało jej uroczych krągłości, które podkreślała opięta suknia. Było w niej jednak coś niepokojącego; Gerdes miał wrażenie, że już ją kiedyś spotkał.

– Mieszkasz w Hamburgu od urodzenia? – spytała.

– Dość długo, żeby uważać się za prawdziwego hamburczyka – odparł, po raz kolejny pociągając łyk wina. – A ty, Ute?

– O nie, ja przeprowadziłam się tutaj ze wschodu. Z Meklemburgii. Z miasteczka Zarrentin. Jest małe, ale bardzo ładne, leży nad jeziorem Schaalsee. Przed upadkiem muru przebiegała tamtędy granica. Mieliśmy pod nosem paskudny posterunek graniczny, druty i tak dalej. Ale to dawne dzieje.

– A kiedy właściwie umarł pan Cranz, jeśli wolno zapytać? – zaciekawiał się Gerdes. Był trochę zirytowany, bo miał wrażenie, że mówi nieco bełkotliwie, choć poza tym nie czuł żadnych innych skutków działania wina. – Pozwolę sobie zauważyć, że jak na wdowę jesteś wyjątkowo młoda.

– Trzy lata temu. Prawie cztery. – Ponownie napełniała jego kieliszek winem.

Podawała typową hamburską zupę z węgorza, a potem kacze piersi w pikantnym sosie pomarańczowym oraz mus truskawkowy na deser. Musiał przyznać, że wszystko było doskonale przyrządzone i smaczne. Na koniec poczęstowała go kawą z brandy Asbach i poprosiła, by usiadł na sofie.

Kiedy wstał z krzesła, nagle ugięły się pod nim nogi. Musiał przytrzymać się stołu, by nie upaść. Co się z nim działo? Przecież nie wypił wcale tak dużo. Ute Cranz zauważyła jego słabość, lecz jej nie skomentowała. Mimo to czuł się zakłopotany. Usiadł na sofie i pociągnął łyk brandy.

Po chwili Ute wróciła z kuchni i usiadła obok niego na sofie. Gerdes uśmiechnął się słabo.

– Niestety, nie czuję się najlepiej... – Słowa z trudem wydobywały się z jego ust. Czuł dziwne odrętwienie. I, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, strach. Postanowił, że nie będzie już więcej pił, i próbował odstawić kieliszek, lecz ten wysliznął mu się z dłoni i spadł na podłogę.

– „Przepraszam”, chciał powiedzieć, lecz wydał z siebie tylko przeciągły jęk.

– Nie szkodzi – odparła Ute, która najwyraźniej zrozumiała jego intencje, a do tego wcale nie wydawała się zdziwiona jego stanem. – To nie twoja wina. To przez metaksalon.

Gerdes próbował zadać jej pytanie, lecz tym razem nie zdołał wydać żadnego dźwięku.

– Musiałam to dobrze przemyśleć, chciałam cię unieruchomić, ale wybrać środek, który nie będzie miał też działania uspokajającego ani przeciwbólowego. Metaksalon ma tę zaletę, że działa znacznie skuteczniej, kiedy zostanie przetrawiony.

Gerdes próbował się poruszyć, lecz jego ręce i nogi były jak z ołowiu.

– Aha, dorzuciłam też odrobinę sukcyńlochliny – dodała, jakby przypomniawszy sobie składnik z przepisu na ciasto. – No wiesz, chlorku suksametonium. Później wstrzyknę ci jeszcze trochę.

Gerdes czuł, jak w jego trzewiach rodzi się krzyk, który nie mógł jednak wydobyć się na zewnątrz. Czuł też, jak jego głowa odchyła się bezwładnie do tyłu. Ute ułożyła ją na oparciu sofy.

– Oczywiście dobrze wiesz, jakie działanie ma chlorek suksametonium – kontynuowała. – Skutecznie zwiotcza mięśnie prążkowane. To świetne narzędzie dla zabójcy, dzięki niemu można upozorować śmierć z przyczyn naturalnych. Zatrzymanie akcji serca. Chyba że jakiś skrupulatny lekarz sądowy zorientuje się, że doszło do hiperkaliemii. Ale nie martw się, dawka, którą wchłonąłeś, na pewno cię nie zabije. Chlorek suksametonium działa znacznie skuteczniej, kiedy podaje się go dożylnie, ale ma też tę cenną właściwość, że jest bezbarwny, bezwonny i rozpuszcza się w wodzie i alkoholu. Przez cały wieczór wchłonąłeś całkiem sporo obu tych substancji, Robercie. Och, czy będziesz miał coś przeciwko temu, żebym dała już spokój tej maskaradzie i używała twojego prawdziwego imienia, Georg? O tak, wiem, kim jesteś, majorze Drescher. Wiem o tobie wszystko.

Ute zniknęła na moment w kuchni i powróciła z metalową tacą, na której leżała strzykawką jednorazową. Drescher chciał krzyczeć, walczyć, złapać kobietę za szyję i wycisnąć z niej

życie, ale nie mógł. Był całkowicie unieruchomiony. Mógł poruszać powiekami, ale nic poza tym. Nagle ogarnęło go przerażenie. To była klaustrofobia: świadomość, że jest uwięziony we własnym ciele. Ute wbiła igłę w jego ramię. Drescher czuł bolesne ukłucie, ale nawet nie drgnął.

– Tak, wiem, majorze Drescher... To tylko przedsmak tego, co cię czeka. Sukcynylocholina nie znieczuliła, a właściwie znieczuliła tylko tkankę mięśniową. Obiecuję, że poczujesz wszystko, co ci zrobię. W wielu stanach USA używają tego podczas egzekucji za pomocą zastrzyku. Bardzo kontrowersyjne rozwiązanie... Istnieje teoria, że wielu skazańców umarło w straszliwych męczarniach, bo znieczulenie nie zadziałało. Ale ponieważ sukcynylocholina całkowicie ich sparaliżowała, nie mogli w żaden sposób pokazać, że cierpią. Jakby ktoś palił ich na stosie, ale od środka. Ale jak już mówiłam, ty doskonale o tym wiesz, prawda? Tego przecież uczyłeś swoje dziewczyny, zgadza się? Czy to je miałeś na myśli, kiedy mówiłeś mi o trzech siostrzenicach?

Skąd wiedziała, że naprawdę nazywa się Drescher? Zadał sobie wiele trudu, by starannie zatrzeć ślady. Tylko zawodowiec wysokiej klasy mógł je odnaleźć. Kim ona była? Gdzie się już spotkali?

W głowie Dreschera kotłowały się dziesiątki myśli, serce biło mu jak szalone. Najbardziej przerażał go fakt, że Ute co chwila zniknęła z jego pola widzenia. Nie mógł ruszyć głową, a nie był w stanie jej śledzić, poruszając jedynie oczami. Trzymał głowę odchyloną do tyłu i widział tylko to, co znajdowało się na wprost sofy. Ute pojawiła się przed nim na moment. Dostrzegł coś, co wyglądało jak zwój grubej niebieskiej folii. Pochyliła się i zniknęła mu z oczu, domyślał się jednak, że rozwija folię przed sofą.

Przeszła za niego, wsunęła ręce pod jego pachy i ściągnęła go z sofy. Stoczył się w dół i boleśnie uderzył twarzą w twardą drewnianą podłogę. Leżał z nosem przyciśniętym do desek, słyszał swój własny świszczący i bulgoczący oddech, który z trudem wydobywał się z krwawiących nozdrzy. Odwróciła mu

głowę na bok, policzkiem do ziemi. Patrzył teraz na sofę i zauważył kolczyk, który wypadł zapewne z ucha Ute Cranz i poleciał pod mebel. Niemal uśmiechnął się w duchu na myśl, że jedną z ostatnich rzeczy, jakie zobaczy w życiu, będzie czyjś zgubiony kolczyk. Potem jednak pomyślał, że Ute i tak wkrótce go znajdzie, gdy będzie sprzątać po zabójstwie.

Przewróciła go na plecy i przeciągnęła do kuchni. Drescher nie widział całego pomieszczenia, ale i tak domyślał się już, co go czeka. Niemal cała kuchnia pokryta była taką samą niebieską folią. Żeby krew i inne płyny ustrojowe nie poplamily ścian i mebli. Potem nie trzeba będzie sprzątać. A jego męczarniom nie będą towarzyszyły żadne krzyki. Żadne przerażające wrzaski, które mogłyby zaniepokoić sąsiadów. Wszystkie te odgłosy będą dźwięczeń jedynie w czaszce Dreschera.

Ute pochyliła się nad nim, zbliżyła twarz do jego twarzy.

– Nie byłabym wzorową uczennicą, prawda, majorze Drescher? Nie zachowuję minimalnej odległości od ofiary, zgadza się? Ale wcale mnie to nie obchodzi. Nie obchodzi mnie, czy zostanę schwytana. Będę tobą ochlapana, Drescher. Będą miała na sobie twoją krew, twój pot, twój strach... Pozwolę, żeby to wszystko po mnie spłynęło. Ale najpierw, towarzyszu majorze, urządzimy sobie mały pokaz.

8

No dobrze – mówił Fabel, nalewając Susanne kolejny kieliszek wina. – Ustaliliśmy, że nie jest to anioł śmierci ani też czarna wdowa. Zostaje nam więc mścicielka albo zwykła wariatka.

– Obłąd możemy wykluczyć. Seryjni zabójcy miewają zaburzenia tożsamości, ale tylko nieliczni są naprawdę obłąkani. Możemy podzielić seryjnych zabójców na dwie grupy: z wysokim IQ, czyli zorganizowanych, i z niższym IQ, źle zorganizowanych. Ta zabójczyni jest świetnie zorganizowana. To dowodzi, że jest także bystra i zdrowa na umyśle.

Fabel odstawił kieliszek na stół.

– Zemsta?

– Zabójstwa z pierwszej serii, z lat dziewięćdziesiątych, bez wątpienia były zemstą. Świadczy o tym ich forma. Kastracja była jednoznacznym sygnałem, odwetem na krzywdzicielach. Mścicielki zazwyczaj zabijają co najmniej kilku ludzi, którzy ich zdaniem prześladowali je w przeszłości. Mogą mordować tych, którzy rzeczywiście wyrządzili im jakąś krzywdę, albo jedynie pewien typ ludzi, podobny do ich dręczycieli.

– Ale tamtych ofiar nic ze sobą nie łączyło. Nigdy w życiu się ze sobą nie spotkali, zostali wybrani zupełnie przypadkowo.

– Nie. Zostali wybrani, bo korzystali z usług prostytutek. Podobnie jak ofiary Aileen Wuornos w USA, mniej więcej w tym samym czasie. Wuornos była krzywdzona jako dziecko, a potem jako prostytutka. Winą za to obarczała wszystkich mężczyzn, którzy korzystali z usług prostytutek, postrzegając ich jako potencjalnych krzywdzicieli. Zabijała ich w zemście za to, co wycierpiała z rąk innych mężczyzn.

– Ale to pasuje tylko do pierwszej serii zabójstw. Tutaj nie mamy do czynienia z symboliczną kastracją.

– Właśnie – przyznała dobitnie Susanne. – Tamtym razem kastracja była podpisem mordercy, obecnym w każdej zbrodni, a tutaj jest fundamentalnym elementem. Dlaczego współczesna naśladowczyni Anioła miałyby z tego zrezygnować?

– Wiem, o czym mówisz. – Fabel pokiwał głową. – Też mnie to zastanawiało. Doszedłem do wniosku, że to zbyt kłopotliwe. I czasochłonne.

– Ale gdyby robił to Anioł albo jej prawdziwa naśladowczyni, czułaby się... powiedzmy, niespełniona, gdyby nie dopełniła tego pierwotnego rytuału.

– No dobrze, chcesz powiedzieć, że za pierwszym razem mieliśmy prawdziwą mścicielkę, a teraz tylko kogoś, kto udaje naśladowcę?

– Niepokoi mnie coś jeszcze. Kobiety są zwykle mniej brutalne niż mężczyźni, chyba zgodzisz się ze mną?

– Zgodzę.

– To stwierdzenie odnosi się do wszelkich aspektów zachowania, łącznie z, o ironio, zabójstwami. Mniej niż

piętnaście procent brutalnych morderstw popełnianych jest przez kobiety. I tylko co szósty seryjny zabójca to kobieta. Większość z nich używa raczej mało brutalnych środków, najczęściej trucizny. A jeśli już uciekają się do przemocy fizycznej, to zwykle duszą swe ofiary. Wuornos, oczywiście, używała broni. Ale chodzi o to, że nie podrzynają gardeł, nie patroszą swoich ofiar ani nie katuja ich na śmierć, jak robią to mężczyźni. Tymczasem zarówno te morderstwa z lat dziewięćdziesiątych, jak i te ostatnie są bardzo brutalne i krwawe.

– I bardzo sprawnie dokonane – dodał Fabel.

– To akurat pasuje do wzorca. Brutalność nie.

– Dzwonił do mnie Ulrich Wagner, facet z BKA, który pomaga mi tworzyć cały ten superwydział zabójstw. Powiedział mi, że ze strzeżonego szpitala psychiatrycznego w Meklemburgii uciekła pewna kobieta. Wciągnąłem ją na oficjalną listę podejrzanych w tej sprawie. Jej zachowanie przed osadzeniem w szpitalu i późniejsza ucieczka wskazują na osobę bardzo zorganizowaną, typ seryjnego zabójcy. W dodatku należałaby do czwartej grupy seryjnych morderczyń. Jest obłąkana. To znaczy, że prawdopodobieństwo jest naprawdę spore. Aha, warto też wspomnieć, że wykastrowała swoje trzy ofiary.

– W takim razie pasuje do pierwszej serii morderstw. Nie do tej.

– Właśnie. A w czasie tej pierwszej serii była zamknięta w szpitalu.

– Rozumiem, dlaczego wydaje się mocno podejrzana. Ale w tych atakach jest coś, co nie pasuje do wzorca seryjnej morderczynie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że szukamy mężczyzny, który przebiera się za kobietę?

– Nie, Janie. – Susanne pokręciła głową. – Nie mówię, że to nie jest kobieta. Ale nie przyszło ci nigdy do głowy, że być może wcale nie mamy tu do czynienia z seryjnym zabójcą?

– Prawdę mówiąc, przyszło – odparł Fabel. Przez chwilę wpatrywał się w swoje wino, kołyszące się lekko w kieliszku. –

Wiem, że to nie ma sensu, ale wysłuchaj mnie najpierw... Wiesz o śmierci Jensa Jespersena?

– Oczywiście. Przecież to z jego powodu przyjechała tu Karin Vestergaard, prawda?

– Właśnie. Mam dziwne przeczucie, że jego śmierć wiąże się w jakiś sposób z tymi zabójstwami.

– Ależ tu nie ma żadnego podobieństwa.

– Jestem policjantem od wielu lat, Susanne, i nauczyłem się podejrzliwie podchodzić do wszelkich zbiegów okoliczności. Zwykle te przypadkowe na pozór zdarzenia są ze sobą powiązane. Jakoś nie mogę uwierzyć, że tylko przez czysty przypadek Jespersen przyjechał tutaj szukać morderczynie w czasie, gdy w St. Pauli znów zaczęła zabijać jakaś kobieta.

– Ale mówimy o dwóch zupełnie różnych typach zabójczyń.

– Czyżby? Karin Vestergaard mówiła, że zanim sześć lat temu przyskrzynili Gorana Vujačicia, opowiadał Jespersenowi o płatnej zabójczynie, Walkirii. Mówił, że jest bardzo skuteczna. Że potrafi upozorować śmierć z przyczyn naturalnych albo samobójstwo. A jeśli Jake Westland i Armin Lensch nie byli ofiarami Anioła z St. Pauli albo Anioła numer dwa...

– Co? Byli ofiarami płatnej zabójczynie? Więc po co ten cały symbolizm? Dlaczego powiedziała Westlandowi, że jest Aniołem?

– Zastanów się nad tym. Powiedziała mu o tym, żeby powtórzył to nam. Zraniła go tak, żeby zdążył przekazać wiadomość, zanim umrze. To nie wygląda na robotę amatora, co?

– Więc myślisz, że ktoś wodzi nas za nos?

– To całkiem możliwe. Ten Anioł to być może rzeczywiście Walkiria. Chce, byśmy uwierzyli, że wybiera całkiem przypadkowe ofiary.

Susanne zamyśliła się na chwilę.

– Zastanawia mnie coś jeszcze – powiedziała w końcu. – I to coraz bardziej. Jak wiesz, jednym z elementów, który odróżnia zabójców kobiety od zabójców mężczyzn, jest okres ich działania. Mężczyźni są zwykle aktywni krócej niż pięć lat. Czasami tylko przez kilka miesięcy. Seryjne zabójczynie

działają znacznie dłużej. Dziesięć, piętnaście lat, czasem dłużej. To nie pasuje do pierwszej serii zabójstw.

– Chcesz powiedzieć, że one też są podejrzane?

– Tak. Ale nie twierdzę, że to ten sam sprawca. Jeszcze jedna duża różnica między mężczyznami i kobietami: motyw. Spośród czterech motywów, o których tu rozmawialiśmy, zdecydowanie najczęściej chodzi o zysk materialny. Więc jeśli masz rację i te ostatnie zabójstwa są dziełem zawodowej zabójczynie, to pytanie, czy należy ją nazwać seryjną morderczynią, czy też nie, jest tylko kwestią semantyki.

9

Sylvie Achtenhagen odkręciła kurek z zimną wodą i pozwoliła, by po jej ciele spłynęły lodowate strugi, od których dostała gęziej skórki. Stała pod prysznicem, chowając głowę między wyprostowanymi rękami, którymi opierała się o ścianę. Jej ciało było młodzieńcze i jędrne, wiedziała, że pozostanie takie jeszcze przez jakiś czas, ale pamiętała też, że ma już trzydzieści dziewięć lat i będzie musiała zмагаć się z coraz większą presją czasu. Co będzie robić za dziesięć lat? Na pewno przyjdzie jej rywalizować z młodszymi kobietami, nieustannie oglądać się za siebie. Uważać, żeby ktoś nie odebrał jej wszystkiego, co z takim trudem zbudowała. Uważać na kogoś takiego jak ona.

Kogoś, kto stworzy sensację, by o niej donieść.

Kiedy nie mogła już znieść zimna i czuła się w pełni rozbudzona, zakręciła kran, otuliła się hotelowym szlafrokiem, przeszła do sypialni i wyjęła z minibarku butelkę dżinu. Zatrzymała się w jednym ze starszych berlińskich hoteli. Okazały budynek lata świetności miał już za sobą, zachował jednak pewne dostojeństwo, a także ciekawe szczegóły jak podwójne drzwi – wewnętrzne otwierały się do pokoju, zewnętrzne na korytarz – czy ciężkie, solidne okna starego typu. Wydawało się, że duchem hotel należy do jakiejś innej, minionej już epoki.

Sylvie dołała do dżinu toniku, po czym rozsiadła się na

wielkim łożu i zaczęła przeglądać informacje, które dostała od Wengerta, urzeczonego nią urzędnika z komisji BStU. Kiedy już wyeliminowała wszystkich, którzy zdążyli umrzeć, sporządziła listę dwunastu nazwisk powiązanych w taki czy inny sposób z Drescherem. Jednak jak powiedział Wengert, te powiązania mogły być zupełnie przypadkowe. Drescher lub ktoś inny, kto miał w tym interes, dopilnował, by główne akta zniknęły. Sylvie wiedziała jednak, że gdzieś pośród tych dwunastu nazwisk jest trop, którego szuka. I być może jednym z nich był Siegfried, były pracownik Stasi, który przysłał jej zdjęcia i nazwisko Dreschera. Wyjęła notes i zapisała w nim cztery najbardziej prawdopodobne nazwiska. Przy dwóch z nich widniały pełne adresy, przy trzecim częściowy, a przy czwartym tylko nazwa miasta. Wkrótce zamierzała sprawdzić, czy łatwo je odszukać. Im łatwiej, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że jest to właśnie Siegfried.

Wyjęła właśnie Baedekera, żeby sprawdzić zanotowane adresy, gdy zadzwoniła jej komórka.

– Cześć, tu Ivonne. Mam trochę informacji o Norivonie, firmie, dla której pracował ten facet zamordowany w St. Pauli.

– Coś ciekawego?

– Niespecjalnie. Właściwie okropne nudy. Norivon to firma, która zajmuje się zarządzaniem odpadami. Pomagają innym firmom dostosować się do krajowych i unijnych przepisów. Ale mam też nowe informacje od mojej znajomej w NeuHansa. Powiedziała mi, że Armin Lensch, ten zamordowany, był wyjątkowym dupkiem i że wszyscy nim gardzili. Ambitny gnojek, gotowy zrobić wszystko dla kariery. Odpowiadał za kontakty z firmami w obrębie grupy NeuHansa i uchodził za okropnego wazeliniarza.

– Coś jeszcze?

– Tak, o, to jest dobre. Ta mała wycieczka do Repeerbahn to nie jakiś pojedynczy wyskok, bywał tam regularnie. Chodził zawsze z kumplami z pracy, choć podobno żaden nie mógł z nim wytrzymać, upijał się i robił jeszcze okropniejszy niż zwykle. Tej nocy, kiedy zginął, miał mały zatarg z prawem. Dwoje gliniarzy w cywilu aresztowało właśnie jakąś kobietę

w Silbersacktwiete, a Lensch zaczął pyskować. Więc dostał kopa w jaja. Od policjantki. Kobiety.

– Kogo aresztowali?

– Tego nie wiem, ale byli z wydziału zabójstw.

– Jak wyglądała ta policjantka? Dość niska, ładna, ciemne włosy?

– Tego też nie wiem.

– Anna Wolff – mruknęła Sylvie, bardziej do siebie niż do Ivonne.

– Słucham?

– Nieważne. Dobra robota, Ivonne. Mam dla ciebie kilka nazwisk i adresów. Możesz znaleźć tych ludzi i zebrać o nich jak najwięcej informacji?

– Jasne – odparła Ivonne. Sylvie podała jej dane, które wyłudziła od Wengerta.

– Szukamy byłego funkcjonariusza Stasi, mężczyzny, prawdopodobnie pracownika administracji z siedziby głównej w Lichtenbergu.

– Zapamiętam – odpowiedziała Ivonne. – Miałam ci powiedzieć coś jeszcze... uciekło mi.

– Zadzwon później, jak sobie przypomnisz.

Sylvie odłożyła telefon i sprzątała właśnie papiery na łóżku, gdy telefon zadzwonił ponownie.

– Szybko ci poszło – powiedziała do słuchawki. – Przypomniałaś sobie?

– Mam nadzieję, że podoba ci się w hotelu, Sylvie. – Gdy tylko usłyszała chrapliwy głos, domyśliła się, że to Sigfried.

– Dlaczego myślisz, że jestem w hotelu?

– Nie udawaj idiotki, Sylvie. Nie jesteś przecież głupia. Wciąż szukasz jakiejś sensacyjnej historii, co? Pewnie myślisz, że znasz już moje nazwisko... że możesz mnie wyśledzić i dostać to, czego chcesz, za darmo? Tak, tak, wiem wszystko o twojej pogawędce z panem Wengertem.

– Kanalie ze Stasi wszędzie mają swoje macki, co?

– Stasi już nie istnieje, Sylvie. I nie życzę sobie, żebyś nazywała mnie kanalią. Robiliśmy to wszystko, bo w to wierzyliśmy. Wierzyliśmy w równość, w życie bez nędzy

i wyzysku. I dlatego porównuje nas się teraz do nazistów. Owszem, niektórzy z nas nadal ze sobą współpracują i chronią się nawzajem. – Przerwał nagle i zaniósł się gwałtownym kaszlem. – Nie zamierzam zresztą usprawiedliwiać się przed tobą. Zwłaszcza przed tobą. Masz moje pieniądze?

– Myślisz, że mogę wyczarować ćwierć miliona euro tylko na podstawie trzech fotografii i nazwiska kogoś, kto nie istnieje?

– Kogoś, kto tylko na pozór nie istnieje... Drescher i te dziewczyny brały udział w operacji tak tajnej i ambitnej, że o jej istnieniu nie wiedzieli nawet niektórzy członkowie dowództwa Stasi. Ale pomyślałem, że dam ci coś jeszcze, na zachętę. I żeby udowodnić, że naprawdę mam informacje, o których mówiłem. Zajrzyj pod poduszkę.

Sylvie wsunęła rękę pod poduszkę, a jej palce natrafiły na jakiś płaski przedmiot. Dużą szarą kopertę.

– Jak...?

– Daj spokój, Sylvie – przerwał jej chrapliwy głos. – Nie bądź naiwna. Uczono nas, jak niepostrzeżenie wchodzić do prywatnych mieszkań i wychodzić z nich. Odezwę się.

Sigfried zakończył połączenie. Sylvie sprawdziła numer, z którego do niej dzwonił, ale był oczywiście zastrzeżony.

Otworzyła kopertę. W środku znajdowało się jakieś czasopismo oraz cztery kartki papieru. Sylvie obejrzała najpierw pismo. Był to jakiś feministyczny periodyk „Muliebritas”. Przejrzała go szybko, by sprawdzić, czy Siegfried nie ukrył czegoś w środku albo nie zaznaczył czegoś w tekście. Nic. Będzie musiała obejrzeć go później uważniej. Na razie zainteresował ją jedynie fakt, że „Muliebritas” wydawane było przez Brønsted Publishing, firmę należącą do grupy NeuHansa.

Odłożyła czasopismo i sięgnęła po cztery kartki. Na trzech znajdowały się zdjęcia, które Siegfried przesłał jej wcześniej w e-mailu. Tym razem jednak każda z trzech twarzy opatrzona była imieniem i nazwiskiem: Margarethe Paulus, Liane Kayser, Anke Wollner. Na czwartej znów znajdował się napis Georg Drescher, tym razem jednak towarzyszyło mu zdjęcie mężczyzny w wieku czterdziestu do czterdziestu pięciu lat. Miał przystojną twarz z głębokimi bruzdami na policzkach

i zmarszczkami w kącikach oczu. Wyglądał na człowieka pogodnego i życzliwego, który lubi się uśmiechać. Ta miła powierzchowność kontrastowała z mundurem i naszywkami świadczącymi o tym, że był oficerem Stasi. W odróżnieniu od pozostałych trzech fotografii zdjęcie Dreschera było czarno-białe, Sylvie nie potrafiła więc odgadnąć, czy jego włosy są po prostu jasne, czy też siwe. Próbowała oszacować jego wiek, biorąc pod uwagę fakt, że minęły już dwie dekady, odkąd ktokolwiek nosił mundur Stasi.

Ponownie przyjrzała się zdjęciom młodych kobiet. Wszystkie były ładne, ale patrzyły w obiektyw beznamietnym, pozbawionym wyrazu wzrokiem. Uwagę Sylvie ponownie przykuła jedna dziewczyna.

Liane Kayser. Nazywała się Liane Kayser.

10

Ute Cranz zaciągnęła go w głąb kuchni. Widział, jak się nad nim pochyła ze skalpelem w dłoni. Zrobiło mu się niedobrze. Pomyślał, że należałoby zwymiotować. Przypuszczał jednak, że substancja zwiotczająca mięśnie pozbawiła go odruchu wymiotnego, umarłby więc, udusiwszy się własnymi wymiocinami. Nie mógłby nawet zakasać. Z pewnością byłoby to lepsze niż los, który chciała mu zgotować Ute Cranz. Pociągnęła za jego ubrania i przesunęła skalpelem w dół. Nie czuł jednak dotyku ostrza: rozcinała jego ubrania, ściągając je z jego ciała. Po chwili był całkiem nagi. Zrobiło mu się zimno, raczej ze strachu niż ze względu na temperaturę panującą w jej mieszkaniu.

Podniosła folię i wsunęła coś pod jego głowę i ramiona, układając jego ciało w pozycji półsiedzącej. Sama usiadła przy stoliku naprzeciwko i postawiła na blacie duży laptop, ustawiając ekran tak, że wypełniał niemal całkowicie jego pole widzenia. Nacisnęła klawisz, a ekran rozbłysnął jaskrawymi kolorami. Nagie ciało kobiety z zakrytą twarzą leżało wciśnięte między pokryte krwią łóżko i ścianę zbryzganą czerwienią.

– Tak właśnie mężczyźni traktują kobiety. Spójrz na to.

Widzisz? – Ute ponownie nacisnęła klawisz. Kolejna scena: półnagie ciało kobiety w krzakach, podwiązka zaciśnięta na jej szyi. – Widzisz? – Następne zdjęcie z miejsca zbrodni. – Widzisz?

Wcisnęła klawisz, a na ekranie pojawiały się kolejne fotografie. Przerażające obrazy morderstw. Gwałtów. Pornograficzne zdjęcia wykorzystywanych kobiet. Twarze wykrzywione strachem.

– Tak mężczyźni traktują kobiety. Tak mężczyźni zawsze traktowali kobiety. Mężczyźni tacy jak ty. – Ute pokazała mu jeszcze kilka zdjęć, po czym zamknęła laptopa i zabrała go ze stolika. Potem kucnęła obok Dreschera i wyszeptła mu do ucha. – Kobiety muszą żyć w strachu. Na całym świecie. Codziennie. W prawdziwym przerażeniu. Takim, jakie czujesz teraz. Wiem, że się boisz, Drescher. Wiem, że bardzo się boisz. Ale wciąż zadajesz sobie pytanie: Dlaczego? Dlaczego ona to robi? – Podsunęła mu pod oczy zdjęcie. – Wiesz, kto to jest? To moja siostra. Margarethe. Nie żyje. Zabiła się. Kiedy już z nią skończyłeś, oszalała. Zamknęli ją w szpitalu. A potem się zabiła. Pracownicy szpitala myśleli, że zrobili wszystko, co się da, żeby jej to uniemożliwić, ale ktoś, kto umie zabijać innych na wiele różnych sposobów, bez trudu też zabije siebie. Nie potrzebuje specjalnych środków ani okazji.

Drescher patrzył na zdjęcie i słuchał, bo i tak nie mógł robić nic innego. Ta twarz na fotografii. Znał ją. Przypomnił ją sobie. Przerzął go fakt, że Ute Cranz najwyraźniej nie miała pojęcia, do kogo naprawdę należy ta twarz – bez makijażu i bez farbowanych włosów. Serce waliło mu jak młot, czuł okropną suchość w ustach, nie mógł jednak nic zrobić.

– Polowałam na ciebie przez czternaście lat. Czternaście lat przygotowywałam się do tej chwili. Obiecałam mojej siostrze, obiecałam Margarethe, że zrobię, co należy. I dotrzymam słowa. Nie muszę się spieszyć. Będę się rozkoszowała każdą chwilą. Pamiętasz, jak uczyłeś dziewczyny o dopływie krwi? Jak można to wykorzystać, żeby przyspieszyć albo opóźnić śmierć ofiary? Pamiętasz, jak opowiadałeś im o średniowiecznych egzekucjach, o ludziach rozcinanych piłą? Skazańca wieszano

za nogi i przecinano na pół, od krocza do szyi. Ponieważ wisiał głową w dół, krew nadal dopływała do mózgu, a biedak zachowywał przytomność do samego końca. – Wstała i kopniakiem odtrąciła coś, co podpierało jego ramiona. Uderzył tyłem głowy o podłogę i poczuł przeszywający ból.

– Doprowadziłeś moją siostrę do szaleństwa. Przez ciebie się zabiła. Teraz ja doprowadzę cię do szaleństwa. Umrzesz, ale przedtem będziesz tak cierpieć, że oszalejesz.

Spojrzał na nią i pomyślał, że jest naprawdę piękna. Przerażająco piękna.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1

Minęło już sporo czasu, od kiedy Fabel miał ostatnio taki sen. Odkąd zaczął pracować w policji, co jakiś czas dręczyły go koszmary – nocami nawiedzali go zmarli. Ofiary morderstw, których nie potrafił rozwikłać, patrzyły na niego oskarżycielsko, pokazywały mu swoje rany. To właśnie takie sny były jednym z powodów, dla których ponad rok temu całkiem poważnie myślał o odejściu z policji. Potem, kiedy postanowił jednak zostać w wydziale zabójstw, koszmary ustały.

Jednakże ten sen był inny od pozostałych.

Stał na środku rozległego placu, otoczonego płotem z drutu kolczastego. W oddali widać było szereg drewnianych baraków, ustawionych wzdłuż jednego z boków placu. Nie musiał widzieć znaku ani motta nad bramą, by domyślić się, gdzie jest. Był Niemcem: ta symbolika tkwiła głęboko w jego świadomości. Plac był całkiem pusty, a z baraków nie dochodził żaden dźwięk. Bezgłośny powiew wiatru podniósł z nagiej ziemi obłoczek pyłu. Fabel obrócił się w miejscu o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni.

Była tam, stała naprzeciw niego.

– Szukasz mnie? – spytała Irma Grese. Była młoda, zaledwie dziewiętnasto- lub dwudziestoletnia, niska i przysadzista, ubrana w bezkształtną szarą suknię. Na nogach miała wojskowe buty z wysokimi cholewami, które – jak niegdyś czytał – nosiła zwykle wtedy, gdy katowała więźniarki. Jej szeroka, surowa twarz przypominała twarz mężczyzny, wąskie, zaciśnięte usta skierowane były kącikami w dół. Jasne włosy zaczesywała do tyłu, odsłaniając wyjątkowo wysokie czoło.

– Nie – powiedział Fabel, spoglądając mimowolnie na czerwony ślad po sznurze, który oplatał jej szyję. – Nie szukam ciebie. Szukam kogoś podobnego do ciebie.

– Jeśli ona jest taka jak ja, to ktoś musiał ją taką uczynić. Rozumiesz to? – spytała, marszcząc wysokie czoło. – Ktoś musiał uczynić ją taką jak mnie.

– Rozumiem – odparł.

Grese zmierzyła Fabla spojrzeniem.

– Boisz się mnie?

– Nie. Nie boję się ciebie. Gardzę tobą – powiedział. – Nienawidzę wszystkiego, co sobą reprezentujesz, i wszystkiego, co zrobiłaś. Nienawidzę cię i cieszę się, że cię powiesili.

– Nieprawda. Boisz się mnie. W głębi duszy wszyscy mężczyźni boją się kobiet. Boisz się mnie, bo przerażają cię wszystkie kobiety. Obawiasz się, że w każdej z nich kryje się ktoś taki jak ja.

– Bzdura – parsknął Fabel. – Twoja pleć nie ma z tym nic wspólnego. Ty i wszyscy pozostali byliście dziwolągami. Zwykłymi, nudnymi, bez znaczenia. Ale dziwolągami. Czekaliście tylko, aż ktoś otworzy wasze klatki i uwolni wasze wypaczone natury.

– Wychodzimy z naszych klatek dla ciebie, Janie. Nie sądzisz? – Przez moment Fabelowi wydawało się, że patrzy na Christę Eisel, a potem na Violę Dahlke, gospodynię domową, którą aresztowali w St. Pauli, później jednak znów stała przed nim Irma Grese. – Od dwudziestu lat jesteśmy twoim życiem.

Nagle, nie poruszywszy się, nie zrobiwszy ani kroku, Irma Grese znalazła się bliżej. Przysuwała twarz do jego twarzy, patrzyła na niego. Otworzyła usta i wydawała z siebie przenikliwy, nieludzki krzyk. Jej oczy płonęły dzikim ogniem, ciemne brwi powędrowały w górę zbyt wysokiego czoła, pod linię jasnych włosów. Była przerażająca i komiczna zarazem. Podniosła prawą rękę, a Fabel dostrzegł błysk celofanowego bicia.

Obudził się.

Odwrócił się i spojrzał na Susanne, która była pogrążona w głębokim śnie. Nie chciał, by dowiedziała się, że znów miał koszmary. Minęło już sporo czasu, odkąd przydarzyło mu się to ostatnio. Susanne go kochała, dlatego już wiele razy prosiła go, by odszedł z policji i uwolnił się od tych snów. Poza tym jednak

była również psychologiem, a jej troska miała solidne naukowe podstawy. Tłumaczyła mu, że jej niepokój budzą nie tyle same sny, ile ukryte emocje, które je wywołują. Renate nigdy nie przejmowała się jego snami. Renate w ogóle się nim nie przejmowała.

Wstał, poszedł do kuchni i zrobił sobie herbaty. Wciąż jeszcze nie umiał się do końca odnaleźć w nowym mieszkaniu. Myślami, szczególnie nad ranem, wciąż przebywał w Pöseldorfie.

Zadzwonił telefon. Fabel spojrzął na zegarek. Była dopiero piąta czterdzieści rano.

– Lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego – powiedział do słuchawki.

– Jest... – Mówił Glasmacher, jeden z pracowników wydziału zabójstw. – Jestem niedaleko, w Altonie. Mamy ją, szefie. Mamy Anioła.

2

Apartamentowiec został ogrodzony taśmą policyjną, a w odległości pięćdziesięciu metrów od wejścia po obu stronach ulicy ustawiono barierki, na razie jednak w pobliżu nie kłębił się tłum dziennikarzy. Wiadomość o morderstwie jeszcze nie dotarła do mediów. Fabel potrzebował tylko dziesięciu minut, by dotrzeć na miejsce ze swego mieszkania. Zaparkował przy barierce i pokazał odznakę mundurowym stojącym na straży.

Przed wejściem do apartamentowca czekał na Fabla wysoki blondyn o jasnej karnacji, ubrany w skórzaną kurtkę i opatulony ciepłym szalem. Kiedy nadkomisarz zbliżył się do niego, głośno pociągnął zaczerwienionym nosem.

– Powinieneś leżeć w łóżku – powiedział Fabel.

– Żałuję teraz, że nie wziąłem zwolnienia. Gdyby mnie tu nie wezwali, nie musiałbym tego oglądać. – Glasmacher wskazał głową na apartamentowiec.

– Bardzo źle?

– Oj tak... Jedno z najgorszych, jakie widziałem. Ofiara była

torturowana przez długi czas. Aha, wezwałem jeszcze kilku ludzi. Dirk Hechtner już tutaj jedzie.

– Mówiłeś, że to Anioł, tak?

– Sposób działania przypomina te ostatnie zabójstwa i tamte z pierwszej serii. Nie wiem, na czym polegała misja tej kobiety, ale najwyraźniej już ją wypełniła. Kiedy skończyła, zadzwoniła do nas, powiedziała, że zabiła tego faceta i że chciałyby „wrócić”.

– Kim jest ofiara?

Glasmacher sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej notes wraz z garścią zużytych chusteczek higienicznych.

– Wybacz, szefie... Robert Gerdes, lat sześćdziesiąt trzy, emerytowany nauczyciel z Flensburga w Szlezwiku-Holsztynie. W Hamburgu od piętnastu lat. Mieszkał w penthousie, a został zamordowany w mieszkaniu poniżej, wynajmowanym przez kobietę, która twierdzi, że to zrobiła.

Fabel spojrział na apartamentowiec.

– W penthousie, powiadasz? Nie wiedziałem, że nauczyciele mają takie emerytury... A jak nazywa się kobieta?

– Ute Cranz. Niedawno się tutaj wprowadziła. Wezwałem mundurowych, żeby ją przewieźli do Presidium.

Nagle rozległo się wycie syren, a za bmw Fabela zatrzymały się dwa nieoznakowane radiowozy. Fabel zaczął gwałtownie wymachiwać rękami, a potem przeciągnął wymownie dłonią po gardle. Syreny ucichły. Z jednego radiowozu wysiedli Anna Wolff i Werner Meyer, a z drugiego Dirk Hechtner i Henk Hermann.

– Na miłość boską – syknął Fabel, gdy do niego podeszli. – Nie mamy tu jeszcze dziennikarzy, ale wy robicie wszystko, żeby tu się zaraz zjawili. Wystarczy, że zablokowaliśmy ulicę, nie musimy jeszcze wysyłać im dodatkowych sygnałów.

– Wybacz, szefie – powiedziała Anna. – Prawdę mówiąc, to była dla mnie jedna z największych atrakcji zawodu policjanta. Gdybym nie mogła od czasu do czasu trochę sobie powyć, równie dobrze mogłabym zostać taksówkarzem.

– Nikt by nie wsiadł do twojej taksówki, gdybyś pierdziała tyle co zawsze – mruknął Werner.

– Posłuchajcie no, Flipie i Flapie – zaczął Fabel bez uśmiechu. – Kiedy już skończycie odgrywać ten skecz, wejdźcie łaskawie do środka i obejrzyjcie miejsce przestępstwa.

– Przepraszam, szefie – odpowiedziała Anna bez cienia skruchy.

– Powinieneś wiedzieć coś jeszcze, szefie – odezwał się ponownie Glasmacher. – Ta kobieta opowiadała przeróżne rzeczy o ofierze. Wygląda na to, że ma naprawdę nierówno pod sufitem. Twierdzi, że facet używał fałszywego nazwiska, że stworzył sobie całkiem nową przeszłość i że tak naprawdę był funkcjonariuszem Stasi. Mówi też, że zniszczył życie jej siostrze.

– Stasi? – Fabel miał wrażenie, że ktoś przepuścił przez jego kręgosłup impuls elektryczny. – Powiedziała, że pracował w Stasi? Mówiła, jak nazywał się naprawdę?

Glasmacher raz jeszcze zajrzał do swojego notesu.

– Tak... Mówiła, że był majorem wywiadu zagranicznego i nazywał się Georg Drescher.

Ktoś podkreślił napięcie w kręgosłupie Fabla.

– Anno, Wernerze, idźcie ze mną – oświadczył stanowczo. – Thomas, ty wrócisz teraz do Presidium i napiszesz raport. Potem jedź do domu i odpocznij. Będę cię potrzebował w najbliższych dniach. Dirk, Henk, zadzwońcie do *Politidirektør* Karin Vestergaard i powiedzcie, że po nią jedziecie. Przywieźcie ją do Presidium. Nie, przywieźcie ją tutaj.

Kiedy Fabel ruszył w stronę drzwi, Glasmacher położył mu rękę na ramieniu.

– Przygotuj się na coś naprawdę mocnego, szefie. Nie żartuję. Kiedy zobaczysz, co zrobiła z tym facetem...

Holger Brauner poprosił Fabla i jego zespół, by poczekali chwilę, nim wejdą na miejsce zbrodni. Nalegał też, by oprócz foliowych nakładek na buty i lateksowych rękawiczek włożyli tym razem fartuchy i maski chirurgiczne.

– Tam jest bardzo dużo różnego rodzaju płynów ustrojowych – tłumaczył. – Czekają nas mnóstwo pracy. Wiem, że jesteście doświadczonymi policjantami i tak dalej, ale bardzo was

proszę: jeśli poczujecie, że zbiera wam się na wymioty, wyjdźcie jak najszybciej z mieszkania.

– Aż tak źle? – spytał Fabel.

– Aż tak źle, Janie – potwierdził Brauner.

Fabel rozejrzał się po stylowym, przestronnym apartamencie. Jedna ze ścian salonu połączonego z jadalnią była niemal w całości przeszklona, duże przesuwane drzwi prowadziły na niewielki taras. Meble wyglądały na bardzo drogie, Fabel przypuszczał więc, że stanowiły stałe wyposażenie apartamentu. Jeden z członków ekipy Braunera robił właśnie zdjęcia stołu w jadalni: wciąż leżały na nim brudne talerze i kieliszki dla dwóch osób. Przed sofą leżała kartka z numerem przyporządkowanym do rozbitego kieliszka brandy. Zawartość kieliszka wylała się na polerowaną brzoźową podłogę.

Fabel posłuchał rady Glasmachera i przed wejściem do kuchni przygotował się w myślach na naprawdę wstrząsający widok.

Nie mógł od niego oderwać wzroku, jakby jego mózg próbował zrozumieć, na co właściwie patrzy, albo jakby próbował zaprzeczyć, że to, co przed sobą widzi, jeszcze niedawno było człowiekiem. Zwłoki leżały na grubej niebieskiej folii pokrywającej kuchenny blat. Głowa została podparta od tyłu, okrągłe, pozbawione powiek oczy patrzyły prosto na Fabla. Folia okrywała również podłogę i ściany, do których została przyklejona taśmą. Plamy krwi były wszędzie, ale blat wokół ciała i podłoga obok blatu nosiły ślady wycierania mopem. Sprawczyni sprzątała podczas pracy.

Fabel słyszał, jak Anna, która weszła do kuchni tuż za nim, wciąga głośno powietrze. Werner zmełł w ustach przekleństwo. Holger Brauner przeszedł obok nich i stanął przy Fablu.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego, Janie – powiedział.

– Ta kobieta doskonale zna anatomię człowieka. Widzisz te opaski uciskowe na udach? Założyła je, żeby zatamować przepływ krwi, kiedy pracowała nad nogami. A kiedy przyjrzesz się tym odsłoniętym kościom, zobaczysz, że przecięła tkankę mięśniową, unikając tętnicy udowej. Tak samo wykorzystwała zacisk chirurgiczny, żeby zatrzymać krwawienie po kastracji.

Fabel usłyszał, jak Anna dyszy coraz gwałtowniej, a potem wybiega z kuchni.

– Nie ma żadnych wątpliwości, że to morderstwo z premedytacją, Janie – mówił Brauner. – Przygotowała wszystko zawczasu, wyłożyła kuchnię folią, unieruchomiła jakimś sposobem ofiarę... Miała nawet sól fizjologiczną, którą zapuszczała mu do oczu po usunięciu powiek. Najwyraźniej zależało jej na tym, żeby widział, jak nad nim pracuje. Biedny sukinsyn.

– Jak myślisz, po jakim czasie umarł?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Doktor Möller poda ci tę informację po sekcji. Przypuszczam, że mogło to trwać nawet godzinę. Możemy się tylko domyślać, jak długo zachował świadomość... – Brauner wskazał na metalową tacę leżącą obok ciała. – Pełno tu zużytych fiolek. Sądząc po zapachu, to węglan amonu. Pewnie podsuwała mu je pod nos, żeby go ocucić, kiedy mdlał z bólu.

Anna wróciła do kuchni. Pochyliła nisko głowę i nie odrywała spojrzenia od podłogi.

– Dirk i Henk już są, szefie. Przywieźli ze sobą Dunkę – powiedziała.

– Dobrze.

Fabel objął ją ramieniem i odwrócił od ciała. Spojrzał na jej twarz: skrawek skóry widoczny między maską i czepkiem był bardzo blady, oczy obwiedzione czerwienią.

– Dobrze się czujesz, Anno?

– Wiesz, szefie, że to nie jest mój mocny punkt. Ale to nieważne, niedługo i tak będę wystawiała mandaty za złe parkowanie.

– Dość tego, Anno – powiedział Fabel bez gniewu. Widział, że jest w kiepskim stanie. – Wrócisz teraz do Presidium i przejrysz informacje zebrane przez Toma, zanim pojedzie do domu. Werner, pojedziesz z nią. Ja przeszukam mieszkanie ofiary.

Wychodząc z mieszkania, Fabel zostawił przy drzwiach fartuch i maskę, zatrzymał jednak rękawiczki i ochraniacze na buty. Tuż za drzwiami natknął się na Dirka Hechtnera i Henka

Hermann, którzy prowadzili ze sobą Karin Vestergaard.

– Twoi koledzy powiedzieli mi, że to może mieć coś wspólnego ze śmiercią Jensa – powiedziała bez żadnych wstępów. Fabel dostrzegł w jej oczach ponurą determinację i przypomniał sobie, że Jespersen był dla niej kimś więcej niż kolegą z pracy.

– Prawdę mówiąc, jeszcze tego nie wiem, Karin. Zabójczyni zgłosiła się sama, trzymamy ją w Presidium. To może być morderczyni z St. Pauli. Ale najciekawsze jest to, co nam powiedziała. Ofiarą jest sześćdziesięcioletni mężczyzna, emerytowany nauczyciel z Flensburga, niejaki Robert Gerdes. Ale kobieta, która go torturowała i zabiła, twierdzi, że tak naprawdę to były oficer Stasi, major Georg Drescher.

Vestergaard otworzyła szeroko oczy, zszokowana.

– Mogę zobaczyć ofiarę?

– Uwierz mi, lepiej nie. Naprawdę go zmasakrowała, a poza tym musiałybyś wkładać fartuch i całą resztę. Posłałem po ciebie, bo zamierzam przeszukać mieszkanie ofiary. Mieszkał na górze. Pomyślałem, że może zechciałybyś mi pomóc. Może znajdziesz coś, co odnosi się do sprawy Jespersena. – Fabel odwrócił się do Hechtnera i Hermann. – Chcę, żebyście przeszukali mieszkanie zabójczyni, każde pomieszczenie prócz kuchni. Zapakujcie wszystko do worków. – Umilkł na moment i ponownie zwrócił się do Vestergaard: – Kiedy już skończymy na górze, pojedziemy razem do Presidium. Chciałbym, żebyś była obecna przy przesłuchaniu podejrzanej.

– Prowadź – rzuciła Vestergaard ponuro.

3

Penthouse został wykończony w takim samym stylu i z taką samą starannością jak lokal poniżej. Był nieco większy i nieco lepiej rozplanowany, lecz od mieszkania Ute Cranz odróżniało go przede wszystkim umeblowanie i wystrój. Choć równie nowoczesny i jasny, wyposażony został w tradycyjne meble. Niektóre z nich wyglądały na prawdziwe antyki. Fabel pomyślał o człowieku, do którego należało to miejsce, nie mógł jednak

powiązać go z krwawą masą kości i tkanek leżącą na blacie piętro niżej.

– Ma naprawdę ładne meble – stwierdziła Vestergaard swobodnym tonem. – W większości z drewna orzechowego. Niektóre z klonu. Widziałam już kiedyś podobne. To węgierskie art déco. Wykonane w latach trzydziestych. Jest też kilkafrancuskich.

Fabel spojrział na nią pytająco.

– Hobby – wyjaśniła, a on skinął ze zrozumieniem głową. Przeszli powoli przez salon, gabinet, sypialnię i kuchnię połączoną z jadalnią. Zatrzymali się na moment w gabinecie.

– Nie widzę żadnych śladów walki – powiedział Fabel. – Wygląda na to, że ostatnio w ogóle nikogo tu nie gościł. Wszystko musiało odbyć się na dole. Ale każę kryminalistynom Holgera dokładnie przejrzeć całe mieszkanie.

Vestergaard podniosła szkicownik leżący na biurku. Fabel zauważył, że szkicownika tej samej firmy i tego samego rozmiaru używa do zapisywania swoich pomysłów i teorii podczas śledztwa. Vestergaard przerzuciła kilka kartek, uśmiechając się co jakiś czas pod nosem. W odpowiedzi na pytające spojrzenia Fabla, podała mu otwarty blok.

– Nie wiem, czym jeszcze się zajmował, ale był naprawdę utalentowanym karykaturzystą – powiedziała. – To ma być, zdaje się, wasza prześwietna kanclerz, Angela Merkel, prawda?

– Masz rację, był naprawdę świetny. – Fabel uśmiechnął się. – Wiem, że *Frau* Merkel zależy na utrzymaniu dobrych stosunków z sąsiadami, ale nie sądzę, że zrobiłaby coś takiego *monsieur* Sarkozy'emu. I nie wydaje mi się, żeby był aż tak niski.

– Muszę przyznać, że miał dość kosztowny gust. – Vestergaard odłożyła szkicownik i przyjrzała się figurce z brązu ustawionej na biurku: stylizowanemu orłowi siedzącemu na podstawie z orzecha. – Jak na emerytowanego nauczyciela z Flensburga.

– Myślałem o tym samym. – Fabel skinął głową. – Powinniśmy chyba zacząć od gabinetu. Ty zajmiesz się biurkiem, a ja szafką na dokumenty i biblioteczką.

W ciągu niecałej godziny sprawdzili wszystkie listy ofiary, jego rachunki, notes i terminarz.

– Albo prowadził bardzo ograniczone życie towarzyskie, albo zachowywał większość rzeczy w sekrecie – rzekła Vestergaard.
– Ograniczył do minimum nawet oficjalną korespondencję. Nie ma też komputera. To właściwie namiastka prawdziwego życia. Albo tylko przykrywka. A sądząc po meblach i po wyborze win na stojaku, nie był raczej ascetą.

Fabel przeszedł przez salon i rozejrzał się dokoła.

– Więc tu się ukryłeś, majorze Drescher. – Odwrócił się do Vestergaard. – Skontaktowałem się z Instytutem Gaucka w Berlinie i poprosiłem o jego akta. Nic. Tylko jakieś mało istotne wzmianki tu i ówdzie. Naprawdę dobrze się ukrył i myślał, że nigdy go nie znajdziemy. A teraz wpadł nam w ręce.

– Nadal się przed nami ukrywa, Janie – odparła Vestergaard, ogarniając spojrzeniem salon.

Przed powrotem do Presidium Fabel poprosił Holgera Braunera, by jego zespół zabezpieczył penthouse i dokładnie go zbadał, kiedy już skończą pracę na miejscu zbrodni.

Kiedy wyszli z budynku i zmierzali do jego bmw, Fabel zauważył, że ulica wygląda całkiem inaczej w świetle dziennym. Wziął kilka głębokich oddechów, wciągając w płuca chłodne zimowe powietrze. W ciągu swej długiej kariery przekonał się już, że po wizycie na miejscu morderstwa zachowuje w umyśle jeden szczegół, jeden obraz, który dręczy go potem jeszcze przez kilka tygodni. Tym razem wciąż widział okrągłe, pozbawione powiek oczy Dreschera.

– Dobrze się czujesz? – spytała Vestergaard.

– Tak... w porządku. – Fabel westchnął. – To tylko kolejny dzień w rzeźni.

Kiedy przyjechali do Presidium, nadkomisarz przyniósł im kawę, którą pili w jego biurze.

– Powinniśmy zrobić sobie przerwę, zanim zaczniemy przesłuchiwać Ute Cranz – powiedział Fabel. – To trochę potrwa.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi, a do biura wszedł Werner. Spojrzawszy na jego twarz, Fabel zrozumiał, że

czas odpoczynku dobiegł końca.

– To wszystko jest nieźle popieprzone, Janie – powiedział po niemiecku, nie zważając na obecność Vestergaard.

– Co masz na myśli?

– Kobieta, którą aresztowaliśmy, wynajmowała mieszkanie jako Ute Cranz. Ale twierdzi, że w rzeczywistości nazywa się Ute Paulus i że jest siostrą Margarethe Paulus...

– Chwileczkę – przerwał mu Fabel, marszcząc brwi. – Tej kobiety, która uciekła ze strzeżonego szpitala psychiatrycznego w Meklemburgii?

– Tej samej.

– Więc Ute Paulus poszła w ślady siostry i zajęła się zarzynaniem facetów? Cóż, teraz przynajmniej wiemy, dlaczego Margarethe tak skutecznie się ukrywała, siostra na pewno służyła jej pomocą.

– Prawdę mówiąc, tutaj właśnie sprawa komplikuje się jeszcze bardziej. – Werner uśmiechnął się kwaśno i przeciągnął dłonią po krótko przystrzyżonych włosach. – Skontaktowałem się ze szpitalem w Meklemburgii i rozmawiałem z głównym psychiatrą, który zajmuje się przypadkiem Margarethe Paulus. To doktor Köpke. Twierdzi, że nie ma żadnej Ute Paulus. Żadnej siostry. Jest tylko Margarethe.

Werner położył na biurku Fabela wydruk fotografii z komputera.

– To zdjęcie Margarethe Paulus wykonane rok przed ucieczką. Przyjrzałem się dobrze tej aresztowanej kobiecie. Ma włosy w innym kolorze, ale gdyby rzeczywiście miała siostrę, musiałyby to być jej bliźniaczka.

– Cholera... – Fabel odwrócił się do Vestergaard i przetłumaczył wszystko, co właśnie usłyszał. – Co jeszcze mówił ten Köpke? – spytał, odwracając się ponownie do Wenera.

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, chciał z tobą jak najszybciej porozmawiać. Chce też wiedzieć, jak nazywała się ofiara i jak umarła. Doktor Köpke mówi, że ma informacje, które będą nam niezbędne. Poza tym chciał rozmawiać z psychiatrą lub psychologiem kryminalnym, który będzie obecny przy

przesłuchaniu, bo jego zdaniem ktoś taki powinien tam być.

– A po drugie?

– Po drugie, radził podjąć wszelkie środki ostrożności wobec Margarethe Paulus. Twierdzi, że to prawdopodobnie najniebezpieczniejszy człowiek, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia.

Po drodze do pokoju przesłuchań Karin Vestergaard zadzwoniła z komórki. Zamieniwszy kilka zdań po duńsku, przystanąła i zapisała coś w notesie. Fabel czekał na nią.

– Rozmawiałam ze swoim biurem w Kopenhadze – wyjaśniła, gdy ruszyli ponownie w głąb korytarza. – Norweska Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zbadła dokładniej powiązania Jørgena Halvorsena. Znaleźli dane jakiegoś hamburczyka, z którym utrzymywał kontakt. Możemy o tym porozmawiać, kiedy już przesłuchasz tę kobietę. Myślisz, że to ona zabiła Jensa?

– Nie wiem. W tej sprawie jest mnóstwo dziwnych zbiegów okoliczności, a ona idealnie pasuje do profilu osoby, której szukamy. Problem w tym, że nie może nią być, bo wiemy z całą pewnością, że gdy popełniano tamte morderstwa, przebywała w zamkniętym i strzeżonym szpitalu. Nie może być ani naszym Aniołem, ani Walkirią.

– Ale nie było jej tam już, gdy zginął Jensen – zauważyła Vestergaard.

– To prawda. Warto sprawdzić, gdzie znajdowała się w tym czasie. Zrobimy to, jeśli tylko się da. – Fabel zatrzymał się nagle i odwrócił do Dunki. – Posłuchaj, Karin, to będzie pierwsze przesłuchanie, ustalimy tylko najważniejsze fakty. Nie powinno potrwać długo. Byłoby dobrze, gdybyśmy je potem omówili. Mamy kolejną śmierć, której nie traktujemy jak morderstwo, ale wydaje się nam co najmniej podejrzana. W tej sprawie dzieje się tak dużo, że musimy bardzo uważać, by czegoś nie przegapić.

Kobieta, która czekała na nich w pokoju przesłuchań, z pewnością nie wyglądała na zabójczynię. Zawodową ani seryjną. Kryminaliści zabrali do badań wszystkie jej ubrania, więc teraz miała na sobie tylko bezkształtny biały fartuch. Była

szczupła i co nie uszło uwagi Fabela, bardzo atrakcyjna. Kiedy wszedł, spojrzała na niego obojętnie, jakby nie przypuszczała, że jego obecność ma z nią cokolwiek wspólnego. Fabel rozpoznał ją z fotografii przesłanej ze szpitala w Meklemburgii. Wszedł do pokoju przesłuchań sam, a Vestergaard dołączyła do Wenera i Anny, którzy obserwowali rozmowę na monitorze w sąsiednim pokoju.

Fabel skinął głową do policjanta, który pilnował aresztantki, usiadł naprzeciw niej, rozłożył na stole dokumenty i poinformował Paulus o jej prawach.

– Chcę, żebyś coś zrozumiała, Margarethe – powiedział. – Będę przesłuchiwał cię jeszcze później, w obecności innego funkcjonariusza, będzie tu wtedy także psycholog i prawnik reprezentujący twoje interesy. Wtedy porozmawiamy o wszystkim bardziej szczegółowo. Na razie chciałbym tylko, żebyś potwierdziła swoje imię i nazwisko.

– Jestem Ute Paulus. Nazwałeś mnie Margarethe. Nie jestem Margarethe Paulus. To moja siostra.

– Ale to nieprawda, Margarethe. Ute Paulus nie istnieje. Nie masz siostry. To wszystko jest zapisane w dokumentach.

Roześmiała się chłodno.

– Dokumenty są ciągle fałszowane. Ludzie ze wschodu dobrze o tym wiedzą. Nie jestem Margarethe. Jestem Ute.

– Kto to jest? – spytał Fabel i podsunął jej zdjęcie ze szpitala.

– To jest Margarethe.

– To ty. Posłuchaj, nie ma sensu temu zaprzeczać. Mamy twoje odciski palców, pasują do odcisków tej pacjentki. – Postukał palcem w fotografię. – Margarethe Paulus, trzydzieści osiem lat, urodzona w Zarrentin, w północno-zachodniej Meklemburgii. Nie masz siostry ani brata, a twoi rodzice umarli. To jesteś ty. Trafiłaś do szpitala psychiatrycznego w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym.

Paulus milczała. Fabel wziął głęboki oddech.

– Dlaczego zabiłaś Roberta Gerdesa?

– Nie nazywał się Gerdes. – W jej głosie nie było gniewu. Nie było w nim nic. Ani w jej oczach. – Nazywał się Georg Drescher i był majorem Stasi.

– Dlaczego mu to zrobiłaś?

– Zdaje się, że mieliśmy o tym rozmawiać później – odparła. Położyła dłonie na metalowym blacie stołu. Miała długie i szczupłe palce. Zauważył, że ma bardzo czyste paznokcie, a potem przypomniał sobie, że kryminaliści Braunera na pewno usunęli spod nich wszystkie ślady krwi i innych substancji. Nie umiał sobie wyobrazić, że te właśnie palce dokonały wszystkich tych przerażających rzeczy, które widział w jej mieszkaniu.

– Chcę wrócić – powiedziała.

– Dokąd? Do mieszkania?

– Do szpitala.

– Jak możesz wrócić do szpitala, skoro nie jesteś tam pacjentką? – spytał Fabel. Wskazał ponownie na fotografię. – To jest pacjentka. Margarethe jest pacjentką. Mówisz, że ty nie jesteś Margarethe.

– Tam spotykam się z moją siostrą. Tam z nią rozmawiam. Odwiedzam ją. Teraz będę mogła ciągle się z nią spotykać.

Fabel westchnął i zebrał dokumenty.

– Chyba rzeczywiście powinniśmy trochę poczekać z tą rozmową.

– Chcę tam wrócić – powtórzyła beznamyślnym tonem. – Do szpitala.

– Obawiam się, że nie wrócisz tam jeszcze przez jakiś czas. Będziesz musiała zostać tutaj, z nami. – Fabel wstał od stołu.

– Chcę wrócić. Do szpitala. – Margarethe także wstała.

Fabel wyciągnął rękę, by ją powstrzymać.

– Musisz zostać na swoim miejscu, Margarethe. Poczekaaj tutaj. Strażnik odprowadzi cię do celi.

Margarethe złapała go za nadgarstek. Fabel był zadziwiony siłą, jaka kryła się w tych szczupłych palcach. Podniósł drugą rękę, by uwolnić się z uścisku, lecz został ogłuszony ciosem, który wymierzyła mu w czoło nasadą wolnej dłoni. Słyszał, jak umundurowany policjant rusza mu z pomocą. Margarethe chwyciła Fabla za włosy i uderzyła jego twarzą w blat stołu, wykorzystując go jednocześnie jako dźwignię i wyprowadzając kopnięcie w głowę policjanta. Fabel słyszał, jak ten uderza

w ścianę i wciąga głośno powietrze. Czuł, jak palce Margarethe sięgają pod jego pachę po służbowego SIG-sauera, na szczęście nie umiała jednak otworzyć specjalnie zablokowanej kabury. Pchnął ją z całej siły i przewrócił na podłogę. Pomimo zdenerwowania zauważył, jak zgrabnie upadła, przetoczyła się przez ramię i natychmiast zerwała na nogi. Umundurowany policjant także podniósł się z podłogi i rzucił na Margarethe. Kobieta uchyliła się bez trudu i uderzyła go w krtań krawędzią dłoni. Fabel sięgnął po broń, a Margarethe doskoczyła do niego nad stołem i uderzyła go w pierś kolaniem. Nadkomisarz poleciał do tyłu, boleśnie uderzył głową w ścianę, a jego broń upadła na podłogę. Nagle otworzyły się drzwi pokoju, a do wnętrza wpadł Werner, Anna i dwóch mundurowych.

– Mój pistolet! – ryknął Fabel.

Podniósł głowę i zobaczył, jak Margarethe uderza Wenera pięścią w twarz. Anna Wolff przesunęła się za nią i objęła jej szyję ramieniem, zamykając ją w ciasnym uścisku. Margarethe wbiła jej łokieć między żebra, lecz Anna nie zwolniła uścisku. Przewróciła się celowo na podłogę, ciągnąc przeciwniczkę za sobą. Werner i pozostali policjanci natychmiast się na nią rzucili i po kilku sekundach gwałtownych zmagani nałożyli jej kajdanki.

– To zdaje się twoje...

Fabel podniósł wzrok i zobaczył nad sobą Karin Vestergaard, która podawała mu jego służbowy pistolet.

– Dzięki – odparł, pozwalając, by pomogła mu wstać. Poczuł, jak coś cieknie mu po czole, a kiedy go dotknął, czubki jego palców pokryły się krwią.

Werner, Anna i pozostali podnieśli Margarethe z podłogi. Popatrzyła prosto na Fabla, a jej spojrzenie zmroziło mu krew w żyłach. Nie było w nim wściekłości ani nienawiści, tylko ta sama pustka, którą dostrzegł na początku przesłuchania. Zupełnie jakby brutalny atak, który przed chwilą przypuściła, nigdy się nie zdarzył.

– Odprowadźcie ją do celi – rozkazał Fabel. – I nie zdejmujcie jej kajdanek.

Mundurowi wyprowadzili Margarethe, która nawet nie

oddychała szybciej po wzmożonym wysiłku. Anna i Werner zostali w pokoju. Z nosa Wenera ciekła wąska strużka krwi.

– Powinieneś to opatrzyć – powiedziała Vestergaard, wskazując na głowę Fabla.

– Pewnie powinienem – mruknął Fabel. Wziął od Dunki chusteczkę higieniczną i przyłożył ją do głowy. – Świetnie sobie poradziłaś, Anno.

– Kobieca ręka. Wyglądało na to, że sami nie dacie rady. – Spojrzała z uśmiechem na Wenera. – Nieźle wam skopała tyłki ta dziewczyna.

– Jak się czuje mundurowy? – spytał Fabel.

– Nic mu nie będzie – odparł Werner, wycierając krew wierzchem dłoni. – Ale jutro będzie go cholernie bolało gardło.

– Zawieźcie go do szpitala – polecił nadkomisarz. – Cios w tchawicę może być bardzo niebezpieczny, a ta diablica dobrze wiedziała, co robi. – Oparł się plecami o ścianę i wziął głęboki oddech. – Oj, dobrze wiedziała.

– Zdaje się, że właśnie to chciał ci powiedzieć doktor Köpke, szef szpitala psychiatrycznego w Meklemburgii. Znów dzwonił, kiedy ty przesłuchiwałaś tę wariatkę.

– Zadzwoń do niego – powiedział Fabel. – Ale najpierw niech ktoś mi przyniesie kodeinę i plaster na głowę.

4

Gdzie ją teraz trzymacie? – W głosie mężczyzny, który rozmawiał z Fablem przez telefon, brzmiał autentyczny niepokój.

– Jest w swojej celi, panie doktorze, gdzie nie może zrobić nikomu krzywdy.

– Nie liczyłem na to – odparł Köpke. Miał głęboki, nieco chrapliwy głos. Fabel usłyszał w słuchawce metaliczny trzask i szelest. Dźwięki towarzyszące zapalaniu papierosa. Komisarz pomyślał, że lekarz powinien dobrze wiedzieć, czym grozi palenie. – Chciałem pana ostrzec, zanim próbował pan ją przesłuchać.

– Nie do końca zrozumiałem... – zaczął Fabel, ale Köpke nie

pozwolił mu dokończyć.

– Znów zabiła?

– Tak. Mężczyznę. I wykastrowała go.

– Jak się nazywał? – spytał Köpke ostrym tonem.

– Nie mogę...

– Georg Drescher? Margarethe twierdzi, że zabiła Georga Dreschera?

– Nie mogę podać panu takiej informacji, dobrze pan o tym wie.

– Proszę posłuchać, panie nadkomisarzu, możemy tak się bawić i pozwolić, by zginęło jeszcze kilku ludzi, albo zagrać w otwarte karty i być może ocalić życie tym ludziom. Więc jak się nazywał?

– Co takiego musi mi pan powiedzieć, doktorze Köpke?

– Przede wszystkim musicie traktować ją z daleko posuniętą ostrożnością. – Psychiatra zamilkł na moment i wypuścił głośno powietrze. Fabel wyobraził sobie, jak jego rozmówcę otacza chmura dymu papierosowego. – Powinno jej pilnować co najmniej dwóch, a najlepiej trzech strażników. Po drugie starajcie się mówić do niej tak, by wszystkie polecenia brzmiały jak prośby. Jeśli tylko uzna, że próbujecie narzucać jej swoją wolę, zareaguje agresją. A proszę mi wierzyć, panie komisarzu, potrafi tę agresję bardzo umiejętnie wyładować.

– Tak, wiem coś o tym – odparł Fabel, mimowolnie dotykając opatrunku na głowie.

– Ach... – W słuchawce znów dał się słyszeć szum wypuszczanego głośno dymu. – Mogłem się tego spodziewać. Chcę także, żebyście jak najszybciej dostarczyli do mojego biura nakaz sądowy, bo dopiero wtedy będę mógł legalnie przekazać wam dokumentację z leczenia Margarethe Paulus. Mam nagrania z sesji terapeutycznych, które z nią przeprowadziłem. Proszę mi wierzyć, panie komisarzu, wszystkie z pewnością pana zainteresują.

– Rozumiem. A może teraz streści mi pan pokrótce, co jest w tych dokumentach?

– Margarethe jest dzieckiem NRD – zaczął Köpke. – Jej rodzice byli ludźmi bohemy, wolnomyślicielami, którzy zadarli

z władzą. Trafili do więzienia i oboje zmarli na raka jeszcze przed upadkiem muru. Państwo przejęło opiekę nad Margarethe. Pana zainteresuje zapewne to, co działo się z nią potem. Zanim do tego przejdę, muszę opisać pokrótce historię jej choroby. Kiedy jeszcze przebywała w państwowym sierocińcu, zaczęły jej dokuczać ostre bóle głowy. Miała wtedy około ośmiu lat. Umieszczono ją w szpitalu, lekarze podejrzewali, że ma raka mózgu. Operacja ujawniła, że rzeczywiście w jej mózgu znajduje się guz. Uznano, że jest łagodny, lecz jego natura budziła pewne wątpliwości. Był to sporej wielkości potworniak, który należało uznać za *fetus in fetu*.

– Przepraszam, że przerywam... – wtrącił Fabel z irytacją raczej niż skruchą – ale nie znam tych określeń.

– Potworniak to guz złożony z różnego rodzaju tkanek. Mogą się w nim znajdować włosy, zęby, tkanka oka. Czasami może nawet mieć kończynę – na przykład dłoń albo stopę. W wyjątkowo rzadkich wypadkach w organizmie noworodka znajduje się coś, co wygląda na jego bliźniaka. *Fetus in fetu*. Opinie naukowców są podzielone, niektórzy twierdzą, że to prawdziwy płód, który powstał w ciele drugiego dziecka zamiast obok niego, inni uważają, że to tylko bardziej złożona forma potworniaka. Tak czy inaczej, nie są to twory, które mogłyby prowadzić samodzielne życie. Guz usunięty z mózgu Margarethe przypominał płód. Dlatego właśnie jakiś czas po operacji, kiedy zainteresowała się pewnie tym tematem, doszła do wniosku, że nosi w sobie żywą siostrę.

– I nadal w to wierzy?

– Nauczyliśmy się radzić sobie z Margarethe, za pomocą odpowiednich leków i podejścia, na tyle dobrze, że mogła żyć wśród innych pacjentów. Wróć jeszcze do tego, dlaczego leki i właściwe podejście były takie ważne, choć pewnie przekonał się pan już o tym na własnej skórze. Tak czy inaczej, Margarethe godzinami przesiadywała przy oknie i rozmawiała z własnym odbiciem.

– Ze swoją siostrą. – Fabel westchnął.

– To właśnie ustaliliśmy podczas terapii. I tu dochodzimy do

rzeczy najważniejszej. Guz w głowie Margarethe był łagodny, ale duży. Po usunięciu tak dużego elementu, mózg ulega zmianom: zmienia się ciśnienie wewnątrzczaszkowe, a te części mózgu, które do tej pory były ściśnięte, mają więcej miejsca i zaczynają się rozrastać, szczególnie u dzieci. W wypadku Margarethe zmieniła się jej osobowość. Wcześniej była normalnym, wrażliwym dzieckiem o przeciętnych zdolnościach. Po operacji stała się chłodna, wyciszona. Ale jej sprawność intelektualna i fizyczna radykalnie się poprawiły, co ma ścisły związek z rzeczami, o których nam opowiadała.

– Czyli?

– Musi pan pamiętać, że tutaj, na wschodzie, sytuacja po wojnie wyglądała zupełnie inaczej niż u was. Działy się tu rzeczy, których nie potraficie sobie wyobrazić. Rzeczy, których sami wciąż nie umiemy zaakceptować. Lecz to, co mówiła Margarethe, wydawało się tak nieprawdopodobne, tak fantastyczne, że uznaliśmy to za wytwór jej wyobraźni, urojenia paranoidalne. Ale w miarę upływu czasu miałem coraz więcej wątpliwości. Niektórzy pacjenci mają bardzo szczegółowe i złożone paranoje, ale ta była zbyt złożona. Moja praca polega między innymi na rozbijaniu paranoidalnych iluzji, wyszukiwaniu niespójności, które mogą pokazać pacjentowi, by korzystając z odpowiednich lekarstw, mógł sam je dostrzec i zrozumieć, że jest to tylko wytwór jego umysłu.

– Ale w opowieści Margarethe nie ma żadnych niespójności.

– Zgadza się. Zacząłem też szukać pewnych informacji na własną rękę. W Instytucie Gaucka w Berlinie. Odkryłem, że wiele nazwisk, które mi podała, to rzeczywiście nazwiska byłych pracowników Stasi. Ale gdy opowiadała mi o tym po raz pierwszy, dopiero zaczęto odtwarzać dokumenty Stasi.

– Więc jeśli mówiła prawdę...

– Nie zmieniało to faktu, że cierpiała na poważne zaburzenia. Ani że zamordowała kilku ludzi. Poza tym przepelniał ją ogromny gniew i pragnienie zemsty, skierowane przede wszystkim ku Georgowi Drescherowi. Widzi pan, panie Fabel, Margarethe twierdzi, że była jedną z trzech młodych kobiet wybranych przez Stasi i szkolonych przez majora Dreschera.

– Szkolonych na kogo?

– Na zabójczynie. Margarethe utrzymuje, że uczono je, jak zabijać ludzi na różne sposoby, jak się ukrywać i prowadzić działalność szpiegowską, a nawet jak uwodzić swoje ofiary. Mówi też, że nadano im specjalny pseudonim. Nazywano je Walkiriami.

Wchodząc do centrum koordynacyjnego wydziału zabójstw, Fabel czuł się niczym nieprzygotowany aktor, który lada moment ma stanąć w świetle reflektorów na środku sceny. Podczas każdego śledztwa zdarzały się takie momenty – nagły rozwój sprawy, przełom lub kolejne morderstwo – gdy w powietrzu dało się wyczuć niezwykle napięcie, a wszyscy członkowie zespołu patrzyli na Fabla wyczekująco. Tymczasem nadkomisarz zmagał się z bólem głowy, zmęczeniem i mdłościami, a przede wszystkim z potwornością tego, co przed chwilą usłyszał od psychiatry Margarethe.

Anna wręczyła mu kawę i dwie tabletki kodeiny.

– Wiesz chyba, jaki błąd popełniłeś – powiedziała cicho.

– Na pewno zaraz mi powiesz. – Fabel wrzucił do ust tabletki i popił je gorącą kawą.

– Dokonałeś seksistowskiej oceny – oświadczyła Anna. – I nie wściekaj się, nie mówię wcale, że jesteś seksistą. Ale doszło do tego, bo potraktowałeś ją inaczej ze względu na płeć. Widziałeś, co zrobiła z tym facetem. Gdyby podejrzany był mężczyzną, kazałbyś go przykuć do stołu.

– Będę o tym pamiętał w przyszłości – odparł Fabel, po czym odwrócił się do pozostałych. – Słyszeliście już, że doszło do przełomu w śledztwie. Cóż, prawdę mówiąc, nie wiem, na ile można to nazwać przełomem. Nie żyje kolejny człowiek. Został zakatowany w akcie zemsty. Niewykluczone, że Margarethe Paulus odpowiada również za morderstwa w dzielnicy St. Pauli, a także za śmierć duńskiego policjanta, Jensa Jespersena. – Fabel upił łyk kawy i przysiadł na blacie najbliższego biurka. – W miejscu, w którym zginął Westland, znaleźliśmy jasny włos, prawdopodobnie należący do morderczyni. Zanim przejdziemy

do kolejnych spraw, muszę wam powiedzieć, że kod DNA z włosa nie pasuje do kodu kobiety, którą aresztowaliśmy.

– To nie znaczy jeszcze, że to nie była ona – zauważył Werner. – Być może to jednak nie był włos zabójczyni.

– Być może – zgodził się z nim Fabel. Przerwał na moment, gdy do sali weszli Dirk Hechtner i Henk Herman. – Nie myślałem, że wróciacie tak szybko – powiedział. – Kazałem wam zebrać wszystkie rzeczy podejrzanej.

– Zrobiliśmy to – zapewnił go Hechtner. – Tyle że właściwie nie było czego zabierać. Miała trzy komplety ubrań: eleganckie, biznesowe i sportowe. Znaleźliśmy też coś, co wyglądało jak zestaw narzędzi chirurgicznych, ale oddaliśmy to kryminalistykom. Wygląda na to, że część tych narzędzi zabrała ze sobą do kuchni.

– Co jeszcze znaleźliście? – spytał Fabel.

– Cztery tysiące euro w gotówce – odparł Henk Hermann. – Pistolet...

– Jaki pistolet?

– Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego – przyznał Henk Hermann. – Wygląda trochę jak PPK, ale na pewno nie jest taki stary, a do tego z boku ma wybity napis „Made in Croatia”. Przepuściliśmy to przez komputer i okazało się, że to... – Henk zerknął do notesu – ...PHP MV-9. Został skonstruowany przez Chorwatów na początku lat dziewięćdziesiątych, w czasie wojny. Podobno to rzadkość, poszukiwana przez kolekcjonerów broni. Była tam też jakaś dziwna rękawica z nożem... Skórzany pasek, który zapina się na dłoni i przegubie, z ukrytą metalową płytką, która mieści się w dłoni, i krótkim zakrzywionym ostrzem wystającym z dołu. Przypuszczamy, że to raczej jakiś rodzaj broni, a nie narzędzie.

– Gdzie to teraz jest? – spytał Fabel.

– Oddaliśmy kryminalistykom do badania – wyjaśnił Dirk Hechtner. – Jeśli rzeczywiście używała tego ostrza jako broni, to na pewno znajdą w skórze ślady krwi.

– Dobrze. – Fabel pokiwał głową. – Coś jeszcze?

– Zestaw do makijażu – odpowiedział Dirk. – Było w nim kilka różnych farb do włosów i inne kosmetyki, ale nie takie,

jakich używają kobiety, tylko rzeczy, które służą do zmiany wyglądu. I parę innych drobiazgów... Musieliśmy trochę pogłównkować, żeby się domyślić, do czego służą. Na przykład wkładki do policzków, które zmieniają kształt twarzy, tego rodzaju rzeczy. Aha, znaleźliśmy też dokumenty, które potwierdzają jej tożsamość jako Ute Cranz.

– Chwileczkę – wtrąciła Anna. – Margarethe Paulus była wariatką, która uciekła ze szpitala, gdzie spędziła ostatnie piętnaście lat. Skąd, u diabła, wzięła wszystkie te rzeczy?

– Słuszna uwaga – zauważył Fabel. – Wygląda na to, że pomagał jej ktoś z zewnątrz. I nie był to amator. Wróćmy na razie do tego, co wiemy. Ofiarą jest niejaki Robert Gerdes, tyle że prawdopodobnie jednak nim nie jest. Możemy założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że to Georg Drescher, były major wywiadu zagranicznego Stasi. Dowiedzieliśmy się do tej pory, że Drescher był bezpośrednim przełożonym trzech doskonale wyszkolonych agentek, profesjonalnych zabójczyń. Wygląda na to, że Drescher z otwartymi rękami powitał gospodarkę wolnorynkową i założył swój biznes, coś w rodzaju Zabójstwa na zlecenie, Drescher & Co., i to tutaj, w naszym wolnym hanzeatyckim mieście. Możemy spokojnie założyć, że Margarethe Paulus, niegdyś protegowana Dreschera, nie pracowała w jego firmie. Głównie dlatego, że jak słusznie zauważyła Anna, przebywała w zamkniętym szpitalu psychiatrycznym w Meklemburgii. – Fabel przerwał na moment i zaczerpnął powietrza. – Z zebranych dotąd informacji wynika, że w Hamburgu działa jeden z najlepszych na świecie płatnych zabójców, kobieta zwana Walkirią. Mamy też byłego oficera Stasi zabitego przez jedną z trzech kobiet, które szkolił. Te polityczne zabójczynie również nazywano Walkiriami. Może, jak na ironię, to Drescher pomagał Margarethe. Załóżmy, że na jego usługach jest jedna Walkiria, może dwie, ale interesy idą coraz lepiej i musi odrzucać niektóre zlecenia. Być może postanowił powiększyć firmę i zatrudnić jeszcze jedną ze swych byłych protegowanych.

– Czy to nie nazbyt nieprawdopodobne? – spytał Werner. – Działalność, o której mówimy, wymaga ogromnej dyscypliny

i precyzji. Chyba nie zatrudniłbyś do niej wariatki.

– Może uważał, że pod jego komendą nie będzie się zachowywać jak wariatka. Że umie nad nią zapanować. Że stworzy jej warunki, w których zdoła normalnie funkcjonować.

– Jasne – parsknęła Anna. – Na pewno tak było. Bo każda kobieta potrzebuje faceta, bez którego będzie niekompletna. – Nim Fabel zdążył zareagować, dodała: – Myślę, że to zbyt karkołomna hipoteza, szefie. Nie popełniłby tak oczywistego błędu. Wystarczy sobie przypomnieć, co z nim zrobiła.

– Ale trzeba też pamiętać o środkach, jakimi dysponowała tuż po ucieczce ze szpitala. Jeśli nie pomagał jej Drescher, kto zapewnił jej to wszystko? – spytał Fabel. Gdy nikt mu nie odpowiedział, westchnął i zadał kolejne pytanie: – Co jeszcze mamy na dzisiaj?

– Pogończyłam Theo Wanglera – odpowiedziała Anna. – I dostałam w końcu zdjęcie fałszywej taksówki z kamery na Reeperbahn. Obawiam się, że niewiele nam pomoże. Powiększyli to maksymalnie, ale rezultaty są marne. Mercedes miał fałszywe rejestracje, a twarz kierowcy jest bardzo niewyraźna. Trudno nawet powiedzieć, czy to kobieta, czy mężczyzna. Trochę bardziej poszczęściło nam się w Hanseviertel. Miałaś rację, Jens Jespersen zjadł tam lunch. W samej restauracji nie ma kamer, ale znaleźliśmy to...

Anna wręczyła Fablowi wydruk zdjęcia z kamery ochrony. Jespersen stał obok szklanej windy w centralnym atrium, w pobliżu restauracji. Towarzyszyła mu kobieta o nastroszonych blond włosach. Kamera uchwyciła tylko część jej twarzy, a powiększony obraz był rozmazany, jednak bez wątplenia Jespersen i nieznajoma kobieta rozmawiali.

– Masz tego więcej? – spytał nadkomisarz.

– Nie. Tylko kilka zdjęć jej pleców, to wszystko. Potem się rozeszli, on poszedł na Neuer Wall, a ona na Poststrasse. Ale to nie znaczy jeszcze, że nie umówili się na później. Dzięki zdjęciom z kamery udało nam się określić jej wzrost: mniej więcej sto siedemdziesiąt trzy, sto siedemdziesiąt cztery centymetry, z uwzględnieniem obcasów.

– Wyślij kogoś do tej restauracji, niech...

– Już to zrobiłam – przerwała mu Anna. – Posłałam człowieka ze zdjęciem Jespersena i kopią tego. – Wskazała głową na wydruk fotografii z kamery ochrony. – Miał wypytać wszystkich, którzy pracowali tamtego dnia. Na razie niczego się nie dowiedział.

– Dobrze. – Fabel skinął głową. – Wracamy do mieszkania Dreschera. Tym razem sprawdzimy wszystkie zakamarki. Jeśli te Walkirie istnieją naprawdę i jeśli odejmiemy od równania Margarethe Paulus, to zostają jeszcze dwie. Co najmniej jedna z nich pracowała dla Dreschera. Teraz zostały bez przywódcy. Wygląda więc na to, że mamy pod nosem dwie doskonale wyszkolone zawodowe zabójczynie. Po śmierci Dreschera zostały same, być może spróbują podjąć jakieś radykalne działania. Nie powiem, żebym był zachwycony taką perspektywą. O co chodzi, Wernerze? – spytał Fabel, dojrzwawszy zamyśloną minę swojego zastępcy.

– Co powiemy prasie o tym morderstwie? – spytał. – Kiedy stamtąd wyszedłem, na zewnątrz nie było dziennikarzy.

– Co masz na myśli?

– Drescher, bo zakładamy, że to rzeczywiście on, był szpiegiem, świetnie wyszkolonym i doświadczonym.

– Więc?

– Więc pewnie kierował tym swoim zabójczym biznesem tak samo, jak kierowałby siatką szpiegowską. Jej członkowie nie wiedzą nic poza tym, co naprawdę konieczne. Łączy ich mocna więź, ale założę się, że jego protegowana nigdy nie była w jego mieszkaniu.

– Rozumiem – ożywiła się nagle Anna. – Więc morderstwo w tym apartamentowcu czy przy tej ulicy nic jej nie powie, chyba że w wiadomościach pojawi się nazwisko Gerdes albo Drescher.

– Właśnie. – Werner pokiwał głową. – Myślę, że Walkiria nie zna nawet nazwiska Gerdes. Jeśli „przeoczmy” tę informację albo trochę zmienimy jej treść, Walkiria nie dowie się o jego śmierci. Jeśli poznamy sposób, w jaki się z nią albo z nimi, kontaktuje, będziemy ją mogli dopaść.

Fabel potarł w zamyśleniu brodę, jakby przypomniał sobie, że

odkąd pojechał na miejsce śmierci Dreschera, nie miał jeszcze czasu się ogolić. Właśnie tak teraz o tym myślał: miejsce śmierci Dreschera.

– Nie jest to zły pomysł – stwierdził. – Pod mieszkaniem nie było Sylvie Achtenhagen, więc dziennikarze pewnie jeszcze o tym nie wiedzą, a już na pewno nie kojarzą tego z zabójstwami z St. Pauli. Porozmawiam z działem rzecznika, spytam, czy nie mogą trochę poczekać z tą informacją... Zgoda, Wernerze, spróbujemy wykorzystać ten pomysł. Teraz musimy się dowiedzieć, jak Drescher kontaktował się z Walkirią. Wracamy do jego mieszkania.

5

Nigdy nie widziałam pani w telewizji – powiedziała staruszka, stawiając na stole tacę z kawą i ciastkami.

– Pracuję w stacji, która nadaje tylko przez satelity – odparła Sylvie z uśmiechem i sięgnęła po filiżankę. Kawa miała karmelowy posmak. Rondo Melange. – Widzę, że nie ma pani anteny satelitarnej. Powinna pani sobie kupić taką antenę. Nie ogląda pani dużo telewizji?

– O tak, telewizor jest włączony przez cały dzień. To moje jedyne towarzystwo, rozumie pani. Pewnie, że chętnie bym sobie kupiła, ale nie stać mnie na to. – Staruszka usiadła naprzeciw. – Kogo właściwie pani szuka?

Sylvie doszła do wniosku, że kobieta wcale nie jest taka stara. Mogła mieć z siedemdziesiąt lat. Lecz jak wiele kobiet w jej wieku nie próbowała już zmagać się z czasem: miała nadwagę i zaniedbane włosy, jej blada skóra wydawała się szorstka, a po prawej stronie twarzy widniał jakiś czerwony wykwit.

– Kiedyś pracowała pani w Stasi, prawda, pani Schnegg? – spytała Sylvie.

– O tak... – Schnegg podniosła rękę, przybierając niewinną minę. – Ale nie miałam nic wspólnego z takimi rzeczami. No wie pani, że szpiegowaniem i tak dalej. Byłam zwykłym urzędnikiem.

– Rozumiem, pani Schnegg. – Sylvie uśmiechnęła się

ponownie. – Oczywiście. Ale pracowała pani w dziale personalnym.

– Tak, emerytury, renty, zasiłki...

– Właśnie. Zastanawiałam się, czy znała pani może kogoś z tych ludzi. – Sylvie położyła listę na stole, obok haftowanych serwet oraz kawy i ciastek.

– Wolałabym się do niczego nie mieszać. Wie pani, co mam na myśli: tutaj ludzie nie wiedzą, że pracowałam w ministerstwie. Wyprowadziłam się z Halberstadt po upadku muru. Mam tu siostrzenicę.

– Rozumiem, pani Schnegg. – Sylvie zamieniła uśmiech na zatroskaną minę. – Ale obiecuję pani, że nikt się nie dowie. Chcę tylko znaleźć tych kilka osób, a nikt nie musi wiedzieć, jak zdobyłam te informacje. Oczywiście, jeśli zdoła mi pani pomóc. Szukam ludzi, którzy pracowali z majorem Drescherem lub pułkownikiem Adebachem.

– Nie znam...

– Moja stacja będzie pani bardzo wdzięczna za pomoc – przerwała jej Sylvie. – Chętnie dostarczymy pani antenę satelitarną z dekodernem. I dołożymy kilka ciekawych pakietów programów.

Pani Schneeg przez chwilę przyglądała się Sylvie z uwagą, po czym powiedziała:

– No dobrze, zobaczymy, co pani ma na tej liście.

6

Siedzieli w salonie mieszkania Dreschera, zniechęceni i sfrustrowani.

– Już przez to przechodziliśmy – powiedziała Karin Vestergaard do Fabla.

– Coś musi tutaj być – odparł nadkomisarz.

– Szukamy w niewłaściwych miejscach – stwierdził Werner.

– Nie jesteśmy dość przebiegli. Takie są skutki wychowania w państwie demokratycznym.

Fabel pstryknął palcami.

– Wernerze, jesteś genialny. Masz całkowitą rację: nie wiemy,

gdzie szukać. Albo jak szukać. – Sięgnął po portfel i wyjął z niego wizytówkę, którą dała mu Martina Schilmann. Odwrócił ją, spojrział na wypisany długopisem numer komórki i wybrał go na swoim telefonie.

– Martino... Mówi Jan Fabel.

– Cześć, Janie. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chodzi o Lorenza, twojego kumpla z Saksonii. Mówiłaś, że pracował w Volkspolizei.

– Tak, i co z tego?

– Czy służył też w policji po upadku muru? W którejś z nowych formacji?

– Nie – odparła Martina podejrzliwym tonem. – O co ci właściwie chodzi?

– Dlaczego zakończył karierę?

– Janie... – Schilmann westchnęła ciężko. – Dobrze wiem, do czego zmierzasz. Zaoszczędzę ci czasu. Tak, współpracował ze Stasi. Dlatego musiał odejść z policji. Dlaczego cię to interesuje?

– Mam tu mieszkanie, które nie chce nam ujawnić swoich tajemnic. Należało do byłego oficera Stasi. Nie mam pojęcia, gdzie szukać tych sekretów.

W słuchawce zapadła na moment cisza.

– Podaj mi adres – powiedziała w końcu Martina. – Sama go tam przywiozę.

Martina Schilmann dotarła na miejsce w ciągu pół godziny. Wcześniej Fabel zdjął z ulicy wszystkich mundurowych, by nie przyciągać uwagi mediów. W epoce telefonów komórkowych, które umożliwiały robienie zdjęć i kręcenie filmów, w każdej chwili ktoś mógł przekazać dziennikarzom informację o dziwnym zamieszaniu na ulicy. Miasto wstało już po nocy, więc obecność sił policyjnych na pewno wzbudziłaby podejrzenia.

Fabel polecił ukrytym na klatce schodowej mundurowym, by skierowali Schilmann i Lorenza Dühninga prosto do penthouse'a.

Fabel domyślił się, że Martina zrobiła sobie tego dnia wolne: była ubrana w dzinsy, gruby sweter i skórzany płaszcz

siegający ud. Włosy ściągnęła w zwykły kucyk, nie umalowała się. Wyglądała dzięki temu młodziej i naturalniej, co przypomniało Fabelowi, dlaczego niegdyś tak bardzo go zauroczyła. Martina uśmiechnęła się nieśmiało, jakby czytając w jego myślach.

Tuż za nią do mieszkania wszedł Lorenz, wysoki, muskularny i ponury.

– To jest *Politidirektør* Karin Vestergaard z duńskiej policji – wyjaśnił Fabel po angielsku. – Wspólnie pracujemy nad tą sprawą.

Kobiety uściśniły sobie dłonie. Fabel miał wrażenie, że spoglądają na siebie z niechęcią. Dynamika kobiecych relacji pozostawała dla niego niezgłębioną tajemnicą.

– Niestety, Lorenz nie zna angielskiego – powiedziała Martina. – Biedak musiał się uczyć w szkole rosyjskiego.

Fabel odwrócił się do Vestergaard.

– Lorenz był policjantem w NRD. Pracował w Volkspolizei. Nie pozwolono mu wrócić do pracy po zjednoczeniu, bo do nowej policji przyjmowano tylko tych funkcjonariuszy, którzy nie mieli żadnych związków ze Stasi.

– Pracował w Stasi?

– Powiedzmy, że im trochę pomagał – wtrąciła Martina. – I przechodził u nich szkolenia, na co właśnie liczy Jan. A skoro już o tym mowa, Janie, to nie wiedziałam, czym zajmował się wcześniej Lorenz. Podejrzewałam, że nieoficjalnie współpracował ze Stasi, ale prawdę mówiąc, takie umiejętności bardzo się przydają w naszej pracy. Spytałam go po drodze, czy brał udział w przeszukaniach prywatnych mieszkań, a on nie zaprzeczył.

– Pani Schilmann powiedziała mi, że mieszkał tu były oficer Stasi – odezwał się Lorenz po niemiecku.

– Zgadza się – potwierdził Fabel. – Major wywiadu zagranicznego.

– HVA? – Lorenz potarł brodę w zamyśleniu. – Ci faceci znali się na swojej robocie, wiedzieli, jak dobrze ukryć ważne rzeczy. Jesteście pewni, że coś tu schował? Jeśli miał jakieś poufne materiały, mógł je trzymać w innym miejscu.

– Możliwe – zgodził się Fabel. – Ale stawiałbym raczej na ten apartament.

– No tak, na pewno czuł się tu bezpieczny. – Lorenz skinął głową. – W końcu to nie NRD. Nie przypuszczał pewnie, że ktoś będzie miał kiedykolwiek okazję przeszukać jego mieszkanie. – Umilkł na moment i spojrzał na półki wypełnione książkami. – Pójdzie szybciej, jeśli nie będę musiał po sobie sprzątać, mam nadzieję, że to nie problem?

– Rób, co musisz – odparł Fabel.

Lorenz uwinął się w niecałe pół godziny.

– Tak jak myślałem – powiedział swoim głębokim barytonem, wchodząc do salonu. – Czuł się tu bezpieczny. Pomyślałem, że jeśli rzeczywiście urządził sobie tutaj bazę, to nie ma potrzeby przesuwania ciężkich mebli, regałów i tak dalej. Na pewno chował wszystkie tajne materiały w łatwo dostępnym miejscu.

– Nauczyłeś się tego od Stasi? – spytała Martina.

– Uczono nas, że dziennikarze i pisarze trzymają rękopisy, maszyny do pisania i tak dalej pod ręką. Co innego znani dysydenci i agenci zagranicznych wywiadów. Dlatego myślałem, że skoro facet jest z HVA, to możemy mieć problem. Ale sprawa okazała się banalnie prosta.

Lorenz zaprowadził ich do gabinetu. Podniósł brązową figurkę ptaka w stylu art déco i przekręcił drewnianą podstawę, odsłaniając niewielki schowek, w którym krył się mały stalowy przedmiot w kształcie haczyka. Lorenz wziął go do ręki i pochylił się pod biurkiem. Wsunął haczyk do szczeliny, która wyglądała jak zwykły, niepozorny odprysk w podłodze, przekręcił i podniósł kawałek deski. Cała ta operacja trwała niecałe piętnaście sekund.

– To coś w rodzaju ukrytej szuflady – wyjaśnił Lorenz. – Bezpieczne, a przy tym łatwo dostępne. Nie dotykałem niczego, co leży w środku.

Fabel nałożył lateksowe rękawiczki i uklękł przy schowku.

– Co my tu mamy... Czarny laptop z zasilaczem. Kilka

pendrive'ów. Nic poza tym. Żadnych notesów ani dokumentów. Tylko to... – Wyjął ze schowka zgięte wpół czasopismo.

– Nie mów, że chował tu pornosy – parsknął Werner.

– Wernerze, zejźdź piętro niżej i poproś Holgera Braunera albo Astrid Bremer, żeby przynieśli tu duże worki na dowody. – Fabel rozłożył czasopismo i pokazał Karin Vestergaard oraz Martinie Schilmann jego tytuł. – Mogę się mylić, ale nie wydaje mi się, żeby Drescher był typowym feministą.

– „Muliebritas” – przeczytała głośno Vestergaard.

– To feministyczna gazeta – wyjaśnił Fabel. – Słowo *muliebritas* pochodzi z łaciny, znaczy tyle samo co *muliebrity* po angielsku. Kobiecość, ale o dość specyficznym zabarwieniu, innym niż w słowie *feminity*. W niemieckim użylibyśmy słowa *Fraulichkeit*. Przypuszczam, że w duńskim też jest coś podobnego.

– *Kvindelighed* – odparła Vestergaard.

Fabel spojrział ponownie na czasopismo.

– Powiem wam, co jeszcze kojarzy mi się z tym słowem: idealna synchronia, zgranie w czasie. Tej samej nocy, której zginął Jake Westland, na Herbertstrasse odbywał się protest feministek, który narobił ogromnego zamieszania. Protest zorganizowała właśnie Muliebritas.

Do gabinetu wrócił Werner z workami na dowody. Fabel wsunął czasopismo do jednego z nich i podał je Vestergaard. Następnie wyjął ze skrytki komputer z zasilaczem i umieścił go w drugiej torbie. Do trzeciej włożył pendrive'y.

Potem podniósł się z kolan i zwrócił do Vestergaard i Martiny.

– Oddamy to do działu technicznego, może uda im się dostać do komputera. Przypuszczam, że wszystko jest zakodowane, ale nasi technicy powinni dać sobie z tym radę. Bóg jeden wie, ilu już przyskrzyniliśmy pedofilów, którym wydawało się, że mają świetnie zabezpieczone dane.

– Pedofil to jedno – odezwała się Astrid Bremer, która weszła z Wernerem do gabinetu – a zawodowy szpieg to co innego. Bo mamy tu do czynienia właśnie ze szpiegiem, prawda?

– Na to wygląda. – Fabel skinął głową. – Ale ze szpiegiem,

który zrobił karierę w czasach przed rewolucją cyfrową. Być może na tym akurat nie znał się najlepiej. A jak wam idzie na dole?

– Trochę to potrwa. Może nawet kilka dni. Ale Holger powiedział, że poradzi sobie beze mnie, jeśli mogę ci w czymś pomóc.

– Nie możesz, a musisz – odparł Fabel. – Aresztowaliśmy jedną morderczynię, ale na wolności pozostaje jeszcze jedna, może dwie. Wiemy, że kontaktowała się z Drescherem. Potrzebuję jakichś wskazówek, informacji, które wskażą nam kierunek poszukiwań.

– Myślisz, że bywała w tym mieszkaniu?

– Nie. Raczej nie. Ale jeśli znajdziecie tu ślady kogokolwiek poza ofiarą, poinformujcie mnie o tym. Dajcie mi też znać, jeśli natkniecie się na cokolwiek podejrzanego. A na razie możecie zacząć od tego. – Fabel wskazał głową na egzemplarz „Muliebritas”. – To nie pasuje do tego miejsca. Być może należało do osoby, której szukamy. Niewykluczone też, że przekazywali sobie w ten sposób jakieś wiadomości. Chcę, żebyście to sprawdzili, zanim zagonimy do pracy kryptologów.

– Zaraz się tym zajmę – zapewniła Fabla Astrid, uśmiechając się do niego szeroko.

Po powrocie do Presidium Fabel zadzwonił do van Heidena z prośbą o zatwierdzenie nadgodzin dla jego zespołu i kilku innych osób, które musiał wciągnąć do sprawy. Van Heiden natychmiast się zgodził, co nieco zdziwiło Fabla, gdyż zwykle jego zwierzchnik bardzo niechętnie przydzielał mu dodatkowe środki, jakby musiał płacić za nie ze swojej kieszeni. Jednak w tym wypadku śledztwo zataczało coraz szersze kręgi, obejmowało śmierć Jespersena, morderstwa w St. Pauli i brutalne zabójstwo Dreschera. Sprawa robiła się coraz bardziej skomplikowana i upolityczniona, przyciągała coraz większą uwagę mediów. Van Heiden nie radził sobie dobrze w takich sytuacjach. Fabel przypuszczał, że zależy mu na tym, by jak najszybciej się z tym uporać.

– Jesteś pewien, że wszystkie te morderstwa są ze sobą powiązane? – spytał van Heiden.

– Niemal całkiem – odparł Fabel. Gestem zaprosił Karen Vestergaard, która weszła właśnie do jego biura, by usiadła na którymś z wolnych krzeseł. – Możemy spokojnie założyć, że ten enerdowski oddział zabójczyń zwanych Walkiriami od jakiegoś czasu prowadzi działalność na terenie Hamburga. Kierował nim Drescher, który teraz zginął z rąk jednej ze swoich uczennic.

– Nie rozpoznał jej? – zdziwił się van Heiden.

– Przypuszczam, że odrzucili ją ze względu na problemy ze zdrowiem psychicznym i to dawno temu. Drescher przestał się nią interesować i pewnie o niej zapomniał.

– Rozumiem – odparł van Heiden. – Informuj mnie o wszystkim. Ja muszę informować innych.

– Oczywiście.

Fabel odłożył słuchawkę i odwrócił się do Vestergaard. Zauważył, że znów zrobiła z makijażem coś, co odmieniło nieco jej wygląd. Po raz kolejny zwrócił uwagę na fakt, że jej twarz jest niezwykle piękna, lecz trudno zachować ją w pamięci. Może była to cecha, którą dzieliła z Margarethe Paulus. Niewykluczone, że jednym z kryteriów wyboru Walkirii był ich wygląd: atrakcyjny, lecz nie zapadający w pamięć. Być może właśnie dlatego Drescher nie rozpoznał swojej byłej podopiecznej.

– Mówiłaś, że dostałaś od swoich norweskich kolegów nowe informacje o Halvorsenie – powiedział.

– Tak, norweska policja przekazuje wszystkie informacje do mojego biura – Vestergaard pochyliła się do przodu i położyła kartkę na biurku Fabla. – Ten człowiek, Ralf Sparwald, kontaktował się regularnie z Jørgenem Halvorsenem. Podobno Halvorsen przylatywał co jakiś czas do Hamburga, żeby z nim porozmawiać.

– Kim on jest? – spytał Fabel, spoglądając na zdjęcie i zapisany pod nim adres.

– To jakiś naukowiec. Norweska policja znalazła jego nazwisko i dane w poczcie elektronicznej Halvorsena. Mieli dostęp tylko do skrzynki odbiorczej, do nieodebranych maili. Z adresu tego faceta przyszła automatyczna odpowiedź, że nie

ma go w biurze. Norwegowie wiedzą, że jestem w Hamburgu i że może to mieć jakiś związek z naszą sprawą, więc przesłali mi te dane.

Fabel spojrzął na zegarek. Większość dnia poświęcił sprawie Dreschera i spotkaniom ze swoim zespołem. Dochodziła osiemnasta trzydzieści.

– No dobrze, więc uważasz, że powinienem porozmawiać z tym Sparwaldem? Będziemy musieli odłożyć to do jutra.

– Nie, myślę, że oboje powinniśmy z nim porozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko.

Fabel wzruszył ramionami.

– Możesz być obecna przy tej rozmowie, ale nie zapominaj, proszę, kto prowadzi to śledztwo.

– Myślę, że nie pozwolisz mi o tym zapomnieć – odparła Vestergaard z uśmiechem.

Adres Sparwalda, który Vestergaard podała Fablowi, znajdował się na północy miasta, w Poppenbüttel, w dzielnicy Wandsbeck. Dzielnica ta była niegdyś częścią Szlezwiку-Holsztynu i została włączona do Hamburga w tym samym czasie co Altona. Nawet teraz rozciągnięty wzdłuż brzegów rzeki Alster Poppenbüttel przypominał raczej wioskę niż przedmieścia metropolii.

Gdy tylko Fabel i Vestergaard dotarli pod wskazany adres, domyślili się, że dotyczy on miejsca pracy Sparwalda, a nie jego mieszkania. Siedziba firmy SkK BioTech mieściła się w niepozornym, niskim budynku, znajdującym się pośrodku rozległego, starannie rozplanowanego ogrodu. Posesję otaczał szpaler nagich drzew. W ogrodzie stało również pięć masztów, na których powiewały kolorowe flagi: logo SkK BioTech, flaga Unii Europejskiej, flagi Niemiec i Danii oraz jakieś nieznane Fablowi barwy.

– Chyba wiedzieli, że się do nich wybierasz – powiedział Fabel do Vestergaard, wskazując na flagę Danii. Spojrzął ponownie na sąsiednią chorągiew. Z pewnością nie był to symbol żadnego ze znanych mu państw: białe pole z czerwonym krzyżem o rozszerzających się ramionach.

Musieli chwilę poczekać, nim niska przysadzista

recepjonistka wyszła do nich z biura na zapleczu. Sądząc po jej reakcji, w firmie SkK BioTech rzadko pojawiali się goście, szczególnie niezapowiedziani. Fabel pokazał jej swoją odznakę.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem Sparwaldem, jeśli jest w pracy.

– Panem doktorem Sparwaldem – poprawiła ich recepjonistka. Przez chwilę wodziła wzrokiem od Fabla do Vestergaard i z powrotem. Zachowywała się dość nerwowo, w sposób typowy dla ludzi, którzy rzadko mają do czynienia z policją i obawiają się, że zostaną oskarżeni o występki, których nie popełnili. – Obawiam się, że to niemożliwe. Doktor jest na urlopie. Jeszcze przez dwa tygodnie.

– Rozumiem... – Fabel zastanawiał się przez chwilę. – Co tu właściwie robicie?

– Pracuję w sekretariacie. Zajmuję się korespondencją i odbieram telefony.

– Nie to miałem na myśli – roześmiał się Fabel. – Pytałem, czym zajmuje się firma SkK BioTech.

– Och... – Pełna twarz recepjonistki pokryła się rumieńcem.

– Pracujemy dla medycznych firm badawczych. Doktor Lüttig mógłby państwu powiedzieć coś więcej. Mam go wezwać?

– Jeśli to nie kłopot. – Fabel skinął głową.

Nadkomisarz i Vestergaard wymienili porozumiewawcze uśmiechy, gdy recepjonistka przeszła do innego pomieszczenia. Wróciła po chwili z wysokim, chudym i pośpym mężczyzną około pięćdziesiątki. Miał na sobie biały fartuch laboratoryjny, ale zdaniem Fabla wyglądał jak luterański kaznodzieja z jakiejś odległej fryzyskiej wyspy.

– Jestem Thomas Lüttig. Zdaje się, że szukają państwo mojego współpracownika, Ralfa Sparwalda. Ma jakieś problemy?

Fabel ponownie pokazał swoją odznakę.

– Główny nadkomisarz Jan Fabel z wydziału zabójstw policji Hamburga. To jest *Politidirektør* Karin Vestergaard z duńskiej policji.

– Z wydziału zabójstw? – Choć wydawało się to niemożliwe, Lüttig jeszcze bardziej sposepniał. – Co to ma wspólnego...

Fabel podniósł rękę.

– Proszę się nie obawiać, ta sprawa nie dotyczy bezpośrednio pańskiego kolegi. Pomagamy norweskiej policji i zbieramy pewne informacje. Doktor Sparwald jest na urlopie, tak?

– Tak. Wróci dopiero... chwileczkę, nie ma go od tygodnia, więc wróci dopiero za dwa i pół tygodnia – odparł Lüttig.

– Zrobił sobie długie wakacje.

– Owszem. Musiały być długie, bo wybierał się do Chin. Kiedy człowiek wyprawia się tak daleko, to nie opłaca mu się wracać już po kilku dniach. Choć prawdę mówiąc, bardzo by mi się tu przydał... Doktor Sparwald jest moim zastępcą, a także głównym analitykiem.

Fabel odwrócił się do Vestergaard i zaczął tłumaczyć na angielski wszystko, co powiedział mu Lüttig.

– Studiowałem między innymi w Cambridge – wszedł mu w słowo naukowiec. – Mogę mówić po angielsku, jeśli to ułatwi sprawę.

– Dziękuję – odparła Vestergaard z uśmiechem. – Nie mógł pan zatrudnić kogoś na jego miejsce? Podróż do Chin wymaga sporych przygotowań, na pewno wiedział pan o niej znacznie wcześniej.

– Sęk w tym, że nie wiedziałem. Ralf kompletnie mnie zaskoczył tym pomysłem. Taki już jest; działa bardzo aktywnie na rzecz ochrony środowiska. Dlatego zatrudnił się właśnie tutaj; grupa, dla której pracujemy, zajmuje się przede wszystkim oczyszczaniem środowiska naturalnego. Ale nawet gdyby powiedział mi znacznie wcześniej o tym wyjeździe, prawdopodobnie i tak nie znalazłbym nikogo, kto mógłby go zastąpić. A przynajmniej nikogo, kto mógłby dorównać mu umiejętnościami.

– Może pan nam powiedzieć, co tu właściwie robicie?

– Zasadniczo prowadzimy laboratorium analityczne – wyjaśnił Lüttig. – Jesteśmy firmą zależną, należymy do grupy zajmującej się środowiskiem i biotechnologią. Wykonujemy dla nich wszystkie prace analityczne. Toksykologię. Badamy różne materiały, od próbek gleby po ludzką tkankę. Specjalizujemy się w ocenie wpływów środowiska na ludzkie zdrowie

i określaniu zagrożeń, jakie niosą różnego rodzaju zanieczyszczenia.

– Rozumiem. – Fabel kiwnął głową. – Wie pan może, do której części Chin wyjechał doktor Sparwald?

– Niestety, nie wiem.

– Czy podróżuje sam? – spytała Vestergaard.

– Nie mam pewności, ale wspominał coś o znajomym z Norwegii.

Fabel i Vestergaard wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Powiedzieliście przed chwilą, że pomagacie norweskiej policji, prawda? – spytał Lüttig, marszcząc brwi. – Czy Ralfowi coś grozi?

– Nie, nie – zapewnił go Fabel. – Chcieliśmy się z nim spotkać, bo być może ma pewne informacje, na których nam zależy. Zna pan może nazwisko tego Norwega?

– Nie. Ralf wspomniał tylko mimochodem, że być może pojedzie tam z jakimś znajomym. Czy Ralf na pewno jest bezpieczny? Wiem, że Chińczycy nie przepadają za obrońcami środowiska, szczególnie z zagranicy.

– Ma pan numer telefonu komórkowego doktora Sparwalda? – spytała Vestergaard. – Może uda nam się z nim skontaktować tą drogą.

– Oczywiście. – Lüttig skinął głową. – Zaraz państwu podam.

– Powiedział pan, że wasza firma należy do większej grupy – odezwał się ponownie Fabel. – Czy to może NeuHansa?

– Zgadza się.

Fabel wręczył naukowcowi swoją wizytówkę.

– Jeśli doktor Sparwald skontaktuje się z panem, proszę mu przekazać, że chcielibyśmy z nim jak najszybciej porozmawiać. I jeśli trafi pan na coś, co pana zdaniem może nas zainteresować, proszę do mnie zadzwonić.

– Oczywiście. – Lüttig odwrócił się do Vestergaard. – Zaraz podam państwu numer Ralfa i jego adres domowy.

– Skąd wiedziałeś, że SkK BioTech należy do grupy NeuHansa? – spytała Fabela Vestergaard, gdy wracali do samochodu.

– Stąd. – Wskazał głową na flagi powiewające przed

budynkiem. – Ten mały czerwony krzyż. Po niemiecku nazywamy go *Tatzenkreuz*. Wiesz, w takim samym kształcie jak krzyże na niemieckich pojazdach wojskowych. Ten ma tylko trochę węższe ramiona i jest czerwony, a nie czarny. To krzyż hanzeatycki. Przypuszczam, że ta flaga to coś w rodzaju korporacyjnego logo. Kiedy zobaczyłem ten symbol i flagę Danii, pomyślałem o Ginie Brønsted, właścicielce grupy NeuHansa.

– Myślisz, że to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem, ale to kolejny zbieg okoliczności. Ostatnia ofiara Anioła z St. Pauli także pracowała w firmie należącej do grupy NeuHansa. Ale to nic nadzwyczajnego. Wielu ludzi tam pracuje.

– Tak, zbiegi okoliczności to ciekawa rzecz. – Vestergaard westchnęła. – Ale jakoś w nie wierzę.

Kiedy mieli już wsiąść do samochodu Fabela, podała mu karteczkę z adresem Sparwalda, którą dał jej Lüttig.

– Ja też w nie wierzę – odparł Fabel.

Kiedy wrócili z SkK BioTech, Fabel znalazł na swoim biurku grubą szarą kopertę. Wziął ją do ręki i zamierzał właśnie rozerwać, gdy do pokoju wszedł Werner. Karin Vestergaard przeprosiła obu mężczyzn i wyszła z pokoju, zostawiając ich samych.

– Nie odstępuję cię ani na krok – stwierdził Werner. – Nie działa ci to na nerwy?

– Prawdę mówiąc, nie. Też patrzyłbym jej na ręce, gdybyś zginął w Kopenhadze, a ja próbowałbym się dowiedzieć, co się właściwie stało.

– Cóż mogę powiedzieć w takiej chwili? – Werner uśmiechnął się szelmowsko. – Jestem wzruszony. – Wskazał głową na kopertę. – Dostaliśmy to pół godziny temu, odłożyłem od razu na twoje biurko. W środku są informacje o interesach Westlanda, korespondencja i tak dalej. Przysłała je wdowa po Westlandzie, tak jak ją o to prosiłem.

– Dzięki. Przejrzę to później. Coś jeszcze?

– Właściwie to tak. – Werner otworzył drzwi i zawołał Dirka Hechtnera, który przyniósł przezroczysty worek na dowody i położył go na biurku Fabla. W worku znajdowało się zakrzywione ostrze przymocowane do czegoś w rodzaju skórzanej rękawicy bez palców.

– Robi się coraz ciekawiej – powiedział Dirk. – To jeden z przedmiotów, które znaleźliśmy w mieszkaniu Margarethe Paulus. Pobraliśmy próbki krwi ze skóry... niestety, było tego zbyt mało, żeby odczytać DNA. Znaleźliśmy też plamę krwi na ostrzu i udało nam się odczytać kod, to znaczy udało się to Astrid Bremer, ale nie pasował do DNA ofiary.

– Jakiej ofiary? – zdumiał się Fabel. – Chyba nie myślisz, że Margarethe zabiła tym Dreschera?

– Nie, nie Dreschera. Pogrzebałem trochę w internecie... próbowałem się dowiedzieć, co to właściwie jest. I już wiem. Nazywa się to *srbosjek*. Pomyślałem, że może taką właśnie bronią zabito Gorana Vujaćicia w Kopenhadze. No wiesz, tego serbskiego gangstera.

– Vujaćicia? – Nadkomisarz zmarszczył brwi. – Dlaczego skojarzyłeś to właśnie z Vujaćiciem?

Hechtner wskazał głową na przedmiot zamknięty w foliowej torbie.

– To wyjątkowo okropne narzędzie, które służyło tylko do jednego celu: zabijania. Zostało zaprojektowane dla Ustaszów, chorwackich faszystów, którzy rządili Chorwacją w czasie drugiej wojny światowej. Chcieli stworzyć kraj czysty etnicznie, wolny od Serbów, Cyganów, Żydów... Założyli własny obóz koncentracyjny, Jasenovac, w którym zamordowali kilkaset tysięcy osób. Robili to wszystko własnoręcznie: bili ich pałkami, kłuli nożami, rąbali siekierami. Wszystko to było bardzo pracochłonne, więc wymyślili *srbosjek*. Używali go do podrzynania gardeł szybko i bez wysiłku. Dlatego właśnie skojarzyłem je z Vujaćiciem: *srbosjek* to chorwackie słowo, można je dosłownie przetłumaczyć jako *Serbosiek*, zarzynacz Serbów. Pomyślałem, że ktoś uznał to za świetny żart.

– Może raczej próbował nam coś powiedzieć. – Fabel podniósł torebkę foliową. *Srbosjek* budził jak najgorsze

skojarzenia, nawet jeśli nie znało się jego historii. – Ale Vujačić na pewno nie zginął od takiej broni. Zabójca nie poderżnął mu gardła, używał cienkiego i długiego ostrza, które wbił mu pod mostek i uszkodził serce. Ale dobrze się sprawiłeś, Dirk. Może coś się za tym kryje.

Fabel spotkał się z Susanne na lunchu w stołówce Presidium. Wcześniej przez godzinę rozmawiała telefonicznie z doktorem Köpkem, głównym psychiatrą ze szpitala w Meklemburgii. Karin Vestergaard zadzwoniła do Fabela i powiedziała mu, że musi zająć się kilkoma sprawami, których nie mogą załatwić jej zastępcy w Kopenhadze. Nadkomisarz miał wrażenie, że nie była z nim całkiem szczerą, nie przejmował się tym jednak: Vestergaard dobrze wiedziała, że jeśli będzie przed nim coś ukrywać, odsunie ją od śledztwa w sprawie śmierci Jespersena.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważył Fabel, gdy wzięli tace i ustawili się w kolejce. Susanne trzymała pod pachą gruby oprawiony w skórę notes, z którego wystawała cała masa małych żółtych karteczek. Dostrzegł też, że Susanne powkładała między kartki notesu większe, złożone na pół arkusze.

– Musiałam się sporo nasłuchać – odparła ze znużeniem. – Rozmawiałeś z Köpkem, prawda?

– Tak, miałem tę przyjemność – przytaknął Fabel z cierpkim uśmiechem.

– Nikt tak do mnie nie mówił, odkąd byłam na pierwszym roku studiów. – Susanne westchnęła. Odwróciła się na moment, by złożyć zamówienie. – Nie jest szczególnie cierpliwą, co? Prawdę mówiąc, jak na psychiatrę wydaje się mało życzliwy.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że jest dupkiem, to chętnie zgodzę się z twoją fachową opinią – odparł Fabel. – Wydawało mi się, że wy, południowcy, nazywacie rzeczy po imieniu.

– Aklimatyzuję się. Jeszcze rok lub dwa, a będę chować te wszystkie emocje w sobie, aż zaczną mnie zżerać od wewnątrz, jak was. Tak czy inaczej, musiałam robić mnóstwo notatek, kiedy z nim rozmawiałam. Był dobrze przygotowany. Uważa, że my też powinniśmy się dobrze przygotować do przesłuchania

Margarethe Paulus.

– Tutaj akurat muszę się z nim zgodzić.

– Jak tam głowa?

– W porządku, nie było tak źle. Bardziej cierpi moja duma.

– Dlaczego? Bo pokonała cię kobieta?

Znaleźli miejsce przy oknie, z dala od większości zajętych stolików.

– Bo źle to wszystko poprowadziłem. Masz coś ciekawego?

Susanne z hukiem położyła na stole swój notes. Założyła za ucho niesforny kosmyk kruczoczarnych włosów, włożyła okulary i zaczęła przeglądać notatki.

– Jest psychopatką, to pewne. Ale bez względu na to, co działo się wokół niej, nie jest seryjną zabójczynią. Köpke twierdzi, że to na pewno nie ona popełniła pozostałe morderstwa.

– Nieprawda. Uciekła ze szpitala jeszcze przed śmiercią Jake’a Westlanda oraz Armina Lenscha. I Jespersena. Mogła zabić ich wszystkich. Z całą pewnością możemy tylko przyjąć, że to nie ona była Aniołem z lat dziewięćdziesiątych.

– Nie, nie, Köpke ma na myśli co innego. Margarethe rzeczywiście była wtedy na wolności, ale jego zdaniem skupiała się wyłącznie na zabiciu Dreschera. Zabiłaby bez skrupułów i tych pozostałych, ale działała w poczuciu misji. Zabiłaby tylko tych, którzy mogliby jej przeszkodzić w zamordowaniu Dreschera.

– Może dowiedziała się, że Jespersen jest na jego tropie – zasugerował Fabel między kolejnymi kęsami.

– Nie wydaje ci się to mało prawdopodobne? No dobrze, wróćmy do rozmowy z Köpkem. Margarethe jest psychopatką, choć trudno powiedzieć, czy pierwotną, czy wtórną. Psychopaci pierwotni już się tacy rodzą albo są do tego genetycznie predysponowani, wtórni stają się psychopatami z powodu doświadczeń życiowych, wpływu środowiska, zażywania narkotyków i tak dalej. Margarethe bez wątplenia przeżyła traumę neurologiczną w wyniku operacji, którą przeszła jako dziecko. Może u niej to psychopatia jatrogena, niekorzystny skutek uboczny interwencji medycznej. Teraz nie zdołamy już

tego stwierdzić: psychopatia objawia się dopiero w wieku dojrzenia. Wszyscy jako dzieci jesteśmy egocentrykami, to normalne. Jednak większość z nas zaczyna w końcu postrzegać siebie jako istoty społeczne, psychopaci nie. To przerażające, ale na każdym stu ludzi jest co najmniej jeden psychopata.

– Żartujesz...

– Niestety, nie. Jeszcze więcej balansuje na granicy. Każdy z nas ma wśród swoich znajomych jakiegoś egocentryka. Męża, który bez wahania porzuca swoją żonę i dzieci, szefa, który bez skrupułów zwalnia lojalnych pracowników... Wielu ludzi, których uważamy za egocentrycznych dupków, to w rzeczywistości psychopaci. Brakuje im jakiegoś elementu osobowości. Większość psychopatów z powodzeniem funkcjonuje w społeczeństwie, nie przejawia nigdy zachowań antyspołecznych ani nie dopuszcza się przestępstw. – Susanne łyknęła kawy. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Irmie Grese? Być może to jest właśnie idealny przykład kogoś, kto mógł prowadzić całkiem normalne życie. Na tym właśnie polega największe zagrożenie ze strony ludzi takich jak Hitler, którzy wykorzystują ten jeden procent populacji. Kiedy masz na swoje rozkazy ludzi, którzy nie są zdolni do odczuwania winy czy skruchy, którzy nie mają pojęcia, co to współczucie, litość czy empatia, możesz namówić ich niemal do wszystkiego.

– I Margarethe jest jednym z takich ludzi?

– Nie do końca. U niej nic nie jest jednoznaczne. Köpke mówi, że jest prawdziwą socjopatką, ale co zadziwiające cierpi raczej na dysocjalne, a nie antysocjalne zaburzenia osobowości.

– A jaka to różnica? – zdziwił się Fabel.

– Głównie taka, że Margarethe może funkcjonować w miarę normalnie, przynajmniej na pozór. Psychopaci dysocjalni nie sprawiają tylu kłopotów co typ antysocjalny, rzadziej wchodzi w konflikt z prawem, nie zachowują się równie agresywnie i tak dalej. Lepiej też ukrywają swoją przypadłość. Margarethe nie będzie szukać okazji do konfrontacji ze zwykłymi członkami społeczeństwa, ale i nie zawaha się przed niczym, by osiągnąć wyznaczony cel. Chodzi głównie o to, że nie jest zdolna do

empatii, nie jest w stanie wyobrazić sobie, że inni ludzie mają uczucia, a nawet taki sam rodzaj świadomości jak ona.

– Idealny kandydat na zawodowego zabójcę – mruknął Fabel.

– Niezupełnie. Jak sam się przekonałeś, osoba cierpiąca na typowe dyssocjalne zaburzenia osobowości bez wahania ucieka się do aktów przemocy. To samo zresztą dotyczy psychopatów antysocjalnych. Jeśli wszystko, co mówiła o Stasi, jest prawdą, a musisz pamiętać, że socjopaci to pomysłowi i niepoprawni kłamcy, to jej nauczyciele bez wątpienia zwrócili uwagę na jej chorobę i wykluczyli ją z programu. Inną cechą takiego zaburzenia jest skłonność do obwiniania o swoje porażki i słabości innych, o czym najdobitniej przekonał się Drescher. Jeśli dodasz do tego skłonność do popadania w obsesje, stworzysz maniaka i prześladowcę z piekła rodem. Köpke uważa, że u Margarethe współwystępują jeszcze zaburzenia schizoafektywne... być może jest to wynik uszkodzenia mózgu, którego doznała w dzieciństwie. Dlatego właśnie jest jeszcze bardziej skupiona na osiągnięciu wyznaczonego celu i łatwiej poddaje się obsesjom. Wierzy, że jej siostra istnieje, a zachowania, które w związku z tym przejawia, rozmowy z nieistniejącą osobą, wcielanie się w nią, nie są już psychopatyczne, lecz psychotyczne. To urojenia. Margarethe to socjopatka, która na dodatek jest chora psychicznie.

Fabel spojrział przez okno na ciężkie szare niebo widoczne nad wierzchołkami drzew.

– Myślisz, że inne Walkirie są podobne? To znaczy, też są socjopatkami?

Susanne wzruszyła ramionami.

– Człowiek, który zabija innych dla pieniędzy, raczej nie grzeszy empatią. Ale socjopaci są egocentryczni, narcystyczni i bardzo impulsywni. Przypuszczam, że kobiety, które szkolono na zawodowe zabójczynie, musiały się charakteryzować niezwykle samodyscypliną, a przy tym były gotowe poddać się woli innych. Co nie oznacza, że są mniej niebezpieczne. Wręcz przeciwnie.

– Nie chcę, żebyś siedziała przy mnie podczas przesłuchania

– powiedział Fabel. – Możesz je oglądać w sąsiednim pokoju.

– To nie miałyby sensu, Janie. Muszę się jej dobrze przyglądać. I chciałabym zadawać jej pytania. Tym razem każesz ją skuć, prawda?

– No dobrze... Ale jeśli znów zacznie się rzucać, natychmiast wyjdiesz. Na wszelki wypadek będzie jej teraz pilnowało trochę więcej osób.

W promiennym uśmiechu Susanne kryła się szelmowska nuta.

– No nie wiem, Janie... Musisz sobie jakoś poradzić z tym strachem przed kobietami, bo inaczej do końca życia będę twoją przyzwoitką.

Fabel, Susanne i Anna Wolff siedzieli w pokoju przesłuchań, gdy wprowadzono do niego Margarethe Paulus. Karin Vestergaard, Werner i inni członkowie wydziału zabójstw oglądali przesłuchanie na monitorze w sąsiednim pokoju.

Kiedy dwaj mundurowi przyprowadzili skutą kajdankami Margarethe, jej silna, atrakcyjna twarz była równie obojętna jak podczas poprzedniego spotkania.

– Usiądź, Margarethe. – Fabel wskazał ręką na krzesło przykręcone do podłogi. Jeden z policjantów zdjął kajdanki aresztowanej tylko po to, by potem ponownie przykuć jej prawą rękę do metalowej obrączki na stole. Obok Margarethe usiadła wysoka, mniej więcej czterdziestoletnia kobieta. Była to Lina Mueller, obrońca z urzędu.

– To jest doktor Eckhardt – powiedział Fabel, wskazując na Susanne. – Z Instytutu Medycyny Sądowej. Jest psychologiem kryminalnym i rozmawiała z doktorem Köpkiem, którego oczywiście znasz. Doktor Eckhardt będzie miała do ciebie kilka pytań. Znasz już panią Mueller, która reprezentuje twoje interesy.

– Nie potrzebuję prawnika – powiedziała Margarethe. Znów było to proste stwierdzenie faktu, pozbawione gniewu czy urazy.

– Uważamy, że w przesłuchaniu powinien brać udział twój obrońca – odpowiedziała jej Anna. – Masz do tego prawo.

Margarethe nie zareagowała na te słowa w żaden sposób.

– Jak się nazywasz? – spytał Fabel.

– Margarethe Paulus.

– Ale wcześniej mówiłaś panu Fablowi, że nazywasz się Ute Paulus – powiedziała Anna.

– Mylicie mnie z moją siostrą – odparła Margarethe. – Ona ma na imię Ute.

– Gdzie jest teraz twoja siostra? – spytała Susanne.

Margarethe spojrzała na małe okno ze zbrojonego szkła.

– Moja siostra odpoczywa. Czeka na mnie.

– Gdzie na ciebie czeka? – spytała ponownie Susanne.

Margarethe milczała, nieporuszona.

– Margarethe – zaczął Fabel, zmieniając taktykę. – Odkąd uciekłaś ze szpitala, w Hamburgu doszło do kilku morderstw. Chciałbym spytać, czy coś o nich wiesz. Rozumiesz mnie?

– Mój współczynnik inteligencji wynosi sto czterdzieści – odparła Margarethe. – Doktor Köpke pewnie wam o tym mówił. Nie potrafisz wymyślić pytania, na które nie potrafiłabym odpowiedzieć.

– W porządku, Margarethe, jestem pod wrażeniem, jeśli to dla ciebie ważne. Zacznijmy od ostatniego morderstwa. Robert Gerdes.

– Wiecie już, że to nie było jego prawdziwe imię ani nazwisko. Nazywał się Georg Drescher. I to nie było morderstwo, tylko egzekucja. Mówiłam wam, kiedy do was zadzwoniłam, że wykonałam egzekucję na Drescherze.

– Więc to ty go torturowałaś i zabiłaś? Nie twoja siostra? – spytała Susanne.

– Obie to zrobiłyśmy. Ute go wysłedziła. Dotrzymała obietnicy. Obiecała mi, że wszystko naprawi, i zrobiła to. Ale kiedy umierał, działaliśmy razem. Byłyśmy jednym.

– Dlaczego go torturowałaś? – pytała dalej Susanne. – Zadałaś mu tyle strasznego bólu. Czym sobie na to zasłużył?

Margarethe milczała. Fabel powtórzył pytanie Susanne, ale Margarethe zachowywała się tak, jakby go nie słyszała. Nadkomisarz prowadził przesłuchania od lat, znał już różne rodzaje milczenia. Potrafił je odczytywać, interpretować.

Czasami milczenie podejrzanego mówiło więcej niż jakiegokolwiek słowa. Tym razem było inaczej. Margarethe po prostu nie przyjmowała do wiadomości jego pytań, nie dopuszczała ich do siebie. Wiedział z całą pewnością, że odpowie tylko na te, które uzna za stosowne. Miał tylko nadzieję, że wyciągnie z niej dość informacji, by ułożyć ostateczne wydarzenia w jakąś sensowną całość.

– Tydzień temu w dzielnicy Kiez zamordowano młodego mężczyznę, niejakiego Armina Lenscha – przemówił po chwili Fabel. – Ktoś rozplątał mu brzuch. Co możesz mi o tym powiedzieć?

– Nic. Nie miałam z tym nic wspólnego. Ja go nie zabiłam. – Przerazająco obojętny wyraz twarzy Margarethe zdawał się świadczyć o braku jakichkolwiek ukrytych intencji. Emocji. Czegokolwiek.

Fabel położył na stole *srbosjek* zamknięty w foliowej torebce. Trzymał ją mocno w garści, tuż poza zasięgiem Margarethe.

– Czy tym właśnie zabiłaś Armina Lenscha? Tym otworzyłaś mu brzuch?

– Nigdy wcześniej tego nie widziałam – odparła Margerthe, spoglądając na broń bez zainteresowania. – I nie użyłabym tego do rozcięcia brzucha. Tym się podrzyna gardła.

– Skoro tego nie widziałas – mówił Fabel, pochylając się do przodu – to skąd wiesz, jak się tego używa?

– Nigdy nie widziałam twojego samochodu, ale umiałabym go poprowadzić. I wiem, że ten nóż nazywa się *srbosjek*. Używali go chorwaccy Ustasze. Jest bardzo prosty i bardzo skuteczny. Ale nie jest to broń zawodowych zabójców. Służy do szybkiego zabijania wielu ludzi. Choć muszę powiedzieć, że odpowiednio użyty, mógłby się doskonale sprawdzić podczas spotkania.

– Podczas spotkania? – powtórzyła Susanne, unosząc brwi.

– Tak to nazywamy – odparła Margarethe. – Do spotkania dochodzi wtedy, gdy agent zbliża się do celu i wykonuje misję. Czasami nazywamy też spotkaniem sam cel.

Fabel położył na stole drugą torbę foliową na dowody, która zawierała pistolet automatyczny znaleziony przez Dirka

i Henka.

– To twoje? – spytał.

– Nigdy wcześniej tego nie widziałam.

– Znaleźliśmy ten pistolet w twoim mieszkaniu. On też ma związek z Chorwacją.

– Wiem. To chorwacki automat PHP MV-9. Ma około osiemnastu lat. Ten model skonstruowano podczas wojny na Bałkanach.

– Brawo – powiedział Fabel. – Znów jestem pod wrażeniem twojej encyklopedycznej wiedzy na temat broni i technik zabijania. Ale być może wiesz to wszystko dlatego, że broń należała do ciebie. Że trzymałaś ją w pogotowiu, na wypadek gdyby nie udało ci się odurzyć Dreschera.

Margarethe znów odpowiedziała mu jedynie pustym spojrzeniem. Była atrakcyjna. Miała regularne rysy o idealnych proporcjach. Ale w jej spojrzeniu było coś, co przypominało Fablowi zdjęcia Army Grese. Te same oczy, pozbawiona wyrazu twarz. Nie umiał stwierdzić, czy go okłamuje. Pracował w wydziale zabójstw niemal od dwudziestu lat, niemal od dwudziestu lat prowadził tego rodzaju przesłuchania, lecz po raz pierwszy czuł się tak, jakby trafił na zupełnie mu obcy ład, pozbawiony jakichkolwiek punktów orientacyjnych.

– Kogo masz na myśli, mówiąc „my”? – spytała po chwili milczenia Susanne.

– Siebie i moją siostrę. Walkirie.

– Ile było Walkirii? – spytała Anna Wolff. Margarethe przyglądała jej się przez chwilę beznamiętnie, nim odpowiedziała:

– Tylko trzy z nas przeszły do ostatniego etapu szkolenia.

– Ale ty nie skończyłaś tego szkolenia, prawda? – dodał Fabel.

– Wybrano mnie oraz dwie inne dziewczyny. Z dziesiątek innych dziewczyn, najlepszych z najlepszych. Tylko my trzy byłyśmy Walkiriami. To Drescher odsunął mnie od programu.

– I właśnie dlatego go zabiłaś? Dlatego go torturowałaś?

Margarethe uśmiechnęła się lekko. Fabel po raz pierwszy widział uśmiech na jej twarzy, choć właściwie był to tylko

szydlerczy grymas, który nie sięgnął jej patrzących zimno oczu. Pokręciła głową.

– Nie zabiłam go dlatego, że mnie odsunął. Zabiłam go, bo mnie wybrał... bo skazał mnie na takie życie. Moja głowa... – Skrzywiła się, jakby przeniknął ją nagle okropny ból. – Wszystkie te rzeczy w mojej głowie... On je tam wsadził. Teraz nie mogę się ich pozbyć.

– Jakie rzeczy? – spytała Susanne.

– Już wam pokazałam. Widzieliście je wszystkie. W mieszkaniu. Chyba nie mogłam pokazać tego dobitniej. – Na jej twarzy pojawił się na moment grymas zniecierpliwienia, jedna z nielicznych oznak świadczących o tym, że zdolna jest do odczuwania jakichkolwiek emocji. – Nauczył mnie zabijać. Przede wszystkim uczył mnie właśnie tego. On i pozostali. Jak zabijać na różne sposoby. Jak złamać komuś nos i wbić odłamki kości w jego mózg. Albo odciąć dopływ krwi do mózgu jednym uściskiem, pozbawić cel życia w taki sposób, że nawet nie zdąży tego poczuć. Jak uwieść mężczyznę albo kobietę i pieprzyć się z nimi tak, żeby oszaleli na twoim punkcie. Jak oddzielić się od własnego ciała, by móc robić praktycznie wszystko z każdym. Jak śledzić cel, by nie miał o tym pojęcia, jak zwabić go w pułapkę i zabić w mgnieniu oka. Mówili nam, że ze wszystkiego możemy czerpać naukę. Że w każdej wojnie, w każdej zbrodni jest coś, co może nam się przydać. – Wskazała głową na narzędzie zamknięte w foliowej torbie. – Tak dowiedziałam się, do czego służy *srbosjek*. I wiele innych rzeczy. Całe mnóstwo innych rzeczy. A najciekawsze... najgorsze było to, że próbowali nam wmówić, że można się od tego całkiem odciąć i prowadzić między spotkaniami normalne życie.

Fabel milczał przez chwilę, rozparty na swoim krześle, jakby chciał rozdzielić kolejne części przesłuchania, wstawić między nie przecinek.

– Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem twoich umiejętności organizacyjnych. Świetny plan, dopracowany w każdym szczególe. Ale na pewno nie byłeś w stanie zorganizować tego sama w ciągu tych kilku dni, które miałaś do

dyspozycji po ucieczce ze szpitala. Kto ci pomaga, Margarethe?

I znów jedyną odpowiedzią było milczenie i pozbawiona wyrazu mina.

– No dobrze... – Fabel westchnął. – Jens Jespersen. *Politiinspektør* Jens Jespersen z Danii. Jakaś kobieta poderwała go w restauracji w Hanseviertel i umówiła się z nim na wieczór. Potem, kiedy byli razem w łóżku, zabiła go zastrzykiem z chlorku sukcyńlocholin. Dokładnie w taki sam sposób, w jaki ty unieruchomiłaś Dreschera. Opowiedziałas nam przed chwilą, że major Drescher i jego koledzy ze Stasi uczyli was, jak się skutecznie ukrywać, przebierać i uwodzić. Zabójczyni Jespersena korzystała z tych właśnie umiejętności. Pewnie powiesz mi teraz, że nic o tym nie wiesz?

– Nie wiem.

– Nie wierzę ci. – Fabel wbił w Margarethe przenikliwe spojrzenie, które jednak nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia.

– Nie obchodzi mnie to.

– W sąsiednim pokoju siedzi koleżanka Jespersena, która obserwuje to przesłuchanie. Jego przełożona. Jest tutaj, bo *Politiinspektør* Jespersen przyjechał tu w poszukiwaniu Georga Dreschera. Miał też informacje o płatnej zabójczyni, zwanej Walkirią, która mieszka w Hamburgu. Przyznasz chyba, że to dość podejrzany zbieg okoliczności?

Żadnego komentarza, wzruszenia ramion, najmniejszego choćby grymasu.

– Przyjechał tutaj, żeby znaleźć człowieka, na którego polowałaś. On z kolei polował na zabójczynię zwaną Walkirią i został zabity za pomocą tego samego środka, którym oszołomiłaś Dreschera. Zabiłaś Jensa Jespersena, prawda? Utrudniał ci wykonanie twojej misji. Stał się przypadkowym celem. Jak byście to nazwały, nieplanowanym spotkaniem?

Margarethe zignorowała Fabla i odwróciła się do Susanne.

– Jesteś psychologiem kryminalnym?

– Już o tym mówiłam.

– I rozmawiałaś z doktorem Köpkem?

– Tak.

– Więc uważasz, że jestem psychopatką.

– Owszem, uważam, że cierpisz na dyssocjalne zaburzenia osobowości. Ale myślę, że kryje się za tym coś więcej. Jesteś nie tylko psychopatką, ale i psychotykiem. Masz urojenia.

– Naprawdę? Więc wiesz, że trafię do szpitala psychiatrycznego, prawdopodobnie na resztę życia.

– Rzeczywiście, nie sędzę, żebyś kiedykolwiek mogła wrócić do społeczeństwa. Żebyś się kiedykolwiek wyleczyła. Może z psychozy, dzięki odpowiednim lekom. Ale zostaniesz w szpitalu do końca życia.

– Choć nie zgadzam się z tą diagnozą, doktor Eckhardt, przypuszczam, że tak właśnie będzie wyglądała moja przyszłość. Nigdy nie wyjdę na wolność. A skoro jestem psychopatką, to pojęcie odpowiedzialności nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Podobnie jak pojęcie kary. Proszę więc wytłumaczyć nadkomisarzowi Fablowi, że nie mam żadnego powodu, żeby go okłamywać i nie przyznawać się do morderstw, które popełniłam.

– Nie byłbym tego taki pewien – odpowiedział jej Fabel. – Być może nie kłamiesz ze strachu przed karą, ale żeby kogoś ochronić. Może nie pracowałaś sama. Kto wie, czy nie skontaktowałaś się po latach z pozostałymi Walkiriami. To tłumaczyłoby, skąd miałaś wszystkie te pieniądze i środki. Może to jedna z twoich siostr zabiła Jaspersena.

– Może – odparła Margarethe. – Ale nic o tym nie wiem. A nawet gdybym wiedziała, nie jestem im nic winna. Zostawiły mnie. Tylko moja siostra mnie nie opuściła. Obiecała, że wszystko naprawi.

Teraz!, pomyślał Fabel. Po raz pierwszy w czasie przesłuchania dostrzegł jakąś rysę na monolicie, którym była osobowość Margarethe. Maleńką, ledwie widoczną szczelinę, którą może jednak da się poszerzyć.

– Tak, Margarethe – powiedział ze współczuciem. – Opuściły cię. Zdradziły. Zostały prawdziwymi Walkiriami, podczas gdy ty zostałeś odrzuconą, zostawioną samej sobie. Po wszystkich tych okropnościach, tym bólu, tych przerażających rzeczach, które nawkładali ci do głowy. Czy to był właśnie prawdziwy

powód, dla którego zabiłaś Dreschera? Żeby poczuć wreszcie satysfakcję? Masz pojęcie o tym, jakie pieniądze zarabiali na tych spotkaniach? O tak, po upadku muru Drescher i jego dziewczyny przywitani kapitalizm z otwartymi rękami. Zabijali na prywatne zlecenia, zrobili na tym majątek.

– Zabijała... – wtrąciła Margarethe.

– Co takiego?

– Zabijała. Nie zabijali. Georg Drescher miał swoją ulubienicę. Pracuje tylko z jedną kobietą. Druga Walkiria nie ma z tym nic wspólnego. Prowadzi całkiem osobne życie.

W pokoju zapadła na moment pełna napięcia cisza. Fabel czuł, jak przyspiesza mu tętno. Wiedział, że Anna i Susanne siedzą w absolutnym bezruchu.

– Nazwiska, Margarthe – poprosił. – Powiedz mi, jak one się nazywają. Kobieta, z którą pracował Drescher, zawodowa zabójczyni. Jak się nazywa?

– Byłyśmy przyjaciółkami – powiedziała Margarethe. W jej głosie pojawił się w końcu ślad emocji, ledwie słyszalna nuta nostalgii. – Na tyle, na ile było to możliwe. Wszystkie trzy byłyśmy samotniczkami, tego zresztą od nas oczekiwali. Ale na swój sposób przyjaźniłyśmy się ze sobą.

– Zostawiły cię samą, Margarethe. Nie jesteś im nic winna.

– Nie musisz mi tego mówić. Nie musisz mną manipulować. Powiem ci to, co zechcę. Nie to, co spróbujesz od mnie wyciągnąć. – Umilkła na moment. – Nie znałyśmy swoich nazwisk, taka była zasada, której surowo przestrzegali. Znałyśmy się tylko jako Jedyńka, Dwójka i Trójka. Ja byłam Dwójką.

Fabel westchnął ciężko, zrozumiał, że na próżno się ludził.

– Lubiliśmy się nawzajem – kontynuowała Margarethe. – Ale niemal przez cały czas byłyśmy pod nadzorem. Obserwowali nas i pilnowali. Spałyśmy w oddzielnych pokojach. Ale większość szkoleń przechodziłyśmy razem.

– Czy pozostałe dziewczyny mówiły coś, dzięki czemu mogłaś się domyślić, kim są naprawdę? – spytał Fabel.

– Zdawało im się, że mają nad nami pełną kontrolę. Że zrobią

z nas maszyny. Mylili się – powiedziała Margarethe z uśmiechem. Nie był to fałszywy grymas, którego nauczyła się używać w odpowiednich momentach. Uśmiechnęła się naprawdę, a widok ten przyprawił Fabla o zimny dreszcz. – Liane Kayser. Anke Wollner. To był nasz bunt. W ten sposób próbowałyśmy zachować choć cząstkę siebie poza ich kontrolą. Powiedziałyśmy sobie, jak się naprawdę nazywamy.

Fabel nie spuszczał wzroku z Margarethe, słyszał jednak, jak Anna Wolff zapisuje nazwiska w notesie i pospiesznie wychodzi z pokoju.

– Było coś jeszcze. Wiedziałyśmy, że wyślą nas w różne miejsca. Że może już się nigdy nie zobaczymy. Więc opracowałyśmy plan. Ustaliłyśmy, gdzie się spotkamy.

– I co to było za miejsce? – spytał Fabel, starając się zachować beznamiętny ton.

– Musicie pamiętać, że wszystkie mieszkałyśmy na wschodzie. Nie mogłyśmy przewidzieć upadku muru. Nie wiedziałyśmy, że co najmniej jedna z nas może zostać wysłana na zachód. Wybrałyśmy więc miejsce dobrze znane nam wszystkim.

– To Anhalt w Saksonii?

Margarethe skinęła głową.

– Jedna z dziewczyn, Liane, pochodziła z Halberstadt. Umówiłyśmy się, że jeśli któraś z nas będzie potrzebowała pomocy pozostałych, spotkamy się w katedrze w Halberstadt.

– Jak zamierzałyście się powiadomić o takim spotkaniu?

– Przez gazety, jedną w NRD, drugą w RFN. Miałyśmy zamieścić ogłoszenie, cytując z *Sagi o Njalu*: „Niebiosy splamione są krwią ludzi, gdy walkirie śpiewają swą pieśń”. To było hasło, które oznaczało, że mamy się spotkać w Halberstadt o ósmej rano, w pierwszy poniedziałek następnego miesiąca.

Fabel pochylił się do przodu.

– Czyli gdybyśmy zamieścili to ogłoszenie w odpowiednich gazetach, moglibyśmy zwabić pozostałe Walkirie do Halberstadt?

Margaret pokręciła głową.

– Ten plan jest już spalony. Podsluchali, jak o tym

rozmawialiśmy. Byliśmy głupie: szkoliło nas Stasi, a nam nie przyszło do głowy, że założyli nam podsłuch.

– Myślisz, że pozostałe Walkirie nie zareagowałyby na to ogłoszenie? – upewnił się Fabel.

– Nie. A nie wymyśliłyśmy już innego hasła. Potem nas rozdzielili. Nie widziałyśmy się więcej.

– I od tamtej pory nie miałaś z nimi kontaktu? Z żadną z nich?

– Nie.

– Mówiłaś, że Drescher miał swoją ulubienicę. Kobieta, z którą prawdopodobnie pracował. Kogo miałaś na myśli? Liane Kayser czy Anke Wollner?

– Anke Wollner. Liane... Liane była inna. Nie poddawała się łatwo dyscyplinie. Chciała robić wszystko po swojemu. To Anke była protegowaną Dreschera.

Anna Wolff wróciła do pokoju i usiadła na swoim miejscu. Gdy Fabel spojrział na nią pytająco, pokręciła głową.

– Spytałem cię raz jeszcze... – Fabel ponownie odwrócił się do Margarethe. – Jeśli nie zrobiła tego żadna z Walkirii, to kto pomógł ci w przygotowaniach do zabicia Dreschera? Twarz Margarethe znów zamieniła się w nieprzenikloną maskę.

– Czy to był ktoś ze Stasi? Może ktoś, kto pracował z Drescherem i uważał go za zagrożenie?

Nic.

– Czy słyszałaś o Thomasu Maasie? Ulrichu Adebachu?

Fabel wymienił jeszcze kilka nazwisk, które otrzymał z Instytutu Gaucka, wyglądało jednak na to, że zabrnęli w ślepią uliczkę. Margarethe zachowywała się niemal tak, jakby uznała, że za bardzo otworzyła się przed nimi i że nie może już zdradzić nic więcej. Fabel doszedł jednak do wniosku, że była na to zbyt opanowana. Z pewnością powiedziała im dokładnie tyle, ile chciała.

Fabel zakończył przesłuchanie, a kilku strażników odprowadziło Margarethe do celi. Nadkomisarz rozkazał, by umieszczono ją w monitorowanym pomieszczeniu.

– Nie znalazłaś żadnych informacji o tych nazwiskach? – Fabel spytał Annę, gdy tylko znaleźli się na korytarzu.

– Żadnych. Ale wcale mnie to nie dziwi, szefie. Jeśli te dziewczyny zostały wybrane przez Stasi, a szczególnie jeśli pochodziły z sierocińców lub rozbitych rodzin, to Stasi w pierwszej kolejności wymazała ich prawdziwe nazwiska z państwowych archiwów i dokumentów. Nie mieli z tym chyba żadnego problemu, skoro sami zarządzali tymi archiwami.

– Chciałbym, żebyś skontaktowała się jeszcze raz z Instytutem Gaucka w Berlinie – powiedział Fabel, opierając się o ścianę. – Podaj im te nazwiska, może coś znajdą. Ludzie ze Stasi myśleli, że są nietykalni. Przypuszczalnie uznali, że mogą bezpiecznie wymieniać prawdziwe nazwiska dziewczyn w dokumentach, które nie wychodziły poza ich kwaterę główną.

– Nie liczyłabym na to szczególnie, szefie.

– W tej chwili i tak nie mamy nic lepszego.

W tym momencie dołączyli do nich Karin Vestergaard i Werner Meyer, którzy oglądali przesłuchanie na monitorze w sąsiednim pokoju.

– I jak? – spytał Fabel, zwracając się do Vestergaard.

– Sama nie wiem... – Westchnęła. – Trudno odczytać wyraz twarzy i język ciała na monitorze.

– Nie było czego czytać, uwierz mi. Margarethe Paulus naprawdę bardziej przypomina maszynę niż człowieka. Ale słyszałaś, co mówiła o śmierci Jaspersena. Twierdzi, że nie miała z tym nic wspólnego, a rzeczywiście nie ma powodu, żeby nas okłamywać.

– Otóż to. – Vestergaard skinęła głową. – Ja jestem skłonna jej uwierzyć.

– Ja też – przyznał Fabel. – Więc co nam właściwie zostaje?

– Mamy zabójstwo Jørgena Halvorsena w Norwegii, bez wątplenia dokonane przez zawodowca, i śmierć Jensa Jaspersena w Hamburgu. Możemy chyba bezpiecznie założyć, że te morderstwa są ze sobą powiązane – stwierdziła Anna.

– I morderstwa w Kiez: Jake Westland i Armin Lensch – dorzucił Werner. – Tak zwany powrót Anioła z St. Pauli. One

też muszą mieć z tym jakiś związek.

– Nie zapominajmy o Georgu Drescherze – wtrąciła ponownie Anna. – Bez względu na to, czy Margarethe miała coś wspólnego ze śmiercią Jespersena i Halvorsena, to morderstwo również jest powiązane z pozostałymi. W sumie mamy więc trzy grupy zabójstw, a łączy je tajna operacja Stasi, która miała na celu wysłanie Walkirii na zachód.

– Być może jest jeszcze jedno – powiedział Fabel. – Peter Claasens. Samobójstwo w Kontorhaus, które zapewne nie jest samobójstwem. Może tam właśnie trzeba szukać jakiegoś wspólnego elementu. – Odwrócił się ponownie do Karin Vestergaard. – Myślę, że powinniśmy jeszcze raz zająć się tym analitykiem, Sparwaldem, który utrzymywał kontakty z Halvorsenem.

– Też o tym myślałam – odparła Vestergaard. – Jeśli obaj mieli jechać do Chin, ale Halvorsenowi się nie udało, to skąd wiadomo, że udało się Sparwaldowi?

Fabel oderwał się od ściany i stanął prosto.

– Masz jeszcze ten adres?

Karin Vestergaard pokazała mu kartkę, którą otrzymała od szefa Sparwalda.

– Jedziemy – rzucił Fabel.

7

Fabel zadzwonił na komórkę Sparwalda ze swojego samochodu.

– Abonent jest poza zasięgiem – powtórzył, rozłączając się.

– Nic dziwnego, jeśli siedzi teraz w jakiejś chińskiej wiosce...

– Jeśli rzeczywiście jest w Chinach. – Fabel spojrzął na karteczkę, którą dał mu Lüttig, szef Sparwalda. – Ale mam nadzieję, że jest. Bo jeśli miał tam pojechać z jakimś norweskim przyjacielem, a tym przyjacielem był Halvorsen...

Sparwald mieszkał niedaleko miejsca pracy. Dzielnica Poppenbüttel z pewnością stanowiła dobry wybór dla kogoś,

kto cenił sobie kontakt z naturą. Nawet w zimie, gdy drzewa pozbawione były liści, przyroda wyraźnie zaznaczała tu swoją obecność. Sparwald mieszkał w małym domu nad rzeką Alster, otoczonym gęstwiną drzew. Wzniesiony został z drewna, ale większość południowej ściany budynku stanowiły okna zasłonięte teraz roletami.

– Przypomina mi to typowe duńskie domy – stwierdziła Vestergaard. Wskazała na rozkopany fragment ogrodu i zwoje rur leżące w błocie. – Spójrz, zakładał konwerter energii geotermalnej, ale nie skończył. Jakoś nie wydaje mi się, żeby ktoś, kto wybiera się na miesiąc do Chin, zostawiał taką pracę rozgrzebaną. – Wskazała głową na dach. – A te panele słoneczne są całkiem nowe. Nie wyglądają na podłączone. Sparwald najwyraźniej przeprowadzał jakiś poważny remont.

Fabel zadzwonił do drzwi, a potem na wszelki wypadek jeszcze zapukał. Tak jak się spodziewał, nikt mu nie otworzył. Odwrócił się do Vestergaard.

– Przejdę na tyły domu. Sprawdź, czy któreś okno nie jest odsłonięte, może uda się zajrzeć do środka.

Fabel przeszedł na drugą stronę budynku. Tutaj także toczyły się jakieś prace, o czym świadczyły materiały budowlane oparte o ścianę i porzucone narzędzia. Fabel próbował otworzyć tylne drzwi. Były zamknięte na klucz.

– Janie! – zawołała Vestergaard od frontu.

Pobiegł w jej stronę, ślizgając się w błocie pozostałym w miejscu, gdzie Sparwald chciał wkopać pompę.

– Spójrz na to – powiedziała Vestergaard. – Tutaj jest szpara między roletą a krawędzią okna.

Fabel przysunął się do szpary, ale niczego nie zobaczył. Wyjął z kieszeni latarkę i oświetlił nią wnętrze pokoju.

– Widzisz? – spytała Vestergaard.

– Tak – odparł. Przez chwilę próbował przekonać samego siebie, że to tylko but. Wiedział jednak, że z za sofy wystaje ludzka stopa. Zadzwonił z komórki do Presidium i kazał przysłać radiowóz z komisariatu w Poppenbüttel.

– Możecie też powiadomić zespół kryminalistyczny. Prawdopodobnie doszło tu do morderstwa.

To jest inne – stwierdziła Vestergaard enigmatycznie. Pierwszy patrol przyjechał na miejsce w ciągu niecałych dwóch minut. Mundurowi wyłamali zamek w drzwiach domu Sparwalda i otworzyli je. Natychmiast uderzył ich w nozdrza okropny zapach. Prawdziwy smród śmierci. Znaleźli ciało Sparwalda w salonie, jego noga wystawała zza sofy, jak widzieli to przez okno. Ta zbrodnia budziła grozę innego rodzaju niż śmierć Dreschera, a Fabel dobrze wiedział, co miał oznaczać komentarz Vestergaard. Smród oznaczał, że ciało Sparwalda leżało tu od wielu dni, może tygodni, ale morderstwo dokonane zostało w sposób znacznie prostszy i czystszy niż w wypadku Dreschera. Bez symbolizmu i bez rytuałów. Bez emocji.

Przed wejściem do domu Fabel i Vestergaard nałożyli foliowe pokrowce na buty i lateksowe rękawice, to samo kazali również zrobić towarzyszącym im policjantom. Zasłaniając chusteczką usta i nos, Fabel pochylił się nad ciałem Sparwalda, który leżał na plecach i wpatrywał się w sufit. Skóra na jego twarzy była biała i pokryta plamami. Na środku jego czoła widniał otwór po kuli, drugi znajdował się pod żuchwą. Profesjonalna robota.

– Zdajesz sobie sprawę, że dokładnie tak samo zginął Halvorsen?

Vestergaard również zasłaniała dłonią nos, nie wydawało się jednak, by ten przerażający widok zrobił na niej jakiegokolwiek wrażenie. Marszczyła lekko brwi, był to jednak wyłącznie wyraz koncentracji profesjonalisty, który analizuje nowe fakty.

– Tak. – Fabel skinął głową. – Pewnie zabito go poddźwiękowym pociskiem dum-dum.

– Walkiria – powiedziała cicho Vestergaard, jakby do siebie.

Komisariat w Poppenbüttel należał do wschodniej dywizji policji Hamburga, a jego siedziba, położona na Wentzelplatz, przy stacji kolejki miejskiej, w niczym nie przypominała Davidwache czy Klingbergu. Była to imponująca, nowa budowla złożona z potężnych modernistycznych brył, pełna

różnego rodzaju zaokrągleń, załomów i gładkich połaci muru. Fabel pomyślał, że surowa architektura budynku wydaje się wręcz onieśmielająca, a zwykły obywatel na pewno chętniej uda się do Davidwache niż do takiego kamiennego monstrum.

Fabel wezwał tam wszystkich ludzi, których potrzebował do tej sprawy, między innymi ekipę kryminalistyczną Holgera Braunera oraz Annę, Wenera, Henka i Dirka. Policjanci z Poppenbüttel zostali na swoich posterunkach nawet wtedy, gdy do pracy przyszła następna zmiana, Fabel miał więc do dyspozycji podwójną liczbę mundurowych. Wcześniej zadzwonił do van Heidena, który przyjął wiadomość o kolejnym morderstwie z nieskrywaną dezaprobatą, jakby to właśnie Fabel był temu winny. Jednak i tym razem bez słowa przystał na prośbę o przydzielenie większej liczby policjantów do tej sprawy.

Najpierw nadkomisarz odbył rozmowę z kryminalistykami. Brauner zajechał pod dom Sparwalda konwojem złożonym z kilku furgonetek, które wiozły dwunastu specjalistów i sprzęt konieczny do zbadania miejsca zbrodni.

– Jeśli nie masz nic przeciwko – zwrócił się do Fabla – to najpierw wpuściłbym tam samą Astrid. Dziewczyna ma talent do znajdowania śladów w miejscach, gdzie od morderstwa minęło już sporo czasu.

– Jak chcesz, Holger – odparł Fabel. – Ty się na tym znasz. Ale musi być naprawdę dobra; normalnie wszyscy już siedzielibyście w tym domu.

– Uwierz mi, Janie jest świetna. Jedna z najlepszych, z jakimi kiedykolwiek pracowałem.

Fabel zwołał krótką odprawę w załoczonej sali konferencyjnej komisariatu. Jego strategia była prosta: zapukać do wszystkich drzwi, wypytać wszystkich sąsiadów, zanotować każdy szczegół. Choć zdawał sobie sprawę, jak złudna jest to nadzieja, w skrytości ducha liczył, że badania kryminalistyczne miejsca zbrodni ujawnią coś, co wskaże im kierunek poszukiwań Walkirii. Wraz z Vestergaard określili w przybliżeniu czas, w którym morderczyni przebywała w Oslo, i porównał go ze wstępną prognozą Astrid Bremer dotyczącą

czasu zgonu Sparwalda. Na podstawie tych informacji sporządził harmonogram działań mordercy i kazał jednemu z zespołów sprawdzić wszystkie loty, rejsy promów i kursy pociągów z tego okresu. Wiedział jednak, że tego rodzaju poszukiwania prawdopodobnie niewiele przyniosą, szczególnie że mieli do czynienia z kimś, kto najwyraźniej nie zostawiał śladów. Ani nie popełniał błędów. Nigdy.

Fabel wrócił do domu około dziesiątej i opowiedział Susanne o wszystkim, co przyniósł dzień.

– Wyglądasz na skonanego – oceniła Susanne. – Jadłeś coś?

– Przekąsiłem coś w Poppenbüttel – odparł, po czym westchnął ciężko. – Przez ładnych parę godzin próbowaliśmy odtworzyć jej poszczególne kroki. Sam nie wiem, Susanne... ta morderczyni, cała ta historia z Margarethe Paulus... czasami odnoszę wrażenie, że to mnie przerasta. Po raz pierwszy od wielu lat nie mam pojęcia, jak ugryźć sprawę.

Susanne uśmiechnęła się i odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła.

– Chcesz, żebym ci powiedziała, co o tym sądzę?

– Jasne. Zawsze chcę znać twoje zdanie. Wiesz o tym.

– Nie mówię teraz o mojej fachowej opinii. Mówię o tym, co myślę o tym prywatnie, jako zwykły człowiek.

– Rozumiem.

– Mężczyźni zawsze zastanawiają się, jaka jest tajemnica udanych relacji z kobietami. Ciągłe pytanie o to siebie nawzajem. Odpowiedź jest prosta: najlepiej radzą sobie z kobietami mężczyźni, którzy nie szukają żadnej tajemnicy. Którzy nie traktują ich tak, jakby pochodziły z innej planety.

– Próbujesz mnie nauczyć sztuki udanego flirtu?

– Nie, Janie. Dotąd świetnie sobie radziłeś w swoim wydziale. Ale ta sprawa... Ponieważ masz do czynienia z kobietami, z seryjną morderczynią i profesjonalistką, która zabija za pieniądze, wydaje ci się, że nie masz konkretnych punktów odniesienia, żadnych sprecyzowanych ram, których mogłeś się dotąd trzymać. To prawda, istnieją różnice w zbrodniczych

zachowaniach obu płci. Ale ty masz do tego niewłaściwe podejście, bo próbujesz myśleć o tym inaczej. Rób po prostu, co do ciebie należy, Janie. Zapomnij o różnicach płci i skup się na morderstwach.

Fabel zastanawiał się przez chwilę nad słowami Susanne.

– Być może masz rację – rzekł w końcu.

– Pewnie, że mam – odpowiedziała z uśmiechem. – A teraz chodźmy już spać. Musisz porządnie wypocząć. Rano wszystko będzie wyglądało inaczej.

Fabel nie mógł zasnąć, a gdy mu się to w końcu udało, raz po raz budziły go jakieś senne mary. Niewyraźne obrazy. Irma Grese. Margarethe Paulus. I jeszcze jedna kobieta, której twarzy nie widział.

8

Szukasz mnie – powiedział, a potem niespodziewanie przerwał. Ze słuchawki dobiegał przytłumiony kaszel, co oznaczało, że zakrył usta dłonią. Gdy w końcu odezwał się ponownie, mówił ostrzejszym, bardziej zdecydowanym tonem, jakby zirytowany własną słabością. – Wiem, że mnie szukasz.

– Oczywiście, że cię szukam – odparła Sylvie Achtenhagen. – A czego się spodziewałeś? Masz dla mnie więcej informacji?

– Widziałas wszystko, co potrzeba. Nie musisz mnie szukać – oznajmił Siegfried. – Chcę, żebyśmy się spotkali.

– Twarzą w twarz? – spytała Sylvie. Jednocześnie wyjrzała przez okno. Zatrzymała się w hotelu położonym niedaleko autostrady, a teraz obserwowała przemykające w oddali cienie samochodów, rozmazane mrokiem i deszczem.

– Twarzą w twarz – potwierdził. – Masz dla mnie pieniądze?

– Znasz przecież odpowiedź. Wiesz, że to nie takie proste.

– Tylko od ciebie zależy, co jest w twoim życiu proste, a co nie. Decyzje dotyczące życia i śmierci są najłatwiejsze. Decyzja co do tego, czy chcesz, żeby ktoś inny dostał te materiały, też jest bardzo prosta.

– Spokojnie, możemy to przecież jakoś rozwiązać – powiedziała Sylvie.

– Oczywiście, że możemy. Ja chcę czegoś od ciebie i wiem, że mi to dasz. Prosta sprawa.

Kiedy Siegfried się rozłączył, Sylvie siedziała jeszcze przez chwilę przy oknie, wpatrzona w odległe samochody. Była coraz bliżej tego człowieka. Wiedziała o tym. On zaś wiedział, że go szuka, bo najwyraźniej zaglądała we właściwe miejsca. Przeszła z powrotem do łóżka i rozłożyła kartki z nazwiskami, do których zawęziła poszukiwania. Kilka z tych osób znajdowało się w byłej NRD, jedna w Hamburgu. Była pewna, że za którąś z nich kryje się Siegfried.

Sylvie wstała wcześniej następnego ranka i pojechała do odległego o pięćdziesiąt kilometrów Drezna. Spotkała się tam z emerytowanym księgowym, Bergerem. Berger, podobnie jak pani Schneeg, próbował się odciąć od swojej przeszłości i przeprowadził się z rodzinnego miasta do Drezna.

– Był pan podwładnym Ulricha Adebacha, prawda, panie Berger? – spytała Sylvie rozglądając się po mieszkaniu. Małe, ale czyste i umeblowane niewielkim kosztem. Przygńbiające.

– Mówi pani, że mogę coś z tego mieć? – odpowiedział pytaniem Berger. Był drobnym sześćdziesięcioletkiem o wciąż gęstych ciemnych włosach i wąskiej, ściągniętej twarzy.

– Mogę panu zapłacić – odparła Sylvie. – Jeśli uznam pańskie informacje za wartościowe.

– I nikt się nie dowie, że pani pomagałam?

– Nikt nie wie, że tutaj jestem, i nikt się o tym nie dowie, panie Berger, obiecuję. Wszystko, co pan mi powie, pozostanie między nami.

– Tak, byłem podwładnym Adebacha. Stary dupek...

– Jak długo?

– Sześć i pół roku. Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego do osiemdziesiątego czwartego. Potem mnie przeniesiono.

– Na pańską prośbę?

– Nie. Trafiłem do działu, gdzie przesłuchiwalismy nagrane rozmowy, tego rodzaju rzeczy.

– Dlaczego pana przeniesiono?

– Adebach miał nowego adiutanta, wrednego gnoja. Nazywał

się Helmut Kittel. Nie polubił mnie.

– Czy kiedy pracował pan dla Adebacha, kiedykolwiek spotkał się pan z majorem Drescherem? Pracował w wywiadzie zagranicznym, zajmował się operacjami specjalnymi. Mam powody, by przypuszczać, że kierował programem Walkiria.

Berger zamyślił się głęboko. Sylvie widziała, że naprawdę stara się zarobić na obiecanej zapłacie.

– Nie... Prawdę mówiąc nigdy go nie spotkałem. I nigdy nie słyszałem o operacji Walkiria.

– Dotyczyła szkolenia młodych kobiet do specjalnych zadań.

Berger znów się zamyślił, lecz po chwili jego ponura twarz wyraźnie pojaśniała.

– Chwileczkę, było coś takiego... Pamiętam, że Adebach poprosił, żeby przynieść mu jakieś dokumenty, które dostarczył do nas kurier. Kurier pytał o Kittla, który pewnie miał z kolei zanieść te papiery do Adebacha, ale Kittel był na obiedzie, więc ja je wziąłem. Adebach rozmawiał przez telefon i kazał mi zaczekać. Pamiętam, że w tych dokumentach były zdjęcia młodych kobiet, właściwie nastolatek. Były też na nich pieczętki HVA. Kiedy Kittel wrócił z obiadu, wpadł w szal. Wkrótce potem mnie przeniesiono.

– Jak wyglądał Kittel?

– Był wysoki, miał jakieś metr dziewięćdziesiąt wzrostu, chudy jak szczapa. Pewnie przez papierosy, bo kopał jak komin, jednego papierosa za drugim.

– Ile miał lat?

– Może ze trzydzieści – odparł Berger z nieskrywaną niechęcią. – Wyglądał na młodszego. Prawdziwe cudowne dziecko wydziału.

– Czy był jakoś zaangażowany w ten program, o którym pan mówił?

– Nie wiem, czy „zaangażowany” to właściwe określenie. Kittel był chłopcem na posyłki. Przekładał papiery. Ale na pewno wiedział prawie o wszystkim, co przechodziło przez biurko Adebacha.

Sylvie siedziała przez chwilę w milczeniu i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

– Czy to się pani do czegoś przyda? – spytał Berger z nadzieją.

– O tak, zdecydowanie. – Sylvie skinęła głową. – Coś mi się wydaje, że miałam już okazję poznać pana Kittla.

– Na pani miejscu uważałbym na niego. Słyszałem, że potem zajął się większymi rzeczami. Prowadził śledztwa. Oczyszczał społeczeństwo z wrogich elementów. Cieszył się paskudną reputacją.

– Proszę się nie obawiać, Siegfried i ja rozumiemy się aż nazbyt dobrze – odparła Sylvie, nie zważając na zdumioną minę Bergera.

9

Poranek był jasny i pogodny, powietrze skrzyło się mroźną świeżością. Fabel obudził się w znacznie lepszym nastroju. Kiedy przyjechał do Presidium, Karin Vestergaard już tam była. Czekał cierpliwie, aż skończy rozmawiać przez telefon po duńsku.

– Przepraszam – powiedziała, odłożywszy słuchawkę. – Kazałam ludziom z mojego biura poszukać informacji o związkach Giny Brønsted i grupy NeuHansa z Danią. Okazuje się, że Brønsted ma tyle samo interesów w Kopenhadze, co w Hamburgu. Poza tym ma też mnóstwo firm rozsianych po całej Skandynawii.

– Coś podejrzanego? – spytał Fabel.

– Na razie nic nie znaleźliśmy. Wygląda na to, że specjalizuje się w takich dziedzinach jak kształtowanie środowiska, technologie środowiskowe, zarządzanie odpadami i tym podobne. Pomaga innym korporacjom wprowadzać ekologiczne rozwiązania. Teraz to naprawdę duży biznes.

– Udało mi się umówić z nią na spotkanie dziś po południu – powiedział Fabel. – Wierz mi, nie było to łatwe. Ale dziś rano nie musimy jechać daleko.

Nadkomisarz nie miał się z prawdą: Państwowa Akademia Policyjna w Hamburgu była oddalona od Presidium o niecały kilometr. To tutaj kształcono oficerów policji, tutaj również

opracowywano nowe rozwiązania i metody, które później przekazywano hamburskim policjantom. Fabel znał ten budynek aż za dobrze. Kiedy tam przyjechali, trwała właśnie przerwa między zajęciami, a na korytarzach kłębiły się tłumy studentów. Nadkomisarz mimowolnie pomyślał o swojej córce i o decyzji, która mogła zaprowadzić ją do tego miejsca.

Fabel nie miał jeszcze okazji poznać osobiście komisarza Michaela Langego. Wiedział tylko tyle, że Lange zaczynał karierę policyjną w Szlezwiku-Holsztynie, a wkrótce potem został przeniesiony do Hamburga. Obecnie wykładał na akademii policyjnej, ale to właśnie doświadczenia z początków jego kariery przywiodły Fabla do jego biura.

Umundurowany funkcjonariusz w recepcji skierował Fabla i Vestergaard na pierwsze piętro akademii. Zza drzwi jednego z gabinetów wyglądał wysoki, szczupły mężczyzna w niebieskim mundurze Schutzpolizei, który najwyraźniej wypatrywał Fabla, poinformowany o jego przybyciu przez recepcjonistę.

– Główny nadkomisarz Fabel? – Lange uśmiechnął się i wyciągnął rękę na powitanie. Liczył sobie niewiele ponad czterdzieści lat, ale zdaniem Fabla miał oczy starszego człowieka. Być może tylko tak mu się zdawało, bo znał historię Langego.

– Mówmy sobie po imieniu, jestem Jan – odparł Fabel. – A to *Politidirektor* Karin Vestergaard z duńskiej policji. Możemy rozmawiać po angielsku? Nie traciłbym czasu na tłumaczenie.

– Jasne. – Lange skinął głową. – Mam nadzieję, że mój angielski jest wystarczająco dobry.

– Dziękuję, że zgodziłeś się przyjąć mnie tak szybko – zaczął Fabel. – Prowadzę sprawę, która ma pewne związki z Bałkanami, a Anna Wolff, którą chyba dobrze znasz, zasugerowała, że powinienem porozmawiać właśnie z tobą.

– Pomogę wam, jeśli tylko będę mógł. Mówiłeś przez telefon, że zajmujecie się śmiercią Gorana Vujaćicia. I jej tłem. Oczywiście do zamordowania Vujaćicia doszło na pani terenie, pani Vestergaard, a nie na naszym.

– To prawda, ale na naszym terenie zginął duński policjant, który prowadził śledztwo w tej sprawie – wyjaśnił Fabel. – Był podwładnym pani Vestergaard. Przypuszczamy, że został zabity przez tego samego zawodowego zabójcę, który uśmiercił Vujačića. Domyślasz się chyba, że to wszystko musi pozostać między nami, Michaelu?

– Oczywiście.

– Przypuszczamy, że sprawcą jest płatny zabójca, który mieszka tutaj, w Hamburgu. W związku z tym cała ta sprawa podlega naszej jurysdykcji.

Lange wydał usta w zamyśleniu.

– Zgadza się. Zgodnie z ustępem siódmym kodeksu karnego sprawa podlega naszej jurysdykcji, jeśli sprawcą jest obywatel Niemiec. I mówisz, że nikt poza wydziałem o tym nie wie? A co z samą górą, nie powinniśmy ich powiadomić?

– Komendant główny zna sprawę – odparł Fabel. – Ale na razie staramy się nie opowiadać nikomu zbyt wiele. Niedawno popełniono inne morderstwo, dokonane przez kogoś innego, ale powiązane z naszym śledztwem. Chcemy zachować je w tajemnicy, dopóki nie wywabimy zabójcy z ukrycia.

– Myślicie, że w sprawie Vujačića może być coś, co pomoże wam znaleźć konkretniejsze dowody?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Ale jeśli ta Walkiria, bo tak brzmi pseudonim tego zabójcy lub zabójczyni, jeśli ta Walkiria rzeczywiście tu mieszka, musiała mieć ważny powód, żeby zabić Jespersena. Vujačić wiąże ze sobą te sprawy.

– W porządku, chętnie wam pomogę. Kwestia jurysdykcji być może nie ma tutaj żadnego znaczenia. Ale znam dobrze tylko trzy lata z życia Vujačića. Trzy lata, w czasie których aktywnie uczestniczył w wojnie na Bałkanach. Nawet wtedy nie był postacią pierwszoplanową. Raczej przypisem w historii zbrodni wojennych, że tak powiem. Nigdy nie zebraliśmy dość dowodów, żeby go skazać, głównie dlatego, że przedstawił specjalne alibi. Facet miał tupet, muszę mu to przyznać. Nigdy nie próbował się ukrywać, jak pozostali, co działało na jego korzyść. Ucieczka to w pewnym stopniu przyznanie się do winy.

– Więc myślisz, że był niewinny?

– Akurat. Goran Vujačić był sprytny, a przy tym miał mnóstwo szczęścia. Nie zajmowałem się osobiście jego sprawą, ale miałem dostęp do jego akt przez OBWE. – Lange mówił o Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. – Vujačić zebrał już wtedy własną bandę. Gdy tylko do akcji wkroczyło NATO, wiadomo było, że dni reżimu są policzone. Przypuszczam, że zaczął wtedy planować na szerszą skalę, wybiegać dalej myślą w przyszłość. Ale był tam. W obozach gwałtów. W lasach przy masowych grobach. Siedział w tym wszystkim po uszy. Tyle że na procesie przedstawił kilku świadków, którzy zeznali pod przysięgą, że leżał wtedy ranny w szpitalu w Banja Luce.

– A ten jego oddział... Petra Meissner z Sabine Charity mówiła mi, że nazywali siebie Psiogłowymi czy jakoś tak.

– Tak. *Psoglav*. Tak nazywano mityczne stworzenie, w które wierzyli Serbowie, szczególnie bośniaccy Serbowie. Pogański demon, coś w rodzaju wilkołaka. *Psoglav* od początku był właściwie gangiem, organizacją przestępczą, którą stał się oficjalnie po zakończeniu wojny. Mówiło się o tym, choć w zasadzie były to jedynie pogłoski, że Vujačić i jego kumple z *Psoglav* zajęli się po wojnie handlem żywym towarem. Podejrzewamy go o same najgorsze rzeczy: handel narządami, porywanie i sprzedaż kobiet do domów publicznych, obozy pracy i tak dalej. Ale o tym musielibyście porozmawiać z wydziałem przestępczości zorganizowanej Europolu. O ile mi wiadomo, Vujačić nie prowadził żadnej działalności na terenie północnej Europy. Przykro mi, ale pewnie nie tego szukaliście, co?

– Tak czy inaczej, jesteśmy wdzięczni, że zechciałeś nam pomóc – odparł Fabel.

– Mogę tylko powiedzieć, że Vujačić był jednym z najgorszych sukinsynów, jacy chodzili po ziemi. Słyszałem naprawdę różne historie o tym, co robił Bośniakom, Chorwatom i Albańczykom... szczególnie kobietom. Mówię wam, widziałem tam wiele bestii w ludzkiej skórze, a Vujačić w niczym im nie ustępował. Niestety, sprawiedliwość nie zawsze dosięga tych,

którzy najbardziej na to zasługują, ale tych, którym można coś udowodnić. Vujačić był cholernym spryciarzem, nie mieliśmy na niego nic prócz plotek i domysłów. Wiem, że nie przystoi policjantowi mówić takich rzeczy, ale kiedy go załatwili, pomyślałem od razu, że dostał to, na co zasłużył. Szkoda tylko, że nie cierpiał tak jak ludzie, którzy wpadli w jego łapska.

Fabel skinął głową, przyglądając się Langemu. Pomyślał, że nawet w tej pracy są rzeczy, których lepiej nie widzieć. Nie mieć pojęcia o ich istnieniu. Wiedział, że rozmawia teraz z kimś, kogo dręczą sny jeszcze mroczniejsze, jeszcze bardziej przerażające niż jego własne.

– Dziękujemy, Michaelu – powiedział. – Gdyby coś jeszcze przyszło ci do głowy, daj mi znać, proszę.

Fabel i Karin Vestergaard przeszli właśnie przez obrotowe drzwi i wkroczyli do wysokiego, zalanego słońcem atrium Police Presidium, gdy nagle na drodze stanęła im Anna Wolff.

– Nie zdejmujcie płaszczy – powiedziała z uśmiechem. – Pojedziemy twoim samochodem, szefie. Pokażę wam drogę. Chciałabym was z kimś poznać...

Kawiarnia, do której zabrała ich Anna, mieściła się w Sachsentor, w strefie pieszej na terenie dzielnicy Bergedorf. Czekala tam już na nich młoda kobieta o ładnej, lecz surowej twarzy i długich ciemnych włosach. Sandra Kraus siedziała z dużą płócienną torbą przy boku i bębniła palcami o blat, jakby chciała w ten sposób powiadomić całą kawiarnię o przybyciu Fabela, Vestergaard i Anny. Nie wstała od stolika, lecz przywitała ich uśmiechem. Fabel zauważył, że uśmiecha się podobnie jak Karin Vestergaard, jedynie ustami, podczas gdy jej oczy pozostają chłodne i obojętne.

– Znam Sandrę od dziecka – powiedziała Anna Wolff, dokonawszy krótkiej prezentacji. – Była najlepszą uczennicą w całej szkole. I jest świetnym kryptologiem.

– Naprawdę? – zainteresował się Fabel, spoglądając przy tym

pytająco na Annę. Zdekoncentrował się na moment, gdy Sandra znów zaczęła bębnić palcami o blat stołu. Kiedy podniósł na nią wzrok, poczuł się dziwnie zakłopotany intensywnością jej spojrzenia. Miał wrażenie, że patrzy na niego jak na przedmiot badań, a nie jak na człowieka.

– Tak, naprawdę – odparła Anna nieco wyzywającym tonem. – Możecie mi wierzyć, to spotkanie nie jest stratą czasu. Dałam Sandrze egzemplarz „Muliebritas”. Ten sam numer, który znaleźliśmy w mieszkaniu Dreschera.

– Czy ona wie...?

Anna pokręciła głową.

– Kazałeś nam trzymać sprawę Dreschera w tajemnicy, więc to robię. Sandra wie tylko tyle, że w czasopiśmie może być zakodowana wiadomość. Prawdę mówiąc, tylko tyle ją interesuje.

– I udało jej się coś znaleźć? – spytała Vestergaard.

– Potrzebowała pięciu minut, żeby znaleźć wiadomość i złamać szyfr. Ani sekundy więcej.

– Chcesz powiedzieć, że kryptolog amator w ciągu kilku minut złamał kod stworzony przez jedną z najlepszych tajnych policji i agencji szpiegowskich na świecie? – Fabel uśmiechnął się protekcyjnie.

Kraus ponownie zabębniła palcami w stół, łyknęła kawy i powiedziała z werwą:

– Mam pewne atuty, których oni nie mieli. Wrodzoną umiejętność rozpoznawania określonych wzorów w rzeczach. To, co wy widzicie jako złożoną całość, jak postrzegam jako całkiem prostą strukturę.

– To nie wszystko – wtrąciła Anna. – Zebrałam wszystkie numery „Muliebritas” z ostatnich trzech lat. Drescher używał ich do komunikowania się z Walkirią. Sandra rozszyfrowała dziesiątki wiadomości.

– To wcale nie było trudne. Osoba, która w ogłoszeniach nazywała siebie „wujkiem Georgiem” używała kombinacji szyfrów polialfabetycznych. Głównie szyfru Vigenèra, który łączyła czasem z szyfrem Cezara. Banalna rzecz. Na przykład...

Wyjęła ze swej wielkiej torby notatnik i ołówek, po czym

napisała na kartce
BALKONALTONACZWARTATRZYDZIESCICZWARTEK.

Fabel zauważył, że stawiane przez nią litery były idealnie równe i proste, dopasowane do linijek na kartce.

– Po zaszyfrowaniu otrzymamy następujący ciąg liter
XAWUWEILPOYKKQEANTLDZQGDVIPCKZKZSACDMB.

Oczywiście wiadomość w takiej postaci od razu rzucałaby się w oczy zwykłym czytelnikom, nie mówiąc już o kryptologach, więc wujek Georg wstawiał je do różnych ogłoszeń drobnych. Umieszczał też podziękowania z imionami i nazwiskami. Inicjały osób, którym dziękował, też stanowiły część szyfru.

– Jest pani pewna, że odszyfrowała pani te wiadomości we właściwy sposób? – spytał Fabel.

– Jak już mówiłam, to całkiem proste. Zasadniczo. Ale przez trzysta lat uważano, że szyfru Vigenèra nie da się złamać, bo żeby tego dokonać, trzeba znać słowo kluczowe, czyli litery umieszczone na osi pionowej kwadratu używanego do szyfrowania.

– A pani znalazła to słowo? – zdumiał się Fabel. – Jak?

– Po prostu je zobaczyłam. Wystarczy przeanalizować częstotliwość, z jaką pojawiają się dane litery, i zwrócić uwagę na powtarzające się pary. Przeczytałam wszystkie wiadomości i domyśliłam się, co jest kluczem. Teoretycznie takiej analizy można dokonać tylko w wypadku szyfrów monoalfabetycznych, a nie polialfabetycznych, gdzie zaszyfrowanej literze może odpowiadać kilka liter oryginalnej wiadomości.

– Ale Sandra umie to zrobić – wtrąciła Anna, dumna z umiejętności swej przyjaciółki. – Powiedz im, jakie słowo było kluczem.

– Walkiria – odparła Sandra, znów bębniąc palcami po stole.

– Słowem, którego używał do szyfrowania wiadomości, jest Walkiria.

W drodze powrotnej do Presidium prowadziła Anna, a Fabel siedział obok niej i czytał wiadomości odszyfrowane przez Sandrę Kraus.

– Wszędzie jest tylko miejsce i godzina – rzucił przez ramię do Vestergaard, która siedziała z tyłu. – Widocznie

przekazywał jej wszystko osobiście, a w ten sposób umawiał się tylko na spotkania.

– Więc teraz możemy zrobić dokładnie to samo – stwierdziła Vestergaard. – Możemy zwabić Walkirię w pułapkę. Zakładając, oczywiście, że naprawdę nie wie o śmierci Dreschera.

– Na razie trzymamy to w tajemnicy, ale nie wiem, jak długo da się to ciągnąć. – Fabel odwrócił się do Anny. – Masz ciekawą przyjaciółkę.

– Sandrę? Jest świetna. Ma IQ geniusza.

– Domyśliłem się – odparł Fabel z uśmiechem.

– I jest Aspi.

– Kim?

– Zauważyłeś, jak przez cały czas stukała palcami w stół? Ten sam rytm, ta sama liczba powtórzeń. Albo jak stara się patrzeć ci prosto w oczy?

– O tak, zauważyłem – mruknął Fabel.

– Sandra ma zespół Aspergera. Ale mówi o sobie Aspi. Nie uważa się za osobę upośledzoną. Jest po prostu inna i dobrze jej z tym. Chce stworzyć grupę, która będzie promować ideę neuroróżnorodności... czyli teorię, zgodnie z którą, istnieją różne rodzaje umysłów. Zwykłych ludzi, takich jak nas, nazywa NT, neurologicznie typowymi.

– Wydawało mi się, że ludzie z zespołem Aspergera mają problemy z utrzymaniem stałych relacji z innymi ludźmi. Mówiłaś, że to twoja przyjaciółka... – zauważyła Vestergaard.

– I to dobra przyjaciółka – potwierdziła Anna. – Sandra ma problemy w niektórych dziedzinach, ale jak sami widzieliście, nadrabia to w innych. Nauczyła się radzić sobie z tymi problemami, a ja nauczyłam się jej nie osądzać. To zabawne, Sandra mówi, że w powszechnej opinii ludzie z zespołem Aspergera nie mają zrozumienia dla uczuć innych, nie potrafią wczuć się w ich sytuację. Dlatego tak trudno rozpoznać mężczyznę z tym syndromem. Jak odróżnić go od normalnego faceta?

Vestergaard roześmiała się głośno. Fabel wzruszył ramionami.

– Cóż, jedno jest pewne – powiedział. – Dzięki twojej

przyjaciółce prawdopodobnie dokonaliśmy największego przełomu w śledztwie.

Wstępne badania kryminalistyczne domu Sparwalda nie ujawniły niczego ciekawego. Fabel był jednak zaskoczony ilością informacji, jakie Astrid Bremer zdołała zgromadzić na podstawie tak znikomego materiału dowodowego. Była jeszcze w Poppenbüttel, gdy zadzwoniła do biura Fabela.

– Kazałam zabrać ciało, wkrótce dostaniemy pewnie raport z sekcji. Moim zdaniem Sparwald był martwy, nim jeszcze upadł na podłogę. Morderca strzelił do niego jeszcze raz, wzdłuż ciała, kiedy to leżało już nieruchomo, stąd rana wlotowa w dolnej części zuchwy. Bardzo profesjonalna robota. Ten drugi strzał nie był już właściwie potrzebny, morderca chciał mieć tylko stuprocentową pewność, że ofiara nie żyje. Skrupulatność profesjonalisty.

– Podobnego morderstwa dokonano pod Oslo – powiedział Fabel. – Dokładnie ten sam sposób działania.

– Przypuszczam, że to nie Sparwald wpuścił zabójcę do domu. Obok ciała leżała książka. Są na niej tylko jego odciski palców, a upuścił ją pewnie, kiedy już upadał. Znalazłam też ślady prochu na ścianie przy drzwiach salonu i na futrynie. Na klamce ani na samych drzwiach nie ma żadnych odcisków. Podejrzewam, że morderca otworzył drzwi salonu, wszedł do środka i strzelił, nim ofiara zdążyła zareagować. Zabójca nie musiał wchodzić do salonu, więc wrócił korytarzem do drzwi wejściowych. Zbadałam je dokładnie i znalazłam zadrapania przy zamku. Musiał, a właściwie musiała otworzyć je wytrychem.

– Ale nie masz nic, z czego moglibyśmy pobrać DNA? Ani żadnych innych śladów? – Fabel nie potrafił ukryć frustracji.

– Fragment śladu buta w korytarzu z drobinami ziemi z ogrodu, ale to mógł zostawić każdy i to na długo przed morderstwem. Zresztą i tak jest za mały, żebyśmy mogli go do czegoś dopasować.

– Cudownie... – mruknął Fabel.

– Przykro mi, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy – odparła Astrid, a Fabel nawet przez telefon słyszał, że mówi to

naprawdę szczerze. – Przejrzałam wszystko trzy razy. Wypróbowałam wszystkie stare sztuczki. Po prostu niczego tam nie było.

– To nie twoja wina. Holger mówił, że jeśli ktokolwiek zdoła tam coś znaleźć, to właśnie ty. Mówił też, że jesteś najlepszym specjalistą od tego rodzaju badań, z jakim pracował.

– Dzięki – odpowiedziała Astrid. – Ale ten, kto zabił Sparwalda, jest lepszy.

Fabel zakończył rozmowę i przeszedł do głównej sali konferencyjnej wydziału zabójstw. Werner, Anna, Henk i Dirk już tam na niego czekali. Zaprosił też Karin Vestergaard, ale uprzedziła go telefonicznie, że spóźni się kilka minut.

– Wiecie co – zaczął Werner – gdybyśmy mieli szukać Walkirii w naszym najbliższym otoczeniu, ta królowa śniegu byłaby idealną kandydatką. Jest zimna jak lód.

– Ale z tego, co widzę, jest też dobrym gliniarzem – odpowiedział mu Fabel.

– Posłuchajcie – wtrąciła Anna. – Skoro już mówimy o ludziach, na których powinniśmy zwrócić uwagę, to moim zdaniem należałoby się dobrze przyjrzeć dwóm kobietom. Mam na myśli Martinę Schilmann i Petrę Meissner. I wcale się nie wygłupiam.

– Dlaczego Martinę? – Fabel spojrział na Annę ze zdumieniem. – Przecież to była policjantka, na miłość boską.

– Znała Westlanda i była na miejscu przestępstwa. Powiedzmy sobie szczerze, nie mamy wcale pewności, że rzeczywiście czekała na niego po drugiej stronie Herbertstrasse, opieramy się tylko na jej zeznaniu. Poza tym wychowała się w NRD, jak Petra Meissner. Obie są mniej więcej w tym samym wieku co Walkiria.

– I co, będziemy teraz podejrzewać wszystkie kobiety z Niemiec Wschodnich? – odparł z ironią Fabel. – Może zacznijmy od kanclerz Merkel. Wychowała się przecież w Magdeburgu. – Fabel podniósł palec wskazujący, udając, że przyszła mu właśnie do głowy świetna myśl. – I należała do Wolnej Młodzieży Niemieckiej!

– Mówię poważnie, szefie – nie poddawała się Anna. – Nie

możemy ignorować faktu, że dwie kobiety, które przebywały w towarzystwie Westlanda przed jego śmiercią, spędziły młodość w NRD.

– Ale przeszłość Martiny została dokładnie sprawdzona, nim przyjęto ją do pracy w hamburskiej policji. A Petra Meissner jest zbyt znaną osobą, by mogła działać jako zawodowa zabójczyni.

– Może. – Anna się skrzywiła. – Ale jeśli Martina Schilman jest Walkirią, na pewno zadbała o to, żeby jej przeszłość nie budziła żadnych podejrzeń.

– Dobrze, sprawdzimy to. – Fabel westchnął i odwrócił się do Hechtnera. – Dirk, znalazłeś może jakieś informacje, które pomogłyby nam ustalić, kim jest „Olaf” z notesu Jespersena?

– Nie, szefie, przykro mi. O ile nam wiadomo, Drescher nigdy nie używał takiego pseudonimu. Nie znaleźliśmy też żadnego Olafa wśród znajomych Gorana Vujaćicia, Jake’a Westlanda i Armina Lenscha. Sprawdzamy jeszcze ludzi z otoczenia Ralfa Sparwalda.

– Może to tylko przypadek, a ten Olaf nie ma nic wspólnego z naszą sprawą – rzekł Fabel.

Począł, aż do sali dotrą pozostali członkowie zespołu i Vestergaard.

– Słuchajcie, wygląda na to, że mamy przełom – oznajmił, kiedy wszyscy zajęli już miejsca. – Dzięki Annie złamaliśmy szyfr, za pomocą którego Drescher przysyłał wiadomości Walkirii. Wszystkie dotyczyły tylko miejsca i czasu spotkania. To typowy przykład myślenia instytucjonalnego. Stworzyli system współpracy przed zjednoczeniem Niemiec, używając zimnowojennych metod. Przypuszczam, że Drescher nie radził sobie najlepiej z nowymi technologiami, inaczej mogliby używać internetu albo anonimowych adresów mailowych. Co oczywiście nie znaczy, że oprócz ogłoszeń w prasie nie stosowali innych form kontaktu.

– Dlaczego robili to wszystko? – spytał Werner. – Przecież mogli po prostu do siebie zadzwonić. Nikt nie wiedział, kim był Drescher, a ona mogła mieć telefon, którego nie da się namierzyć.

– Jak już mówiłem, to kwestia myślenia wpojonego przez określoną instytucję. Drescher mieszkał w tym samym mieście co Walkiria, ale pierwotnie system został stworzony po to, by mogli działać nawet w dużej odległości od siebie, przy czym Walkiria pracowałaby głównie sama. Kiedy po zjednoczeniu osiedli w Hamburgu, zachowali stare procedury. Myślę, że to zwykły brak elastyczności.

Fabel zrobił krótką pauzę, zauważywszy, że do sali weszła Astrid Bremer, która stanęła przy drzwiach, za plecami pozostałych uczestników spotkania.

– Tak czy inaczej – kontynuował – udało nam się namówić do współpracy magazyn „Muliebritas”. Dadzą nam trochę miejsca w następnym numerze, który ma się ukazać już w przyszłym tygodniu, więc musimy szybko przygotować wiadomość. Wygląda na to, że nie mieli jakiegoś stałego punktu spotkań, umawiali się w różnych miejscach. Łączy je tylko to, że wszystkie znajdują się na otwartej przestrzeni, w miejscach publicznych. Z jednej strony chodziło pewnie o to, żeby przed spotkaniem mogła sprawdzić otoczenie, a z drugiej o to, żeby dokoła było dość innych ludzi, by nie rzucać się zanedo w oczy. Wszystkie spotkania, o których nam wiadomo, odbywały się w Altonie albo w centrum Hamburga.

– Może Rathausplatz, przed ratuszem? – zaproponowała Anna. – Moglibyśmy postawić kogoś w każdym rogu i przy wejściu do metra.

– Myślę, że dla Walkirii byłoby to odrobinę zbyt tłoczne miejsce. Drescher wybierał zawsze jakieś spokojniejsze zakątki, popularne, ale nie zatłoczone. Poza tym, gdyby doszło do strzelaniny, mogliby zginąć niewinni ludzie.

– Więc może Altona Balkon? – podsunął Werner.

– Zdaje się, że Drescher już tam się kiedyś umówił. Tak, to było nawet ich ostatnie spotkanie.

– A co myślisz o Alsterpark, niedaleko miejsca, w którym kiedyś mieszkałeś, szefie? – spytała ponownie Anna. – Wiesz, nad brzegiem Außenalster. Można by to dość łatwo zabezpieczyć, a przy tym mielibyśmy się gdzie ukryć.

Fabel zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Brzmi rozsądnie. Ktoś ma jakieś zastrzeżenia?

Nikt nie miał.

– Świetnie. – Fabel skinął głową, po czym zwrócił się do Wenera: – Zasyfrujmy następującą wiadomość i rozrzućmy litery w trzech ogłoszeniach, jak robił to Drescher: Alsterpark w Fährdamn. Jedenasta trzydzieści, środa. To oznacza, że mamy tydzień na przygotowanie pułapki. Przez ten czas ja pogrzebię trochę w sprawie Gorana Vujačića. To jego przedwczesna śmierć sprowadziła Jespersena do Hamburga. – Odwrócił się do Vestergaard i powiedział po angielsku: – Chciałbym, żebyś zajęła się tym ze mną, jeśli nie masz nic przeciwko. A także żebyśmy oboje poszli na spotkanie z Giną Brønsted. Grupa NeuHansa bezustannie przewija się w tle tych morderstw.

Kiedy Fabel przydzielił już członkom zespołu różne zadania, podeszła do niego Astrid Brimer. Wyglądała niezwykle młodo i dziewczęco, a Fabel nie potrafił sobie przez chwilę wyobrazić, że specjalizuje się w badaniu śmierci.

– Zdaje się, że coś znalazłam – powiedziała.

– W domu Sparwalda? – spytał z nadzieją Fabel.

– Nie, w mieszkaniu Dreschera. Mamy specjalistę od daktyloskopii, który potrafi odczytać odciski nawet z bardzo słabych albo starych śladów. Znalazłam paczkę Rondo Melange, popularnej kawy z Niemiec Wschodnich. Zdziwiłam się trochę, że człowiek, który tak bardzo stara się ukryć przed światem swoją przeszłość i udaje Niemca z zachodnich landów, trzyma w szafce coś takiego. Przed chwilą skontaktował się ze mną ten facet od odcisków palców. Znaleźliśmy ślad, który nie należał do Dreschera.

– Kawa była prezentem?

– Pomyślałam o tym samym. – Astrid skinęła głową. – Prezentem od kogoś, kto znał prawdziwe pochodzenie Dreschera. A mogła to być tylko jedna osoba...

Fabel wszedł właśnie do biura, żeby zabrać płaszcz, kiedy zadzwonił telefon.

– Halo, nadkomisarz Fabel? Mówi doktor Lüttig, Thomas Lüttig z SkK Biotech. Słyszałem o Ralfie... Przyszedł do nas jeden z pańskich ludzi. Młoda kobieta.

– Komisarz Wolff, tak. Przykro mi, że taki właśnie los spotkał doktora Sparwalda. Wiem, że cenił go pan jako współpracownika.

– Był także moim przyjacielem, panie nadkomisarzu. Ale do rzeczy: pozwoliłem sobie zadzwonić, bo natknąłem się na coś dziwnego, a prosił pan, żebym informował o takich zdarzeniach. Kiedy dowiedziałem się o śmierci Ralfa, przejrzałem po południu jego rzeczy. Jest wśród nich coś... zastanawiającego. Wygląda na to, że Ralf prowadził jakieś badania na własną rękę, bez oficjalnej akceptacji firmy. Coś w rodzaju prywatnego przedsięwzięcia.

– Tak? – Fabel sięgnął do szuflady i wyjął notes. – Co to było za przedsięwzięcie?

– Z tego, co widziałem, badał próbki krwi. Niewiele, tylko trzy, każda od innego dawcy. Znalazłem te próbki i trochę dokumentów. Wygląda to naprawdę dziwnie.

– Dlaczego?

– To były bardzo specyficzne badania. Wydaje się, że Ralf szukał PBDE. Poza tym wykonywał te badania samodzielnie i nie prowadził odpowiedniej dokumentacji. Ale znalazłem notatki odnoszące się do poszczególnych próbek. Pierwsza z nich brzmiała: kobieta, dwadzieścia dwa lata, prowincja Hunan.

– Chiny... – mruknął Fabel, raczej do siebie niż do Lüttiga.

– Tak. Ale druga próbka nie pochodzi z Chin. Napis brzmiał: kobieta, dwadzieścia dwa lata, Bitola.

– Bitola?

– Sprawdziłem w internecie. To miasto w Macedonii, bardzo uprzemysłowione.

– A czym właściwie jest to PBDE? – spytał Fabel.

– To polibromowane etery difenyłowe. Używa się ich do produkcji materiałów niepalnych. I do tysiąca innych rzeczy. Ostatnio dużo się mówi o ich toksyczności.

– Powiedział pan, że były trzy próbki. Czy ta trzecia też

została opisana?

– Tak. Właśnie ta trzecia próbka niepokoi mnie najbardziej. Należała do człowieka z prowincji Hunan, podobnie jak pierwsza. Była to nie tylko próbka krwi, ale i tkanki ludzkiej. Z opisu badań wynika, że to fragment tarczycy. Co oznacza, że musiała zostać pobrana już po śmierci dawcy. Jest coś jeszcze.

– Co takiego?

– Rezultaty badań wskazują, że poziom PBDE w tych próbkach jest wręcz astronomiczny.

– Czy to mogło mieć jakieś skutki dla ich zdrowia? – spytał Fabel. – Mogło doprowadzić do ich śmierci?

– Owszem. Jak już wspominałem, to materiał bardzo toksyczny, trzeba mieć specjalną licencję, żeby go usuwać. Wciąż nie wiadomo do końca, jakie niesie zagrożenia, ale podejrzewa się, że prowadzi do problemów z tarczycą i całym układem hormonalnym, a nawet uszkodzeń neurologicznych.

– Dziękuję, to może okazać się przydatne, doktorze Lüttig. – Fabel przerwał na moment, po czym spytał: – A przy okazji, czy mówi panu coś imię „Olaf”? Może Ralf Sparwald miał jakiegoś znajomego o takim imieniu?

– Nie, nikt nie przychodzi mi do głowy. Czy to ważne?

– Pewnie nie – odparł Fabel.

Nie lubił typowych ludzi biznesu.

Bez względu na to, jak wysoko stali w korporacyjnej hierarchii, zdaniem Fabla pozbawieni byli jakiejś istotnej części osobowości. Niedawno leciał do Frankfurtu na spotkanie z policjantami z tamtejszego wydziału zabójstw. Fabel, ubrany w brytyjską sportową marynarkę, siedział w otoczeniu klonów w garniturach Hugo Bossa i czuł się niczym statysta w filmie *Gattaca*. Obiecał sobie wtedy, że prędeej palnie sobie w łeb ze swojego służbowego sig-sauera niż kupi telefon blackberry.

Czasami Fabel w ogóle nie potrafił ukryć pogardy dla tych swoich kolegów po fachu, którzy uważali policję za jeszcze jedną korporację i ubierali się w takim samym jednolitym stylu jak biznesmeni.

Lecz najbardziej irytowali Fabla ludzie z samego wierzchołka biznesowej hierarchii. Czasami zachowywali się tak, jakby

uważali się za kogoś w rodzaju średniowiecznych baronów. W pewnym sensie mieli rację: Hamburg zbudował swoją historię i niezależność na handlu. Magnaci tego hanzeatyckiego miasta niewolili swoich pracowników, przedsiębiorców, dostawców oraz znaczną część polityków. A wielu hamburskich polityków było jednocześnie ludźmi interesu.

Fabel wiedział z doświadczenia, że czołowi biznesmeni Hamburga uważają się za istoty wyższe i pozostające poza zasięgiem zwykłych śmiertelników, takich jak choćby policjanci.

Nie zdziwił się więc wcale, że musiał osobiście interweniować, by umówić się na spotkanie z Brønsted. Poprosił sekretarkę z Presidium, by zaaranżowała takie spotkanie, ale okazało się to praktycznie niewykonalne, jeden z niższych szczeblem pracowników grupy NeuHansa bez ustanku zbywał jej prośby.

– To żaden problem – powiedział Fabel, kiedy sekretarka Brønsted poinformowała go, że w ciągu najbliższych tygodni „nie ma takiej możliwości”. – Rozumiem, że pani Brønsted jest bardzo zajęta. Dziś wieczorem wyślę do jej domu radiowóz, który przywiezie ją do Presidium. Może być pani pewna, że poinformuję ją też, jak bardzo chroni pani jej czas pracy.

Chwilę później okazało się, że Gina Brønsted jednak znajdzie dla niego wolną chwilę, i to jeszcze tego samego popołudnia. Gdy tylko Fabel potwierdził godzinę spotkania, zadzwonił do Hansa Gesslera z wydziału przestępczości gospodarczej i spytał, czy mógłby mu towarzyszyć.

– Zabierzesz ze sobą tę Małą Syrenkę? – spytał Gessler.

– O kim ty mówisz? – zdumiał się szczerze Fabel.

– O tej duńskiej ślicznotce, do której podobno tak się przywiązałeś.

– Jeśli masz na myśli *Politidirektør* Karin Vestergaard, to rzeczywiście pójdzie z nami. Gina Brønsted jest Dunką z Flensburga, więc pomyślałem, że warto ją ze sobą zabrać. Poza tym *Politidirektør* Vestergaard jest bezpośrednio zainteresowana tą sprawą.

– W porządku, możesz na mnie liczyć – odparł Gessler.

Biorąc pod uwagę, ile zachodu kosztowało go zaaranżowanie

spotkania z Giną Brønsted, Fabel był ogromnie zaskoczony, gdy w recepcji Presidium wręczono mu wiadomość, że szuka go biuro Giennadija Frołowa, który chciał z nim porozmawiać. Rosjanin nie znajdował się na liście osób, z którymi Fabel zamierzał się spotykać, ale zanotował w pamięci, że po powrocie powinien do niego zadzwonić.

Biura grupy NeuHansa mieściły się w zupełnie nowym budynku w HafenCity. Fabel zabrał Gesslera i Vestergaard z Presidium, po czym ruszył przez miasto w stronę Łaby. Przejechali przez krótki most wspornikowy do Speicherstadt.

– Niesamowite. – Vestergaard pokręciła głową, gdy znaleźli się w labiryncie wąskich brukowanych uliczek, olbrzymich magazynów z czerwonej cegły i sieci kanałów.

– Do niedawna Speicherstadt było strefą wolnocłową – wyjaśnił usłużnie Gessler, pochylając się do Vestergaard z tylnego siedzenia. – Zdaje się, że znieśli to w dwa tysiące czwartym. Aż do tamtej pory Speicherstadt było niezależnym portem i największą na świecie strefą składów celnych.

Gessler był dość niskim, ale przystojnym mężczyzną po czterdziestce, który uchodził za bawidamka. Kiedy Fabel zabierał go z Presidium, zauważył, że kolega jest ubrany w garnitur Hugo Bossa i pisze coś na swoim blackberry.

Zauważył też, że jego oczy zapłonęły jaśniej, gdy tylko przedstawił go Karin Vestergaard. Jej oczy pozostały zimne jak lód.

– Ostatnio bardzo dużo się tutaj buduje – dorzucił Fabel. – Między innymi Hanzeatyckie Centrum Handlu i Hafen City. Gina Brønsted umieściła główną siedzibę grupy NeuHansa w jednym z największych i najnowszych budynków. Plotka głosi, że na samej górze biurowca urządziła sobie penthouse za trzystaście milionów euro.

Przejechali przez Speicherstadt i znaleźli się w HafenCity. Zewsząd otaczały ich ściany szkła i metalu, wydawało się jednak, że dołożono pewnych starań, by zachować duch starego Speicherstadt w architekturze dwudziestego pierwszego wieku.

– Imponujące – stwierdziła Vestergaard.

– To jeszcze nie wszystko – poinformował ją Gessler. –

Wkrótce wybudują tu operę, która ma konkurować z operą w Sydney, Elbphilharmonie.

– Jak chcesz to rozegrać, Janie? – spytała Vestergaard, jakby wcale nie słyszała Gesslerera.

– Spytam ją o Lenscha, jej pracownika, i o Claasensa z firmy transportowej. Spotkała się też z Westlandem tej samej nocy, kiedy zginął. To wszystko jest dość... zagadkowe. Jest Dunką z Flensburga, chyba już ci o tym mówiłem, co znaczy, że uznaje się ją za osobę narodowości niemieckiej, ale należy do duńskiej mniejszości, a duński to jej pierwszy język. Jeśli będę miał jakieś problemy, możesz się wówczas włączyć. Tobie też zostawię pytania o Jespersena. – Fabel odwrócił lekko głowę, zwracając się do Gesslerera: – Hans, wyczuwam tu jakąś grubszą aferę. Nie twierdzę, że Brønsted jest bezpośrednio zamieszana w te morderstwa, ale NeuHansa zawsze przewija się w tle.

– Ja nie przesłuchuję ludzi, Janie, przeglądam dokumenty i dane w komputerach. Jeśli coś łączy te morderstwa z grupą NeuHansa, znajdę to w dokumentacji. To może być coś, co na pierwszy rzut oka wygląda całkiem niewinnie, ale wskaże nam właściwy kierunek. Muszę mieć dostęp do ich akt. Kiedy będziesz mnie przedstawiał, nie mów, z jakiego jestem wydziału, chyba że sama o to spyta.

– Zgoda.

Fabel otworzył drzwi i wysiadł z samochodu, Gessler i Vestergaard poszli w jego ślady. Nagle usłyszał, jak Gessler wydaje z siebie przeciągły, pełen aprobaty gwizd. Odwrócił się w jego stronę, niemal pewien, że uwodzicielski policjant patrzy z podziwem na nogi Karin. Kiedy jednak powędrował za jego spojrzeniem, zobaczył smukły luksusowy jacht zacumowany przy nabrzeżu. Jacht przypominał bardziej statek kosmiczny, wyglądał jak długa biała igła z nadbudówką z czarnego szkła i wydłużonymi łukami. Na rufie statku stał helikopter.

– Wiem, co to jest – oświadczył Gessler. – „Królowa śniegu”. Dziewięćdziesiąt metrów po milion euro za metr.

– Jacht Giennadija Frołowa? – spytał Fabel, wciąż przyglądając się statkowi. Nie był żeglarzem i nie interesował się łodziami, ale musiał przyznać, że „Królowa śniegu” była

niespotykanie piękna.

– Tak. – Gessler skinął głową. – Przyjrzyj się dobrze, bo pewnie nieprędko będziesz miał okazję nacieszyć oczy takim cudem.

Weszli do budynku grupy NeuHansa. Recepcjonistka, która wyglądała tak, jakby sprowadzono ją tu z agencji modelek, a nie ze szkoły handlowej, poprosiła, by poczekali w obszernym atrium. Usiedli na jednej z kilkunastu skórzanych sof, z których każda wyglądała co najmniej na kilkakrotnie droższą od tej, którą Fabel i Susanne mieli w domu. Podobnie jak megajacht zacumowany kilkaset metrów dalej, to wewnątrz i jego wyposażenie miały oneśmielać bogactwem.

– Napijemy się czegoś, kiedy będzie już po wszystkim? – spytał Gessler. – Moglibyśmy przeanalizować tę rozmowę.

– Niestety, ja nie dam rady – odparł Fabel, choć dobrze wiedział, do kogo właściwie jest skierowane to zaproszenie. – Mam spotkanie w mieście.

– A ja muszę zrobić parę rzeczy dla mojego biura w Kopenhadze – powiedziała Vestergaard bez uśmiechu.

Dziesięć minut później recepcjonistka zawiozła ich windą na ósme piętro.

W rozległym otwartym biurze stało tylko kilka biurek, siedzieli przy nich mężczyźni i kobiety, którzy wyglądali tak, jakby sprowadzono ich z tej samej agencji co recepcjonistkę. Kolejna manifestacja bogactwa: niewykorzystana powierzchnia biurowa w jednym z najatrakcyjniejszych i najdroższych punktów Hamburga. Po chwili Fabel, Gessler i Vestergaard znaleźli się w zamkniętym biurze. Było olbrzymie i luksusowe, przypominało raczej apartament hotelowy niż miejsce pracy. Wysoka, szczupła kobieta około czterdziestki wyszła zza olbrzymiego biurka, dając im w ten sposób do zrozumienia, że powinni usiąść na sofach ustawionych wokół stolika do kawy. Gdyby Fabel miał opisać urodę Giny Brønsted, powiedziałby, że jest przystojna. Atrakcyjna, ale jednocześnie nieco zbyt męska, głównie za sprawą bardzo mocno zarysowanej brody. Miała jasne włosy, przycięte dość krótko, ale w sposób, który nieco łagodził ostrość jej rysów. Każdy element jej wyglądu

i ubioru – włosy, kremowa marynarka i spódnica, dopasowane buty, prosta błękitna bluzka – był pełen prostoty i smaku, a zarazem podkreślał wyraźniej jej zamożność. Fabel uzmysłowił sobie, że patrzy na wcielenie luksusu, którego wyrazem był również jacht zacumowany nieopodal biurowca.

– Pani Brønsted? – spytał, nie ruszając się z miejsca.

– Witam, panie Fabel. – Uśmiechnęła się i podała mu dłoń. – Proszę usiąść. Pan wybaczy na chwilę. – Podeszła do drzwi i powiedziała coś do kobiety, która wprowadziła ich do biura.

– Poprosiłam Svenda Langstrupa, żeby do nas dołączył. Pan Langstrup odpowiada za kwestie bezpieczeństwa, a przy tym należy do mojego zespołu radców prawnych.

W odpowiedzi Fabel przedstawił Karin Vestergaard i Hansa Gessler. Trzymając się wcześniejszych ustaleń, nie powiedział, że Gessler pracuje w wydziale przestępczości gospodarczej.

Usłyszawszy nazwisko Vestergaard, Gina Brønsted uśmiechnęła się szeroko i zaczęła mówić po duńsku. Po krótkiej rozmowie zwróciła się do Fabla:

– Przepraszam, rzadko mam okazję rozmawiać w ojczystym języku.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko, ze względu na panią Vestergaard będziemy rozmawiać po angielsku.

– To nie będzie konieczne – odpowiedziała Dunka po niemiecku, z lekkim tylko obcym akcentem. – Myślę, że jakoś sobie poradzę.

Przez moment Fabel wpatrywał się w nią w osłupieniu.

– Dobrze... – wykrztusił w końcu. Potem roześmiał się cicho i pokręcił głową. – To nam zaoszczędzi sporo czasu.

– Muszę przyznać, panie Fabel, że domyślałam się, o czym chce pan ze mną rozmawiać. Już raz przez to przeszłam, kiedy zjawiała się tutaj ta irytująco natarczywa dziennikarka z HanSat TV.

– Sylvie Achtentagen? – Fabel pokręcił głową z niedowierzaniem. – Była tu?

– Igra z losem. Przypomniałam jej, że mam większość udziałów w stacji, dla której pracuje. Muszę przyznać, że to wyjątkowo arogancka osoba.

– Wiem coś o tym – mruknął Fabel. W tym momencie do biura wszedł wysoki ciemnowłosy mężczyzna około czterdziestki, który uśmiechnął się do wszystkich na powitanie. Był szczupły, ale barczysty. Miał krzywo zrośnięty nos i bliznę na czole, tuż nad okiem. Zdaniem Fabela nie wyglądał na radcę prawnego, chyba że procesy sądowe toczyły się w Danii na ringu bokserkim. Mężczyzna przedstawił się jako Langstrup i usiadł.

– Zajmuje się pan bezpieczeństwem pani Brønsted? – spytał Fabel.

– Tak, między innymi – odparł Langstrup bez cienia duńskiego akcentu, którego spodziewał się Fabel, pewien, że doradca Brønsted jest niemieckim Duńczykiem, jak ona sama. – Pani Brønsted zdobywa coraz mocniejszą pozycję w polityce i odnosi duże sukcesy w interesach, dlatego jej bezpieczeństwo może być zagrożone.

– Mówi pan o realnych zagrożeniach? – spytała Vestergaard.

– Na razie tylko potencjalnych, ale należy zachować czujność.

– Przyszliśmy tutaj, żeby porozmawiać o kilku zgonach, do których doszło w ostatnim czasie. Wszystkie mają jakiś związek z grupą NeuHansa. Nie zawsze bezpośrednio, ale w każdym z nich można się dopatrzeć jakiegoś powiązania.

Gina Brønsted zmarszczyła brwi.

– Jeśli tylko będziemy mogli jakoś pomóc, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Kandyduje pani na stanowisko pierwszego burmistrza, pani Brønsted?

– Wszyscy o tym wiedzą. Nie rozumiem...

– Czy mogłaby nam pani coś powiedzieć o swoim programie politycznym? – pytał dalej Fabel.

– Naprawdę nie widzę związku – wtrącił Langstrup.

– Proszę zaspokoić moją ciekawość – zwrócił się Fabel do Brønsted, ignorując Langstrupa. – Powiedzmy, że jestem niezdecydowanym wyborcą.

– Moja platforma polityczna jest bardzo podobna do tej, na której zbudowałam swój biznes. Europa się jednoczy, wkrótce zamieni się w federację, a jej potęga ekonomiczna przyćmi

potęgę Stanów Zjednoczonych, a nawet wschodzących supermocarstw, takich jak Chiny czy Indie. Już teraz stanowi niemal jedność pod względem gospodarczym i handlowym. To oznacza, że stare granice państwowe tracą znaczenie, a tworzy się szansa budowy nowych ponadnarodowych sojuszy. Nie jestem niemieckim politykiem. Jestem hamburskim politykiem. Dlatego właśnie chciałabym wchodzić w sojusz z innymi miastami północnej Europy i stworzyć świetnie prosperujący układ biznesowy, jakiego nie są w stanie stworzyć rządy poszczególnych państw.

– Coś w rodzaju Ligii Hanzeatyckiej. – Fabel pokiwał głową.
– Stąd nazwa NeuHansa.

– Liga Hanzeatycka od dawna nie istnieje. Hamburg przyjął nazwę wolne hanzeatyckie miasto Hamburg półtora wieku po tym, jak liga przestała odgrywać jakąkolwiek rolę gospodarczą czy polityczną. Ale idea przeżyła. Wciąż można ją dzisiaj zobaczyć, właśnie tutaj, wokół nas. Gdyby idea Hanzy nie przetrwała w psychice hamburczyków, nie zbudowano by tutaj Speicherstadt. A Hafen City jest kolejnym przykładem hamburskiej niezależności i przedsiębiorczości.

Brønsted mówiła z siłą, ale zdaniem Fabla bez prawdziwej pasji. Uświadomił sobie, że słucha czegoś w rodzaju prezentacji programu politycznego partii. Cóż, przecież sam o to prosił.

– Dziesięć, piętnaście lat temu – kontynuowała Brønsted – gdy reszta Europy, zapatrzona we własny pępek, zastanawiała się nad przyszłością światowej gospodarki, Hamburg zrozumiał, że Chiny i cały Daleki Wschód, a także Europa Wschodnia, dają ogromną szansę rozwoju handlu na wielką skalę. Zabraliśmy się więc do pracy i stworzyliśmy infrastrukturę, która pozwoliła nam skorzystać z tej szansy. Proszę tylko spojrzeć, co dzieje się zaledwie kilkaset metrów stąd, w Sandtorhafen. Olbrzymi obszar HafenCity obsługujący wyłącznie handel z Chinami. Czy wie pan, że spośród niemal jedenastu milionów kontenerów, które w tym roku przyjmie port w Hamburgu, co piąty przybędzie z Chin albo zostanie tam wysłany? Mój program jest prosty. Hamburg potrzebuje wolności i niezależności, by osiągnąć prawdziwy sukces, by

stworzyć sojusze z innymi miastami położonymi nad Bałtykiem. Wspólnymi siłami możemy prześcignąć wszystkie inne obszary handlowe świata.

– W teorii wygląda to bardzo ładnie – rzekł Fabel. – Ale jak sama pani powiedziała, Liga Hanzeatycka w końcu upadła.

– Istniała w takiej czy innej formie niemal przez trzysta lat, panie Fabel. Była europejskim supermocarstwem, oczywiście raczej handlowym niż militarnym. Dysponowała potencjałem militarnym, ale prawie nigdy z niego nie korzystała. Wojna szkodzi interesom. Myślę, że to całkiem dobry model przyszłości Europy.

– Jest pani Dunką – zauważyła Karin Vestergaard – co prawda niemiecką Dunką, ale z pewnością wie pani, że nieograniczony kapitalizm nie pasuje do duńskiego charakteru. Mimo to włącza pani do swoich planów Kopenhagę.

– Tu wcale nie chodzi o nieograniczony kapitalizm – zaprotestowała Brønsted. – Chodzi o tworzenie bogactwa i dzielenie się nim. O kapitalizm połączony z socjaldemokracją. Trudno chyba o bardziej duński ideał.

– Jestem pewien, że nie przyszli tu państwo, żeby rozmawiać o programie politycznym partii NeuHansa – powiedział Langstrup. Fabel zauważył, że doradca Brønsted ma małe, bezlitosne oczy.

– Może mi pani powiedzieć, co pani wie o Arminie Lenschu?
– Fabel spytał Ginę Brønsted. – O tym młodym człowieku, który pracował w dziale eksportu.

– Nic. – Brønsted wzruszyła ramionami. – Zatrudniam ponad tysiąc osób. Oczywiście byłam poruszona, kiedy dowiedziałam się o jego śmierci. I o tym, jak umarł. Ale nawet nie słyszałam tego nazwiska, dopóki nie poinformowano mnie, że ostatnią ofiarą Anioła z St. Pauli był mój pracownik.

– Czy moglibyśmy rzucić okiem na dokumenty, którymi zajmował się ostatnio Armin Lensch? – spytał Gessler z czarującym uśmiechem. – To mogłoby nam pomóc w rozwiązaniu tej sprawy.

– W jaki sposób? – zdziwił się ostentacyjnie Langstrup. – Przecież jego śmierć na pewno nie była związana z jego pracą.

– Skąd ta pewność? – spytał Fabel, unosząc brwi.

– Zginął z rąk seryjnego zabójcy, który całkiem przypadkowo dobiera ofiary.

– Wydaje mi się, że jednak nie całkiem przypadkowo – odparł Fabel, nie spuszczać oka z Giny Brønsted. – Wcale nie mamy pewności, że to właśnie tak zwany Anioł z St. Pauli zabił Lenscha. A jeśli pan sobie życzy, załatwimy nakaz sądowy i tak czy inaczej zobaczymy jego dokumenty.

– To nie będzie konieczne – wtrąciła Brønsted, a Fabel miał wrażenie, że zerknęła ostrzegawczo na Langstrupa, jakby chciała powiedzieć: „Udawaj, że współpracujesz”. – Proszę nam tylko powiedzieć, co chcielibyście państwo obejrzeć.

– Nie dowiemy się, póki tego nie zobaczymy – odpowiedział jej Gessler. – Więc najlepiej będzie, jak przejrzymy wszystko.

– Widziałem jacht Giennadija Frołowa, „Królową śniegu”, zacumowany przy nabrzeżu. Prowadzi pani z nim interesy? – spytał Fabel.

– Jacht jest tutaj, bo to nabrzeże przeznaczone dla prywatnych jednostek o takich rozmiarach. Ale owszem, utrzymuję kontakty z panem Frołowem. Interesuje mnie stocznia, która zaprojektowała i zbudowała „Królową śniegu”.

– Vantage North? – spytała Vestergaard.

– Tak, Vantage North – odparła Brønsted z udawanym podziwem. – Widzę, że dobrze się pani przygotowała.

– A czy poza tym łączą panią z Frołowem jeszcze jakieś interesy? – dopytywał się Fabel.

– Prawdę mówiąc, prowadzimy właśnie negocjacje w sprawie wspólnego projektu, związanego z ochroną środowiska.

– Przez pani firmę Norivon?

– Tak. Skąd to zainteresowanie panem Frołowem?

– Zna pani Petera Claasensa, agenta eksportowego?

– Oczywiście, że znam... znałam. Słyszałam o jego samobójstwie. Firma Claasens Exporting współpracowała z nami kilkakrotnie.

– Spotkała go pani kiedyś osobiście?

– Raz czy dwa. Na jakichś oficjalnych uroczystościach, przyjęciach firmowych czy wystawach. – Brønsted uśmiechnęła

się uprzejmie, wbijając w Fabela spojrzenie swych błękitnych oczu. Starła się, by wyglądały jak oczy niewiniątka, ale nadkomisarz dostrzegł w nich zniecierpliwienie. Irytację. Ledwie ślad tych emocji, ale wystarczająco wyraźny.

– Spotkała się też pani z Jakiem Westlandem tej samej nocy, kiedy został zamordowany, zgadza się?

– Tak. Przed koncertem. Miał się pojawić na przyjęciu po koncercie, ale w końcu tam nie dotarł.

– O czym państwo rozmawiali? – spytała Vestergaard. Fabel nie mógł uwierzyć, jak dobrze Vestergaard posługuje się niemieckim.

– O koncercie. O organizacji charytatywnej, Sabine Charity, dla której przeznaczono zyski z koncertu. Nie pamiętam już dokładnie, to była zwykła pogawędka o wszystkim i o niczym.

– Czy powiedział albo zrobił coś, co wydało się pani dziwne?

– spytał ponownie Fabel. – Może wydawał się czymś zaabsorbowany albo roztargniony?

– Nie... – Brønsted zmarszczyła brwi, udając w przerysowany sposób, że próbuje sobie przypomnieć tę rozmowę. – Nie, niczego takiego nie zauważyłam.

– W porządku. – Fabel skinął głową, jakby odkreślał w myślach kolejne nazwisko z listy. – Kolejny pracownik, kolejna śmierć...

– Ralf Sparwald? – wtrącił Langstrup, który przysłuchiwał się uważnie rozmowie.

– Ralf Sparwald – potwierdził Fabel, wciąż wpatrzony w Brønsted.

– Obawiam się, że jego też nie znałam. Słyszałam o tym morderstwie. Czy to ma jakiś związek z Arminem Lenschem?

– A więc podsumujmy... – mówił Fabel, ignorując ostatnie pytanie. – Tak naprawdę nie znała pani Jake'a Westlanda, który zginął kilka godzin po tym, jak z panią rozmawiał. Nie znała pani Armina Lenscha, który także zginął w St. Pauli, i który pracował dla pani. W gruncie rzeczy nie znała pani Petera Claasensa i spotkała go tylko raz czy dwa, choć był agentem eksportowym, który pracował na zlecenie pani firmy. On także zginął tragicznie. I oczywiście nie znała pani Ralfa

Sparwalda, kolejnego pracownika pani korporacji, który został zamordowany w swoim domu.

Langstrup pochylił się do przodu i wbił w Fabela groźne spojrzenie.

– Jeśli ma pan jakieś konkretne zarzuty wobec pani Brønsted, to proszę je przedstawić. Ale jeśli nadal będzie pan wygłaszał te insynuacje, będziemy zmuszeni zakończyć tę rozmowę. Proszę nie zapominać, że pani Brønsted kandyduje na stanowisko pierwszego burmistrza.

Fabel milczał przez chwilę, przypatrując się Ginie Brønsted, która również zachowywała obojętne milczenie.

– Wyjaśnijmy sobie coś – powiedział w końcu, zwracając się do Langstrupa. – Po pierwsze, prowadzę śledztwo w sprawie serii morderstw i to ja decyduję, kiedy skończy się ta rozmowa. Bardzo chętnie potraktuję ją jako oficjalne przesłuchanie i każę państwa przewieźć do wydziału zabójstw. Po drugie, podobno odpowiada pan za bezpieczeństwo w grupie NeuHansa. Czy nigdy nie wydało się panu dziwne, że tylu ludzi związanych z państwa firmą spotyka przedwczesna śmierć? Wasz fundusz emerytalny oszczędza w ten sposób fortunę.

– Owszem, zastanowiło mnie to. – Langstrup skinął głową. – Zajęliśmy się tą sprawą. Moi ludzie nie znaleźli żadnego związku między tymi zgonami a firmą. Czysty przypadek. Grupa NeuHansa zatrudnia tysiące ludzi, współpracuje z setkami firm zewnętrznych. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego.

Fabel roześmiał się z niedowierzaniem.

– Kilka lat temu ścigałem seryjnego zabójcę, który miał obsesję na punkcie baśni. Muszę panu powiedzieć, panie Langstrup, że ten człowiek miał większy kontakt z rzeczywistością niż pan, jeśli naprawdę pana zdaniem powiązania wszystkich tych morderstw z grupą NeuHansa to czysty przypadek.

– Cóż, nie wszystkie morderstwa miały związek z NeuHansa...

– O czym pan mówi? – spytał Fabel.

Langstrup wyraźnie się zmieszał.

– Och, chwileczkę... ma pan rację. Myślałem, że śmierć Petera Claasensa nie ma z tym nic wspólnego... Zapomniałem, że współpracował z nami.

– Rozumiem – odparł Fabel, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z Vestergaard.

– Pan nadkomisarz ma rację – powiedziała Brønsted do Langstrupa. – Powinniśmy w pełni współpracować z policją.

– Oczywiście. – Langstrup uśmiechnął się cierpko.

Fabel poprosił, by zapewniono Hansowi Gesslerowi pełen dostęp do dokumentów firmy. Brønsted zapewniła ich oczywiście, że NeuHansa udzieli im wszelkiej możliwej pomocy, i poleciła Langstrupowi, by spełnił wszystkie żądania Gesslerera.

– Jeszcze jedno, pani Brønsted – powiedział Fabel. – Czy mówi pani cokolwiek nazwa Walkiria? – Obserwował uważnie jej twarz, wypatrując jakiejś znaczącej reakcji. Brønsted zmarszczyła tylko brwi.

– Nie rozumiem... Oczywiście, że znam to określenie z germańskiej mitologii, dzieł Wagnera i tak dalej... Kojarzę też zamach na Hitlera...

– Nie, chodzi mi raczej o kontekst biznesowy. Czy NeuHansa miała cokolwiek wspólnego z osobą lub firmą noszącą to imię?

Brønsted wydeła usta i pokręciła głową.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale mogę to sprawdzić, jeśli pan sobie życzy.

– Czy kiedykolwiek słyszała pani o którejś z tych trzech kobiet: Margarethe Paulus, Liane Kayser i Anke Wollner?

– Nie kojarzę żadnej z nich.

Fabel nie potrafił niczego wyczytać z twarzy Brønsted. Zastanawiał się przez moment, czy spytać ją o Georga Dreschera i przekonać się, jak zareaguje na to nazwisko, ale zrezygnował z tego pomysłu. Bardziej zależało mu na zachowaniu tej sprawy w tajemnicy.

Pozostała część rozmowy dotyczyła bardziej szczegółowych kwestii – nad czym pracował Ralf Sparwald, z kim jeszcze rozmawiał Westland podczas przyjęcia przed koncertem, dlaczego niektóre aspekty działalności Norivonu i SkK BioTech

pokrywały się ze sobą – wszystkiego, co zdaniem Fabela mogło wywołać jakąś żywszą reakcję Brønsted lub Langstrupa. Po godzinie nadkomisarz wstał i podziękował Ginie Brønsted za rozmowę.

Gdy tylko wyszli z biurowca NeuHansy, Fabel wziął głęboki oddech.

– Hans – powiedział do Gesslera, wpatrzony w luksusowy jacht. – Wszystkie dokumenty NeuHansa, wszystkie bazy danych, wszystkie transakcje, chcę, żebyście sprawdzili tę firmę od podszewki, każdy najdrobniejszy szczegół. Porozmawiam z górą i załatwię ci tyłu ludzi i czasu, ile trzeba.

– Jasne, spodziewałem się tego. Jeśli cokolwiek przed nami ukrywają, znajdziemy to. Pewnie już domyślasz się, kto wynajął Walkirię? Albo zlecił zabójstwo Drescherowi?

– Langstrup się wygadał – odparł Fabel. – Oczywiście, że jedno z morderstw nie jest związane z grupą NeuHansa.

– Morderstwo Dreschera – wtrąciła Vestergaard.

– Otóż to. A na razie nie ujawnialiśmy żadnych informacji na ten temat. Nie wie o tym nikt poza ludźmi z wydziału zabójstw. Co oznacza, że Langstrup mówił o morderstwie, które teoretycznie jeszcze nie zostało popełnione.

– Pozostaje tylko pytanie, czy to Langstrup buduje swoje małe imperium w obrębie NeuHansy, czy też za wszystkim stoi Gina Brønsted – rzekła Vestergaard.

– Trudno powiedzieć – mruknął Gessler. – Langstrup wygląda na faceta, który nie da sobie w kaszę dmuchać. Ale jakoś nie wydaje mi się, żeby to on był mózgiem tego przedsięwzięcia.

– Mnie też nie – zgodził się z nim Fabel.

Kolejny pracowity dzień dobiegał końca. Fabel odwiózł Gesslera do Presidium, po czym zadzwonił do biura Giennadija Frołowa i umówił się na spotkanie za dwa dni. Sprawdziwszy, czy podczas jego nieobecności w wydziale zabójstw nie pojawiły

się jakieś nowe informacje, odwiózł Karen Vestergaard do jej hotelu.

– Wiesz, o co chcę cię spytać, prawda? – powiedział po angielsku, gdy jechali przez centrum miasta.

– Domyślam się.

– Masz nie lada tupet, zdajesz sobie z tego sprawę? Traktowałem cię z zaufaniem i życzliwością na każdym polu, zawodowym i osobistym. Przedstawiłem cię Susanne, spędziłaś z nami cały wieczór, utrzymując nas w przekonaniu, że musimy rozmawiać po angielsku. Muszę przyznać, że jesteś cholernie pojętna. W ciągu dwóch tygodni nauczyłaś się od podstaw obcego języka.

– *Übung mach den Meister*. Czy nie tak mówicie po niemiecku? Ćwiczenie czyni mistrza?

Vestergaard uśmiechała się szelmowsko, co zupełnie zbiło Fabla z tropu: nie licząc kilku chwil rozluźnienia, na które Karin pozwoliła sobie podczas posiłku z Susanne, po raz pierwszy w jego obecności zdjęła z twarzy maskę powściągliwości i powagi.

– Przepraszam, Janie – kontynuowała. – Masz rację, to było trochę nieuczciwe z mojej strony. Ale naprawdę wolę rozmawiać po angielsku.

– Nie wyglądało na to, żebyś miała jakiegokolwiek problemy z niemieckim. Gdzie nauczyłaś się tak mówić?

– Wychowałam się w Jutlandii Południowej, tuż za północną granicą Niemiec. Mój ojciec był przeciwnieństwem Giny Brønsted: podczas gdy ona jest duńską Niemką, on był niemieckim Duńczykiem. W domu mówił po niemiecku i w dialekcie Sonderjysk. Niemiecki był moim trzecim językiem, po angielskim w szkole.

– Cóż, widzę, że sporo zapamiętałaś z tamtych czasów.

– Powinam powiedzieć ci o czymś jeszcze... – zaczęła niepewnie.

– Wal.

– To nieprawda, że nigdy wcześniej nie byłam w Hamburgu. Pracowałam tu na wakacjach podczas studiów.

– Niech zgadnę: żeby szlifować swój niemiecki?

– Przepraszam.

– Samo w sobie nie ma to większego znaczenia, Karin, ale zawarliśmy przecież umowę: skąd mogę wiedzieć, co jeszcze przede mną ukrywasz?

– Poza tym byłam z tobą całkiem szczerą, Janie. Po prostu nie miałam pewności, czy ty jesteś szczerą ze mną. Pomyślałam, że jeśli nie będziesz wiedział, że znam niemiecki...

– Ma nadzieję, że teraz już mi ufasz – powiedział Fabel, zatrzymując się przed hotelem.

– Tak, ufam. Jesteśmy po tej samej stronie, Janie. Przysięgam.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1

Fabel nie miał żadnego konkretnego powodu, by jechać się napić aż na drugi koniec miasta, ale czuł potrzebę odwiedzenia baru, w którym bywał co jakiś czas, gdy mieszkał w Pöseldorfie. Właściwie sam nie wiedział, dlaczego do niego zatęsknił. Nigdy nie spędzał tu zbyt wiele czasu, choć z drugiej strony dobrze go tutaj znano, a barmani i inni klienci witali go skinieniem głowy i uśmiechem. W tamtym okresie była to dlań swego rodzaju ostoja, punkt odniesienia, który pomagał mu zachować tożsamość.

Usiadł na rogu baru, popijał piwo Jever i rozmyślał o kobietach. Choć wolałby nie przyznawać się do tego nawet przed samym sobą, dobrze wiedział, że to właśnie kobiety zawsze określały kierunek, w którym zmierzało jego życie. W najmniejszym nawet stopniu.

To właśnie za sprawą kobiety wybrał zawód policjanta.

Fabel uczęszczał na uniwersytet Carla von Ossietzky'ego w Oldenburgu, potem przeniósł się na uniwersytet w Hamburgu, gdzie studiował historię Europy. Nie należał raczej do typowych studentów i nie popełniał wszystkich grzechów młodości, jakich z przyjemnością dopuszczała się większość jego kolegów i koleżanek. Był jednak atrakcyjnym chłopcem i nie narzekał na brak powodzenia u dziewczyn. Jedną z nich była Hanna Dorn, koleżanka z roku i córka jednego z nauczycieli Fabla. Hanna była ładną, beztroską dziewczyną, która podobnie jak Fabel traktowała ich znajomość jako przelotną miłość. Oboje wiedzieli, że prawdopodobnie nie będą ze sobą długo, cieszyli się więc życiem tak, jak potrafią to robić tylko młodzi ludzie. Teraz, gdy Fabel myślał o twarzy Hanny, starał się przypomnieć sobie każdy jej szczegół. Gdyby nie stało się to, co się stało, zarówno

nazwisko Hanny, jak i jej twarz dawno już by wyblakły i przepadły gdzieś w otchłaniach jego pamięci.

Pewnego wieczoru, mniej więcej po dwóch tygodniach ich bliższej znajomości, Hanna wracała samotnie do swojego mieszkania. Wcześniej była na randce z Fablem, który jednak nie mógł jej odprowadzić, bo musiał przygotować jakąś pracę na następny dzień. Dziewczyna nigdy nie dotarła do domu.

Lutger Voss był trzydziestoletnim sanitariuszem w szpitalu w St. Georg. Jedyną rzeczą, która wyróżniała go spośród tłumu, była jego psychoza. Voss spotkał wracającą do domu Hannę i uprowadził ją.

Sekcja zwłok i materiał dowodowy wykazały, że Voss torturował i wielokrotnie gwałcił Hannę. Kiedy znaleziono jej ciało, policja hamburska przez długie godziny przesłuchiwała Fabla, który był nie tylko jej chłopakiem, ale i ostatnią osobą, która widziała ją przy życiu. W końcu został uznany za niewinnego, choć on sam nigdy nie uwolnił się od poczucia winy: praca domowa nie była powodem na tyle istotnym, by wyprawić Hannę samotnie w drogę do domu. Nawet teraz, dwadzieścia lat później, często budził się w nocy dręczony wyrzutami sumienia.

Lutger Voss trafił do strzeżonego szpitala psychiatrycznego trzy dni przed tym, jak Fabel ukończył studia. Następnego dnia Fabel złożył podanie o pracę w policji Hamburga.

Młody barman postawił przed nadkomisarzem nowe piwo, choć ten wcale go nie zamawiał. Gdy Fabel uniósł brwi w niemym pytaniu, barman wskazał na wysokiego, chudego mężczyznę z łysinką, który zmierzał w jego stronę.

– Spóźniłeś się – powiedział Fabel.

– A ty jak zwykle przesadzasz – odparł Otto Jensen z tym samym ujmującym uśmiechem, który Fabel zapamiętał ze studiów. – Albo masz doła. Ciekaw jestem, nad czym tak rozmyślasz, choć może lepiej, żebym nie wiedział.

– Myślałem o kobietach – odparł Fabel.

– Nie przejmuj się. – Otto znów uśmiechnął się od ucha do ucha. – To kwestia wieku. Kryzys wieku średniego jest jak dojrzewanie, tylko bez trądziku.

– Myślałem o Hannie Dorn.

Uśmiech znikł z twarzy Ottona.

– Hannie? Dlaczego właśnie o niej, po tylu latach?

– Otto, mój przyjacielu, nie ma tygodnia, żebym o niej nie myślał. Albo przynajmniej o tym, co się z nią stało.

Na chwilę przerwał im barman, który przyniósł pszeniczne piwo dla Ottona.

– Za każdym razem, gdy przesłuchuję zabójców kobiet, mam przed oczami Vossa – kontynuował Fabel, gdy barman się oddalił. – Gdy czytam raporty z sekcji zwłok zgwałconej i zamordowanej kobiety, myślę o Hannie. Gdyby nie jej tragedia, nigdy nie zostałbym policjantem. Nie podjąłbym pracy w wydziale zabójstw.

– A gdybym ja nie przeczytał Heinricha Bölla, nie poświęciłbym się książkom – odparł Otto. – Takie jest życie, Janie.

– Jak interesy? – spytał Fabel. Otto prowadził księgarnię w eleganckim centrum handlowym Arkaden.

– Jakoś dajemy sobie radę. W zeszłym tygodniu urządziłem promocję powieści autora science-fiction, który oświadczył, że jego następna książka nie trafi na nasze półki. Wydaje ją tylko w formie e-booka i audiobooka. Twierdzi, że wchodzimy w końcu w erę „społeczeństwa postliterackiego”, którego istnienie przewidziało wielu autorów science-fiction, łącznie z nim. Więc uważaj, być może i ja zatrudnię się w policji. – Otto pociągnął łyk piwa. – Dlaczego chciałeś umówić się właśnie tutaj? To już nie jest twój lokal.

– Dlatego myślałem o kobietach – odparł posepnie Fabel. – Pamiętasz, kiedy wprowadziłem się do Pöseldorfu?

– Po rozstaniu z Renate.

– Właśnie. Wiesz, lubię uważać siebie za wolnomyśliciela, człowieka niekierującego się dogmatami i bez uprzedzeń; człowieka, który potrafi spojrzeć na wszystko z dystansem. A to stek bzdur. W gruncie rzeczy jestem produktem środowiska, w którym wyrosłem: zwykłym, prowincjonalnym i przewidywalnym Niemcem o luterańskich korzeniach. Kiedy ożeniłem się z Renate, a potem pojawiła się Gabi, myślałem, to

jest to. To moje życie. Tak już będzie do końca. Potem, gdy Renate zostawiła mnie dla Behrensa, mój świat legł w gruzach. I trafiłem tutaj, do mieszkania na poddaszu, gdzie próbowałem jakoś odbudować sobie życie. A kiedy już tu się zadomowiłem, kiedy wydawało mi się, że wszystko sobie poukładałem, nagle spotykam Susanne, przenoszę się do Altony i znów żyję w związku.

– Rozumiem. – Otto pokiwał głową z udawanym współczuciem. – Te złe piękne kobiety odebrały ci wolność. Co to za życie, kiedy nie możesz siedzieć samotnie przed telewizorem i zjadać pizzy? Czyżbyś żałował, że związałeś się z Susanne?

– Nie, wcale nie. Chcę tylko powiedzieć, że na każdym etapie mojego życia jest jakaś kobieta, która definiuje ten etap i wpływa na moje decyzje. Hanna, Gisela Frohm...

– Prawdę mówiąc, Janie, nie wiem, do czego zmierzasz.

Fabel uśmiechnął się i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Nie rób takiej smutnej miny, Otto. Nie pasuje do ciebie. Ja tylko... sam nie wiem... chodzi chyba o tę sprawę, nad którą teraz pracuję. Wszystko kręci się wokół kobiet.

– No, jasne, Anioł z St. Pauli.

– Nie tylko. Jest coś więcej. Płatna zabójczyni, która prawdopodobnie mieszka tutaj, w Hamburgu. – Fabel zerknął na zdumioną minę przyjaciela. – O co chodzi?

– Ty... – Otto udawał, że nie może otrząsnąć się z szoku. – Nigdy nie rozmawiałeś ze mną o sprawach, nad którymi pracujesz. Nigdy.

– Na starość robię się niedyskretny. A jeśli nie mógłbym ufać tobie, Otto, to sam nie wiem, komu mógłbym ufać. – Fabel pociągnął kolejny łyk piwa. – Tak czy inaczej, wszystko, czym się w tej chwili zajmuję, ma jakiś związek z brutalnymi kobietami. A skoro już o brutalnych kobietach mowa, to Renate też nie daje mi ostatnio żyć.

– Dlaczego?

– Gabi powiedziała, że zastanawia się nad karierą w policji. Podobno to moja вина.

– Prawdopodobnie tak. Najlepiej z góry założyć, że to ty

jesteś wszystkiemu winien. W wypadku Elsy to działa. A swoją drogą, to na pewno miałaś na nią duży wpływ. Nic dziwnego, że zastanawia się teraz nad pracą w policji.

W rogu sali zwolniło się miejsce, odeszli więc od baru i przenieśli się do stolika. Fabel czuł, jak dzięki rozmowie z przyjacielem rozluźnia się z minuty na minutę. Otto był jednym z najbardziej niezdarnych i niezorganizowanych ludzi, jakich znał, lecz w tym dwumetrowym niewydarzonym i niezgrabnym wcieleniu chaosu krył się wyjątkowo przenikliwy i bystry umysł. Przypadli sobie do gustu już przy pierwszym spotkaniu, które stało się początkiem ich wieloletniej przyjaźni. Otto jak nikt inny potrafił przebić bańkę nadmiernej powagi, jaką otaczał się czasami Fabel.

W pewnym momencie uwagę nadkomisarza przykuł starszy mężczyzna stojący przy barze. Nadkomisarz wiedział, że skądś go zna, jednak nie mógł sobie przypomnieć skąd. Mężczyzna był ubrany dość swobodnie, lecz każdy element jego wyglądu wręcz emanował bogactwem: siwe włosy były perfekcyjnie przystryżone i ułożone, a sweter z niebieskiego kaszmiru, który narzucił niedbale na ramiona, musiał kosztować majątek. Nieznajomy zupełnie nie pasował do tego baru, Fabel przypuszczał jednak, że przyszedł tu na prośbę swojej towarzyszki, wyjątkowo ładnej kobiety, która była od niego niższa o kilka centymetrów i co najmniej o trzydzieści lat młodsza.

– Na pewno jest z nim ze względu na jego urodę i osobowość – powiedział Otto, spoglądając w tę samą stronę. – To się nazywa hipergamia, Janie: dobieranie partnerów o wyższej pozycji społeczno-ekonomicznej. Powinniśmy się cieszyć, że Elsa i Susanne nie były zbyt wybredne.

– Oni nie są parą – odparł Fabel. – Dla niego to tylko zabawka na kilka dni albo tygodni. Nie chodzi mi o nią, tylko o tego faceta. Jestem pewien, że już go gdzieś widziałem. Znasz go?

Otto sięgnął do kieszeni marynarki, nałożył okulary i pochylił się w stronę nieznajomego, wyrażając wzrok.

– Na miłość boską, Otto – parsknął Fabel, odciągając

przyjaciela do tyłu. – I ty mówisz, że gdybyś nie mógł sprzedawać książek, zostałbyś policjantem? Nie wiem, jak poradziłbyś sobie z prowadzeniem inwigilacji.

– Trzymałbym się zasady, że najciemniej jest po latarnią – odparł z uśmiechem Otto. – A tego faceta oczywiście znam. To znaczy nie osobiście, po prostu wiem, kim jest. Nazywa się Hans-Karl von Birgau. To jakaś gruba ryba, biznesmen i arystokrata. Choć nie mogę sobie przypomnieć, w jakiej branży prowadzi interesy. Pomogło ci to?

– Nie za bardzo. – Fabel zmarszczył brwi. – Ciągłe nie mogę sobie przypomnieć, gdzie go widziałem.

– Może źle zaparkował swojego roll-royce'a i dałeś mu mandat. – Otto roześmiał się głośno, ubawiony własnym dowcipem.

Starszy mężczyzna i jego młoda towarzyszka przeszli do stolika na tyłach baru, a Fabel wkrótce o nich zapomniał. Posiedział z Ottonem jeszcze przez godzinę, choć jak zwykle po dwóch piwach przerzucił się na Alsterwasser, słabe piwo z lemoniadą.

Gdy zbierali się już do wyjścia, Fabel zaproponował, że zamówi taksówkę i po drodze podrzuci Ottona do domu. Opuściwszy ciepłe wnętrza klubu, weszli prosto w zimną i wilgotną noc. Zimny wiatr smagał ich po twarzach zmrożonymi drobinami śniegu. Stanęli na skraju chodnika, zirytowani, że taksówka, którą Fabel zamówił wcześniej przez telefon, jeszcze nie przyjechała. Zauważył von Birgaua i jego młodą towarzyszkę, którzy wyszli za nimi z pubu. Chwilę później zamigotały światła nowiutkiego range rovera vogue, zaparkowanego nieco dalej, na skraju ulicy. Biznesmen i jego dziewczyna wsiedli do auta i odjechali.

– Może to jego córka – powiedział Otto z cierpkim uśmiechem.

Przed pubem zatrzymał się beżowy mercedes. Fabel odruchowo sprawdził, czy na dachu taksówki znajduje się podświetlany napis, a na drzwiach numer boczny, i dopiero wtedy do niej wsiadł. Po drodze mówił głównie Otto, Fabel tylko mu przytakiwał i kiwał ze zrozumieniem głową. Był już

bardzo zmęczony, a poza coś go niepokoiło, jakby przeoczył jakiś istotny element.

– Dokąd teraz? – spytał taksówkarz, gdy wysadzili już Ottona.

– Altona – odparł Fabel. Przejechali zaledwie kilka przecznic, gdy zadzwonił jego telefon.

2

Fabel znał tę restaurację. Był tam z Susanne raz czy dwa w ciągu ostatnich trzech lat. Tylko ludzie naprawdę bogaci lub tacy, którzy niefrasobliwie gospodarowali pieniędzmi, mogli stołować się tam regularnie. Dużym atutem lokalu były olbrzymie panoramiczne okna wychodzące na zatokę. Właściwie były nim do tego wieczoru. Taksówka nie mogła podwieźć Fabla pod samą restaurację, ponieważ ulicę blokowały dwie opancerzone furgonetki policyjne. Kiedy wysiadł z samochodu i ruszył w ich stronę, na drodze stanęło mu trzech policjantów z jednostki specjalnej MEK w pełnym wyposażeniu bojowym, uzbrojonych w karabiny automatyczne Heckler&Koch.

– Fabel, wydział zabójstw – powiedział, pokazując odznakę. – Bomba?

– Na to wygląda, panie nadkomisarzu – odparła policjantka z MEK. – Prawdopodobnie podłożona w samochodzie.

– Można tam już bezpiecznie wejść?

– Tak. Ale na miejscu jest jeszcze ekipa kryminalistyczna.

– Postaram się im nie przeszkadzać.

Fabel ruszył w stronę restauracji. Wybuch zniszczył kilka pobliskich latarni, więc technicy kryminalistyczni korzystali ze swoich lamp zamocowanych na przenośnych stojakach. Drobiny rozbitego szkła pokrywające jezdnię i chodniki lśniły niczym klejnoty.

– Dzięki za wiadomość, Sepp. – Fabel podał rękę wysokiemu, potężnie zbudowanemu mężczyźnie z nosem, który w wyniku wielokrotnych złamań dawno już zatracił swój pierwotny kształt. Nadkomisarz Stephan Timmermann z wydziału

antyterrorystycznej hamburskiej policji uściślił dłoń Fabla.

– Witaj, Janie. Nie ma za co. Na początku myśleliśmy, że to terroryści, ale celem był Giennadij Frołow. W zatoce cumuje jego nowy jacht, „Królowa śniegu”. Był w restauracji na jakimś spotkaniu biznesowym, kiedy jego samochód wyleciał w powietrze. Pamiętam, że szukałeś kiedyś informacji na jego temat, więc pomyślałem, że może cię to zainteresować.

– Bardzo się cieszę, Sepp. Jakież ofiary śmiertelne?

– Trudno uwierzyć, ale nie. Kilku rannych, ale żaden poważnie. Mają tu taki system jak w amerykańskich lokalach, wiesz, odprowadzają samochody na parking, a kiedy klient wychodzi, *maître d'hôtel* kontaktuje się przez walkie-talkie z obsługą parkingu i podprowadzają auto pod drzwi. Prawdopodobnie tak się złożyło, że częstotliwość, na której nadają, pokrywała się z częstotliwością zdalnego detonatora. *Maître d'hôtel* zamawia auto i nagle robi się wielkie bum, dwutonowy kuloodporny mercedes rozlatuje się na drobne kawałki w Hamburgu.

– To musiała być duża bomba – zauważył Fabel. Chłodne nocne powietrze pomogło mu pozbyć się resztek senności i oszołomienia, które czuł po wizycie w pubie.

– Owszem – przytaknął Timmermann. – Prawdopodobnie została umieszczona pod podwoziem. Jak już mówiłem, to był ciężki kuloodporny samochód, który pochłonął znaczną część energii wybuchu. I chyba o to właśnie chodziło. Pociski z zewnątrz nie zrobią mu krzywdy, więc zamachowiec podłożył ładunek od spodu. Wiedział, że większość energii wybuchu skupi się w kabinie samochodu. Fala uderzeniowa była tak silna, że rozbiła wszystkie okna w okolicy. Ale ktoś, kto podłożył ten ładunek, wiedział, że samochód nie rozpadnie się na drobne kawałki, właśnie dlatego, że był wzmocniony. Wszyscy poszkodowani zostali poranieni tylko odłamkami szkła.

– Jaka to była bomba?

– Dopiero będziemy to sprawdzać, ale na pewno się dowiemy. Moim zdaniem prędkość detonacji wynosiła około ośmiu tysięcy metrów na sekundę, więc nie było to TNT.

Stawiałbym na C4 albo jakiś inny materiał wybuchowy na bazie RDX. Elektroniczny zapłon. I zdalna inicjacja eksplozji, to raczej oczywiste. Jeden z kryminalistyków znalazł coś, co wygląda na kawałek półprzewodnika. Naprawdę profesjonalna robota, z jednym tylko wyjątkiem: zamachowiec zapomniał o odpowiednim ekranie. Dlatego sygnał z walkie-talkie obsługi parkingu zdetonował bombę.

– Czy Frołow też został ranny?

– Nie. Był w restauracji, z dala od okien. Na zewnątrz stała kobieta z jego ochrony, pękł jej bębenek w uchu. Martina Schilmann. Była policjantka. Znasz ją, prawda? Czy wy nie...?

– Dawno temu. – Fabel westchnął. – Poza tym nic jej nie jest?

– Pęknięty bębenek to bardzo bolesny uraz, ale poza tym nic się jej nie stało. W najgorszym stanie jest jeden z parkingowych, ale wylize się.

– Frołow jeszcze tu jest?

– Tak, w restauracji. Przenieśliśmy go na jakiś czas do transportera, dopóki nie upewniliśmy się, że w środku nie ma drugiej bomby. To stara sztuczka terrorystów: detonują jedną bombę zbyt wcześnie, żeby ludzie uciekli tam, gdzie schowali drugi, większy ładunek. Ale tym razem niczego nie znaleźliśmy.

– To nie jest sprawka terrorysty. – Fabel zmarszczył brwi. Bomba. – Choć nie pasuje też do mojego podejrzanego.

– Tak? – zdziwił się Timmermann. – Dlaczego?

– Zamachowiec nie zabił tego, kogo chciał zabić. Moja podejrzana nigdy nie popełnia takich błędów. Nigdy. Poza tym to nie w jej stylu. Bombą posługują się tchórze, terroryści, którzy detonują ładunek na odległość albo ustawiają wcześniej zegar, żeby w momencie wybuchu znaleźć się jak najdalej od zagrożonego miejsca, a przy tym wcale ich nie obchodzi, ilu niewinnych ludzi zginie przy okazji.

– A to nie pasuje do podejrzanej, którą masz na myśli?

– Nie. To perfekcjonistka. Planuje i działa z precyzją. Ten zamach był zbyt... zbyt nieudolny. Jakoś nie mogę uwierzyć, że to ona.

– Nie byłbym taki pewien, Janie. – Timmermann pokręcił

głową. – Nie zgodziłbym się, że w tym wypadku bomba nie była precyzyjną bronią. Rodzaj materiału wybuchowego i miejsce, w którym go umieszczono... Jak już mówiłem, jedyne niedopatrzenie to brak ekranu, który nie dopuszczałby przypadkowych sygnałów radiowych.

– Tak czy inaczej, chyba już czas, żebym pogawędził z naszym rosyjskim przyjacielem – rzekł Fabel.

– Słusznie – zgodził się z nim Timmermann. – Rosyjscy ochroniarze Frołowa dostali białej gorączki. To sami twardziele z byłych sowieckich jednostek specjalnych. Teraz myślą tylko o tym, żeby jak najszybciej zabrać go z tego miejsca.

– Postaram się nie zatrzymywać go zbyt długo. Na razie, Sepp.

We wnętrzu restauracji było jeszcze więcej szkła niż na zewnątrz. Fabel znów musiał pokazać swoją odznakę uzbrojonomu policjantowi z MEK.

Stoły w pobliżu okien były puste, a on od razu zwrócił uwagę na dziwne przemieszanie tego, co normalne, z mnóstwem dziwnych przedmiotów, jakie zawsze można znaleźć w miejscu brutalnego przestępstwa. Na jednym ze stołów wciąż stały talerze z nietkniętym jedzeniem i starannie ułożone sztuce, obrus lśnił śnieżną bielą, którą kalala jedynie ciemnoczerwona plama krwi. Ciemne krople poplamiały również przewrócony srebrny świecznik. Inne stoły leżały na boku lub do góry nogami, przewrócone przez wybuch lub przez gości, którzy wybiegali w panice z restauracji.

Przy jednym ze stolików na tyłach sali siedział pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna z siwiejącymi blond włosami i kocią bródką. Towarzyszyło mu kilku innych mężczyzn. Dwóch z nich stało i przyglądało się Fabelowi, gdy ten szedł w ich stronę. Sądząc po aparycji, nie należeli do elity intelektualnej swojego kraju.

– Pan Frołow? – spytał Fabel. Gdy podszedł do stolika, jeden z ochroniarzy położył mu dłoń na ramieniu. Fabel podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się.

– Każę cię aresztować, jeśli nie zabierzesz tej ręki, nim skończę mówić. Zrozumiałeś, Iwan?

Mężczyzna z kochką bródką powiedział coś po rosyjsku do swojego osiłka, a ten posłusznie zdjął dłoń z ramienia Fabela.

– Tak, jestem Giennadij Frołow – odpowiedział mężczyzna, wstając z krzesła. – A kim pan jest?

Fabel podniósł swoją legitymację policyjną.

– Główny nadkomisarz Fabel z wydziału zabójstw policji Hamburga.

– Z wydziału zabójstw? Ale nikt... – Frołow nie dokończył zdania, obejmując gestem puste wnętrze restauracji.

– Wiem. Choć chyba tylko przez przypadek. Ten zamach interesuje mnie dlatego, że może być związany z innymi morderstwami. A pan był celem.

– Bez wątplenia. – Rosjanin mówił tylko z lekkim akcentem i starał się układać nienaganne gramatycznie zdania, w sposób typowy dla kogoś, kto bardzo poważnie podchodził do nauki języka. – Bomba została umieszczona pod moim samochodem. A swoją drogą, proszę wybaczyć Iwanowi i moim pozostałym opiekunom tę nadgorliwość. Sam pan zapewne rozumie, że są dość poruszeni tym, co się stało.

– Kto to zrobił? – spytał Fabel.

– Mówi pan o zamachu?

– Chyba ma pan jakieś podejrzenia?

– Bo na pewno mam wielu wrogów, tak? – Frołow uśmiechnął się gorzko. – A to z kolei dlatego, że jestem rosyjskim oligarchą, więc po prostu nie mogę być całkiem uczciwy. W każdym rosyjskim biznesmenie siedzi mafioso, zgadza się?

– Pan to powiedział, panie Frołow, ja niczego nie sugerowałem. I wiem, że nie jest pan przestępcą, sprawdziłem pana wcześniej.

– Wydział przestępczości gospodarczej? – Frołow roześmiał się.

– I zorganizowanej. Mówią, że jest pan czysty.

– Pozostaje pytanie, czy pan im wierzy, panie Fabel. Ktoś, kto dysponuje takim majątkiem jak ja, mógłby ukryć jakieś

kompromitujące fakty pod górą pieniędzy.

– Nie mają przeciwko panu żadnych dowodów, ale to rzeczywiście wcale nie oznacza, że nie prowadzi pan jakichś podejrzanych interesów. Z drugiej jednak strony muszę powiedzieć, że od wielu lat mam do czynienia z oszustami i wyczuwam ich na odległość.

– A co ze mną, panie Fabel, czuje pan coś? – Frołow przyglądał mu się uważnie, jakby próbował wyczytać coś z jego twarzy.

– Nie.

– Nie prowadzę żadnych nielegalnych interesów, ma pan na to moje słowo. Łamałem prawo Związku Radzieckiego, byłem spekulantem. Sprzedawałem nielegalnie produkowaną wódkę, handlowałem luksusowymi towarami, których oficjalnie nie można było sprzedawać. Ale wtedy nie dało się inaczej prowadzić interesów. Moja zbrodnia polegała na tym, że byłem biznesmenem w kraju, który karał za przedsiębiorczość. Ale to nie jest Związek Radziecki. Hamburg wyrósł na przedsiębiorczości. Nie muszę łamać prawa, żeby być tym, kim jestem. Co więcej, tutaj jestem orędownikiem rządów prawa.

– Jak już mówiłem, wierzę panu – odparł Fabel.

– Ale nie rozumie pan tego, co do pana mówię. Tłumaczę, dlaczego stałem się obiektem ataku.

– Bo nie łamię pan prawa?

– Bo skrupulatnie sprawdzam każde przedsięwzięcie, w które zamierzam się zaangażować. I każdego potencjalnego partnera. A jeśli już znajdę coś podejrzanego, informuję o tym odpowiednie władze.

– Zamierzał pan to właśnie zrobić? – spytał Fabel.

– Nie sądzę, żeby ten, kto podłożył bombę, wiedział dokładnie, o czym chcę zawiadomić OLAF.

– Powiedział pan „Olaf”? – Fabel poczuł mrowienie na karku.

– Kim właściwie jest ten Olaf?

– Nie kim, tylko czym. Europejski Urząd do spraw Zwalczenia Nadużyć Finansowych. OLAF to skrót od francuskiej nazwy tego urzędu, Office Européen de Lutte Anti-Fraude.

– Oczywiście. – Fabel pokręcił głową. – Po prostu nie skojarzyłem.

Frołow przyglądał mu się przez moment.

– Rozumiem, że ta informacja ma dla pana znaczenie?

– Można tak powiedzieć. – Nadkomisarz skinął głową.

– Wracając do tematu. O wszystkich podejrzanych transakcjach informuję OLAF, Europol, Eurojust albo Interpol. Utrzymuję kontakty z wszystkimi tymi instytucjami. Ale ostatnio coraz rzadziej mam okazję to robić. Wszyscy już znają moje podejście do interesów, więc współpracują ze mną tylko firmy, które nie mają nic do ukrycia.

– Ale ma pan teraz jakieś informacje, które chciałby pan przekazać do OLAF?

– Umówiłem się z nimi na przyszły tydzień, wtedy też trafią do nich odpowiednie dane. Przypuszczam, że ten mały pokaz fajerwerków miał mnie od tego odwieść.

– Więc uważa pan, że to miało być ostrzeżenie, a nie prawdziwy zamach na pańskie życie?

– Jestem tego pewien. Moja śmierć niczego by nie zmieniła, odpowiednie dokumenty tak czy inaczej trafiłyby do OLAF. Ta bomba miała mnie od tego odwieść i nakłonić do porzucenia tej sprawy.

– Czyli wie pan, kto za tym stoi?

– A pan ma jakieś podejrzenia w tej kwestii, panie Fabel? Coś mi mówi, że sprawa nie jest panu całkiem obca – powiedział Frołow, przywołując na usta czarujący uśmiech, którym posługiwał się zapewne podczas negocjacji biznesowych.

– Wolalbym raczej usłyszeć to od pana, panie Frołow.

– Prowadzę interesy w całej Europie, a jakiś czas temu nawiązałem współpracę z firmą z Bałkanów. Moi detektywi ustalili, że firma ta zajmuje się między innymi przemytem papierosów do Unii Europejskiej. To z kolei doprowadziło nas do pewnej organizacji pozarządowej, która korzystała z funduszy europejskich pod pozorem działalności dobroczynnej, a w rzeczywistości finansowała magazynowanie i dystrybucję przemyconych papierosów. W sumie drobne oszustwo.

– Warte tylu kłopotów? – spytał Fabel, wskazując na zniszczone wnętrze restauracji.

– Samo w sobie pewnie nie. – Uśmiech zniknął z twarzy Frołowa. – Zatrudniam między innymi audytorów śledczych i prywatnych detektywów. Jeden z nich zginął niedawno w wypadku samochodowym. Był pijany i jechał za szybko. Problem w tym, że dobrze go znałem: pochodził z Karelii i nazywał się Kontinen. Jego ojciec zapił się na śmierć, a Kontinen był zaprzysięgłym abstynentem. Był również bardzo skrupulatnym człowiekiem. I ostrożnym kierowcą. Przyjrzelśmy się dokładniej tej sprawie. Okazało się, że Kontinen sprawdzał interesy naszego bałkańskiego partnera, ale natknął się przy tym na coś znacznie, znacznie większego.

– To znaczy?

– Dowiedział się, że ta bałkańska firma korzystała z usług serbskiego watażki i gangstera.

– Gorana Vujačića?

Frołow wpatrywał się w Fabla przez chwilę.

– Czyżby nasze drogi właśnie się skrzyżowały? – spytał.

– Proszę mi powiedzieć coś więcej o działalności Vujačića – poprosił Fabel.

– Po pierwsze Kontinen odkrył, że Vujačić angażował się w jakieś brudne interesy niezwiązane z firmą, którą sprawdzaliśmy. Można powiedzieć, że Vujačić był kanałą najgorszego rodzaju: handlował narkotykami i ludźmi, sprzedawał kobiety, które zmuszano do prostytucji. Przemyczał i magazynował papierosy dla interesującej nas firmy, ale wykonywał też zlecenia dla kogoś stąd, z Zachodu.

– Co to były za zlecenia?

– Vujačić prowadził trzy magazyny, sprowadzał tam kobiety, które zmuszał do niewolniczej pracy. Powiadomiliśmy o tym władze serbskie, a Vujačić zniknął. Niestety zniknęły również kobiety. Nie wiemy, co się z nimi stało. Potem zajął się handlem narkotykami na dużą skalę i w końcu został zamordowany. Przypuszczamy, że znalazł też nową bazę dla działalności, którą nazywamy greenwashingiem.

– Chiny? – spytał Fabel.

– I znów znajdujemy wspólne punkty... Tak. Zachodnie Chiny.

– Czym właściwie jest greenwashing?

– Być może nie zdaje sobie pan z tego sprawy, ale jednym z najważniejszych elementów współczesnego biznesu jest ochrona środowiska. Istnieją dosłownie setki organów ustawodawczych i nadzorujących, które gotowe są zamknąć pański interes, jeśli nie przestrzega pan przepisów o ochronie środowiska. Greenwashing polega na podejmowaniu działań, które jedynie sprawiają wrażenie, że nie łamie pan tych przepisów. Chodzi o stwarzanie pozorów, rozumie pan? Jednym z takich pozorowanych działań jest fałszowanie manifestów ładunkowych dotyczących szkodliwych materiałów, które wysyła się gdzieś poza obszar objęty przepisami, na przykład do biednych republik posowieckich...

– Albo do Chin czy na Bałkany.

– Zgadza się. – Frołow skinął głową. – Choć na Bałkany coraz rzadziej. Demokracja i postęp cywilizacyjny są wrogami tego rodzaju przedsięwzięć. Dlatego wysyła się takie materiały poza obszar kontrolowany przez różne organy nadzorujące, w tym wypadku poza Unię Europejską, a kiedy wracają, są już przetworzone. Albo nie ma ich wcale, bo po drodze zniknęły. Cała rzecz polega na tym, że ponieważ są przetwarzane lub utylizowane poza obszarem objętym przepisami, nikt nie kontroluje warunków pracy i płac robotników, którzy się tym zajmują.

– Jakie towary wysyła się zwykle w takich transportach?

– Sprzęt elektroniczny, telefony komórkowe, tego rodzaju urządzenia. Nasz detektyw, Kontinen, utrzymywał kontakt z pewnym norweskim dziennikarzem, który zebrał trochę dowodów w tej sprawie. Udało mu się zdobyć kilka próbek z tych magazynów, przekazał je do analizy i uzyskał bardzo ciekawe wyniki. Nie wiemy, jakie to były próbki ani jak wyglądały wyniki badań, ale nadal próbujemy odszukać tego dziennikarza.

– Szkoda zachodu. – Fabel westchnął. – Zarówno dziennikarz, jak i naukowiec, do którego wysłał próbki, już nie

żyją. Musieli mieć jakieś mocno obciążające materiały, bo zabójczyni nawet nie próbowała upozorować tych morderstw na wypadek. Po prostu strzeliła im w głowę. Profesjonalna egzekucja.

– Rozumiem... – Frołow pokiwał głową.

– Ale wiem, czego szukali i co znaleźli w tych próbkach – kontynuował Fabel. – Polibromowane etery difenyłowe. I wiem, gdzie dokładnie przeniesiono tę działalność: do prowincji Hunan w Chinach i do miasta Bitola w Macedonii, choć przypuszczam, że Vujačić musiał się wynieść nie tylko z Serbii, ale i z Bałkanów.

W tym momencie podszedł do nich policjant MEK w czarnym mundurze.

– Możemy już wyprowadzić stąd pana Frołowa, panie nadkomisarzu.

– Jeszcze minutę – poprosił Fabel, po czym odwrócił się do Frołowa. – Teraz jest pan ich celem numer jeden, chyba zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda? Kiedy Vujačić wpadł w ręce duńskiej policji, miał dość informacji, żeby pójść z nimi na układ. Więc został zamordowany, w Kopenhadze. Ci sami ludzie zabili też pańskiego detektywa, potem Halvorsena, czyli norweskiego dziennikarza, i Sparwalda, analityka. Każdy z nich umarł, bo dysponował częścią dowodów. Pan ma je wszystkie.

– Cóż, muszę teraz bardziej na siebie uważać. – Frołow wzruszył ramionami. – Panie Fabel, powie mi pan, kto za tym wszystkim stoi? Czy też ja mam to panu powiedzieć?

– Prowadzę śledztwo w sprawie trzech innych morderstw – odpowiedział Fabel. – Jedno z nich dotyczy Armina Lenscha, który pracował w Norivonie, firmie zarządzającej odpadami i będącej częścią grupy NeuHansa. Druga ofiara to Peter Claasens, właściciel firmy przewozowej, który organizował transporty dla Norivonu, przypuszczam, że obaj natknęli się na jakieś nieprawidłowości w dokumentacji i zostali zabici, zanim zdążyli o tym komukolwiek powiedzieć albo nawet zrozumieć znaczenie tego odkrycia. No i mamy też zabójstwo Jake’a Westlanda, brytyjskiej gwiazdy rocka.

– On też był w to zamieszany? Myślałem, że to sprawka

jakiegoś szalonego seryjnego zabójcy.

– Wszyscy mieliśmy tak myśleć. Prawda jest taka, że Westland przeprowadzał swoje inwestycje równie starannie jak pan. Najwyraźniej wyczuł pismo nosem. Ze względu na swój... nazwijmy to rodowód, był szczególnie wyczulony na wszystko, co wiązało się z wykorzystywaniem kobiet. Poszedł prosto po swoją śmierć, przekonany, że spotka się z kimś, kto dostarczy mu informacji.

– Zatem już od jakiegoś czasu podejrzewał pan Ginę Brønsted? – spytał Frołow.

– Tak. Albo kogoś innego z kierownictwa grupy NeuHansa.

– Cóż, pewnie nie działała sama, ale jestem przekonany, że to właśnie ona stoi za tym wszystkim. Powiedział pan, że w ciągu swojej kariery nauczył się pan wyczuwać złoczyńców na odległość. Proszę mi wierzyć, w biznesie człowiek rozwija w sobie podobny instynkt. Na pewno nieraz miał pan do czynienia z socjopatami. Ja też. Bezwzględność, brak empatii i sumienia to cechy, które pozwalają osiągnąć sukces wielu ambitnym ludziom interesu. Kiedy następnym razem będzie pan rozmawiał z Giną Brønsted, proszę spojrzeć jej w oczy. Przekona się pan, że nie ma w nich choćby cienia człowieczeństwa.

Fabel wiedział, że Frołow jest z nim całkiem szczerzy. Zdawał sobie też sprawę, że bez względu na to, czy podejrzenia wobec Brønsted były słuszne, czy też nie, mylił się w innej kwestii: ten zamach bez wątpienia był dziełem Walkirii. Celowo sfuszerowała, z taką samą precyzją, z jaką zawsze trafiała w cel. Wysłała Frołowowi ostrzeżenie, idealnie dobierając czas i miejsce.

– Gdzie pan był w chwili eksplozji? – spytał Rosjanina.

– Tutaj, przy tym stoliku. Uznaliśmy, że rozsądnie będzie usiąść z dala od okna.

– My?

– Pani Schilmann. Pańska była koleżanka. To ona zarządza tutaj moją ochroną, co bardzo nie podoba się Iwanowi.

– Cóż, jeśli nie ma pan nic przeciwko, teraz my przejmujemy ten obowiązek – powiedział Fabel. – Od tej chwili jest pan pod

opieką policji Hamburga. – Umilkł na moment i zmarszczył brwi. – Pani Schilmann zaproponowała, żeby pan tu usiadł?

– Tak.

– Ale sama wyszła na zewnątrz?

– Tak. Wybrała się na papierosa w najmniej odpowiednim momencie.

– Rozumiem – odparł Fabel z uśmiechem. – Teraz przewieziemy pana w jakieś bezpieczne miejsce.

3

Ścigamy się z czasem. – Fabel stał przed ekranem w sali konferencyjnej i spoglądał na sylwetki ponad czterdzieściora policjantów oblane ostrym światłem projektora. – Utrzymywaliśmy to morderstwo w tajemnicy jak najdłużej. Drescher, inaczej Gerdes, bo pod takim nazwiskiem był tutaj znany, prowadził samotne życie, ale miał sąsiadów, znał wiele kobiet, prawdopodobnie spotykał się z ludźmi, których nie udało nam się jeszcze wytropić. Z pewnością wielu z nich zauważyło już jego nieobecność i za chwilę opinia publiczna dowie się o jego śmierci.

Fabel przerwał na moment i nacisnął guzik pilota. Na ekranie pojawiło się zdjęcie Paulus wykonane w szpitalu psychiatrycznym.

– To jest zabójczyni Dreschera: Margarethe Paulus. Doktor Eckhardt uważa, że jest raczej osobą psychotyczną niż psychopatyczną. Ma urojenia. Ale tak się składa, że najdziwniejsza z jej opowieści jest prawdziwa. Paulus rzeczywiście jest Walkirią. Jedną z trzech doskonale wyszkolonych, profesjonalnych zabójczyń. Dwie pozostałe Walkirie nazywają się Liane Kayser i Anke Wollner, lecz możemy być pewni, że żadna z nich od lat nie używa swojego prawdziwego nazwiska. Wygląda na to, że jedna z nich, Liane Kayser, została odsunięta od programu, podobnie jak Margarethe, albo poszła własną drogą i prowadzi normalne życie pod przybranym nazwiskiem. Pozostaje więc Anke Wollner i prawdopodobnie to właśnie ona jest Walkirią, której

szukamy. Oczywiście w pewnym sensie są to czysto akademickie rozważania. Nazwiska, które wam podałem, nie mają żadnego znaczenia, bo jeszcze przed upadkiem muru Stasi zadbała o to, by stworzyć tym kobietom całkiem nową tożsamość. – Fabel ponownie wcisnął guzik, a na ekranie pojawiła się inna twarz. – To jest Giennadij Frołow, kolejny powód, dla którego musimy się spieszyć. Otrzymał ostatnie ostrzeżenie od Walkirii: ostrzeżenie w postaci bomby podłożonej pod jego samochodem. Można powiedzieć, że teraz żyje na kredyt. Walkiria nigdy nie chybia.

– Ale zamach jej się nie udał – rzucił ktoś z tyłu sali.

– Nieprawda. Jak już mówiłem, to było tylko ostrzeżenie.

Kolejne zdjęcie.

– To drobne ogłoszenia, które pojawiły się w najnowszym numerze „Muliebritas”. Udało nam się, a ściślej, udało się to komisarz Wolff, dopasować je do stylu i długości poprzednich ogłoszeń, łącznie z trzyliterowym kodem, który wskazuje, że dane ogłoszenie zawiera fragment wiadomości. Korzystając z szyfru, którym posługiwał się Drescher, zamieściliśmy informację, że następne spotkanie odbędzie się w Alsterpark, w pobliżu Fährdamm. W środę o jedenastej trzydzieści. Jeśli nasza dziewczyna przejęła tę wiadomość i uwierzyła, że naprawdę wysłał ją Drescher, jutro się z nią zobaczymy.

Następne zdjęcie.

– To jest Alsterpark. Na dachach budynków za parkiem umieścimy obserwatorów i snajperów, ale przy tak dużej odległości łatwo o pomyłkę, a nie możemy przecież zamknąć tego obszaru dla osób postronnych. Dlatego wszystko zależy od tych, którzy będą na miejscu, w parku. Będziecie przebrani za biznesmenów, pracowników zieleni miejskiej, ludzi, którzy wybrali się na poranny jogging, pošemy też dwuosobowy patrol mundurowych. Chodzi przede wszystkim o to, żeby w żaden sposób nie odstraszyć Walkirii ani nie wzbudzić jej podejrzeń. A możecie być pewni, że wypatrzy każdy fałszywy krok.

– Na pewno przede wszystkim będzie wypatrywać Dreschera

– zauważyła Anna. – A z tym może być pewien problem.

– Aha! – Fabel podniósł palec w tryumfalnym geście. – Pomyśleliśmy i o tym. Oto nasz sobowtór. – Podeszedł do drzwi, otworzył je i zawołał w głąb korytarza: – Czas na występ.

Do sali wszedł Werner, witany głośnym śmiechem, pohukiwaniami i gwizdami. Był ubrany w kaszmirowy sweter i drogą tweedową marynarkę, która z trudem opinała jego potężne barki i piersi. Jednak największą wesołość zebranych budziła blond peruka, którą nałożył na swoją wygoloną głowę.

– Już, już... – rzucił Fabel z uśmiechem, uspokajając zebranych. – Proszę o ciszę. Musicie pamiętać, że Walkiria da się nabrać tylko wtedy, kiedy będzie widziała go z daleka. Musimy zdjąć ją skutecznie i szybko. To nie jest jakiś szalony seryjny zabójca czy zwykły diler narkotyków, który chce wyrównać rachunki. Muszę przyznać, że nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z takim zdarzeniem. Zabijanie ludzi to jej zawód, jedyny, jakiego się wyuczyła. Bóg jeden wie, ilu ludzi zamordowała, ale bez wątplenia jest w tym bardzo, bardzo dobra. Nie przypuszczam, żeby przysłała tam uzbrojona po zęby, zwykle zapewne nie nosi ze sobą pistoletu. Być może dzięki temu uda nam się ją szybko złapać. Ale pamiętajcie: ta kobieta potrafi zabijać gołymi dłońmi, szybko oraz skutecznie.

– Nie ma co, umiesz dodać człowiekowi otuchy – podsumował Werner z krzywym uśmiechem.

– Dlatego właśnie Werner będzie nosił pod ubraniem kamizelkę kuloodporną. Ale poprosiłem też o pomoc naszych kolegów z jednostki specjalnej MEK. Być może nawet dostaniemy wsparcie antyterrorystów z GSG 9.

Fabel przerwał na moment i podniósł ręce, by uciszyć zbiorowy jęk.

– Nie twierdzę, że nie możemy sobie poradzić z tym sami, ale nie chcę nikogo stracić podczas tej operacji. Chcę po prostu, żeby towarzyszyli nam ludzie, którzy przeszli szkolenie podobne do tego, któremu zostały poddane Walkirie. Jutro o siódmej rano odbędzie się połączona odprawa wszystkich jednostek.

Fabel znów sięgnął po pilota, a na ekranie pojawiła się twarz Giny Brønsted.

– Tutaj sprawa zaczyna się komplikować, a w grę wkracza polityka. Pani Brønsted jest kobietą bardzo bogatą i wpływową, ma też potężnych przyjaciół. Z drugiej strony jestem więcej niż pewien, że to właśnie ona zleciła Walkirii wszystkie zabójstwa, o których tu rozmawialiśmy. Hans, jesteś tu? – Fabel przysłonił oczy dłonią i powiódł spojrzeniem po zebranych w sali.

– Jestem, Janie, tutaj – odpowiedział mu Gessler.

– Mam wszystkie nakazy, których potrzebujesz. Gdy tylko zdejmiesz Walkirię, wejdiesz ze swoim zespołem do NeuHansy. Muszę mieć dowód, że Brønsted jest klientką Walkirii.

Fabel zakończył spotkanie, wpadł do kantyny po kanapkę i kawę, po czym wrócił do swojego biura. Martina Schilmann już na niego czekała. Miała włosy związane w kucyk, opatrzone ucho było odsłonięte. Wydawała się zmęczona i blada. I wyraźnie poirytowana.

– Usiądź, Martino – powiedział z uśmiechem. – Jak się czujesz?

– Fatalnie. I to z wielu powodów. Dostałam wiadomość, że chcesz się ze mną widzieć. To dobrze, bo ja też chciałam się z tobą spotkać. Zdajesz sobie sprawę, że psujesz mi interesy? Dlaczego powiedziałeś Frołowowi, że policja przejmie nad nim opiekę? Skąd ten pomysł?

– Martino, nie bądź dzieckiem. Zeszłego wieczoru popełniono poważne przestępstwo. Wielu ludzi zostało rannych, łącznie z tobą. Giennadij Frołow był celem zamachu, nieudanej próby morderstwa. A to już nasz interes, nie twój. Powinnaś o tym wiedzieć. Poza tym nie kazałem mu cię zwalniać...

– Nie, nie kazałaś. Ale wypytywałeś go o mnie, prawda? Gdzie byłam, kiedy wybuchła bomba, dlaczego wyszłam na zewnątrz... Udało ci się go przekonać, że mogę być w to zamieszana. – Martina wpatrywała się przez chwilę w Fabela, a gniewny grymas na jej twarzy ustąpił wyrazowi niedowierzania. – Boże, ty naprawdę mnie o coś podejrzewasz. Nie mogę w to uwierzyć.

Fabel spojrział na kanapkę, którą położył na blacie biurka, westchnął i wrzucił ją do kosza.

– Nie o to chodzi, Martino.

– Nie? Więc o co?

– O nic cię nie podejrzewam. Widzisz... po prostu czasem nigdy nie poznajesz człowieka do końca.

– Na miłość boską, Janie, sypialiśmy ze sobą przez pół roku.

– Ta sprawa jest wyjątkowo... skomplikowana. – Fabel odchrząknął niepewnie. – W grę wchodzi trzy kobiety: Margarethe Paulus, Liane Kayser, Anke Wollner. Wszystkie trzy wychowały się w NRD i zostały wyszkolone na zabójczynie. Wszystkie otrzymały też nową tożsamość. Margarethe Paulus jest chora psychicznie, to ona torturowała i zabiła Dreschera, Liane Kayser przepadła bez śladu i prawdopodobnie prowadzi normalne życie pod przybranym nazwiskiem, a Anke Wollner to prawdopodobnie nasza Walkiria, morderczyni, której szukamy. To ona podłożyła wczoraj bombę, która miała być ostrzeżeniem dla Frołowa.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć! – Martina poczerwieniała na twarzy, a jej oczy błysnęły gniewem. – Więc którą z nich jestem twoim zdaniem? Myślisz, że wyszłam na zewnątrz i uszkodziłam sobie bębenek, detonując bombę, którą podłożyłam tuż obok? A może jestem tą zabójczynią, która zniknęła?

– O nic cię nie oskarżam. Chcę tylko, byś mi powiedziała, co zdarzyło się wczoraj wieczorem. Czy widziałaś coś podejrzanego. Jesteś świadkiem, na miłość boską. Muszę cię przesłuchać.

– Mieliśmy już wychodzić – relacjonowała Martina lodowatym tonem. – Kiedy przyjechaliśmy do restauracji, posadziłam Frołowa i jego świtę z dala od okna, dzwoniłam tam wcześniej i zarezerwowałam stolik na tyłach sali. Frołow i jego znajomi pili kawę i brandy. Kazałam Lorenzowi zostać z Iwanem, prywatnym ochroniarzem Frołowa, a sama wyszłam na papierosa. Mercedes stał trochę dalej, na parkingu. Mówiłam właśnie chłopakowi z obsługi, żeby przyprowadził go pod wyjście, kiedy odebrał wiadomość od maître'a. A potem

było wielkie bum, po mercedesie i po bębenku. Aha, nie trzymałam wtedy rąk w kieszeniach, Janie. Możesz spytać parkingowego. Wiesz, gdybyś chciał sprawdzić, czy nie miałam tam detonatora.

– Widziałaś na zewnątrz kogoś prócz tego chłopaka? – spytał Fabel, ignorując jej przytyk.

– Nie, w pobliżu nie było nikogo prócz parkingowego. No i mnie, oczywiście...

– Martino, daruj już sobie, to do niczego nie prowadzi. Prawdę mówiąc, nic mnie nie obchodzi, czy objęcie Frołowa policyjną ochroną pasuje do twojego biznesplanu, czy też nie. Chcę tylko stworzyć sobie obraz tej zabójczyni. Byłbym wdzięczny, gdybyś przez chwilę spróbowała myśleć znów jak policjantka. Czy widziałaś albo słyszałaś coś, co mogło być związane z tym wybuchem?

Martina westchnęła.

– Nie. Tyle że moim zdaniem to nie sygnał z walkie-talkie parkingowego detonował bombę. Cała reszta była zbyt profesjonalnie przygotowana, żeby zamachowiec mógł zapomnieć o takim ważnym elemencie jak ekranowanie sygnału.

Fabel spojrział na nią pytająco.

– Przechodziłam szkolenie – wyjaśniła Martina. – Poza tym eksplozja nastąpiła w tej samej chwili co rozmowa chłopaka z maître'em, ale niezupełnie. To nie zostało idealnie zgrane. Pewnie rzeczywiście było to tylko ostrzeżenie.

– Doszliśmy do tego samego wniosku. – Fabel skinął głową.

– Mimo wszystko czegoś tu nie rozumiem... – Wydawało się, że Martina ochłonęła już z gniewu. – Wszystko zostało przygotowane bardzo profesjonalnie i precyzyjnie, co pasuje do tej zabójczyni. Ale w tym właśnie problem: ona jest zabójczynią. Podkładanie bomb i wysyłanie ostrzeżeń jakoś mi się z tym kłóci...

– Hm, może masz rację. Ale jak sama mówisz, cała reszta pasuje.

– Może rozszerzyła ofertę usług. – Martina uśmiechnęła się drwiąco. – Idzie z duchem czasu i dostosowuje się do potrzeb

rynku.

– Niewykluczone. I być może to jest nasza szansa. Jeśli nie będzie się trzymać tego, co robi najlepiej, dopadniemy ją.

Fabel chciał jeszcze coś dodać, ale w tym samym momencie do biura weszła bez pukania Anna Wolff. Trzymała w dłoni egzemplarz „Muliebritas”, który rzuciła na biurko Fabela.

– To jest nowy numer – powiedziała, uderzając w czasopismo otwartą dłonią. – Z naszym ogłoszeniem.

– Tak, Anno, wiem – odpowiedział Fabel cierpliwym tonem, jakby zwracał się do niesfornego dziecka.

– Ale nie tylko z naszym – dodała Anna. – Ktoś jeszcze próbuje się skontaktować z Walkirią.

4

Otaczasz się rzeczami, pomyślała. Przedmiotami. Otaczasz się nimi, żeby wypełnić pustkę. Kiedyś to wszystko wydawało się bardzo ważne. Mieć ładne rzeczy. Jak ten stolik do kawy, który sprowadziła z Japonii. Albo fotel Ox duńskiego projektanta Hansa Jørgena Wegnera, który kosztował ją ponad sześć tysięcy euro. Usiadła na sofie i wbiła wzrok w czasopismo.

Może to wujek Georg próbował się z nią skontaktować. Był taki... melancholijny podczas ich ostatniego spotkania. Trochę ją to niepokoiło. Wszystkie nazywały Georga Dreschera „wujkiem”. Z perspektywy czasu widziała, że jak wszystko, co robili z Anke, Liane i Margarethe, był starannie zaplanowanymi elementami długofalowego programu. Nie miał być dla nich ojcem. Z pewnością nie kochankiem. Wujkiem. Starszym mężczyzną, do którego mogły się zwrócić i na którym zawsze mogły polegać. Ich nauczyciele kształtowali umysły dorastających dziewcząt w taki sposób, by umieścić Dreschera właśnie w tej pozycji. Socjalizm nie miał znaczenia. NRD nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, żeby nigdy, przenigdy nie zawiodły wujka Georga.

Potem świat obrócił się na swej politycznej osi, NRD zniknęło z mapy świata, a socjalizm się skompromitował. Nawet Margarethe i Liane odeszły w przeszłość: Margarethe była już

tak chora, że nie nadawała się na agentkę. Jedyne, co udało im się osiągnąć, jak zwierzył się później Anke wujek Georg, to przemiana poważnie nie zrównoważonej dziewczyny w niebezpiecznie nie zrównoważoną maszynę do zabijania. A Liane... Cóż, Liane okazała się zbyt bliska ideału. Miała właśnie te cechy, których u nich szukali: bezwzględność i całkowitą obojętność wobec innych. Ale to obejmowało również wujka Georga, Stasi oraz państwo. Liane opanowała wszystkie umiejętności do perfekcji i została wysłana na Zachód, nim jej opiekunowie uświadomili sobie swój błąd. Dopiero poniewczasie zrozumieli, że wykorzystała to, czego ją nauczyli, wyłącznie do realizacji własnych celów.

Została więc tylko ona. Anke. Nie nazywała tak siebie od lat. Była ulubienicą wujka Georga. Po upadku muru Drescher rozwinął własną działalność i nakłonił Anke, by zabijała ludzi, których nie znała, w imieniu innych ludzi, których również nie znała. Nie dla idei, nie dla bezpieczeństwa, ale dla pieniędzy.

Odpowiadało jej to. Wiedziała, że Margarethe była od niej bystrzejsza, a Liane ładniejsza, ale wiedziała też, że ten układ wyjdzie jej na dobre. I rzeczywiście, współpraca z wujkiem Georgem okazała się bardzo udana. Ostatnio jednak zauważyła, że staruszek poddaje się jakimś sentymentom. A w tej branży nie było miejsca na sentymenty.

Wujek Georg korzystał ze starych, zimnowojennych metod komunikacji. Za pomocą ogłoszeń w czasopiśmie wyznaczał miejsce spotkania. Korzystał też z pięciu skrzynek kontaktowych na terenie Hamburga, w których mogła zostawiać mu wiadomości zwrotne. Mówił Anke, że jest już za stary, żeby uczyć się nowych metod i sztuczek. Ale Anke domyślała się prawdy: używał ich, żeby trzymać ją na bezpieczną odległość. Był niczym zaklinacz, który boi się ukąszenia węża.

Niepotrzebnie. Wujek Georg był jedyną namiastką rodziny, jaką kiedykolwiek poznała. I jaką kiedykolwiek miała poznać. Oczywiście zastanawiała się, czy nie będzie musiała go kiedyś zabić, by chronić swoją tożsamość, gdyby ze względu na wiek czy z jakichś innych powodów zaczął się zachowywać

nieprofesjonalnie. Wiedziała jednak, że kiedy ich drogi się rozejdą, daruje mu życie i pozwoli odejść na spokojną emeryturę. Prawdopodobnie.

Odłożyła czasopismo. To nie miało sensu.

Dwie wiadomości. Jedna od wujka Georga. I ta druga. Zupełnie niezrozumiała. Niewłaściwe miejsce i niewłaściwy czas. Wujek George używał „Muliebritas”, kiedy chciał się z nią zobaczyć, zlecić kolejne spotkanie.

Ale tego nie powinno tu być. Przeczytała ponownie: Niebiosy splamione są krwią ludzi, gdy walkirie śpiewają swą pieśń.

To był ich szyfr. Hasło, które uzgodniły na wypadek, gdyby chciały się ze sobą skontaktować. Ale ona nigdy nie chciała utrzymywać kontaktu z pozostałymi dwiema. Już wtedy wiedziała, że tylko ona jest prawdziwą Walkirią. Margarethe oszalała, a Liane miała własne cele.

Była pewna, że wiadomości nie zamieściła żadna z pozostałych dziewczyn. „Muliebritas” nie istniało jeszcze w tamtych czasach. A ich plan został zdemaskowany. Nadawca musiał wiedzieć, że Anke nie uwierzy, by to Liane lub Margarethe chciała się z nią zobaczyć. Tego rodzaju pułapka byłaby zbyt oczywista.

Spojrzała ponownie na ogłoszenia i rozszyfrowała wiadomość od wujka Georga. Spotkanie jutro. Pójdzie na nie. Spyta wujka Georga, co sądzi o tej drugiej wiadomości.

5

Fabel i Anna wracali ze spotkania z Giennadijem Frołowem, które odbyło się na jachcie. Potrzeba luksusu była w u Rosjanina równie silna jak bezpieczeństwa, więc Fabel pozwolił mu wrócić na jacht, pod warunkiem że od strony nabrzeża będą go pilnowały dwa patrole w radiowozach, a od morza policyjna motorówka.

W otoczeniu takiego przepychu Fabel z trudem skupiał się na rozmowie. Towarzyszył im również Hans Gessler z wydziału przestępczości gospodarczej, który zapewne częściej miał do czynienia z moźnymi tego świata, bo sprawnie odpytywał

Frołowa i jego księgowego, mrukliwego i niechlujnego Rosjanina o nazwisku Kryłow, który dał Gesslerowi płytę CD z wszystkimi plikami dotyczącymi grupy NeuHansa, Giny Brønsted i Gorana Vujačicia.

– Staramy się nie marnować papieru – powiedział bez cienia uśmiechu. – Te same dane prześlemy do OLAF. Wystarczy, żeby pogrzebać Ginę Brønsted na długi, długi czas.

Fabel wracał do Presidium, kiedy zadzwonił do niego Dirk Hechtner.

– Gdzie jesteś, szefie?

– Przejeżdżam przez St. Georg. Jest ze mną Anna. Dlaczego pytasz?

– Właśnie dostaliśmy wezwanie. Henk i ja już tam jedziemy, ale wy też macie po drodze. Udużono kobietę w mieszkaniu w Barmbek-Süd. Z opisu wygląda to na nieudane popołudniowe *rendez-vous*.

– Boże, ostatnio mamy straszny ruch w interesie. Może przeniosę się do Nowego Jorku, żeby trochę odsapnąć. Rozumiem, że to nie ma nic wspólnego ze sprawą Walkirii?

– Chyba nie. Tradycyjne, banalne, wstrętne morderstwo, jak za starych czasów. Nawet nie musimy szukać zabójcy. Mundurowi przyskrzynili go na miejscu. Wpadniesz tam?

– Zgoda. Zobaczymy się na miejscu.

Hechtner podał Fabelowi adres w Barmbek.

– Zastanawiałeś się już nad moją przyszłością, szefie? – spytała Anna, nie odwracając głowy. Patrzyła prosto przed siebie, na przednią szybę, po której spływały krople deszczu.

– Anno, to nie jest odpowiednia pora na takie rozmowy.

– Wybacz, szefie, ale na to nigdy nie ma odpowiedniej pory, a ja chciałabym wiedzieć, na czym stoję. Posłuchaj, nie będę cię błagać, żebyś mnie zatrzymał, ale mogę się zobowiązać praktycznie do wszystkiego, czego ode mnie zażadasz. Uwielbiam tę pracę. Nie chcę robić niczego innego.

– W porządku. – Fabel wziął głęboki oddech. – Czy byłabyś w takim razie gotowa wybrać się na terapię, która nauczy cię panować nad złością?

– Żartujesz, prawda?

– Anno, powiedziałaś, że zobowiąziesz się do wszystkiego. Nie musiałabyś tego robić za pośrednictwem policji. Nie musi o tym wiedzieć nikt oprócz nas. Ale jeśli chcesz zostać, zrób to.

– Dostanę dodatkowe wolne co miesiąc? Pójdę na terapię, ale co cztery tygodnie będę miała wolne na czas okresu?

– To nie jest żart – ostrzegł ją Fabel.

– Przepraszam. Podpuszczałam cię. Zrobię to. Dzięki.

Pogoda dopasowała się do nastroju, jaki zwykle panuje na miejscu zbrodni. Nad miastem zwieszały się ciężkie ołowiane chmury, nieustająca mżawka oblepiała wszystko warstwą zimnej wilgoci. Okazało się, że morderstwa wcale nie popełniono w mieszkaniu, lecz w tanim hotelu z „apartamentami” do wynajęcia.

Kiedy Fabel zatrzymał się przed wejściem do budynku, zobaczył Dirka i Henka, którzy wyprowadzali właśnie na zewnątrz wysokiego siwowłosego mężczyznę w eleganckim niebieskim płaszczu. Ręce mężczyzny skute były kajdankami. Gdy Fabel podszedł do swoich podwładnych i pozdrowił ich skinieniem głowy, uświadomił sobie, że gdzieś już widział tego mężczyznę. Gdzieś, gdzie jego nobliwy wygląd wydawał się nie na miejscu. Ich spojrzenia spotkały się ze sobą na moment, nim mundurowy łagodnie wepchnął mężczyznę do samochodu.

– Znasz go? – spytała Anna.

– Nie. Ale widziałem go już kiedyś, to wszystko. Dwa razy.

Miejsca zbrodni strzegło dwóch funkcjonariuszy: młodszy rozmawiał na korytarzu ze sprzątaczką, a starszy Obermeister stał przy łóżku. W pokoju był też Holger Brauner, szef zespołu kryminalistycznego, który pracował ze swoim asystentem. Obaj byli ubrani w niebieskie fartuchy i rękawiczki chirurgiczne.

Fabel znał starszego policjanta. Nazywał się Hanusch i miał za sobą dwadzieścia pięć lat służby. Do dwuosobowych patroli często dobierano nowicjuszy i weteranów, miało to ułatwić mniej doświadczonym funkcjonariuszom wejście w świat przemocy i śmierci, które stanowiły część codziennej pracy policji. Jednakże w tym wypadku to starszy z dwójki

mundurowych wydawał się naprawdę wstrząśnięty, jego twarz była blada jak ściana, a w oczach, które widziały już naprawdę wiele, malował się ogromny smutek. Jego młodszy towarzysz był wyraźnie ożywiony, wręcz nabuzowany adrenaliną.

Fabel spojrział na łóżko, w które wpatrywał się Obermaister. Leżała na nim ładna, może dwudziestoletnia dziewczyna. Jej szkliste, przekrwione oczy patrzyły tępo na policjanta, pomiędzy rozchylonych, sinych warg wystawał czubek języka. Popękane naczynia włosowate na jej szyi tworzyły delikatną niebieskawą sieć. Fabel spojrział na jej twarz i poczuł, jak coś ściska go za żołądek.

– Chryste... – szepnął. Spojrział ponownie na Hanuscha, a ten uśmiechnął się do niego ze smutkiem i zrozumieniem. Podobnie jak Fabel nie patrzył na to ciało ani na to ponure miejsce oczami doświadczonego policjanta. Patrzył na zamordowaną młodą dziewczynę oczami ojca.

– Powinniśmy chyba poinformować rodziców – powiedział. – Sprawdzę, czy nie ma jakiegoś dokumentu z adresem.

– Nie trzeba – odparł Fabel. – Ja to zrobię. Wiem, gdzie mieszkają. W Barmbek, kilka przecznic dalej.

Poczuł na sobie zaciekawione spojrzenia Anny i Hanuscha, lecz dodał tylko:

– Chciała zostać lekarzem. Nazywała się Christa Eisel. Studiowała medycynę na uniwersytecie w Hamburgu.

6

Co się stało? – spytała Susanne. – Wydajesz się bardzo przygnębiony.

– Bo jestem. Nic nowego. Wróciłem właśnie z miejsca morderstwa. Ofiarą była dziewiętnastoletnia dziewczyna. Studentka medycyny, która dorabiała sobie jako dziwka. Uduślił ją jakiś stary zboczeniec.

– Boże, chyba nie ta, o której mi kiedyś opowiadałeś? No wiesz, która znalazła ciało Jake’a Westlanda?

– Niestety, ta sama. Próbowałem przemówić jej do rozumu, ale nie chciała mnie słuchać.

– To nie twoja wina, Janie. Czy jej śmierć ma jakiś związek z tymi innymi morderstwami?

– Nie. Czysty przypadek. Choć w tym światku takie przypadki zdarzają się dość często. Właśnie przed tym próbowałem ją przestrzec. I wiem, że to nie moja wina, ale czuję się w jakimś sensie... odpowiedzialny.

– To kwestia wieku, Janie. Jesteś na takim etapie życia, że traktujesz coraz więcej osób jak swoje dzieci.

– Dziękuję, doktor Eckhardt, naprawdę podniosła mnie pani na duchu. Nie dość, że świat schodzi na psy, to jestem już jedną nogą w grobie.

– Zgadza się, tak to mniej więcej wygląda. A poważnie: dobrze się czujesz?

– Wszystko w porządku. Szkoda tylko, że dzisiaj już wyjeżdżasz.

– Raptem na kilka dni. Obiecywałam to przecież mamie od wieków.

– Zobaczysz się ze mną przed wyjazdem?

– To zależy, o której wrócisz z pracy, ale wątpię. Pociąg odjeżdża o siódmej. Powodzenia jutro, wiesz, z pułapką. Zadzwoń i powiedz, jak wam poszło.

Fabel pożyczyl Susanne miłej podróży i zakończył rozmowę. Żałował, że nie umówił się z Ottonem na ten wieczór, lecz na poprzedni. Choć pewnie i tak musiałby dziś pracować. Operacje takie jak ta, którą zamierzali przeprowadzić w Alsterpark, zawsze wymagały mnóstwa przygotowań.

Przeszedł do głównego biura wydziału zabójstw, gdzie spotkał się z Anną Wolff.

– Czy redakcja „Muliebritas” podała nam jakieś dodatkowe informacje o tym drugim ogłoszeniu?

– Nie. – Anna pokręciła głową. – Robili, co mogli, ale nie mogą nic znaleźć. Wygląda na to, że ktoś włamał się do ich bazy danych i zamieścił to ogłoszenie, nie zostawiając śladów.

– To jedyne możliwe wyjaśnienie?

– Jedyne, jakiego byśmy chcieli. Bo jeśli się mylimy, to znaczy, że wstawił je ktoś, kto pracuje w „Muliebritas”.

– Niewykluczone – mruknął Fabel. – Szczególnie że

„Muliebritas” należy do grupy NeuHansa.

– Cóż, mielibyśmy nie lada problem, bo w takim wypadku ten człowiek, współpracownik Walkirii albo ona sama, wiedziałby o jutrzejszej pułapce.

Fabel wykrzywił twarz w ponurym grymasie.

– Boże, mam nadzieję, że się mylisz.

– Więc jak, odwołujemy wszystko? – spytała Anna.

Fabel zastanawiał się przez chwilę, po czym pokręcił zdecydowanie głową.

– Nie wiem, kto umieścił to ogłoszenie, ale z pewnością nie Walkiria. To raczej ktoś, kto próbuje nawiązać z nią kontakt. Zostało nam jeszcze półtora tygodnia do pierwszego poniedziałku miesiąca, a Margarethe Paulus mówiła, że właśnie wtedy miały się spotykać. Rozmawiałem już z komendą główną i z policją w Halberstadt, pomogą nam prowadzić obserwację. Miejmy nadzieję, że dopadniemy ją już jutro.

Fabel pracował do późna. Wraz z zespołem trzykrotnie sprawdził wszystkie elementy przygotowań i dopiero wtedy puścił swoich podwładnych do domu. Siedział w biurze do ósmej wieczorem. Raz jeszcze przeczytał zapis przesłuchań, które on sam i inni policjanci przeprowadzili z Margarethe Paulus. Lektura ta nie napełniła go przerażeniem, gniewem czy odrazą, lecz głębokim, przejmującym smutkiem.

Program Walkiria był owocem innych czasów, innej mentalności. Twórcy programu działali z zimnym wyrachowaniem, w ogóle nie biorąc pod uwagę dobra dziewcząt, które do niego wybrali. Ich życie, nadzieje i sny nie miały dla nich najmniejszego znaczenia. Margarethe, Anke i Liane były jedynie narzędziami w rękach państwa, niczym więcej. Pod wieloma względami program Walkiria przypominał wszystkie inne działania, jakie podejmowała Stasi przez czterdzieści lat.

Dziewczyny musiały zapomnieć o wszystkich swoich marzeniach i nadziejach. Tak, to był jakiś trop. Fabel przerzucił kilka kartek, aż odszukał interesujący go fragment:

Główny nadkomisarz Fabel: Dlaczego wybrali właśnie ciebie i inne dziewczyny?

Margarethe Paulus: Wszystkie miałyśmy coś, na czym im zależało. A nawet kilka takich cech. Wszystkie byłyśmy wysportowane, dobrze się uczyłyśmy, byłyśmy lojalne wobec partii. Mogłabym dostać trochę wody?

Przerwa w przesłuchaniu, podejrzana czeka na wodę.

Główny nadkomisarz Fabel: Powiedziałaś, że wszystkie dziewczyny były wysportowane. Jaki ty sport uprawiałaś?

Margarethe Paulus: Różne. Szczególnie interesowała mnie atletyka. Ale nie byłam na tyle dobra, żeby startować w poważnych zawodach. Co innego Anke.

Główny nadkomisarz Fabel: Anke Wollner? Dlaczego?

Margarethe Paulus: Anke i Liane były wyjątkowo utalentowane w konkretnych dziedzinach. Na przykład Liane świetnie sobie radziła z nauką języków. I z prowadzeniem dyskusji. Ale talent Anke mógł oznaczać dla niej nawet igrzyska olimpijskie. Była światowej klasy narciarką. No i świetnie strzelała oczywiście. Specjalizowała się w biathlonie. Ale musiała z tego wszystkiego zrezygnować, kiedy wybrano ją do programu.

Fabel natychmiast sięgnął po słuchawkę telefonu. Kiedy dodzwonił się do recepcji hotelu, poprosił, by połączono go z pokojem Karin Vestergaard.

– Karin? Mówi Jan. Posłuchaj, chyba coś znalazłem. Ustaliliśmy, że Walkiria, którą Drescher zatrudnił w swojej zabójczej firmie, to prawdopodobnie Anke Wollner?

– Na to wygląda.

– Margarethe Paulus powiedziała podczas przesłuchania, że Anke była światowej klasy sportsmenką, ale musiała zrezygnować z kariery, kiedy wciągnięto ją do programu Walkiria.

– I?

– Stasi mogła zniszczyć wszystkie swoje dokumenty, wymazać nazwisko Anke Wollner z powierzchni ziemi,

podobnie jak zrobiono to w wypadku pozostałych dwóch dziewczyn. Ale nie mogli nic zrobić z materiałami, które znajdowały się poza NRD. Jeśli kiedykolwiek wyjechała na zawody za granicę, nawet do kraju należącego do Układu Warszawskiego, musiał zostać po tym jakiś ślad; relacja prasowa, może nawet zdjęcie.

– Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, żeby coś z tego wyszło, Janie – odparła Vestergaard. – Być może rzeczywiście przed laty zapisano jej nazwisko, ale nam do niczego się to nie przyda. Dlaczego mam wrażenie, że dzwonisz do mnie nie tylko z tego powodu?

– Chodzi o zabójstwo Jørgena Halvorsena. Zginął w Drøbak, w pobliżu Oslo, prawda?

– Tak...

– Margarethe powiedziała mi, że Anke specjalizowała się w sportach zimowych. Narciarstwo biegowe, biathlon, kombinacja norweska i tak dalej.

– Nadal nie rozumiem...

– Wyobraź sobie, że jesteś świetną narciarką, dorastasz w NRD pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych. Jakie zawody zrobiłyby na tobie największe wrażenie?

– Igrzyska zimowe w Sarajewie w osiemdziesiątym czwartym albo...

– Właśnie, albo mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym w osiemdziesiątym drugim roku, w Norwegii. Mistrzostwa rozgrywano w ośrodku narciarskim Holmenkollen w Oslo. To oczywiście tylko spekulacje, ale jeśli nasza Walkiria to rzeczywiście Anke? Może naszły ją wspomnienia, może chciała zobaczyć miejsce, w którym chciała kiedyś wystąpić, o którym marzyła jako dziecko? A może po prostu poszła tam, żeby przed zamordowaniem Halvorsena zabić też trochę czasu?

– Skontaktuję się z norweską policją – powiedziała Vestergaard. – W Holmenkollen jest muzeum, pewnie mają kamery.

– Właśnie o tym pomyślałem. Dzięki, Karin. Jak już mówiłem, szanse nie są wielkie, ale gdybyśmy zdobyli jej

zdjęcie...

Fabel zakończył rozmowę, po czym zadzwonił do Susanne. Jechała właśnie pociągiem do Monachium, pogawędzili chwilę. Powiedział jej, że w drodze do domu kupi sobie coś do jedzenia i pójdzie wcześniej spać. Nazajutrz czekał go ważny dzień.

Fabel zjadł kolację w Altona Altstadt i pojechał do domu. Miał ochotę wziąć prysznic, ale postanowił, że zrobi to rano: był zmęczony i chciał się porządnie wyspać, a prysznic mógłby go za bardzo pobudzić. Mniej więcej piętnaście po dziesiątej zapadł w głęboki sen.

Nie miał pojęcia, jak długo spał. Granica między snem i jawą była niewyraźna, zatarta. Najpierw poczuł obok siebie ciepło ciała Susanne. Czuł dotyk jej piersi na plecach, a potem jej usta i język na szyi: jej dłoń na boku, udzie, na brzuchu. Jej dłoń zamknęła się na nim, głaskała go, pieściła, pobudzała do życia. Podniecenie przeganiało resztki snu.

Potem pojawiła się konsternacja.

Susanna wyjechała. Rozmawiał z nią przez telefon. A mimo to czuł w uchu jej język. Nie, to nie był jej język. Natychmiast całkiem otrzeźwiał. Próbował obrócić się w łóżku, by zobaczyć, kto leży obok niego, gdy nagle coś zacisnęło się mocno na jego szyi. Nie mógł oddychać, zaczęło mu się kręcić w głowie. Sięgnął do szyi, lecz garota zacisnęła się jeszcze mocniej.

– Nie ruszaj się – wyszeptała mu do ucha nieznajoma kobieta. Niczym kochanka. – Nie ruszaj się albo zginiesz. – Ucisk na szyi zelżał, lecz druga dłoń wciąż zaciskała się na jego męskości, pieściła ją. – Nie chcę cię zabijać – wyszeptała ponownie. – Ale zrobię to, jeśli nie będziesz mnie słuchał. Rozumiesz?

Fabel próbował odpowiedzieć, nie mógł jednak wydobyć głosu z zaciśniętego gardła. Pokiwał głową.

– Wiesz, kim jestem?

Ponownie przytaknął. Czuł, jak powoli ustępują zawroty głowy. Jego umysł pracował już na pełnych obrotach, podpowiadał mu, że powinien coś zrobić, walczyć o życie.

Z drugiej jednak strony wiedział, że napastniczka udusi go, gdy tylko się poruszy.

– Jestem Walkirią – mówiła ciepłym, wilgotnym szeptem. Jej dłoń wciąż nad nim pracowała. – Ale nie tą, której szukasz. Rozumiesz?

Fabel był zdezorientowany. Odruchowo sięgnął do szyi, a Walkiria natychmiast zaciągnęła mocniej żyłkę. Fabel czuł pulsowanie krwi pod garotą, ale nie nad nią. Tylko mrowienie. Mroczne wnętrze jego pokoju pociemniało bardziej. Wypełniło się czernią.

– Pytałam, czy to rozumiesz.

Skinął głową.

– Byłam, jestem, Liane Kayser. Nie jestem Anke Wollner. Ty szukasz Anke, nie mnie. Nie pracowałam dla Georga Dreschera. Od upadku muru prowadziłam własne życie. Mam normalną pracę. Nie jestem zawodową zabójczynią. Właściwie już nią nie jestem. A to, czym się zajmowałam od tamtej pory, nie powinno cię interesować. Ale chcę, byś zrozumiał, że nadal dobrze pamiętam wszystko, czego mnie uczyli. Mogłabym zabić cię w tej chwili, rozumiesz to, Janie, prawda?

Fabel raz jeszcze skinął głową.

– Popuszczę teraz garotę, żebyś mógł mówić. Jeśli zrobisz coś głupiego, zacisnę ją do końca. Umocowałam na niej specjalny ściągacz bezwładnościowy. To znaczy, że mogę ją zacisnąć i pójść sobie stąd, a ty powoli się udusisz. Nie będziesz mógł jej rozciągnąć, nawet ja nie będę mogła tego zrobić, kiedy już całkiem ją zacisnę. Rozumiesz?

Fabel ponownie pokiwał głową. Poczul, jak żyłka powoli się rozluźnia, przez moment gwałtownie łąpał powietrze. Walkiria wciąż dotykała go drugą dłonią. Pieściła.

– Zabieraj tę rękę! – wychrypiał.

– Dlaczego? Wygląda na to, że ci się to podoba.

– Zabierz tę rękę.

Dotknęła go raz jeszcze i odsunęła w końcu dłoń.

– Kiedy to opiszesz... kiedy złożysz raport, powiesz im też o tym? Opowiesz, jaki byłeś twardy? Jak cię tam dotykałam?

Znów go dotknęła, a Fabel pochwycił ją za nadgarstek.

Natychmiast zacisnęła mocniej garotę.

– Puść mnie. – Kiedy wypełnił jej polecenie, rozluźniła żyłkę.
– Spytają cię, czy byłeś twardy. Czy ci się to podobało. Czy robiłeś coś, żeby mnie do tego zachęcić. Czy zaprosiłeś mnie do łóżka, choć nie wiedziałeś, kim jestem. No i twoja partnerka, Susanne... powiesz jej to? Potem zawsze będą się pojawiać jakieś wątpliwości. Ludzie będą szeptać za twoimi plecami. Susanne już nigdy nie uwierzy ci do końca.

Odsunęła dłoń.

– Właśnie tak to wygląda w wypadku kobiet. Zawsze. Za każdym razem, gdy jakaś kobieta zostanie napadnięta lub zgwałcona.

– Bzdura. – Głos wydobywający się ze ściśniętego gardła Fabela brzmiał dziwnie piskliwie, nienaturalnie. – Ja dobrze znam prawdę. Nie potrzebuję tego idiotycznego pokazu. Widziałem już tyle zbrodni i skrzywdzonych kobiet, że dobrze wiem, jak to wygląda naprawdę.

– Ale czy sprawiło ci to przyjemność, Janie? – wciąż mówiła szeptem. Czyżby bała się, że rozpozna jej głos? – Taka mała ręczna robota. Wiedziałeś może, że w wiktoriańskiej Anglii kobiety z tak zwanego towarzystwa ciągle mdlały? Nie uważano tego za coś niezwykłego. Twierdzono, że to wynik „kobiecej hysterii”. Niezwykłe zjawisko. A wiesz, o co w tym wszystkim chodziło?

Fabel nie odpowiedział. Walkiria zacisnęła mocniej garotę na jego gardle.

– Zadałam ci pytanie.

– Nie – wychrypiął Fabel.

– O ucisk seksualny. Kobietom w wiktoriańskiej Anglii nie wolno było cieszyć się seksem. Wmawiano im, że jeśli seks sprawia im przyjemność, to są nieprzyzwoite i powinny się wstydzić. Więc zjawisko zwane „kobietą histerią” zostało oficjalnie uznane przez medycynę za swego rodzaju dolegliwość. A wiesz, jak ją leczyli? Lekarz wykonywał masaż podbrzusza, aż kobieta doznała czegoś, co nazywano histerycznym paroksyzmem. Innymi słowy lekarz rodzinny robił im dobrze ręką. Niesamowite, co? A w tym samym czasie

wiktoriańscy dżentelmeni korzystali z usług prostytutek na skalę, która znacznie przerasta wszystko, co dzieje się dzisiaj. W północnych Niemczech wyglądało to niewiele lepiej. Przynajmniej na południu wiedzieli coś więcej o seksie.

– Nie przyszedł tutaj, żeby rozmawiać ze mną o wiktoriańskiej Anglii ani o zbrodniach z czasów Rzeszy Niemieckiej. Czego chcesz?

– Połóż się na brzuchu. Ale już.

Fabel posłusznie przewrócił się na brzuch. Walkiria odwróciła mu głowę na bok.

– Jeśli mnie zobaczysz, będę musiała cię zabić – wyjaśniła. – Przyszedłem tu z powodu wiadomości w „Muliebritas”.

– Jakiej wiadomości? – spytał Fabel z twarzą wciśniętą w poduszkę.

– Dobrze wiesz, jakiej wiadomości. – Znów zacisnęła mocniej żyłkę. Mocniej niż poprzednio. Kiedy ją zwolniła, Fabel charczał i łapczywie chwycił powietrze.

– Cytat z *Sagi o Njalu* – wydyszał w końcu. – O to ci chodzi?

– To wy ją tam zamieściliście?

– Nie.

Garota zacisnęła się mocniej. Fabel nie mógł mówić, kręcił więc tylko głową, aż napastniczka znów pozwoliła mu nabrać powietrza.

– Jeśli nie wy, to kto?

– Nie wiem... – odparł Fabel chrapliwym szeptem.

– Przez sen mówiłeś coś o jutrze. Czy to ma coś wspólnego z „Muliebritas”?

– Nie mogę ci powiedzieć. Nie powiem. Zresztą nie chciałabyś wiedzieć. To dotyczy Anke. Próbuje ją schwytać. Jeśli powiem ci więcej, możesz wszystko popsuć.

– W porządku – odparła nieoczekiwanie. – Nie będę się wtrącać. Chcę, żebyście ją złapali. Chcę, żeby to wszystko wreszcie się skończyło, żebym mogła wrócić do normalnego życia. Posłuchaj mnie, komisarzu Fabel... – wciąż mówiła szeptem, lecz tym razem z jej głosu zniknęły uwodzicielskie nuty, brzmiała w nim jedynie groźba. – Jesteś policjantem. Wiele już widziałeś. Widziałeś wiele kobiet, pobitych,

zgwalconych, uduszonych, skrzywdzonych. Mnóstwo kobiet i dziewczyn, które umarły w straszliwych męczarniach. Niewyobrażalnych męczarniach. Ale ty potrafisz je sobie wyobrazić, prawda? Musisz je sobie wyobrażać. Patrzyłeś na to, co inni mężczyźni potrafią zrobić kobietom, i zadawałeś sobie to mroczne pytanie: czy ja jestem do tego zdolny? Tyle bólu, tyle strachu. Czasami ty też odczuwasz ten strach, tę grozę: a jeśli coś takiego przydarzyłoby się mojej córce, mojej partnerce, mojej matce... Posłuchaj mnie teraz i zapamiętaj, co mam ci do powiedzenia: Walkiria, której szukacie, to Anke. Nie ja. Zostaw mnie w spokoju. Nie szukaj mnie. Nawet nie próbuj mnie szukać. Jeśli to zrobisz, zajmę się wszystkimi kobietami, które coś dla ciebie znaczą. Twoją kochanką, córką, matką, zrobię z nich ofiary. Dopilnuję, żeby przed śmiercią cierpiały. Rozumiesz? – Zacisnęła mocniej garotę. – Nie będę mogła zrobić im krzywdy, jeśli zginę albo trafię do więzienia, więc postaram się je dopaść, zanim tym dopadniesz mnie. Jeśli tylko nabiorę podejrzeń, że jesteś na moim tropie, zajmę się nimi. Połóż ręce na głowie.

Fabel wykonał jej polecenie. Poczul ukłucie w szyi. Coś zimnego w żyłach. Mrok wypełniający pokój zgęstniał. Pochłonął go.

7

Tym razem przebudził się gwałtownie, świadomość uderzyła weń niczym podmuch eksplozji. Raptowna, całkowita, przenikliwa.

Fabel zerwał się nagle, spadł z łóżka i uderzył boleśnie w podłogę. Oparł się o ścianę i podciągał powoli w górę, aż stanął prosto na drżących, słabych nogach. Przez chwilę rozglądał się nerwowo po pokoju, zatrzymywał wzrok na każdym cieniu. Podeszedł chwiejnym krokiem do przełącznika i wypełnił pokój oślepiająco jasnym światłem.

Nie było jej. Odszukał spodnie i wyjął z kieszeni klucz do sejfów, w którym trzymał pistolet. Włożył magazynek, odbezpieczył broń i wyszedł z sypialni. Przechodził z pokoju do

pokoju, włączył światło i sprawdzał z pistoletem gotowym do strzału, czy nie kryje się tam Walkiria. Dopiero gdy upewnił się, że jest sam, wszedł do łazienki i poddał się nudnościom, które dręczyły go od momentu przebudzenia. Substancja, którą mu wstrzyknęła, pozostawiła po sobie okropny ból głowy i mdłości.

Fabel ruszył w stronę telefonu, by zadzwonić do Presidium, zatrzymał się jednak w pół kroku. Najpierw musiał zrobić coś jeszcze. Wrócił do łazienki i wziął długi, gorący prysznic.

Holger Brauner był niedostępny, więc w zastępstwie przyjechała do niego Astrid Bremer. Jeszcze wcześniej na miejsce dotarł patrol mundurowych, którzy koniecznie chcieli przepytac wszystkich sąsiadów, czy nie widzieli lub nie słyszeli, jak ktoś wchodził do budynku.

– Nie ma takiej potrzeby – protestował Fabel. – Kobieta, która się tutaj włamała, jest prawdziwą profesjonalistką, na pewno zadbała o to, żeby nikt jej nie zauważył.

Młody komisarz w mundurze uśmiechnął się uprzejmie i nieco pobłaźliwie, po czym nie zważając zupełnie na fakt, że Fabel jest wyższy stopniem, poszedł zrobić to, co uważał za stosowne. Fabel musiał przyznać z niechęcią, że postąpił całkiem słusznie.

– Dlaczego wziąłeś prysznic, na miłość boską? – spytała Astrid Brimer. – Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że nie powinno się tego robić. Mogła zostawić na tobie ślady DNA.

– Co to ma niby znaczyć? – warknął Fabel.

Bremer wydawała się zszokowana jego gwałtowną reakcją.

– Nic. Po prostu pomyślałam, że skoro dusiła cię garotą, to musiała być blisko ciebie. Być może zostawiła jakiś ślad.

– Musiałem się odświeżyć, to wszystko. – Fabel przywitał skinieniem głowy Wenera, który wszedł właśnie do pokoju. – Czulem się trochę oszołomiony po tym, co mi wstrzyknęła.

– Rozumiem... – Bremer przyjrzała mu się uważnie. – A teraz jak się czujesz?

– Dobrze.

– Prawdę mówiąc, nie wyglądasz najlepiej, Janie. – Werner

pokręcił głową. – Jest tu lekarz policyjny. Chce cię zbadać.

– Mówię przecież, że nic mi nie jest – odparł Fabel podniesionym głosem, co tylko przyprawiło go o kolejny paroksyzm bólu. – No dobrze, może rzeczywiście powinien mnie zbadać.

– Musimy się dowiedzieć, co ci wstrzyknęła – powiedziała Bremer. – Lekarz na pewno to zrobi, ale ja chciałabym przeprowadzić własne badania. Mogę pobrać próbkę krwi?

– Dobra – mruknął zniecierpliwiony Fabel, podwijając rękaw. – Proszę.

– Będziesz musiał dać lekarzowi drugą próbkę do badania na obecność HIV. Standardowa procedura stosowana w wypadku każdego policjanta, którego ukłuto igłą. Oczywiście chodzi tu głównie o tych, którzy mają kontakt z narkomanami, ale przepisy to przepisy...

Bremer pobrała krew nadkomisarzowi.

– Wiesz może, w których jeszcze była pomieszczeniach? Oprócz sypialni oczywiście.

– Do czego ty zmierzasz? Myślisz, że najpierw podjąłem ją kolacją?

– Spokojnie, szefie – wtrącił pojednawczo Werner. – Astrid robi tylko to, co do niej należy.

– Nie miałam nic złego na myśli, panie komisarzu – oświadczyła Bremer oficjalnym tonem.

– Przepraszam, Astrid. – Fabel potarł dłonią kark. – To była ciężka noc. Która godzina?

– Dwadzieścia po piątej – odpowiedział Werner.

– Cholera. Kiedy już skończymy tutaj, pojedziemy wszyscy do Presidium. Musimy być gotowi na dzisiejsze spotkanie w Alsterpark.

– Więc nie odwołujemy akcji? – spytał Werner. – Wiem, co ci powiedziała, ale równie dobrze możemy założyć, że to była nasza Walkiria.

– Nie, Wernerze. Jestem pewien, że to Liane Keyser złożyła mi dzisiaj wizytę. Zrobiła to, żeby wytłumaczyć mi jasno i wyraźnie, że to nie ona współpracowała z Drescherem.

– Wiedziała o jego śmierci?

– Nie mam pojęcia. – Fabel pokręcił głową. – Nie powiedziała nic, co by na to wskazywało. Ale kiedy wymieniała jego nazwisko, była pewna, że wiem, o kogo chodzi. Jedno jest pewne: to nie ona jest naszą Walkirią. Jest nią Anke Wollner. Liane Kayser przyszła tutaj, bo prowadzi normalne życie, które chce chronić. Niczym się nie zdradziła. Choć właściwie mimowolnie powiedziała mi coś o sobie.

– Co takiego?

– Mam dziwne wrażenie, że jako dziecko była wykorzystywana seksualnie. Albo została zgwałcona. Doznała jakiejś traumy, która zmieniła jej osobowość i uczyniła z niej kandydatkę na Walkirię.

– Dlaczego? – spytała Astrid Bremer, marszcząc brwi. – Skąd to podejrzenie?

– Nie wiem – skłamał Fabel. – Może ze względu na to, co mówiła o traktowaniu kobiet przez mężczyzn. To tylko przecucie.

8

Fabel przypuszczał, że podobnie wyglądają przygotowania do kręcenia sceny na planie filmowym: wszystko miało pozory normalności, rzeczywistości, ale nie było wcale tym, na co wyglądało. Nikt nie był tym, kogo udawał.

Czuł się dość dziwnie, prowadząc akcję zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym niegdyś mieszkał. Doskonale znał tę okolicę.

Fabel, sygnał wywoławczy Kajzer Jeden, siedział na trzecim piętrze jednej z okazałych kamienic przy Harvestehuder Weg. Z okien jego pokoju rozciągał się widok na Alsterpark i na samo Außenalster. Mieszkania użyczył policji pewien prominentny hamburski biznesmen, któremu zależało na dobrych stosunkach z władzą. Z pewnością był to najlepszy punkt obserwacyjny, jaki mogli znaleźć, przez lornetkę Fabel widział stąd niemal wszystko, co działo się w pobliżu Fährdamm, nabrzeża dla małych, czerwonych i białych, promów kursujących po Außenalster, jednym z dwóch jezior

położonych w obrębie Hamburga. Obok Fährdamm i wokół całego jeziora ciągnęła się Alsterpromenade. Gdyby Walkiria wybrała się na spotkanie, przyszłyby właśnie Alsterpromenade albo wysadzaną drzewami alejką prowadzącą z Pöseldorfu do Fährdamm. Mogła tam zostawić samochód. Fabel spojrzął na furgonetkę służb miejskich Hamburga zaparkowaną przy alei. Obok furgonetki stało kilku pracowników palących papierosy: jednostka MEK, którą poprosił o pomoc.

Po jednej stronie przystani promowej znajdowała się kawiarnia, zamknięta o tej porze, a po drugiej rząd ławek, z których można było podziwiać widoki na jezioro i okolice. Z miejsca, w którym przebywał Fabel, nie widać było dobrze tej najważniejszej ławki, przesłoniętej częściowo nagimi gałęziami drzew.

Na ławce siedział zwalisty mężczyzna o siwiejących włosach. Kajzer Dwa, Werner. Fabel poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Werner nie przypominał Dreschera, był od niego większy, a w kamizelce kuloodpornej wydawał się jeszcze masywniejszy niż zazwyczaj. A jeśli Walkiria się na to nie nabierze? Spotykała się w ten sposób z Drescherem niemal dwadzieścia lat. A jeżeli od razu zorientuje się, że to pułapka? Jeśli po prostu zawróci i odejdzie, zrozumiawszy, że Drescher został aresztowany albo nie żyje? Na samą myśl, że Walkiria pozostanie na wolności, poza ich zasięgiem i kontrolą, Fabel czuł zimny dreszcz.

– Zbliży się jakaś kobieta – zameldował przez krótkofalówkę jeden z przebranych policjantów. – Wyszła chyba z Milchstrasse.

Fabel podniósł lornetkę do oczu i namierzył kobietę, o której mówił policjant. Była wysoka i szczupła, ale nie potrafił określić jej wieku, a włosy schowała pod dużą wełnianą czapkę. Niosła torbę na ramieniu.

– Idzie w stronę ławki – zameldował ponownie policjant.

– Idź za nią – polecił Fabel. – Werner, podejdzie do ciebie od prawej. Pamiętaj, o czym rozmawialiśmy.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Werner mu nie odpowiedział, lecz otworzył gazetę „Hamburger Morgenpost”

i odwrócił się plecami do nadchodzącej kobiety. Położył rękę na oparciu ławki, niby przytrzymując sobie płachtę dziennika.

– Zbliży się – relacjonował Fabel, przytrzymując jedną rękę lornetkę. Szła powoli, w niemal spacerowym tempie. – Książę Pięć... podejdź bliżej. Chcę, żebyś w razie potrzeby pomógł Kajzerowi Dwa.

Fabel widział, jak policjant idzie za kobietą. Nieco dalej przy poręczy rozciągała się młoda kobieta w sportowym stroju. Anna Wolff. Werner przesunął lornetkę i zobaczył mężczyznę i kobietę w eleganckich ciemnych płaszczach, pograżonych w rozmowie: oni także byli podstawionymi policjantami. Książę Pięć, który szedł za kobietą, był młodym mężczyzną ubranym w czarną bluzę z kapturem. Tymczasem kobieta przystanęła i oparła się o poręcz nad brzegiem jeziora. Wydawało się, że patrzy na odległe wieże wznoszące się ponad miastem.

– Cholera... – zaklął Fabel po angielsku. – Nie zatrzymuj się... nie zatrzymuj się... – powtarzał cicho, jakby chciał siłą woli zmusić młodego policjanta, by przeszedł obok kobiety. Zrobił to. Minął ją, nie zmieniając tempa ani kierunku.

– Jest sto metrów od ławki – zameldował. – Przejdę obok Kajzera Dwa. Dwadzieścia metrów dalej jest następna ławka. Usiądę tam i poczekam.

– Nie – odparł stanowczo Fabel. – Idź w stronę Milchstrasse, a potem wzdłuż Harvestehuder Weg. Książę Cztery, gdzie jesteś?

– Na pozycji – odparła Anna Wolff. – W południowo-zachodnim rogu. Widzę kobietę.

– Przejdź tam jak najszybciej, ale tak, żeby nie wzbudzić jej podejrzeń. Książę Sześć i Siedem, zostańcie na miejscach, ale bądźcie gotowi do akcji.

Obserwował przez lornetkę, jak Anna zaczyna truchtać w stronę kobiety.

– Znowu idzie – zameldowała.

Fabel przesunął lornetkę wzdłuż alejki.

– Wszystkie jednostki w gotowości.

Kobieta była już tylko dziesięć metrów od Wenera. Pięć.

Dwa. Przeszła obok, nawet nie rzuciwszy nań okiem.

– Mam się jej trzymać? – spytała Anna.

Fabel nadal obserwował kobietę przez lornetkę. Przywitała się z jakimś mężczyzną, który szedł w przeciwnym kierunku i wzięła go pod rękę. Potem oboje zeszli z Alsterpromenade i ruszyli w stronę Pöseldorf.

– To nie ona. Spotkała się z kimś.

Fabel zaklął w duchu. Wiedział już, że Walkiria nie przyjdzie. Pewnie robiła teraz to samo co on: obserwowała okolicę z bezpiecznej odległości przez lornetkę. Kiepska peruka Wernera i jego zwałista sylwetka musiały wydać się jej podejrzane.

– Zachowajcie czujność – rozkazał Fabel. – Może jeszcze przyjdzie.

Przesunął spojrzeniem wzdłuż Alsterpromenade, od południa do samego Fährdamm. Nic. Spojrzał na Wernera, który wciąż siedział na ławce, a potem na parę, która mijala właśnie policjantów z MEK przebranych za pracowników służb miejskich. Zauważył, że Anna przebiega właśnie obok nich.

– Księżę Cztery – wywołał ją. – Zawróć i zajmij poprzednią pozycję.

Anna nie odpowiadała.

– Księżę Cztery, słyszysz mnie?

– Chwileczkę...

Fabel słyszał ciężki oddech Anny. Zatrzymała się i pochyliła do przodu, kładąc dłonie na kolanach, jakby zmęczona biegiem znacznie dłuższym niż ta krótka przebieżka. Przytulona para przeszła obok niej.

Anna się wyprostowała i przycisnęła dłonie do karku, jakby chciała rozciągnąć kręgosłup. Zwykły, niebudzący podejrzeń gest.

– Wilczyca! Wilczyca! Wilczyca! – Głos Anny dochodzący z krótkofalówki był tak podekscytowany, że Fabel z niedowierzaniem spojrział na jej rozluźnioną sylwetkę. Potem poczuł nagły przypływ adrenaliny, a czas jakby zwolnił, niemal stanął w miejscu. – Księżę Cztery do Kajzera Jeden, widzę Wilczycę.

– Gdzie? Gdzie ona jest? – krzyknął do krótkofalówki.

– To ta para – odparła Anna. – To ona. Nie jestem całkiem pewna, ale wydaje mi się, że trzyma go na celowniku. Przejrzała chyba Kajzera Dwa, zorientowała się, że to pułapka, i po prostu przechwyciła tego faceta, posłużyła się nim jak parawanem.

– Cholera – zaklął ponownie Fabel, po czym połączył się z jednostką MEK. – Wilk Pięć, wygląda na to, że podejrzana ma zakładnika.

– Słyszałem – odparł dowódca MEK. – Jeśli to prawda, to musimy ją zdjąć, zanim wyjdzie z parku i dotrze do Pöseldorfu. Wkraczamy?

Fabel się zawahał.

– Książę Cztery, jesteś pewna, że to Wilczyca?

– Nie na sto procent, Kajzer Jeden. Trzyma go mocno pod rękę, a on nie wygląda na zadowolonego. Tuli się do niego i chowa prawą dłoń, jakby trzymała w niej pistolet.

– Wilk Pięć do Kajzera Jeden. Wkraczamy czy nie?

Fabel przyjrzał się Annie przez lornetkę. Nadal odgrywała rolę zmęczonej biegaczki. Zauważył też, że połowa policjantów z MEK przebranych za pracowników zieleni miejskiej zniknęła we wnętrzu furgonetki. Potem ponownie spojrzął na parę wychodzącą niespiesznie z parku. Jeśli to nie była Walkiria, nie miał nic do stracenia. Jeśli jednak nią była, to z pewnością wiedziała już, że ją ścigają. Zauważyłaby każdego, kto poszedłby za nią do miasta. Jeśli pozwoli jej odejść, być może wypuści zakładnika i nie zrobi mu krzywdy. A może nie.

Alternatywą był atak w obrębie parku. Zakładnik nie miałby wtedy zbyt wielkich szans na przeżycie. Istniało też prawdopodobieństwo, że co najmniej jeden policjant zostanie ranny lub zginie.

– Wilk Pięć do Kajzera Jeden... – Fabel słyszał zniecierpliwienie w głosie dowódcy MEK. – Powtarzam: wkraczamy czy nie?

Fabel podniósł krótkofalówkę do ust.

Nie sądziłam, że dzisiaj wrócisz – powiedziała Ivonne. Przyniosła kawę i stertę papierów, które położyła na biurku Sylvie. – Jak ci poszło na wschodzie?

– Dobrze. Już wkrótce dowiem się, kogo właściwie szukam. Człowieka, który zna wszystkie odpowiedzi. Wróciłam do Hamburga tylko na kilka dni. To są te rzeczy, o które prosiłam?

– Tak. Wszystkie informacje o Giennadiju Frołowie, jakie udało mi się znaleźć, i wszystkie dane na temat firm grupy NeuHansa, o których mówiłaś. A także kilka ostatnich numerów tego czasopisma, o które pytałaś. Wiesz, tego, które zorganizowało protest tej samej nocy, kiedy zginął ten angielski gwiazdor. Aha, szukał cię Andreas Knabbe. Powinnaś czasami odpowiadać na wiadomości, które zostawia ci na pocztę głosowej. Właściwie powinnaś też czasami odbierać telefon – dodała Ivonne, krzywiąc się z irytacją. – A kiedy mówię, że szukał cię pan Knabbe, to mam na myśli rozwścieczonego, szarżującego byka, który najchętniej wziąłby cię na rogi. Chyba nie był zbyt zadowolony, że wyjechałaś i nie mogłaś zająć się tym wybuchem przy zatoce. Podobno w tej restauracji był wtedy Giennadij Frołow.

– Frołow? – powtórzyła Sylvie, marszcząc brwi. – Więc prawdopodobnie to on był celem. Czego on właściwie chce? Mam na myśli Knabbego, oczywiście.

– Pewnie twojego skalpu. Aha, jeszcze jedno. Cztery dni temu coś dziwnego działo się w Altonie, niedaleko miejsca, w którym mieszkasz. Policja zablokowała ulicę i przeszukiwała jakieś mieszkania. A potem wszystko ucichło.

– Jaka jest oficjalna wersja?

– Na razie nie ma żadnej.

– Zwlekają. – Sylvie pokiwała głową. – Nie mogą podać nam fałszywych informacji, więc nie podają żadnych, dopóki tylko mogą. Kto się tym zajmuje?

– Ten dupek Brandt. – Ivonne zmarszczyła nos z odrazą. – Wiesz, ten który śmierdzi.

– Nie potrafiłby znaleźć własnej dupy, a co dopiero

rozszyfrować taką historię – parsknęła Sylvie. – Coś jeszcze?

– Nie... a powinno być?

– Czekam na wiadomość. Nie dzwonił ani nie pisał nikt, kto przedstawił się jako Siegfried?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Kiedy została już sama, Sylvie zaczęła przeglądać informacje, które zgromadziła dla niej Ivonne. Była w połowie ostatniego numeru „Muliebritas”, kiedy zauważyła pewne ogłoszenie: cytat z *Sagi o Njalu*.

*Niebiosa splamione są krwią ludzi,
gdy walkirie śpiewają swą pieśń.*

O, do diabła, pomyślała. To nie może być zbieg okoliczności.

10

Wahał się. Wyczuwała to. Wiedziała, że operacją kieruje Fabel, szef wydziału zabójstw. Przeklinała w duchu swoją głupotę: po wszystkich tych latach, po tylu zakodowanych wiadomościach i spotkaniach z wujkiem Georgiem, po prostu nie przyszło jej do głowy, że to może być pułapka. Powinna była to dobrze przemyśleć. Szczególnie to drugie ogłoszenie.

– Mam żonę i dzieci – powiedział mężczyzna, którego trzymała pod rękę. – Proszę, nie zabijaj mnie.

Wcisnęła mocniej lufę beretty między jego żebra i pociągnęła go do przodu.

– Gdybym chciała cię zabić, już byłbyś martwy. Jeśli coś ci się stanie, to tylko z winy policji. Ja wiem, co robię, oni nie. Jeśli chcesz żyć i zobaczyć jeszcze żonę i dzieci, to zamknij się i idź dalej. Kiedy będziemy już w mieście, między ludźmi, wypuszczę cię.

Szła równym, niespiesznym krokiem. Wróciła myślą do chwili, gdy przebrany gliniarz zaczął zbliżać się do niej od tyłu. To ją zaniepokoiło. Potem jeszcze ta głupia kobieta, która

udawała biegaczkę. Oczywiście już jakieś dwadzieścia metrów przed ławką zorientowała się, że nie siedzi tam wujek Georg. To była głupia, prymitywna pułapka, a ona była durna, że dała się w nią wciągnąć.

Obserwuje mnie teraz, pomyślała. Pewnie z wyższych pięter którejś kamienicy przy Harvestehuder Weg.

– Pochyl do mnie głowę – syknęła do mężczyzny. Był wysoki, niemal dziesięć centymetrów wyższy od niej. – Udawaj, że jesteście parą i że coś do mnie mówisz.

Pomyślała, że być może jednak jej mały trick przyniósł zamierzony skutek. Może wykreślili ją ze swojej listy i wypatrywali innej samotnej kobiety zmierzającej w stronę ławki. Pomyślała o mężczyźnie, którego trzymała pod rękę. Fałszywy wujek Georg prawdopodobnie patrzył na nią, kiedy przechodziła obok, lecz odwróciła wtedy twarz, jakby patrzyła na wodę. Tylko ten mężczyzna widział ją z bliska. Jeśli dotrze do Pöseldorfu, załatwi go w jakiejś bocznej uliczce. Nie miała tłumika, więc musi użyć noża.

Jeśli dotrze do Pöseldorfu.

Minęli furgonetkę zieleni miejskiej, przy której stało kilku robotników. Anke omal nie parsknęła śmiechem: mogli dorzucić chociaż jednego starszego lub otyłego policjanta, dla zachowania pozorów. Już na pierwszy rzut oka widać było, że to zahartowani w bojach zawodowcy. Jednostka specjalna MEK. Sześciu. Pod ubraniami roboczymi wszyscy mieli pewnie kamizelki kuloodporne. Wiedziała, że ci ludzie potrafią się szybko poruszać i dotrzymają jej kroku podczas pościgu. Każdy z członków MEK musiał przebiec trzy kilometry w czasie krótszym niż trzynaście minut i dziesięć sekund. Ale kamizelki na pewno ograniczały im swobodę ruchów. Nogi i głowa. Gdyby przyszło co do czego, będzie mierzyć w nogi i głowy. Mieli ogromną przewagę w ludziach i sprzęcie, ale ona z kolei wiedziała, że muszą postępować zgodnie z procedurami.

Fabel obserwował ją i wahał się, była tego pewna. Każda sekunda jego wahania zbliżała ją do miasta, do ulic i ludzi. Kiedy już się tam znajdzie, zdoła uciec. A jeśli spróbują ją ścigać, narobi ogromnego zamieszania. Zgubi ich w powodzi

martwych cywilów.

Nóż ze spieku. Beretta. Trzy zapasowe magazynki, po czternaście nabojów w każdym, ukryte w jej torbie.

Miała przed sobą prostą drogę. Cała sztuka polegała na tym, żeby się nie spieszyć. Zachować spokój. Wciąż trzymała mocno za rękę swojego zakładnika. Była prawie na miejscu. Nie zrobi tego. Fabel nie każe jej zdjąć.

Wujek Georg.

Mieli wujka Georga. Potem uświadomiła sobie, co stało się naprawdę. Nie aresztowali wujka Georga, on nie żył. Sięgnęła głęboko do swego wnętrza, by się przekonać, czy coś czuje. Musiała sięgać naprawdę głęboko. I znalazła naprawdę niewiele.

Pomyślała o ich wspólnych o rozmowach. O czasach, kiedy miała piętnaście lat, a on uczył jej wszystkiego, co teraz umiała. Przypomniała sobie, jak pewnego letniego dnia siedzieli na trawie przed ośrodkiem szkoleniowym. Słońce grzało ją w kark, pili chłodny sok pomarańczowy i rozmawiali o jakichś miłych bzdurkach, wujek Georg, Liane, Margarethe i ona.

– To jest złota godzina – wyjaśnił wujek Georg. – Pomiedzy spotkaniami powinnyście wykorzystać takie właśnie chwile. Delektować się nimi.

W tamtym momencie czuła, że pozostałe dziewczyny naprawdę są jej siostrami, że wujek Georg naprawdę jest jej wujem. Przez moment zobaczyła fragment życia, jakiego nie było jej nigdy dane doświadczyć. To było idealne złote kłamstwo, dopasowane do idealnej złotej chwili. Lecz nawet w tym kłamstwie odkryła ziarno prawdy, które pozwoliło jej zrozumieć, co znaczy być częścią rodziny.

A teraz wujek Georg nie żył.

Przez moment w środku mroźnej hamburskiej zimy poczuła ciepło tamtego letniego popołudnia sprzed lat. Ogarnął ją ból i smutek, którego szukała.

Wtedy właśnie usłyszała, jak biegną w jej stronę, krzyczą, by wypuściła zakładnika i stanęła nieruchomo.

Więc jednak Fabel to zrobił.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

1

Anke Wollner obróciła się w miejscu, ciągnąc za sobą mężczyznę i zasłaniając się nim jak tarczą. Wiedziała oczywiście, że od tyłu zachodzą ją inni policjanci, ale największe zagrożenie stanowili ci z przodu. Sześciu mężczyzn z MEK podzieliło się na trzy dwuosobowe zespoły. Standardowa formacja, zgodna z procedurami.

Zobaczyła kobietę przebraną za biegaczkę, która krzyczała do niej, by się nie ruszała. Anke strzeliła dwukrotnie, trafiając ją w obie nogi. Policjantka osunęła się na ziemię i zaczęła krzyczeć. Anke wymierzyła w jej głowę, ale dojrzała kątem oka, że mężczyźni z MEK podrywają się do biegu, trzech szykuje się ataku, a trzech innych ich osłania. Strzeliła w twarz najbliższego. Pozostali otworzyli ogień, ale żaden z nich jej nie trafił: najwyraźniej bali się, że zrobią krzywdę zakładnikowi. Strzeliła jeszcze dwukrotnie. Pierwszy pocisk chybił celu, drugi oderwał kawałek głowy policjantowi z MEK. Dwóch gliniarzy zabitych. Jeden ciężko ranny. Wycofają się, żeby uniknąć ofiar wśród cywilów. Anke szła tyłem w stronę Harvestehuder Weg, z trudem utrzymując przed sobą zakładnika, który dygotał ze strachu na całym ciele. Kiedy obejrzała się za siebie, zobaczyła dwóch gliniarzy, którzy kryli się właśnie za samochodem zaparkowanym przy ulicy. Strzeliła w okna auta, drobiny szkła rozsypały się na wszystkie strony. Potem strzeliła jeszcze trzykrotnie w zbiornik paliwa, a następnie w asfalt, na którym tworzyła się już kałuża benzyny. Iskry powstałe przy uderzeniu pocisku o asfalt zapaliły paliwo. Zbiornik eksplodował, podrywając w górę tylną część auta. Słyszała krzyki dobiegające z samochodu i kroki policjantów biegnących w jej stronę. Zobaczyła, jak jakiś mundurowy zatrzymuje samochód na Harvestehuder Weg, kilkadziesiąt metrów dalej.

Anke puściła ramię mężczyzny i ruszyła biegiem w stronę samochodu. Jednocześnie odwróciła się na moment i strzeliła w brzuch zakładnika, który osunął się na ziemię, wymiotując krwią, a potem zaczął krzyczeć. Będą musieli się nim zająć. Sekundę później padły strzały z broni automatycznej. Otoczył ją rój świszczących pocisków, coś uderzyło ją w łydkę, ale biegła dalej. Musieli kontrolować ogień. Po jej lewej stronie znajdowały się domy, a jakiś zabłąkany pocisk mógł trafić cywila. To ograniczało ich najbardziej. Anke nie przejmowała się tym, kto zginie albo zostanie ranny – oni musieli.

Umundurowany policjant po lewej odwrócił się i sięgnął po broń. Anke nie zwalniała tempa i nadal trzymała w wyprostowanych sztywno rękach berettę gotową do strzału. Wiedziała, że policjant nie ma kamizelki, więc mierzyła w jego pierś. Oba pociski dosięgły celu. Młoda kobieta siedząca w zatrzymanym aucie wpatrywała się w nią z rozdziawionymi ustami. Anke otworzyła drzwiczki volkswagena polo i wyciągnęła kobietę na zewnątrz, a potem strzeliła jej w nogi: kolejna ofiara, która spowolni pościg. Wrzuciła wsteczny bieg i przejechała tyłem wzdłuż Harvestehuder Weg. Rozległy się kolejne strzały, przednia szyba rozsypała się na drobne kawałki, lecz Anke ani na moment nie zwolniła. Wiedziała, że błyskawiczna ucieczka to jej jedyna szansa. Zaciągnęła hamulec ręczny, obróciła auto o sto osiemdziesiąt stopni, po czym wrzuciła pierwszy bieg i ponownie wcisnęła pedał gazu. W lusterku wstecznym dostrzegła migające niebieskie światła.

Ścigali ją.

„Jeśli dochodzi do pościgu samochodowego – mówił jej kiedyś wujek Georg – policja prawie zawsze wygrywa. Przekonaj ich, że próbujesz uciec autem, a potem jak najszybciej z niego wysiądź”.

Wjechała z piskiem opon w Pöseldorfer Weg, po czym natychmiast skręciła w jakąś boczną, ślepą uliczkę i zaparkowała przy krawężniku, za innym autem. Widziała, jak niebieskie światła radiowozu przemykają na końcu ulicy i znikają za rogiem. Drugi radiowóz zwolnił, niemal zatrzymał się przy ślepych zaułku, potem jednak dodał gazu i pojechał

dalej.

Anke wysiadła z samochodu, starając się nie zwracać uwagi na sztywniejącą nogę. Czowała, jak lepka wilgoć wypełnia jej but i wsiąka w nogawkę. Teraz nie mogła się tym jednak zająć. Musiała jak najszybciej opuścić to miejsce, oddalić się od samochodu.

Wciąż miała ze sobą torbę. Wysunęła pusty magazynek z rękojeści beretty i włożyła na jego miejsce pełny. Przeszła równym krokiem wzdłuż ulicy i skręciła raptownie w lewo, w otwartą furtkę jednego z domów. Była to duża willa, którą zamieniono na apartamentowiec. Podeszła spokojnie do drzwi, jakby mieszkała w tym miejscu od urodzenia, i przeczytała listę nazwisk na domofonie. Przy jednym z guzików widniały dwa różne nazwiska. Mogła się oczywiście mylić, ale przypuszczała, że mieszkanie należy do jakiejś młodej, bezdzietnej pary. Prawdopodobnie oboje byli w pracy. Nacisnęła guzik. Nikt nie odpowiedział, a właśnie o to jej chodziło. Potem naciskała kolejne guziki, aż w końcu doczekała się reakcji. Z głośnika wydobył się głos jakiejś starszej kobiety.

– Przesyłka – powiedziała Anke.

Zamek w drzwiach klatki schodowej otworzył się z głośnym buczeniem. Anke uchyliła drzwi i przytrzymała je stopą, po czym ponownie wcisnęła guzik domofonu.

– Przepraszam – powiedziała. – Zły adres. Myślałam, że to Pöseldorfer Weg.

Wysłuchawszy narzekania staruszki, Anke weszła do klatki schodowej i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Stała przez chwilę w bezruchu, wstrzymując oddech i nasłuchując, czy podejrzliwa staruszka nie wyjdzie na korytarz. Kiedy była już pewna, że jest sama, weszła na pierwsze piętro. Odszukała właściwe mieszkanie i otworzyła drzwi wytrychem.

W środku zajrzała do wszystkich pomieszczeń po kolei, by upewnić się, że mieszkanie rzeczywiście jest puste. Spojrzała na drewnianą podłogę. Zostawiała za sobą krwawy ślad. Prawdopodobnie pozostawiła też podobne odciski na klatce schodowej i na ulicy. Nawet jeśli nie były widoczne, policyjny pies tropiący odnalazłby je bez trudu. Musiała działać szybko.

Przeszła do sypialni i przejrzała garderobę kobiety. Właścicielka mieszkania nosiła ubrania o numer większe niż Anke, ale to nie stanowiło problemu: byłoby znacznie gorzej, gdyby używała ubrań o numer mniejszych. Anke rozłożyła na łóżku kilka par dżinsów, swetrów i marynarek, po czym dokonała szybkiego wyboru. Znalazła też torbę na ramię, którą zamierzała zabrać zamiast swojej. Była nieco mniejsza, ale musiała jej wystarczyć.

Anke przeszła do niewielkiej łazienki, gdzie oparła się o ścianę i zdjęła buty, spodnie i rajstopy, zostawiając na wykładanej płytkami podłodze kałużę krwi. Podniosła nogę i obejrzała zranioną łydkę. Pocisk przeszedł przez nią na wylot, wyrывая przy tym kawałek mięśnia. W łazience nie było wanny, ale Anke włożyła nogę do kabiny, wzięła do ręki prysznic i przepłukała ranę gorącą wodą, po czym owinęła ją ciasno ręcznikiem. Potem sięgnęła do szafki i wygarnęła całą jej zawartość do umywalki. Przez chwilę szukała jakichś środków opatrunkowych, znalazła jednak tylko jedną nierozpakowaną rolkę bandażu. Wróciła do sypialni i zaczęła przeglądać zawartość szuflad, aż znalazła opakowanie podpasek, które zabrała ze sobą do łazienki.

Zsunęła z nogi zakrwawiony ręcznik i wcisnęła do wnętrza rany podpaszkę nasączoną środkiem odkażającym. Ból eksplodował z niesamowitą siłą, lecz Anke zacisnęła tylko mocniej zęby, tłumiąc nieludzki krzyk. Potem obłożyła ranę dwiema podpaskami i owinęła je bandażem. Kiedy było już po wszystkim, umyła ręce i twarz z potu. Na toaletce stało zdjęcie dwojga młodych ludzi, prawdopodobnie pary, która zajmowała to mieszkanie. Kobieta była wysoka i szczupła, wcale nie wyglądała na większą od Anke. Miała czarne włosy i śniadą cerę, Anke domyśliła się więc, że zwykle robi sobie ciemniejszy makijaż niż ona. Następne pięć minut spędziła przed lustrem, zmieniając swój wygląd za pomocą kosmetyków właścicielki mieszkania. Potem włożyła przygotowane wcześniej ubrania i wsunęła na nogi buty z wysokimi, sięgającymi kolan cholewami. Musiała się trochę namęczyć, by zasunąć but na lewej, obwiązanej bandażem łydce, pomyślała jednak, że nieco

przyciasna cholewa dobrze przytrzyma opatrunek.

Kiedy włożyła już wszystkie elementy garderoby, łącznie z długim płaszczem i beretem, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Inna kobieta z innym stylem, historią i życiem.

Nim opuściła mieszkanie, zastanawiała się przez chwilę, co zrobić ze swoimi ubraniami. Zawierały jej krew i fragmenty tkanek, mnóstwo materiału, z którego można było odczytać jej DNA. Potem pomyślała jednak, że zostawiła w okolicy mnóstwo śladów swojego DNA. Tym razem nie udało jej się zachować bezpiecznego dystansu od ofiary.

Wiedziała, że to już koniec. Wujek Georg nie żył. Albo został schwytany. Musiała uciekać z Hamburga. Miała dokumenty, które pozwolą jej stworzyć nową tożsamość, i dość pieniędzy, by prowadzić wygodne życie. Może to był nowy początek. Przekona się o tym w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

Włożyła do torby beretę, magazynki, nóż i paczkę podpasek. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Ślepy zaułek był pusty, z okolicznych ulic dochodziło wycie policyjnych syren. Musiała jakoś sobie radzić i wydostać się z Pöseldorfu. Potem będzie wolna.

2

Fabel widział wszystko przez okno. Stał i patrzył, jak Anna upada na ziemię. Widział błyski wystrzałów, a potem jej osuwające się ciało. Powinien był zostać na posterunku, ale bez chwili namysłu wypadł z mieszkania, zbiegł ze schodów i popędził przez ulicę, krzycząc jednocześnie do krótkofalówki i wzywając pogotowie.

Kiedy dotarł na miejsce, Anną zajmowało się już dwóch policjantów z MEK, którzy zakładali na jej nogi opatrunki uciskowe. Był tam też Werner, który odgarniał włosy z jej twarzy. Fabel westchnął ciężko, ujrzawszy czerwone plamy rosnące na opatrunkach.

– Anno... – Zbliżył się o krok i uklęknął obok niej. – Anno...
Tak mi przykro...

Jej twarz była blada, niemal szara, a oddech przyspieszony i płytki. Mimo to pokręciła głową i uśmiechnęła się słabo.

– To nie twoja wina. Tylko moja. Chyba jestem już gotowa na tę terapię...

Przyjechała karetka, ratownicy medyczni przejęli opiekę nad Anną i kazali Fablowi i Wernerowi odsunąć się na bok. Podszedł do nich Dietz, dowódca jednostki MEK.

– Co wyście tu, kurwa, robili?! – wrzasnął mu Fabel prosto w twarz. – Jak mogliście do tego dopuścić? Ściągnąłem was tutaj, bo właśnie czegoś takiego chciałem uniknąć. – Wskazał na ratowników opatrujących Annę.

– Zanim zaczniesz drzeć gębę, Fabel, przypomnę ci, że straciłem dwóch ludzi, a dwóch innych jest ciężko poparzonych i walczy o życie. Ty spieprzyłeś sprawę, nie ja. Dlaczego nie kazalesz nam jej zdjąć, zanim doszła do jezdni? Wiedziała, że będziemy musieli uważać, jeśli znajdzie się w pobliżu budynków. Tam... – Wskazał dłonią na park. – Tam mieliśmy największe szanse.

Werner, który zdążył już zdjąć perukę, podniósł rękę w uspokajającym geście i stanął między nimi.

– Dajcie spokój, na miłość boską, to nie ma sensu. Janie, mamy jeszcze trzy ofiary. Zakładnik jest w stanie krytycznym, został postrzelony w brzuch. Nie żyje jeden mundurowy, a młoda kobieta ma przestrzelone nogi. Zrobił się niezły bajzel, nie ma co.

– Znaleźliśmy już samochód?

– Nie. Ale to nie powinno być trudne. Nie ma przedniej szyby.

– Ta suka raczej nie wpadnie w panikę i nie popełni jakiegoś głupiego błędu. – Fabel westchnął. – Przypuszczam, że porzuciła samochód gdzieś w pobliżu i ukradła inny. Niech centrum dowodzenia z Presidium natychmiast informuje nas o wszystkich samochodach skradzionych w promieniu pięciu kilometrów. Oczywiście jeśli znajdą tego volkswagena, też muszą nas jak najszybciej powiadomić. Niech wszystkie radiowozy z okolicy sprawdzają boczne uliczki, ślepe zaułki, puste place, każde miejsce, gdzie mogła go porzucić. Ale jestem

pewien, że zostawiła go niedaleko stąd. Piesze patrole mają zatrzymywać wszystkie samotne kobiety i legitymować je albo przepytywać. Co najmniej dwie osoby na patrol. I niech wszyscy zachowują nadzwyczajną ostrożność.

– Jest coś jeszcze – odezwał się Dietz. – Jestem pewien, że ją trafiłem. Na ulicy, tam, gdzie biegła, są plamy krwi. Chyba dostała w nogę.

– Będzie szukała jakiejś bezpiecznej kryjówki, żeby opatrzyć ranę. Ona nadal tu jest, Wernerze. Musimy ją znaleźć.

3

Pöseldorf należał do najmodniejszych dzielnic Hamburga. Mieszkania były tutaj bardzo drogie, a sklepy i restauracje ekskluzywne. Niegdyś jednak tę okolicę zamieszkiwała biedota, o czym świadczył skomplikowany układ wąskich, brukowanych uliczek.

Anke kluczyła przez jakiś czas w tych zaułkach, celowo wybierając najmniej uczęszczane alejki i przejścia, czasami przeskakiwała nawet przez płoty, by uniknąć głównych ulic. W końcu znalazła się na Hallerstrasse, w pobliżu studia telewizyjnego i kortów tenisowych Rotherbaum. Wzdłuż ulicy stał szereg aut, w większości były to jednak nowe i drogie modele, ze skomplikowanymi systemami zabezpieczeń. Anke szła dalej. Zrozumiała, że będzie musiała wrócić do miejsca, gdzie zostawiła swój samochód, inaczej policja uzna go za pojazd porzucony i znajdzie w bazie danych zarówno jej tożsamość, jak i adres. Na wszelki wypadek zaparkowała go na tyle daleko od Alsterpark, by czuć się stosunkowo bezpiecznie. Teraz z każdym krokiem coraz bardziej żałowała tej decyzji. Bolała ją nie tylko łydka, ale i cała noga, co wiązało się z nagłym i ostrym skurczem mięśni, reakcją na postrzał. Nie musiałyby się tak męczyć, gdyby szła nadal wzdłuż Mittelweg, najkrótszą trasą, była jednak pewna, że policja zatrzymuje tam teraz wszystkie samotne kobiety, wybrała więc okrężną, co najmniej trzy razy dłuższą drogę.

Odetchnęła z ulgą, gdy wyszła zza rogu i zobaczyła swojego

lexusa tam, gdzie go zostawiła. Usiadła na pokrytym skórą fotelu i wyprostowała obolałą nogę, pozwalając sobie na chwilę wytchnienia. Sięgnęła ręką do łydki i znów poczuła lepką wilgoć pod palcami. Pomyślała, że kiedy wróci do swojego mieszkania, będzie musiała zaszyć ranę, co ze względu na jej położenie nie było zbyt łatwe.

Anke opadła na oparcie fotela i zamknęła oczy. Poderwała się raptownie, kiedy ktoś zapukał w boczną szybę auta.

Uśmiechnęła się i opuściła szybę. Oceniała szybko sytuację: młoda policjantka, bardzo młoda, samotna, niedoświadczona. Wszyscy inni polowali na zabójczynię z Alsterpark.

– Czy to pani samochód?

– Owszem, mój. W czym problem?

– Parkowała pani tutaj za długo. Będę musiała wystawić pani mandat. Jak się pani nazywa?

Sprawdzasz moje nazwisko w bazie danych, pomyślała Anke. Przesłałaś już numer rejestracyjny. Jeszcze o tym nie wiedzieli, ale znali już jej tożsamość i adres, mieli wszystkie dane na talerzu.

– Jana Eigen. – Podała jej nazwisko, pod którym żyła przez ostatnie dziesięć lat. Nazwisko, które stało się dla niej równie rzeczywiste jak Anke Wollner. Teraz przepadło.

– Czy mogę zobaczyć pani dowód osobisty i prawo jazdy? – Młoda policjantka starała się przemawiać surowym tonem. Zdaniem Anke miała nie więcej niż dwadzieścia trzy lata. Była ładna, miała ciemne włosy, schowane teraz pod czapkę. Policyjna marynarka była na nią o numer za duża, co nadawało jej niemal dziecięcy wygląd.

– Oczywiście – odparła Anke, sięgając do torby, którą położyła wcześniej na fotelu pasażera. – Proszę bardzo.

Pierwszy strzał trafił policjantkę w gardło. Upadła obok samochodu. Anke próbowała otworzyć drzwi, blokowało je jednak ciało policjantki, musiała się więc przeciskać przez wąską szparę, boleśnie obijając sobie przy tym nogę. Młoda kobieta leżała na brzuchu, jej kamizelka kuloodporna wygięła się ku górze niczym pancierz żółwia ozdobiony wielkim napisem POLICJA. Z jej gardła wydobywał się paskudny

bulgocący dźwięk, próbowała odczołgać się na bok. Anke strzeliła po raz drugi, w tył głowy, a policjantka znieruchomiała. Zewsząd dobiegały ją krzyki przerażonych przechodniów, wiedziała, że musi działać szybko. Ciało zabitej kobiety torowało jej drogę, Anke przesunęła je więc na środek ulicy, wskoczyła do auta i szybko odjechała.

Musiała porzucić gdzieś samochód. Musiała znaleźć jakąś bezpieczną kryjówkę.

4

Wyglądało to mniej więcej tak, jak Fabel się spodziewał. Van Heiden nie był na niego zły, nie pouczał go, dał mu jednak do zrozumienia – bardziej za pomocą wymownego milczenia niż słów – że sytuacja nie może wyglądać gorzej i że jeśli polecą głowy, to właśnie Fabel podłoży swoją pod topór jako pierwszy.

Sprawy nie ułatwiało zainteresowanie mediów. O strzelaninie przy Harvestehuder Weg informowały wszystkie stacje radiowe i telewizyjne, wszystkie portale internetowe, i to nie tylko w Hamburgu. Police Presidium przypominało oblężoną twierdzę. Na ulicy parkowały furgonetki z antenami satelitarnymi, ekipy telewizyjne nieustannie filmowały budynek komendy. Fabel dostał nawet wiadomość, że próbowała się z nim skontaktować Sylvie Achtenhagen.

– Mówiła, że to bardzo pilne – powiedział mu policjant, który pełnił służbę w recepcji.

– Na pewno – odparł Fabel, po czym zgniótł w dłoni karteczkę z wiadomością i wrzucił ją do kosza.

Po rozmowie z van Heidenem Fabel zadzwonił do Wenera, który został w szpitalu.

– Jak Anna?

– Jeszcze na sali operacyjnej – odparł Werner. – Zadzwonię, gdy tylko ją stamtąd wywiozą i czegoś się dowiem. Nie zamartwiaj się, Janie. Jest twardsza niż ktokolwiek z nas.

Gdy tylko Fabel odłożył słuchawkę, rozległo się pukanie do drzwi i do jego biura wszedł Dirk Hechtner.

– Wszystko w porządku, szefie? To znaczy...

– Wiem, o czym mówisz. W porządku. Dzięki, że pytasz. Co masz ciekawego?

– Dowiedzieliśmy się, skąd pochodzi broń, którą znaleźliśmy w mieszkaniu Margarethe Paulus. Należała do niejakiego Zlatko Ljubičića, Chorwata. Był ochroniarzem Vujačića.

– Gdzie jest teraz?

– Właśnie to sprawdzam – odparł Hechtner. – Duńska policja musiała go wypuścić. Prawo nie zabrania ochraniać gangstera, więc nic na niego nie mieli. Przez jakiś czas pracował w Kopenhadze, też jako ochroniarz. Nie wiem, co działo się z nim potem. Ale to zastanawiające, że ta broń też wiąże się z Vujačićem.

– Coś jeszcze?

– Tak. Sprawdziłem Svenda Langstrupa, szefa ochrony Giny Brønsted. Nie był notowany. Ale dowiedziałem się, że służył kiedyś w Jægerkorpset, duńskiej jednostce specjalnej. Ma podwójne obywatelstwo, duńskie i niemieckie. Langstrup prowadził przez jakiś czas własną firmę ochroniarską i, tak, jestem o krok przed tobą, sprawdzam właśnie, czy to nie w tej firmie pracował Zlatko Ljubičić. Z tego, co widzę, Langstrup zarabia teraz ogromne pieniądze. Mieszka w Blenkenese.

– Dobra, pracuj nad tym dalej. Ja idę do centrum dowodzenia.

Sala centrum dowodzenia była bardziej zatłoczona niż zwykle. Fabel jęknął w duchu, dojrawszy wśród policjantów van Heidena i Steinbacha. Prowadząc śledztwo w obecności swoich przełożonych, czuł się niczym uczeń, który odrabia lekcje ze świadomością, że przez ramię zagląda mu nauczyciel.

Na widok twarzy van Heidena zrozumiał, że czekają go kolejne złe wieści.

– Straciliśmy jeszcze jednego człowieka – oznajmił van Heiden. – Ta suka zabiła kolejnego policjanta.

– Kogo?

– Młodą kobietę. Nazywała się Annika Büsing. Miała dwadzieścia cztery lata, Janie.

– Gdzie?

– Rotherbaum. – Dołączył do nich Henk Herman. Jego pociągła, szczupła i piegowata twarz wydawała się teraz wyjątkowo blada i ponura w zestawieniu z rudą czupryną. Zerknął do notesu. – Chwilę wcześniej przekazała do sprawdzenia numery czarnego lexusa GS450h, sedana. Auto ma pół roku. Należy do Jany Eigen, która mieszka w Blankenese.

– Bogata.

– Na to wygląda. I nie ma jej w domu.

– Dobra, Henk, ty i Dirk zajmiecie się morderstwem w Rotherbaum. Ja pojedę do pani Eigen. – Odwrócił się do van Heidena. – Cały mój zespół jest zajęty. Przydałby mi się ktoś, kto pojechałby ze mną do Blankenese.

– Ja to zrobię – oświadczył van Heiden.

– Masz broń?

– Oczywiście, że mam – oburzył się van Heiden. Potem, nieco już potulniej, dodał: – Leży w mojej szafce, pójdę po nią.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, zabiorę też Karin Vestergaard. Posłałem już po nią samochód. Chciała być obecna przy zakończeniu tej sprawy. Ona też straciła przez Walkirię kogoś bliskiego.

Fabel dojrzał kątem oka, że ktoś podszedł do niego z boku. Odwrócił się i zobaczył Hansa Gesslera z wydziału przestępczości gospodarczej.

– Słyszałem o Annie, Janie – powiedział. – Bardzo mi przykro. Jak ona się czuje?

– Czekam na wiadomość.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że przejrzelismy informacje Frołowa na temat Giny Brønsted i NeuHansy. Mamy dość materiału, żeby ją przyskrzynić, ale nie za te morderstwa. Nie ma żadnego bezpośredniego związku. Ale możemy jej spokojnie udowodnić uchylanie się od płacenia podatków, fałszowanie zezwoleń i oszustwa.

– Chcę ją dopaść. Musi być coś, co wiąże ją ze zleceniami dla Walkirii.

– Nie z jej strony. Może gdybyśmy znaleźli konto bankowe

Dreschera... Zajmę się tym, ale może to być jakieś konto numeryczne w szwajcarskim banku.

– Zobacz, co się da zrobić, Hans. Daj mi coś. Cokolwiek.

5

Nie był to najlepszy dzień na spacer po plaży.

Na smaganej wiatrem powierzchni Łaby tworzyły się spienione fale, nad ziemią wisiała gęsta, szara mgła. Trzymał ręce głęboko w kieszeniach płaszcza, a na głowę włożył ciepłą, grubą czapkę, szedł jednak wyprostowany, wystawiając twarz na wilgotny i zimny wiatr. Dwa lata temu spacerował tutaj ze swoją żoną. Rozmawiali wtedy o przyszłości. O tym, że może powinni już mieć dzieci.

Przystanął i obserwował przez chwilę rozmytą sylwetkę frachtowca, który przesunął się powoli po rzece, a potem wpłynął w głęboki kanał tuż za Neßsand, wyspą stanowiącą rezerwat przyrody. Ciemny, masywny kontur statku nikał powoli we mgle, a nad wodą niósł się niski, tęskny głos jego syreny.

Odwrócił się, by podjąć przerwany marsz, i dostrzegł przed sobą jakąś postać. Kolejna niewyraźna sylwetka we mgle. Stała nieruchomo i patrzyła na odpływający statek. Albo na nic. Podeszedł bliżej. Widział już profil i kosmyki jasnych włosów wymykające się spod czapki. Kobieta.

– Dzień dobry.

Kobieta drgnęła gwałtownie i odwróciła się do niego. Wyjęła ręce z kieszeni i uniosła je lekko. Przez moment miał wrażenie, że chce go zaatakować.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem pani przestraszyć.

– Spacerowałam – odparła. – Tylko spacerowałam.

– Dobrze się pani czuje?

Wpatrywała się w niego przez moment. Jej oczy wydały mu się szokująco puste, pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Potem się uśmiechnęła.

– Przepraszam – powiedziała. – Rzeczywiście, trochę mnie

pan przestraszył. Ale to nie pana wina. To ta mgła.

– Na pewno nic pani nie jest? – spytał, szczerze zatroskany.

Kobieta wzruszyła ramionami, jakgdyby zirytowana na samą siebie.

– Prawdę mówiąc, trochę się zgubiłam. Zaparkowałam gdzieś tutaj... – Machnęła ręką w stronę przystani promowej. – Potrzebowałam trochę świeżego powietrza. I odrobiny ruchu. Nie wiedziałam, że mgła jest aż tak gęsta.

– To nie jest dobra pogoda na spacer po plaży.

– Więc co pan tutaj robi? – Ponownie uśmiechnęła się do niego. Dopiero teraz zauważył, że jest bardzo ładna. Zupełnie inna od Silke, jego żony, ale bardzo ładna.

– Mieszkam niedaleko. Wiem, dokąd spaceruję.

Spojrzała w stronę Blankenese, na mroczne kształty upstrzone plamami żółtego światła.

– Mieszka pan tutaj?

– Tak, o tam. – Wskazał ręką.

– Więc może odprowadziłby mnie pan do ulicy? – poprosiła.

– Prawdę mówiąc, nie wiem już, którądy tu doszłam.

– Oczywiście. – Wyciągnął do niej rękę. – Nazywam się Svend Langstrup.

– Jestem Birta. Birta Henningsen.

6.

Zaparkowali właśnie przed willą w Blankenese, gdy dotarła do nich wiadomość, że samochód Jany Eigen znaleziono w lesie na południe od Sülldorfu.

– Boże, to przecież niedaleko stąd – zdumiał się Fabel. – Kilka minut spacerem.

– Jane Eigen to Anke Wollner? – spytała Vestergaard.

– A Anke Wollner to Walkiria. – Fabel wyjął z kabury pistolet i sprawdził, czy ma pełny magazynek. – Cholera, wróciła. Potrzebuje pewnie czegoś ze swojego mieszkania. – Odwrócił się do van Heidena. – Horst, musimy się upewnić, że jej tu nie ma. Jeśli chcesz, poczekamy na posiłki.

– W Alsterpark niewiele to pomogło. Chodźmy.

Fabel poprosił go gestem, by poczekał, po czym sięgnął do schowka pod tablicą rozdzielczą. Wyjął stamtąd sig-sauera w kaburze z uprzężą na ramię. Wyciągnął pistolet w stronę Karin Vestergaard, lecz nie wypuścił go z dłoni, gdy po niego sięgnęła. Najpierw spojrział na van Heidena.

– Co za różnica. – Przełożony nadkomisarza Fabela wzruszył ramionami.

Vestergaard wzięła broń, zdjęła płaszcz i założyła uprząż. Potem odbezpieczyła pistolet i włożyła go z powrotem do kabury.

Jak na standardy Blankenese było to dość skromne mieszkanie. Trzy sypialnie, dwie łazienki, jadalnia, kuchnia i salon. Choć mieli liczebną przewagę, przeszukiwanie mieszkania było dla nich prawdziwą próbą nerwów. Zadania nie ułatwiało im przeraźliwe wycie alarmu, który uruchomił się w chwili, gdy Fabel wyważył drzwi. Kiedy upewnili się już, że mieszkanie jest puste, nadkomisarz zadzwonił do Presidium i poprosił, by na miejsce przysłano ekipę kryminalistyczną.

– Aha, skontaktujcie się też z komisariatem dwudziestym szóstym w Osdorfie i dajcie im znać, że to fałszywy alarm – poprosił Fabel. – Niech wyślą tu kogoś, żeby wyłączył to cholerstwo.

Przystąpili do szczegółowej rewizji mieszkania. Sprawdzali każdą szufladę, każdą szafkę, każde pudełko. Fabel ściągnął rozkładaną drabinę i wyszedł na strych. Nie znaleźli jednak niczego podejrzanego: żadnej skrytki na broń, walizki pełnej gotówki i fałszywych paszportów, żadnego atrybutu zawodowego zabójcy. Podobnie jak mieszkanie Georga Dreschera, miejsce to wydawało się pozbawione oznak normalnego życia. Wszystkie elementy jego wyposażenia były drogie i wysmakowane, lecz nic nie świadczyło o tym, że ktoś mieszka tutaj na stałe: przypominało raczej apartament hotelowy niż normalny dom.

– To krzesło Ox projektu Hansa Jørgena Wegnera – zauważyła Vestergard.

– Duńskie?
– Bardzo duńskie. I bardzo drogie.
– Nie ma tu tego! – rzucił Fabel, przekrzykując wycie alarmu.
– Nie wiem, po co wróciła, ale na pewno nie ma tego w jej mieszkaniu. Nie rozumiem...

– Może zmieniła auto? – zasugerowała Vestergaard. Alarm wreszcie ucichł i wszyscy jak na komendę schowali broń do kabur.

– No tak – zgodził się z nią Fabel. – Co oznaczałoby, że już stąd wyjechała. Ale dobrze wie, że ten adres jest spalony. Chyba nie ryzykowałaby bez potrzeby i nie wracała po samochód, który także jest na nią zarejestrowany.

Usłyszał, jak przed domem zatrzymują się auta. Po chwili do mieszkania weszło trzech mundurowych i mężczyzna w kombinezonie. Fabel polecił im, by niczego nie ruszali, i wyjaśnił, że za chwilę na miejsce przyjedzie ekipa kryminalistyczna.

– Więc myślisz, że nadal jest w Blankenese? – spytał van Heiden.

– Skoro zostawiła samochód i przyszła tu na piechotę, to musiała mieć jakiś cel. – Fabel odwrócił się do umundurowanego komisarza, który przyjechał ze specjalistą od alarmów. – Jesteście z komisariatu w Osdorfie, prawda?

– Tak jest, panie nadkomisarzu.

– Czy mógłby pan skontaktować się z komisariatem i przekazać, że potrzebujemy tu jak najwięcej ludzi? Szukamy niejkiej Anke Wollner, która mieszkała w tym domu jako Jane Eigen.

Młody komisarz otworzył szeroko oczy, zszokowany.

– Boże, mówi pan o kobiecie, która zabiła tylu policjantów w centrum? Myśli pan, że jest tutaj?

– Proszę tylko skontaktować się z komisariatem i ściągnąć jak najwięcej ludzi.

Fabel odwrócił się ponownie do van Heidena i Vestergaard.

– Dlaczego tu wróciła? Wiem, że się powtarzam, ale to nie ma sensu. Nie udało nam się zatrzymać jej na miejscu zbrodni, a możemy bezpiecznie założyć, że ma w pogotowiu kilka

falszywych tożsamości. Mogłaby po prostu zniknąć bez śladu, rozpląnąć się w powietrzu. Na pewno domyśliła się już, że coś stało się z Georgiem Drescherem.

Nagle Fabel znieruchomiał, jakby tknięty jakąś myślą.

– Wydali go...

– Co takiego? – zdumiał się van Heiden.

– Chwileczkę. – Fabel sięgnął po komórkę, zadzwonił do Presidium i poprosił, by połączono go z Hansem Gesslerem.

– Wyszedł już do domu – poinformował go policjant z recepcji.

– Więc zadzwońcie na jego komórkę.

Czekając na połączenie, Fabel zakrył dłonią mikrofon i zwrócił się do van Heidena i Vestergaard:

– Wydali Dreschera. To Gina Brønsted wynajmowała Walkirię przez wszystkie te lata. Drescher miał dość dowodów, żeby wpakować Brønsted do więzienia na resztę życia. To była jego polisa emerytalna. Brønsted usuwała wszystkie ślady swojej działalności, pozbyła się Westlanda, Claasensa i Lenscha, ale planowała też załatwić Dreschera i Frołowa. Posłużyła się drugą Walkirią, szaloną Margarethe Paulus, która odwaliała za nią brudną robotę. To Brønsted dostarczyła Margarethe gotówkę i wszystkie środki, których potrzebowała. Ale nigdy nie robiła niczego bezpośrednio – przerwał, podniósł rękę i przemówił ponownie do telefonu: – Cześć Hans, mówi Fabel. Pamiętasz może, gdzie mieszka Svend Langstrup?

– Co? Ach tak, w Blankenese.

– A dokładnie? Masz jego adres?

– Zdaje się, że gdzieś za Strandweg. Poczekaj... – Po chwili Gessler podał mu pełny adres.

– Wróciła tu, żeby zabić Svenda Langstrupa – powiedział nadkomisarz, zakończywszy rozmowę. – A potem, jeśli się nie mylę, pojedzie do Giny Brønsted.

Langstrup przyniósł do salonu wino. Anke siedziała na dywanie przed kominkiem i wpatrywała się w płomienie. Blask

ognia podkreślał idealną linię jej policzka i żuchwy, nadawał głęboki złocisty odcień jej jasnym włosom.

– Ciepłej?

– O tak, zdecydowanie – mruknęła z zadowoleniem, pomimo rwącego bólu, który przenikał jej nogę. Rozejrzała się po pokoju i upiła łyk wina. Jej wzrok zatrzymał się na oprawionej w srebro fotografii ustawionej na stoliku. Przedstawiała Langstrupa i atrakcyjną kobietę o jasnorudych włosach, stojących razem w ogrodzie. Oboje patrzyli w obiektyw, a Langstrup obejmował kobietę obiema rękami. Oboje się uśmiechali. Jego twarz wyrażała pełne zadowolenie. Radość. Kobieta wyglądała trochę inaczej. Wydawało się, że jej uśmiech to tylko maska, pod którą kryje się pustka. Anke dobrze знаła ten grymas.

– Twoja żona?

Skinął głową, ale nie spojrzął na zdjęcie.

– Tak. To Silke.

– Bardzo ładna.

– Tak.

– Gdzie teraz jest? Chyba nie byłaby zadowolona, że przyprowadzasz do domu obce kobiety i raczysz je winem...

– Silke miała problemy ze zdrowiem psychicznym. – Langstrup zamilkł na moment i wbił wzrok w kieliszek. – Depresja. Popęłniła samobójstwo.

– O Boże... Tak mi przykro. Nie powinnam pytać.

– Nie mogłaś wiedzieć. To było całkiem naturalne pytanie – odparł Langstrup i pociągnął spory łyk wina. – Umarła dwa lata temu. Policja stwierdziła, że nie wiadomo do końca, czy to był wypadek, czy samobójstwo. Nie zostawiła żadnego listu.

– Dlatego spacerowałaś nad rzeką?

– Nie wiem. Tak, dla zabicia czasu.

Anke spojrzała ponownie na fotografię: na maskę uśmiechu skrywającego pustkę.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziała, wstając z podłogi. – Wiem, co znaczy stracić kogoś tak bliskiego.

– Naprawdę? Przykro mi to słyszeć.

– Mówię o moim wujku. – Upiła kolejny łyk wina i spojrzała

w ogień. – Wiem, że to nie robi wrażenia, ale był dla mnie kimś więcej niż wujkiem. Raczej ojcem. Moi rodzice... Cóż, moich rodziców zabrakło i to on mnie wychowywał. Nauczył mnie wszystkiego, co umiem. To dzięki niemu jestem tym, kim jestem.

– Umarł niedawno?

– Tak. – Odstawiła kieliszek na stół i odwróciła się do niego. Langstrup spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Wszystko w porządku?

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

– Przepraszam... – Wstał i wzruszył przepraszająco ramionami. – Rzadko miewam gości, ale dzisiaj...

Dzwonek nie cichł ani na moment. Potem ktoś zaczął łomotać do drzwi. Langstrup zmarszczył brwi i ruszył w stronę przedpokoju.

Gdy tylko odwrócił się do niej plecami, Anke skoczyła do przodu. Czarny nóż obrócił się w powietrzu i wbił w kark mężczyzny. Dopadła go jednym skokiem, zamknęła jego szyję w żelaznym uścisku i wykorzystując ciężar własnego ciała, pociągnęła w dół. Langstrup był jednak silny i wyszkolony. Uderzył ją łokciem w żebra i pchnął do tyłu, oboje runęli na stolik do kawy. Nóż wciąż tkwił w jego szyi, najwyraźniej jednak Anke źle obliczyła trajektorię i nie trafiła go w tętnicę. Słyszała, jak ktoś wyłamuje drzwi. Puściła Langstrupa i zerwała się z podłogi, chwiejąc się lekko na zranionej nodze.

Drzwi oderwały się od futryny i uderzyły z hukiem o ścianę przedpokoju. Anke wyszarpnęła berettę zza paska spódnicy. Langstrup przetoczył się na brzuch, chwytając rękojeść noża wbitego w jego kark. Jego małe, okrutne oczy były teraz pełne zdumienia i grozy. Właśnie tak, jak tego chciała.

Anke miała wybór, wiedziała o tym. Mogła strzelić do tych trojga albo wykończyć Langstrupa. Spojrzała na dwóch mężczyzn i kobietę przy drzwiach. Ich twarze były napięte, zdenerwowane. Uśmiechnęła się do nich. Chciała im powiedzieć, że to nie jest trudne. Nie bójcie się, zabijanie nie jest takie trudne.

Adrenalina krążąca w jej żyłach spowolniła wszystko. Przez

moment Anke czuła się tak, jakby znalazła się poza czasem. Pomyślała o Liane i Margarethe. Pomyślała raz jeszcze o wujku Georgu. O wszystkich spotkaniach, które odbyła do tej pory, o wszystkich chwilach, w których cieszyła się życiem.

Anke Wollner podjęła decyzję. Oddała cztery strzały do Langstrupa, wszystkie w jego głowę, nim policja otworzyła ogień.

8

Jakiś czas później Fabel, Vestergaard i van Heiden siedzieli z tyłu policyjnej furgonetki o przyciemnionych oknach, oazie spokoju otoczonej przez tłum policjantów, kryminalistów i dziennikarzy.

– Wszystko w porządku? – spytał Fabel swoich towarzyszy. Właściwie pytanie to skierowane było głównie do van Heidena, który siedział z łokciami opartymi na kolanach i wpatrywał się ponuro w podłogę furgonetki.

– Dlaczego mam wrażenie, że właśnie uczestniczyliśmy w samobójstwie wspomaganym? – spytał.

– Zrobiliśmy to, co musieliśmy – odparła Vestergaard. – Bylibyśmy następni.

– Mam nadzieję, że to zamyka sprawę Walkirii – naczelnik zwrócił się do Fabla.

– Tak, chyba tak. – Nadkomisarz skinął głową. – Pozostaje nam tylko przyskrzynić osobę, która zorganizowała i opłaciła całą tę awanturę. Ginę Brønsted.

– Ale...? – Vestergaard wyczuła powątpiewanie w głosie Fabla.

– Anke Wollner zabiła Halvorsena w Norwegii, prawdopodobnie Vujačicia w Kopenhadze, Westlanda, Lenscha, Claasensa i Sparwalda tutaj, w Hamburgu. Wiemy, dlaczego i z czyjego polecenia to zrobiła. – Fabel zmarszczył brwi. – Ale nadal nie wiemy, kim był Anioł z St. Pauli. Z pewnością nie była nim Wollner. Dzięki wizycie domowej, którą była mi łaskawa niedawno złożyć, możemy mieć pewność, że trzecia Walkiria, Liane Kayser, żyje i ma się

dobrze.

– Prawdopodobnie prowadzi normalne życie i nie ma z tym nic wspólnego – stwierdził van Heiden.

– Może... Ale dała mi aż nazbyt wyraźnie do zrozumienia, że gotowa jest zabić w obronie tego życia. – Fabel wzdrygnął się i wstał. – Na mnie już czas. Muszę pójść z wizytą do szpitala.

– Anna Wolff? – domyślił się van Heiden.

– Anna Wolff – potwierdził Fabel. – Muszę porozmawiać z nią o przyszłości.

EPILOG

*

Bolało. Bolało jak cholera, ale Fabel wiedział, że musi się z tym pogodzić. Przysięgał sobie w duchu, że kiedyś zbierze dość dowodów, żeby wsadzić ją do więzienia na długie lata. Spoglądał gniewnie na ekran telewizora ustawionego w głównym biurze wydziału zabójstw. Patrzył na dwie dobrze mu znane twarze.

– Czy nie przynosi to wstydu całej grupie NeuHansa? – pytała Sylvia Achtenhagen. – I czy pani nie czuje się osobiście odpowiedzialna za całą tę sytuację? W końcu to pani zatrudniła i obdarzyła zaufaniem człowieka, który okazał się przestępcą. Człowieka, który zlecił i opłacił zabójstwa tylu niewinnych ludzi.

– Najpierw musimy sobie wyjaśnić pewną rzecz – zaczęła Gina Brønsted, uśmiechając się pobłażliwie, jakby przemawiała do dziecka. – Policja poddała dokładnej kontroli zarówno moje życie osobiste, jak i wszystkie interesy, ale nie znalazła niczego, co świadczyłoby o tym, że wiedziałam o przestępczych działaniach Svenda Langstrupa. Ten człowiek zarządzał swoim małym prywatnym królestwem, ukrytym w obrębie grupy NeuHansa. To prawda, że przez jakiś czas uchodziło mu to na sucho, ale nie był...

Werner sięgnął po pilota i wyłączył telewizor.

– Nie przejmuj się tą suką, Janie – powiedział do Fabela. – Musisz na razie odpuścić. Wcześniej czy później ją dopadniemy. Chłopaki z przestępczości gospodarczej też tylko marzą o tym, żeby dobrać się jej do tyłka.

– I OLAF – dorzucił ponuro Fabel. – I Økokrim w Norwegii. I duńska policja. Gina Brønsted będzie teraz musiała uważać na każdym kroku.

– A co z pierwszym poniedziałkiem miesiąca? No wiesz,

mówię o wiadomości w „Muliebritas”. Poniedziałek już blisko: pojedziemy do Halberstadt?

– Nie ma sensu. – Fabel pokręcił głową. – Trzy Walkirie: jedna nie żyje, jedna wróciła do szpitala psychiatrycznego, a trzecia nie da się już nabrać.

– Słusznie... – Werener zachichotał złośliwie. – Poza tym, jak będzie chciała pogadać, wpadnie do ciebie.

Fabel zgromił swego zastępcę spojrzeniem, a ten szybko pozbierał papiery i wyszedł z biura. Gdy został w końcu sam, nadkomisarz podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer.

– Halo, pani Meissner? Mówi Jan Fabel. Dostałem pani zaproszenie na konferencję Sabine Charity. Bardzo chętnie opowiedziałbym o inicjatywie policji Hamburga dotyczącej przeciwdziałania przemocy domowej.

**

Ostatnie spotkanie nieco się przedłużyło. W końcu jednak kazali wnieść jedzenie i otworzyli butelkę szampana, którym przypieczętowali umowę. Po ostatnich wydarzeniach, które mocno nadszarpnęły ich reputację, Gina Brønsted musiał długo negocjować i poczynić pewne ustępstwa, ale wszystko powoli wracało do normy.

Ponieważ było już późno, Brønsted postanowiła spędzić tę noc w swoim penthousie nad biurami. Prawdę mówiąc, uwielbiała to mieszkanie z olbrzymimi oknami wychodzącymi na zatokę i plac budowy nowej opery. Napełniła kieliszek szampanem i stanęła przy oknie, by sycić się chłodnym napojem i widokiem. Była pewna, że kiedyś to miasto będzie należeć do niej. Najpierw Hamburg, a potem Kopenhaga.

Dostrzegła kątem oka jakiś ruch, sylwetkę odbitą w szybie. Obróciła się w miejscu.

– Co ty tu robisz? – spytała bardziej zdumiona niż wystraszona. – Jak się tutaj dostałaś?

– Wiesz, kim jestem? – spytała blondynka stojąca na środku salonu Brønsted.

– O czym ty mówisz, do cholery? – Tym razem Brønsted rozzłościła się nie na żarty. – Oczywiście, że wiem, kim jesteś.

A teraz wyjaśnij mi, co tutaj robisz. Ja nie mam ci nic więcej do powiedzenia.

– Wiesz, jak się nazywam? – spytała ponownie kobieta.

– Oczywiście, że wiem. Czyś ty postradała... – Brønsted urwała raptownie, wpatrzona w pistolet, który kobieta wysunęła spod poły czarnego płaszcza.

– Nie nazywam się tak, jak myślisz. Tak naprawdę jestem Liane Kayser. Walkiria. Dobrze wiesz, kim są Walkirie, prawda Gino?

– Ja... – Gniew malujący się na twarzy Brønsted ustąpił miejsca przerażaniu. – Posłuchaj, mogę ci dać pracę...

– Chcesz powiedzieć, że możesz mnie wykorzystać. Tak jak wykorzystyłaś Margarethe i Anke? To ciekawe, ale nie przypuszczałam, że będzie mnie to obchodzić. Myślałam, że nie jestem zdolna do żadnych uczuć. Ale dotknęło mnie to. I to bardzo. One były moją jedyną rodziną. Wiesz co, Gino, coś jednak dla ciebie zrobię. Wiem, że lubisz, kiedy piszą o tobie w gazetach i mówią w telewizji. Załatwię ci to. Jutro twoje nazwisko będzie na ustach wszystkich. Obiecuję.

– Mogę ci to wynagrodzić... – Brønsted rozglądała się gorączkowo po pokoju. Guzik alarmu. Telefon. Jedno i drugie straszliwie daleko.

– Masz rację, Gino. Możesz mi to wynagrodzić. – Liane Kayser dwukrotnie pociągnęła za spust. Tłumik przymocowany do pistoletu Makarow PM skutecznie wygłuszył odgłosy strzałów. Brønsted osunęła się na ziemię. Dyszała szybko, chrapliwie. Jasnowłosa kobieta podeszła bliżej.

– Wiesz, co właściwie znaczy słowo „walkiria”? Pochodzi ze staronordyckiego. *Valkyrja* to inaczej ta, która wybiera zabitych. – Pociągnęła za spust jeszcze dwukrotnie. Strzały w głowę. – Żegnaj, Gino.

Tak wiele się zmieniło, odkąd była tutaj ostatnio.

Sylvie Achtentagen odwiedzała Halberstadt jako młoda dziewczyna. Oczywiście było to jeszcze przed upadkiem muru. Wówczas miasto nie robiło na niej szczególnego wrażenia:

przypominało wszystkie inne enerdowskie miejscowości, w których była wcześniej. Halberstadt zostało zbombardowane i zrównane z ziemią pod koniec drugiej wojny światowej, cztery tygodnie przed kapitulacją Niemiec. Wielu ludzi podejrzewało, że bombardowanie było ostatnim aktem zemsty.

Bez względu na to, co nimi kierowało, Brytyjczycy przekonani o słuszności swej sprawy z zapalem i werwą zmiotli miasteczko z powierzchni ziemi i niemal całkowicie zniszczyli jego średniowieczne centrum. Potem, ogarnięci równie szczerym zapalem i werwą, komuniści odbudowali Halberstadt jako miasto robotnicze. Gotycką katedrę otoczyły paskudne bloki z wielkiej płyty, a wszystko, co stare lub tradycyjne, musiało ustąpić miejsca nowoczesnemu i funkcjonalnemu. Potem runął mur, a rządy nad miastem przejęli jego mieszkańcy.

Halberstadt nie ma przedmieść. Wyrasta niespodziewanie na trawiastych równinach przed Górami Harcu. Dojeżdżając do pierwszych zabudowań, Sylvie miała wrażenie, że patrzy na miasteczko rodem z bajki, domy z pruskiego muru z czerwonymi dachami, wieże katedry i Martinikirche wpisujące się doskonale w krajobraz. Dopiero gdy wjechała do centrum, uzmysłowiła sobie, jak wielkie zmiany zaszły tu od jej ostatniej bytności. Zniknęły niemal wszystkie bloki z wielkiej płyty, średniowieczna starówka została pieczołowicie odtworzona, a plac przed katedrą znów wolny był od zabudowań, dzięki czemu majestatyczny budynek mógł prezentować się w całej okazałości. Zdawało się, że to urokliwe miasteczko odzyskało swoją duszę.

Hotel mieścił się w przebudowanej osiemnastowiecznej rezydencji w centrum miasta. Pokój Sylvie był niezwykle wysoki, wyłożony drewnianą boazerią i wyposażony w meble, które wyglądały na antyki. Sylvie czuła się nieco dziwnie w tym barokowym wnętrzu, położonym w sercu miasta kojarzącego jej się dotąd wyłącznie z komunistyczną przeszłością, którą zostawiła daleko za sobą.

Zadzwoniła z komórki pod numer, który wcześniej otrzymała.

– Pani Achtenhagen?

– Tak.

– Spotkajmy się w skarbcu katedry za piętnaście minut. Znajdę panią.

Helmut Kittel był wrakiem człowieka. Choć wysoki, garbił się mocno, jakby chciał ukryć zapadniętą pierś. Jego skóra miała niezdrowy żółtawy odcień, a włosy były matowe i rzadkie. Wyszedł za Sylvie ze skarbcza i usiadł obok niej na ławce, w ogrodzie przy katedrze.

– Dostałam pańską wiadomość – powiedziała Sylvie.

– Wiedziałem, że ją pani odczyta. – Uśmiechnął się.

– Widział pan wiadomości? O Ginie Brønsted?

– Tak – odpowiedział świszczącym głosem.

– Domyśla się pan chyba, że to robota trzeciej tak zwanej Walkirii, której nazwisko podobno pan zna. Przyznaję, że ta informacja jest teraz bardzo cenna. Ma pan jakiś dowód na potwierdzenie tej tożsamości?

Kittel zaniósł się gwałtownym, głęboki kaszlem, od którego łzy napłynęły mu do oczu. Gdy w końcu kaszel ustąpił, mężczyzna opadł na oparcie ławki i oddychał głęboko, jakby znalazł się na jakiejś ogromnej wysokości, w rozrzedzonym powietrzu.

– Rak? – spytała Sylvie bez złośliwości.

Pokręcił głową.

– Rozedma płuc. Za dużo papierosów. Na zimnie robi się jeszcze gorzej.

– Cóż, pańskie informacje to naprawdę sensacyjny materiał. A im bardziej sensacyjny, tym więcej za niego zapłacimy.

Mężczyzna uśmiechnął się gorzko.

– A ty tworzysz sensacje, prawda?

– Ma pan te dokumenty czy nie? – spytała Sylvie, mimowolnie okazując irytację.

– Na początku było dwanaście dziewczyn – mówił spokojnie Kittel. – Wybrali z nich trzy najlepsze. Ale potem na ostatnim etapie szkolenia musieli odrzucić jedną z nich. Liane Kayser. Zrozumieli, że nie mogą na niej polegać. Mówili, że miała skłonności socjopatyczne. Oczywiście nie było tego widać na

pierwszy rzut oka, nie dało się tego wyczuć w rozmowie, ale wiedzieli już, że nie jest w stanie służyć nikomu prócz samej siebie. Że zrobi wszystko, zabije każdego, byle tylko osiągnąć to, co sobie zaplanowała. – Odwrócił się do niej i uśmiechnął. – Nie, pani Achtenhagen, nie mam dokumentów. Nie miałem żadnych innych dokumentów oprócz tych zdjęć, które pani wysłałem. Jestem jedynym człowiekiem, który zna tożsamość Liane Kayser.

– Rozumiem – odparła, uśmiechając się i przypatrując jego twarzy, jakby próbowała z niej coś wyczytać.

– Widziałem kiedyś, jak udzielała pani wywiadu w telewizji – kontynuował Kittel chrapliwie. – Mówiła pani o tym, co znaczy być dzisiaj dziennikarzem telewizyjnym. Że nie można być pasywnym, czekać, aż jakaś historia sama wpadnie nam w ręce. Mówiła pani, że trzeba samemu tworzyć wiadomości. Zrobiła pani karierę na sprawie Anioła z St. Pauli, prawda? Nikt nie wiedział o niej tyle co pani, zawsze wyprzedzała pani pozostałych o krok. Naprawdę stworzyłaś tę historię, prawda... Liane? Wiem, że jesteś Aniołem z St. Pauli. I wiem, że zrobiłaś to, żeby odnieść sukces w telewizji. Jestem też niemal pewien, że to Anke dokonała tej ostatniej serii morderstw. Drescher pewnie kazał jej zrobić to tak, żeby wyglądało na twoją robotę. Żeby ludzie uwierzyli w twój powrót.

– Więc gdzie są te dokumenty?

– Powiedziałem ci już. Nie ma żadnych dokumentów. – Kittel roześmiał się, lecz po chwili śmiech znów przeszedł w gwałtowny kaszel. Mężczyzna przyłożył do ust chusteczkę, a gdy w końcu się uspokoił i odsunął ją, Sylvie zauważyła czerwone plamy na tkaninie. – Oboje wiedzieliśmy, że do tego dojdzie, Liane. Fakt, że tutaj jesteś. Fakt, że wiedziałaś, gdzie przyjechać, kiedy zobaczyłaś ogłoszenie w „Muliebritas”.

– Bardzo boli? – spytała, patrząc na zakrwawioną chusteczkę.

– Czasami. – Skinął głową, a w jego oczach pojawił się strach przed bólem. – Zniszczyli wszystkie akta tej sprawy. Tylko ja wiem, jak się naprawdę nazywasz. – Uśmiechnął się. Nie był to arogancki grymas, lecz smutny, niemal dziecięcy uśmiech. – Wiedziałem, że przyjedziesz. Wiedziałem, że mnie znajdziesz.

Nie chcę umierać, walcząc o każdy oddech. Chcę się pozbyć bólu i strachu. Nie chcę się więcej bać.

Sylvie uśmiechnęła się odgarnęła kosmyk włosów z jego wilgotnego czoła. Pochyliła się i wyszeptwała mu do ucha:

– Wiem, Helmucie. Wiem... Miło, że nazwałeś mnie Liane. Nikt nie nazywał mnie tak od lat. I nikt już nigdy nie będzie. Dziękuję ci za to, Helmucie.

Kiedy mówiła do niego spokojnym, kojącym tonem, Kittel poczuł, jak coś wbija się w jego pierś. Nagle zabrakło mu tchu, choć w sposób zupełnie inny niż dotychczas. Ale prawie nie czuł bólu. Spojrzał w jej oczy, najpierw ze zdumieniem, lecz bez strachu, a potem z czymś, co wyglądało na wdzięczność.

– Tak będzie lepiej, Helmucie – powiedziała, wyciągając długą igłę z klatki piersiowej mężczyzny i pozwalając, by pękło mu serce. – Dość bólu. Dość bezsennych, pełnych strachu i kaszlu nocy. Uwolniłam cię od bólu na zawsze.

Sylvie Achtenhagen sprawdziła, czy w pobliżu nikogo nie ma, po czym podniosła się szybko i ruszyła szybkim krokiem w stronę wyjścia z parku. Zostawiła za sobą chudego mężczyznę w średnim wieku, który wpatrywał się nieruchomo w nagie gałęzie drzew i widoczne w tle połączone wieże Martinikirche.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej żonie, Wendy, za wsparcie i rady; mojemu redaktorowi, Paulowi Sideyowi, i mojej agentce, Carole Blake; Tess Callaway, Joannie Taylor i Jamesowi Nightingale'owi; mojemu adiustatorowi, Nickowi Austinowi; oraz mojemu przyjacielowi i tłumaczowi, Berndowi Rullkötterowi.

Policja hamburska nadal jest jedną z najbardziej otwartych i transparentnych instytucji tego typu w Europie, a ja znów winien jestem szczególne wyrazy wdzięczności funkcjonariuszom Polizei Hamburg, w szczególności Erste Polizeihauptkommissarin Ulrike Sweden i Polizeipräsidentowi Wernerowi Jantoschowi za ich pomoc, wsparcie i entuzjastyczne podejście do mojej pracy.

Chcę też wyrazić wdzięczność i sympatię jednemu z najwspanialszych miast na świecie: Hamburgowi.

Tytuł oryginału:
The Valkyrie Song

Copyright © 2009 by Craig Russell Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII
Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Wydanie I

Warszawa

Przekład:
Janusz Ochab

Redakcja:
Jacek Ring

Korekta:
Katarzyna Humeniuk, Filip Modrzejewski

Adiustacja:
Marta Stochmiałek

Projekt okładki:
Krzysztof Rychter

Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki:
© Joanna Jankowska / Arcangel Images

Skład i łamanie:
Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7881-183-1

VIRTUALO
Księgarnia Internetowa

empik



MROCZNA SERIA

pieśń walcirii



**w
ab**
wydawnictwo

lesiojot